

AKTA GOLGOTY

„Niemiecki Dan Brown“

Stern



PHILIPP
VANDENBERG

**Transplantolog na tropie lukratywnego handlu
organami ludzkimi.**

**Przerażające zbrodnie, za którymi
stoi Kościół katolicki.**

Vandenberg w najlepszym wydaniu!

„Vandenberg to profesjonalista nie pozostawiający w swoich
książkach niczego przypadkowi”.

Welt am Sonntag

„Badacz i kolekcjoner pisze kolejną wstrząsającą historię”.

Gala (wyd. niemieckie)

„*Akta Golgoty* to znakomicie skonstruowany kryminał. Do-
skonały materiał filmowy.”

Berliner Kreisanzeiger und Zeitung

„Vandenberg to wielki, skrupulatny, niemal już legendar-
ny badacz, zadziwiający czytelnika dokładnością i wiernością
przedstawianych faktów”.

Der neue Samstag, Wien

ISBN 978-83-7008-157-2



9 788373 708157 >

Cena detaliczna: 33,90 zł

PHILIPP

VANDENBERG

AKTA GOLGOTY

Z języka niemieckiego przełożył
Julian Brudzewski



Tytuł oryginału: DIE AKTE GOLGATHA

Copyright © 2003 by Verlagsgruppe Lübbe GmbH & Co. KG, Bergisch Gladbach

Copyright © 2009 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2009 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: Wydawnictwo Sonia Draga Zdjęcie na okładce: Sonia Draga

Redakcja: Marcin Grabski, Olga Rutkowska Korekta: Jolanta Olejniczak-Kulan, Mariusz Kulan, Magdalena Bargłowska

ISBN: 978-83-7508-157-2

Sprzedaż wysyłkowa:

www.merlin.com.pl

www.empik.com

www.soniadraga.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-950 Katowice

tel. (32) 782 64 77-, fax (32) 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

Skład i łamanie: DT Studio s.c, tel. 032 720 28 78, fax 032 209 82 25

Katowice 2009. Wydanie II poprawione

Drukarnia WZDZ Lega, Opole

STRACH PRZED LATANIEM

Był to jeden z tych przerażających lotów, które wywołują w człowieku żal, że w ogóle przyszedł na świat. Przy tym wszystko zaczęło się bardzo niewinnie. Samolot Lufthansy, obsługujący rejs numer 963, wystartował punktualnie o godzinie piętnastej przy słonecznej jesiennej pogodzie, a lot nad Alpami w kierunku Rzymu obiecywał czystą przyjemność. Zarezerwowałem sobie pokój w hotelu w Tivoli w Górach Albańskich, żeby w samotności, otoczony malowniczym krajobrazem, przemyśleć swoją nową powieść - materiał, którym chciałem się twórczo zająć już od dwóch lat. Stało się jednak inaczej.

Ledwie przekroczyliśmy łańcuch Alp, samolot Lufthansy, nowiutki airbus, nagle zaczął się trząść i drżeć. Nad siedzeniami zapaliły się napisy: „Proszę zapiąć pasy”, a z głośników pokładowych wydobyła się informacja przekazana przez kapitana:

„Szanowni państwo, proszę na razie pozostać na miejscach i nie odpinąć pasów. Nad północnymi Włochami rozbudował się obszar skrajnie niskiego ciśnienia i spodziewamy się bardzo poważnych turbulencji”.

Jeśli chodzi o podróżowanie samolotem, nie zaliczam się do najodważniejszych - przeżyłem swoje w Afryce i Azji - dlatego dawno wyrobiłem w sobie nawyk, żeby zawsze latać z zapiętym pasem. Lekko zaniepokojony, spojrzałem za okno na niesamowity pejzaż utworzony z szarych spiętrzonych chmur, widok ten jednak szybko przesłoniła wilgotna mgła.

Niebo pociemniało, ale skłamałbym, twierdząc, że przyjąłem tę sytuację z obojętnością. W podobnych okolicznościach wykorzystuję technikę, którą wiele lat temu zdradził mi pewien amerykański psychiatra podczas lotu do Kalifornii - chwytam jakiś przedmiot i ściskam go w dłoni tak mocno, że czuję ból. Skupienie na bólu pozwala zapomnieć o całym strachu przed lataniem. Samolotem znów wstrząsnęło. W wewnętrznej kieszeni marynarki znalazłem jedynie kartę kredytową, położyłem ją na dłoni i zacisnąłem palce. Przez chwilę zdawało mi się, że ściskam nóż o dwóch ostrzach, ból ten jednak wystarczył, żeby zapomnieć o niebezpieczeństwie.

Jakby z odległości dostrzegłem szklanki, tace i sztucce, które nagle - wyzwolone spod działania siły ciężkości - nabrały życia, uderzyły o sufit i przykleiły się do niego, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. Z tylnych rzędów rozległy się przestraszone okrzyki pasażerów. Dziura powietrzna. Samolot swobodnie zaczął spadać.

Nie byłem w stanie stwierdzić, jak długo znajdowaliśmy się w stanie nieważkości. Siedziałem bez ruchu z kartą kredytową w dłoni. Po chwili jednak obudziłem się z letargu, który sam sobie zaaplikowałem: mój sąsiad po prawej, na którego wcześniej w ogóle nie zwróciłem uwagi, gwałtownie uchwycił się mojego przedramienia i z całej siły zacisnął dłoń, jakby szukał oparcia w tym zatrważającym stanie nieważkości. Spojrzałem na niego, ale mężczyzna nieruchomo patrzył przed siebie. Twarz miał bladoszara, usta lekko otwarte i było widać, jak drży mu siwy wąsik.

Swobodne spadanie maszyny trwało dziesięć, może piętnaście sekund - mnie i tak wydało się to wiecznością - później samolotem targnęło potężne szarpnięcie, usłyszałem huk, a przyklejone do sufitu przedmioty upadły na podłogę. Niektórzy pasażerowie, ugodzeni nimi, krzyknęli z bólu. Po chwili było już po wszystkim. Spokojnie, jakby nic się nie stało, samolot kontynuował lot.

- Proszę mi wybaczyć niestosowne zachowanie - odezwał się siedzący obok mnie pasażer, puściwszy moją rękę. - Naprawdę sądziłem, że spadamy.

- Już w porządku - odpowiedziałem łaskawie, starając się schować bolącą dłoń, w której wciąż znajdowała się karta kredytowa z ostrymi krawędziami.

- Panu nie jest pewnie znany strach przed lataniem? - zaczął podróżny po chwili przerwy, podczas której nasłuchiwałem dźwięków lotu, zastanawiając się, czy nie należy się spodziewać kolejnych turbulencji.

„Pojęcia pan nie ma, jak znany”- chciałem odpowiedzieć spontanicznie, ale z obawy, że pozostały czas lotu może się zamienić w wymianę lotniczych doświadczeń, odparłem krótko:

- Nie.

Kiedy jeszcze raz mrugnąłem do niego, żeby mu dodać otuchy, zwróciło moją uwagę, że drugą ręką przyciska do siebie rękopis albo zbiór rycin, jak dziecko, które się boi, że ktoś odbierze mu ulubioną zabawkę. W końcu kiwnął na stewardesę, niezwykle piękną, ciemnowłosą dziewczynę, uniósł w górę palec wskazujący oraz środkowy i zamówił dwie whisky.

- Napije się pan? - spytał.

- Nie piję whisky - powstrzymałem go.

- Nie szkodzi. Po tych przeżyciach zniosę i dwie.

Kiedy siedzący obok mnie pasażer z namysłem, choć niejednym haustem, jak się spodziewałem, opróżnił obie szklaneczki whisky, miałem sposobność dokładniej mu się przyjrzeć.

Jego inteligentna twarz i drogie buty pozostawały w sprzeczności z zaniedbanym wyglądem. Zrobił na mnie wrażenie człowieka nie mniej zagadkowego niż jego osobliwe zachowanie: mężczyzna w średnim wieku, o delikatnych rysach, nerwowych ruchach i niepewnym zachowaniu, typ osoby, na której czas odcisnął swoje piętno. Chyba zauważył moje badawcze spojrzenie, bo po chwili milczenia znów zwrócił się w moim kierunku, wyprostował na fotelu i nieznacznie skłonił, co było gestem niepozobawionym komizmu, po czym powiedział z wyszukaną uprzejmością:

- Nazywam się Gropius, profesor Gregor Gropius. Ale już po wszystkim, wybaczy pan. - Schylił się i włożył rękopis do brązowej skórzanej teczki stojącej pod siedzeniem.

Żeby konwencji stało się zadość, również się przedstawiłem i z czystej ciekawości zagadnąłem:

- Jak mam to rozumieć, profesorze? Po jakim „wszystkim”?

Gropius machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że nie chce o tym rozmawiać. Ponieważ jednak nadal patrzyłem na niego z wyczekiwaniem, odparł w końcu:

- Jestem chirurgiem, a raczej byłem. A pan? Chwileczkę, niech zgadnę...

Przyznam, że poczułem się trochę nieswojo, ale rozmowa już się rozwinęła i nie było możliwości jej przerywania. Poza tym na swoim siedzeniu przy oknie wciąż byłem przypięty pasem, siedziałem więc w pozycji, która

sprawiała, że wyglądałem tak, jakbym chciał, żeby ktoś zrobił mi zdjęcie, przy tym uśmiechałem się sąsiadowi prosto w twarz.

- Czy pan jest pisarzem? - zapytał nagle Gropius.

Wzdrynąłem się.

- Tak. Skąd pan wie? Czytał pan którąś z moich książek?

- Szczerze mówiąc, nie. Ale kiedyś słyszałem pańskie nazwisko - Gropius się uśmiechnął. - A co pana sprowadza do Rzymu? Nowa powieść? - Nagle w tego człowieka, który jeszcze przed chwilą siedział obok mnie błąd jak ściana i na wpół żywy, wstąpiło życie. Z doświadczenia wiedziałem, że zaraz usłyszę od niego to, co mówi dziewięciu na dziesięciu ludzi, spotykając pisarza, czyli: „Moje życie jest pełne tak niezwykłych zdarzeń, że można by o tym napisać powieść!”. Tak jednak się nie stało. Zapanała cisza - w powietrzu wisiało pytanie zadane przez profesora.

- Nie lecę do Rzymu - odparłem zgodnie z prawdą. - Na lotnisku czeka na mnie wynajęty samochód, którym pojedę do Tivoli.

- Ach, Tivoli - powiedział Gropius z uznaniem.

- Pan zna Tivoli?

- Tylko ze zdjęć. Pewnie jest cudowne, to Tivoli.

- O tej porze roku jest przede wszystkim spokojne. Znam tam hotelik „San Pietro”, w pobliżu Piazza Trento. Właścicielka, typowa włoska *mamma*, robi najlepsze *spaghetti alla pescatore*, a widok z hotelowego tarasu jest po prostu boski. Właśnie tam spróbuję poświęcić się mojej nowej powieści.

Gropius w zadumie pokiwał głową:

- Miłe zajęcie!

- To prawda - powiedziałem. - Nie znam miłszego.

Zaskoczyło mnie trochę to, że profesor nie wydawał się w żaden sposób zainteresowany treścią mojej nowej powieści, choć - z drugiej strony - być może poczuł się dotknięty tym, że ja nie wyraziłem najmniejszego zainteresowania przyczyną jego podróży ani szczegółami jego życia. Dość, że raptem przerwał naszą rozmowę i dalsze zapoznanie się, mówiąc jeszcze:

- Ale nie ma mi pan za złe, że przed chwilą tak się uczepiłem pańskiej ręki?

- Nie, skądże. Wszystko w porządku! - próbowałem ułagodzić Gropiusa. - Skoro to pana uspokoiło.

Z głośników pokładowych popłynęła informacja, że za kilka minut będziemy lądować na lotnisku Leonardo da Vinci, i niedługo potem samolot zatrzymał się przed oszklonym terminalem.

W porcie lotniczym każdy z nas poszedł w swoją stronę. Miałem poczucie, że drobny incydent w samolocie był dla Gropiusa dość przykry, ale już następnego ranka zdążyłem o nim niemal zapomnieć - niemal, ponieważ stwierdzenie profesora, że „już po wszystkim”, wciąż dawało mi do myślenia.

Zaraz po śniadaniu, ze stosem białych kartek, zmorą każdego autora, zasiadłem przy drewnianym stole pomalowanym na zielono, który *signora* Moretti, właścicielka hotelu, wysunęła na taras przy balustradzie. Rozciągał się stąd widok na dachy Tivoli w kierunku zachodnim, gdzie w jesiennych mgłach krył się Rzym.

W pracy, którą przerywały jedynie długie spacery, poczyniłem poważne postępy. Piątego dnia - a siedziałem właśnie w południowym słońcu i pisałem ostatnią stronę szkicu powieści - usłyszałem nagle za sobą kroki na tarasie. Ktoś wyraźnie niezdecydowanie się zbliżał, aż w końcu się zatrzymał. Na plecach dosłownie poczułem czyjś wzrok, żeby więc zakończyć nieprzyjemną sytuację, odwróciłem się.

- To pan, profesorze? - odłożyłem ołówek, wyrażając zdziwienie. Zastopiony głęboko we własnych myślach i skupiony na fabule mojej powieści, na nieoczekiwanym gościu zrobiłem zapewne wrażenie zmieszanego. W każdym razie Gropius starał się mnie uspokoić kilkoma nieporadnymi gestami ręki, a po paru uprzejmościach, właściwych jedynie człowiekowi o nienaganych manierach, przeszedł w końcu do rzeczy:

- Pewnie się pan dziwi, dlaczego pana tak po prostu odwiedzam? - zaczął, kiedy podsunąłem mu krzesło, on zaś usiadł na nim sztywno.

Wzruszyłem ramionami, wskazując, że jest mi to właściwie obojętne - reakcja, której już po chwili żałowałem (nic dziwnego, skoro wtedy jeszcze nie wiedziałem, co mnie czeka).

Po raz pierwszy od naszego spotkania w samolocie kilka dni wcześniej dokładnie przyjrzałem się profesorowi.

- Szukam powiernika! - powiedział cicho, ale dobitnie. Ton jego głosu przydawał pewnej tajemniczości tym prostym słowom.

- Powiernika? - zapytałem zdumiony. - A dlaczego akurat ja przyszedłem panu do głowy?

Gropius się rozejrzył, jakby wypatrywał niechcianych świadków naszej rozmowy. Bał się, szybko to zrozumiałem, i niełatwo było mu odpowiedzieć.

- Wiem, prawie się nie znamy, właściwie w ogóle się nie znamy, ale to może być korzystne, biorąc pod uwagę sytuację, w której się znajduję.

- Doprawdy? - Przyznam, że patrząc z perspektywy czasu, moja reakcja musiała wyglądać dość arogancko, i cieszę się, że nie zareagowałem tak spontanicznie, jak miałem zamiar to uczynić. Konspiracyjne uwagi profesora zaczęły mnie denerwować i już zamierzałem powiedzieć: „Drogi profesorze, zabiera mi pan czas. Jestem tutaj, żeby pracować. Żegnaj”, ale na szczęście się powstrzymałem.

- Długo się zastanawiałem, czy obarczać pana moją historią - ciągnął Gropius - ale jest pan pisarzem, człowiekiem z fantazją, żeby zaś móc sobie wyobrazić to, co mam do opowiedzenia, trzeba naprawdę wiele fantazji. Przy tym każde słowo jest prawdą, jakkolwiek niewiarygodnie by brzmiało. Być może pan także mi nie uwierzy, może uzna mnie pan za obłąkanego albo alkoholika w zaawansowanym stadium. Szczerze mówiąc, jeszcze rok temu sam bym nie zareagował inaczej.

Dobitna przemowa profesora szczerze mnie zaskoczyła. Zauważyłem, że nagle obudziła się moja ciekawość, a początkowa nieufność ustąpiła miejsca zainteresowaniu tym, co chce opowiedzieć osobiwy profesor.

- Trzeba panu wiedzieć - usłyszałem nagle własny głos - że najlepsze powieści nadal pisze samo życie. Wiem, co mówię. Żaden pisarz nie jest w stanie wymyślić tak zwariowanych czy niezwykłych historii jak te, których dostarcza samo życie. Zresztą do moich nielicznych dobrych cech należy umiejętność słuchania. Ostatecznie żyję z opowieści, a prawdę mówiąc, jestem od nich uzależniony. Co chciałby pan zatem opowiedzieć?

Profesor zaczął nieporadnie rozpinać guziki swojej marynarki, co z początku było czynnością nieistotną, która mnie nieszczególnie ciekawiła, nagle jednak pod ubraniem dostrzegłem plik kartek.

Na tle wszystkiego, co przeżyłem w kontaktach z ludźmi, była to z pewnością najbardziej niezwykła historia, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła, i nawet uruchomiwszy najgłębsze pokłady fantazji, nie znajdowałem wyjaśnienia dla zaskakującego zachowania profesora. Muszę przyznać, że byłbym mniej zdumiony, gdyby Gropius wyciągnął pistolet i

wycelował we mnie z jakimś bezpodstawnym żądaniem. Profesor jednak uderzył lekko w rękopis zaciśniętą pięścią i powiedział nie bez dumy:

- Jest to coś w rodzaju pamiętnika z dwustu najgorszych dni mojego życia. Kiedy go czytam, sam siebie nie poznaję.

Ze zdziwieniem, wręcz bezradnie patrzyłem to na plik kartek, to na twarz profesora, który bez wątpienia delektował się moją niepewnością, jak uczestnik pojedynku, który pokonał przeciwnika. Upłynęło jednak trochę czasu, zanim zadałem rozmówcy oczywiste w takiej sytuacji pytanie:

- Co jest treścią tego rękopisu?

Tymczasem zrobiło się południe i na taras wychodzący na zachód padły pierwsze promienie słońca. We wnętrzu hotelu, w którym o tej porze roku były zajęte zaledwie trzy pokoje, pojawiła się *signora*. Za pomocą potoku słów zaferowała się, że dla mnie i mojego gościa przygotowuje makaron, oczywiście, *spaghetti alla pescatore*.

Kiedy *signora* Moretti odeszła, powtórzyłem pytanie, Gropius jednak machnął ręką i odpowiedział pytaniem, którego początkowo nie zrozumiałem:

- Czy jest pan człowiekiem pobożnym?

- Na Boga, nie! - odparłem. - O ile, oczywiście, chodzi panu o to, czy jestem sympatykiem Kościoła.

Profesor przytaknął.

- O to mi chodziło. - Po krótkim wahaniu dodał: - Może być bowiem tak, że moja opowieść pana wewnętrznie zrani, co więcej, że wstrząśnie do głębi pańską wiarą i później będzie pan oglądał świat już innymi oczami.

Porażony pewną bezradnością wobec osobliwego profesora, starałem się wyciągnąć jakieś wnioski z jego sposobu mówienia, z jego oszczędnych gestów - mówiąc szczerze, z marnym skutkiem. Im dłużej poświęcałem Gropiusowi moją uwagę, tym bardziej zagadkowe wydawało mi się jego zachowanie i z tym większą fascynacją go słuchałem. Nie miałem najmniejszego pojęcia, do czego zmierza, zakładając jednak, że Gropius nie był obłąkany - a rzeczywiście nie sprawiał takiego wrażenia - musiał widocznie dokonać jakiegoś niesłychanego odkrycia.

- Zaproponowano mi dziesięć milionów euro za milczenie - oświadczył profesor tonem, który nie zdradzał niemal żadnych emocji.

- Mam nadzieję, że przyjął pan te pieniądze - odparłem z lekką ironią.

- Pan mi nie wierzy - powiedział profesor. W jego głosie było słycać rozczarowanie.

- Ależ wierzę, wierzę - pośpieszyłem z zapewnieniem. - Chciałbym się tylko dowiedzieć, o co właściwie chodzi.

Jego pytanie o stopień mojej pobożności wskazywało przecież pewien kierunek. W swoim życiu widziałem już jednak sporo skandali związanych z Kościołem, z których kilka opisano w książkach, jak skandale finansowe Banku Watykańskiego, klasztor dla ciężarnych zakonnice czy katalog specjalnej odzieży dla masochistycznych mnichów. Cóż jeszcze mogło mnie tutaj zaszokować?

Nie wstając z krzesła, Gropius wyciągnął szyję i spojrział przez balustradę w kierunku Piazza Trento. Po chwili odwrócił się do mnie i powiedział:

- Proszę mi wybaczyć moje dziwne zachowanie. Wciąż jeszcze trochę cierpię na manię prześladowczą, ale kiedy wysłucha pan mojej historii, nie będzie mi pan miał tego za złe. Widzi pan tam w dole dwóch mężczyzn?

Gropius wskazał ruchem głowy na ulicę poniżej, gdzie stała niepozorna lancia, a przy niej rozmawiało dwóch mężczyzn w ciemnych ubraniach. Kiedy wychyliłem się przez balustradę, żeby rzucić okiem na ulicę, odwrócili się w moim kierunku, jakby przypadkiem.

Na pewien czas nasza rozmowa zamarła, ponieważ *signora* z szerokim uśmiechem i szczebiotem właściwym włoskiej kucharce, przyniosła spaghetti. Do tego wypiliśmy *frascati*, miejscowym zwyczajem zmieszane z wodą, później zaś, jak należy, gorzkie czarne espresso.

Zrobiło się cicho, w okolicznych domach pozamykano wysokie okiennice, przeważnie pomalowane na zielono. Sjesta. Mężczyźni przed domem rozdzielili się. Stali teraz na ulicy w odległości stu metrów od siebie, paląc papierosy. Po bruku tłukł się trójkołowy samochodzik dostawczy. Gdzieś piał gardłowo kogut, jakby się bał o swoje życie. Z parteru, gdzie znajdowała się kuchnia, dało się słyszeć hałas zmywarki do naczyń.

Człowiek, który był ze mną, przestał mi podsuwać kolejne zagadki, i naprawdę nie wiedziałem, jak się wobec niego zachować. Podczas posiłku rozmawialiśmy o błahych sprawach, choć ściśle rzecz biorąc, Gropius jeszcze nie uchylił przede mną nawet szparki w drzwiach do swojego życia. Po dłuższej chwili, z ociąganiem, sam się wprosiłem - ostatecznie to on do mnie przyszedł, żeby mi się zwierzyć z czegoś ważnego.

- Kim pan jest, profesorze Gropius? Nie jestem nawet pewien, czy to jest pańskie prawdziwe nazwisko. Ale przede wszystkim co ma mi pan do powiedzenia? Proszę, niechże pan w końcu coś powie!

Gropius się wzdrygnął. Niemal było widać, jak puściły wszystkie tamy, które do tej pory go powstrzymywały. Ostrożnie położył rękopis przed nami na stole i przykrył obiema rękami.

- Naprawdę nazywam się Gropius, Gregor Gropius. - Zaczął tak cicho, że musiałem się do niego nachylić, żeby coś zrozumieć. - W wieku dwudziestu czterech lat zrobiłem doktorat z medycyny, w wieku trzydziestu ośmiu zostałem profesorem w dużej klinice na południu Niemiec. W tym czasie przez dwa lata byłem rezydentem w renomowanych klinikach w Kapsztadzie i Bostonie. Słowem - kariera jak z obrazka. Aha, do tego była jeszcze Veronique. Spotkałem ją na kongresie w Salzburgu, gdzie pracowała jako hostessa. Właściwie to miała na imię Weronika, a jej rodzice, prowadzący poza miastem firmę dorożkarską, wołali na nią Wronka.

O tym jednak wołała nie pamiętać. Pobraliśmy się cztery tygodnie po tym, jak miałem już w kieszeni doktorat. Było wesele w zamku Mirabell, był po wóz ciągnięty przez cztery siwe konie. Z początku w naszym małżeństwie wszystko się układało. Veronique była niezwykle atrakcyjna. Uwielbiałem ją, ona zaś traktowała mnie jak jakieś cudowne dziecko, co oczywiście mi pochlebiało. Patrząc z perspektywy czasu, muszę jednak powiedzieć, że było to za mało na solidny fundament małżeństwa. W głowie miałem wyłącznie moją karierę, a dla Veronique byłem nie tyle partnerem, ile trampoliną, która miała jej pozwolić wskoczyć w wyższe sfery. Jedynie bardzo rzadko, albo kiedy potrzebowała większych pieniędzy, pozorowała miłość - taki epizod musiał jednak wystarczyć na kolejne sześć tygodni. Dzieci w ogóle nie wchodziły w grę. „Dzieci, jak zwykła mawiać, powinny być wdzięczne, jeśli się ich nie wyda na ten okropny świat”. W rzeczywistości Veronique obawiała się o swoją figurę, tego jestem najzupełniej pewien. Szybko, bo już po dziesięciu latach, nastąpił koniec naszego małżeństwa, choć żadne z nas nie chciało tego przyznać. Wprawdzie mieszkaliśmy w naszym wspólnym domu w najlepszej dzielnicy miasta, ale chodziliśmy własnymi drogami i żadne nie podjęło nawet próby ratowania małżeństwa. Żeby w końcu się zrealizować - tak się wyrażała - Veronique otworzyła agencję public relations, w której opracowywała kampanie reklamowe dla firm, wydawnictw i aktorów. To, że już przy pierwszym większym kontrakcie mnie zdradziła, uważam za tandetne. I to z fabrykantem

konserw z kiszoną kapustą. Zgoda, miał mnóstwo pieniędzy i zasypywał ją kosztownymi podarkami, ale przecież u mnie także nigdy jej tego nie brakowało. Zemściłem się po swojemu, sprowadzając do domu śliczniutką asystentkę od rentgena. Była ode mnie młodsza o prawie dwadzieścia lat, a kiedy Veronique nas nakryła - wróciwszy niespodziewanie z podróży służbowej - wieloletnia obojętność z dnia na dzień zmieniła się w nienawiść. Nigdy nie zapomnę ognia w jej oczach, kiedy wyszczała: „Zapłacisz mi za ten brak smaku! Zniszczę cię”. Muszę przyznać, że wtedy nie potraktowałem tej groźby poważnie. Później jednak, niecałe trzy tygodnie potem, a więc czternastego września... Nigdy nie zapomnę tamtego dnia, zmienił bowiem całe moje życie, przypomniałem sobie nagle o pogroźkach Veronique i starałem się...

W tym miejscu przerwałem profesorowi, który mówił z rosnącymżywieniem, wywołanym jakimś dziwnym niepokojem. Już od dłuższego czasu byłem przekonany, że człowiek ten daleki jest od opowiadania zmyślonych historii. W każdym razie jego opowieść niezwykle mnie zafascynowała, a doświadczenie - albo mój szósty zmysł - w kontaktach z ludźmi podpowiadało mi, że za tym wszystkim kryje się coś więcej niż tylko banalny dramat małżeński. Gropius nie wyglądał na osobę, która obcego człowieka - a przecież dla profesora byłem nadal obcym człowiekiem - bez powodu będzie wprowadzała w swoje nie do końca udane życie prywatne. Nie dostrzegalem też w nim egoisty żebrzącego o litość, który oplakuje swój los jako coś najgorszego na świecie. Dlatego poprosiłem profesora, żeby pozwolił mi robić notatki.

- Nie ma takiej potrzeby - powiedział profesor. - Przyszedłem, aby zostawić panu moje notatki. Jak sądzę, oddaję je we właściwe ręce.

- Jeśli dobrze rozumiem, profesorze, chciałby pan otrzymać za swoją historię pieniądze!

- Pieniądze? - zaśmiał się Gropius z goryczą. - Pieniądzy to ja mam pod dostatkiem. Jak już mówiłem, za dziesięć milionów zamknięto mi usta. W każdym razie w czasie, kiedy jeszcze nikt nie mógł przewidzieć, jak się ta historia potoczy. Nie, chciałbym jedynie, aby prawda wyszła na światło dzienne, a pan z pewnością będzie ją umiał lepiej ode mnie ubrać w słowa.

- Prawda?

Gropius zaczął opowiadać dalszy ciąg historii, początkowo urywanymi zdaniami, później jednak coraz szybciej, mówiąc o wzajemnych powiązaniach w jakiejś potwornej gmatwaninie przygód i intryg. Kiedy skończył, była niemal północ. Długo patrzyliśmy na siebie. Gropius opróżnił swój kieliszek i powiedział:

- Dziękuję, że poświęcił pan tak dużo czasu, żeby mnie wysłuchać.
- Po czym wstał. - Sądzę, że w tym życiu już się nie zobaczymy.

Uśmiechnąłem się.

- Może w przyszłym?

Gropius podał mi rękę i zniknął w mroku. Przeszedł mnie dreszcz. „Dość osobliwe - pomyślałem. - Oto jadę do Włoch, żeby napisać nową powieść, a otrzymuję w prezencie prawdziwą historię, która przebija wszystko, co w ogóle można by wymyślić”.

ROZDZIAŁ I

Tysiąc sześćset gramów brunatnej, trzęsącej się tkanki w zimnym roztworze krystaloidu - ludzka wątroba umieszczona w dużej aluminiowej walizce z napisem Eurotransplant, przewożonej z Frankfurtu nad Menem do Monachium. O godzinie wpół do trzeciej w nocy w klinice frankfurckiego Uniwersytetu Johanna Wolfganga Goethego przy Theodor-Stern-Kai kierowca odebrał narząd przeznaczony do przeszczepu. Teraz prowadzony przez niego specjalny samochód jechał bardzo szybko autostradą w kierunku Monachium.

Narządy do przeszczepów zwykle dostarcza się samolotem, ale ze względu na zakaz nocnych lotów nad Monachium tym razem wybrano inne rozwiązanie - transport samochodem. Komputer ELAS, obsługujący w ramach Eurotransplantu system przydzielania organów chorym, wyznaczył archeologa Arna Schlesingera na potencjalnego biorcę. Zespół trzech lekarzy monachijskiej kliniki zaaprobował ten wybór. Arno Schlesinger, lat czterdzieści sześć, od czterech miesięcy był na liście oczekujących, a od sześciu tygodni jego stan pozwalał na przypisanie do poziomu priorytetu T2. Jego wątroba uległa poważnemu uszkodzeniu podczas wypadku.

Nazwisko dawcy, jak zwykle, pozostawało nieznane. Wiadomo było jedynie, że zginął w wypadku. Śmierć mózgu nastąpiła około godziny dwudziestej trzeciej poprzedniego dnia. Grupa krwi dawcy: AB Rh-, wzór

antygenowy: zgodny z wzorem Arna Schlesingera, miejsce wykonania operacji: klinika w Monachium - tyle błyskawicznie przekazał komputer ELAS.

Profesora Gregora Gropiusa - mimo młodego wieku uznawanego już za koryfeusza transplantologii - około godziny wpół do szóstej rano zerwał z łóżka telefon od dyżurującego internisty, doktora Linharta. Gropius wziął prysznic, wypił filiżankę mocnej kawy, założył dwurzędowy garnitur, poprawił przed lustrem odpowiednio dobrany krawat i teraz wyjeżdżał swoim granatowym jaguarem z monachijskiej dzielnicy willowej Grunwald w kierunku północnym.

Ulice były mokre, choć nie padało. Posępne niebo zapowiadało mglisty dzień. Był to szesnasty lub siedemnasty przeszczep wątroby w krótkiej, ale błyskotliwej karierze Gregora Gropiusa, który jednak, jak zawsze w takiej chwili, był spięty. Niemal nie zwracał uwagi na budzący się ruch drogowy, bezwiednie przejechał na czerwonym świetle i wyłączył radio, gdyż informowano o kolejnych atakach w Izraelu.

Lekarz dyżurny zdążył już zwołać zespół operacyjny. Na podobną okoliczność był przygotowany specjalny plan działania, który raz ustalony, uruchamiał się następnie jak precyzyjny automat. Pielęgniarka obudziła Schlesingera około godziny szóstej, lekarz dyżurujący na oddziale po raz ostatni zapoznał pacjenta z przebiegiem zbliżającej się operacji. Pani anestesjolog zaaplikowała mu zastrzyk uspokajający.

W odstępnie kilku minut kierowca Eurotransplantu i profesor Gropius skręcili w lipową aleję prowadzącą do kliniki. Gropius skierował się do swojego miejsca parkingowego położonego z tyłu. Kierowca z Frankfurtu dostarczył aluminiową walizeczkę z wątrobą do przeszczepu na oddział operacyjny. Czekano tam już na niego.

Od przywiezienia narządu dawcy do kliniki do rozpoczęcia operacji z reguły mija około czterdziestu pięciu minut. Również tego ranka ostatnie badania i przygotowanie wątroby do przeszczepu nie zabrało więcej czasu. O godzinie siódmej dziesięć gotowy do wszczepienia narząd znalazł się na sali operacyjnej numer trzy.

W pomieszczeniu socjalnym trzeciego oddziału kliniki Gropius przełknął dwie bułki z serem oraz jogurt, popił to dużą kawą, po czym udał się do sali przygotowania lekarzy, żeby się przebrać i umyć. Nie był rannym ptaszkiem, ale pracownicy z jego otoczenia wiedzieli o tym i zachowywali

się stosownie, ograniczając się do zdawkowego „dzień dobry”.

Zespół złożony z pięciu lekarzy, dwóch anestezjologów i czterech pielęgniarek stał w gotowości, kiedy kwadrans po siódmej profesor wkraczał na salę operacyjną. Pacjent leżał przykryty zielonym prześcieradłem. Gropius dał ręką znak pani anestezjolog, żeby zaczynać. Kilka minut później anestezjolog kiwnęła głową i profesor wykonał pierwsze cięcie.

Było niemal południe, gdy profesor Gregor Gropius pierwszy opuścił salę operacyjną i wszedł do przedsionka. Zdjął maseczkę, ręce zaś trzymał w górze jak gangster zatrzymany przez policję. Jego zielony fartuch był poplamiony krwią. Podeszła pielęgniarka i uwolniła profesora od gumowych rękawiczek oraz stroju operacyjnego. Również pozostali członkowie zespołu operacyjnego pojawiali się kolejno w przedsionku. Zapamiętał swobodny nastrój.

- Mój pacjent i ja dziękujemy całemu zespołowi za świetną współpracę! - Gropius zasalutował po wojskowemu, następnie zniknął w swoim pokoju, wyczerpany, z podkrążonymi oczami.

W ciągu ostatnich dni profesor mało spał, a kiedy mu się udawało zasnąć, spał źle. Miało to związek nie tyle z jego odpowiedzialnym zajęciem, ile z Veronique, która jego życie zamieniła w piekło. Niedawno sam złapał się na tym, że zastanawia się nad usunięciem Veronique - nieważne, w jaki sposób, lekarze znają przecież rozmaite metody. Później jednak, myśląc rozsądnie, pożałował tych rozważań, i od tamtej pory miał niezły mętlik w głowie, dręczyły go koszmarne sny, a do tego był pewien, że walkę tę przetrwa tylko jedno z nich: albo Veronique, albo on.

Osiemnaście lat małżeństwa to sporo - większość współczesnych związków małżeńskich nie wytrzymuje takiej próby czasu - teraz jednak był to już koniec. Ale czy z tego powodu musieli walczyć na noże? Czy musieli wszelkimi sposobami próbować niszczyć życie drugiej strony? Zbudowanie kariery kosztowało go wiele wysiłku, nie mówiąc już o pieniądzach. A teraz Veronique chce zrobić wszystko, żeby tę karierę zniszczyć.

Gropius zażył tabletkę kaptagonu i już miał zadzwonić do pielęgniarki dyżurnej, żeby mu przyniesiono kawę, gdy szare urządzenie samo wydało z siebie pisk. Profesor podniósł słuchawkę telefonu.

- Przez najbliższe pół godziny proszę mi nie przeszkadzać... - I prze-rwał. A po długiej, okropnej chwili powiedział cicho z bezradnością w gło-sie: - To przecież niemożliwe. Już idę.

W tym samym czasie Veronique Gropius wchodziła do bistro w pobliżu Ogrodu Angielskiego. Była kobietą tego rodzaju, że wszystkie oczy kiero-wały się na nią, kiedy wkraczała do lokalu - i to nie tylko oczy mężczyzn. Chociaż wbrew swojemu zwyczajowi była ubrana raczej skromnie, jej po-jawienie się w ciemnym kostiumie i tak wywołało niemałe poruszenie.

W lokalu, typowym miejscu spotkań studentów i intelektualistów, w porze południowej było zajętych tylko kilka stolików i Veronique od razu zwróciła uwagę na łysego, szczupłego mężczyznę siedzącego pośrodku sali. Wyglądał tak, jak sam siebie opisał przez telefon, w każdym razie nie tak, jak człowiek wyobrażałby sobie prywatnego detektywa.

- Madame Gropius? - odezwał się pytająco, wstając od stolika. Ten sposób zwracania się do kobiet sprawiał trochę niezwykle wrażenie, ale pasował do elegancko ubranego, zadbanego mężczyzny.

- Pan Lewezow? - odpowiedziała Veronique pytaniem na pytanie. Lewezow przytaknął i podsunął jej krzesło.

Zmierzyli się wzajemnie niezręcznym spojrzeniem, po czym Veronique powiedziała z uśmiechem:

- A zatem tak wygląda prywatny detektyw. Proszę mi nie mieć za złe, że to powiem, ale zupełnie inaczej niż w telewizji.

Lewezow kiwnął głową.

- Pewnie spodziewała się pani niechlujnego typu z fajką, w skórzanej kurtce i dżinsach! - Oburzony uniósł brwi. - Nie zajmuję się tym zbyt dłu-go, co jednak nie obniża jakości prowadzonych przeze mnie dochodzeń, wręcz przeciwnie. Pozwolę sobie... - Lewezow wyjął spod stołu cienką aktówkę. - Pozwolę sobie przedstawić pani moje referencje.

Przeglądając w aktówce kontrakty, listy z podziękowaniami i cenniki (rzeczywiście, były to dowody poważnych osiągnięć na polu pracy detek-tywistycznej), Veronique Gropius, żeby zyskać na czasie, zapytała:

- Jak długo pan się tym zajmuje? Chodzi mi o to, że właściwie nikt się nie rodzi prywatnym detektywem.

- Cztery lata - odparł Lewezow. - Przedtem prowadziłem terapię tań-cem, a jeszcze wcześniej byłem tancerzem w Operze Narodowej. Po śmierci

mojego przyjaciela dosłownie ziemia usunęła mi się spod nóg. Ale nie chciałbym pani zanudzać historią mojego życia.

- Ależ wcale mnie pan nie nudzi! - Veronique uśmiechnęła się i oddała Lewezowowi aktówkę.

- Przez telefon wspomniała pani o pewnej sprawie - zauważył detektyw, żeby nawiązać do tematu.

Veronique wzięła głęboki oddech i szperając w płaskiej czarnej torebce, zaczęła opowiadać o swoim problemie, dostosowując mimikę do poruszanej w danym momencie kwestii. Jej twarz, przed chwilą jeszcze łagodna, nabrała nagle wyrazu surowości, zrobiła się wręcz twarda. Następnie wyjęła z torebki fotografię i wręczyła detektywowi.

- To jest profesor Gregor Gropius, mój mąż, a właściwie powinnam powiedzieć były mąż,. Nasz związek już od dawna istnieje jedynie na papierze, nasze małżeństwo trwa jeszcze tylko przez telefon.

- Jeśli wolno mi zapytać, madame, dlaczego się pani po prostu nie rozwiedzie?

Veronique splotła dłonie, aż pobieliała jej skóra na kostkach.

- Jest pewien kłopot. Osiemnaście lat temu przed zawarciem małżeństwa uzgodniliśmy podział majątku. Pan wie, co to oznacza, panie Lewezow?

- Mogę sobie wyobrazić, madame.

- Mój mąż wyjdzie z rozwodu jako bogaty człowiek bez zobowiązań, a ja będę mogła zaczynać od początku.

- Pani nie uprawia żadnego zawodu?

- Ależ tak. Od dwóch lat prowadzę agencję public relations. Interes idzie nieźle, ale w porównaniu z majątkiem, jaki tymczasem zgromadził Gregor...

Lewezow zamknął oczy.

- Obawiam się, że w razie rozwodu właściwie nie ma możliwości, żeby zgodnie z prawem zbliżyć się do pieniędzy pani męża, czy choćby do ich części.

- Tego jestem świadoma - Veronique wpadła detektywowi w słowo. - I takie jest też stanowisko moich prawników. Jak pan powiedział, nie istnieje możliwość zgodna z prawem. Trzeba by Gropiusa doprowadzić do tego, żeby dobrowolnie oświadczył, że podzieli się ze mną. Oczywiście, mam na myśli to, że „dobrowolnie” nie musi oznaczać „bez odpowiedniej zachęty”.

- Teraz rozumiem. Również w życiu profesora jak każdego człowieka, istnieją jakieś ciemne sprawy, które lepiej, żeby nie wychodziły na światło dzienne. Mam rację?

Twarz Veronique rozchmurzyła się w mgnieniu oka i przemknął przez nią chytry uśmiešek.

- Tak, ma pan rację. W tym konkretnym wypadku Gropiusa może to kosztować bardzo dużo. Problem w tym, że nie mam żadnych dowodów.

- Dowodów czego?

Veronique rozejrzała się uważnie, czy nikt nie podsłuchuje ich rozmowy, i zaczęła cicho:

- Gropius jest profesorem w klinice uniwersyteckiej. Przeprowadza rocznie kilkadziesiąt transplantacji narządów. Przeszczepia nerki, wątroby i płuca jednego człowieka drugiemu, przy czym dawca jest najczęściej martwy.

Lewezow przełknął ślinę.

- Tak czy inaczej zapotrzebowanie na narządy do przeszczepów jest wielokrotnie wyższe niż ich podaż, dlatego na czarnym rynku handluje się tymi narządami jak używanymi samochodami czy antykami, a ceny dochodzą do stu tysięcy euro.

Lewezow zaczął sobie robić notatki, potem podniósł wzrok i powiedział:

- Jeśli dobrze panią rozumiem, przypuszcza pani, że były mąż patrzy na handlarzy organami przez palce.

Veronique spojrzała na Lewezowa bez cienia emocji na twarzy.

- I jeśli dalej panią dobrze rozumiem - kontynuował detektyw - zakładając, że pani przypuszczenie miałyby się okazać trafne, chciałaby pani tą wiedzą Gropiusa...

- ...szantażować! Niech pan to spokojnie wymówi. Nie chcę, żeby mój mąż po osiemnastu latach małżeństwa ze mną w roli służącej pozbył się mnie, dając na odczepnego trzy miesięczne pensje, rozumie pan?

Lewezow pogładził dłonią swoją wypiełgowaną łysą czaszkę. Jego wzrok spoczywał na notatkach leżących na stole.

- Zadanie nie jest łatwe - mruknął do siebie w zadumie. - Chciałbym więc uprzedzić, że będzie wymagało dość poważnych nakładów.

- Pieniądze nie będą przeszkodą - odparła Veronique. - W końcu chodzi tutaj o dużą kwotę.

Lewezow w milczeniu pokiwał głową.

- Zdjęcie może pan zatrzymać. A tutaj - wyjęła z torebki złożoną kartkę - tutaj mam zapisane wszystkie nazwiska i adresy osób z otoczenia mojego męża, łącznie z tą małą dziwką z kliniki, z którą dwa razy w tygodniu dzieli łożę.

Zdziwiony Lewezow przebiegł wzrokiem dane i zauważył z uznaniem:

- Bardzo profesjonalnie, madame, naprawdę bardzo profesjonalnie!

Veronique uczyniła gest niechęci, jakby chciała powiedzieć: „Proszę sobie darować komplementy”. Zamiast tego podsunęła rozmówcy wypełniony czek i powiedziała:

- Pięć tysięcy. Powinno wystarczyć na początek. Później się rozliczymy.

Nic chyba nie mogło bardziej poprawić nastroju Lewezowa niż pieniądze. Zgodnie ze starym przyzwyczajeniem zawsze całował czek. Zrobił to także tym razem, po czym zniknął ze słowami:

- Madame, jestem pewien, że zdołam być pani pomocny.

Kiedy profesor Gropius wchodził na oddział intensywnej opieki medycznej, Arno Schlesinger już nie żył. Elektrokardiograf wydawał ciągły, wysoki pisk. Gropius odsunął na bok księdza, wysoką czarną postać w białej koloratce, szepczącego jakąś niezrozumiałą modlitwę.

- Jak to się mogło stać? - warknął profesor do lekarza naczelnego, doktora Fichtego.

Lekarz, mężczyzna w typie chłopięcym, ciemny, kędzierzawy, w wieku Gropiusa, pokręcił głową. Bezradnie patrzył na Schlesingera, który leżał z przymkniętymi oczami i otwartymi ustami, z głową przekręconą na bok, pośród płataniny przewodów i rurek. Cicho, niemal szeptem, doktor Fichte powiedział:

- Nagła tachykardia, krótkotrwały *pulsus dicrotus*, chwilę później zatrzymanie akcji serca. Nie mam żadnego wyjaśnienia.

- Dlaczego nie wezwała mnie pani wcześniej? - Gropius zwrócił się do pielęgniarki.

Pielęgniarka, korpulentna blondynka, która widziała już wielu umierających pacjentów, odparła dość beznamiętnie:

- Przykro mi, profesorze, to wszystko stało się tak nagle. – Po czym, wskazując palcem na przewody, do których zmarły wciąż był podpięty, nie

mniej obojętnie dodała: - Teraz można już to spokojnie dołączyć.

Kiedy pielęgniarka wyłączyła elektrokardiograf i związała przewody, Gropius wraz z lekarzem naczelnym podeszli do okna i spojrzeli w dal. Nie patrząc na kolegę, profesor zapytał:

- Jakie jest pańskie zdanie, doktorze Fichte?

Lekarz naczelny się zawahał.

- Nie musi mnie pan oszczędzać! - zachęcił go Gropius.

- Przepuszczalnie krwotok z żyłaków przełyku.

Profesor kiwnął głową.

- Najwidoczniej. Ale nie sądzę. W takim wypadku musiałbym sobie zrobić wyrzuty.

- W żadnym razie nie chciałbym przypisywać panu żadnej winy... - pośpiesznie dodał lekarz naczelny, lecz Gropius mu przerwał.

- Już dobrze. Ma pan całkowitą rację. Krwotok jest oczywisty. I dlatego zlecę sekcję zwłok.

- Pan chce...

- Muszę to zrobić ze względu na swoją reputację. Nie chciałbym, żeby kiedyś zaczęły krążyć pogłoski, jakoby w pewnym konkretnym wypadku Gropius wykonał swoją pracę niestaranie. Nalegam na sekcję.

Kiedy blond pielęgniarka zauważyła, że rozmowa zaczyna dotyczyć kwestii zasadniczych, postanowiła opuścić oddział intensywnej opieki medycznej. Wieloletnie doświadczenie nauczyło ją, że tego rodzaju rozmowy między lekarzami prowadzą zwykle do mało chwalebego końca, choć nie pada wyraźnie stwierdzenie, o które tu chodzi: błąd w sztuce.

Swoim postanowieniem zlecenia sekcji zwłok Gropius chciał od razu ukrócić ewentualne plotki. Dla niego od początku było pewne, że żadnego błędu nie zrobił. Z jakiego jednak powodu Schlesinger tak nagle zmarł?

Pytanie to nie zaprzętało już dalej uwagi Gropiusa, miał bowiem użyć odpowiedź nazajutrz. „Kto cierpi z powodu śmierci pacjenta - zwykły mawiać - nie powinien zostawać lekarzem”. Nie miało to nic wspólnego z wyrachowaniem czy wręcz brakiem ludzkich uczuć - po prostu klinika była wielkoprzemysłowym przedsiębiorstwem usługowym, w którym nie wszystko się udawało.

Mimo wyćwiczonego spokoju wobec losu człowieczego przypadek Schlesingera wprowadził profesora w stan niejasnego niepokoju. Przecież

była to rutynowa operacja, która w całości przebiegła bez żadnych komplikacji. Pacjent jednak zmarł, a przecucie podpowiadało Gropiusowi, że coś tutaj się nie zgadza.

W marnym nastroju około godziny dwudziestej Gropius wrócił do domu. Od czasu, kiedy Veronique go opuściła, dom robił na nim wrażenie opustoszałego, choć zabrała ze sobą jedynie meble ze swojego pokoju. Od tamtej pory nie wchodził do tamtego pomieszczenia - sam nie wiedział, dlaczego. Bezmyślnie włączył telewizor, z kuchni przyniósł sobie kieliszek czerwonego wina, po czym wyczerpany opadł na głęboki fotel i spojrzał pustym wzrokiem po prostu przed siebie. W gronie przyjaciół określał ten stan samotności żartobliwie skrótowo DT, przy czym „D” oznaczało delirium, a „T” - tremens. Było to jednak tylko żart na opisanie stanu, w jakim każdy mężczyzna sądzi, że się znalazł, kiedy ucieka od niego żona.

Gropius dopił wino i odstawił kieliszek, gdy zadzwonił telefon. Spojrzał na zegar i postanowił nie wstawać, ponieważ nie miał ochoty z nikim rozmawiać, gdyby zaś była to Rita, asystentka zajmująca się obsługą rentgena, to nie miał ochoty także na seks.

Po nieskończonej liczbie dzwonek telefon w końcu zamilkł, ale wyłączenie po to, żeby po krótkiej przerwie na nowo zacząć działać mu na nerwy. Rozzłoszczony Gropius odebrał telefon.

- Tak? - warknął do słuchawki.

Nikt nie odpowiedział. Gropius już miał odłożyć słuchawkę, kiedy usłyszał jakiś głos.

- Kto mówi? - szczechnął, teraz już nieźle rozwścieczony.

- Wiadomość dla profesora Gropiusa - usłyszał lekko zniekształcony głos. - Chodzi o zgon Schlesingera.

W jednej chwili Gropius był czujny i zwarty.

- Kim pan jest? Co pan wie na temat tego pacjenta? Proszę mówić!

- Schlesinger zmarł na śpiączkę wątrobową. Pan nie ponosi winy. Dla tego powinien pan powstrzymać wszelkie dalsze badania. Leży to w pana własnym interesie.

- Do cholery, kimże pan jest?! - krzyknął zdenerwowany profesor. Rozmówca odłożył słuchawkę.

Skołowany Gregor przycisnął słuchawkę do telefonu, jakby nie chciał dopuścić do tego, żeby ten człowiek zadzwonił ponownie. Kim był ten dziwny rozmówca? Z poczucia bezradności Gropius przywoływał wszystkie

głosy, jakie miał zapamiętane w mózgu. Proces ten trwał kilka minut, po czym ustał. Sięgnął po kieliszek, dolał sobie wina, wypił je jednym haustem i wyłączył telewizor. Nie mając charakteru osoby tchórzliwej, nagle stanął oko w oko ze strachem, poczuł się obserwowany i jednym naciśnięciem guzika na pilocie opuścił wszystkie żaluzje w pomieszczeniu.

„Któż u diabła wiedział o śmierci Schlesingera? I kto mógł podać przyczynę śmierci tak precyzyjną, a przy tym zupełnie możliwą?”. Istniało tylko jedno wyjaśnienie: musiał to być ktoś z kręgu kolegów. Rywalizację wśród lekarzy przewyższa jedynie konkurencja między gwiazdami Hollywood. „Fichte, ordynator doktor Fichte” - mruknął do siebie Gropius. Lecz już w następnej chwili odrzucił tę myśl. „Gdyby Fichte chciał mnie wygryźć i zająć mój fotel, miałby przecież największy interes w wyjaśnieniu śmierci Schlesingera, a w każdym razie niedorzecznością byłaby jego sugestia odwołania wszystkich poszukiwań przyczyny śmierci tego pacjenta”.

Niespokojnie jak drapieżne zwierzę Gropius chodził tam i z powrotem po salonie. Ręce miał splecione na plecach i bezradnie kręcił głową. „Veronique!” Wielokrotnie mówiła mu prosto w oczy, że go nienawidzi. Za pierwszym razem zabolalo, kiedyś ją przecież naprawdę kochał, ale powtarzane bez przerwy, nawet te ciosy przestały działać. Bez wątpienia Veronique była zdolna do intrygi na dużą skalę. Przecież ją nawet zapowiedziała. Czy jednak była w stanie przyczynić się do śmierci pacjenta? Veronique nie utrzymywała żadnych kontaktów z kliniką. Nie ceniła sobie znajomości z lekarzami. „Drobnomieszczaństwo - powiedziała kiedyś - któremu w głowie tylko wewnętrzności i kariera. Obrzydlistwo!”. Nie, Veronique także należało wykluczyć jako sprawcę. W tej sytuacji tajemniczy telefon stawał się jeszcze mniej zrozumiały.

Z takimi chaotycznymi ustaleniami Gropius położył się do łóżka, długo jednak nie zasypiał. Zgon pacjenta poruszył go bardziej, niż początkowo sądził. Aż do świtu drzemał w półśnie.

Nazajutrz w klinice jego sekretarka, pięćdziesięcioletnia kobieta w typie mamuśki — na inną Veronique nigdy by się nie zgodziła - przywitała go jak zawsze sztucznym dobrym humorem oraz informacją, że wyniki sekcji Schlesingera są już znane, a profesor Lagermann prosi o telefon.

„Lagermann!”. Mimo że jeszcze z nim nie rozmawiał, Gropius natychmiast przypomniał sobie jego głos. Lagermann mógł być tamtym

tajemniczym rozmówcą! Z udawanym spokojem Gropius wszedł do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Widział, jak drży mu dłoń, kiedy wybierał numer patologa.

- Nie będzie wielką niespodzianką, panie kolego, kiedy podam panu przyczynę śmierci Arna Schlesingera - zaczął tamten bez wstępów. - Wynik badań anatomicznych brzmi: śpiączka wątrobowa.

Gropius nic nie odpowiedział, dlatego Lagermann zapytał: - Jest pan tam jeszcze?

- Tak, tak - wyjąkał Gropius, starając się usilnie, choć bezskutecznie, zachować jasność umysłu.

- Co jednak pana zaskoczy, to wynik badań histologicznych: narząd do przeszczepu nie był czysty. Udało mi się wykazać obecność dużych ilości chlorfenwinfosu. Przypuszczalnie pestycydy wstrzyknięto już w przygotowany narząd. Pacjent nie miał szans na przeżycie. W tych okolicznościach moim obowiązkiem było powiadomienie prokuratora. Otrzyma pan mój raport na piśmie.

- Lagermann! - wymruczał Gropius, odłożywszy słuchawkę. Poczul zimny pot na karku. - Lagermann?

Następne dni przyniosły takie zagęszczenie wydarzeń, że Gropiusowi trudno było później poukładać je chronologicznie. Zaczęło się od pewnej niezręcznej sytuacji, jaka powstała w wyniku łańcucha niesprzyjających okoliczności, które właściwie nie mogły ułożyć się gorzej.

Niemal jak we śnie profesor wykonywał swoją codzienną pracę i kilka razy złapał się na tym, że każdą napotkaną osobę podejrzliwie badał wzrokiem, starając się dociec, czy wie już ona o sprawie zmarłego pacjenta. Jednocześnie raz po raz odnosił wrażenie, że większość kolegów pilnie schodzi mu z drogi.

Późnym popołudniem w swoim gabinecie, surowo urządzonej pomieszczeniu z meblami ze stalowych rurek i czarnymi skórzanymi fotelami, Gropius zasiadł za biurkiem, na którym leżała dokumentacja transplantacji Arna Schlesingera. Łamał sobie głowę nad wciąż powracającymi pytaniami: „Jak to się mogło stać?” i „Kto miał interes w tym, żeby skazić narząd do przeszczepu?”. Niewiele brakowało, a zupełnie zignorowałby delikatne pukanie do drzwi. Zmieszany zawołał:

- Tak, proszę!

Nagle stanęła przed nim Rita, asystentka obsługująca rentgen. Była niemal o połowę od niego młodsza, śliczna jak z obrazka i wierzyła w horoskopy - rzadkie połączenie, gdyż przeważnie to większe lub mniejsze deficyty kierują ludzi ku astrologii. W każdym razie od czasu, kiedy się bliżej poznali - tak, mieli romans - wiedział, że jest spod znaku Panny z Lwem w ascendencie i Słońcem w pierwszym domu. Teraz jednak na niewiele się to zdało.

Kiedy Gropius zobaczył rudowłosą dziewczynę w białym kitlu, wyszedł zza biurka i zaskoczony podszedł do niej:

- Przecież ci mówiłem, że w klinice się nie znamy - syknął cicho.

- Wiem - odparła Rita - ale na oddziale szepczą po kątach, że wydarzyło się coś okropnego, jakieś morderstwo! - Owinęła ręce wokół szyi Gropiusa.

Obronił się, chwytając ją za nadgarstki.

- Tak, ludzie jak to ludzie, gadają - zauważył niechętnie.

- A co w tych pogłoskach jest prawdą? - zawołała dziewczyna słabym głosem.

- Nic! To znaczy... Tak, coś się wydarzyło. Pewien narząd do prześczepeu został skażony. Zaraz po operacji pacjent zmarł. Teraz już wiesz! - W słowach Gropiusa brzmiała złość i można było wyczuć napięcie.

W zdenerwowaniu żadne z nich nie zauważyło, że do gabinetu weszły jeszcze dwie osoby. Jak spod ziemi wyrosła przed nimi sekretarka Gropiusa i nieznany profesorowi mężczyzna. Profesor wciąż trzymał ręce asystentki przyciśnięte do piersi.

- Pukałam - powiedziała sekretarka tonem usprawiedliwienia, karcącym wzrokiem kwitując kompromitujące zachowanie szefa.

- Już dobrze - odparł Gropius. Puścił ręce asystentki i zwrócił się do Rity: - Później porozmawiamy o pani problemie!

Rita lekko dygnęła i wyszła.

- To prokurator Renner - przedstawiła sekretarka, wskazując na przybyłego z nią urzędnika.

Gropius zmierzył wzrokiem prokuratora, młodego żyłastego mężczyznę w okularach bez oprawek, krótko ostrzyżonego najeża. Równocześnie uświadomił sobie, jak grubymi nićmi szyta była jego uwaga skierowana do Rity.

- Spodziewałem się pana - zwrócił się do młodego człowieka. - Proszę, niech pan usiądzie.

Markus Renner był dopiero u progu swojej kariery, jego zachowanie jednak z pewnością nie mogło być uznane za powściągliwe.

- Pan wie, o co chodzi! - zaczął bez zbędnych wstępów. - Jakie ma pan wyjaśnienie dla tego wydarzenia? Nie musi się pan sam oskarżać i może zawsze odmówić zeznań. Pragnę tylko zauważyć, że prowadzę śledztwo w sprawie nieumyślnego zabójstwa. Prawdopodobnie będą postawione zarzuty. Czy chce pan zeznawać?

Wypowiedzi prokuratora, jak wypuszczone z łuku strzały, przeleciały przez pokój prosto do celu, trafiając Gropiusa w samo serce.

- Nie mam nawet cienia wyjaśnienia dla tego, co się stało - odpowiedział z wahaniem. - A może mi pan wierzyć, że to przede wszystkim ja jestem zainteresowany wyjaśnieniem tego tajemniczego zdarzenia. Ostatecznie chodzi o moją reputację jako lekarza.

Renner z zadowoleniem pokiwał głową.

- W takim razie chciałbym prosić o przekazanie mi dokumentacji dotyczącej tej operacji przeszczepu. Muszę znać nazwisko chirurga, który pobrał wątrobę do transplantacji, nazwiska wszystkich uczestniczących w transporcie narządu z Frankfurtu nad Menem do Monachium oraz nazwiska wszystkich osób z tej kliniki, które miały kontakt z narządem albo mogły uzyskać dostęp do wszczepianego organu.

Z kwaśnym uśmiechem Gropius przesunął po biurku dokumenty w kierunku prokuratora.

- Tutaj znajdzie pan wszystkie informacje.

Niemal obojętnie i z chłodem, którego nikt by się nie spodziewał po tak młodym człowieku, Renner wziął dokumentację. Jakby chodziło o folder reklamowy lub podobne druki, przekartkował materiał, po czym wstał ze słowami:

- Profesorze, chciałbym, żeby pozostał pan do dyspozycji prokuratury. Czy mogę prosić o to, żeby w ciągu najbliższych dni nie wyjeżdżał pan z miasta?

Gropius z niechęcią kiwnął głową i równie niechętnie mruknął:

- Skoro tak trzeba.

Prokurator Renner wygłosił na pożegnanie kilka frazesów, nie podając profesorowi ręki. Ledwie zamknął za sobą drzwi, Gropius zawołał za nim półgłosem:

- Mądraliński!

W środku aż gotował się ze złości.

Nerwowo przetarł wierzchem dłoni czoło, jakby chciał wymazać ponure myśli. W końcu na arkuszu papieru zaczął rysować prostokąty, linie i strzałki, które pokazywały drogę, jaką przebyła walizka z narządem do przeszczepu od momentu przywiezienia jej do kliniki aż po chwilę, gdy znalazła się na sali operacyjnej. W kilku miejscach Gropius wpisał literę „X”, w innych wstawił znak zapytania. Prostokąt odpowiadający laboratorium na trzecim piętrze, w którym przeprowadzono ostatnie badanie histologiczne, obrysował dużym kółkiem. Wykrzyknikami oznaczył wszystkie drzwi, które były po drodze z laboratorium do sali operacyjnej. Po tym jak raport laboratoryjny potwierdził idealny stan organu i nie wykazał żadnych nieprawidłowości, skażenia wątroby musiano dokonać podczas ostatniego etapu transportu narządu do sali operacyjnej.

Gropius poczekał aż do dwudziestej, gdy następowała zmiana dyżuru. Wtedy na wszystkie oddziały powracał spokój. Cicho wyruszył ze swoimi notatkami. Nigdy wcześniej nie przypuszczał, że będzie się przemycił potajemnie po własnym oddziale jak złodziej, żeby uzupełnić zapiski. Aby uniknąć przyłapania podczas tej dość dziwnej wędrówki, kilka razy przeszedł jakby bez celu po korytarzach, sprawiając wrażenie, że studiuje jakieś ważne dokumenty. W rzeczywistości rysował pominięte wcześniej drzwi i przeznaczenie pomieszczeń za nimi, nie pomijając ani toalet, ani składzików.

Użyło mu, ponieważ nie spotkał nikogo, kto mógłby nabrać jakichś podejrzeń. Kiedy jednak szedł do windy, zza rogu wyłonił się człowiek, którego o tej porze najmniej się spodziewał.

- Pan tutaj, prokuratorze?

Markus Renner uśmiechnął się nieszczerze i poprawił okulary. Zmrużonymi oczami wpatrywał się w kartki, które Gropius trzymał w dłoni, po czym rzucił z wyższością:

- Zdaje się, że obaj pomyśleliśmy o tym samym!

Gropius wolał milczeć. Cokolwiek prokurator chciał przez to powiedzieć, profesor nie miał ochoty niczego wyjaśniać. To wciąż była jego klinika. Od samego początku odbierał tego mądralińskiego karierowicza jako osobę ze wszech miar niesympatyczną, na co wpłynęło nie tylko to, że śmierć pacjenta zrobiła z nich przeciwników. Nie podobało mu się bezczelne

zachowanie młodego urzędnika. Po chwili nieprzyjemnego milczenia każdy poszedł w swoją stronę.

Kiedy Gropius krótko przed godziną dwudziestą drugą dotarł do domu, przed drzwiami czekała na niego Rita. Nawet go to nie zdziwiło. Wcześniej zaczęło padać, dziewczyna była więc przemoczona do suchej nitki.

- Pomyślałam sobie, że w taki dzień jak ten zechcesz się trochę rozweselić. Ale jeśli masz inne plany, równie dobrze mogę sobie pójść.

Było w tym coś ujmującego.

- Nie, nie, wejdz!

W takich chwilach Gropius zadawał sobie pytanie, czy w ich romansie nie ma jednak czegoś więcej niż tylko czysty seks. Tak bowiem - bez owijania w bawełnę - przedstawił całą sprawę Ricie. Nie chciał nawet słyszeć o poważnym związku. Oczywiście, pożądał jej, ale o miłości nie mogło być mowy. Na Ricie nie zrobiło to jednak większego wrażenia. Jego szczerość skwitowała uwagą, że może poczekać.

- Musisz zrozumieć - zaczął Gregor Gropius, gdy weszli do środka - że nie ma to nic wspólnego z tobą, ale w tej chwili nie jestem w nastroju skowronka.

- Hm... - Rita uniosła górną wargę jak mała dziewczynka. Nawet w takiej sytuacji potrafiła zagrać rolę.

- Powinnaś wziąć gorącą kąpiel i rozwiesić ubranie, żeby trochę po-deschło - powiedział Gregor i przytulił dziewczynę.

Rita rozebrała się przy nim, co jednak tego wieczoru nieszczególnie go poruszyło, po czym rozwiesiła mokre rzeczy na grzejniku w przedpokoju.

Jaka ona jest śliczna” - pomyślał Gropius. Dalej się jednak nie posunął, bo do rzeczywistości przywołał go telefon. Zanim zdążył się przedstawić, ze słuchawki popłynął głos, który już raz słyszał:

- Wiadomość dla profesora Gropiusa. Chodzi o zgon Arna Schlesingera. Schlesinger zmarł na śpiączkę wątrobową. Pan nie ponosi winy. Dlatego powinien pan zaniechać wszelkich dalszych poszukiwań. Leży to w pana własnym interesie.

Gropius jak skamieniały patrzył na rozebraną Ritę. Wciąż miał w pamięci pierwszy telefon. Teraz wszystko brzmiało identycznie. „Głos nagrany na taśmę!”.

- Coś nieprzyjemnego? - spytała Rita.

- Tak - odpowiedział nieobecny głosem.
 - Chcesz, żebym sobie poszła?
- Gropius uciekł spojrzeniem i kiwnął głową.

Mniej więcej w tym samym czasie profesor Lagermann i lekarz naczelny doktor Fichte siedzieli przy kontuarze piwiarni w centrum miasta. Lokal nazywał się „Extrablatt” i był w równym stopniu ulubionym co zadymionym miejscem spotkań dziennikarzy, gdyż redakcje najważniejszych gazet były oddalone zaledwie o kilka minut drogi. Fichte i Lagermann nigdy w życiu by się nie zaprzyjaźnili, za bardzo się od siebie różnili, los jednak połączył ich ze sobą, gdyż ojciec Fichtego i matka Lagermanna byli rodzeństwem - tym sposobem byli spokrewnieni jako kuzyni, chociaż tylko z największym trudem można było to dostrzec. W klinice obaj przemilczali ten fakt, z różnych zresztą powodów.

O ile Fichte, nazywany „Drzewkiem”, był strasznym kobieciarzem, o tyle Lagermann już dawno wyrzekł się kobiet. Nikt, również Fichte, nie był w stanie stwierdzić, czy wynikało to z przekonania czy też konieczności. Lagermann określał sam siebie żartobliwie jako płodnego protestanta. Wyznał zresztą kiedyś kuzynowi, że nie wie, jaka kobieta z wolnej woli zaangażowałaby się w związek z kimś, kto rozcina ludzkie ciało. Nie byłby sobie w stanie wyobrazić - tłumaczył - że żona pyta go wieczorem: „I jak dziś było w pracy?”, on zaś między zupą a drugim daniem odpowiada jej, że dziś znów miał na stole serce i nerki albo jelita.

Lagermann traktował swoje zajęcie jak sposób na zarabianie pieniędzy, absolutnie nie jak powołanie. Jak większość patologów, zajął się tym, bo przecież ktoś musi to robić. Jego ambicje były ograniczone i nie należało o tym wspominać, podobnie jak o tym, że wlewał w siebie więcej alkoholu, niż jest w stanie znieść organizm dorosłego człowieka.

Fichte był jego zupełnym przeciwieństwem: niewysoki światowiec Kochający życie, mąż atrakcyjnej kobiety i ojciec dwóch ukochanych córek. Na liście jego celów życiowych kariera zajmowała bardzo wysoką pozycję. I chociaż Gropius właściwie stanowił w tej karierze przeszkodę, Fichte zdawał się lubić profesora, a w każdym razie zapewniał o tym przy każdej okazji.

Z kolei Walter Lagermann ze swojej niechęci do Gropiusa nie czynił sekretu, choć nie uzasadniał dokładnie swoich odczuć. Kiedy zadzwonił do

niego znany mu już wcześniej Daniel Breddin, dziennikarz gazety „Bild”, prosząc o rozmowę, zgodził się spontanicznie. Fakt, że był przy tym Fichte, nie stanowił żadnej przeszkody, przynajmniej z punktu widzenia Lagermanna. Obaj spotykali się co kilka tygodni przy piwie i Lagermann nie widział powodu, żeby miała go ominąć ta nieszkodliwa przyjemność.

Daniel Breddin, zwany „Dannym”, którego leniwie wyglądające okrągłutkie ciało stanowiło wyraźny kontrast do czujnego wzroku i przenikliwego intelektu, od razu przeszedł do rzeczy:

- Agencja DPA podała dziś wiadomość na temat tajemniczego zgonu w klinice uniwersyteckiej. Cóż to się stało, profesorze?

- To było morderstwo - oświadczył Lagermann rzeczowo, a Fichte zaraz wpadł mu w słowo:

- Ależ, Walterze! Tego nie można jeszcze przesądzić.

Lagermann pojednawczo uniósł rękę.

- W porządku, w takim razie ujmę rzecz inaczej. Pacjent po transplantacji wątroby przeżył zaledwie godzinę. W trakcie stosownej obdukcji w przeszczepionej wątrobie stwierdziłem wysoką zawartość środka owardobóczego. Innymi słowy, narząd został skażony!

Breddinowi zabłyśły oczy, zwietrzył bowiem sensacyjną historię.

- Śmierć ta nie jest więc wynikiem błędu w sztuce lekarskiej? - zapytał prowokująco.

Lagermann teatralnie wzruszył ramionami, które niemal przesłoniły jego szeroką czaszkę.

- Gregor Gropius ma absolutnie znakomitą reputację! - odpowiedział tonem, który stawiał tę wypowiedź pod znakiem zapytania.

Po tej sugestii do dyskusji włączył się Fichte i wyjaśnił, zwracając się do reportera:

- Trzeba panu wiedzieć, że mój kuzyn, Walter Lagermann, i Gregor Gropius nie cierpią się nawzajem, choć powinienem raczej powiedzieć, że Walter nie lubi Gropiusa, rozumie pan. Prawdą jest, że przeszczepiony narząd był skażony, prawdopodobnie za pomocą zastrzyku. Na temat sprawy i jego motywu można tylko spekulować. W każdym razie dla renowy naszej kliniki ten wypadek nie jest szczególnie korzystny. Chciałbym jednak prosić, żeby nie wspominał pan o mnie w swoim artykule. Byłaby to dla mnie bardzo niezręczna sytuacja, gdyby powstało podejrzenie,

że pragnę Gropiusowi wbić nóż w plecy. Moim zdaniem Gropius nie ponosi żadnej winy.

Lagermann uśmiechnął się szyderczo, pociągnął porządny łyk piwa i wybuchnął, a jego zły wzrok wędrował od Breddina do Fichtego i z powrotem.

- To Gropius przeprowadził operację jako szef zespołu, musi więc odpowiadać zarówno za sukces, jak i za porażkę. Co, może się myłę? Zresztą nie rozumiem, dlaczego chcesz bronić Gropiusa. Jestem przekonany, że gdyby tylko znalazł sposób, zrzuciłby z siebie odpowiedzialność.

- Chyba zwariowałeś! - rozszłoszczony Fichte z hukiem postawił swój kufel na kontuarze, nachylił się do Lagermanna i syknął tak, żeby Breddin nie mógł słyszeć: - Prześtań pić, Walter. Znowu coś wypaplesz i będziesz miał kłopoty!

Lagermann skrzywił się i odepchnął Fichtego.

- Bzdura. Mówię to, co chcę powiedzieć i komu chcę to powiedzieć!

Fichte sięgnął do kieszeni, położył na kontuarze banknot i zwrócił się do Breddina:

- Nie może pan wierzyć we wszystko, co mój kuzyn opowiada przez cały wieczór. Czasem wypije troszkę za dużo i następnego ranka nie wie, co wygadywał. A teraz proszę mi wybaczyć.

Nierzadko bywało tak, że Fichte po prostu zostawiał kuzyna przy kontuarze. Podsycane odpowiednią ilością alkoholu wywody Lagermanna zamieniały się w słowotok nie do powstrzymania, do tego patolog stawał się często porywczy i agresywny.

Ledwie Fichte zniknął, Breddin spostrzegł, że pojawiła się świetna okazja, żeby wydobyć z Lagermanna więcej informacji, niż miałby ochotę sam zdradzić. Dlatego bez ogródek postawił kolejne pytanie:

- Czy profesor Gropius ma właściwie jakichś wrogów?

- Wrogów? - Lagermann przełknął ślinę. Dotarł już do tego punktu, w którym niełatwo mu było udzielić mądrej odpowiedzi. Po chwili udawanego zastanawiania się rzucił: - Tak, mnie, oczywiście. W każdym razie za przyjaciela bym go nie uznał. - Zaśmiał się przy tym bardzo długo i sztucznie, aż inni goście w lokalu zwrócili na to uwagę.

- A poza panem?

Lagermann machnął ręką.

- Musi pan wiedzieć, że wśród lekarzy kliniki co rano wybucha trzecia wojna światowa. Dla ludzi z zewnątrz przyczyny tej wojny są śmieszne: lepsze miejsce parkingowe, droższy samochód, lepiej położony gabinet, ładniejsza sekretarka, prominentni pacjenci. Zawieść i żądza sławy przyjmują najrozmaitsze formy. Ubogiemu patologowi, takiemu jak ja, to wszystko jest zaoszczędzone. Nie mam konkurencji, a sława nie wywołuje konfliktów, bo nie ma tutaj żadnej sławy. Chyba że pan zna jakiegoś słynnego patologa? Nie muszę swoich pacjentów traktować szczególnie ostrożnie, bo i tak wszyscy już są martwi. Obojętne: włóczęga czy dygnitarz, różnią się jedynie tabliczką z nazwiskiem przymocowaną do palca u nogi.

Lagermann spod ciężkich powiek spojrzął przed siebie na kontuar i nie odwracając się do Breddina, kontynuował:

- Czy pan w ogóle ma pojęcie, jak obrzydliwie wygląda człowiek od wewnątrz? Nad jego zewnętrzem pracowano tysiące lat, człowiek robił się coraz ładniejszy, coraz atrakcyjniejszy. Proszę pomyśleć choćby o *Dyskobolu* Myrona czy *Dawidzie* Michała Anioła! Pod skórą wciąż jednak jesteśmy równie szkaradni i niedoskonali jak milion lat temu. Czy widział pan kiedyś ludzkie serce, taką bezkształtną bryłę mięśni otoczoną żółtym tłuszczem, albo wątrobę podobną do zapleśniałej gąbki, albo zwapniałe tętnice, wyglądające jak wodorosty w bajorze? I to wszystko między śniadaniem a obiadem! - Lagermann wetknął palec wskazujący do kufla i płacząco mówił dalej: - Powiadam panu, panie Breddin, wszystko to można znieść tylko przy odpowiedniej dawce alkoholu. Panie Breddin?

Lagermann podniósł wzrok i skołowany rozejrzał się dokoła. Ale Breddina dawno już tam nie było.

Nazajutrz w gazecie „Bild” pojawił się nagłówek: „Tajemniczy zgon w klinice uniwersyteckiej”. W artykule zacytowano słowa profesora Lagermanna: „Ten wypadek nie stawia naszej kliniki w dobrym świetle! Byłoby dobrze, gdyby winnego szybko wykryto”.

Kiedy Gropius jechał rano do kliniki, z kiosku z gazetami na każdym rogu ulicy rzucały mu się w oczy te nagłówki. Czuł się tak, jakby ludzie na chodnikach patrzyli na niego, a niektórzy jak mu się wydawało, wskazywali na niego palcem i uśmiechali się złośliwie. Aby uniknąć rozpoznania, przycisnął czoło do kierownicy, nie patrząc na sygnalizację. Gdy włączyło się zielone światło, niecierpliwe trąbienie klaksonów stojących z tyłu

samochodów przywołało go do rzeczywistości. Jadąc wzdłuż Izary, Gropius całkiem poważnie zastanawiał się nad tym, czy nie skierować swojego jaguara przez nabrzeżny murek do rzeki. Upadek do rzeki z wysokości kilku metrów nie dawał jednak pewności, że zginie. I czy nie byłoby to przede wszystkim przyznanie się do winy?

Ogarnięty takimi myślami, jechał do kliniki prowadzony starym przyzwyczajeniem, jak osioł, który nawet ślepy trafi do swojej stajni. Potem już nie pamiętał, jak pokonał tę trasę. Nie wiedział również, jak doszło do późniejszych wydarzeń.

Wbrew bowiem stałemu zwyczajowi Gregor Gropius po wyjściu z samochodu nie przywołał windy jadącej w górę, ale nacisnął guzik ze strzałką w dół, do przyziemia, gdzie była patologia. Na końcu korytarza prowadzącego do sali sekcyjnej pojawił się Lagermann w długim białym fartuchu, jak jakiś duch. Kiedy Gropius wsiadał do windy, postanowił rozmówić się z Lagermannem, tylko tyle. Teraz jednak w korytarzu jaskrawo oświetlonym neonówkami, gdzie oczy znikwały w zacienionych oczodołach, stanęli nagle naprzeciw siebie jak uczestnicy pojedynku, śmiertelni wrogowie wypatrujący, kto pierwszy sięgnie po broń. Rozpoznawszy Lagermanna, Gropius przyspieszył kroku. „Tylko nie ujawniać strachu”. Ale Lagermann nie myślał inaczej. Doszło do tego, że Lagermann i Gropius, jak dwa jelenie w okresie godowym, byli zdecydowani rzucić się na siebie, nie zastanawiając się nawet przez chwilę, czym to spotkanie może się skończyć.

Wtedy Gropius zamachnął się i uderzył przeciwnika prawą pięścią w twarz. Lagermann, któremu długi kitel nie pozwalał na swobodę ruchów, stracił równowagę, rąbnął głową w ścianę i osunął się na ziemię jak worek mąki.

Na szczęście dla Gropiusa nie było świadków tego incydentu, a Lagermann nie odniósł poważnych obrażeń. Jeszcze tego samego dnia dyrekcja kliniki urlopowwała jednak Gropiusa do czasu ostatecznego wyjaśnienia sprawy nieudanej transplantacji.

Artykuł na łamach „Bildu” wywołał sensację. Breddin, któremu nie można było odmówić nosa do skandali, przeczuwał, że za całą tą sprawą kryje się zupełnie inna historia. Gropius, telefonicznie poproszony o wywiad, odmówił rozmowy, Breddin szukał więc teraz innego punktu zaczepienia.

Okazało się to jednak znacznie trudniejsze, niż początkowo zakładał. Jeśli chodzi o dawcę narządu, to pracownicy Eurotransplantu milczeli jak grób, a monachijska klinika - obawiając się problemów po prowokacyjnym artykule w gazecie „Bild” - wydała zakaz udzielania jakichkolwiek informacji. Nawet Lagermann, do którego Breddin dodzwonił się jeszcze tego samego dnia, okazał się mrukliwy i oświadczył, że rzeczywiście poprzedniego wieczoru wypił za dużo i za wiele powiedział, przede wszystkim zaś nie spodziewał się tego, że Breddin będzie go cytował dosłownie. A to, jak dodał, może mu bardzo zaszkodzić w pracy w klinice.

Tymczasem w ramach codziennej telekonferencji wszystkie lokalne redakcje „Hamburger Zeitung” uznały, że sprawę trzeba badać i opisywać dalej, czyli zapewniać czytelnikom codziennie nowy artykuł na temat skandalu z transplantacją skażonej wątroby.

Siedząc na obrotowym fotelu, z nogami na biurku, Breddin obserwował monitor swojego laptopa, przeglądając artykuły z dnia. Gryzł ołówkiem po arkuszu białego papieru, jakby w nadziei, że ołówek nagle zrobi się samodzielny i opiszę tło tajemniczej śmierci.

Podsumowując w myślach dotychczasowe ustalenia, Breddin opracował dwie teorie. Najbardziej oczywista była oczywiście ta, że pacjenta uśmiercono. To jednak byłoby bezsprzecznie najdziwniejsze morderstwo w historii kryminalistyki, bo w końcu istnieją znacznie prostsze sposoby na wyprawienie człowieka na tamten świat. Ponadto wymagałoby to współudziału przynajmniej jednego pracownika kliniki, co jest ryzykowne i w gruncie rzeczy możliwe do udowodnienia. Druga teoria wydawała się bardziej przekonująca. Zgodnie z tym, co Breddin usłyszał od Lagermanna, wśród półbogów w białych kitlach panowała zażarta rywalizacja. Czy było więc coś bardziej oczywistego niż to, że jeden z lekarzy postanowił skompromitować drugiego w tak efektowny sposób? Perfidny plan, który od kogoś wtajemniczonego nie wymagał szczególnie ryzykownych działań.

Breddin był starym wygą, jeśli chodzi o takie historie. Wiedział, że prowadzenie dziennikarskiego dochodzenia w klinice jest niezwykle trudne, porównywalne jedynie ze śledztwem w Watykanie, gdzie milczenie zalicza się do dziesięciu przykazań. Rozważał więc, jak mimo wszystko skłonić Lagermanna do mówienia. W myślach przeglądał więc nazwiska liczego grona przyjaciół i znajomych, których kontakty i pomoc ułatwiają

życie właściwie każdemu reporterowi, i starał się odnaleźć wszystkie osoby mające ewentualne powiązania z kliniką. Jak to czasem bywa, rozważania przerwało mu zjawienie się cudownej młodej kobiety.

Miała falujące włosy o barwie miedzi, a jej bujny biust zaznaczał się nawet pod sportowym trenczem. Wchodząc do pokoju Breddina, sprawiała wrażenie wzburzonej. Zapytała zdenerwowana:

- Czy to pan napisał artykuł na temat skandalu związanego z nie dawną transplantacją?

- Tak- odparł reporter.- Nazywam się Danny Breddin. Z kim mam przyjemność?

- To nie ma nic do rzeczy - odparła dziewczyna. - Mam na imię Rita, i tyle.

- Dobrze, Rito. Czym mogę służyć?

- Chodzi o profesora Gropiusa.

- Pani go zna?

- Tak - odpowiedziała Rita. - To bezczelność, żeby obwiniać profesora Gropiusa. To zwykłe zniesławienie. Gropius padł ofiarą spisku! - podniosła głos.

Do tej chwili na Breddinie wrażenie robiła jedynie powierzchowność nieznanym, teraz jednak zainteresowało go to, co mówiła.

- Spisek? Musi mi to pani wyjaśnić dokładniej!

- Tutaj nie ma wiele do wyjaśniania. Profesor od kilku miesięcy mieszka sam, porzucony przez żonę. Nie byłoby w tym nic szczególnego. Ale jego żona groziła, że go załatwi. Jak znam Veronique Gropius, pójdzie po trupach.

Breddin nastawił uszu. Kim jest ta rudowłosa kobieta i w jakim celu opowiada mu to wszystko? Dramat małżeński jako tło skandalu byłby wodą na młyn dla gazety. Niecodziennie dzieją się takie historie jak ta.

- Rito - zaczął przymilnie. - Bardzo się cieszę, że pani przyszła. Najwidoczniej wie pani więcej o tej sprawie. Może zechce mi pani wszystko opowiedzieć, żeby prawda wyszła na jaw?

Rita pokręciła głową z niechęcią, a na jej ustach pojawił się mimowolny uśmiezek, który już w następnej chwili zmienił się w wyraz bólu.

- Chciałabym tylko - powiedziała prawie z płaczem - żeby pan po traktował poważnie moje słowa i przedwcześnie nie osądzał profesora.

- Ja tego nie uczyniłem!

- Zacytował pan Lagermanna, o którym każdy wie, że Gropiusowi najchętniej skoczyłby do gardła. Lagermann rozpuścił nawet plotkę, jakoby Gropius współdziałał z mafią handlującą narządami. Nie ma w tym słowa prawdy. A gdyby pan mnie zapytał...

- Właśnie pytam!

- ...tobym panu powiedziała, że po byłej żonie profesora można się spodziewać, że przeciągnęła na swoją stronę któregoś z lekarzy, może nawet dwóch czy trzech, dla których sława profesora jest solą w oku. Sądzę jednak, że powiedziałam już za dużo. Żegnaj, panie Breddin!

I jak tajemnicza zjawa Rita opuściła pokój.

Pograżony w myślach Breddin obserwował informacje wyświetlające się na monitorze. Uśmiechał się z zadowoleniem. Wyglądało na to, że sprawa przyjmie zupełnie nowy obrót. Danny nie miał wątpliwości - rudowłosa dziewczyna to kochanka profesora, a może nawet osoba odpowiedzialna za rozbite jego małżeństwo. W trzech wypadkach na pięć przyczyna rozwodu ze strony męża ma rude włosy. Tym jednak co go zainteresowało jeszcze bardziej, była pogłoska, że za tym zabójstwem stoi mafia handlująca narządami.

Temat handlu narządami często pojawiał się na łamach jego gazety. Tysiące zrozpaczonych pacjentów dużych klinik znajdowało się na liście oczekujących, co czwarty zaś umierał jeszcze przed operacją ratującą życie. Handlarze, przeważnie z Rosji, oferowali narządy za wariacką cenę - sto tysięcy euro, wliczając w to profesjonalną operację. W obliczu zbliżającej się śmierci ludzie są gotowi zapłacić każdą cenę. Czy Gropius był uwikłany w handel narządami? Czy raczej odmówił wspólnych interesów z mafią?

Tymczasem zrobiło się południe - pora dnia, kiedy Breddin zaczynał myśleć jasno.

ROZDZIAŁ 2

Wiadomość o śmierci męża Felicia Schlesinger przyjęła spokojnie, niemal jak w transie. Szok pojawił się dopiero następnego dnia, kiedy dowiedziała się z gazety, że jej mąż padł ofiarą zamachu. Co gorsza, prowadzący śledztwo prokurator poinformował ją bez cienia emocji, że zwłoki Schlesingera nie zostaną na razie wydane. Dopiero wtedy dotarło do niej, że Arno nigdy już nie wróci do domu.

Przez następne godziny i dni myślała o zupełnie drugorzędnych sprawach: że nawet się z nim nie pożegnała, kiedy starym Citroenem jechał do kliniki, że założył na sobie prążkowany krawat do koszuli w kratkę i że zapomniała dać mu klucze do domu. Od czasu wypadku w Jerozolimie kwestia śmierci dla nich obojga właściwie nigdy nie istniała, nawet kiedy Arno musiał czekać miesiącami na narząd do przeszczepu. I prawdopodobnie dzięki temu żyli nawet szczęśliwiej. Schlesinger zawsze machał ręką, kiedy dopytywała się o przebieg wypadku. „Wypadek - powiedział - może się człowiekowi zdarzyć wszędzie”.

Felicia siedziała teraz w swoim domu przy Tegernsee nad stosem starych zdjęć, listów i dokumentów, szperając w przeszłości, jakby w ten sposób mogła uzyskać odpowiedź na pytanie o śmierć Arna. Pobrali się zaledwie cztery lata wcześniej w Las Vegas. Tamten adres pamiętała tak dobrze jak własną datę urodzin: Las Vegas Boulevard 1717, Chapel of the Flowers.

Po raz pierwszy spotkali się zaledwie trzy miesiące przed ślubem, w Paryżu, u kolekcjonera sztuki, u którego pracowała. Nie można mówić o miłości od pierwszego wejrzenia, raczej o ciekawości i fascynacji, gdyż oboje byli na swój sposób samolubni i wybredni. Teraz Felicia miała czterdzieści lat i była wdową - wizja przerażająca, skoro wdowy uważa się powszechnie za kobiety stare i pełne trosk.

Felicia Schlesinger nie musiała się przynajmniej martwić o swoją przyszłość. Od młodości stała na własnych nogach i wyrobiła sobie nazwisko jako pośredniczka w obrocie dziełami sztuki. To, że czasem zarabiała więcej niż Arno, miało wiele wspólnego z jego sposobem na życie. Naukowcy rzadko bywają bogaczami.

Ale tamtego piątkowego poranka jej wizja świata doznała wstrząsu. Felicia nie wiedziała, czego właściwie szuka, przeglądając dokumenty męża, nie mieli przecież z Arnem przed sobą żadnych tajemnic. Nagle jednak, podczas sortowania pozostałej po mężu poczty, chwyciła w dłonie brązową kopertę z napisem UBS, bez dodatkowych informacji o nadawcy czy adresacie. Dość obojętnie otworzyła kopertę i wyjęła plik dokumentów, jak się okazało - wyciąg z konta w Szwajcarskim Towarzystwie Bankowym. Felicia musiała dwukrotnie dokładnie przyjrzeć się wydrukowi, żeby się upewnić, że właściwie odczytała dziesięciocyfrową kwotę: 10 327 416,46 euro.

Dziesięć milionów trzysta dwadzieścia siedem tysięcy czterysta szesnaście euro i czterdzieści sześć centów - było to saldo rachunku na nazwisko Arna Schlesingera.

Felicia z niedowierzaniem pokręciła głową. „O co tutaj chodzi? Dziesięć milionów trzysta dwadzieścia siedem tysięcy czterysta szesnaście euro! Majątek. Jakim to, do diabła, sposobem Arno dorobił się takiej sumy? Nie był to przecież ktoś, komu zarabianie pieniędzy przychodzi z łatwością, jak chłodno kalkulujący biznesmen, który mimochodem powiększa stan posiadania o milion czy dwa”.

Niepewna, a właściwie bezradna Felicia odłożyła wyciąg z konta i powróciła do oglądania starych zdjęć: Arno i Felicia w Nowym Jorku, oboje na Mauritiusie albo przed hotelem w Ravello. W pewnej chwili odniosła wrażenie, jakby ten człowiek na zdjęciach był kimś innym, jej smutek zaś nagle przerodził się w złość - złość na samą siebie, że nawet w połowie nie

jest tak sprytna, jak sądziła, że była po prostu zbyt naiwna, żeby zauważyć, że Arno prowadzi jakieś dochodowe interesy. Ale dlaczego, dlaczego nie powiedział jej nic o tym koncie?

Przyglądając się zdjęciu Arna na plaży w egipskiej Hurghadzie, Felicia stwierdziła, że tak naprawdę nie jest w stanie odpowiedzieć sobie na pytanie, kim właściwie był jej mąż, ten mężczyzna w kąpielówkach, z którym przeżyła cztery lata w małżeństwie. Hochsztaplerem? Zrezygnowana musiała przyznać, że najwidoczniej zupełnie nie знаła swojego męża. „Było nam razem dobrze, kochaliśmy się - pomyślała. - W łóżku i w codziennym życiu wszystko układało się niemal idealnie, prawie w ogóle nie było kłótni. Czy jednak mogliśmy twierdzić, że się znamy?”

Patrząc obiektywnie, mieli dla siebie zbyt mało czasu. Arno włóczył się całymi miesiącami po Bliskim Wschodzie, prowadził wykopaliska w Syrii i Izraelu, a kiedy wracał do domu, bez końca przygotowywał sprawozdania i raporty albo ślęczał nad książkami. Jej życie biegło zresztą dość podobnie. Stale w drodze, pośredniczyła przecież w handlu obrazami, rzeźbami i meblami między kolekcjonerami z całej Europy. Jej dyskrecję ceniono i dobrze opłacano. Dzięki pomocy Felicii kolekcjoner mógł pozostać anonimowy, zaoszczędzić na podatkach w poszczególnych krajach i ominąć kosztowne domy aukcyjne, żądające do dwudziestu pięciu procent za swoje usługi. Ona sama działała za siedem procent ceny szacunkowej, dlatego w określonych kręgach nazywano ją „Panną Siedem Procent”.

Tamtego piątkowego poranka uświadomiła sobie z całą wyrazistością, że ona i Arno byli poślubionymi sobie samotnikami. Mieli przyjaciół, ale każde tylko swoich.

Ona nie mogła ścierpieć jego znajomych, on nie lubił osób z jej kręgu towarzyskiego. Ona uważała jego przyjaciół za nudziarzy, którzy żyją wyłącznie dla nauki - przy czym „dla nauki” należy podkreślić szczególnie, gdyż z tej nauki tak naprawdę nie bardzo mogli się utrzymać. On z kolei określał jej przyjaciół jako wiecznie spiętych gości, którzy nie wiedzą, co robić z kasą. To, że nigdy się z tego powodu nie pokłócili - choć niejedno małżeństwo rozpadło się z podobnej przyczyny - graniczyło z cudem, ale tak właśnie było. I to dało jej do myślenia.

Śmierć Arna Schlesingera jawiła się teraz w innym świetle.

*

Świat Gropiusa rozpadł się na kawałki. Kiedy siedząc w domu, starał się bezradnie wszystko przemyśleć, coraz wyraźniej uświadamiał sobie własną słabość, a nawet bezsilność. Zadzwoił telefon.

- Prokurator Renner.

„Ach, to pan, właśnie pana mi jeszcze brakowało”- chciał powiedzieć Gropius, ale wymyślił coś lepszego i zapytał uprzejmie:

- Czym mogę służyć? Co nowego?

- Nowego? Czyżby pan nie czytał porannych gazet, profesorze?

- Nie - odparł Gropius. - I nie mam ochoty zagłębiać się w te bzdury.

- A powinien pan, choćby we własnym interesie. Co pan powie na taki nagłówek: „Pacjent ofiarą mafii handlującej narządami?”.

Zapadła długa cisza.

- Czy pan mnie zrozumiał? - zagadnął w końcu Renner.

- Tak - odpowiedział Gropius niepewnie. Wiedział, że musi bardzo starannie ważyć każde słowo.

- I co pan na to, profesorze?

- Uważam to za absolutnie niemożliwe. Nie w naszej klinice! Poza tym nie widzę sensu w tym, żeby preparować narząd do przeszczepu i zabijać pacjenta.

- Ja spoglądam na tę sprawę z innej perspektywy. Byłbym w stanie wyobrazić sobie najrozmaitsze motywy działania ludzi z mafii.

- Zaciekawia mnie pan, panie prokuratorze!

- Na przykład taki sprytnie zaaranżowany zgon pacjenta mógłby być ostrzeżeniem, żeby pan z nimi współdziałał.

- Ale przecież nie mówi pan tego poważnie, panie prokuratorze. Nie chce mi pan chyba zarzucić współpracy z mafią.

- Absolutnie niczego panu nie zarzucam, profesorze Gropius! Czy zna pan niejakiego doktora Prasskova?

Gropius się przeraził. Zamęt, który od kilku dni panował w jego umyśle, uczynił go trwożliwym.

- Prasskova? - niepewnie odpowiedział Gropius pytaniem na pytanie.

- Co wspólnego z tą sprawą ma Prasskov?

- Pytałem, czy jest panu znany doktor Prasskov!

- Tak. Znany się trochę. Od czasu do czasu grywaliśmy w golfa i czasem po grze wypijaliśmy po drinku.

- Tak, tak. Powszechnie wiadomo, że przy golfie robi się najlepsze interesy.

- Co to znaczy „interesy”? Prasskov jest chirurgiem plastycznym. Zarabia pieniądze na tym, że bogatym damom usuwa z twarzy zmarszczki i wprowadza silikon w pewne miejsca. On wykonuje swoją robotę, ja zajmuję się swoją. Nie rozumiem pańskiego pytania. Co Prasskov miałby mieć wspólnego z moją sprawą?

- Właśnie to chcę panu powiedzieć, profesorze. Mafia handlująca narządami jest w rękach rosyjskich. Według danych Federalnego Urzędu Kryminalnego, w Europie Zachodniej działają trzy rywalizujące gangi, które za duże pieniądze dostarczają panu każdy potrzebny narząd. Serce czy wątroba na zamówienie, z dwutygodniowym terminem dostawy. Morderstwo to dla nich żaden problem. Oni dosłownie idą po trupach.

- Całkiem możliwe, ale nie każdy rosyjski lekarz w Niemczech to mafioso!

- Pewnie, że nie - odparł Renner. Po czym z pewnym triumfem w głosie dodał: - Może mi pan jednak wyjaśnić, dlaczego doktor Prasskov tak nagle rozplynął się w powietrzu?

- Czy to znaczy, że Prasskov zniknął?

- Nie ma go, wyjechał dokądś ostatniej nocy. Przeszukaliśmy dziś rano jego gabinet w dzielnicy Grunwald. Umebłowanie i aparatura robi wrażenie, wszystko najwyższej jakości. Ale nie znaleźliśmy żadnych dokumentów, żadnego archiwum podręcznego, słowem: niczego, co dawało by choćby najmniejszą wskazówkę na temat jego działalności zawodowej. Co pan na to, profesorze?

Gropius z trudem oddychał.

- To doprawdy zagadkowe...

Nagle przypomniał sobie tajemnicze telefony, głos z taśmy magnetofonowej i powtarzaną groźbę - wszystko to rzeczywiście nosiło znamiona działalności przestępczej. Ale żeby zaraz Aleksiej Prasskov był członkiem mafii? Gropius poznał Prasskova jako miłego człowieka, zawsze chętnego do rozmowy przy drinku, czasem nawet dowcipnego i bystrego, chociaż może to właśnie była maska, za którą krył się mafioso. Mordercy rzadko wyglądają tak, jak ich sobie wyobrażamy. Osobiste dramaty, o czym profesor wiedział właściwie od zawsze, są pozbawione wszelkiej logiki i nie

poddają się rachunkowi prawdopodobieństwa. Spadają na człowieka jak burza w środku lata - nieobliczalne i nieuniknione.

- Mam już w głowie zupełny mętlik - powiedział Gropius, żeby przewać długie milczenie.

- Też bym miał na pańskim miejscu - odpowiedział chłodno prokurator. - W każdym razie dla pana nie wygląda to dobrze, profesorze. Ale może pan poprawić swoją sytuację, przyznając się...

- Przyznając się? - Głos Gropiusa się załamał. - Przyznając się do czego? Podsunęto mi skażony narząd, a pan żąda ode mnie, żebym się przyznał. Co u diabła chce pan usłyszeć?

- Nie wiem. Może, że próbowano pana szantażować, że namawiano pana do współpracy z tymi ludźmi. Czy ja wiem?

- Ale nie było żadnej próby szantażu! Poza tym nie bardzo wiem, jak mógłbym to wykorzystać w swojej pracy. System Eurotransplantu jest otwarty dla wszystkich zainteresowanych. Dane o każdej procedurze i każdym oczekującym biorcy są dostępne w Internecie. Poza tym pobranie narządu wymaga pracy zespołu specjalistów, a wszczepienie choremu tego narządu - kolejnego zespołu specjalistów.

Renner zaśmiał się złośliwie.

- Ja to wszystko wiem, profesorze! Zapomina pan tylko, że chodzi o duże pieniądze, nawet o bardzo duże pieniądze. W obliczu kwot, jakie wchodzi tutaj w grę, nawet specjaliści miękną. Szczególnie gdy pochodzą z Polski lub Rosji. Polska granicą leży zaledwie sto dwadzieścia kilometrów od Berlina, a pięćset kilometrów dalej jest już Rosja. Kardiochirurg za pomocą jednej nielegalnej transplantacji narządu może zarobić tam więcej, niż przez pięć lat zwykłej pracy w klinice. W tych okolicznościach skrupuły moralne ulatniają się szybciej niż tanie perfumy.

- Dobrze. Czy jednak może mi pan powiedzieć, jaką rolę ja miałbym w tym odgrywać?

Po raz pierwszy się wydawało, że Rennerowi nie jest łatwo sformułować odpowiedź. W końcu odparł:

- Pozwoli pan, że odpowiem pytaniem na pytanie, profesorze. Czy może pan przysiąc, że wszyscy pacjenci, którzy w pańskiej klinice odeszli z tego świata, opuścili klinikę ze wszystkimi swoimi narządami?

Gropius natychmiast zrozumiał, o co chodzi Rennerowi, i wpadł w wielką złość. Ten młodzik zadzierający nosa, ten karierowicz potrzebował

sukcesu, szukał sprawy, przy której mógłby zabłysnąć. Prawdopodobnie nienawidził wszystkich lekarzy z powodu pewnych traumatycznych doświadczeń lub może dlatego, że kiedyś sam chciał zostać lekarzem. Wiadomo przecież, że lekarzy albo się ubóstwia, albo się nimi pogardza - między tymi biegunami nie ma niczego, co w relacji lekarza do reszty świata można by uznać za normalne. Oczywiście Gropius był zdenerwowany, był nawet wściekły, któż jednak miałby mu to za złe w takiej sytuacji i przy takim oponencie? Tak czy inaczej na koniec postanowił powiedzieć zuchwałemu prokuratorowi kilka słów do słuchu, co akurat nie polepszyło ani jego sytuacji, ani ogólnego samopoczucia. Gropius wydarł się po prostu do słuchawki:

- Renner, jest pan idiotą, a ja nie muszę znosić pańskich bezczelnych podejrzeń! - I trzasnęła słuchawką. Wydawało się, że telefon rozpadnie się na tysiąc kawałków.

- Prasskov - mruknął i pokręcił głową.

Skonsternowana Felicia Schlesinger wpatrywała się w nagłówek z ostatniego numeru gazety „Bild”. Informacja, że jej mąż mógł być ofiarą mafii handlującej narządami, spadła na nią jak niespodziewany cios. Cały dzień i całą noc spędziła na składaniu w całość urywków z życia Arna Schlesingera, mogących mieć jakiś związek z jego śmiercią. Podobnie jednak jak przy układaniu puzzli, kiedy brakuje jednego fragmentu do ułożenia obrazu, nie zrobiła postępów, gdyż nie miała właśnie tego decydującego elementu, który połączyłby wszystko w sensowną całość.

Przede wszystkim pieniądze — dziesięć milionów euro na koncie męża tak zbiło ją z tropu, że podczas rozważania tej zagadki nie potrafiła logicznie myśleć. Było oczywiście możliwe, że Arno padł ofiarą jakichś przestępczych machinacji, przecież sam fakt morderstwa miał w sobie bez wątpienia coś mafijnego, ale uwierzyłaby w to, gdyby nie odkryła przypadkiem tajemniczego konta męża w banku szwajcarskim. Mafiosi rzadko płacą komuś dziesięć milionów za usługę, żeby później go zabić, nie próbując odzyskać pieniędzy, a już na pewno nie zabijają w tak dziwny i skomplikowany sposób, wiążący się zresztą z dużym prawdopodobieństwem wykrycia sprawcy. Poza tym Arno Schlesinger nie należał do osób, które zadawałyby się z mafią. Już drobna niezgodność w zeznaniu podatkowym - chodziło raptem o tysiąc euro - nie dawała mu zasnąć przez kilka dni. Nie,

Arno nie miał właściwego podejścia do pieniędzy, i gdyby ona sama dobrze nie zarabiała, poziom ich życia byłby znacznie skromniejszy.

Felicia wielokrotnie wyjmowała z brązowej koperty wyciąg z konta i półgłosem odczytywała kwotę, jakby chciała nauczyć się jej na pamięć.

- Dziesięć milionów trzysta dwadzieścia siedem tysięcy czterysta szesnaście euro.

Dla badacza zabytków archeologicznych kwota ta była tak wielka i nieosiągalna, że śmierć Arna musiała wiązać się w jakiejś mierze z tymi pieniędzmi.

„Być może - pomyślała Felicia - byłoby lepiej zostawić całą tę sprawę w spokoju”. Powinna po prostu zorganizować dla Arna porządną pochówkę i z milionami rozpocząć nowe życie. Dręcząca ciekawość kazała jej jednak poszukać zabójczego źródła tych pieniędzy. Nawet gdyby - tego Felicia była świadoma od początku - miała się przez to sama znaleźć w niebezpieczeństwie.

W gabinecie Arna, jeśli nie liczyć szerokiego okna z widokiem na jezioro, wszystkie ściany wypełniały regały z książkami. W otoczeniu współczesnych publikacji i starych foliałów znajdowała się tam otwarta szafka z dokumentami, w której ledwie się mieściły stosy gęsto zapisanych arkuszy - dzieło połowy życia męża. Nigdy wcześniej nie ośmieliłaby się wyjąć choćby jednej kartki czy zapoznawać się z treścią tej czy innej notatki. Na to miała zbyt duży szacunek do pracy Arna. Felicia nigdy też nie była obojętna wobec jego badań, przeciwnie - wiele razy miała ochotę wziąć udział w jego fascynujących wyprawach.

Arno raczej rzadko opowiadał o swoich wykopaliskach i teoriach, które rodziły się na podstawie analizy różnych znalezisk. Schlesinger mówił wtedy takim tonem, jakby był kimś innym, jakby przybył z innego świata, ona zaś słuchała go z błyszczącymi oczami, jak dziecko, któremu opowiada się bajkę.

Felicia uśmiechnęła się mimowolnie, kiedy przypomniało się jej zdanie, które Arno powiedział na początku ich małżeństwa: „Archeolodzy - oznajmił z poważną miną - mogą być wczorajsi i jutrzejsi, ale nie mogą być dzisiejsi”. Wtedy zajęło jej trochę czasu zrozumienie słów męża, ale stopniowo zaczęło do niej docierać, co chciał przez to powiedzieć, i pogodziła się z jego - czasem dziwnym - zachowaniem.

Bałagan, jakiego można by się spodziewać, spoglądając na zapiski i dokumenty, był jedynie pozorny, podobnie jak pozorny jest chaos w

mrowisku. W rzeczywistości Schlesinger ujawniał od czasu do czasu wręcz groteskową pedantyczność - dość powiedzieć, że każdy przedmiot na jego biurku w stylu Wilhelma I miał swoje ściśle określone miejsce. Arno mógł z zawiązanymi oczami podejść do szafki z dokumentami i pewnym gestem sięgnąć po potrzebną teczkę. Była to zdolność, którą Felicia podziwiała u męża.

Dokładniejsze zapoznawanie się z dokumentami męża wydało się Felicii bez sensu, zwłaszcza że poszczególne przegródki na półkach były starannie opisane, a te czki i segregatory oklejone samoprzylepnymi karteczkami. Umieszczono na nich napisy typu: Dżabal Musa, Synaj, Kumran czy Boghazköi, które mówiły coś jedynie wtajemniczonym. Żeby tajemnicze dziesięć milionów euro akurat tutaj, między tymi dokumentami, miało zostawić jakiś ślad - tego Felicia doprawdy nie mogła sobie wyobrazić. Przede wszystkim nie wiedziała jednak, jakiego rodzaju wskazówki powinna szukać.

Światętko w mroku mogło zapewnić Szwajcarskie Towarzystwo Bankowe w Zurychu, które zarządzało kontem Arna Schlesingera. Felicia wybrała się więc w podróż samolotem do miasta położonego nad jeziorem o tej samej nazwie, które dobrze знаła, ponieważ mieszkało tam kilku jej klientów. Błyszczący świat Bahnhofstrasse, gdzie między pałacami banków i towarzystw ubezpieczeniowych tłoczyły się salony Cartiera, Ferragamo i Louisa Vuittona, zawsze fascynował ją znacznie mniej niż to, że pod tym brukiem spoczywa dość złota i waluty, żeby kupić pół świata.

Główne pomieszczenie obsługi klientów UBS przypominało raczej oglądaną w świetle dziennym salę balową niż należące do banku sale operacyjne z okienkami. Uprzejmość, z jaką pracownicy obsługiwali klientów, była proporcjonalna do obrotów osiągniętych przez firmę. Stojąc naprzeciw starszego pana w okularach bez oprawek, w ciemnym garniturze i srebrzystym krawacie, nabierało się podejrzania, czy jego głównym zajęciem nie jest przypadkiem dyrygowanie orkiestrą kameralną. Wątpliwości te rozwiewał dopiero srebrny identyfikator w klapie, z napisem REFERENT Nebel. To właśnie panu referentowi Neblowi, którego trudno było prześcisnąć w uduchowionej wytworności, Felicia przedstawiła się jako spadkobierczyni, pokazując dokumenty świadczące o zgonie męża. Pan Nebel zareagował niezwykle uprzejmie i poprosił o chwilę cierpliwości, następnie zniknął z dokumentami, zanim Felicia zdążyła go o cokolwiek zapytać

lub podać przyczynę swojej wizyty.

Po pięciu minutach pracownik banku wrócił i oddał jej dokumenty. Z pewną nieśmiałością, niezbyt pasującą do jego wyglądu, powiedział dialektem typowym dla mieszkańców Zurychu:

- Zdarzyło się tutaj coś dziwnego, o ile wolno mi cokolwiek komentować.

- Nie ma pieniędzy - Felicia wpadła mu w słowo.

Pan Nebel złożył ręce i z uśmiechem odpowiedział:

- Ależ skądże, szanowna pani! W szwajcarskim banku nie ginie nawet cent. Nie, nie, jest jednak koperta pozostawiona przez właściciela konta, którą w wypadku jego zgonu należy wydać żonie, Felicii Schlesinger, czyli pani. To dziwne, nie...

- Dziwne? - Felicia nie wiedziała, jak zareagować.

- Tak, dziwne, choć właściwie to nie moja sprawa. Można by sądzić, że właściciel konta przeczuwał swoją śmierć, nieprawdaż? Tak czy inaczej mogę pani wręczyć tę kopertę, a jeśli pani sobie życzy, to zostawię panią samą na kilka minut.

Felicji drżały dłonie, kiedy wzięła kopertę. Było na niej napisane ręką Arna:

„W wypadku mojego zgonu przekazać pani Felicii Schlesinger”.

„Co to wszystko ma znaczyć?”. Felicia czuła, że krew uderza jej do głowy. Nieporadnie, niemal z czułością otworzyła list, rozrywając kopertę. Rozglądała się przy tym trwożliwie dokoła, czy nikt jej nie obserwuje.

Na firmowym papierze banku skreślono szybko, co sugerowało nierówne pismo, kilka linijek:

Felicio, moja dziewczuszko!

Kiedy otrzymasz do przeczytania ten list, przypuszczalnie będziesz miała już za sobą wstrząsające dni i tygodnie (może nawet miesiące). Tego, moja dziewczuszko, niestety nie mogłem Ci oszczędzić. Nawet mam wyrzuty sumienia. Prędzej czy później wszyscy musimy umrzeć. Jesteś młoda i możesz zacząć nowe życie, a te pieniądze Ci w tym pomogą. Wiedziałem, że w końcu odkryjesz to konto. Nie pytaj o pochodzenie pieniędzy. Są tutaj i teraz należą do Ciebie. Powodzenia. Kochający A.

Linijki listu zlały się jej przed oczami jak krople deszczu w beczce z deszczówką.

Felicia ukradkiem otarła łzy. Nikt nie powinien zauważyć, że płakała.

Kiedy Nebel wrócił na swoje miejsce, zapytał służbowym tonem:

- Ile mam wypłacić, szanowna pani? Sto tysięcy, pół miliona?

Felicia zignorowała pytanie. Jej zainteresowanie nie dotyczyło pieniędzy jako takich, lecz kwestii, skąd i jakim sposobem dziesięć milionów euro trafiło na rachunek męża. Zapytała więc, starając się zachować obojętny ton:

- Czy może mi pan powiedzieć, od kogo pochodzą te pieniądze? Chodzi mi o to, czy można stwierdzić, kto tę kwotę przelał na konto?

Nebel spojrzął w komputer, a jego palce przebiegły po klawiaturze, jakby grał na klawesynie.

- To powinno być możliwe - powiedział zaciekawiony, a po chwili dodał: - Dziesięć milionów euro wpłacił dziewiętnastego lipca zeszłego roku gotówką Arno Schlesinger. Autentyczność banknotów została sprawdzona. Nie musi się więc pani martwić.

Kiedy Felicia wyszła z banku na Bahnhofstrasse, świeciło słońce, ale wciąż wiał mocny, chłodny wiatr. Dobrze jej to zrobiło, miała bowiem uczucie, że za chwilę pęknie jej głowa. Ruchliwa ulica odpłynęła gdzieś w dal. Felicia słyszała jedynie ciche dźwięki i widziała wszystko w kolorze ochry, jakby przez welon. „Dlaczego - szeptała do siebie, idąc w kierunku postoju taksówek - dlaczego Arno mi to zrobił? Dlaczego nie powiedział prawdy? T o ile jeszcze przed chwilą wciąż go kochała, o tyle teraz zaczęła odczuwać do niego złość. Ogarnęła ją wściekłość, że nawet po śmierci bawi się z nią w swoje gierki.

Wróciwszy do domu, Felicia znalazła w skrzynce list od profesora Gropiusa, w którym prosił o rozmowę. Okoliczności oboje postawiły w sytuacji, która pilnie wymagała wyjaśnienia. Ponieważ profesor dołączył do swojej prośby wyrazy głębokiego współczucia, Felicia nie widziała powodu, żeby mu odmówić.

Telefonicznie umówili się w palmiarni zespołu parkowo-pałacowego Nymphenburg. Gropius zaproponował miejsce spotkania na drugim końcu miasta, gdyż uznał, że będzie lepiej, jeśli nikt ich nie zobaczy razem. Felicia natychmiast się zgodziła.

Kiedy jesień zabarwia liście żółcią i czerwienią, w parku Nymphenburg rozpoczyna się najpiękniejszy okres w roku. Japończycy, Amerykanie i Włosi zwrócili już mieszkańcom Monachium ciszę zadbanych ogrodów, jedynie labędzie w stawach zaczynają tęsknić za turystami, ponieważ znów muszą same starać się o pożywienie.

Gropius zaparkował jaguara przed lewym skrzydłem pałacu, a wchodząc na teren parku przez kunsztownie wykutą bramę, złapał się na tym, że tworzy sobie w głowie obraz wdowy Schlesinger. Po krótkiej rozmowie telefonicznej spodziewał się kobiety naznaczonej losem, zamkniętej w sobie, ze łzami w oczach, w żalobie.

Dlatego wydawał się zdziwiony, kiedy zaraz po tym, gdy zajął miejsce przy kawiarnianym stoliku w palmiarni, podeszła do niego kobieta dyskretnie umalowana, z rozpuszczonymi włosami, w szarej spódnicy i ciemnoczerwonym blezerze, i powiedziała z uprzejmym uśmiechem:

- Z pewnością pan profesor Gropius. Jestem Felicia Schlesinger.

- To pani? - Gropius poczuł się wyraźnie niezręcznie, że zareagował w ten sposób, szybko więc dodał na swoje usprawiedliwienie: - Proszę mi wybaczyć, szanowna pani, ale byłem pogrążony w myślach... Szczerze mówiąc, inaczej sobie panią wyobrażałem. Proszę, niech pani usiądzie!

Felicia z uśmiechem spełniła prośbę i odparła uprzejmie:

- Chodzi panu o to, że nie pojawiłam się zdruzgotana? Cóż, widzi pan, uważam, że żałoba to kwestia serca, a nie stroju.

Przez szklane ściany palmiarni wpadały do środka jasne promienie słońca, a ząbkowane liście palm rysowały na białych obrusach przedziwne wzory. Przez dłuższą chwilę oboje siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu - kobieta i mężczyzna, których drogi tak niespodziewanie i fatalnie się skrzyżowały. W końcu Gropius odezwał się.

- Może być pani pewna, że jest mi niezmiernie przykro z powodu tego wszystkiego. Proszę raz jeszcze przyjąć wyrazy głębokiego współczucia. Chciałbym móc cofnąć czas. O rozmowę poprosiłem panią w nadziei, że we dwoje zdołamy coś wniesić do wyjaśnienia tej sprawy. W każdym razie już teraz dziękuję, że pani przyszła.

Felicia, nic nie mówiąc, wzruszyła ramionami. Kiedy oboje zamówili cappuccino, Gropius dodał:

- Chciałbym panią prosić, żeby nie wierzyła pani we wszystko, co piszą gazety. Jak dotąd nie dowiedziono niczego, ale to absolutnie niczego

ponad to, że narząd, który wszczepiono pani mężowi, był skażony. Bliższe szczegóły, jak do tego mogło dojść, oraz motywy sprawcy są obecnie przedmiotem prokuratorskiego śledztwa. To, że mogła brać w tym udział mafia handlująca narządami do przeszczepów, jest spekulacją pozbawioną jakichkolwiek sensownych podstaw.

Felicia wyduła usta, uciekła spojrzeniem i milczała. Był to ten rodzaj milczenia, który potrafi zranić równie mocno jak złe słowa. Niewątpliwie Felicia wiedziała, jaki skutek to wywołuje, i delektowała się osiągniętym efektem. A przy tym wcale nie planowała takiego zachowania, nie zamierzała bowiem karać Gropiusa swoim milczeniem. Jej rezerwa wynikała raczej z zakłopotania obecnością człowieka, który miał na sumieniu Schlesingera. Ale czy rzeczywiście?

Milczenie zdawało się przeciągać w nieskończoność. Zanim jednak Felicia zdołała sformułować jakąś wypowiedź, która zakończyłaby tę niezręczną sytuację, Gropius ją uprzedził, mówiąc:

- To w żadnym razie nie miało być usprawiedliwienie, ale pani z pewnością wie, że mąż bez przeszczepu przeżyłby najwyżej dwa miesiące.

Felicia spojrzała na Gropiusa.

- Nie wiedziałam. Arno zawsze bagatelizował wypadek i swoje obrażenia. Nie chciał mnie niepokoić.

- Wypadek? Co to znaczy „wypadek”? Szanowna pani, moim zdaniem pani mąż padł ofiarą zamachu.

- Co to ma znaczyć? Arno mówił mi, że wpadł pod samochód terenowy, a pan twierdzi teraz, że to był zamach. Już sama nie wiem, co myśleć.

- Tak, to dziwna historia. W klinice Arno Schlesinger starał się nam wmówić, że jego obrażenia wewnętrzne są skutkiem wypadku. Od samego początku miałem co do tego wątpliwości. Charakter uszkodzeń tkanki wskazywał raczej na jakąś eksplozję. W rozerwanej wątrobie wykryłem w końcu dowód moich przypuszczeń, mianowicie odłamek granatu, a może wręcz odłamek bomby. Ciekawe, że pani również nic o tym nie wiedziała.

Wyraźnie zdenerwowana Felicia odpowiedziała:

- Proszę mnie dobrze zrozumieć, profesorze. Kochałam swojego męża. Ale on był po prostu - jak by to powiedzieć? - samotnikiem. Czasami dawałam sobie pytanie, czy ożenił się ze mną czy z nauką.

Gropius uśmiechnął się uprzejmie i zamieszał kawę w filiżance, po czym powiedział, znosząc dzielnie nieustępliwe spojrzenie Felicii:

- Nie twierdzą oczywiście, że istnieje związek między groźnymi dla życia obrażeniami od wybuchu i skażonym narządem do przeszczepu. Przyzna pani jednak, że cała ta sprawa nie wygląda całkiem zwyczajnie.

Felicia oparła podbródek na splecionych dłoniach i spojrzała przez szklany dach na niebo, jakby mogło ono zesłać odpowiedź, która wszystko wyjaśni. Niebiosa jednak odmówiły pomocy. Zamiast tego odkryła w sobie osobliwe poczucie wspólnoty. O ile jej początkowe zachowanie było naznaczone nieufnością, o tyle teraz podejrzliwość ta stopniowo zanikała, a w jej miejsce pojawiła się świadomość, że profesor we własnym interesie może pomóc rozjaśnić mrok otaczający zgon Arna Schlesingera. Bez wątpienia oboje jechali na tym samym wózku.

Gropius ponownie zabrał głos.

- Proszę pozwolić mi zadać jedno pytanie, szanowna pani. Czy patrząc z perspektywy czasu, w życiu pani męża były jeszcze jakieś inne zbiegi okoliczności lub osobliwe zdarzenia?

Spontanicznie Felicia chciała odpowiedzieć, że sama odkryła wiele niejasnych sytuacji i tajemniczych spraw, nie należała jednak do kobiet, które najpierw mówią, a dopiero później myślą. I chociaż słowa Gropiusa poruszyły ją do głębi, zapanowała nad sobą i odparła:

- Po tym, co pan teraz powiedział, wyłania mi się całkiem nowy obraz. Żeby jednak odpowiedzieć na pańskie pytanie, musiałabym się dłużej zastanowić.

Gropius kiwnął głową. Spotkanie przebiegało lepiej, niż się tego spodziewał. Felicia Schlesinger mogła przecież przywitać go chłodem lub nieprzyjemnymi wyrzutami. Pożegnał się, ucałował jej dłoń i obiecali sobie, że się jeszcze spotkają.

Ani Gropius, ani Felicia Schlesinger nie zauważyli jednak, że z pewnej odległości są obserwowani i fotografowani przez teleobiektyw.

- Zdziwi się pani - powiedział Lewezow z dumą. - W każdym razie można uznać, że nie wydała pani pieniędzy na próżno.

Detektyw i Veronique Gropius przyszli do tego samego bistro w Ogrodzie Angielskim, w którym się po raz pierwszy spotkali.

- Proszę, niech pan mówi! - rzuciła Veronique zniecierpliwiona.
- Wspominał pan o jakimś odkryciu.

Lewezow trzymał w dłoni dużą kopertę i nie miał śmiałości spojrzeć na Veronique. Chciał powiedzieć coś ważnego, coś ważnego dla niego. W końcu wydusił z siebie:

- Jest zwyczajowo przyjęte, że w wypadku nadzwyczajnego sukcesu pracę detektywa opłaca się ponad uzgodnioną sumę. Czy wolno mi zakładać...

- Ach, w tym rzecz! - Niepewne ruchy Veronique zdradzały ogromne zdenerwowanie. Szukając książeczki czekowej w torebce, dodała zjadliwie: — Panie Lewezow, przecież mówiłam, że w razie sukcesu nie będę małostkowa. Ile zatem pan chce?

Detektyw miał wątpliwości, czy było to pytanie tylko retoryczne, czy też klientka rzeczywiście chce usłyszeć konkretną sumę. Ponieważ chodziło mu wyłącznie o pieniądze, był także przekonany o doniosłości swoich ustaleń, odpowiedział bez zająknięcia:

- Jeszcze raz pięć tysięcy.

Veronique uniosła ciemne brwi, które utworzyły dwa półksiężycy, i spojrzała na detektywa spod oka.

- W porządku. Jeśli pańskie obserwacje mają mi pomóc w rozwiązaniu mojego problemu, to jestem gotowa dodatkowo zapłacić tę kwotę. Najpierw jednak chciałabym się dowiedzieć, co pan odkrył.

Lewezow wyciągnął z koperty sześć fotografii średniego formatu i jedną po drugiej ułożył przed Veronique na stoliku. Na zdjęciach był Gregor Gropius i nieznana Veronique kobieta, sfotografowani z ukrycia w zespole parkowo-pałacowym Nymphenburg.

Veronique rzuciła Lewezowowi podejrzliwe spojrzenie, po czym powiedziała:

- Gropius to oczywiście kobieciarz, ma wiele znajomości, ale tej nie znałam. Cóż, w tym wypadku nie sposób mu odmówić pewnego gustu.

- Rozczarowana przesunęła zdjęcia po stoliku w kierunku Lewezowa.

Ten jednak dostrzegł, że teraz przyszła pora na jego wielki występ, i z uśmiechem wyższości oświadczył:

- Nie było łatwo ustalić, kim jest ta kobieta na fotografiach. Ponosząc określone wydatki, udało mi się w końcu tego dokonać. - Z kieszeni marynarki wyjął artykuł na temat skandalu związanego z transplantacją i

wskazał na zdjęcie: - Proszę spojrzeć, o... tutaj. Ta kobieta jest tą samą damą, z którą spotkał się pani mąż w zespole parkowo-pałacowym.

Veronique przeczytała podpis pod fotografią:

„Felicia Schlesinger, wdowa po tajemniczo zamordowanym pacjencie”.

- To nie może być prawda! - szepnęła Veronique, niespokojnie spoglądając to na zdjęcie w gazecie, to na fotografii Lewezowa.

- Oboje rozumiemy znaczenie podejrzenia, które się tutaj narzuca - zauważył detektyw z poważną miną.

- Nie mogę uwierzyć - Veronique pokręciła głową. Mogła się wiele spodziewać po Gregorze, ale raczej nie tego, że był zdolny do popełnienia morderstwa. Wszystko jednak doskonale do siebie pasowało: Gropius miał z żoną Schlesingera romans i szukał jakiejś wyrafinowanej możliwości, żeby wyeliminować jej męża. Za takim planem przemawiała inteligencja Gropiusa. Nie był to człowiek, który dokonałby zwyczajnego morderstwa, jak pospolity łajdak. Gropius analizował wszystkie sprawy na chłodno i nigdy nie zmierzał do celu bezpośrednio. Należał do ludzi mądrych, którzy wiedzą, że jedynie w geometrii najkrótsza droga między dwoma punktami prowadzi po linii prostej i że życie dzień w dzień obala tę zasadę. „Tylko taki człowiek jak Gropius - pomyślała Veronique - mógł uknuć taki szatański plan”.

Lewezow przywołał ją na powrót do rzeczywistości.

- Chcę podkreślić, że te zdjęcia nie są jeszcze żadnym dowodem na to, jakoby profesor miał Schlesingera na sumieniu. Nie mógł to być jednak przypadek, że tych dwoje najwidoczniej dość dobrze się zna. Do tego dochodzi niezwykle miejsce spotkania i to, że Gropius wybrał określoną drogę, żeby się dostać do zespołu Nymphenburg, jakby chciał zgubić kogoś, kto być może go śledzi.

- A pana nie zauważył?

- Niemożliwe. Siedząc go, tylko przez kilka sekund byłem w zasięgu wzroku, - Lewezow wyciągnął z kieszeni srebrzyste urządzenie przypominające guzik i przytrzymał je Veronique przed oczami. - To jest lokalizator. Udało mi się przyczepić to urządzenie pod zderzakiem jego samochodu, kiedy jaguar był zaparkowany przed budynkiem kliniki. Za pomocą odbiornika w moim samochodzie w każdej chwili mogę sprawdzić jego położenie.

Veronique z uznaniem pokiwała głową, wypełniła czek i wręczyła go Lewezowowi ze słowami:

- Dobra robota, naprawdę dobra. Zakładam jednak, że nikt, podkreślam, nikt o tej sprawie się nie dowie!

- Ależ to się rozumie samo przez się! - Lewezow włożył zdjęcia do koperty i podał Veronique. - Co pani z nimi robi, to już pani sprawa. Gdyby jednak znów potrzebowała pani mojej pomocy, zawsze jestem do usług.

Z tymi słowami wstał i pośpiesznie wyszedł z lokalu.

Veronique w ogóle się nie spodziewała, że Lewezow tak szybko zapewni jej kompromitujące Gropiusa materiały, dzięki którym będzie mogła przycisnąć byłego męża do muru. Wystarczająco długo czekała na okazję, żeby rzucić go na kolana. W końcu nadarzyła się taka sposobność. Teraz, jeśli nie chce reszty życia spędzić w więzieniu, musi zgodzić się na wszystkie jej żądania - te zaś nie miały być małe.

Głos Gregora był znużony i niepewny, kiedy Veronique zadzwoniła do niego do domu. Ich ostatnia rozmowa telefoniczna odbyła się sześć czy siedem tygodni wcześniej, a jej tematem znowu były wyłącznie pieniądze. Dla Gropiusa było więc oczywiste, że i tym razem nie będzie chodziło o nic innego. Dlatego odmówił Veronique, stwierdzając, że obecnie zaprzęta go mnóstwo różnych spraw i nie ma ochoty rozmawiać o pieniądzach. To co było do powiedzenia, zostało już wcześniej wielokrotnie przedyskutowane.

Właśnie miał zakończyć rozmowę i odłożyć słuchawkę, kiedy usłyszał, jak na drugim końcu linii Veronique krzyczy:

- Lepiej nie odkładaj słuchawki, tylko zgódź się na moje żądania, jeśli nie chcesz reszty życia spędzić za kratami! - Gregor znieruchomiał, a Veronique dołała jeszcze oliwy do ognia: - Chytrze wykombinowałeś sobie tę sprawę ze Schlesingerem, chociaż jak dla mnie nie dość chytrze! Teraz mam cię w garści!

W innej sytuacji Gropius po prostu zakończyłby rozmowę - bez słowa odłożyłby słuchawkę i odreagował cichym przekleństwem. W tej chwili poczuł się jednak jak znokautowany bokser, a ciosy, które wcześniej przyjąłby bez słowa, teraz wytrąciły go z równowagi. Tak czy inaczej pozwolił się Veronique wygadać i odparł z udawanym spokojem:

- Pojęcia nie mam, o czym mówisz!

Veronique zaniósła się śmiechem, była jednak marną aktorką i jej sztuczny wybuch wesołości zabrzmiał głupio i żenująco.

- Leżą przede mną zdjęcia, które oznaczają nie tylko koniec twojej kariery, ale również koniec twojej wolności!

- Zdjęcia?

- Tak, fotografie średniego formatu o doskonałej ostrości.

Gropius się zamyślił. Nie mógł sobie wyobrazić, jakie zdjęcia mogłyby wskazywać na jego powiązanie ze śmiercią Arna Schlesingera. Ale właśnie tą niepewnością karmił się jego niepokój. Widział, jak drży mu dłoń, w której trzymał słuchawkę.

- Dobrze - odparł i od razu zaczął tego żałować. - Za godzinę w hotelu „Cztery Pory Roku”.

Hol hotelu „Cztery Pory Roku” - położonego w sercu miasta przy wytwornej Maximilianstrasse - był ulubionym miejscem popołudniowych spotkań artystów i osób z wyższych sfer. Agenci i aktorzy z pobliskiego teatru podpisywali tutaj kontrakty, między nimi kręcili się zaś przedstawiciele artystycznego półświatka, wypatrujący swoich ofiar, które mają schadzkę. Kiedy Veronique, kwadrans spóźniona, pojawiła się w obrotowych drzwiach, Gropius ostentacyjnie wyciągnął rękę i spojrzął na zegarek. Niepunktualność nie była jedyną wadą jego żony.

Gregor zamówił kawę i klasycznego pernodu dla Veronique. Wystarczająco długo był jej mężem, żeby wiedzieć, na co ma ochotę o tej porze dnia. Przywitanie wypadło chłodno. Kiedy tylko Gropius uczynił gest sugerujący, że wstaje z krzesła, choć w ogóle się nie podniósł z miejsca, Veronique uniosła kącik ust w sztucznym uśmiechu wyrażającym jedynie pogardę, po czym usiadła.

Chcąc jak najszybciej mieć to za sobą, Gregor zapytał otwarcie:

- Czego zatem chcesz?

Veronique uciekła wzrokiem. Chociaż była przekonana, że ma w rękę potężną broń przeciwko mężowi, wciąż w jego obecności czuła się trochę niepewnie. Przez wiele lat podziwiała go jak dziecko podziwia ojca, ceniła jego mądrość i ambicję, a jego władczy sposób obcowania z ludźmi zawsze był dla niej wzorem. Teraz jednak poczuła, że tych uczuć nie uda się tak łatwo wyłączyć, mimo że teraz go znenawidziła. W odróżnieniu od Gropiusa przygotowała się na to spotkanie, ułożyła w głowie odpowiednie sformułowania i wyobraziła sobie, jak jej mąż na nie zareaguje. Ale z tego wszystkiego zostało jej w pamięci tylko jedno zdanie, i właśnie to jedno zdanie wypowiedziała tak, jak zrobiłby to bandyta obrabowujący bank lub porywacz:

- Chcę milion!

Gregor pokiwał głową ze zrozumieniem, dalej już nie wypytując. Veronique niczego innego się zresztą nie spodziewała. Wiedziała, że nie potraktuje jej poważnie, usłyszawszy takie żądanie, dlatego sprecyzowała swoją propozycję, dodając drwiąco:

- Oczywiście poza kompensatą już wynegocjowaną przez naszych adwokatów.

Mówiąc to, Veronique wyjęła z torebki zdjęcia wykonane przez Lewezowa i położyła na stoliku przed Gregorem.

Zdezorientowany Gropius wpatrywał się w fotografie. Chociaż potrafił ukrywać swoje zdenerwowanie, przez głowę przelatywały mu jak błyskawice tysiące myśli: Jak u diabła Veronique zdobyła te zdjęcia? Od jak dawna on sam jest już pod obserwacją? Czy Felicia Schlesinger i Veronique współdziałają?”.

Kiedy rozważał tę ostatnią możliwość, usłyszał słowa Veronique:

- Masz romans z żoną Schlesingera i wspólnie uknuście plan zabicia jej męża. Niezły pomysł, żeby pozwolić rywalowi umrzeć podczas operacji. I nie lada gratka dla prokuratora! - uśmiechnęła się triumfalnie, nie przeczuwając, że treść jej słów przyniosła niespodziewaną ulgę mężowi.

Gropius milczał. Długo trwało, zanim uporządkował myśli. Veronique zaś już świętowała jego milczenie jako swoje zwycięstwo.

- Jeśli dobrze cię rozumiem, chciałabyś mi sprzedać te zdjęcia i swoje milczenie za milion euro - odezwał się w końcu Gregor, a jego głos brzmiał dziwnie obojętnie.

- Skoro tak chcesz to ująć, to tak. Wiedziałam, że się porozumiemy.

Do tej chwili rozmawiali dość cicho. Teraz jednak głos Gropiusa stał się nagle głośny i wyraźny:

- Czy ciebie w ogóle obchodzi cokolwiek innego niż tylko kasa, kasa, kasa?

- Przyznaję - odparła Veronique i kokieteryjnie wykrzywiła wargi - że pieniądze są obecnie głównym przedmiotem mojego zainteresowania. Jako samotna kobieta muszę wiedzieć, na czym stoję.

„I z taką kobietą byłeś przez osiemnaście lat w związku małżeńskim” ~ pomyślał z odrazą Gropius. Po czym spojrzał na nią i powiedział dobitnie, żeby jej dopiec:

- Twoja histeria zaczyna mnie powoli nudzić. Gdybym miał romans ze wszystkimi kobietami, które spotkałem w ciągu ostatnich lat, to pewnie już bym nie żył, bo padłbym z wyczerpania. - A oddając jej fotografie, dodał: - Jedyne człowiek o sprośnej fantazji albo ktoś, kto nie ma równo pod sufitem, dostrzega w tych zdjęciach dowód intymnego związku. Jeśli zaś chodzi o twoją teorię morderstwa, to myśl ta jest tak absurdalna, że nawet nie chce mi się w to wnikać.

Gropius kiwnął na kelnera, eleganckiego siwowłosego człowieka sprawiającego wrażenie, jakby przyszedł na świat już w czarnym garniturze, i uregulował rachunek. Twarz Veronique była tak napięta, że wydawało się, iż zaraz pęknie, a z oczu wyzierała czysta nienawiść.

- Dopilnuję, żeby te zdjęcia opublikowano w gazecie - syknęła - i wtedy będziesz zrujnowany na całe życie! - Po czym dodała jeszcze niemal z płaczem: - Milion i mógłbyś być szczęśliwy z tą dziwką!

Tego jednak Gropius już nie słuchał. Wstał bez pożegnania i skierował się ku obrotowym drzwiom w holu.

ROZDZIAŁ 3

Heilmannstrasse numer 30. Pod tym adresem na monachijskim przedmieściu Pullach znajduje się siedziba niezwykle ważnej instytucji - Federalnej Służby Wywiadowczej. Z zewnątrz sprawia wrażenie dość prowincjonalnej jak na drugą co do wielkości tajną służbę świata Zachodu, po amerykańskiej Central Intelligence Agency, czyli CIA. Za wysokim, szarym betonowym murem z czarnym orłem i ciężką żelazną bramą, odsuwającą się co jakiś czas, żeby zrobić przejazd dla ciemnych limuzyn, kryją się wysłużone budynki z lat sześćdziesiątych. Mało kto by się domyślił, że wchodzi tutaj i wychodzą stąd szpiedzy i agenci z całego świata, że podsłuchuje się tu rozmowy telefoniczne z Alaski, przechwytuje faksy i e-maile z Ameryki Łacińskiej oraz zapisuje się je i analizuje pod kątem znaczenia politycznego, gospodarczego czy militarnego.

Szpiegów wyobrażamy sobie zwykle jako przystojnych facetów, którzy w jednej dłoni trzymają pistolet, a drugą ręką obejmują piękną i kształtną blondynkę. Z tego punktu widzenia mężczyzna, który krótko przed godziną ósmą wyszedł z domu szeregowego we wspomnianej dzielnicy i wsiadł do swojego granatowego bmw, nie wydawał się w najmniejszym stopniu godny uwagi. Nie nazywał się też szczególnie interesująco, ale po prostu Meyer, przez igrek - tak w każdym razie głosiła tabliczka przed niepozornym wejściem do domu. Jadąc od strony Margarethenstrasse, Meyer skręcił w Heilmannstrasse i po siedmiu minutach dotarł do potężnej kraty,

która otworzyła się usłużnie, jakby poruszona niewidzialną ręką.

Nazwisko: Meyer, imię: Heinrich, wiek: pięćdziesiąt pięć lat, stanowisko: szef Wydziału Drugiego Federalnej Służby Wywiadowczej, przełożony ponad tysiąca specjalistów, informatyków, elektroników i techników telekomunikacji, dla których nie ma żadnych tajemnic w tym, co przemyka niewidzialnie w powietrzu między biegunem północnym i południowym. Meyer dostarczał danych Wydziałowi Piątemu, czyli Wydziałowi do spraw Rozpoznania Operacyjnego. Był to jeden z sześciu wydziałów Federalnej Służby Wywiadowczej, zajmujący się przestępczością zorganizowaną, międzynarodowym handlem narkotykami, nielegalną migracją, praniem brudnych pieniędzy i międzynarodowym terroryzmem - dziedziną, która po 11 września 2001 roku nabrała szczególnego znaczenia.

SIGINT, bo taki kryptonim - utworzony od angielskiej nazwy Signal Intelligence - nosił wydział kierowany przez Meyera, pracował z użyciem najkosztowniejszych środków technicznych, dlatego nierzadko był przedmiotem zazdrości pracowników innych wydziałów, które zajmowały się źródłami osobowymi lub analizą mediów publicznych.

Mając pięćdziesiąt pięć lat, Meyer zaliczał się do starszych specjalistów w swojej dziedzinie, był więc, jeśli można tak powiedzieć, starym wyjadaczem, którego właściwie nikt i nic nie było w stanie zaskoczyć. Żaden pracownik nie mógł powiedzieć, że widział szefa ubranego inaczej niż w szary garnitur, stosowny dla pięćdziesięciopięciolatka, oraz odpowiednio dobrany do tego krawat. Jego biuro znajdujące się na najwyższym piętrze betonowego budynku Federalnej Służby Wywiadowczej pamiętało lepsze czasy, nie było tam śladu high-tech, a jedynym ustępstwem na rzecz nowoczesnej techniki był płaski monitor przy szarym biurku. Kiedy Meyer wszedł do biura, pod monitorem mrugnęła dioda LED. Wystukał na klawiaturze hasło, wtedy na monitorze pojawił się komunikat PILNE, a sekundę później wyświetlił się następujący tekst:

E-mail godz. 4.37, telefonia komórkowa, zachodnia śródziemnomorska klinika wielospecjalistyczna MUC: Naprawdę dobra robota, ale niewątpliwie jest to zaledwie pierwszy krok. Dlatego zostań na miejscu i usuń ostatnie ślady. W razie potrzeby zastosuj C4. IND.

Meyer dwukrotnie przeczytał tekst, po czym chwycił za telefon, wybrał numer i po połączeniu przedstawił się nazwiskiem. Na drugim końcu linii był pracownik dyżurny nazwiskiem Hoveller.

- W sprawie e-maila z kliniki. Dlaczego nie otrzymuję dokładniejszych danych na temat nadawcy i odbiorcy? - zapytał Meyer szorstko.

Napomniany pracownik odpowiedział zawiłe:

- Szefie, mamy tutaj pewien problem. Nadawca wysłał e-mail przez telefon komórkowy, a odbiorca jest podłączony do numeru wewnętrznego kliniki uniwersyteckiej. Powiedziałbym, że działali tu zawodowcy, którzy znają wszystkie sztuczki.

- Na to wygląda - mruknął Meyer zamyślony. - Ci ludzie nie widzą potrzeby szyfrowania swoich wiadomości. Plastik jako materiał wybuchowy już od dawna nie pojawia się pod nazwą kodową „C4”. Przecież mafia wie dobrze, że z przepływu ich informacji nic nam nie umknie. Ale u diabła, co to jest „IND”?

- Odpowiedź negatywna, szefie. Kodu „IND” nie ma w naszej bazie. Nasze urządzenia rozpoznawania tekstu zareagowały jedynie na kod „C4”.

- Nie ułatwia nam to sprawy.

- Wiem. Wydaje mi się, że mamy tutaj do czynienia z nowymi klientami. Albo chodzi o niewiarygodnych dyletantów, albo osoby działające ze szczególnym wyrafinowaniem.

Meyer wykrzywił twarz w grymasie, jakby myślenie o tym problemie sprawiało mu ból. Na koniec powiedział:

- Cóż... I ten orzech rozgryziemy. W każdym razie sądzę, że zalecany byłby pośpiech.

Z kopią przejętego e-maila Meyer udał się na briefing. Codziennie rano punktualnie o godzinie dziewiątej szefowie różnych wydziałów spotykali się w sali konferencyjnej głównego budynku, aby omówić i skoordynować poszczególne działania.

Odkrycie Meyera było niepokojące. Ulf Peters, w rozpiętej koszuli i czarnej skórzanej kurtce - idealne wyobrażenie prawdziwego agenta - mimo młodego wieku był szefem Wydziału Piątego, czyli Wydziału do spraw Rozpoznania Operacyjnego, i tym samym był odpowiedzialny za sprawę. Po krótkiej naradzie postanowił przyporządkować obiektowi docelowemu pierwszy poziom bezpieczeństwa, co uruchomiło skomplikowaną procedurę.

Ponieważ Federalna Służba Wywiadowcza podlega urzędowi kanclerskiemu, Peters powiadomił szefa tego urzędu, wskazując na pierwszy poziom bezpieczeństwa i stosowne ograniczenia, które wynikały stąd, że nie było jeszcze dokładniejszych informacji. Poruszony tym, że obiektem docelowym jest klinika wielospecjalistyczna, urząd kanclerski przekazał meldunek do Bawarskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które powiadomiło Okręgowy Urząd Kryminalny.

W Okręgowym Urzędzie Kryminalnym skandal w klinice związany z nieudaną transplantacją był już znany i analizowany, dlatego podejrzenia, że może istnieć związek między tajemniczą śmiercią Arna Schlesingera i równie tajemniczym e-mailem, choć się nie narzucało, nie sposób było wykluczyć. Po krótkiej naradzie ministra spraw wewnętrznych Bawarii z szefem Okręgowego Urzędu Kryminalnego uzgodniono powołanie ośmiuosobowej komisji specjalnej. Jej szefem miał zostać Wolf Ingram, mężczyzna przypominający ogromną szafę, o wielkiej czaszce i krótko przystrzyżonych ciemnych włosach. Sądząc po postawie i zachowaniu, można by uznać, że Ingram to płatny zabójca, ale w rzeczywistości pod tą monstrualną posturą kryło się niezwykle wrażliwe wnętrze. W każdym razie Ingram, wicedyrektor Departamentu Trzynastego - Departamentu do spraw Przestępczości Zorganizowanej - przewodniczył już kilku komisjom specjalnym i dowiódł, że jest dobry w wykrywaniu zawiłych powiązań.

Ingram miał niewiele czasu na zapoznanie się ze sprawą, a jego ośmiuosobowy zespół bardzo zdolnych młodych ludzi nie okazał się w tym szczególnie pomocny. Mimo to za właściwe uznano podjęcie szybkich działań wyprzedzających. Ingram potrzebował do tego sześciu psów wyszkolonych w wykrywaniu plastikowych materiałów wybuchowych. Swoich ludzi przydzielił do ośmiu oddziałów kliniki, gdzie mieli sporządzić listy pracowników i pacjentów obecnych na miejscu w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Chociaż e-mail skierowany na serwer w klinice raczej oczyszczał Gropiusa, niż go obciążał, skoro od ponad tygodnia profesor nie przychodził do pracy, Ingram uznał chirurga uwikłanego w skandal za postać kluczową. Instynkt i doświadczenie wzmacniały w nim przekonanie, że zbiegi okoliczności wokół zbrodni rzadko bywają rzeczywiście przypadkami.

Podczas gdy Ingram przy użyciu wszystkich dostępnych środków zajmował się stworzeniem profilu osobowościowego profesora Gregora

Gropiusa, sytuacja się zaostrzyła. E-mail wspominający o C4 przejęła National Security Agency w Crypto City w amerykańskim stanie Maryland i wszczęła alarm. National Security Agency to najtajniejsza tajna służba na świecie, dla której szpieguje trzydzieści osiem tysięcy pracowników, sto dwadzieścia satelitów oraz setki stanowisk podsłuchowych - potężnych anten parabolicznych - rozmieszczonych na wszystkich kontynentach. Z odpowiedniego wydziału kwadrans później wysłano informację do Counter Terrorism Center, centrali CIA w Langley w stanie Wirginia. Kiedy nie zdołano odszyfrować kodu IND wspomnianego w e-mailu, natychmiast przekazano sprawę z uwagą: „Wymaga pilnego działania” do Federalnej Służby Wywiadowczej w Pullach.

Kiedy informacja z Wirginii dotarła do Federalnej Służby Wywiadowczej, eksperci z Wydziału Piątego ślęczeli nad analizą, teraz już zintegrowanego obrazu sytuacji. Starali się mianowicie złożyć wszelkie dostępne informacje w sensowną całość, na razie jeszcze mocno chaotyczną, dzięki której można by stworzyć bazę operacyjną dla zapobieżenia atakowi terrorystycznemu.

Najważniejsze, a przez to również najtrudniejsze pytanie, które stawiali sobie eksperci z Federalnej Służby Wywiadowczej i Okręgowego Urzędu Kryminalnego, dotyczyło motywu. Dlaczego na cel ataku terrorystycznego obrano akurat tę klinikę? Dlaczego właśnie klinikę cieszącą się uznaniem na całym świecie, instytucję bez charakteru symbolicznego, nie mówiąc już o ratowaniu i leczeniu ludzi wszystkich ras?

Nocą, nie wzbudzając sensacji, eksperci od materiałów wybuchowych wraz z psami przeszukali klinikę. Wynik był jednak niezadowolający, okazało się bowiem, że klinika jest pełna niezliczonych zapachów, które zakłócają prace tropiących psów. Śledczy uzasadnili swoje działania, powołując się na skandal związany z nieudaną transplantacją, o którym i tak było głośno we wszystkich gazetach, nie było więc obawy, że ich praca, obejmująca wszystkie oddziały kliniki, wywoła panikę. Wszyscy otrzymali instrukcję, żeby określenia „atak terrorystyczny” nie używać nawet w formie zawołowanej aluzji.

Tymczasem profesor Gropius był pod obserwacją przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zauważył to już na drugi dzień. W takiej dzielnicy willowej jak Grunwald nawet komuś o przeciętnym zmyśle obserwacyjnym trudno się nie zorientować, że jest śledzony. Zmieniające się co sześć

godzin szare audi i beżowe bmw dokuczały zresztą mniej profesorowi niż innym mieszkańcom ulicy, którym obce samochody blokowały miejsca parkingowe. Gropius musiał więc przyjąć, że jego spotkanie z Veronique, a może nawet spotkanie z Felicia Schlesinger, było obserwowane. W tej sytuacji profesor uznał naradę z Veronique za nieprzemyślaną, a spotkanie z wdową po Schlesingerze - za wydarzenie, które mogło prowadzić do nieporozumień. To zaś co nastąpiło w ciągu kolejnych dni, również nie pomogło rozwiązać tych wątpliwości.

Zaczęło się od telefonu Felicii Schlesinger czwartego dnia po ich pierwszym spotkaniu. Gropius nie miał dobrych przeczuć, kiedy Felicia z drugiego końca linii oświadczyła, że profesor musi się liczyć z tym, że jego telefon jest na podsłuchu.

Głos Felicii brzmiał inaczej niż podczas spotkania w palmiarni. Wtedy profesor podziwiał, z jaką pewnością siebie ta kobieta radzi sobie z losem, nie robiąc przy tym wrażenia zimnej czy obojętnej. Tym razem jednak Gropiusowi zdawało się, że słyszy niepokój, a nawet rozpacz, kiedy Felicia poprosiła o kolejne spotkanie. Mówiła, że ostatnim razem odniosła wrażenie, że może Gregorowi zaufać. Z kolei na jego pytanie, czy w życiu jej męża były jakieś osobliwości, początkowo nie odpowiadała. Uznała jednak, że - patrząc z perspektywy - życie Schlesingera wydaje się równie wielką zagadką co jego tajemnicza śmierć.

Gdyby profesor przeczuwał, że przeciwko niemu jest prowadzone śledztwo przez Federalną Służbę Wywiadowczą i Okręgowy Urząd Kryminalny, natychmiast odłożyłby słuchawkę. W sugestiach Felicii Schlesinger dojrzał jednak nowy promyczek nadziei na odsunięcie od siebie podejrzeń. Być może wystarczyłaby jedna mała wskazówka, żeby rzucić światło na nieprzenikniony mrok spowijający całą aferę. Dlatego nie miał żadnych oporów, kiedy Felicia poprosiła, żeby ją odwiedził w jej domu nad jeziorem Tegern.

Dom był położony wysoko nad jeziorem i można było do niego dojechać jedynie nadbrzeżną drogą, wąską i stromą, która kilkakrotnie zmieniała kierunek. Gropius z trudem prowadził samochód zakosami. Kiedy dotarł na górę, roztoczył się przed nim zapierający dech w piersiach widok na jezioro i otaczające je góry. Ktoś, kto położony tutaj dom mógł nazwać swoim, nie należał do uboższej części społeczeństwa.

Ku swojemu zdumieniu Gropius nie dostrzegł żadnego podejrzanego samochodu, który jechałby za nim nad jezioro Tegern. Kiedy teraz dzwonił do drzwi opatrzonych tabliczką z nazwiskiem Schlesinger, raz jeszcze rozejrzał się wokół siebie, ale nie odkrył niczego podejrzanego.

Felicia zaprosiła gościa do wielkiego salonu z ukośnym drewnianym stropem i szklanymi ścianami, które zapewniały widok na dolinę.

- Musi pan zrozumieć - powiedziała Felicia, stawiając kawę na okrągłym stoliku - że nie jest mi łatwo pogodzić się z nową sytuacją. I oczywiście byłam nieufna, kiedy poprosił mnie pan o spotkanie. Tymczasem jednak odniosłam wrażenie, że z powodu śmierci Schlesingera cierpi pan niemal tak samo jak ja. W każdym razie nie mogę sobie wyobrazić, żeby był pan zamieszany w handel narządami, którym zajmuje się mafia.

Zdziwiony i uradowany Gropius zapytał:

- Z czego jednak wynika pani pewność w tej sprawie?

Felicia lekko zmieszana spojrzała na krajobraz za szybą. Właśnie zaczynała padać lekka mżawka.

- Pewność? - powtórzyła. - Nie, nie mogę mówić o pewności. Chodzi raczej o mój instynkt, z nim zaś wiążą się pewne okoliczności.

Profesor spojrział na Felicię Schlesinger pytająco.

- Ach, wie pan, kilka dni temu zaczęłam przeglądać dokumenty, notatki, listy... Słowem: wszystko, co zostało po mężu. Początkowo czyniłam to niechętnie, czułam się jak intruz wdzierający się w życie drugiego człowieka. Później jednak powiedziałam sobie: „Arno był twoim mężem, prędzej czy później i tak będziesz musiała uporządkować jego spuściznę”. Szperałam więc w jego życiu przez całą noc, a im więcej dokumentów zobaczyłam, tym bardziej obcy stawał się mój mąż, z którym przeżyłam cztery lata w małżeństwie. Tak, żyłam poślubiona obcemu człowiekowi. Nie chodzi o to, że każde z nas miało swoje zajęcie, zarabiało własne pieniądze i że czasem nie widzieliśmy się całymi tygodniami. Doskonale odpowiadało to naszej wizji związku, w którym każdy partner ma przestrzeń tylko dla siebie i sporą dozę wolności. Chodzi raczej o to, że nagle musiałam uznać, że Arno Schlesinger wiódł życie zupełnie inne, niż udawał, że prowadzi.

- Jakaś inna kobieta? - Gropius przeraził się własnego pytania i pośpiesznie dodał: - Och, proszę mi wybaczyć niedyskrecję!

Felicia w skupieniu mieszała w filiżance, po czym nie podnosząc wzroku, powiedziała:

- Inna kobieta? Kto wie, choć wcale bym się nie zdziwiła, gdybym i w tej kwestii coś jeszcze odkryła.

- Mówi pani, że mąż prowadził podwójne życie? W kilku miejscach, w innym otoczeniu? Miał inne zainteresowania?

- Chyba można tak powiedzieć.

- A czy jego śmierć może być z tym związana?

- Takie w każdym razie jest moje wyjaśnienie.

Gropius zrobił zmartwioną minę, jakby chciał powiedzieć: „Chętnie bym w to uwierzył.

Wtedy Felicia Schlesinger wstała i poszła do pokoju obok. Wracając, trzymała w dłoni kilka zszytych kartek papieru. Już miała się odezwać, gdy dzwonek przy drzwiach wejściowych zapowiedział jakiegoś gościa. Felicia odłożyła dokumenty na okrągły stolik i poszła otworzyć.

- Poczta kurierska - wyjaśniła przepraszająco po powrocie i odłożyła żółtą paczkę. Po czym wzięła do ręki plik kartek i powiedziała: - Proszę spojrzeć, dość przypadkowo na to natrafiłam. Szwajcarskie konto na nazwisko Arno Schlesinger z wkładem ponad dziesięciu milionów euro.

Gropius cicho gwizdnął przez zęby, co nie było w jego zwyczaju, ale bywają sytuacje, które wyzwalają nietypowe reakcje. To właśnie była taka sytuacja. Następnie zapytał:

- I pani nic nie wiedziała o tym koncie? Chodzi mi o to, że dziesięć milionów to właściwie suma wystarczająca, żeby młodo przejść na emeryturę. Jest pani pewna, że to konto w ogóle istnieje?

Felicia uniosła ręce i kiwnęła głową:

- Już się dowiadywałam. Z kontem wszystko jest jak należy. Poza tym udało mi się dowiedzieć, jak te pieniądze trafiły na konto. Arno wpłacił je w gotówce, tak po prostu, z walizki!

- I mąż nigdy nie sugerował, że w istocie jest pani obrzydliwie bogata, proszę wybaczyć określenie.

- Nigdy. W przeciwieństwie do mnie Arno żył raczej skromnie. Ja wydaję sporo pieniędzy na ubrania i buty. Ale też dobrze zarabiam. Powinam zanosić pieniądze do banku i codziennie głąskać wyciągi z konta?

- Pani mąż najwidoczniej to robił!

- Na to wygląda - potwierdziła Felicia. - Ale to jeszcze nie wszystko.

Zabrała ze stolika wyciągi bankowe i zniknęła w tym samym pokoju, z którego je wcześniej przyniosła.

Wzrok Gropiusa mimowolnie spoczął na żółtej paczce. Wydarzenia ostatnich dni uczuliły go, żeby podejrzewać wszystko i każdego, a dopiero co uzyskane informacje nie rozwiały jego wątpliwości. Dlatego ukradkiem zerknął na paczkę, przeczytał etykietkę z adresem odbiorcy, była nim Felicia Schlesinger, oraz danymi nadawcy - znanej firmy wysyłkowej.

- W tym domu jest więcej zagadek! - Mówiąc to, Felicia wróciła z sąsiedniego pokoju. W dłoniach trzymała plik biletów lotniczych. - Wszystkie na nazwisko Arno Schlesinger, w większości z zeszłego roku. Rzym, Paryż, Turyn, Londyn, Tel Awiw-Jafa, jeden do Miami, a ten na Key West, nawet nie użyty. Arno jednak twierdził, że w tym czasie przebywał na wykopaliskach w Izraelu.

- Jest pani pewna? - Gropius spojrział na Felicię badawczo.

- Pewna? Co znaczy „pewna”? - mruknęła Felicia ze złością i Gropius po raz pierwszy zauważył ciemną żyłę, która nabrzmiała na jej czole.

- Regularnie dzwoniłiśmy do siebie i od czasu do czasu przychodził list z Izraela. Dlaczego Arno miałby przede mną odgrywać taki teatr? Byliśmy niezłym małżeństwem, tak przynajmniej sądziłam do jego śmierci. Ale może byłam zbyt łatwowierna i ufna, może byłam po prostu zbyt głupia.

- Głos Felicii pobrzmiwał złością i smutkiem, gdyż kobiety nic bardziej nie rani, niż nadużycie zaufania.

Wydawało się, że Gropius przestał słuchać.

- Czy pani spodziewała się paczki? - zapytał prosto z mostu.

Zatopiona w myślach, spojrzała na niego, po czym wzięła paczkę, odczytała nadawcę, pokręciła głową i odparła:

- Nie. Pojęcia nie mam, czemu w ogóle przyszła. Jakiś dom wysyłkowy.

Zdenerwowanie profesora nie uszło uwagi Felicii. Poznała Gropiusa jako człowieka doświadczonego, który potrafi się znaleźć w każdej sytuacji. Teraz zauważyła na jego czole kropelki potu i dostrzegła, że ręce mu drżą.

- Co z panem, profesorze? - zaniepokoiła się Felicia i zaczęła otwierać paczkę, ale Gropius podszedł do niej, wyrwał jej z dłoni przesyłkę i położył pod oknem na podłodze. Następnie chwycił Felicię za przeguby i spojrział na nią przenikliwie. - Pani Felicio! To jest bomba! W żadnym razie nie wolno pani otwierać tej paczki.

Felicia wpatrywała się w niego z przerażeniem.

- Co robić?
- Trzeba się tego pozbyć, wyrzucić!
- Ale gdzie? - zapytała Felicia, teraz także ogarnięta niepokojem.
- Usunąć stąd. Przede wszystkim usunąć! - Gropius wybiegł przed dom, otworzył bagażnik swojego samochodu, wrócił i wyniósł paczkę na zewnątrz, żeby umieścić ją w bagażniku.

- Czy nie powinniśmy zawiadomić policji? - zawołała Felicia, podczas gdy Gropius wsiadał do samochodu i uruchamiał silnik.

- Później! - usłyszała jeszcze odpowiedź Gropiusa. Po czym samochód zniknął za najbliższym zakrętem.

Jak sparaliżowany, Gropius prowadził jaguara w dół po wąskiej górskiej drodze. Kierował się ku położonej w oddali samotnej żwirowni. W tej chwili nie był do końca pewien, czy działa słusznie. Pomyślał, że być może zapłaci za tę akcję ośmieszeniem się. Może tego, co spadło na niego w ciągu ostatnich dni, było po prostu za dużo, żeby znieść to bez urazu psychicznego. Być może było to najbardziej bezsensowne działanie, jakie można było podjąć - jechać samochodem z bombą w bagażniku, bez szansy przeżycia, gdyby nastąpiła eksplozja. Było mu niedobrze ze strachu. Chciał zwymiotować, ale gardło miał jak zasznurowane. Przed oczami, w mżącym deszczu, rozmywała się wąska wstęga drogi. Gropius się zaśmiał, zaśmiał się głośno i zuchwale, jak to bywa w chwilach ogromnego strachu. Śmiał się, ponieważ przeszło mu przez głowę, że oto w panice wyprowadził na spacer bardzo wybuchową paczkę i zakończy żywot na najbliższym drzewie, bez powodu i niczego nie osiągnąwszy.

Tym sposobem dotarł do nabrzeżnej szosy i skręcił w prawo. Wiedział, że kilka kilometrów na północ, w Gmund, odchodzi droga w kierunku Schliersee. Zaraz za odgałęzieniem leżała żwirownia. Właśnie tam chciał odstawić samochód z niebezpiecznym ładunkiem i zawiadomić policję.

Kiedy Gropius był już prawie przy odgałęzieniu drogi, zadzwoniła do niego Felicia, łącząc się z telefonem w samochodzie. Głos jej się łamał:

- Profesorze Gropius, jakiś nieznajomy właśnie do mnie zadzwonił z pytaniem, czy otrzymałam paczkę. Powiedziałam, że tak, a on oświadczył, że jeśli mi życie miłe, to powinnam jak najszybciej opuścić dom. O godzinie szesnastej paczka wraz z całym domem wyleci w powietrze.

Gropius usłyszał każde słowo, ale nie był zdolny do żadnej reakcji. Jechał dalej przed siebie z dużą prędkością.

- Gropius! - usłyszał stanowczy głos Felicii. - Gropius, czy pan mnie zrozumiał?

- Tak- odpowiedział powoli. - A która jest godzina?

- Dokładnie szesnasta.

Gropius nacisnął na hamulec. Po prawej stronie rozpoznał polną drogę prowadzącą do żwirowni. Zachowując się jak automat, skierował tam samochód, zatrzymał go w pół drogi, wyłączył silnik, wysiadł, zastanowił się jeszcze, czy ma zamknąć drzwi, ale wybrał ucieczkę. Biegł, a raczej pędził co sił w nogach w kierunku, z którego przybył. Przebiegł przez szosę i pomknął dalej w mokre od deszczu zarośla. Samochód już dawno był poza zasięgiem jego wzroku, kiedy szarówkę rozdarł błysk, po czym nastąpił głuchy huk i przeszła fala uderzeniowa, która przewróciła Gropiusa na ziemię. Instynktownie zakrył głowę obiema rękami i ukrył twarz w wilgotnym mchu. Sądził, że stracił przytomność, ale sama ta myśl wskazała, że nie jest tak źle.

Po pewnym czasie, którego nie był już w stanie oszacować, Gropius odważył się podnieść głowę. Przed sobą zobaczył potężne płomienie. Wtedy zaczął płakać jak małe dziecko. Pewny siebie profesor, o którym nikt z najbliższego otoczenia nie mógł powiedzieć, że widział go spiętego czy choćby zmieszanego, teraz zwyczajnie szlochał.

Początkowo Gropius przykucnął i przywarł do ziemi, następnie podniósł się trochę na rękach i niezdolny do żadnego działania, skierował wzrok na lunę za drzewami. Głośny trzask płomieni i niewielkie wybuchy robiły niesamowite wrażenie.

- Profesorze Gropius!

Przeraził się, słysząc obok siebie głos. Skołowany, nie zmieniając pozycji, spojrział w bok. Jakby wyrosli spod ziemi, w mglistym półmroku stali przed nim dwaj mężczyźni w ciemnych płaszczach.

- Nic się panu nie stało? - zapytał jeden, a drugi wyciągnął coś z kieszeni płaszcza, pokazał Gropiusowi i powiedział: - Policja kryminalna. Ależ miał pan szczęście.

Mężczyzna podszedł do wciąż kucającego profesora i pomógł mu wstać.

- Szczęście, jak to szczęście? - zapytał Gropius wyraźnie zdezorientowany.

Obaj policjanci mieli doświadczenie w postępowaniu w takich sytuacjach, dlatego nie zwrócili uwagi na jego słowa.

- Ogień! - wymruczał Gropius i wskazał wyciągniętą ręką na płomień, jakby tych dwóch mężczyzn ich nie zauważyło.

Jeden z nich chwycił Gropiusa pod ramię, żeby go odciągnąć.

- Już dobrze - powiedział uspokajająco. - Straż pożarna jest zawiadomiona. Niech się pan cieszy, że przeżył zamach. Proszę z nami!

Jakby sprawdzenie czasu miało w tej chwili jakieś znaczenie, Gropius spojrzął na zegarek. Wskazówki pokazywały godzinę szesnastą dziewiętnaście. W milczeniu poszedł za policjantami w stronę drogi. Czekają tam beżowe bmw, jeden z tych niepozornych samochodów, które śledziły go od kilku dni. W tej jednak chwili nie zwróciło to jego uwagi.

Drzwi samochodu były otwarte, jakby pojazd opuszczano w ogromnym pośpiechu.

Poproszono Gropiusa, żeby zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Następnie samochód zawrócił i pojechał w kierunku autostrady. Podczas jazdy policjant siedzący obok kierowcy rozmawiał telefonicznie z różnymi urzędami. Z przeciwnej strony nadjeżdżał samochód z niebieskim kogutem i straż pożarna na syrenie. Kiedy bmw skręciło na autostradę w kierunku Monachium, Gropius doszedł do siebie. Dopiero teraz był w stanie jasno myśleć.

Zupełnie wypadło mu z pamięci, co się działo od jego pośpiesznego wyjścia z domu Felicii. Teraz z całych sił starał się to sobie przypomnieć, ale bezskutecznie. Przed oczami ciągle miał żółtą paczkę z adresem Felicii i nadawcą, jednym z domów wysyłkowych.

- Żółta paczka - mruknął pod nosem. - Żółta paczka.

- Co pan powiedział? - policjant odwrócił się do niego.

- A, nic. Usiłuję tylko coś sobie przypomnieć. Bomba była ukryta w żółtej paczce. Tak, była to żółta paczka zaadresowana na Felicię Schlesinger.

Policjanci wymienili bardzo znaczące spojrzenia, po czym mężczyzna siedzący obok kierowcy chwycił za telefon i przekazał komuś tę informację. Gropius przysłuchiwał się obojętnie, jakby cała sprawa zupełnie go nie dotyczyła.

Nagle jednak zadał pytanie:

- Właściwie to jakim sposobem znaleźli się panowie tak szybko na miejscu?

Nie odrywając wzroku od drogi - samochód jechał ze sporą prędkością - kierowca odparł: .

- W pańskim samochodzie od kilku dni jest lokalizator. Cały czas wiedzieliśmy, gdzie się pan znajduje. Czy wie pan, kto mógł panu zamontować tę pluskwę?

- Jak to? - zdziwił się Gropius. - Chce pan przez to powiedzieć, że lokalizator został zainstalowany przez kogoś innego?

Kierowca, młody człowiek z długimi tłustymi włosami, zaśmiał się sztucznie.

- Otóż to. Tani gadżet o niewielkim zasięgu, do zlokalizowania przez pierwszą z brzegu antenę przeszukującą.

- Dokąd właściwie panowie mnie zabierają? - zapytał Gropius po dłuższym namyśle, nie dochodząc jednak do żadnego wniosku.

- Do naszego urzędu - odpowiedział policjant. - Sądzę, że jest pan nam teraz winien kilka wyjaśnień!

- Wyjaśnień? - Gropius pokręcił głową i zatopił się w rozmyślaniach.

Budynek stojący w pobliżu dworca głównego sprawiał wrażenie ciasnego, zimnego i opuszczonego. Wolf Ingram, szef specjalnej komisji do sprawy zabójstwa Schlesingera, okazał się jednak uprzejmy i niezwykle grzeczny dla Gropiusa, w każdym razie zupełnie inny niż prokurator Renner, którego profesor wciąż wspominał bardzo nieprzyjemnie.

Z rutyną właściwą doświadczonemu funkcjonariuszowi policji kryminalnej Ingram przedstawił Gropiusowi jego prawa, poprosił o możliwość nagrywania rozmowy i na początek zadał pytanie:

- W jakich stosunkach pozostaje pan z panią Schlesinger?

Pytanie było aż nadto oczywiste i Gropius spodziewał się, że prędzej czy później zostanie mu ono zadane. Dlatego udając odprężonego, odpowiedział:

- W absolutnie żadnych, jeśli ma pan na myśli to, co sądzą, że chce pan zasugerować. Zna pan zapewne nieszczęśliwe okoliczności, jakie sprawiły, że poznałem panią Schlesinger. Spotkałem się z nią po raz pierwszy kilka dni temu. Sądziłem, że wdowa zdoła rzucić jakieś światło na okoliczności śmierci męża. Podobnie jak wcześniej, nadal jestem zdania, że klucza do tej zbrodni należy szukać u samego Schlesingera. Na dziś umówiliśmy się na drugie spotkanie.

- Kto o nim wiedział?

- Nikt poza panią Schlesinger i mną.

- A jak bomba znalazła się w pańskim samochodzie?
- Sam włożyłem paczkę do bagażnika.

Ingram, siedzący za swoim biurkiem naprzeciw profesora, spojrzął na niego przenikliwie.

- Musi mi pan to dokładniej wyjaśnić!
- Cóż, rozmawialiśmy i pani Schlesinger zasugerowała, że jej mąż prowadził własne życie, jeśli można się tak wyrazić, dość osobliwe życie, które prowokuje pewne pytania. Mnie to jednak nie dotyczy. Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Kurier przyniósł paczkę, wielkości około dwudziestu na trzydzieści centymetrów, zaadresowaną na nazwisko Felicii Schlesinger. Nadawcą był jakiś dom wysyłkowy o nazwie „Fontana”.

- Tym bardziej zdumiewające, że pan tę paczkę włożył do bagażnika swojego samochodu.

- Nie zrobiłem tego od razu! Na moje pytanie, czy spodziewała się jakiejś przesyłki z domu wysyłkowego, pani Schlesinger zaprzeczyła. To wzbudziło moją nieufność. Miałem złe przeczucie, i choć pan mi nie uwierzy, jakiś wewnętrzny głos mówił mi: „W paczce jest bomba”.

Ingram zmierzył Gropiusa uważnym wzrokiem.

- Wiem, co pan teraz myśli - podjął Gropius swoją opowieść. - Sądzi pan, że jestem obłąkany albo że wymyśliłem sobie jakąś przygodową historię, równie wątpliwą jak humor w Biblii.

- Ależ skąd! - przerwał mu Ingram. - Dochodzenie w takich sprawach jak ta to ciąg rzeczy wątpliwych, które jednak odpowiednio połączone, tworzą logiczną całość. Dlatego wierzę panu, profesorze. I o ile dobrze pana rozumiem, chciał pan możliwie szybko pozbyć się z domu paczki, w której jak się pan domyślał, znajduje się bomba. Jak na to zareagowała pani Schlesinger?

Gropius się zawahał.

- Teraz już nie wiem. W tym miejscu pamięć mnie zawodzi. Moje działanie było podyktowane jedną tylko myślą: „Pozbyć się bomby!”. - Jak to się stało, że wysiadł pan z samochodu zaraz przed wybuchem? Gropius wzruszył ramionami.

Od kilku godzin Felicia Schlesinger starała się dodzwonić na telefon w samochodzie Gropiusa. Słyszała jednak wciąż ten sam sztuczny głos mówiący: „Abonent jest chwilowo niedostępny”. Ogarnięta niepokojem, z -

założonymi rękami chodziła tam i z powrotem po salonie. Co kilka chwil zatrzymywała się i przez wielkie szyby patrzyła w dół, na jezioro, na którego przeciwległym brzegu światła oświetlały promenadę. Jej myśli krążyły wokół żółtej paczki, z którą Gropius tak pośpiesznie zniknął, a także wokół telefonicznej groźby nieznanego. Wciąż jeszcze wydarzenia tego popołudnia zdawały jej się nierealne, ale dwie filiżanki po kawie na stoliku uzmysławiały jej wyraźnie, że ten koszmar był rzeczywisty. Im dłużej nie mogła się dodzwonić do Gropiusa, tym bardziej była przekonana, że coś musiało mu się stać.

Około dziewiętnastej włączyła telewizor. W codziennych wiadomościach była omawiana awaria tankowca u zachodnich wybrzeży Afryki, samobójczy zamach w Izraelu i w końcu pojawiła się wiadomość, na którą Felicia bezwiednie czekała:

- Późnym popołudniem na drodze regionalnej nad jeziorem Tegern eksplodował samochód. Zgodnie z danymi policji chodziło o zamach bombowy. Detonacja była tak potężna, że szczątki samochodu zostały rozrzucone w promieniu ponad stu metrów. Po pasażerach jak dotąd nie ma śladu.

Felicia wpatrywała się w mrok za oknem. Przez chwilę nic do niej nie docierało. Dopiero stopniowo, gdy dostrzegła swoje odbicie w szybie, ponura rzeczywistość wtargnęła w jej świadomość. Żeby nie upaść, obiema rękami oparła się o okno. Gropius nie żyje. „Ale właściwie - pomyślała - to przecież ja byłam celem zamachu!”. Jej żołądek się buntował, jakby pokłnęła stado szarańczy. Patrząc martwo przed siebie, Felicia z trudem doszła do fotela i zapadła się w nim. Po głowie krążyły jej strzępy niepowiązanych myśli: „Pieniądze szczęścia nie dają, a pieniądze nieznanego pochodzenia tym bardziej. Kto raz zabił, zabije po raz drugi! Co Schlesinger przed nią taił?”.

Nagle Felicia poczuła się obca i opuszczona w tym wielkim domu. Przeszedł ją dreszcz. Ogarnął ją strach, jakieś rozmyte wyobrażenie ludzi, którzy na nią polowali. I jak we śnie, kiedy niewyjaśniona siła powoduje, że nogi są ciężkie i nie sposób biec dalej, Felicia była śmiertelnie przerażona.

Po pewnym czasie, kiedy napięcie wreszcie ustąpiło, wzięła drżący głęboki oddech i wstała. W sypialni zapakowała do torby bieliznę i kilka sukienek, narzuciła lekki płaszcz i przez przedpokój zeszła do garażu. Torbę

położyła w swoim golfie na siedzeniu obok kierowcy, nacisnęła przycisk i drzwi garażowe uniosły się w górę. Już chciała wsiadać, kiedy od strony drogi podeszło do niej dwóch mężczyzn.

- Pani Schlesinger?

- Tak? - powiedziała ze złością.

- Nazywam się Ingram, jestem szefem specjalnej komisji, która ma wyjaśnić sprawę śmierci pani męża. To jest mój kolega Murau. Wyniknęła nowa sytuacja...

- Czy on nie żyje? - przerwała mu Felicia.

- Kto?

- Gropius!

- Żyje. Profesor Gropius opuścił pojazd na chwilę przed wybuchem bomby. Skończyło się, jak to mówią, na strachu.

Ponieważ Felicia miała uczucie, że zaraz upadnie, oparła się o maskę swojego volkswagena. Złożone dłonie ścisnęła między kolanami i wpatrywała się tępo w podłogę.

Ingram okazał zrozumienie dla zachowania Felicii i dał jej trochę czasu, zanim zadał pytanie:

- Pani wyjeżdża?

- Wyjeżdżam? - Felicia spojrzała z irytacją. - Muszę stąd zniknąć! Słyszysz pan, boję się. Boję się, boję!

- Rozumiem panią - odparł Ingram spokojnym głosem. - Mimo to chciałbym prosić, aby odpowiedziała pani na kilka pytań. To ważne. W tych okolicznościach również dla pani!

Felicia wraz z policjantami wróciła do domu i poprosiła, żeby usiedli.

- Rozmawialiśmy z profesorem Gropiusem o szczegółach zajścia - zaczął Ingram - i przedstawił nam przebieg wypadków ze swojego punktu widzenia. Teraz chciałbym usłyszeć pani wersję.

- I naprawdę Gropiusowi nic się stało? - zapytała raz jeszcze Felicia.

- Nic - odparł Murau. - Znaleźliśmy go klęczącego na skraju lasu, z twarzą w mchu, oddalonego o dobre sto metrów od płonącego wraku samochodu.

- Pani wie - ciągnął Ingram - że profesor uratował pani życie.

Felicia wyglądała na zdenerwowaną. Rozczapierzonymi palcami starała się przyczesać włosy związane z tyłu, chociaż nie było takiej potrzeby.

- To wie pan już prawie wszystko - zaperzyła się.

Ingram pokręcił głową.

- Proszę uwierzyć doświadczonemu policjantowi. Kiedy jest dwóch świadków jakiegoś wydarzenia, to są trzy wersje jego przebiegu. Czy ma pani jakieś podejrzenie, kto mógłby stać za tym zamachem? Muszę o to zapytać: Czy ma pani wrogów, po których mogłaby się pani tego spodziewać?

Żadnemu z mężczyzn nie uszło uwagi, że kiedy Felicia się zastanawiała, przyciskała do siebie zaciśnięte pięści, jakby miała tam ukrytą jakąś tajemnicę.

- Nie - odpowiedziała wreszcie. - Na co dzień mam do czynienia z kolekcjonerami sztuki, dla których działam jako pośrednik. Istnieje rywalizacja, taka jak wszędzie, ale używa się tutaj raczej książeczek czekowych niż materiałów wybuchowych. Zwycięża ten, kto zapłaci więcej.

- A pani mąż. Czy on miał wrogów?

- Arno? Był archeologiem i zajmował się inskrypcjami na starożytnych murach. Były czasem właśnie w kręgach kolegów, kiedy bronił jakiejś teorii, którą ktoś inny odrzucał. Ale czy to są wrogowie? Wrogowie, którzy czyhają na czyjeś życie?

Ingram wyjął z kieszeni notatnik.

- Czy może pani opisać kuriera, który przyniósł paczkę? Jaki miał samochód?

Felicia prychnęła.

- Sama sobie zadawałam już to pytanie. Jedyne co pamiętam, to że był wysoki i szczupły i że miał na sobie szary lub niebieski kombinezon. Samochód, taki furgon, zaparkował w pewnej odległości od domu. Nie zajmowałam się tym. - Po krótkim zastanowieniu dodała: - Jedyne czego nie pojmuję, to tamtego telefonu!

- Telefonu? Jakiego telefonu?

- Gropius z paczką właśnie wybiegł z domu, gdy nagle zadzwonił telefon. Czyjś głos powiedział, że o szesnastej wybuchnie bomba w paczce i że mam jak najszybciej wyjść z domu.

- Kiedy to było?

- Minutę lub dwie minuty przed szesnastą! Jaki powód miał nieznajomy, żeby mnie ostrzegać? Jakiś pomylenieć przysłała mi do domu bombę, a potem ostrzega mnie przed nią! Nie mieści mi się to w głowie.

Ingram nie wnikał dalej w rozważanie wątpliwości Felicii. Jako ekspert w dziedzinie terroryzmu spoglądał na te wydarzenia z innego punktu widzenia.

- Czyli wiedziała już pani - zaczął w końcu - że w paczce jest bomba. Wiedziała pani również, że profesor Gropius jedzie z nią swoim samochodem. Musiało to być dla pani okropne uczucie!

- Uczucie?! - zawołała Felicia Schlesinger zirytowana. - Nie było czasu na żadne uczucia. W głowie kołatała mi się tylko jedna myśl: „Trzeba ostrzec Gropiusa”. Miałam gdzieś jego wizytówkę. Wydawało mi się, że trwało całą wieczność, zanim ją znalazłam w torebce, choć upłynęła najwyżej minuta. W końcu dodzwoniłam się na telefon Gropiusa w samochodzie.

- Zdołała pani ostrzec Gropiusa? - zdziwił się Ingram. - Profesor nic o tym nie mówił.

Przez chwilę Felicia sprawiała wrażenie zdezorientowanej. „Oczywiście, że dzwoniła do Gropiusa! A może jednak nie?” Absurdalność całego wydarzenia spowodowała, że zaczęła wątpić w siebie i własne działania. Później jednak przypomniała coś sobie.

- Gropius zapytał jeszcze, która godzina. „Szesnasta”- powiedziałam. Potem połączenie się przerwało.

Ingram i Murau wymienili spojrzenie, którego Felicia nie umiała zinterpretować. Przez kilka sekund trwało niezręczne milczenie, a Felicia zadawała sobie niepewnie pytanie, jakie wnioski mogą wyciągnąć urzędnicy policji kryminalnej z jej zeznania.

- Wciąż jestem dość mocno zdezorientowana - dodała w końcu. - Z pewnością pan to rozumie. I dlatego wolałabym nie spędzać nocy w tym domu, lecz w jakimś hotelu w mieście. W ciągu najbliższych dni będę osiągalna w „Park-Hilton” w Monachium.

Jeszcze mówiła, kiedy zadzwonił telefon. Felicia się wzdrygnęła. Również Ingram zrobił zatroskaną minę.

- Czy ma pani coś przeciwko temu, żebym się przysłuchiwał? - zapytał prawie szeptem.

Felicia się zgodziła, po czym podniosła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha. Ingram podszedł bliżej i nasłuchiwał. W słuchawce odezwał się Gropius.

- Mój Boże! - zawołała Felicia z ulgą. - Nieźle mnie pan przestraszył.

Kiedy Ingram poznał głos Gropiusa, dyskretnie odszedł na bok. - Już bałam się najgorszego, kiedy nie mogłam się dodzwonić - powiedziała Felicia. Jej słowa zabrzmiały patetycznie i nienaturalnie. - Właśnie

przesłuchiwało mnie dwóch policjantów. Teraz chcę się stąd wynieść. Będę nocować w hotelu „Park-Hilton”, chociaż jestem pewna, że nie zasnę nawet na minutę. A jak pan się ma, profesorze?

Udając obojętność, policjanci starali się sprawiać wrażenie, że ta rozmowa zupełnie ich nie interesuje, w rzeczywistości jednak na podstawie reakcji Felicii próbowali zbudować obraz relacji między nią i Gropiusem. Nie przeoczyli więc faktu, że tych dwoje umówiło się na spotkanie jeszcze tego samego wieczoru.

Tuż przed godziną dwudziestą drugą profesor Gropius wszedł do dyskretnie oświetlonego holu hotelu „Park-Hilton” w Ogrodzie Angielskim. Mimo późnej pory panował tutaj duży ruch. Japońska wycieczka wraz z mnóstwem bagaży zastawiła Gropiusowi przejście, tak że musiał pomagać sobie rękami, żeby dotrzeć do upatrzonego celu, czyli foteli pod potężną rośliną. Właśnie miał siadać, kiedy zza tej dżungli wyszła Felicia.

Zrobiła na nim wrażenie małej, słabej i kruchej istoty, zupełnie innej niż tamta pewna siebie kobieta, którą miał w pamięci. Było widać, że ten dzień wstrząsnął nią do głębi. „Przykro mi - mówiło jej spłoszone spojrzenie - że wciągnęłam pana w tę sprawę”. A może mówiło też: „Uratował mi pan życie. Jak mam dziękować?”.

W chwilach takich jak ta zwykle nie ma stosownych słów, dlatego oboje milczeli jedynie spoglądając na siebie. Podświadomie Gropius zrobił krok w kierunku Felicii. I nagle gwałtownym ruchem wpadli sobie w objęcia. Gregor okrywał twarz Felicii pocałunkami, mocno i namiętnie, ona zaś odwzajemniła ten wybuch uczuć, przytulając się do niego zapamiętale. Oboje zupełnie zapomnieli, że kierują się na nich niezliczone spojrzenia ludzi w zatłoczonym holu hotelowym.

Pierwszy opamiętał się Gropius. Zmieszany, jakby posunął się do czegoś niestosownego, niezgrabnie odsunął Felicię. Wtedy i ona doszła do siebie. Z zakłopotaniem skubała ubranie, ściągnęła twarz, jak kobiety przed lustrem w trakcie wykonywania makijażu. Usłyszała, jak Gropius mówi:

- Proszę mi wybaczyć moje niestosowne zachowanie. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

W pierwszej chwili Felicia uznała tę uwagę za niemal obraźliwą. Jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie przepraszał jej za pocałunek, w dodatku

namiętnie odwzajemniony. Później jednak pomyślała o szczególnych okolicznościach, w których nastąpił ich namiętny uścisk, i odpowiedziała:

- Ja także powinnam przeprosić.

Kiedy następnie usiedli naprzeciw siebie w fotelach z czarnej skóry, z łokciami na podłokietnikach i złożonymi rękami, oboje wyglądali na spiętych i wycofanych. Żadne nie umiało odpowiednio zacząć rozmowy.

- Musiałam stamtąd wyjść - odezwała się wreszcie Felicia. - Nie mogłam już wytrzymać w tym domu.

Gropius bez słowa pokiwał głową.

- Przykro mi, że wciągnęłam pana w coś, z czym najwidoczniej nie ma pan nic wspólnego. Zastanawiałam się nad tym, a po naszej rozmowie i po zamachu bombowym uświadomiłam sobie, że pan naprawdę nie miał nic wspólnego ze śmiercią mojego męża.

Gropius, który siedział prosto i sztywno, patrząc na swoje niewyczyszczone buty, teraz podniósł wzrok. Bardzo chciał uwierzyć Felicii, tymczasem jednak nabrał całkowicie odmiennego przekonania. Było dla niego niepojęte, żeby ktoś najpierw chciał usunąć Arna Schlesingera w tak bardzo ryzykowny, nietypowy sposób, by potem równie niezwykle próbować zabić jego żonę. Wprawdzie po przesłuchaniu na policji odniósł wrażenie, że nawet Ingram nie uważa go już za kluczową postać tych tajemniczych wydarzeń, lecz on sam nie mógł wierzyć, że to przypadek zrzucił na niego to wszystko. Był przecież lokalizator w jego samochodzie, był głos w telefonie, który mu sugerował powstrzymanie badań, i była Veronique z próbą szantażu.

Myśli te przerwał gadatliwy kelner - szczęśliwa okoliczność, gdyż dzięki temu Gropius nie musiał reagować na uwagę Felicii.

- Szampana? - zapytał Gropius.- Oboje mamy dość powodów, żeby obchodzić urodziny.

Felicia przytaknęła.

Gropius zamówił butelkę Veuve Cliquot i żeby rozerwać trochę siebie i Felicię, opowiedział jak świetnie można zjeść w piwnicach wdowy Cliquot w Reims, gdzie w każdym korytarzu podają inny gatunek szampana.

Wspomnienia Gropiusa w najmniejszym stopniu nie zainteresowały jednak Felicii.

- Czy może mi pan wyjaśnić, co mogło skłonić tamtego mężczyznę do tego, żeby mnie telefonicznie uprzedzić o bombie? - przerwała jego wywody.

- Przecież to jest wewnętrznie sprzeczne, żeby przysłać mi do domu ładunek wybuchowy i jednocześnie mówić: „Uwaga, tu jest bomba!”.

Gropius w zamyśleniu śledził, jak kelner otwiera butelkę szampana i napełnia kieliszki.

- Chciano panią nastraszyć, prawdopodobnie po to, żeby spełniła pani jakieś żądania. Czy jest pani szantażowana?

- Nie.

- Albo sprawca chciał wysadzić w powietrze tylko dom, ponieważ przypuszczał, że jest tam jakiś dowód przeciwko niemu.

- A dlaczego chciano mnie przy tym oszczędzić?

Gropius się uśmiechnął.

- Być może z powodu chrześcijańskiej miłości bliźniego. Kto wie? Albo...

- Albo?

- Nie jestem pewien, czy ten zamach nie był jednak skierowany przeciwko mnie. W moim samochodzie znajdował się lokalizator. Rzekomo nie zainstalowany przez policję. Cały czas wiedziano więc, gdzie się akurat znajduje.

- A czy pan ma wrogów, profesorze?

Gropius machnął ręką.

- Najwidoczniej więcej, niż się obawiałem... Ale teraz musimy wznieść toast. Za nasze nowe życie!

Kieliszki wydały dźwięczący jęk.

ROZDZIAŁ 4

Zamach na Gropiusa, skierowany właściwie przeciwko Felicii Schleginger, wprowadził stan najwyższej gotowości we wszystkich urzędach uczestniczących w wyjaśnianiu sprawy. Eksperci od materiałów wybuchowych z Okręgowego Urzędu Kryminalnego wykryli w szczątkach wraku jaguara ślady wybuchowego plastiku C4, tym samym sprawa nabrała nowego wymiaru.

Ostatni wypadek użycia w Niemczech tego niebezpiecznego materiału wybuchowego odnotowano prawie dziesięć lat wcześniej. Nieoczekiwane pojawienie się plastiku w arsenale grup przestępczych uruchomiło więc wszystkie dzwonki alarmowe. W Federalnej Służbie Wywiadowczej w Pullach czteroosobowy zespół zajmował się odszyfrowaniem kodu „IND”, pod którym, jak się domyślano, krył się nadawca przejętego e-maila. Deszyfranci posługiwali się opracowanym na własne potrzeby najnowszym programem komputerowym, który w ciągu sekundy zamienia systemy literowe na układy liczb, a przesuwając ciągi liczbowe oraz zamieniając z powrotem na alfabet, może uzyskiwać nowe kombinacje liter.

„IND” zamienił się na przykład w kod „KPF” przy czynniku +2 albo „FKA” przy czynniku -3.1 chociaż eksperci przystosowali system do analizy alfabetu rosyjskiego i amerykańskich skrótów, nie trafili w swoich komputerach na żadną kombinację liter, która miałaby jakiś sens lub pozwalała zidentyfikować nadawcę.

Zakładając, że za zamachami na Arna Schlesingera i profesora Gropiusa stoi ten sam sprawca, w Okręgowym Urzędzie Kryminalnym przy Mailingerstrasse tak zwany profiler wykonał operacyjną analizę zdarzeń. O analityku nazwiskiem Mewes, doradcy kryminalnym z takim doświadczeniem, jakby swoje życie przeżył co najmniej trzykrotnie, koledzy mówili, że jest chyba jasnowidzem. Było tak od czasu, kiedy dwa lata wcześniej mordercą dziecka - bestialskiego zabójcą bezskutecznie poszukiwanego od trzech miesięcy - opisał tak precyzyjnie, że ujęto go już po kilku dniach. Mewes korzystał przy tym z bazy danych VICLAS, w której gromadzi się informacje o gwałcicielach i seryjnych mordercach. W tym jednak wypadku przeszukiwanie bazy danych dało wynik negatywny. Dotychczas nie było porównywalnych spraw tego rodzaju.

Również specjalna komisja pod kierownictwem Wolfa Ingrama działała jak dotąd po omacku. Przysłowiowe szukanie igły w stogu siana było zadaniem łatwym w porównaniu z tropieniem rozwijającej bomby firmy kurierskiej i tajemniczego kuriera, o którym było wiadomo tylko tyle, że był wysoki i szczupły oraz że miał szary lub niebieski kombinezon. Były to wskazówki bezużyteczne dla kryminologa. Ingram za jedyną możliwość rozwikłania tej zagadki uznał więc dalsze prześwietlanie kręgu bliskich i znajomych Felicii Schlesinger i profesora Gropiusa.

Po pierwszym przesłuchaniu szef komisji specjalnej odniósł wrażenie, że Gropius jest bardzo zainteresowany wyjaśnieniem sprawy skażenia narządu i zamachu bombowego, z kolei w zachowaniu Felicii Schlesinger można było zauważyć pewną rezerwę, jakby wcale nie chciała się dowiedzieć, kto zabił jej męża. W tej sytuacji podejrzania skupiły się mniej na skłonnym do współpracy profesorze, a bardziej na nieprzeniknionej wdowie. Ingram zarządził stałą obserwację jej domu nad jeziorem Tegern.

Jeśli chodzi o Gropiusa, to dopiero znacznie później dotarło do niego, że przeprowadzono zamach na jego życie. Spośród mnóstwa wydarzeń z tamtego dnia największe wrażenie zrobiła na nim bowiem nieoczekiwana namiętność Felicii. Nie był jednak w stanie jednoznacznie określić, czy kryło się za tym prawdziwe pożądanie, czy po prostu ulga, że szczęśliwie udało mu się uniknąć śmierci. W głowie Gropiusa zagnieździło się mnóstwo ponurych myśli i nie było tam miejsca na prawdziwe uczucia. Od ich pierwszego spotkania Felicia za każdym razem traktowała go z rezerwą,

jak zakonnica, on zaś widział w niej towarzysza niedoli. I choć jej atrakcyjny wygląd nie uszedł jego uwadze, daleki był od tego, żeby uznać ją za pociągającą czy wręcz godną pożądania.

Pytanie, jak mimo wszystko mogło dojść między nimi do takiego wybuchu uczuć, zajmowało przez następne dni Gropiusa chyba bardziej niż przyczyna, dla której się zbliżyli, i okoliczności, które na chwilę wyzwoliły tak silną bliskość. On sam był rozdarty między skrucą, że pozwolił sobie na coś takiego, a nieśmiałym przyznaniem, że ogarnęła go chęć, aby ją czuć przy sobie i pieścić.

Oczywiście, niedający się przewidzieć pech - jeśli można tak to określić - w ich sytuacji nie był zbyt pomyślnym znakiem, ponieważ od czasu przesłuchania Gropius wiedział, że jest pod obserwacją. I z pewnością ludzie Ingrama dyskretnie przyglądali się Gropiusowi i Felicii pijącym szampana w hotelowym holu i myśleli wyłącznie o tym, jakie z tego wszystkiego można wyciągnąć wnioski. W takich chwilach jak ta Gropius był jednak w stanie dostrzec pozytywne strony stanu, w jakim się znalazł. Od czasu do czasu myślał nawet o zabawie w kotka i myszkę z ludźmi, którzy go śledzili, i snuł plany, jak się pozbyć ich niewygodnej obecności. Ale po chwili takich rozważań rzeczywistość przywoływała go do porządku, a jednocześnie pojawiał się niepokój, że wyjaśnianie skandalu związanego z transplantacją może się ciągnąć w nieskończoność i utrudnić, a nawet uniemożliwić mu powrót do kliniki.

Gropius nie należał do ludzi, którzy zostawiają sprawy własnemu biegowi, a już na pewno nie w sytuacji, kiedy stawką jest być albo nie być. A stawką było właśnie jego istnienie! Nie wiedział, że tymczasem jego osobą zajmują się cztery różne służby, nie dostrzegał też żadnego związku między nieudaną operacją i zamachem bombowym, choć przecież miał pełną świadomość, że ta zbieżność nie bardzo mogła być dziełem przypadku.

Gropius dowiedział się od Felicii, że nie powiedziała śledczym wszystkiego, co mogło mieć znaczenie dla rozwiązania sprawy. To, że przemilczała kwotę dziesięciu milionów euro na szwajcarskim koncie, wydało się Gropiusowi naturalnie, biorąc pod uwagę ogromny podatek, jaki w tych okolicznościach musiałaby zapłacić państwu. Mniej jednak rozumiał fakt, że zachowała w sekrecie oczywiste podwójne życie Schlesingera, bo właśnie w tym Gropius widział klucz do rozwiązania sprawy.

Profesor bezskutecznie starał się powiązać informacje o prywatnym życiu Arna Schlesingera, jakie przekazała mu Felicia, z działaniami przestępczymi, nie mógł jednak znaleźć żadnego punktu zaczepienia, żadnej dającej się logicznie uzasadnić poszlaki. Po całym dniu intensywnych rozmyślań musiał przyznać, że kręci się w kółko, nie posuwając się nawet o krok naprzód.

Był już wieczór, kiedy znużony, odłożywszy na bok kartki, na których notował i szkicował wszystkie możliwości, zadzwonił po Ritę. Rita zawsze приходowała, kiedy była potrzebna, i tak też było tego wieczoru.

Przyszła w ciemnym kostiumie, nieprzyzwoicie krótkiej spódnicy i czarnych rajstopach. Poczyniła uwagę, że Merkury i Wenus znajdują się właśnie w pewnej koniunkcji, co - pomijając inne znaczenia astrologiczne — korzystnie wpływa na seks, który Rita i Gregor wspólnie uprawiają. Z tej okazji wypila kieliszek barolo z najlepszego rocznika.

W nieunikniony sposób rozmowa zeszła na nastroje w klinice i Rita szczebiotała beztrąsko. Lekarz naczelny, doktor Fichte, jak głosiły plotki, starał się o stanowisko Gropiusa, chociaż na razie wcale nie było wakatu.

„Fichte? Akurat Fichte?”. Gropius uważał za lojalnego współpracownika. Fichte lepiej niż inni znał okoliczności, które doprowadziły Gropiusa do przymusowego urlopu. Lepiej też niż ktokolwiek inny wiedział, że śmierć Schlesingera ma podłoże kryminalne, i dlatego Gropius za nią nie odpowiada.

- Daj spokój, Gregor, przecież to tylko plotki. Pewnie nic w tym nie ma - powiedziała Rita, spostrzegłszy, jak pociemniała twarz Gropiusa. Już pożałowała, że w ogóle opowiedziała Gregorowi o tym, co mówi się w klinice. Powinna była wiedzieć, że nie będzie szczególnie z tego zadowolony, i najchętniej ugryzłaby się w język. W każdym razie wieczór, który tak przyjemnie się zaczął, szlag trafił.

Gropius zamyślony kiwał głową, przygryzał wargi i usilnie się nad czymś zastanawiał. Koniecznie musiał porozmawiać z Fichtem i rozważał, żeby zadzwonić do niego później, ale wtedy przypomniał sobie, że ma telefon na podsłuchu, postanowił więc odwiedzić Fichtego jeszcze tego samego wieczoru.

Po szybkim pożegnaniu z Ritą Gropius wyszedł z domu i piechotą udał się na postój taksówek przy głównej ulicy osiedla. Fichte mieszkał w jednym

z szeregowych domów po drugiej stronie Izary, nieopodal kliniki. Kilka razy spotkali się u niego, ale rozwojowi kontaktów towarzyskich czy przyjaźni stanęła na przeszkodzie zacięta rywalizacja ich żon.

Wszystkie stojące przy ulicy domy były podobne do siebie. „Prawdopodobnie - pomyślał Gropius w przyływie dobrego humoru - także wszystkie wyłączniki światła znajdują się w tym samym miejscu”. Nie mając pewności, gdzie dokładnie mieszka Fichte, Gropius kazał zatrzymać taksówkę. W tej samej chwili z jednego z domów, oddalonego o niecałe dwadzieścia metrów, wyszło dwóch mężczyzn. Fichtego Gropius poznał od razu po niepozornej sylwetce, lecz drugi mężczyzna także nie wyglądał całkiem obco!

Gropius poprosił taksówkarza, żeby wyłączył reflektory, a sam obserwował, jak tych dwóch przechodzi przez ulicę do samochodu zaparkowanego pod latarnią. Tam pożegnali się uściskiem dłoni i wtedy światło padło na twarz drugiego mężczyzny, wyższego od Fichtego co najmniej o głowę.

- Prasskov! - syknął cicho Gropius i już chciał wyskoczyć z taksówki, ale rozsądek nakazał mu się powstrzymać.

„Prasskov i Fichte? Co ci dwaj mieli ze sobą wspólnego?”. Gropius przysiągłby, że nawet się nie znali. W konfrontacji z nową sytuacją przez głowę przebiegały mu tysiące myśli, które jeszcze kilka chwil wcześniej odrzuciłby jako absurdalne, nierealne i fantastyczne. „Prasskov, którego poszukuje policja, bywa u Fichtego!”.

Nie mając pewności jak się zachować, Gropius obserwował, jak Fichte wchodzi z powrotem do domu, podczas gdy Prasskov uruchamia silnik swojego samochodu, wielkiego starego mercedesa. W pułapce własnych myśli Gropius nie był w stanie podjąć decyzji. Jak sparaliżowany przyglądał się, jak samochód odjeżdża, kierując się do centrum miasta.

Dopiero taksówkarz przywołał go do rzeczywistości.

- Wysiada pan w końcu, czy zmienił pan zdanie? - zapytał z wrodzonym wdziękiem.

- Tak - odparł Gropius, będąc myślami gdzie indziej.

- Co „tak”? - drążył kierowca taksówki.

Gropius widział, jak tylne światła starego mercedesa robią się coraz mniejsze.

- Proszę jechać za tamtym wozem! - powiedział wreszcie.

Na to taksówkarz oświadczył cynicznie:

- Jak pan sobie życzy. - Dojrzał jeszcze, jak samochód na najbliższym skrzyżowaniu skręca w prawo. Kiedy jednak dotarł do tego miejsca i rozejrzał się za mercedesem, samochód jakby zapadł się pod ziemię.

Gropius obudził się w środku nocy. Spał niespokojnie, wciąż męczyły go koszmarne sny, w których ktoś go śledzi, a on ma ze sobą aluminiową walizeczkę pełną ludzkich narządów, brylastych serc, wodnistych wątrób i otłuszczonych nerek. Nie widział twarzy swoich prześladowców, ale już same ich cienie sprawiały złowieszcze wrażenie. Nie był mu znany również cel, do którego starał się dotrzeć z tą niesamowitą walizeczką, obudziwszy się więc zły z potem, był szczęśliwy, że zdołał się pozbyć tych mrocznych postaci.

Po głowie wciąż chodził mu Prasskov. Czyżby aż tak bardzo pomylił się co do tego sympatycznego chirurga plastycznego? Być może Prasskov dlatego zabiegał o jego przyjaźń, żeby w odpowiednim czasie ją wykorzystać do swoich celów? Ale jakie to mogły być cele? Tak czy inaczej bardzo głęboko poruszył go fakt, że Prasskov i Fichte wyraźnie mają jakieś wspólne sprawy. Nie wiedział już, co ma myśleć, tymczasem jednak przestała mu się wydawać niedorzeczna myśl, że Schlesinger i on znaleźli się pod ostrzałem mafii handlującej narządami.

Jak odurzony, ogarnięty tylko tą jedną myślą, Gropius z trudem zszedł do kuchni na parterze, wyciągnął z lodówki butelkę piwa i opróżnił ją, bardziej z rozpaczy niż z pragnienia. Położył się z powrotem do łóżka i z rękami pod głową gapił się na geometryczne wzory, które malowały na suficie światła z ulicy. Wbrew oczekiwaniom zasnął.

Jasny blask wschodzącego słońca obudził Gropiusa, który zdziwił się, że mimo wszystko się przespał. Po krótkim pobycie w łazience zrobił sobie śniadanie, o ile można nazwać śniadaniem filiżankę kawy rozpuszczalnej i dwa przypalone tosty. Walczył z myślą, czy powinien podzielić się z policją swoimi obserwacjami z poprzedniego wieczoru. W końcu Prasskov był poszukiwany. Potajemne spotkanie Prasskova z jego najbardziej lojalnym pracownikiem, świadkiem czego - chcąc nie chcąc — się stał, tak go zderwowało, że nie znalazł w sobie odwagi, żeby zadenuncjować Fichtego. Poza tym nie miał najmniejszego nawet dowodu na poparcie swoich słów.

A im dłużej myślał o tym niespodziewanym odkryciu, tym wyraźniej sobie uzmysławiał, że rodzi ono więcej pytań, niż przynosi odpowiedzi.

Była już zapewne dziesiąta, kiedy dzwonek wyrwał go z tych rozmyślań. Gropius się wystraszył. Od kilku dni wszystko, co było niespodziewane, wywoływało w nim lęk. Przed drzwiami stał szczupły, łysy mężczyzna, dobrze ubrany, o ujmującym wyglądzie, tak że Gropius nie miał żadnych oporów, żeby otworzyć.

- Moje nazwisko Lewezow. Proszę o wybaczenie mi tej niezapowiedzianej wizyty - powiedział nieznajomy, kłaniając się uprzejmie. Zanim profesor zdążył zapytać, czego obcy facet chce, ten kontynuował: - Chciałbym z panem porozmawiać. Chodzi o pańską byłą żonę i o zamach bombowy. Czytałem o tym w gazecie.

- Veronique pana przysłała? - niechętnie zapytał Gropius.

- Och nie, wręcz przeciwnie! - odparł nieznajomy. - Pańska żona mnie przeklnie, kiedy się o tym dowie. Nie, przychodzę z własnej woli, a także dlatego, że taki jest mój obowiązek.

Gropius zmierzył nieznajomego wzrokiem od stóp do głów i wreszcie powiedział:

- Dobrze, niech pan wejdzie. Mam tylko nadzieję, że nie zmarnuje pan mojego czasu.

Kiedy usiedli w salonie, Lewezow zaczął opowiadać.

- Fotografie, na których widać pana z panią Schlesinger, zostały wykonane przeze mnie. Ale zanim rzuci się pan na mnie, proszę usilnie, żeby mnie pan wysłuchał. Jestem prywatnym detektywem, żyję z tego, że szpieguję ludzi. Płacą mi za dostarczanie informacji, które czasem bywają warte sporo pieniędzy. Istnieją przyzwoitsze zajęcia, wiem. Ale co powiedział rzymski cesarz Wespazjan do swojego syna Tytusa, który skrytykował opodatkowanie przez ojca miejskich toalet? Pieniądze nie śmierdzą. W każdym razie niedawno zadzwoniła do mnie pańska była żona i zleciła śledzenie pana. Miałem dostarczyć jej materiałów, którymi mogłaby pana szantażować. Ona sądzi, że pan umyślnie spowodował śmierć Schlesingera, bo ma pan romans z jego żoną.

- A co pana przekonało, że jest inaczej, panie...

- Lewezow. Nic. Ale kiedy usłyszałem o zamachu bombowym, nasu-
nęło mi się podejrzenie, że mogła za tym stać pana była żona.

- Spodziewałby się pan tego po Veronique?

Lewezow z zakłopotaniem zacierał ręce.

- Jest to bardzo zimna, wyrachowana kobieta, w każdym razie była taka, kiedy ją poznałem. I jeśli mogę sobie pozwolić na uwagę, jej nienawiść do pana jest bezgraniczna.

Kciukiem i palcem wskazującym Gropius pocierał grzbiet nosa w górę i w dół, co oznaczało wielkie napięcie. „Niezła niespodzianka w ten słoneczny poranek - pomyślał. - Czemu jednak on mi to wszystko opowiada?”

Jakby umiejąc czytać w myślach, Lewezow ciągnął:

- Oczywiście, zadaje pan sobie pytanie, dlaczego to panu ujawniam. Widzi pan, nie jestem dość cyniczny jak na zajmowanie się węszeniem. Wizja, że mógłbym być zamieszany w zbrodnię, przyprawia mnie o mdłości, co więcej, boję się. Kto toleruje zbrodnię, sam staje się współnikiem. Już nie pracuję dla pańskiej żony.

Gropius był nieufny. Słowa Lewezowa brzmiały zbyt szlachetnie. Dlaczego miałby mu wierzyć? Detektywi żyją ze złośliwości ludzi, a złośliwość jest zaraźliwa jak dżuma. Milczał.

Lewezow zrobił cierpiętniczą minę.

- Biorąc to pod uwagę, chciałbym pana o czymś poinformować. Po winien pan wiedzieć, że to ja przymocowałem lokalizator pod zderzakiem pańskiego jaguara.

Gropius spojrział na Lewezowa ze zdziwieniem. -Pan?

- Od kilku dni wiedziałem, gdzie się pan znajduje w danej chwili. Również więc tego dnia, kiedy odwiedził pan panią Schlesinger nad jeziorem Tegern. Czekałem w pobliżu jej domu i widziałem kuriera, który przyniósł paczkę. Ściśle rzecz biorąc, było ich dwóch - jeden siedział w samochodzie, a drugi dostarczył paczkę. To mnie zastanowiło. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby kurierzy jeździli we dwóch. Nie mogłem jednak przewidzieć, że chodzi tutaj o zamach.

Gropius poczuł nagły przypływ adrenaliny.

- Czy może pan opisać tego człowieka lub samochód sprawcy?

- Oczywiście, prowadzenie takich obserwacji to przecież mój zawód. Mężczyzna był wysoki, miał na sobie czarny kombinezon i czapkę z daszkiem. Samochód był marki Ford Transit z napisem GT-German Transport. Kiedy przeczytałem w gazecie o bombie w paczce, spróbowałem się dowiedzieć czegoś o tej firmie.

- I? Niech pan mówi!

Lewezow pokiwał głową i zaśmiał się pyszałkowato.

- Firma o takiej nazwie nie istnieje i nigdy nie istniała. Moim zdaniem działali tutaj zawodowcy.

Gropius zamyślił się na kilka chwil, w końcu powiedział:

- Czy przekazał pan swoje obserwacje policji?

- Nie, a niby dlaczego?

Profesor wstał i podszedł do okna.

- Jeśli dobrze pana rozumiem, chciałby pan za swoje informacje otrzymać honorarium? - zapytał, nie patrząc na Lewezowa.

- Powiedzmy tak: być może w tej nieszczęśliwej sytuacji mógłbym panu pomóc na rękę.

Propozycja Lewezowa padła nieoczekiwanie i Gropius przez chwilę się zastanawiał, czy rozsądnie jest zaufać temu człowiekowi, którego tak trudno przejrzeć. Z drugiej strony Lewezow znał jego sytuację lepiej niż ktokolwiek inny i byłby mile widzianą pomocą.

Gregor Gropius i Felicia Schlesinger byli umówieni na lunch w restauracji naprzeciw opery. Od czasu gwałtownego wybuchu uczuć w hotelowym holu panowało między nimi dziwne napięcie, w żadnym jednak wypadku nie nieprzyjemne, ale wcześniejszy chłodny dystans - jeśli w tej sytuacji można mówić o dystansie - ustąpił miejsca niepewności wobec siebie.

Być może byłoby lepiej, gdyby przez kilka dni się nie spotykali, ale ich sytuacja była zbyt skomplikowana. Felicia miała za sobą kolejne przesłuchanie, w trakcie którego nie zdradziła policji nic nowego. Nie spełniła się także nadzieja policjantów, że Felicia uwikła się w zeznania sprzeczne z poprzednimi. Złożyła też Gropiusowi zadziwiające oświadczenie, że im częściej pyta się ją o Schlesingera i jego tajemnicze drugie życie, tym większa wzbiera w niej złość na Arna. Samą ją to przestraszyło, lecz Gropius, któremu zwierzyła się ze swoich niekontrolowanych uczuć, uspokoił ją stwierdzeniem, że wstrząs po śmierci najbliższej osoby potrafi zamienić uczucie w swoje przeciwieństwo. Nie jest rzadkością, że nagle zaczyna się odczuwać nienawiść wobec zmarłego współmałżonka.

Kiedy kelner posprzątał po posiłku, Felicia wyjęła z torebki terminarz i przesunęła go po stole.

- Jego terminarz - powiedziała jakby mimochodem. - Wręczono mi go w klinice wraz z jego teczką, zegarkiem i kilkoma ubraniami. Gropius spojrział na Felicię pytającym wzrokiem.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - rzekła Felicia - ale po prostu nie chcę wiedzieć, co tam jest napisane. Może znajdzie pan tam informację o czymś, co mogłoby nas posunąć do przodu.

Profesor miał opory, żeby wziąć i przejrzeć czarny terminarz Schlesingera. Przeważała jednak myśl, że śmierć Schlesingera i jego dalsze losy są ze sobą ściśle powiązane, zaczął więc analizować zapiski minionych dni i tygodni z życia archeologa. Kiedy Felicia demonstracyjnie spoglądała przez okno, za którym w słońcu błyszczała fasada opery, Gropius starał się odcyfrować poszczególne wpisy. Nie było to łatwe, gdyż notatki Schlesingera były prawie nieczytelne, a niektóre wręcz zapisano alfabetem greckim czy hebrajskim.

- Pani mąż był bardzo wykształcony, znał wiele języków? - zauważył Gropius z pytaniem w głosie.

Felicia przytaknęła.

- Ponad sześć, siedem albo osiem. Czasem wykorzystywał to do zabawy, pisząc do mnie kartkę obcym alfabetem lub używając liczb w zapisie arabskim. Wściekało mnie to, a jemu sprawiało przyjemność.

Dokładnie i czytelnie była zapisana notatka w dzień, w którym Schlesinger odwiedził klinikę, nawet termin transplantacji został zaznaczony symbolem „X”. Na tym wpisy się kończyły. Gropius przestał czytać.

- Tutaj jest jeszcze jeden wpis: dwudziesty trzeci listopada, godzina szesnasta, hotel „Adlon”, profesor de Luca. Czy mówi pani coś to nazwisko?

Felicia zastanowiła się przez chwilę, po czym pokręciła głową i powiedziała:

- Nigdy nie słyszałam. Jak już mówiłam, mało zajmowały mnie spotkania Arna. Szczerze mówiąc, nie interesowało mnie to wcale.

Gropius przekartkował terminarz wstecz.

- Profesor de Luca pojawia się w zapiskach kilkakrotnie.

Przez chwilę oboje milczeli, każde zajęte tą samą myślą: „Kim był profesor de Luca? Czy wiedział coś więcej o podwójnym życiu Schlesingera?”.

- Po prostu trzeba go o to zapytać - zauważył nagle Gropius, pozornie bez związku.

Felicia spojrzała na Gropiusa.

- Chodzi mi o to - ciągnął Gregor - że być może jest to jedyna szansa, jaką mamy. Dzisiaj jest dwudziesty pierwszy listopada. Jeśli się pani zgodzi, to pojutrze polecę do Berlina, żeby się spotkać z de Luca.
- Zrobiłby pan to? Oczywiście poniosę wszelkie koszty!
- Nonsens! - skrzywił się Gropius. - Proszę nie zapominać, że wyjaśnieniem całej tej nieprzyjemnej sprawy ja jestem zainteresowany tak samo jak pani.

Gropius był zadowolony, że na dwa dni zmieni swoje zwykłe otoczenie. Zarezerwował pokój w hotelu „Adlon” i postanowił wieczorem pójść do opery. Po prostu potrzebował jakiejś rozrywki.

Wylatujący w południe samolot z Monachium do Berlina był zajęty tylko w połowie. Słoneczny lot nad morzem mgły, która już od kilku dni spowijała północne Niemcy, był przyjemny. Jadąc z lotniska do centrum Berlina, Gropius dowiedział się od taksówkarza, typowego berlińczyka z sercem na dłoni, wszystkiego, co denerwuje kogoś o jego pozycji: o wysokich czynszach mimo tysięcy pustych mieszkań, o nieskończonych objazdach i o tym, że to miasto jest właściwie bankrutem.

W hotelu „Adlon”, najlepszym w mieście, wprowadził się do pokoju na piątym piętrze, z widokiem na Bramę Brandenburską, błyszczącą jasną ochrą po wieloletniej renowacji. Zamówił do pokoju kanapkę i kawę, zdrzemnął się pół godziny w wygodnym fotelu, po czym raz jeszcze przebiegł w myślach swój plan, który przygotował na spotkanie z profesorem de Luca. Następnie „udał się do holu na parterze, szokującej nowoczesnej konstrukcji, z półpiętrzem i szklaną kopułą, przywodzącą na myśl secesję. Gropius zajął miejsce przy stoliku na lewo od recepcji, w fotelu barwy lila. Miał stąd bezpośredni widok na wejście - czekał, co się wydarzy.

Przez kwadrans, podczas którego godzina szesnasta minęła, nie stało się nic. Gropius obserwował wchodzących i wychodzących, znane i nieznanne twarze, aktorów, ludzi telewizji i anonimowe osoby z wypchanymi teczkami. Z uprzejmym uśmiechem torował sobie przejście przez foyer boy hotelowy, a właściwie dziewczyna, w ciemnoczerwonej liberii i czapeczce przypiętej do gładkich blond włosów. Dziewczyna miała rękawiczki i niosła tabliczkę w mosiężnej ramce. Gropius aż podskoczył - na tabliczce było napisane kredą: „Pan Schlesinger proszony DO RECEPCJI”.

A zatem de Luca jeszcze się nie dowiedział o śmierci Schlesingera i teraz na niego, Gropiusa, spadło przekazanie tej wiadomości. Podeszedł do recepcji:

- Szukają państwo pana Schlesingera?

Recepcjonista zapraszającym gestem wskazał ciemnowłosą kobietę w okularach bez oprawek, która stała obok, przy recepcji. Gropius nie zdołał ukryć zakłopotania, zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, kobieta go ubiegła i podeszła, mówiąc:

- Pan Schlesinger? Nazywam się Francesca Colella. Przychodzę w imieniu profesora de Luki. Profesor uznał, że lepiej będzie nie pojawiać się osobiście. Kazał przeprosić i przesyła najlepsze pozdrowienia.

Przez krótką chwilę Gropius się wahał, czy nie podać się za Schlesingera, miał jednak opory, a przede wszystkim nie widział dobrego powodu dla takiego zachowania. Powiedział więc:

- Proszę wybaczyć, ale nazywam się Gropius. Przychodzę w imieniu Schlesingera.

Włoszka spojrzała poważnie. Nie podobała jej się ta sytuacja. Wreszcie odpowiedziała świetną niemczyzną, choć z wyraźnym włoskim akcentem i pewnym wysiłkiem:

- Mam nadzieję, że posiada pan upoważnienie.

Słowa te trochę zmieszały Gropiusa, ale zaniepokoił się dopiero, kiedy usiedli. Powodem były jednak nie doskonałe nogi Włoszki, tylko to, że w lewej ręce trzymała czarną aktówkę, kajdankami przyczepioną do przegubu dłoni.

- Nie potrzebuję żadnego upoważnienia — odparł Gropius z udawaną obojętnością, po czym dodał to, co mu właśnie wpadło do głowy: - Jestem szwagrem Schlesingera i jego najlepszym przyjacielem.

Włoszka pokiwała głową, po czym zapytała:

- Co to takiego „szwagier”?

- Jestem bratem żony Schlesingera.

- Aha, *cognato*.

Włoski Gropiusa wystarczał na trzy dni pobytu we Florencji albo pięć dni w Rzymie, gdzie nie pojawiała się słowo *cognato*. Żeby jednak zakończyć nieprzyjemną sytuację, stwierdził uspokajająco:

- Właśnie, *cognato*. Czy Arno Schlesinger nigdy o mnie nie opowiadał?

Francesca Colella położyła wypielegnowaną dłoń na sercu, przesadnym gestem właściwym wyłącznie Włoszkom, i wyjaśniła:

- W ogóle nie znam pana Schlesingera. Profesor de Luca zaangażował mnie tylko do tego jednego zadania. Jestem pracowniczką turyńskiej firmy ubezpieczeniowej VIGILANZA, zajmującej się transportem dzieł sztuki i antyków.

Wzrok Gropiusa mimowolnie prześlizgnął się od jej lewego przegubu do okazałego biustu, który z trudem mieścił się pod czarnym blezerem. Zadał sobie pytanie, czy można się tam spodziewać hojności stworzenia, czy raczej pistoletu dużego kalibru.

- Ach, to tak się mają sprawy - odpowiedział Gropius, z trudem ukrywając rozczarowanie. A zatem antyki i dzieła sztuki. Było to bardziej prawdopodobne niż to, że Schlesinger zbił swój tajny majątek na przemyśle cennych wykopalisk. Może jednak sprawa Schlesingera nie była jego sprawą.

- Z pewnością pragnie pan najpierw obejrzeć towar - powiedziała Francesca Colella z przekonaniem, Gropius zaś odparł zmieszany:

- Tak, oczywiście.

- Jest tutaj jakieś pomieszczenie, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał? Pan mieszka w tym hotelu?

- Tak - odrzekł Gropius zdziwiony.

- To na co jeszcze czekamy? — Włoszka wstała.

Gropius nie czuł się dobrze w tej roli, uważał bowiem, że wplątał się w jakieś oszustwo, a pewna siebie Włoszka wydawała mu się dziwna. Miał nadzieję dowiedzieć się czegoś o Schlesingerze, teraz jednak wychodziło na to, że uwikłał się w podejrzaną przemyt antyków. Skoro jednak zaczął tę grę, musiał ją teraz jakoś zakończyć.

Bez słowa przeszli przez hol w prawo, do wind, i wjechali na piąte piętro. Dotarwszy do pokoju Gropiusa, Francesca za pomocą kluczyka uwolniła się od przykutej aktówki i postawiła ją na biurku pod oknem.

- Ma pan pieniądze? - upewniła się Włoszka.

- Ile? - rzucił oschle Gropius.

- Jak uzgodniono: dwadzieścia tysięcy!

Gropius wzdrygnął się niezauważalnie, wystarczyła mu jednak krótka chwila, żeby z pokerową miną wypowiedzieć beczelną propozycję:

- Powiedzmy: dziesięć tysięcy!

- To niezgodne z umową! - odparła Francesca gwałtownie, a jej ciemne oczy zabłysły złowieszczą zza okularów bez oprawek. - Mam polecenie, żeby towar wydać jedynie w zamian za dwadzieścia tysięcy euro. Sądziłam, że wszystko jest jasne.

Gropiusowi ta sytuacja wydała się groteskowa. Negocjował cenę przedmiotu, którego nigdy nie widział i którego wartości w ogóle nie znał. A wszystko z powodu wpisu w terminarzu Schlesingera.

Profesor, z trudem skrywając zaciekawienie tym, co znajduje się w zabezpieczonej aktówce, używając sformułowań usłyszanych od Włoszki, zapytał:

- Czy mogę obejrzeć towar?

Gropius nie miał żadnego doświadczenia w prowadzeniu ciemnych interesów i spodziewał się, że Włoszka będzie chciała najpierw otrzymać pieniądze, a dopiero później przekazać mu towar, dlatego jej reakcja zdumiała go. Francesca powiedziała:

- Ależ oczywiście, przecież nie może pan kupować kota w worku!

Drugim kluczykiem Francesca Colella otworzyła zatrzaszowany zamek walizeczki. W przeciwieństwie do Gropiusa nie ujawniała przy tym żadnych oznak zdenerwowania. W aktówce była kasetka z matowego metalu, wielkości dwadzieścia na trzydzieści centymetrów, podobna trochę do zabezpieczonych skrzynek, jakich używa się w bankach. Dostępu do kasetki chronił sześciocyfrowy zamek numeryczny, umieszczony w wąskiej przedniej ścianie. Gropius spojrzał pytająco na Włoszkę.

- Szyfrem jest data urodzin pana Schlesingera. To, że tak powiem, dla bezpieczeństwa. Tym sposobem nawet ja nie mam dostępu do cennej zawartości. Zna pan przecież datę urodzin swojego *cognato*? - Francesca uśmiechnęła się chytrze.

- Tak, to znaczy nie, w każdym razie nie znam dokładnie - jękał się Gropius, który poczuł się zmiażdżony i głęboko zdezorientowany. Prawdę mówiąc, po raz pierwszy zaczął wątpić, czy w ogóle jest w stanie zrealizować zamysł samodzielnego rozwiązania sprawy Schlesingera, bez pomocy z zewnątrz. Wszystko to w pewnej mierze przypominało mu wydarzenia w domu, gdzie także działy się rzeczy dziwne. „Czy jednak - jak powiedział mu głos wewnętrzny - nie jest to właśnie dowód, że wszystkie te wydarzenia są powiązane?”

Gropius i Włoszka stali niezdecydowanie naprzeciw siebie. Z każdą chwilą rosła między nimi niewidzialna ściana nieufności. W końcu Francesca Colella przejęła inicjatywę, wzięła telefon i podała Gropiusowi słuchawkę.

- Niech więc pan po prostu zadzwoni do swojego *cognato*!

Gropius kiwnął głową. Teraz chodziło o to, by zyskać na czasie. W tej trudnej sytuacji wpadł na pomysł: wybrał własny numer i niby cierpliwie czekał. Po chwili oświadczył:

- Przykro mi, ale nikt się nie zgłasza. - Równocześnie ułożył sobie w głowie plan postępowania i powiedział: - Proponuję, żebyśmy naszą transakcję przesunęli na jutro. Do jutra będę już znał szyfr otwierający zamek i raz jeszcze skontaktuję się z profesorem de Luçą w kwestii ceny.

Wydymając usta i patrząc w sufit, jakby łamała sobie głowę nad właśnie wypowiedzianymi słowami, Francesca Colella odparła:

- Wprawdzie jest to wbrew uzgodnieniom, ale w tej chwili nie widzę innej możliwości.

- Pani mieszka w jakimś innym hotelu? - ostrożnie zasięgnął informacji Gropius.

Włoszka przytaknęła i się uśmiechnęła:

- Hotel taki jak ten znacznie przekracza dopuszczalne wydatki kuriera dostarczającego wartościowe przesyłki! Proszę mnie zrozumieć, że przemilczę nazwę mojego hotelu. Ze względów bezpieczeństwa, pan rozumie.

„Absolutnie profesjonalna” - pomyślał Gropius i przyglądał się, jak Włoszka zamyka kasetę w aktówce, tę zaś przykuwa do przegubu.

- Zatem również nie mogę pani zaprosić wieczorem, ze względów bezpieczeństwa? Byłoby mi bardzo miło...

- Oczywiście, że nie! - oburzyła się Francesca Colella. - Takie rzeczy są surowo zabronione - powiedziała to takim tonem, jakby złożył jej jakąś nieprzyzwoitą propozycję, a przecież naprawdę chodziło mu tylko o sympatyczny wspólny posiłek. Bez wątpienia Włoszka emanowała czymś tajemniczym i surowym, co u mężczyzny wyzwała niskie instynkty, lecz Gropius był dość mądry, żeby wiedzieć, że takie kobiety przeważnie swoich ról nie grają, lecz je przeżywają. Jeśli zaś chodzi o surową Włoszkę, to pewnie sypiała z walizeczką przykutą do przegubu dłoni.

- Pozostaje mi więc tylko życzyć pani miłego wieczoru - powiedział, po czym umówili się na następny dzień, ze względów bezpieczeństwa w lokalu, którego adres Francesca napisała na kartce.

*

Gregorowi Gropiusowi przeszła ochota na operę. Nawet kabaret w Europacenter, którego występów nie opuszczał podczas każdego pobytu w Berlinie, nie zdołał go wywabić z pokoju w hotelu. Zamiast tego zadzwonił do Felicii Schlesinger, aby ją poinformować, jak wygląda sytuacja.

Tymczasem Felicia wyprowadziła się z hotelu, złapał ją więc w domu nad jeziorem Tegern. Felicia była zdenerwowana i bliska płaczu. Wolf Ingram, szef specjalnej komisji, wraz ze swoim ośmioosobowym zespołem przewrócili dom do góry nogami, przeszukali każdy kąt, nawet łazienkę i kotłownię. Gabinet Arna przypominał pole bitwy: rozrzucone książki, dokumenty i luźne kartki, rozgrzebana zawartość pudeł. Felicia nie była w stanie sobie wyobrazić, żeby dziewięciu oficerów policji mogło się zachowywać w ten sposób. Przy tym wyraźnie zgodziła się na to przeszkolenie, po tym jak Ingram ją przekonał, że zamachowiec nie czyha ani na życie Gropiusa, ani jej. Celem było zapewne wysadzenie w powietrze domu, gdzie prawdopodobnie znajdowały się jakieś ślady lub dowody innego przestępstwa. Ani jedna, ani druga informacja nie miała w sobie nic uspokajającego. Po dziewięciu godzinach policjanci opuścili dom, wynosząc pięć skrzynek dokumentów i materiałów archiwalnych z gabinetu Arna. Zostawili formalne potwierdzenie czasowego przejęcia na potrzeby śledztwa siedemdziesięciu czterech jednostek dokumentów. Felicia nie mogła uwierzyć, że w tych papierach znajdowała się jakakolwiek wskazówka dotycząca zamordowania Schlesingera. Gropius, który sam chciał opowiedzieć o sukcesie, przerwał jej potok słów.

Felicia sądziła, że Gropius chce ją pognębić, kiedy powiedział, że ewentualnemu sukcesowi przeszkodziło jedynie to, że nie znał dary urodzin Schlesingera. Następnie zrelacjonował, co się tego dnia wydarzyło, opowiedział o kurierce i metalowej kasecie, która otwiera się tylko po wprowadzeniu szyfru, jakim jest data urodzin Schlesingera. Wprawdzie brakowało mu dowodów, miał jednak podejrzenie, że Schlesinger był uwikłany w międzynarodowy przemyt antyków, a tutaj w grę wchodziły niekiedy olbrzymie sumy.

Podczas gdy Felicia słuchała relacji Gropiusa, starała się uzyskane przez profesora informacje spójnie powiązać z rozmowami, spostrzeżeniami i zagadkami z przeszłości. Domysły Gropiusa nie były całkowicie bezpodstawne. Doskonale wiedziała, jakimi kwotami operuje się na rynku dzieł sztuki. Nie było też dla niej tajemnicą, że istnieje szara strefa obrotu

dobrami kultury zrabowanymi przez nazistów, a także czarny rynek trefnych towarów pochodzących z włamań. Jej samej proponowano kiedyś obraz Rafaela, dwadzieścia lat wcześniej wiszący w muzeum z Dreźnie, a od tamtej pory uważany za zaginiony. Na każdym rynku są czarne owce. Czemu nie miałyby ich zabraknąć także wśród archeologów i kolekcjonerów antyków?

Tymczasem Gropiusa najwidoczniej opanowała gorączka poszukiwań. Jak psa gończego, który złapał trop, nie sposób go było powstrzymać. Kiedy wspomniał o żądaniu dwudziestu tysięcy euro za tajemniczą kasety, Felicia ostrzegła go, żeby zostawił tę sprawę w spokoju albo zawiadomił policję. Gropius jednak, oburzony, odmówił. Od kilku dni są świadkami tego, co zostaje ujawnione w trakcie policyjnego dochodzenia. Nic! On, Gregor Gropius, dostarczy dowodu, że śmierć Schlesingera była dziełem przestępczej organizacji, i dlatego nie można jego czynić za nią odpowiedzialnym. Za coś takiego kwota dwudziestu tysięcy euro nie jest wygórowana.

Rozmowa zakończyła się więc drobnym zgrzytem. Mimo to Gropius odłożył słuchawkę zadowolony. Zdobył cyfry szyfru, który miał mu otworzyć tajemniczą kasety: 12.10.57.

Wcześniej niż było to umówione, Gropius pojawił się w lokalu, którego adres Francesca Colella zanotowała mu na kartce. Znajdował się pod wiaduktem szybkiej kolejki miejskiej przy Friedrichstrasse, otoczony licznymi antykwariatami oferujących dzieła sztuki i archiwalia o różnym charakterze. Można tu było kupić stare książki i czasopisma, zabytkowe meble, a także kosztowne secesyjne lampy, przykurzone malowidła, historyczne kufrы podróżne i staromodne zestawy do gry w golfa.

W zwykłych okolicznościach Gropius spędziłby tutaj pół dnia, uwielbiał bowiem antyki, tym razem wolał jednak tylko zasięgnąć języka, z trudem bowiem przyszło mu trafić pod wskazany adres. Lokal ten, ulubione miejsce spotkań aktorów, był niezwykle oryginalny. Na ścianach, a nawet na suficie wisiały stare lustra i dawne szyldy reklamowe takich firm, jak Nivea, Persil, Maggi czy 4711. Białe kuliste lampy z dwudziestego wieku rzucały przytłumione światło na staromodne stoliki i krzesła. Mężczyźni z brodami, bardzo swobodnie ubrani, na których czas odcisnął wyraźne piętno, głośno, jakby mieli coś istotnego do oznajmienia, rozmawiali o

nowych nabytkach albo dobrych interesach z bardzo ładnymi dziewczynami, które pracowały w okolicy jako ekspedientki. Wszędzie unosił się zimny dym z wędzarni i zapach czosnku, który zapewniał naprawdę pikantny smak zrazom, z jakich sływał ten lokal.

Gropius zajął miejsce przy podłużnym pustym stoliku w ostatnim rzędzie i zamówił berlińskie piwo Weisse mit Schuss, czyli z dodatkiem marzanny. Zastanawiał się, dlaczego Włoszka wybrała właśnie ten lokal, w którym co minutę następował wstrząs, jakby dochodziło do trzęsienia ziemi o sile od czterech do pięciu stopni w skali Richtera, spowodowany przejazdem przez wiadukt kolejki. Wydawało się to jednak nie przeszkadzać tym, którzy spędzali tutaj dzień. W ogóle Francesca Colella stanowiła dla Gropiusa zagadkę. Jej zachowanie zmuszało w pewien sposób do szacunku, gdyż choć czuła się bardzo niezręcznie w swojej roli i musiała powściągać nieufność wobec zupełnie obcego człowieka, który wtargnął w jej prywatne życie, to jednak wydawała się obyta z takimi sytuacjami. Zadekstrowała opanowanie listonosza, którego w najmniejszym stopniu nie interesuje zawartość poczty. Przy tym wiedziała zapewne doskonale, co nosi w aktówce, i na pewno nie było to jej pierwsze zlecenie. Gropius zadawał sobie nawet pytanie, czy Francesca naprawdę pracowała w firmie dostarczającej przesyłki wartościowe i czy nie była bliżej związana z profesorem de Luçą.

Nazwisko profesora w terminarzu Schlesingera było jedyną wskazówką, jaką posiadał. Oczywiście, było umówione spotkanie Schlesingera z de Luçą. Dlaczego jednak profesor nie przyszedł osobiście, a zamiast tego przysłał światową, atrakcyjną kobietę?

Im więcej rozmyślał o wczorajszym dniu, tym bardziej sobie uzmyslał, że nie zachował się zbyt zręcznie. Gdzie podziła się jego pewność siebie, jego swoboda w kontaktach z ludźmi? Chłodna Włoszka bardzo go onieśmieliła. Teraz był zły na siebie, że zareagował taką niepewnością, zmieszaniem i wahaniem.

Upłynęło może pół godziny niespokojnego oczekiwania, podczas którego Gropius mierzył wzrokiem każdą kobietę wchodzącą do lokalu. Aż podskoczył, kiedy po jego lewej stronie za kontuarem zadzwonił telefon. Pikantny aromat zrazów, który rozchodził od dłuższego czasu, wzbudził w nim głód, zamówił więc dwa klopsy i sałatkę ziemniaczaną. Dziewczyna, która przyjęła zamówienie, miała blond włosy długie do pasa i białą

fartuszek sięgający aż do kostek. Gropius patrzył na dziewczynę od tyłu i zastanawiał się, czy ma ładne nogi. Nerwowo miętosił w palcach karteczkę, na której zanotował szyfr mający otworzyć tajemniczą kasetę. Wtedy blond kelnerka wróciła do jego stolika i zapytała:

- Czy pan Gropius?

Zirytowany Gropius podniósł wzrok:

- Tak, bo co?

Blondynka w długim fartuszkę położyła na stoliku przed Gropiusem jakiś papier.

- Faks dla pana!

- Dla mnie? - zdumiony Gropius wziął wydruk do ręki i przeczytał:

Szanowny Panie! Nie sądzę, że jest Pan tym, za kogo się podaje. Jeżeli pan Schlesinger jest nadal zainteresowany transakcją, niech się skontaktuje bezpośrednio z profesorem de Lucą.

Francesca Colella

Na chodnikach wzdłuż Unter den Linden wiał zimny wiatr i porywał liście, które jesień pozostawiła pośrodku dużej alei. Gropius postanowił drogę powrotną do hotelu „Adlon” pokonać pieszo. Niezbyt mocne porywy wiatru sprzyjały rozmyśleniu, Gropius wykorzystał więc tę okoliczność i kontynuował wcześniejsze rozważania. Stopniowo uświadamiał sobie jednak, że ma tutaj do czynienia z siłą, z którą nie jest chyba w stanie sobie poradzić. Ogarnął go przy tym niepokój, który szybko przerodził się w obawę, że takimi samodzielnymi próbami rozwiązania zagadki śmierci Schlesingera może się jeszcze bardziej uwikłać w jakieś ciemne kombinacje.

Z rękami w kieszeniach płaszcz szedł środkiem alei, kiedy nagle wiatr syknął mu w twarz tumanem kurzu. Gropius wierzchem dłoni próbował otrzeć łzy, które wywołał podmuch. Kawiarenki i eleganckie sklepy po obu stronach alei odbijały się w kałużach, dlatego niezbyt wyraźnie dostrzegł obok siebie ciemno ubranego mężczyznę, który już o dłuższej chwili szedł w tym samym kierunku. Nie przeszkadzało mu to jednak aż do momentu, gdy mężczyzna nagle się odezwał:

- Profesor Gropius? Dość chłodno dzisiaj, prawda?

Zbity z tropu niespodziewanym pytaniem, Gropius szedł dalej. Nie wiedział, co się dzieje, nie wiedział też, jak zareagować. W głowie jedno pytanie goiło drugie: „Skąd nieznajomy zna jego nazwisko? A jeśli go

zna, czemu wybrał tak niezwykle sposób nawiązania kontaktu? Skąd w ogóle wiedział, że on, Gregor Gropius, właśnie w tej chwili przechadza się aleją Unter den Linden? Czyżby był obserwowany dzień i noc? Przez kogo i z jakim zamiarem? Czy właśnie nie wydarzyło się to, czego się obawiał?”.

Nie zatrzymując się, Gropius spojrział na idącego obok nieznajomego. Niewysoki krępy mężczyzna o cienkich, lecz długich ciemnych włosach, starannie zaczesanych na bok. Twarz miał uderzająco bladą, co ostro kontrastowało z jego czarnym ubraniem. Dwurzędowy płaszcz, który miał na sobie, był stanowczo za długi dla kogoś jego wzrostu, co czyniło jego chód niemal uroczystym. Właściwie nie robił wrażenia niesympatycznego, nie był to jednak ktoś, kogo Gropius zacząłby na ulicy, pytając o drogę.

- Czego pan chce? - zapytał wreszcie, przyjrzawszy się dokładniej zewnętrznemu wyglądowi nieznajomego. Nie chciał sprawiać wrażenia, że mężczyzna mocno go wystraszył.

- Ach, nic szczególnego - odparł nieznajomy. - Przy okazji, moje nazwisko Rodriguez.

- Mam nadzieję, że nie liczy pan na to, że powiem: „Bardzo mi przyjemnie!” - burknął Gropius ze złością i przyśpieszył kroku, jakby chciał się pozbyć towarzystwa Rodrigueza.

Ale niski, ubrany na czarno mężczyzna żwawo dotrzymał mu kroku i wciąż mówił, mimo wiatru coraz silniej wiejącego od strony Bramy Brandenburskiej.

- Chcę pana ostrzec, profesorze Gropius. Powinien pan zaniechać swojego dochodzenia w sprawie Schlesingera. Jego śmierć nie ma z panem nic wspólnego, szansa zaś, że wyjaśni pan tło tej sprawy, jest równa zeru.

Początkowo Gropius tego nie zauważył, ale teraz był już pewien. Głęboki głos i rozwlekły sposób mówienia - tak właśnie brzmiał złowieszczy głos w telefonie, który go ostrzegał bezpośrednio po śmierci Schlesingera. Najchętniej rzuciłby się temu niewysokiemu mężczyźnie do gardła i wydusił z niego, dla kogo pracuje i dlaczego Schlesinger musiał umrzeć, powstrzymało go jednak pozornie nieistotne spostrzeżenie. Dotychczas wierzył w przypadek, ale teraz odrzucił tę myśl. Od dłuższego czasu, kiedy Rodriguez szedł przy nim, prawym pasem alei powoli jechała obok nich ciemna limuzyna z zaciemnionymi szybami. Gropius udawał, że nie zauważył tego samochodu, i twardo szedł dalej. Czuł się jednak marnie.

- Ta historia nigdy nie doczeka się wyjaśnienia - oznajmił nieznajomy, patrząc dość obojętnie przed siebie.

Gropius nie zdołał ukryć złości.

- Chce pan przez to powiedzieć, że już zawsze będzie na mnie ciążył błąd w sztuce, o który się mnie oskarża? Proszę posłuchać! Kimkolwiek pan jest, ani pan, ani żadna organizacja nie powstrzyma mnie przed udowodnieniem mojej niewinności!

Mężczyzna spojrzął na Gropiusa i uśmiechnął się ze współczuciem.

- Żebym tylko wiedział, jak panu to wyperswadować. Przecież poza tym jest pan światłym człowiekiem, a zachowuje się pan jak jakiś Don Kichot.

- Który walczył z wiatrakami, o ile wiem!

- Właśnie. I wie pan, jak się ta walka skończyła!

Tymczasem dotarli przed hotel „Adlon”, gdzie pewnego podstarzałego gwiazdora pop witała grupa młodych dziewcząt. Gropius obejrzał się za siebie, ale Rodrigueza już nie było. Dojrzał jeszcze, jak ciemna limuzyna przyspiesza i odjeżdża.

W drodze do pokoju na piątym piętrze Gropiusa ogarnęło złe przeżucie. Winda jechała nieskończenie długo, zanim dotarła na miejsce. Szybkim krokiem przeszedł korytarzem do swojego pokoju, włożył klucz do zamka, otworzył drzwi pchnięciem i włączył światło. Wahał się, czy wejść do pokoju. Od wielu dni żył wśród lęków i wyobrażeń, które niejednokrotnie się urzeczywistniły. Teraz Gropius cierpiał na urojenie, że podczas jego nieobecności ktoś wszedł do pokoju. Oczywiście nerwy miał napięte i nie było mu łatwo poradzić sobie ze sprzecznościami, które od niedawna wyznaczały jego życie. „Weź się w garść!”- powiedział w myślach do siebie i wkroczył do środka.

Światło sprawiło, że atmosfera stała się przytulna, nie było też widać niczego niepokojącego. Gropius zatrzymał się i nasłuchiwał. Za oknem szumiął jesienny wiatr, z łazienki dochodziło brzęczenie świetlówek. Pchnął drzwi prowadzące do łazienki. Jeden z ręczników zsunął się z wieszaka. Tajemniczy znak? Otworzył wbudowaną w ścianę szafę. Zadawał sobie pytanie, czy koszule nie wiszą jakoś inaczej, ale nie był w stanie tego stwierdzić. Żadnych śladów rewizji nie ujawniała również jego walizka, w której miał rzeczy na podróż.

Gropius wziął głęboki wdech i głośno wypuścił powietrze z płuc. Był bliski płaczu, nie z powodu smutku, ale z rozpaczy. Sądził, że w Berlinie,

trzymilionowym mieście, będzie bezpieczny, z dala od wydarzeń, które tak go dręczyły. Teraz poczuł się jeszcze bardziej obserwowany niż kiedykolwiek wcześniej. Chwył za telefon.

- Proszę mi przygotować rachunek- powiedział cicho.- Wyjeżdżam. Natychmiast.

ROZDZIAŁ 5

Z lotniska w Monachium Gropius pojechał prosto do Felicii nad jezioro Tegern. Od dwudziestu siedmiu dni żył w stanie ogromnego napięcia. Już nie umiał sobie przypomnieć, jak się funkcjonuje bez tego strachu i niepokoju, który teraz stale mu towarzyszył. Czasem miał wrażenie, jakby śruba okrętowa wkręcała mu się w głowę, mieszając wspomnienia, przeżycia i domysły w jedną gęstą, nieprzejrzystą breję.

Kiedy Gregor przybył do domu Schlesingerów, Felicia zdążyła już usunąć najbardziej rażące ślady przeszukania. Zrelacjonował jej swoją nieudaną podróż, następnie Felicia opowiedziała o pewnym ciekawym odkryciu. W teczce męża, którą oddano jej w klinice, znalazła karteczkę z numerem telefonu. Ponieważ nie było przy nim żadnego nazwiska, początkowo nie zwróciła uwagi na tę karteczkę, ale potem numer z prefiksem Monte Carlo wzbudził jej ciekawość, po prostu więc tam zadzwoniła. W tym miejscu Felicia zrobiła bardzo wymowną pauzę.

- I co? - zapytał niecierpliwie Gropius. Po dwóch dość frustrujących dniach w Berlinie, które zamiast coś wnieść do sprawy i umożliwić wyjaśnienie wątpliwości, wpędziły go w jeszcze większą bezradność, Gropius nie miał już sił, żeby znosić takie tortury. - Kto się zgłosił?

- Służąca niejakiego doktora Fichtego.
- Fichtego? Naszego Fichtego? Niemożliwe.

- Służąca powiedziała, że doktor Fichte przebywa obecnie w Monachium. Chyba że chcę rozmawiać z panią Fichte. „Tak - powiedziałam. - Chcę rozmawiać”. Wtedy odezwał się kobiecy głos. Powtórzyłam swoje pytanie o doktora Fichtego, a tamta kobieta odpowiedziała łamanym niemieckim, pewnie jest Francuzką, że doktor Fichte jest uchwytany w Monachium, i podała mi jego monachijski numer. Po czym odłożyła słuchawkę. Wybrałam więc ten numer i niech pan zgadnie, kto się zgłosił?

- Pojęcia nie mam!

- Pani Fichte! W każdym razie twierdziła, że jest panią Fichte. Tutaj jest ten numer.

Gropius potarł twarz dłonią i jęknął. Tego było trochę za dużo na jeden raz. Nie, tego było po prostu zbyt wiele!

Po chwili zastanowienia Gropius pokręcił głową i powiedział:

- Lekarz naczelny doktor Fichte? Ten pedant, ten drobnomieszczanin *par excellence*? Ten małostkowy mózdzek? Nie, nie chce mi się w to wierzyć.

Felicia wzruszyła ramionami.

- W każdym drobnomieszczaninie tkwi mały światowiec!

- Ale przecież nie Fichte! Fichte w Monte Carlo to jak Eskimos na plaży Copacabana czy kardynał w domu rozpusty. Chociaż...

- Chociaż co?

- Cóż, gdy pomyślę, że widziałem razem Prasskova i Fichtego, i że najwidoczniej istnieje powiązanie między Prasskovem a mafią handlującą narządami, to mój pogląd jednak zaczyna się chwiać. Czyżbym się aż tak pomylił co do Fichtego?

Z wielkim trudem Gropius oswoił się z myślą, że lekarz naczelny z kliniki być może odgrywał zupełnie inną rolę niż ta, którą mu przypisywał. Tak czy inaczej prowadził podwójne życie. Nawet artyście sprawia trudność, żeby z twarzy uczciwego człowieka wyczarować szatańskie oblicze. Więc jednak? Fichte pacholkiem mafii?

Felicia śledziła myśli Gropiusa, jakby umiała czytać ze zmarszczek na jego czole. Po chwili milczenia zapytała:

- Ale Schlesingerowi wszczepiono przecież narząd zgodnie z procedurami medyczno-prawnymi? Proszę mi powiedzieć prawdę, profesorze!

- Tak, oczywiście, co też pani chodzi po głowie! - zirytował się Gropius. - Przy mojej pozycji nie muszę płatać się w żadne mętne interesy. Nie, to wykluczone. To całkowicie absurdalne!

- Tak tylko sobie pomyślałam - powiedziała Felicia usprawiedliwiająco.

- Wiemy już teraz, że Arno miał dość pieniędzy. Mógł sobie kupić wątrobę na czarnym rynku, nawet gdyby cena wynosiła milion. Nie miałabym mu tego za złe, zważywszy na niedobór narządów do przeszczepów. Chciał żyć.

Gropius się rozżłościł.

- W niemieckiej klinice coś takiego jest nie do pomyślenia. Arno Schlesinger został wybrany przez system przydzielający ELAS, była potwierdzona zgodność między dawcą i biorcą. I miał odpowiedni poziom priorytetu.

Felicia odebrała to jako wyrzut. Milczała.

Znów więc powróciła ta sama nieufność, która zawsze wkradała się między nich, kiedy tylko pojawiały się trudności. Właściwie musieli być sprzymierzeńcami, zjednoczonymi przez wspólny problem, ale niepewność tego, jak dalece jedno mogło drugiemu naprawdę zaufać, oddalała ich od siebie. Każde więc oddało się własnym rozmyślaniom. Felicia nie chciała przyjąć do wiadomości, że Gropius wrócił z Berlina z pustymi rękami - podejrzewała, że jednak wydarzyło się tam coś, co profesor przemilcza. Gropiusowi z kolei trudno było pogodzić się z porażką. Gryzło go, że Felicia odkrywając jeden numer telefoniczny osiągnęła w tych okolicznościach więcej niż on swoimi pracochłonnymi poszukiwaniami.

W tym stanie użalania się nad sobą, co dotychczas było mu całkowicie obce i czym u innych pogardzał, Gropius wpadł jednak na pewien pomysł. Zafascynowany własnym konceptem wstał, mruknął krótkie przeprosiny i pojechał do domu.

W siedzibie Federalnej Służby Wywiadowczej w Pullach panowało wielkie napięcie. Późnym popołudniem SIGINT wyłapał kolejny e-mail, którego treść w normalnych warunkach nie zainteresowałaby Wydziału Drugiego, alarm wywołał jednak kod „IND” jako podpis elektronicznej wiadomości, którą tymczasem do pamięci urzędzeń poszukujących wprowadził Heinrich Meyer, szef Signal Intelligence.

Meyer, jak zawsze w szarym garniturze, nie był w stanie powstrzymać uśmiešku, kiedy tuż po godzinie siedemnastej przesłał przejęty e-mail na monitor Ulfa Petersa, szefa Wydziału Piątego - Wydziału do spraw Rozpoznania Operacyjnego. Peters, oficjalnie odpowiedzialny za sprawę, już sobie połamał zęby na kodzie „IND”. Poszedł każdym możliwym tropem,

który od szpiegostwa przemysłowego przez handel narkotykami prowadził do międzynarodowego terroryzmu. Peters był naprawdę wytrwałym psem gończym, który długo się nie poddaje, ale w tym wypadku szybko się zniechęcił, żeby nie powiedzieć: zwątpił, niemal się poddał. Po prostu nie miał już ochoty zajmować się problemem, za którym być może kryje się jakaś niewinna historia. W głębi duszy miał nadzieję, że sprawa się rozmydli, tak jak to się dzieje z dwiema trzecimi wiadomości przejętych przez służby.

Jego nadziei a jednak się nie spełniła. Niezadowolony, wsparty na łokciach, odczytał tekst na monitorze:

E-mail, godz. 16.20, IND, klinika MUC: Nadal czekamy na meldunek o wykonaniu. Mamy wrażenie, że na świecie jest zbyt wielu szperaczy. Byłoby wskazane pozbyć się ich łagodną perswazją. Cel uświęca środki. IND.

Peters uderzał palcami po biurku.

- „IND”, „IND” - powtarzał szeptem, wpatrując się nieprzerwanie w monitor.

Chwilę później w drzwiach pojawiła się przyprószona siwizną głowa Meyera.

- I co? - zapytał wyzywająco, zamknąwszy za sobą drzwi.
- Co „i co”? - odparł zdenerwowany Peters.
- Pytam, czy ma pan jakiś trop, jakiś punkt zaczepienia.

Peters ponownie przeczytał tekst na monitorze, powoli, słowo po słowie, jak modlitwę, jakby chciał się go nauczyć na pamięć. W końcu wskazał palcem słowa „łagodną perswazją”.

Meyer pokiwał głową.

- Wprawdzie to nie należy do moich obowiązków, ale nie jest to także zakazane. To znaczy, śledzenie pańskiego toku myśli. Zestawienie słów „łagodna perswazja”...

- Wiem - przerwał mu Peters. - To sformułowanie wskazuje dość jednoznacznie na „szacowne towarzystwo”.

- Czyli mafie.

- Dawniej ci ludzie mówili o zabijaniu, dziś są bardziej eleganccy w sformułowaniach, mówią o łagodnej perswazji, ale chodzi im o to samo. Sądzę, że musimy się z czymś takim liczyć!

- A kod „IND”?

- To nie jest żaden kod, w każdym razie nie w sensie szyfru używanego przez tajną organizację. Dzięki analizie komputerowej stworzyliśmy listę wszystkich możliwych do stworzenia, przede wszystkim wszystkich logicznych kombinacji słów niemieckich i angielskich. Wynik był bardzo... komiczny: z ponad tysiąca możliwych kombinacji system podał dwieście kombinacji o znanych znaczeniach, które posegregowane na dziedziny terroryzm, narkotyki, handel i przemysł nie przyniosły w kwerendzie ani jednego sensownego skrótu. Sorry, wynik negatywny.

Niemal z obrzydzeniem Meyer patrzył na monitor. Mrużył przy tym oczy i marszczył nos.

- I podobnie jak tamta pierwsza wiadomość, ten e-mail jest utrzymany w tonie absolutnie niezwykłym dla tych kręgów. Brzmi raczej jak telegram od złej teściowej.

- Którym jednak z pewnością nie jest!

- Oczywiście, że nie jest. Musi tutaj chodzić o organizację, która ma poczucie pełnego bezpieczeństwa. Informację nadano, jak za pierwszym razem, z telefonu satelitarnego lub komórki w sieci wschodniego Morza Śródziemnego, na serwer w klinice.

Peters zaśmiał się z goryczą.

- Jak już mówiłem, są to wyrachowani zawodowcy. Stosują zupełnie nowy styl przestępczości.

- Pan mówi w liczbie mnogiej, Peters?

- Cóż, w pierwszym e-mailu nie pojawił się żaden zaimek osobowy, który pozwalałby wnioskować o jednym lub kilku nadawcach. Przy tym do adresata zwracano się per „ty”. Tutaj - Peters wskazał na monitor — jest dokładnie odwrotnie. W ogóle nie ma zwracania się do adresata. Za to nadawcy ujawniają się w liczbie mnogiej: „my czekamy” i „my odnosimy wrażenie”. Innymi słowy, mamy tutaj do czynienia z jednym uśpionym szpiegiem w klinice, kierowanym prawdopodobnie przez jakąś organizację z siedzibą w Hiszpanii.

- Było nie było, zawsze coś nowego - zauważył Meyer w przyпыlywie sarkazmu. - Jak zamierza pan dalej działać?

- Najpierw przeanalizujemy dobór słów w tym nowym e-mailu i porównamy z pierwszym, a następnie wspólnie będziemy się modlić, żeby mafiosi wysłali jeszcze wiele e-maili, które naprowadzą nas na ich trop.

- W takim razie proszę mnie zawiadomić o terminie.
- Co ma pan na myśli?
- Termin tych wspólnych modłów, Peters! Chętnie wezmę w nich udział.

Rita zawsze była na miejscu, kiedy była potrzebna, i Gropius czasem wstydził się swojego egoistycznego zachowania. Co prawda był zawsze wobec niej uczciwy i nie robił jej żadnych nadziei, że z ich romansu może kiedykolwiek powstać poważny związek. Rudowłosa asystentka zajmująca się zdjęciami rentgenowskimi wydawała się jednak zadowolona z tego, co było między nimi, a gdy nazywał ją *the sexiest girl in the world*, była szczęśliwa. Być może miała też nadzieję, że Gropius z czasem zmieni nastawienie. Istnieją takie kobiety, na które nie zasłużył sobie żaden mężczyzna na świecie.

Kiedy Rita przyjechała do Gregora tuż po tym, gdy do niej zadzwonił, liczyła właściwie na to, że spędzą wspólnie noc. Dlatego nie zdołała ukryć rozczarowania, kiedy Gropius wtajemniczył ją w swój plan. Potrzebował kopii listy oczekujących z ELAS - Eurotransplant Liver Allocation System, czyli z systemu przydzielania narządów do przeszczepu, w dodatku rejestru o poziomach priorytetu od T2 do T4, z uwzględnieniem regionu południowych Niemiec. To co brzmi tak zawile, można było minimalnym wysiłkiem wydobyć z dowolnego komputera w klinice pod warunkiem wpisania hasła PUGH. Gropius poprosił Ritę, aby wykonała to zadanie możliwie dyskretnie.

Nazajutrz Rita zjawiała się u Gropiusa w obcisłym zielonym pulowerze, zapierającym dech w piersiach - takim, że normalnemu facetowi po prostu odebrałoby rozum. Gregor jednak od dłuższego czasu nie był normalny i wypatrywał tylko - co oczywiście nie uszło uwadze Rity - wydruku komputerowego, na którym było blisko trzysta nazwisk i adresów, numery telefonów, poziomy priorytetu i punktacje. Trzysta losów ludzi, z których wielu marnie skończy, ponieważ jest za mało narządów do przeszczepu.

Istniały tylko dwie możliwości, żeby być wykreślonym z tej listy - możliwości skrajnie różne. Możliwość numer jeden: dzięki udanej transplantacji narządu. Możliwość numer dwa: wskutek śmierci, gdyż nie było narządu do dyspozycji.

Gropius wiedział, że prawdopodobieństwo sukcesu nie jest szczególnie duże, ale jego pomysł nie wydawał się tak zupełnie beznadziejny. Czytał alfabetyczny wykaz, aż jego wzrok zatrzymał się nagle na pozycji numer dwadzieścia siedem: Werner Beck, urodzony w 1960 roku, zamieszkały w Starnbergu przy Wiesensteig 2, poziom priorytetu T2. „Werner Beck?”. Zdziwiony Gropius przestał czytać. „Ten fabrykant konserw z kiszoną kapustą i kochanek Veronique?”. Wprawdzie nie znał jego wieku, za to wiedział, że Beck mieszka w ogromnej willi nad jeziorem Starnberg. Zdumiało go nie tylko to, że nazwisko Becka było na liście osób oczekujących, ale także poziom priorytetu T2. Oznaczał on ostrą dekompensację narządu, czyli całkowite załamanie funkcji wątroby - człowiek z T2 to pół człowieka, albo nawet mniej. „I z kimś takim Veronique miała mieć romans?”.

Już dawno Gropius rozwinął w sobie zmysł wyczuwania niezgodności, to zaś była właśnie sytuacja, która rodziła wiele pytań. Wsiadł więc do starożytnego japońskiego samochodu terenowego, który zostawiła mu Veronique, i pojechał autostradą na południe. Późna jesień przypominała o swojej lepszej stronie i pozwoliła błyszczeć łańcuchowi alpejskich szczytów. Po dziesięciu minutach Gropius zjechał z autostrady i z trudem przedarł się przez korki do zatłoczonej miejscowości, w której mieszkało więcej milionerów niż w jakimkolwiek innym niemieckim mieście. Po krótkim poszukiwaniu odnalazł Wiesensteig, elegancką ulicę ze wspaniałymi willami, i zaraz na jej początku dom z numerem dwa.

Wysoka brama wjazdowa z kutego żelaza była otwarta, a na trawniku z żywopłotami i niskimi drzewami otaczającym jednopiętrowy dom było widać starszego, elegancko ubranego kamerdynera, który był zajęty składaniem białych mebli ogrodowych i ustawianiem ich w stos przed wejściem do piwnicy. Na drodze wjazdowej stał zaparkowany bentley azure w kolorze butelkowej zieleni, samochód, który nawet w takim miejscu ściągał na siebie uwagę.

Również Gropius zapatrzył się z podziwem na potężny samochód, dlatego nie zauważył, że od tyłu podszedł do niego gospodarz.

- Pan pozwoli!

Profesor przeraził się tym, co zobaczył, przy czym bez wątpliwości musiało chodzić o Becka. Przeraził się, ponieważ wyobrażał sobie wysportowanego młodego mężczyznę, ponadto młodszego od niego o kilka lat.

Tymczasem stał przed nim człowiek przedwcześnie postarzały, wymizowany, łysawy, o zniszczonej twarzy i zapadniętej piersi - człowiek naczyniony ciężką chorobą wątroby. Położył torbę z kijami do golfa na tylne siedzenie bentleya i nawet nie zwrócił uwagi, kiedy Gropius powiedział do niego:

- Czy pan Beck? Nazywam się Gregor Gropius.

Beck znieruchomiał. Trwało dłuższą chwilę, zanim wygramolił się z otwartych drzwi swojego wozu i odezwał niezbyt przyjaznym tonem:

- No i?

Dopiero teraz Gropiusowi przyszło do głowy, że w żaden sposób nie jest przygotowany na rozmowę z kochankiem swojej byłej żony. Odpowiedział więc równie niestosownie co bezradnie:

- Miałem przyjemność odstąpić panu moją żonę.

- Ach! - odparł Beck i zmierzył Gropiusa wzrokiem od stóp do głów. - Było ją sobie lepiej zatrzymać, doprawdy! - Zamknął prawe drzwi i przeszedł na drugą stronę samochodu.

Gropius osłupiał.

- Nie rozumiem pana.

- Cóż tu jest do rozumienia? - wściekł się Beck. - Było, minęło. I to nie wczoraj! - Po czym nagle wybuchł: - Kiedy czułem się okropnie, kiedy lekarze dawali mi niecałe pół roku, wtedy Veronique udawała wielką miłość. Niestety o wiele za późno zrozumiałem, że polowała wyłącznie na spadek. Być może powinienem częściej spoglądać w lustro, wtedy bym sobie uświadomił, że ona chciała nie mnie, tylko moich pieniędzy. Kiedy później zaczęło się moje nowe życie, miłość szybko się skończyła...

- Co pan ma na myśli, mówiąc o rozpoczynaniu nowego życia?

Beck wzdrygnął się, po czym oznajmił bezczelnie:

- Nie sądzę, żeby pana to dotyczyło. Nie mamy ze sobą absolutnie nic wspólnego. Proszę mnie nie zatrzymywać, muszę jechać na golfa!

Gropius był sobie w stanie wyobrazić, jak nieprzyjemne dla Becka było to niespodziewane spotkanie. Nie wziął mu więc za złe, gdy tamten bez pożegnania wsiał do bentleya i odjechał, zmuszając silnik do głośniego warkotu. Samochody często muszą cierpieć za sfrustrowanych właścicieli.

W ogrodzie przy domu wciąż uwijał się kamerdyner. Śledził spotkanie z oddali, nie słysząc, o czym mowa. W nadziei, że dowie się więcej na temat jego szefa, Gropius podeszedł do starszego mężczyzny i nawijał

niewinną rozmowę. Kamerdyner, świadomy swoich obowiązków, odpowiadał uprzejmie, aż w końcu zapytał:

- Pan jest znajomym pana Becka?

- Tak, przez pewną wspólną znajomą. Jak słyszę, znowu dobrze mu się wiedzie, mam na myśli zdrowie!

- Bogu dziękować! Okropne było przyglądanie się, jak pan Beck z każdym dniem coraz bardziej się rozsypywał.

- Wątroba, prawda?

Kamerdyner w zamyśleniu pokiwał głową i powiedział, patrząc w ziemię:

- Ciężka operacja, ale wszystko poszło dobrze, pan Beck przecież wciąż jest młody.

- I kosztowna!

- Że jak?

- Cóż, operacja nie tylko ciężka, ale także kosztowna.

Kamerdyner zaśmiał się, położył dłoń na brzuchu i powiedział:

- Pan Beck mawia zawsze z ręką na brzuchu: „Karolu - bo mam na imię Karol - tutaj noszę ze sobą pół domu”.

- Aż tak to kosztowne? - Gropius udał zdziwienie.

Kamerdyner Karol machnął ręką.

- Nie trafiło na biedaka, pan Beck mógł sobie pozwolić na nową wątrobę. Ktoś taki jak ja poszedłby do piachu. Takie jest życie - Karol zabrał się znów za swoją robotę. - Pan wybacz!

- Wie pan może, gdzie operowano pana Becka? - dopytywał się Gropius.

Kamerdyner znieruchomiał, odwrócił się i spojrzał na Gropiusa podejrzliwie.

- Po co to panu wiedzieć?

- Po prostu mnie to ciekawi, i tyle.

Człowiek ten, przed chwilą jeszcze taki przyjazny, odchylił głowę do tyłu, przymknął oczy i odpowiedział chłodno:

- Drogi panie, nie jestem upoważniony do udzielania informacji o prywatnych sprawach pana Becka. I tak już za wiele powiedziałem. A teraz proszę uprzejmie opuścić teren.

- Już dobrze - mruknął Gropius pojednawczo. - To nic ważnego.

Gropius odwrócił się i odszedł. Dość już usłyszał, a nawet więcej niż dość. „Chciwe babsko z tej Veronique”.

*

W siedzibie specjalnej komisji przy Bayerstrasse panowała atmosfera rozdrażnienia. Biuro Ingrama przypominało zakurzone archiwum niezależnego naukowca. W kącie figus, pod oknem kaktusy. Akta, notatki, plany i dokumenty, które zabrali z gabinetu Schlesingera, łącznie siedemdziesiąt cztery jednostki, leżały rozłożone na stołach i na podłodze lub były przychepione pinezkami do ścian i szafek. Wśród nich znajdował się wycinek z gazety z nagłówkiem: „Tajemniczy zgon w klinice uniwersyteckiej”. Sześciu policjantów starało się, powtarzając szeptem niezrozumiałe teksty, znaleźć w tej masie notatek coś, co przyniosłoby odpowiedź na pytanie, dlaczego Arna Schlesingera zabito w tak niezwykle sposób.

Wolf Ingram, szef komisji do sprawy zabójstwa Schlesingera, niemal zniknął za stosem papierów, który piętrzył się na jego biurku. Był w szczególnie złym nastroju, doszedł bowiem do wniosku, że analiza tych dokumentów nie posuwa ich nawet o krok do przodu. Ponadto rozszyfrowanie dokumentów wymagało udziału specjalisty, który rzekome skróty czy kody, jak Jabrud lub Kara Tepe, zidentyfikowałby jako niewinne miejsca wykopalisk, oszczędzając im wielu zgadywanek. To, że Schlesinger rozmaitym instytutom naukowym zlecił analizę znalezisk, nie czyniło jeszcze archeologa szczególnie podejrzanym. Ingram ograniczył się więc do tego, żeby na podstawie dokumentów stworzyć listę miejsc na świecie, w których przebywał Schlesinger.

Była to zatem najmniej sprzyjająca chwila, na jaką mógł trafić prokurator Markus Renner, który w ciemnej dwurzędowce, z czarną aktówką w ręce, odwiedził komisję specjalną, aby dowiedzieć się o aktualny stan dochodzenia.

- Minister spraw wewnętrznych zażądał okresowego sprawozdania! - powiedział z dumą. Przy tym szkła w jego okularach bez oprawek błyskały złowieszczo.

- To niech sobie zażąda! - burknął rozstrojony Ingram. - W takim razie proszę przekazać panu ministrowi, że dotarliśmy do informacji na temat czterech fragmentów czaszki pewnego człowieka!

Młody prokurator zrobił zaciekawioną minę.

- Fragmenty czaszki? To niesamowite!

- Tutaj, proszę spojrzeć! - Ingram z niesmakiem pomachał Rennerowi przed nosem arkuszem papieru. - Człowiek, z którego czaszki pochodzą te fragmenty, żył w Galilei i należał do paleoantropów, chociaż wykazywał

już cechy neoantropów. Schlesinger zajmował się zagadnieniem, czy pierwotny posiadacz tej czaszki był raczej neandertalczykiem, czy już homo sapiens. Pan minister może sobie zresztą obejrzyć tę czaszkę w Muzeum Archeologicznym w Jerozolimie!

Członkowie specjalnej komisji wybuchnęli głośnym śmiechem, a Renner poczerwieniał na twarzy. Z naganą w głosie oznajmił:

- Moi panowie, uważam, że byłoby wskazane, gdybyście z większą powagą podeszli do sprawy. Nie chodzi tylko o morderstwo. Jeśli się okaże, że Schlesinger był członkiem jakiejś siatki terrorystycznej, a my prowadziliśmy dochodzenie tylko jednotorowo, to i pan, i ja możemy się pożegnać z robotą.

Na to Ingram wstał, prezentując Rennerowi swoje stukilogramowe cielsko, i z założonymi rękami powiedział:

- Panie prokuratorze! W ciągu ostatnich dni miałem do czynienia więcej ze starymi kośćmi niż z żywymi ludźmi. Pan jest pierwszym żywym człowiekiem od wielu dni. Niebawem będę mógł jechać na Bliski Wschód jako kopacz. Niechże się pan pogodzi z tym, że te zabezpieczone dokumenty to tylko strata czasu.

- To był eksperyment.

- Eksperyment! - powtórzył Ingram z goryczą. - Ten eksperyment kosztował nas pół tygodnia! Sprawa Schlesingera od samego początku wykazywała tak niezwykle cechy, że tylko niezwykle środkami można uzyskać rozwiązanie.

- Co pan zatem proponuje? - zapytał Renner wyniośle.

Ingram pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „Też bym chciał wiedzieć”. Nie odpowiedział jednak.

- Sam pan widzi - stwierdził Renner arogancko. Zdjął okulary i zaczął polerować szkła białą chusteczką. - Sam pan widzi - powtórzył triumfalnie.

Ingram usiadł z powrotem za biurkiem i poprawił monitor, model należący już do przeszłości. Nagle podskoczył jak rażony prądem, nachylił się i przeczytał na monitorze e-mail, który właśnie przyszedł:

BND - SIGINT, Wydział Piąty, Specjalna Komisja do sprawy zabójstwa Schlesingera, Wolf Ingram: Dziś rano o godzinie 6.50 przechwycono następujący e-mail z kodem „IND”, nadawca: numer wewnętrzny kliniki w Monachium, adres docelowy: Hiszpania, szczegółów nie ustalono. Cytat:

„Niestety nasze plany spełzły na niczym. Akta i dokumenty w niewłaściwych rękach. Teraz należy się liczyć z najgorszym. Proszę o nowe instrukcje. IND”.

Ingram rzucił Rennerowi trudne do zinterpretowania spojrzenie, po czym odwrócił monitor w jego kierunku.

Przeczytawszy wiadomość, prokurator zmarszczył czoło i właściwym sobie tonem wyższości stwierdził:

- Ingram, to jest wyzwanie dla pana i pańskiego zespołu. Zatem powodzenia!

Ingram, zwykle dość opanowany i uprzejmy, choć nikt by się po nim takich cech nie spodziewał, teraz pobladł. Murau zaś, który znał go lepiej niż którykolwiek z pozostałych policjantów, czekał trwożliwie na reakcję Ingrama. Wiedział, co to oznacza, kiedy Ingram robił się błąd jak umywalka w dworcowej toalecie. I tym razem nie było inaczej.

- Młody człowieku - zaczął cicho Ingram, czyniąc aluzję do młodego wieku Rennera, po czym kontynuował z większą gwałtownością: - Od stworzenia specjalnej komisji dziesięć dni temu harujemy jak woły, żeby powoli zbliżyć się do rozwiązania tej sprawy. Pół kliniki przewróciliśmy do góry nogami, opróżnialiśmy szafki i przeszukaliśmy śmietniki. Wszyscy, jak tu jesteśmy, mamy serdecznie dość zapachu karbolu. Sprawdziliśmy - wziął z biurka pięć grubych skoroszytów i rzucił je na stół przed Rennerem - prawie dwustu pracowników kliniki, którzy mogli nam do starczyć jakiejś wskazówki na temat zbrodni. Zrekonstruowaliśmy, minuta po minucie, drogę narządu do przeszczepu od jego pobrania we Frankfurcie do chwili jego wszczepienia Schlesingerowi, rozmawialiśmy z każdym, kto mógł mieć kontakt z walizeczką do transportu narządów. I na to przychodzi pan, świeżo ogolony, w tym swoim dyrektorskim płaszczku, i gada o wyzwaniach! Jak pan sądzi, co robiliśmy przez ostatnie dni, kiedy pan na swoim biurku przekładał papiery z prawa na lewo? Ta sprawa już taka jest: niezwykajna i nieporównywalna z żadną inną. A jeśli mam być szczerzy, to do tej pory właściwie nie wiemy nic. Nic ponad to, że pewien człowiek został zabity w osobliwy sposób, człowiek, którego można było wyeliminować mniejszym nakładem sił i mniej ryzykownie. A teraz proszę nas zostawić w spokoju, mamy robotę!

Podczas gdy współpracownicy Ingrama, tworząc wokół prokuratora półkole, z uśmiezkami śledzili to besztanie, ten stał tam jak zmokły pu-
del. Gdy jednak tylko Ingram skończył, chwycił swoją aktówkę, odwrócił
się na pięcie i pomaszerował ku drzwiom. Zanim je za sobą zatrzasnął,
powiedział jeszcze cicho, stłumionym głosem zdradzającym wewnętrzne
poruszenie:

- To się tak nie skończy! Jestem prokuratorem, a nie jakimś głupim
uczniakiem!

Budynek przy Hohenzollernstrasse pilnie wymagał remontu. Żółtej
farby, którą był pomalowany kilkadziesiąt lat wcześniej, można się było
jedynie domyślać. Przy oknach obramowanych szerokimi pilastrami kru-
szył się tynk. Słowem: dom, który Gropius odwiedził w środę, nie był ele-
gancki. Tutaj jednak mieszkał Lewezow.

Jego nazwisko, wycięte z wizytówki i przyklejone obok dzwonka, pro-
fesor znalazł na samej górze, nad trzydziestoma przyciskami dzwonek. Nie
było także domofonu, udał się więc po wydeptanych schodach na
górze. Ciasna klatka schodowa, ściany pomalowane brązową farbą olejną,
ostre mosiężne śruby na poręczy, której żadne dziecko nie użyłoby jako
zjeżdżalni.

Kiedy na czwartym piętrze Gropius nacisnął dzwonek, za drzwiami,
które przetrwały pierwszą wojnę światową i miały na wysokości oczu wą-
skie okienko z mleczną szybką, odezwał się gong na melodię *Dla Elizy*.
Jest to zresztą fenomen, ponieważ dwie trzecie gongów w Niemczech za-
powiada gości tą właśnie melodią, a mało kto zna jej tytuł.

Lewezow spodziewał się Gropiusa. Mieszkanie składało się z dwóch
połączonych pomieszczeń o skośnych ścianach i dwóch mansard z oknami
na podwórze. Było zastawione dziwaczными meblami, jakie sprzedaje się
na pchlim targu w dzielnicy Munchener Osten. Gropius usiadł w sta-
roświeckim fotelu, wyższym od dorosłego człowieka w kapeluszu, i zaczął
bez wstępów:

— Jak już mówiłem panu przez telefon, wracam do pańskiej propo-
zycji pracy dla mnie.

— To mnie cieszy, profesorze! - uklonił się Lewezow, mimo późnej po-
ry ubrany w błyszczący jedwabiem czerwony szlafrok i stosowną apaszkę
w niebieskie kropeczki. - Jeśli tylko mogę być panu pomocny, oto wykaz
cen moich usług.

Gropius nie zwrócił uwagi na cennik, złożył go wpół i schował do kieszeni marynarki. Z wewnętrznej kieszeni wyjął inny dokument i przesunął go w kierunku Lewezowa po stole na wysokich nogach.

- Jest to lista, około trzystu osób, które czekają na wątrobę do przeszczepu. Proszę, aby pan potraktował tę listę w najwyższym stopniu poufnie. Mam świadomość, że poruszamy się tutaj trochę poza prawem. Jest to jednak być może jedyna możliwość, żeby dopaść ludzi odpowiedzialnych za skandal związany z transplantacją skażonego narządu.

Gestem marnego aktora Lewezow uniósł rękę.

- Może pan liczyć na moją dyskrecję, profesorze. I będzie pan zadowolony. Co mam zrobić?

- Przyznaję, że sprawa nie jest prosta. Na początek chodzi o to, żeby wyłuskać z tej listy ludzi, którym sytuacja finansowa pozwala wyłożyć pół miliona za nową wątrobę. Zakładam, że nie będzie ich znów tak wielu. Ale pańskie właściwe zadanie polega na ustaleniu, czy ktoś z nich rzeczywiście poddał się już transplantacji, a jeśli tak, to gdzie.

Lewezow zakrył twarz dłońmi, jakby się chciał przed profesorem schować. Kiedy znów się pojawił, oznajmił w zamyśleniu:

- Rzeczywiście zadanie nie jest łatwe. Ile czasu mi pan daje?

Gropius wzruszył ramionami.

- W pierwszym rzędzie chciałbym dowiedzieć, że ręce mafii handlującej narządami sięgają aż do naszej kliniki. W tym celu wystarczy jeden jedyny pacjent, który złoży zeznanie: „Tak, kupiłem sobie narząd i wszczepiono mi go tam a tam”.

- Rozumiem. Tylko że... - Lewezow zrobił wielkie oczy i znacząco potarł kciuk o palec wskazujący. Należał do tego gatunku ludzi, którzy w kwestii pieniędzy tracą wszelką godność.

- Tak, oczywiście! - Gropius wyjął kopertę i wręczył ją detektywowi.

- Bardzo łaskawie — powiedział uniżenie Lewezow. - Bardzo łaskawie!

Pogardliwy ton Gropiusa nie uszedł jego uwadze, ale życie to nie bajka i nauczyło go ignorować takie ciosy poniżej pasa.

- Da pan sobie radę - powiedział Gropius, przy czym było to tylko pobożne życzenie. Zabrzmiało niemal jak zaklęcie. Wstając, dodał jeszcze: - Zresztą Wernera Becka może pan skreślić z listy! Ta sprawa się wyjaśniła. — Po czym się poprawił: - Tę sprawę ja wyjaśniłem.

Kiedy wyszedł przed bramę domu, w którym mieszkał Lewezow, świeciło słońce. Swoją samochód terenowy zaparkował po drugiej stronie ulicy, przed kwiaciarnią. W stronę placu Elektorskiego tłukł się tramwaj, ciągnąc za sobą tumany zimnego kurzu. Podłoże drżało pod żelaznymi kołami. „Istnieją miłsze ulice niż ta - pomyślał Gropius. - W każdym razie ta ulica nie zasługiwała na tak ważną nazwę”. Już prawie był po drugiej stronie i szukał w kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego kluczyków do samochodu, kiedy dostrzegł kątem oka, jak jakaś ciemna limuzyna gwałtownie ruszyła na niego. Intuicyjnie odskoczył w bok, żeby uniknąć pędzącego pojazdu, manewr ten jednak nie do końca się udał. Prawy błotnik uderzył go w udo i rzucił na maskę zaparkowanego samochodu. Gropius na chwilę stracił przytomność.

Wszystko stało się tak nagle, że z całego zdarzenia do Gropiusa dotarło tylko tyle. Nogi mu drżały. Uczepił się lusterka swojego samochodu terenowego i ostrożnie poruszał wszystkimi częściami ciała, żeby sprawdzić, czy wyszedł z tego cało. Kiedy wrócił do pełnej świadomości, zaczął wypatrywać ciemnej limuzyny - oczywiście na próżno. Na ulicy o napuszonej nazwie odbywał się ruch, jakby nic się nie wydarzyło.

Gropius, wyczerpany, wsiał do samochodu i oparł głowę na kierownicy. Oddychał z trudem, miał uczucie, że brakuje mu powietrza. Myśli kłębiły mu się w głowie i żadnej nie mógł przeanalizować do końca. Ale jedno wiedział bardzo dobrze: ten wypadek nie był przypadkowym potrąceniem przechodnia.

Drżącą dłonią Gropius przekręcił kluczyk w stacyjce i odjechał. Nie zwracał uwagi na ożywiony ruch uliczny. Bolały go plecy i ledwie mógł ruszać lewą nogą. Jak we śnie, mechanicznie, przejechał przez centrum, kierując się na południe, do domu.

Bezskutecznie szukał wyjaśnienia tego wypadku. Umysł kilkakrotnie podsuwał mu nazwiska tych, którzy mogli mieć interes w usunięciu go. Na potwierdzenie każdego z tych podejrzeń brakowało mu jednak dowodu. Już zbyt długo kręcił się w kołowrotku podejrzeń, domysłów i bezradności, znalazł się w końcu w stanie, który stopniowo czynił go chorym, niepewnym, trwożliwym, wręcz histerycznym.

Tego, w jaki sposób dotarł do domu w dzielnicy Grunwald, nie umiał już powiedzieć. Pamiętał tylko, że podniósł do ust butelkę burbona. Potem pociemniało mu w oczach.

*

Kiedy Gropius doszedł do siebie, stracił zupełnie poczucie czasu. Miał wrażenie, że przez sen słyszał telefon czy dzwonek do drzwi. „Może to tylko sen” - pomyślał. Bolała go głowa i czuł jakby żelazną obręcz wokół czaszki. Mętnym wzrokiem dostrzegł butelkę whisky leżącą na podłodze przy łóżku i widok ten dał mu do myślenia. Wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi. W jego uszach brzmiał bezlitośnie ostro. Gropius z trudem próbował wstać, a kłujący ból w głowie spowodował, że cicho jęknął. Kiedy dzwonienie stało się bardziej natarczywe, postanowił stanąć na nogi. Okazało się to niełatwe. Dopiero teraz zauważył, że spał całkiem ubrany. Dzwonek jazgotał coraz gwałtowniej.

- Już idę - warknął Gropius, schodząc w cierpieniu po schodach. Kiedy otworzył, przed drzwiami stała Felicia. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

- Gdzie pan był przez cały czas? - zawołała zdenerwowana. - Od wczoraj próbuję pana złapać! - Dopiero teraz zauważyła rozpaczliwy stan, w jakim znajdował się profesor.

Gropius uczynił gest, zapraszając ją do środka, wypadło to jednak dość niezgrabnie, jakby włączęga ćwiczył zachowania osób z wyższych sfer.

- Burbon - usprawiedliwił się, czując na sobie wzrok Felicii. - Pewnie było za dużo tego dobrego, ale nie bez powodu!

Felicia nie widziała jeszcze profesora w takim stanie, nawet wtedy, gdy o mały włos nie zginął w zamachu bombowym.

- Co się stało? - zapytała ostrożnie. - Naprawdę nie wygląda pan dobrze. - Z niepokojem przyglądała się profesorowi.

Gropius raz po raz kręcił głową. Sam nie rozumiał, co zaszło wczorajszego dnia. A potem, chodząc po salonie tam i z powrotem, jak dziki zwierz w klatce, zaczął opowiadać, jak zlecił detektywowi nazwiskiem Lewezow dochodzenie w sprawie mafii handlującej narządami, jak przechodził przez ulicę do samochodu i jak ciemna limuzyna z dużą prędkością wjechała w niego, po czym upadł na maskę swojego samochodu terenowego i na chwilę stracił przytomność.

Felicia z przerażeniem słuchała opowieści. Niepokój Gregora wywołał u niej strach, mimo to zastanawiała się, jak go uspokoić.

- Właściwie przyszłam po to, żeby pana przeprosić - powiedziała, żeby nie myślał już o wypadku z poprzedniego dnia.

- Przeprosić? Za co? - Gropius zatrzymał się pośrodku salonu i rzucił Felicii spojrzanie budzące litość.

- Za pańskie pośpieszne wyjście przedwczoraj! Rozumiem, że był pan zły z powodu mojej nieufności. Z pewnością bardzo pana uraziło, kiedy zapytałam, czy przy operacji męża wszystko poszło zgodnie z zasadami sztuki lekarskiej. Proszę mi wybaczyć!

Felicia podeszła do Gropiusa, chwyciła go za ręce i spojrzała na niego poważnie. Tak samo jak wtedy w hotelu, kiedy nieoczekiwanie wpadli sobie w objęcia, nagle poczuł elektryzującą siłę przyciągania pochodzącą od Felicii. Inaczej jednak niż wtedy, teraz nie ośmielił się jej objąć. Nie zdążył jeszcze zobaczyć się w lustrze, ale mógł sobie wyobrazić, jak wygląda. Zmieszany odwrócił głowę w bok.

- Już dobrze - mruknął. - Nie byłem zły na panią, naprawdę nie byłem zły. A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę natychmiast wziąć prysznic!

Kiedy Gropius starał się na przemian zimną i gorącą wodą zlikwidować uczucie kaca, Felicia szukała w kuchni czegoś jadalnego, z czego mogłaby wyczarować coś na kształt śniadania. Kuchnia i stan zapasów wykazywały cechy typowe dla porzuconego męża - kilka konserw, ale głównie brak wszystkiego. Dlatego było niemal czarodziejską sztuką to, co Felicia po krótkim czasie postawiła na stole w jadalni.

Kawa wydzielala cudowny aromat, podobnie tost, do tego dwa jajka na twardo, miód i konserwa wołowa. Wszystko czekało już na Gropiusa, kiedy świeżo wykąpany i z nową chęcią do życia wyszedł z łazienki. Gregor nie umiał ukryć zachwytu i pocałował Felicię w policzek. Już bardzo dawno nie jadł śniadania przy tak zastawionym stole.

Oboje przez chwilę siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu. Po czym Felicia zapytała ostrożnie:

- Sądzi pan, że chcieli pana zabić?

Pytanie to, tak po prostu zadane przy śniadaniu, w swojej prostocie zabrzmiało brutalnie i Felicia natychmiast zauważyła swój błąd. Dlatego szybko dodała:

- Chodzi mi o to, czy ten incydent nie mógł być ostrzeżeniem, żeby pan zaniechał swojego dochodzenia?

- Jestem o tym wręcz przekonany! - odparł Gropius. - Ci ludzie nie chcieli mnie zabić, chcieli mi tylko dać nauczkę, kopa, że tak powiem, żeby ich żądania brzmiały bardziej dobitnie. Gdyby w ich zamiarach leżało zabicie mnie, mieli niejedną okazję. Nie, stopniowo rośnie we mnie podejrzenie, że ci ludzie mnie potrzebują.

Felicia zaśmiała się z udręką.

- Absurdalna wizja.

- W rzeczy samej, ale proszę podać jakiś inny powód takiego dziwnego zachowania! Przy każdym nowym odkryciu w moich poszukiwaniach dochodzi do jakiegoś niespodziewanego spotkania, które ma mi pokazać, że niewielkie są moje szanse na zdekonspirowanie tych ludzi. Patrząc z dystansu na wczorajszy incydent, sądzę, że jego celem było połamanie mi wszystkich kości, żeby ograniczyć moją ruchliwość.

- Tak spokojnie pan to mówi! - Felicia przyjrzała się Gropiusowi, który teraz znów wyglądał lepiej. Potem powiedziała: - Prokurator zezwolił na zabranie ciała mojego męża. Zorganizowałam kameralną kremację, bez żadnych uroczystości.

Gropius pokiwał głową, boleśnie poruszony. Nie mogąc dowieść swojej niewinności, nadal czuł się winny.

- I oddali mi skonfiskowane dokumenty. Podobno nie znaleziono nic, co posunęłoby dochodzenie policyjne.

Gropius w zadumie ugryzł kawałek tosta. Było widać, że myślami jest gdzieś daleko. Nagle zapytał:

- A tak przy okazji, czy profesor de Luca się odzywał?

Zdziwiona Felicia podniosła wzrok.

- Nie. Poza tym zupełnie zapomniałam o tym całym de Luce.

Gropius zacisnął usta, potem powiedział:

- Dziwne, nie sądzi pani? W końcu chodziło o dwadzieścia tysięcy euro. Żadnego listu, faksu, telefonu?

- Przykro mi - Felicia potarła nasadę nosa. Robiła tak zwykle wtedy, kiedy się zastanawiała, a Gropius uważał to za zabawne. - Bardzo by mnie ciekawiło - odezwała się w końcu - coś tak cennego było zamknięte w tamtej kasecie. Może diamenty? Mój mąż wiedział o kamieniach szlachetnych tyle co nic. Ten pierścionek - rozczapierzyła na stole palce dłoni, na której błyszczał pierścionek z brylantem - ten pierścionek sama sobie podarowałam. Arno kupiłby mi pewnie biżuterię z paciorkami. Chociaż...

Gregor spojrział pytająco na Felicię. - Chociaż?

- Kiedy pomyślę o tym, co na temat jego podwójnego życia już wyszło na światło dzienne, to nie mogę wykluczyć, że zajmował się również diamentami i tylko udawał laika.

- Ma pani rację. W tej sytuacji dwadzieścia tysięcy euro przy transakcji w Berlinie to, oczywiście, drobiazg. Mimo to jest zagadką, dlaczego Francesca Colella ni z tego, ni z owego zniknęła, a de Luca wcale się nie odezwał.

- Czeka na telefon od Schlesingera!

- Może.

Kiedy Gropius patrzył za okno, Felicia go obserwowała.

- Wydaje mi się, że wiem, co panu chodzi po głowie - powiedziała z wyrazem twarzy, który wyraźnie ujawniał dezaprobatę.

- Tak? Tak pani uważa? - Gropius zmusił się do gorzkiego uśmiechu.

A Felicia odparła:

- Jak długo zamierza pan jeszcze działać na własną rękę? Lepiej byłoby to zostawić policji. Nie sądzi pan?

Profesor zrobił głęboki wdech. Daleki był od tego, żeby po prostu wyrazić tylko odmienne zdanie. Niewątpliwie były rzeczy warte zrobienia w walce z nieznanym przeciwnikiem, który zmierza do nieznanego celu. Swoje dochodzenie posunął jednak tak daleko, że nie było już możliwości zaniechania poszukiwań bez wzbudzania podejrzeń. Nagle powiedział:

- Lecę jutro do Turynu.

Felicia spojrzała na Gropiusa, jakby zrobił jej nieoczekiwane wyznanie. Przeczuwała, że ich rozmowa właśnie na tym się skończy.

- Nie poddaje się pan - zauważyła z rezygnacją.

- Nie, nigdy! - oświadczył Gropius. - tym wypadku też się nie poddam.

Felicia przez chwilę się zastanawiała, po czym powiedziała stanowczo:

- Dobrze, skoro nie mogę pana od tego odwieść, to lecę z panem. W końcu przede wszystkim jest to moja sprawa!

- Nie byłbym tego taki pewien - zaproponował Gropius. - Sądzę, że ta historia dotyczy nas obojga. Poza tym nie uważam za dobry pomysł, żebyśmy razem lecieli do Turynu. Wcześniej czy później rzecz się wyda i wywoła mylne wrażenie.

Na to Felicia nie miała kontrargumentu.

- Ale będzie mnie pan informował na bieżąco - napomniała profesora, po czym pożegnała się i wyszła.

ROZDZIAŁ 6

Samolot Lufthansy, obsługujący lot numer 2760, wystartował z Monachium o godzinie dziesiątej trzydzieści pięć. Był to Canada Air Jet z czterdziestoma ósmioma miejscami dla pasażerów i jedną toaletą z tyłu maszyny. Gropius nienawidził tych odrzutowców kursujących na krótkich trasach, o małej rozpiętości skrzydeł, ponieważ w powietrzu są niestabilne i na najmniejsze turbulencje reagują tak gwałtownym spadaniem, że zawartość żołądka podchodzi do gardła. Niewiele brakowało, a Gropius musiałby się posłużyć specjalną szarą torebką, która znajdowała się przy jego siedzeniu. Po półtoragodzinnym locie samolot wylądował przed czasem na turyńskim lotnisku Caselle. Zmęczony lotem Gropius wsiadł do taksówki i zamówił kurs w kierunku Lingotta, położonego dziesięć minut na południe od śródmieścia.

Podobnie jak większość miast na północy Włoch, także Turyn witał przyjezdnych ogromnymi zakładami przemysłowymi, potężnymi blokami mieszkalnymi i wysokimi domami na przedmieściach. Taksówkarz, gwałtownie gestykulując, zapewniał, że mimo germańskiej urody, czyli blond włosów i niebieskich oczu, jest rodowitym turyńczykiem. Oświadczył także, że pasażer musi się liczyć z godziną jazdy, mimo skrótów, które zna tylko on. Mrugnął przy tym do Gropiusa, który usiadł z przodu, na siedzeniu obok kierowcy. Okazało się, że taksówkarz miał rację.

Byli w drodze już ponad godzinę, kiedy taksówkarz, jadąc od strony Corso Vittorio Emanuele, skręcił w Via Nizza. Hotel „Le Meridien Lingotto”,

największy w mieście, z zewnątrz nie sprawiał wrażenia szczególnie luksusowego, co wynikało zapewne stąd, że wzniesiono go, wykorzystując zabudowania dawnej fabryki samochodów marki Fiat. Najwyższe piętro tego prostopadłościanu służyło wcześniej jako powierzchnia do przeprowadzania testów samochodów, dziś zaś goście hotelowi mogli uprawiać tam różne dyscypliny sportu.

Gropius wynajął na dwa dni słoneczny, komfortowo urządzony pokój z widokiem na podwórze. Sądził, że w tym czasie namierzy profesora de Luce i dowie się, co było ukryte w kasecie wartej dwadzieścia tysięcy euro. Zadania odnalezienia tajemniczego profesora nie ułatwiało ani to, że nie miał jego adresu czy numeru telefonu, ani to, że nie znał nawet jego imienia. Nie przyniosło także oczekiwanego skutku poproszenie portiera, żeby wyszukał numer telefonu profesora de Luki w dostępnych w recepcji książkach telefonicznych.

Była jednak jeszcze Francesca Colella i firma ubezpieczeniowa VIGILANZA. W książce telefonicznej udało się portierowi odszukać trzy osoby o nazwisku Colella. Pierwszy numer był już nieaktualny, pod drugim nikt się nie zgłaszał, trzeci zaś okazał się pomyłką, gdyż właściciel stacji benzynowej, do którego Gropius się dodzwonił, przysięgał na Madonnę i wszystkich włoskich świętych, że nie ma ani żony, ani córki imieniem Francesca, a jego teściowa od sześćdziesięciu czterech lat nosi imię Klara. Pozostawała zatem VIGILANZA.

Kiedy wybierał sześciocyfrowy numer firmy VIGILANZA Gropius miał przed oczami obraz zimnej Włoszki poznanej w Berlinie. Francesca Colella w dziwny sposób go zafascynowała. Poprzez pewne siebie spojrzenie zza okularów bez oprawek przypominała mu jego nauczycielkę biologii, w której kochał się na zabój. Miał wtedy trzynaście czy czternaście lat, a ona wyjaśniała, jak dziki tulipan, którego nazwała *Tulipa sifoestris*, rozmnaża się przez zapylenie. Wtedy jego zainteresowanie dotyczyło głównie podwiązek nauczycielki, odznaczających się wyraźnie pod obcisłą czarną spódnicą. Na nieszczęście pani Lankwitz, bo tak się nazywała właścicielka kuszących podwiązek, dostrzegła jego niestosowne roztargnienie. Wprawdzie nie powiedziała słowa, ale przez całe ciało przeszedł mu przyjemny dreszcz pod wpływem spojrzenia, jakie mu rzuciła przez te swoje błyszczące szkła, dając do zrozumienia, że zauważyła jego niegrzeczne zachowanie. Skutkiem tego zdarzenia, niedostrzeżonego przez innych uczniów, było to, że pani Lankwitz nie nosiła już podwiązek, w każdym razie nie w

szkole. Od tamtej pory Gropiusa pociągały kobiety nieprzystępne, takie jak Francesca Colella.

- *Pronto!* - odezwała się w telefonie Francesca surowym głosem.

Kiedy Gropius podał swoje nazwisko, zapadła cisza.

- Zdaje się, że jest mi pani winna jakieś wyjaśnienie - powiedział po chwili. - Byliśmy umówieni, a pani się nie zjawiała.

- Wysłałam panu faks - oznajmiła rzeczowo. - Zbyt marnie zagrał pan swoją rolę. Od samego początku nie wierzyłam, że jest pan *cognato* Schlesingera, nie znał pan nawet szyfru do zamka w kasecie. A przecież to właśnie był znak rozpoznawczy. Nie, panie Gropius, czy jak się pan tam nazywa, nasz zleceniodawca uznał, że postąpiłam słusznie. Czego pan w ogóle ode mnie chce?

- Adresu de Luki!

Francesca Colella zaśmiała się głośno.

- Skoro jest pan upoważniony przez pana Schlesingera, to z pewnością zna pan również adres de Luki! Czego zatem pan naprawdę chce?

„Nie - pomyślał Gropius. - Ta kobieta nie da się nabrać na jakąś wymyśloną historyjkę”. Dlatego spróbował innej strategii.

- Droga pani - zaczął przymilnie - chciałbym panią zaprosić dziś wieczór na kolację. Proszę nie odmawiać.

Na to Francesca znów wybuchnęła gwałtownym śmiechem. Gropius odniósł jednak wrażenie, że używa śmiechu jako tarczy. Tak czy inaczej nie brzmiał on wiarygodnie.

- Nie, dziękuję! - odparła krótko.

- Dlaczego nie? - zapytał Gropius.

- Wszystkie osobiste kontakty z którymkolwiek z naszych klientów są zakazane ze względów bezpieczeństwa. VIGILANZA to firma renomowana, a ja nie mogę sobie pozwolić na to, żeby ryzykować posadę z powodu jednej kolacji. A teraz pan wybaczy! - I odłożyła słuchawkę.

„Cholera!”, Gregor Gropius ścisnął słuchawkę w dłoni, jakby chciał ją zmiażdżyć. Francesca Colella była jedyną osobą w tym obcym mieście, która mogła mu pomóc. Musiał ją skłonić do mówienia. I już wiedział, jak to osiągnie. Z książki telefonicznej przepisał adres firmy: VIGILANZA Art Logistics, Via Foligno. Dowiedział się od portiera, że ulica ta znajduje się w północno-zachodniej części miasta.

Siedziba firmy, niepozorny budynek z lat sześćdziesiątych, z wejściem monitorowanym przez dobrze widoczne kamery, sprawiała z zewnątrz wrażenie tak poważne i nudne jak plebania. Jedyne białe neonówki za szerokimi oknami wskazywały, że mieści się tutaj jakieś przedsiębiorstwo. Jak poruszone niewidzialną ręką, nieprzezroczyste drzwi odsunęły się na bok, kiedy Gropius zbliżył się do wejścia. We wnętrzu przestronnej sali, z podłogą wyłożoną marmurem w szachownicę, po prawej stronie znajdowała się recepcja z kilkoma monitorami. Niezwykle elegancko ubrana recepcjonistka, w czarnej jedwabnej bluzce i czerwonym blezerze, zapytała Gropiusa, czym może służyć.

Profesor przedstawił się, podając prawdziwe nazwisko, i poprosił o rozmowę z Francescą Colellą. Wskazano mu miejsce na skórzanej kanapie, która stała po lewej stronie, naprzeciw recepcji.

Minęły może dwie minuty, gdy Francescą Colella pojawiła się na marmurowych schodach. Surowo patrząc, stłumionym głosem odezwała się do Gropiusa:

— Usilnie pana proszę, żeby mi się pan więcej nie naprzykrzał. Sprowadzi pan na mnie naprawdę duże kłopoty! - Jednocześnie podała Gropiusowi karteczkę z kilkoma skreślonymi pospiesznie linijkami. Gropius sądził początkowo, że chodzi o adres de Luki. Dopiero kiedy Francescą odwróciła się i powiedziała jeszcze: - O dziewiętnastej! - Gropius odczytał nazwę lokalu: „Osteria Tre Fontane”, Corso Lombardia. Zdziwiony popatrzył za Francescą, która znikła na górze za zakrętem schodów.

Ulica o górnolotnej nazwie Corso Lombardia w mroku nie wyglądała szczególnie zachęcająco, podobnie jak lokal w suterenie narożnego domu, który - dopóki nie weszło się do środka - także nie sprawiał najlepszego wrażenia. Tym bardziej zaskoczyło Gropiusa eleganckie urządzenie wnętrza: ściany pokryte boazerią i gustowne meble w stylu rustykalnym.

Gropius wszedł do gospody z mieszanymi uczuciami, gdyż wciąż zbyt dobrze pamiętał nieudane spotkanie na berlińskiej Friedrichstrasse. Tym razem jednak Francescą go zadziwiła - była już na miejscu i wyglądała na odmienioną, wydawała się bowiem swobodna, niemal wesoła.

- Jeśli mam być szczerzy- zaczął Gropius rozmowę - wcale nie byłem pewien, czy pani przyjdzie. Po moich doświadczeniach z Berlina...

Francesca uciekła wzrokiem, jakby to wspomnienie sprawiło jej przykrość, po czym powiedziała ze skrywanym uśmiechem:

- W Berlinie odmówiłam panu z przyczyn czysto zawodowych, tutaj jestem prywatnie. Chciałam, żeby to od razu było jasne. Ponadto pańska wizyta w firmie była poniekąd szantażem.

- Przykro mi, jeśli pani tak to odebrała. Tak czy inaczej odniosłem sukces.

- Skoro zjedzenie ze mną małż, których notabene koniecznie musi pan spróbować, nazywa pan sukcesem, to naprawdę łatwo pana zadowolić. Ale o ile wiem, nie przyszedł pan tutaj bez powodu. Od razu muszę pana jednak rozczarować. Ode mnie nie dowie się pan, jaki jest adres de Luki.

- W takim razie i tak będzie to przemily wieczór - odparł Gropius szarmancko, choć przecież wcale nie zamierzał rezygnować z zamiaru zdobycia tej informacji. Francesca wydawała się zaskoczona. Ogolony na zero kelner przyjął zamówienie. Pili białe soave.

- Musi pan to zrozumieć - podjęła wątek Francesca. - Potrzebuję tej pracy i cieszę się, że ją mam. Długo musiałam o nią walczyć. Wcześniej zajmowałam się czymś zupełnie innym.

Gropius nie odważył się zapytać o szczegóły. Z przyjemnością przyglądał się towarzyszce. Francesca miała na sobie kurteczkę z miękkiej zielonej skórki, ubraną na gołe ciało, dlatego zignorował pytanie, które zadawał sobie już przy pierwszym spotkaniu w Berlinie, czy za to wyraźne wybrzuszenie na klatce piersiowej jest odpowiedzialna kabura z pistoletem, czy też coś zupełnie innego.

- Pracowałam w banku - rzuciła, jakby Gropius zapytał ją o wcześniejsze życie.

- I było to dla pani zbyt nudne!

- W żadnym razie! - Francesca przerwała na chwilę, po czym mówiła dalej: - Wyrzucono mnie z dnia na dzień, bez wypowiedzenia. To była moja wina. Przekazałam pewnemu dziennikarzowi informację o zadłużeniu jednego z prominentnych klientów. Rzecz się wydała i mnie zwolniono. Teraz być może pan pojmuje, dlaczego ode mnie nic pan nie wydobędzie. Po prostu nie stać mnie na to, żeby znów znaleźć się na ulicy. Muszę zadbać o siebie i jeszcze dwie osoby.

- Jest pani mężatką?

- Nie. To znaczy... tak. Ach, nie chcę o tym rozmawiać, rozumie pan?
- Rozumiem.
- Niczego pan nie rozumie! - Francesca zakłopotana spojrzała mu po raz pierwszy prosto w oczy. - Proszę mi wybaczyć, ale nie jest to temat, który chętnie poruszam.

Gropius kiwnął głową.

- Chciałem powiedzieć, że to rozumiem. Znajduję się w podobnej sytuacji.

- Jest pan żonaty?

- Nie. To znaczy... tak - wzruszył ramionami.

Oboje się roześmieli. W śmiechu Franceski pobrzmiewała jednak jakaś melancholia.

Łysy kelner podał małże, a Francesca podziwiała zręczność, z jaką Gropius wyluskiwał mięso z muszli.

- Czym pan się zajmuje? Czy to tajemnica?

- Jestem chirurgiem, profesorem w klinice w Monachium. Przeszczepiam narządy: serca, nerki, wątroby. Ale chyba nie jest to temat stosowny do rozmowy przy jedzeniu.

- Ależ nie, uważam, że to nadzwyczaj ciekawe! — odparła Francesca.

- Musi mi pan opowiedzieć o swojej pracy, profesorze!

Właściwie Gropius wcale nie zamierzał opowiadać o sobie, nastrój w tej małej gospodzie skłaniał jednak do tego, żeby się otworzyć. Poza tym była tutaj piękna Włoszka, która z taką uwagą go słuchała. Opowiedział więc o swojej pracy, o tajemniczej śmierci Schlesingera i własnych bezowocnych wysiłkach, żeby wyjaśnić sprawę. Francesca była zdumiona.

- Przyznaję - dodał na zakończenie swojej opowieści - że brzmi to niewiarygodnie, ale taka jest prawda. Chcąc nie chcąc, zostałem wciągnięty w sprawę, z której wywikłałem się z największym trudem, czyli wtedy, kiedy znajdę wyjaśnienie wszystkich elementów tej tajemniczej układanki. Przy tym jestem chirurgiem, a nie tajnym agentem. - Pokręcił głową, wydając się nieco bezradny.

Gospoda stopniowo zapełniała się ludźmi - najwidoczniej lokal cieszył się dobrą sławą - Francesca zaś uważnie przypatrywała się profesorowi, jakby wciąż wątpiła w jego historię. Gropius dostrzegł jej krytyczne spojrzenie i powtórzył swoje zapewnienie:

- Taka jest prawda.

Francesca w zadumie jadła małże. Gregor z fascynacją śledził, jak warzami wysysa zawartość muszli. Nigdy wcześniej nie sądził, że kobieta jedząca małże może wywoływać tak erotyczne skojarzenia.

- I sądzi pan, że kasetę, którą na zlecenie de Luki przywiozłam do Berlina, ma związek z pańską sprawą? - zapytała i podniosła do ust kiełiszek z winem.

Gropius uświadomił sobie nagle, że kobieta siedząca naprzeciw niego wydała mu się ważniejsza niż powód, dla którego przyjechał do Turynu. Zauważył, że fantazja ta zaczęła żyć własnym życiem, chociaż szanse na zdobycie tej chłodnej piękności były równie obiecujące, co próby roztopienia Arktyki za pomocą kominka. Dlatego na pytanie Franceski odpowiedział uprzejmie:

- Muszę sprawdzić każdy trop.
- Ależ profesorze, czy nie jest to zadanie policji?
- Oczywiście, ale jeżeli zdam się na policję, sprawa będzie rozwiązana, gdy ja będę już emerytem. U nas jest nie inaczej niż we Włoszech.

Policja powołała specjalną komisję, która z zamiłowaniem studiuje dokumenty, a prokurator zajmuje się głównie odliczaniem dni do wcześniejszej emerytury. Ma trzydzieści lat. Ja zaś się boję, że stracę pracę i równocześnie profesurę, jeśli nie dostarczę dowodu, że za śmierć Schlesingera jest odpowiedzialna jakaś zorganizowana grupa przestępcza.

Francesca nachyliła się nad stolikiem i zbliżyła usta do ucha Gropiusa.

- Dobrze, że nie wymówił pan pewnego słowa, profesorze. Nikt nie ma odwagi nawet go wspomnieć, chyba że sam jest członkiem tej organizacji.

Gropius zrozumiał, co Francesca ma na myśli, i kiwnął głową. Uśmiechnęła się. Potem zniżyła głos.

- Luciano de Luca jest szefem instytutu badawczego po drugiej stronie rzeki. To uprzejmy, tęgawy mężczyzna z przerzedzonymi włosami. De Luca nosi okulary z bardzo silnymi szklami, przez które jego oczy wyglądają jak świńskie oczka. Jest to miły, towarzyski starszy pan. Instytut znajduje się przy jednej z przecznic Corso Chieri. Oto jego numer telefonu. Jeśli pan mnie zdradzi, pojutrze nie będę już miała pracy.

Przy tych słowach podała Gropiusowi swoją wizytówkę.

Zdumiony profesor chwycił dłoń Franceski i ucałował ją. Ta kobieta była jedną wielką zagadką, a jej zachowanie zadziwiało go. Wziął wizytówkę i schował do marynarki.

- Proszę mnie jednak nie pytać o zawartość tamtej kasety - powiedziała Francesca po chwili milczenia. - Naprawdę jej nie znam. - A zauważywszy uśmiech niedowierzania Gropiusa, dodała: - W zeszłym roku miałam zlecenie zawiezienia podobnej kasety z Mediolanu do Londynu. Nie znałam zawartości, jedynie wartość ubezpieczenia: pół miliona. Odbiorcą był dom aukcyjny Sotheby. Miesiąc później przeczytałam w gazecie, co transportowałam: starą kopertę z błękitnym mauritiusem. Wylicytowano za niego milion, milion funtów! Do dziś na samą myśl kręci mi się w głowie.

Pod stołem Gropius wsunął swoją nogę między nogi Franceski. „Jest mi wszystko jedno, może mi nawet dać w twarz” - pomyślał i spojrzał na nią wyzywająco.

Francesca, oczywiście, zauważyła jego zuchwałość, mimo to nie dała się wytrącić z równowagi. Przeciwnie, z miną trudną do zinterpretowania powiedziała:

- Profesorze Gropius, czy zechce pan odprowadzić mnie do domu?

Zabrzmiało to tak, jakby chciała powiedzieć: „Dość tego, chodźmy już!”. Równie dobrze mogło to jednak znaczyć: „Chodź, pójdziemy po prostu do mnie!”. Dlatego odpowiedź, jakiej udzielił Gropius, również wymagała szczegółowej interpretacji:

- Nie mógłbym sobie wyobrazić niczego piękniejszego, droga pani!

Przy tych słowach kiwnął na kelnera i uregulował rachunek. Kiedy zmierzali do wyjścia, Francesca powiedziała:

- Niech pana nie przerazi stan mojego mieszkania. Z pewnością jest pan przyzwyczajony do czegoś lepszego. Mieszkania w Turynie są drogie, a jak już mówiłam, muszę się troszczyć nie tylko o siebie. Ale teraz moja matka już śpi. Zresztą to niedaleko, dwie przecznicę stąd.

Na Corso Lombardia panował o tej porze - dochodziła właśnie godzina dwudziesta druga - ożywiony ruch. Jakby to było czymś oczywistym, Francesca wzięła Gropiusa pod rękę. Zrobiło się chłodno i oboje drżeli. Przy wlocie jednej z wąskich przecznic Francesca pociągnęła Gregora w prawo i wskazując palcem stary siedmiopiętrowy budynek, powiedziała:

- Jesteśmy na miejscu. Proszę.

Klatka schodowa była wyłożona niebieskozielonymi kafelkami i dawała pogłos jak w kościele. W środku była winda, żelazna klatka obciążona drucianą siatką. Hałas, jakiego narobiło otwieranie zakratowanych drzwi, rozniósł się echem po schodach. Francesca nacisnęła guzik z cyfrą pięć i uśmiechnęła się do Gropiusa. Ten odebrał gest jako zaproszenie i przysunął się do niej tak blisko, że czuł ciepło jej ciała. Francesca odwróciła głowę, lecz go nie odepchnęła.

Długi korytarz, oszczędnie oświetlony, prowadził do pomalowanych na biało drzwi i Francesca niemym gestem zaprosiła Gropiusa, żeby wszedł.

- Mama?! - zawołała cicho z pytaniem w głosie, a zwracając się do Gropiusa, wyjaśniła: - O tej porze rzadko jest jeszcze na nogach. Proszę się rozgościć!

W salonie było tylko jedno okno, za to czworo drzwi, dwoje po każdej stronie. Dlatego było tutaj niewiele miejsca na meble. Pośrodku stały naprzeciw siebie dwie nowoczesne sofy, a między nimi znajdował się niski stolik ze szklanym blatem.

- Mówiła pani, że mieszkają tutaj trzy osoby - odezwał się Gropius w ciszy panującej w pokoju.

- Tak - odparła Francesca. - Moja matka, ja i mój mąż.

Gropius niezauważalnie się wzdrygnął. Po czym powiedział tonem usprawiedliwienia:

- Sądziłem, że pani...

- Co pan sądził, profesorze? - podeszła do Gropiusa i poprowadziła go do drzwi po prawej, a następnie je otworzyła. W pokoiku paliło się światło. Gropius się przeraził.

W łóżku pod przeciwległą ścianą pół siedział, pół leżał mężczyzna o ciemnych włosach i bladej twarzy. Był nieruchomy. Oczy miał szeroko otwarte, usta także, ręce były równo ułożone na białej kołdrze.

- Mój mąż Constantino - powiedziała cicho Francesca i nie patrząc na Gropiusa, wyjaśniła: - Pół roku temu miał wypadek samochodowy. Od tamtej pory znajduje się w takim stanie. Nie muszę panu wyjaśniać, co to oznacza - dodała bez jakiegokolwiek goryczy.

Gropius poczuł się wytrącony z równowagi. Jeszcze kilka chwil temu pożądał tej kobiety. Bez skrupułów poszedł za nią do jej mieszkania, licząc na miłe spędzenie nocy, Francesca zaś, jak sądził, nie była niechętna jednorazowej przygodzie. Ale teraz?

Gregor Gropius poczuł się żałośnie. Uzmysłowił sobie, że Francesca całą tę nieprzyjemną sytuację wyreżyserowała, żeby raz na zawsze się od niej odczepił. Teraz jego lubieżność zastąpił wstyd.

- Proszę mi wybaczyć moje niestosowne zachowanie - wyjąkał cicho, ledwie zrozumiałe.

- Może pan spokojnie mówić głośno - odparła Francesca. - On nas nie słyszy. Tak przynajmniej twierdzą lekarze.

Gropius się odwrócił, włożył ręce do kieszeni i kierując wzrok na ciemne okno, powiedział:

- Nie wiem, co pani teraz o mnie myśli, ale przecież nie mogłem przypuszczać...

- Oczywiście, że nie - przerwała mu Francesca. - Nie robię panu żadnych wyrzutów. Są w życiu takie sytuacje, kiedy znika wszelkie poczucie rzeczywistości. - Zaczęła powoli zamykać drzwi, zanim jednak nacisnęła klamkę, włożyła głowę w szparę, jakby chciała raz jeszcze sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Nie mając pojęcia, jak się zachować, Gropius stał bezradnie i nie był w stanie podjąć żadnej decyzji. Francesca wyraźnie pokazała mu miejsce w szeregu. Dała mu w twarz, nie raniąc go w widoczny sposób. Wiedziała przy tym doskonale, że ciosy, które nie boją fizycznie, powodują w duszy znacznie większy ból, udrękę, którą się ciągnie ze sobą często całymi latami. Chciał coś powiedzieć, wyjaśnić Francesce jakie zrobiła na nim wrażenie, i że w żadnym razie nie miał zamiaru... I tak dalej, i tak dalej. Każde wyjaśnienie wydawało mu się jednak niestosowne. I z tej bezradności, z poczucia, że sytuacja go przerosła, Gropius zareagował niezręcznie, jak jakiś sztubak:

- Cóż, chyba będzie lepiej, jeśli już sobie pójdę - wyjąkał.

Francesca tylko spojrzała na niego bez słowa.

Jak odurzony, Gropius zjechał na dół jęczącą windą. Drogę do Corso Lombardia pokonał truchtem. Miał wrażenie, że ucieka przed samym sobą. Na rogu złapał taksówkę i pojechał do hotelu.

Następnego ranka przez chwilę, podczas której Gropius przechodził z fazy snu do stanu przebudzenia, pojawiło się w jego myślach przyjemne wspomnienie Franceski. Nagle jednak odezwała się pamięć i jak wielki ciężar przygniotła go wydarzeniami zeszłej nocy. Poczul złość na siebie, czyli odkrył w sobie uczucie, które normalnie było mu obce.

Skromne śniadanie, jak to jest we włoskim zwyczaju, Gropius zamówił do pokoju. Nie chciał nikogo widzieć. Rozsmarowując brzoskwińową marmoladę po spieczonym toście, wpatrywał się w wizytówkę Franceski, na której odwrocie dziewczyna zanotowała imię, nazwisko, adres i telefon de Luki.

Gropius zastanawiał się przez moment, czy nie zadzwonić do Luciana de Luki i nie zapowiedzieć swojej wizyty, później jednak postanowił, że postawi profesora przed faktem dokonanym. Ostatecznie nie wiedział, czy uda mu się z nim porozumieć i jak de Luca zareaguje na wieść o śmierci Schlesingera.

Taksówkarz, który wiozł Gropiusa do instytutu de Luki na drugą stronę Padu, był w dobrym humorze. Prowadził starego fiata z lat osiemdziesiątych, co jednak nie osłabiało jego wiary w to, że jest właścicielem samochodu wyścigowego. Przy każdej zmianie światła sygnalizacji ulicznej na zielone ruszał z piskiem opon i wołał przy tym ekstatycznie:

- Och, la, la, ferrari!

Przekroczywszy Pad, pojechał kawałek Corso Casale w dół rzeki, skręcił w prawo w Corso Chieri i zatrzymał samochód przed siedzibą instytutu. Była to dwupiętrowa willa kryjąca się za niewysokim murem i szerokim żywopłotem. Na skorodowanej mosiężnej tabliczce znajdował się napis „Institute Prof. Luciano de Luca”, poza tym brakowało jakiegokolwiek wskazówki na temat działalności, jaką de Luca prowadzi za tymi murami.

Kiedy Gropius zbliżył się do wejścia, którego strzegła drewniana brama, wewnątrz zaczął ujadać pies. Była to ostatnia rzecz, jaka dotarła do jego umysłu. Zanim bowiem zdążył nacisnąć dzwonek przy domofonie, został powalony potężnym ciosem w kark. Stracił równowagę i przytomność. Jakby z wielkiej odległości słyszał głośnie komendy i czuł, że założono mu worek na głowę i wciągnięto do samochodu.

Również później Gropius nie potrafił określić, jak długo znajdował się w tym stanie omdlenia. Miał tylko wrażenie, siedząc związany jak tobołek na tylnym siedzeniu samochodu, że Francesca siedzi obok niego. Nie było dla niego jasne, jak doszedł do tego wniosku, gdyż jej nie widział. Było to tylko przeczucie. Z oddali dochodził dziwny, przenikliwy pisk. Potem znów zapadł w głęboki mrok.

Po upływie nieokreślonego czasu odzyskał przytomność. Drżał z zimna. Znajdował się w kwadratowym, wysokim pomieszczeniu bez mebli.

Przez niewielkie okienka wpadało słabe światło dzienne. Jedyne, co w tym wnętrzu rzucało się w oczy, to niebieskozielona farba olejna, odpadająca w wielu miejscach ze ścian.

Próba poruszenia nogami lub rękami się nie powiodła, Gropius był bowiem przywiązany do masywnego drewnianego krzesła. Szorstkie, szerokie rzemienie ze skóry przyciskały jego golenie do nóg krzesła. Pas przytrzymywał jego tors przy oparciu. Bolały go ramiona, gdyż ręce miał związane w przegubach za oparciem krzesła. Prawie nie oddychał. Nasłuchiwał w ciszy.

Kiedy umysł Gropiusa powoli powracał do normalnego funkcjonowania, pozwalając mu zastanowić się nad tym, jakim sposobem i dlaczego zabrano go w to zupełnie obce miejsce, jego wzrok padł na zbutwiały taboret, którego wcześniej nie widział. Na taborecie stała smukła biała butelka z plastiku. Obok leżała strzykawka z wciśniętym tłoczkiem. Po dokładniejszym przyjrzeniu się odczytał czerwony napis na plastikowej butelce: „Chlorfenwinfos”.

„Nie!” Nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co zobaczył. Buntował się przeciwko okropnemu odkryciu, a głos wewnętrzny krzyczał przeraźliwie: „Nie, nie, nie!”. Przy użyciu chlorfenwinfosu zabito Arna Schlesingera. W ciągu sekundy związane ciało Gropiusa oblał zimny pot. Wbrew zdrowemu rozsądkowi i zadając sobie niepotrzebny ból, starał się uwolnić z rzemieni. Szybko się jednak poddał.

„To już koniec”- pomyślał, patrząc tępo przed siebie. W obliczu śmierci ludzie zachowują się często w dziwny sposób, dlatego zapewne Gropius zaczął formułować w myślach wiadomość, jaką za kilka dni będzie można przeczytać w niemieckich gazetach w dziale ROZMAITOŚCI:

„W okolicach Turynu spacerowicze znaleźli zwłoki człowieka. Zmarły to czterdziestodwuletni niemiecki chirurg, profesor Gregor Gropius, którego łączy się z działalnością mafii handlującej narządami do przeszczepów. Sekcja wykazała, że został zabity przy użyciu środka owadobójczego. Cóż za żałosna śmierć dla lekarza ratującego innym życie!”.

Gropiusowi brakowało tchu. W powietrzu rozchodził się przenikliwy zapach janowca. Jak się wydawało, jego organizm już zamknął kwestię życia. Płuca odmawiały przyjmowania powietrza. Kilka razy sam ze sobą przedyskutował kwestię własnej śmierci, wyobrażał sobie, jak to będzie, kiedy wyda ostatnie tchnienie. Wmówił sobie, że nie zauważy, gdy sprawy

zajdą tak daleko. Umieranie, jak sądził, to wydarzenie spokojne, przypominające zapadnięcie w sen i zakończenie wszystkiego. Potem jest już tylko niewyobrażalnie wielka pustka. W odróżnieniu od większości kolegów nie wybrał swojego zawodu ze strachu przed śmiercią, lecz z ciekawości, teraz jednak, jak wszystkich innych, ogarniał go lęk - żalony, obrzydliwy, paraliżujący lęk.

Po kilku minutach Gropius wyobraził sobie, że do tego pustego pomieszczenia przyjdzie jakiś człowiek w masce albo kapturze na głowie - tak przecież zwykle dzieje się w filmach - napełni strzykawkę, wbije igłę w rękę... I koniec! Stało się jednak inaczej. W pustym budynku odezwały się nagle głosy, których profesor w swoim zdenerwowaniu nie rozumiał. Było mu zresztą wszystko jedno, jakie słowa usłyszy jako ostatnie w tej wiecznej nirwanie, stanie wolności od wszelkich ziemskich cierpień.

Ktoś pchnął drzwi znajdujące się z tyłu, za jego plecami. Podeszło do niego dwóch mężczyzn, jeden z prawej, drugi z lewej, żaden jednak nie miał kaptura czy maski na twarzy. Ich pojawienie się przypominało raczej niespodziewane wejście aktorów podczas przedstawienia teatralnego. Mężczyzna z prawej - niski i krępy - miał na sobie starannie wyprasowany strój monsignore z purpurową szarfą w pasie. Jego poczerwieniała twarz zdradzała przewlekłe nadciśnienie (sto dziewięćdziesiąt na sto dziesięć, jak mimowolnie ocenił w myślach Gropius). Uśmiechał się podstępnie. Drugi mężczyzna wyglądał mniej jak duchowny, mimo że z czarną koszulą i czarnym garniturem wyraźnie kontrastowała biała koloratka. Był młody i silny, miał długie czarne włosy, jak młodzież z lat siedemdziesiątych.

Przez chwilę Gropiusowi zaświtała nadzieja, chociaż cała ta maskarada nie zapowiadała nic dobrego. Obaj duchowni z założonymi rękami stanęli przed nim i obserwowali jego bezsilność. Gropius czuł, jak krew pulsuje mu w uszach. Czy ci dwaj oczekiwali, że się będzie usprawiedliwiał? Czego od niego chcieli? Wolał milczeć. Duma - tylko to mu pozostało.

Przez dwie, może trzy nieznośnie długie minuty mężczyźni stali na przeciw niego bez słowa, aż młodszy, jakby na jakiś tajny rozkaz, nagle zniknął z pola widzenia. Ledwie to nastąpiło, monsignore sięgnął po strzykawkę leżącą na taborecie. Z wytrzeszczonymi oczyma, niezdolny, żeby krzyczeć lub błagać o życie, Gropius obserwował, jak monsignore otwiera plastikową butelkę i umieszcza w niej igłę. Sposób, w jaki obchodził

się ze strzykawką, zdradzał, że nie robi tego po raz pierwszy. Z plastikowej butelki wciągnął do strzykawki pięć centymetrów sześciennych płynu, po czym skierował ją w górę i lekko nacisnął tłoczek. Następnie podszedł do krzesła.

„Mój Boże - pomyślał Gropius. - Pięć centymetrów! Tyle wystarczy, żeby zabić słonia”. Drżał na całym ciele, wszystko w nim wibrowało. Zamknął oczy, czekał na ostateczne ukłucie, które zakończy to wszystko, i zastanawiał się, jak długo może trwać, zanim straci przytomność.

Oczekiwanie ciągnęło się w nieskończoność. Gropius czuł, że za chwilę zwymiotuje. Wnętrznosci zaczęły mu się skręcać, jakby połknął pytona. Wtedy usłyszał głos. Brzmiał nieprzyjemnie wysoko, jak głos kastrata, a kiedy więzień otworzył oczy, zobaczył tuż przed sobą czerwoną twarz monsignore, który po niemiecku, choć z obcym akcentem, zapytał:

- Gdzie są akta?

„Akta? Akta?!” Gropiusowi przez głowę przelatywały tysiące różnych myśli. „Akta! Na Boga, o jakich aktach on mówi?”. W tej chwili nie wiedział nawet, czy to on, Gropius, czy też Schlesinger jest główną postacią tej intrygi. Nagle jednak pomyślał o strategii postępowania, która być może mogła uratować mu życie.

- Akta? - odpowiedział, nie będąc w stanie stłumić drżenia w głosie. - Chyba się pan nie spodziewa, że mam te akta przy sobie.

- Oczywiście, że nie! - odparł monsignore. Zuchwała reakcja profesora zrobiła jednak na nim wrażenie. Żeby podkreślić powagę swojego pytania, monsignore pomachał Gropiusowi przed nosem strzykawką. - Chcę wiedzieć, gdzie są ukryte akta. Jeśli nam pan to zdradzi, będzie pan wolnym człowiekiem! W przeciwnym razie... - Uśmiechnął się złośliwie.

Gropius w jednej chwili uświadomił sobie, że te akta, cokolwiek w nich było, że te przeklęte akta, rzekomo znajdujące się w jego posiadaniu, uchronią go przed śmiercią. Ci ludzie nie zabiją go, nie mogą go zabić, zanim nie znajdą tych akt. Chęć życia, która właśnie go opuszczała, nagle powróciła. Próbował nawet uśmiechać się z wyższością, mówiąc:

- Kimkolwiek pan jest i cokolwiek skłoniło pana do tej dziwacznej maskarady, nie sądzi pan chyba, że wyjawię miejsce ukrycia akt. Wtedy moje życie nie byłoby już warte funta klaków!

Monsignore wydawał się zdumiony wyrafinowanym postępowaniem profesora.

- Proszę więc powiedzieć, ile pan chce? - zachrypiął z niechęcią.
- Kolejne dziesięć milionów?

Gropius nie wiedział, co przeraziło go bardziej - hojna oferta finansowa czy też to, co sobie właśnie uzmysłowił: „Z pewnością ci ludzie zabili Schlesingera”. To jednak rodziło kolejne pytania: „Dlaczego najpierw przekazali Schlesingerowi tak wielką kwotę? Czy Schlesinger był jednym z nich, ale z jakiegoś powodu postanowił odejść z ich szeregów?”.

- Nie chcę pieniędzy - odpowiedział profesor z udawanym spokojem. Mając strzykawkę przed oczami, nie liczył na pomyślny rozwój wypadków.
- Jedyne, czego chcę, to rehabilitacji jako chirurga. Wtedy może pan dostać akta. Dla mnie nie mają one żadnej wartości.

- To nie będzie możliwe - oświadczył ostro monsignore.

- W takim razie dla mnie nie będzie możliwe, żeby panu zdradzić miejsce ukrycia akt. Nie ma pan wyboru, pozostaje tylko mnie uśmiercić. Na co pan jeszcze czeka? Zresztą, żeby nie było nieporozumień, pani Schlesinger nie ma o niczym pojęcia. Nie zna ani znaczenia tych akt, ani miejsca ich ukrycia.

Monsignore ze złością rzucił strzykawką o ścianę i wyszedł z pomieszczenia. Zza drzwi dobiegły zdenerwowane głosy. Musiały należeć do dwóch albo nawet trzech osób. Minęła długa chwila w niepewności. Gropius zadawał sobie pytanie, czy nie za wysoko stawał w tej rozgrywce, nie miał przecież do czynienia z amatorami. Prawie nie oddychał i miał nadzieję, że zrozumie jakieś strzępy rozmowy toczonyj za ścianą. Na próżno. Mężczyźni rozmawiali ze sobą w nieznanym mu języku, nie był to ani niemiecki, ani angielski, ani włoski.

Gwałtowność, z jaką nagle pchnięto drzwi, nie wróżyła nic dobrego. Gropius nie widział, co dzieje się za nim, i musiał się liczyć z najgorszym. Jednym szarpnięciem na głowę założono mu worek, z którym już wcześniej się zaznajomił, następnie uwolniono go z więzów. Ktoś brutalnie złapał go za rękę i postawił na nogi. Cios pałką lub kijem baseballowym wymierzony dokładnie w pierwszy krąg kręgosłupa powalił Gropiusa. Znow stracił przytomność.

Klakson głośny jak wrzask niemowlęcia przywrócił go do życia. Profesor nie mógł poruszać głową, a niecierpliwe trąbienie niemal rozrywało mu czaszkę. Leżąc na plecach i opierając się na łokciach, próbował zorientować się w sytuacji. Znajdował się pośrodku wąskiej polnej drogi z rodzaju

tych, jakie łączą samotnie położone gospodarstwa na północy Włoch. Przed nim na wolnym biegu warkotał silnik trójkołowego pojazdu służącego hodowcom warzyw do transportu towaru. Kierowca przekonany, że jakiś pijak odsypia na drodze swoje wcześniejsze upojenie, starał się obudzić go klaksonem.

Z największym trudem Gropiusowi udało się wstać. Zatoczył się w kierunku kierowcy trójkołowego pojazdu i starał się wyjaśnić mu, że nie jest pijany, tylko go napadnięto. Próba porozumienia się spełzła na niczym z powodu trudności natury językowej, znajomość języka włoskiego profesora była bowiem niewystarczająca, a gwara miejscowych hodowców warzyw - niezrozumiała dla obcokrajowca. Banknot wyraźnie rozjaśnił oblicze rolnika. A kiedy Gropius sięgnął po drugi banknot, kierowca trójkołowca zaofiarował się nawet, że podwiezie dziwnego obcokrajowca na peryferia Turynu, które jak stwierdził, są odległe o dwadzieścia kilometrów. Będą potrzebowali pół godziny.

Podczas jazdy przez tę opustoszałą pagórkowatą okolicę Gropius zorientował się, że porywacze wywieźli go na południe, w kierunku Asti, gdzie na obszarze wielu kilometrów pojedyncze wiejskie domy gubią się w krajobrazie. Droga do południowych przedmieść Turynu trwała blisko godzinę. Później profesor wsiadł do taksówki i około godziny osiemnastej dotarł do hotelu.

Zupełnie wyczerpany, zamówił do pokoju kolację. Następnie wziął gorącą kąpiel. Woda dobrze zrobiła jego zmaltretowanemu ciału. W przyjemnym cieple się zdrzemnął. Powoli, stopniowo zaczął sobie uświadamiać, co się wydarzyło. „Nie - powiedział do siebie. - To nie był sen, to nie był film, to była rzeczywistość: chcieli cię zabić, i w ostatniej chwili udało ci się uciec spod gilotyny”.

Podejrzana zaczęła mu się wydawać rola Franceski. Chłodna Włoszka wzbudziła wcześniej jego namiętność, ale teraz przeważyła podejrzliwość. Dlaczego na początku się wahała, a później już bez żadnych oporów dała mu adres profesora de Luki? Czy rzeczywiście był to przypadek, że porywacze czekali na niego przed instytutem? Również w Berlinie, po spotkaniu umówionym z Francescą, ktoś z mafii zaczepił go na ulicy i radził, żeby zrezygnować z poszukiwań. Jak to w życiu bywa, nawet najpiękniejsze nogi mają jakąś skazę.

Niewiele brakowało, a Gropius zasnąłby w wannie. Nagle jednak usłyszał jakiś hałas przy drzwiach. Znowu pojawił się strach przed nieznanym, uczucie, którego kilka tygodni wcześniej jeszcze nie znał. Wyszedł ostrożnie z wanny, żeby nie narobić hałasu. Bezszelestnie wślizgnął się w szlafrok i przez szparę zajrzał do pokoju. Jego nerwy nie były w najlepszym stanie. Nie dzisiaj! Zapomniał zamknąć drzwi do pokoju na łańcuch. Teraz robił sobie wyrzuty. Nie miał ochoty otrzymać kolejnego uderzenia w kark. Delikatnie popchnął drzwi od łazienki i popatrzył na drzwi wejściowe. Na podłodze leżała karteczka - wsunięta pod drzwiami wiadomość hotelowa.

Podniósł karteczkę:

„Informacja z godziny 17.30: Dzwoniła pani Colella. Prosi o telefon”.

Wiadomość pochodziła sprzed dwóch godzin. Gropius był przyzwyczajony do takiej niefrasobliwości obsługi, znał to bowiem z innych hoteli. „Co to u diabła miało znaczyć? Czy Francescą chce go ośmieszyć, poniżyć? Czy może po raz drugi chce go wystawić jako przynętę?”.

Wzburzony i zmęczony, Gropius położył się do łóżka. Wtedy zadzwonił telefon. Gropius przykrył go poduszką. Nie chciał już mieć do czynienia z Francescą. Pragnął jedynie wrócić do domu. Najbliższy samolot odlatywał następnego dnia o dziewiątej dziesięć. Lot Lufthansy numer 5613.

ROZDZIAŁ 7

Po powrocie do Monachium Gropius był bliski rozpaczy. Nawet przy mobilizacji wszystkich sił nie udało mu się skupić na zadaniu, które sam sobie postawił. Jak bowiem sprowadzić do wspólnego mianownika śmierć Schlesingera, dziwne zachowanie i zniknięcie Prasskova, wyraźnie podwójną grę Fichtego, niejasną rolę de Luki, obrzydliwe próby szantażu przez Veronique, a przede wszystkim poszukiwanie tajemniczych akt, co niemal przyplacił życiem?

Ludzkie życie jest wypadkową różnych przypadków, krzyżowania się losów i zdarzeń. Jeśli należałoby dowieść słuszności tego spostrzeżenia, to właśnie było najlepszym dowodem. Gropius już dawno zrozumiał, że cała sztuka polega na tym, żeby - rozpoczynając od miejsc, w których wydarzenia się zbiegają - zwinąć wszystkie nitki, docierając do punktu wyjścia. Dla jednego człowieka było to jednak zadanie po prostu niewykonalne. I po raz pierwszy od rozpoczęcia poszukiwań Gropius zaczął myśleć o tym, żeby się poddać.

Zamach bombowy potraktował jako wydarzenie mniej ważne, ponieważ sądził, że nie był on skierowany przeciwko niemu. Z kolei napaść przed domem Lewezowa, a przede wszystkim porwanie w Turynie, wzbudziły w nim strach, który teraz stał się jego nieodłącznym towarzyszem.

Gdyby jednak się poddał, gdyby z dnia na dzień zaprzestał wszelkich poszukiwań, to i tak nie zapewniłby sobie spokoju ducha. Żyłby dalej w

lęku i strachu. Jako student, idąc za panującą wówczas modą, przeczytał kilka dzieł Sartre'a, który twierdził, że strach jest obawą przed samym sobą, przed własnymi nieprzewidywalnymi zachowaniami. Dopiero teraz Gropius odkrył prawdę zawartą w tych słowach. Nie, nigdy się nie podda!

W zamiarze tym umocnił go jeszcze telefon od Lewezowa. Był na tropie dużej sprawy i twierdził, że Gropius jest uwikłany w coś, co przekracza jego wyobrażenie. Lewezow sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego.

Gropius zaprosił prywatnego detektywa do siebie. Niecałe dwadzieścia minut później Lewezow zadzwonił do drzwi.

- Nie było to łatwe zadanie - zaczął Lewezow, zanim jeszcze Gropius zaproponował mu, żeby usiadł w fotelu. - Gdziekolwiek poszedłem, wszędzie trafiałem na ścianę milczenia i niechęci. Ale dobry detektyw się nie poddaje!

- Po kolei, panie Lewezow! Co pan robił?

- Początkowo trzymałem się pańskiej rady i z listy oczekujących wyłuskałem dwunastu potencjalnych biorców narządów, którzy nie należeli do biedaków. Przedsiębiorca budowlany ze Stuttgartu, właściciel cegielni z Dolnej Bawarii, makler giełdowy, właściciel hotelu i tak dalej. Sami bogacze.

Gropius niecierpliwie kiwnął głową.

- Wyobrażam sobie, że ludzie ci nie byli szczególnie skłonni do udzielania informacji, kiedy pan ich pytał o stan narządów wewnętrznych. Lewezow machnął ręką.

- Pierwszy, z którym chciałem porozmawiać, przedsiębiorca budowlany, wyrzucił mnie z domu i poszczuł psami. Doszedłem więc do wniosku, że muszę popytać wśród zwykłych pacjentów. Ale i to nie posunęło mnie do przodu. Już nastawiałem się na dłuższe i ciągnące się w nieskończoność śledztwo, kiedy dość przypadkowo nawiązałem rozmowę ze służącą właściciela browaru, człowieka, który również był na liście. Była to prawdziwa hoża wiejska dziewczyna z grubym warkoczem. I okazała się bardzo rozmowna. Przyznała, że Gruber, bo tak nazywa się ten browarnik, otrzymał niedawno nową wątrobę. Stara wątroba, jak mi wyjaśniła, już nie działała. Było to jednak bardzo kosztowne i trochę poza prawem. W tym momencie przewróciła oczami.

Gropius się zaniepokoił.

- I zdołał się pan dowiedzieć jakichś szczegółów? Proszę mówić!

Lewezow delectował się takimi chwilami. Chwilami, które jego - nędznego szpicla żyjącego z niedyskrecji - czynią ważnym i dają poczucie, że jest potrzebny. Dlatego mówił dalej wyraźnie i bardzo wolno.

- Zasugerowałem, że również czekam na przeszczep wątroby, że przeklinam alkohol, i dałem do zrozumienia, że na tej złowieszczej liście oczekujących mam numer osiemdziesiąty piąty. Wtedy zapytałem, jakim sposobem browarnik otrzymał narząd. Służąca spojrzała w lewo i w prawo, bo rozmowa toczyła się w przejściu, i odpowiedziała szeptem, że w Monachium jest jeden doktor, który może załatwić i przeszczepić każdy potrzebny narząd, ale za nieprawdopodobnie wielką sumę. Pacjenci muszą podpisać, że po zabiegu zachowają milczenie. Dziewczyna nie pamiętała adresu kliniki, ale zostało jej w pamięci nazwisko tego profesora: Fichte.

Gropius aż podskoczył. Przeczynał to. Ten żaloszny, mały Fichte, którego czule nazywali „Drzewkiem”, współdziała z mafią handlującą narządami! Profesor, zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem, głośno tupiąc. Gotował się ze złości - złości na siebie samego, że nigdy nie podejrzewał tego podstępnego doktorzyny i zwyczajnie zignorował niejasności związane z jego osobą. Teraz już w innym świetle widział te nadgodziny, które Fichte tak chętnie brał, i te wolne dni, które regularnie wykorzystywał. Tutaj zacyzny lekarz naczelny ze skromną pensją, a tam - tajemniczy chirurg transplantolog, który za swoje usługi pobiera bajońskie sumy. „Zazdroszczę mu - pomyślał Gropius - stalowych nerwów, gdyż system taki mógł funkcjonować tylko wtedy, gdy nie było żadnych komplikacji. Jedna nieudana operacja oznaczałaby dla Fichtego koniec”.

Teraz śmierć Schlesingera nabierała sensu. Najwidoczniej Fichtemu grunt zaczął się palić pod nogami. Być może to on, Gropius, nieświadomie powiedział coś, co tak zaalarmowało Fichtego, że wymyślił to szatańskie rozwiązanie, żeby go usunąć ze stanowiska. Oczywiście, Fichtemu było bardzo łatwo skazać wybraną wątrobę zastrzykiem! Fakt, że musiał umrzeć akurat Schlesinger - człowiek, który wyraźnie sam był uwikłany w jakieś ciemne interesy - to przypadek albo dowód na to, że każdy z nas znajdzie kiedyś w życiu trupa w szafie.

- Nic nie mówi! - zauważył Lewezow delikatnie. - Przecież to właśnie chciał pan wiedzieć.

- Tak, tak - odparł Gropius zamyślony. - Dobrze pan to załatwił, Lewezow. Świetna robota. Ale nie udało się panu dowiedzieć, gdzie Fichte przeprowadzał swoje transplantacje?

- Przykro mi. Miałem wrażenie, że tamta służąca naprawdę tego nie wiedziała. Jeśli pan sobie życzy, wezmę pod lupę kolejne osoby z listy.

Profesor chwilę się zastanowił, po czym powiedział:

- Sądzę, że powinien pan raczej śledzić Fichtego. Ale niech pan to robi możliwie dyskretnie. Fichte nie domyśla się, że ja cokolwiek wiem. Niech ma poczucie bezpieczeństwa, zwłaszcza że jego plan jak dotąd dobrze działa. I proszę informować mnie na bieżąco o każdym nowym odkryciu!

Chwilę po tym jak Lewezow opuścił dom Gropiusa, w głowie profesora pojawiły się wątpliwości, czy to odkrycie wyjaśnia już wszystkie wydarzenia, jakie wcześniej nastąpiły. Tajemnicze operacje przeprowadzane przez Fichtego i jego dwulicowość były dostatecznie przerażające, rozważywszy jednak uzyskane informacje na trzeźwo, Gropius uznał, że samo ustalenie, że Fichte pracuje dla mafii, nie wyjaśniało nawet połowy problemów. Przede wszystkim trudno było powiązać z Fichtem kasetę od profesora de Luki i porwanie w Turynie. Poza tym istniały gdzieś jeszcze te przekłete akta, dla pewnych ludzi warte dziesięć milionów euro.

A jeśli Lewezow wodzi go za nos? Detektyw jest żądny pieniędzy i mógłby dla nich zrobić wszystko! Może całą tę historię wyssał z palca, żeby mu poprawić nastrój i otrzymać kolejny czek? Lewezow wydawał się zbyt perfekcyjny. Ledwie dostał zlecenie, a już po kilku dniach dostarczył oczekiwane informacje. A przy tym nie miał do czynienia z niewierną żoną, ale z przebiegłymi członkami mafii. Sprawa ta nie dawała

Gropiusowi spokoju. Chciał mieć jasność w tej kwestii, uznał więc, że musi Lewezowa poddać próbie.

Sposobność nadarzyła się już następnego dnia. Zresztą sam detektyw dał oczekiwany impuls.

Lewezow zadzwonił do Gropiusa.

- Miałem pana informować na bieżąco, gdyby były jakieś nowości, profesorze! Nie wiem, czy to jest istotne. Ale czy wiedział pan, że Fichte ma własny samolot?

Gropius przełknął ślinę.

- Po wszystkim, czego się pan już zdążył dowiedzieć o Fichcie, nic mnie nie zdziwi. Skąd ma pan tę informację?

- To wyjaśnię później. Dwusilnikowy piper Fichtego stoi na lotnisku Jesenwang, czterdzieści kilometrów na zachód od Monachium. Ma dziś na godzinę czternastą zaplanowany lot do Nizy. Może pan z tego wyciągnąć pewne wnioski, profesorze! A teraz proszę wybaczyć, ale muszę wracać do pracy.

Gropius podziękował i odłożył słuchawkę. Wiadomość, że Fichte ma samolot, nie mogła go już zdenerwować. Mimo to wsiadł do swojego samochodu terenowego i ruszył w kierunku zachodnim. Gdyby ktoś go zapytał, czemu to robi, Gropius odpowiedziałby: „Nie wiem”.

Tuż przed trzynastą Gropius zjechał na autostradę A96. Zimny grudniowy wiatr gonil pierwsze płatki śniegu. Przejechawszy trzydzieści kilometrów, zjechał z autostrady na ruchliwą szosę biegnącą na północ.

O Jesenwang - wiosce, jakich wiele w Górnej Bawarii - nie warto byłoby wspominać, gdyby nie miała lotniska, które służyło lotnikom sportowym, biznesmenom i majątnym monachijczykom jako baza dla ich prywatnych maszyn. Gropius zaparkował samochód w pewnej odległości od hangaru, skąd miał dobry widok na pas kołowania. Jednosilnikowa cesna, stary beechcraft oraz dwusilnikowy piper, które właśnie tankowano, czekały przed budynkiem odpraw, a kilkadziesiąt innych awionetek stało w pewnym oddaleniu na pasach startowych. Nie było śladu gorączkowego pośpiechu, jaki zazwyczaj panuje na publicznych lotniskach.

Gropius czekał około dwudziestu minut. Tankowanie samolotu Piper Seneca II właśnie się zakończyło, kiedy z budynku odpraw wyszedł Fichte w towarzystwie kobiety. Oboje podbiegli do samolotu. Fichte był ubrany w skórzaną kurtkę, na głowie miał wojskową czapkę z daszkiem, w dłoni zaś trzymał elegancką walizeczkę, typową dla pilotów. Kobieta miała na głowie chustkę dla ochrony przed padającym śniegiem. Miała na sobie jasny trenecz.

Kiedy Fichte otworzył drzwiczki nad prawym skrzydłem i pomógł kobiecie wsiąść, lodowaty podmuch wiatru zerwał jej chustkę z głowy. Gropius skamieniał. To co zobaczył, nie mieściło mu się w głowie. Rozum opierał się przed uwierzeniem w to, co zobaczył. Kobietą u boku Fichtego była Veronique.

Bez tchu i jakby przez zasłonę Gropius obserwował, jak uruchamiają się silniki i samolot przejeżdża kawałek do pasa startowego. Słyszał huk

silników, widział, jak maszyna po krótkim rozbiegu odrywa się od ziemi jak ptak. Potem zapadła cisza. Koniec przedstawienia.

Pustka. Gropius nie odczuwał nic, żadnego gniewu, żadnej złości, nawet nie użalał się nad sobą - odczuwał jedynie wielką pustkę. Stracił wątek, zupełnie stracił wątek. Bez cienia emocji prześledził nerwowe lądowanie małego samolotu, który dwukrotnie się podrywał, zanim na dobre pozostał na ziemi. Wtedy obok Gropiusa zatrzymał się stary volkswagen. Przyjechał detektyw.

Lewezow wysiadł, a Gropius opuścił boczną szybę.

- Nie spodziewałem się pana tutaj - powiedział detektyw. - Czy widział pan, kto wsiadał do samolotu razem z Fichtem?

Gropius przytaknął w milczeniu. Cóż miał powiedzieć?

- Dosyć tu mokro - zauważył Lewezow i zasłonił oczy dłonią jak daszkiem. - Proszę ze mną. Jest tutaj kawiarenka dla pilotów. Coś ciepłe go dobrze nam zrobi.

W restauracji pod nazwą „Fly in” prawie wszystkie stoliki były zajęte. Jedyne dwa wolne miejsca znajdowały się z tyłu, pod zaporowanym oknem, przez które nie było nic widać. Zamówili gorącą herbatę z rumem.

- Rum z odrobiną herbaty - uściślił Gropius.

- Pewien mój stary przyjaciel jest tutaj kontrolerem lotów - zaczął Lewezow - i kiedy z nim rozmawiałem, przypadkiem zeszło na samoloty i ich właścicieli. Wtedy padło nazwisko doktora Fichtego. Oczywiście, natychmiast zrobiłem się czujny i starałem się dowiedzieć czegoś więcej o tym Fichtem. Peter Geller, bo tak się nazywa mój przyjaciel, wiedział jedynie, że taki samolot kosztuje grubo ponad milion euro i jest zarejestrowany na nazwisko Fichte. Jeśli pan chce, może pan osobiście pogadać z Gellerem. Proszę za mną, profesorze!

Biuro Gellera znajdowało się na najwyższym piętrze wieży kontroli lotów. Charakteryzowało się straszną ciasnotą. Kiedy Lewezow i Gropius weszli do tej kłitki, nie było już właściwie miejsca. Geller, młodo wyglądający mężczyzna po czterdziestce, w sportowym ubraniu, siedział przed monitorem i trzema telefonami. Prawie nie podniósł wzroku.

- A ciebie znowu przyniosło! - powiedział z ironicznym uśmiechem, po czym zwracając się do profesora, wyjaśnił: - Trzeba panu wiedzieć, że bez uszczypliwości u nas się nie obejdzie. Czym mogę służyć?

Lewezow przedstawił profesora, a Gropius powiedział, że chodzi o Fichtego i że na pewno Lewezow już mówił, w czym rzecz.

- Fichte? - zdziwił się Geller. - Właśnie odleciał! - Wskazał ręką na niebo.

- Wiem - odparł Gropius. - Z moją żoną. Była żoną - poprawił się.

- Ach tak. Współczuję panu, profesorze!

Jeśli Gropius czegoś nie znosił, to współczucia. Dlatego pośpieszył zapewnić:

- Doprawdy, nie ma powodu do współczucia. Geller kiwnął głową.

- Rozumiem.

- Proszę mi powiedzieć... - zaczął Gropius ostrożnie. - Czy w pańskim komputerze są zapisane dane o wszystkich startach i lądowaniach?

- Tak.

- I każdy pilot jest zobowiązany do podania lotniska docelowego?

- Tak, choćby ze względów bezpieczeństwa.

- W takim razie może mi pan też powiedzieć, dokąd Fichte latał, powiedzmy, w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

Geller spojrzał pytająco na Lewezowa, na co ten kiwnął głową. Z pewnością niechęcią Geller mruknął:

- Dobrze, skoro w ten sposób oddam panu przysługę. Ale ta informacja nie pochodzi ode mnie! - Wprawnymi ruchami palców przebiegł po klawiaturze, a z drukarki wysunął się arkusz z cyframi i kolumnami nazw. Jeden z telefonów wydał z siebie ciche brzęczenie, zaraz potem za dzwonił drugi.

Detektyw wyjął Gellerowi z dłoni wydruk komputerowy, Gropius podziękował za pomoc i obaj zeszli na dół.

Ich miejsca przy oknie kawiarni ktoś tymczasem zajął, ale był wolny inny stolik i tam Lewezow z Gropiusem usiedli, aby przeanalizować wydruk z komputera kontroli lotów. Zapisy były uporządkowane od września do grudnia i obejmowały łącznie dwadzieścia sześć lotów: dwanaście do Nizy i czternaście do Pragi.

Lwezow podniósł wzrok i spojrzał pytająco na Gropiusa.

- Rozumie pan to, profesorze? Chodzi mi o to, że Nizza nie powinna nas dziwić. To lotnisko w pobliżu Monte Carlo. Gdybym miał apartament w Monte Carlo, też bym tam spędzał każdą wolną chwilę. Ale Praga? Co Fichte robił w Pradze czternaście razy w ciągu trzech miesięcy?

- Też chciałbym to wiedzieć - powiedział Gropius zamyślony. - Zrobilibyśmy dzięki temu duży krok do przodu.

Gropiusowi kotłowało się w głowie. Odczuwał na przemian niepewność, nieufność, podejrzliwość i najgorsze obawy. I jakby tego wszystkiego było mało, okazało się jeszcze, że Fichte miał romans akurat z jego żoną - ostatecznie na papierze wciąż byli małżeństwem.

Na pasie startowym zaczęło się robić tłoczno. W krótkim odstępie czasu wylądowały dwie jednosilnikowe maszyny, trzecią wyciągnięto przed hangar i rozpoczęto tankowanie. Rękawem marynarki Gropius przetarł zaparowaną szybę.

- Czasami, w takich chwilach jak ta - powiedział, patrząc przez okno - chciałbym wsiąść do samolotu i po prostu odlecieć gdzieś daleko, a przeszłość zostawić za sobą.

Już od dwóch godzin Gropius starał się dodzwonić do Rity. Był w beznadziejnym nastroju, a po głowie chodziło mu tylko jedno - jej grzeszne ciało. Musiał ją mieć, i to jeszcze dzisiaj. Wreszcie, po czwartej czy piątej próbie, Rita odebrała. Była dwudziesta druga.

- Przyjdę - powiedziała po prostu Rita, jak mówiła zresztą zawsze, kiedy do niej dzwonił. - Przyjdę.

Minęło pół godziny i Rita - z rozwianymi włosami i ujmującym uśmiechem - zadzwoniła do drzwi. Gropius pocałował ją niezobowiązująco, co czynił zawsze, gdy się spotykali, i równie rutynowo zapytał:

- Czego się napijesz?

Rita pokręciła głową. Gropius spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

- Chcę się z tobą przespać - oświadczył bez ogródek. Zirytował się jednak po chwili, bo Rita została w płaszczu i obiema dłońmi ścisnęła podniesiony kołnierz. Również jej spojrzenie, zwykle wyzywające, było jakby nieobecne. Rita była po prostu inna, po raz pierwszy od czasu, kiedy się poznali.

- Wiem - zaczął Gropius - że ostatnio nie zachowywałem się szczególnie miło. Ale znasz powód tego stanu. To nie ma nic wspólnego z tobą.

Wciąż w płaszczu, Rita usiadła na fotelu w salonie. Gwałtownym ruchem założyła nogę na nogę, po czym oznajmiła spokojnie:

- Gregor, muszę ci coś powiedzieć!

Gropius usiadł naprzeciw niej i odparł cicho:

- Słucham.

Rita odchrząknęła. Potem powiedziała stanowczym głosem:

- Wychodzę za mąż.

Jej słowa zawisły w powietrzu jak jakieś złowieszcze proroctwo - tak się przynajmniej wydawało Gropiusowi. Nie wiedział, jak zareagować, w końcu nie co dzień kobieta, z którą właśnie zamierzał pójść do łóżka, zaskakiwała go informacją, że wychodzi za mąż.

- Gratuluję! - odparł, starając się zachować spokój. - Naprawdę się cieszę! - dodał, a ton jego głosu zdradzał, jak bardzo zraniła go ta nowina.

- Dlaczego jednak dowiaduję się o tym dopiero teraz?

- Bo decyzję podjęłam w zeszłym tygodniu.

- Aha! - Gropius wzruszył ramionami i ze zgorzaniem odwrócił wzrok. „Nie, dzisiejszy dzień nie był udany. Najpierw Veronique, a teraz to!” - A któż jest tym szczęśliwcem? - zapytał.

- Jest inżynierem geodetą w urzędzie budowlanym. Robiłam mu prześwietlenie klatki piersiowej i wtedy to się stało.

- Od kiedy to zakochujemy się we wnętrzościach drugiego człowieka? - burknął złośliwie Gropius.

Rita się roześmiała.

- Najpierw ujęła mnie jego aparycja, jego serdeczność w obejściu. Dopiero później ujawniło się jego wnętrze. Rozumiem twoje rozczarowanie, Gregor, zwłaszcza w twojej trudnej sytuacji, oboje jednak wiemy, że nasz romans nie był niczym więcej jak łóżkową przygodą.

- Ale cholernie dobrą łóżkową przygodą! Czy może tymczasem zmieniłaś zdanie?

- W żadnym razie. Nie mogę nawet wykluczyć, że kiedyś jeszcze zatęsknię do naszych wspólnych nocy. Mimo to nie mogę do końca życia być chętną kochanką, która jest zawsze do dyspozycji, według upodobania.

„Oczywiście, Rita na słuszność” - pomyślał Gropius. W gruncie rzeczy nie mógł mieć jej tego za złe. Ale czy musiało to nastąpić akurat teraz? W okresie, kiedy jego życie tak czy inaczej było w rozsypce, kiedy każdą kobietę traktował z nieufnością? Gdy patrzył na Ritę, przed oczami prześwalały mu się, jak na filmie, namiętne sceny, przeżycia, jakie z Veronique nawet w najlepszych czasach ich małżeństwa były nie do pomyślenia. Na przykład podczas lotu do Hamburga, kiedy kochali się na siedzeniach w

ostatnim rzędzie, albo w paryskim hotelu, gdzie przez cały dzień nie wychodzili z pokoju i nie umieli tego wyjaśnić marokańskiej pokojówce. Albo w samochodzie na autostradzie między Florencją a Werona, kiedy Gropius o mało nie wjechał na barierki, gdyż Rita chciała wiedzieć, jak to jest, kochać się podczas jazdy.

- Może moglibyśmy zostać przyjaciółmi - sprowadziła go z powrotem na ziemię.

- Tak, może - mruknął Gropius pod nosem. Nie znosił tego wyświechtanego tekstu, wykorzystywanego nagminnie w kiczowatych filmach, a jego rozczarowanie było w tym momencie za duże, żeby mógł tę propozycję potraktować poważnie.

Na pożegnanie było nawet kilka łez i czułe objęcie. I tak romans z Ritą dobiegł końca.

Po dwugodzinnym locie Felicia Schlesinger wylądowała na monachijskim lotnisku. Wracła z Amsterdamu, gdzie z powodzeniem pośredniczyła w sprzedaży dwóch płócien malarzy niderlandzkich z XVII wieku, które z kolekcji handlarza diamentów przeszły w ręce fabrykanta z Kolonii. Transakcja ta, poza przyniesieniem prowizji w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy euro, znacznie poprawiła jej reputację na rynku sprzedaży dzieł sztuki.

Felicia zaprosiła Gropiusa na herbatę nad jezioro Tegern, aby się dowiedzieć, jakie informacje zdobył w Turynie u profesora de Luki.

- De Luca był w podróży, w każdym razie nie udało mi się z nim rozmawiać - Gropius uprzedził jej pytanie, gdy tylko usiedli w salonie.

- Czyli zupełnie niepotrzebnie był pan w Turynie! - Felicia zrobiła poważną minę.

- Nie powiedziałbym tego - odparł Gropius. - Teraz przynajmniej wiem, że de Luca jest postacią bardzo dwuznaczną, a Francesca Colella, którą poznałem jeszcze w Berlinie, jest z nim w zмовie.

- Dziesięć milionów euro pochodziło zatem od de Luki?

- Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, nie na tym etapie naszego dochodzenia. Na razie obraz wydarzeń jest zbyt zagmatwany. Poza tym pojawił się nowy wątek, który - przynajmniej na razie - nie wydaje się związany z osobą de Luki. Możliwe, że wiem już, kto jest mordercą pani męża!

Twarz Felicii skamieniała. Bez słowa wpatrywała się w Gropiusa.

- Cóż — powiedział Gropius zakłopotany, uzmysłowił sobie bowiem, że trochę przeszarżował z tym oświadczeniem. - Powiedziałem: „możliwe”. W każdym razie są pewne wskazówki, choć nie ma dowodów.

- Niechże pan mówi, profesorze!

- Fichte! Lekarz naczelny z mojej kliniki. Przeprowadza potajemnie transplantacje na własny rachunek. Mogę mu udowodnić wykonanie co najmniej dwóch takich operacji.

- Ale transplantacja wymaga przecież specjalistycznego sprzętu, dużego zespołu, wielu środków. Chodzi mi o to, że nie sposób jej przeprowadzić w ramach normalnej praktyki lekarskiej! W końcu Arno zmarł po operacji w pańskiej klinice. Nie widzę związku.

Gropius przyglądał się, jak Felicia nalewa herbatę. W końcu odpowiedział:

- Istnieje na to proste wyjaśnienie. Zamach Fichtego na pani męża miał tak naprawdę wyeliminować mnie. Innymi słowy Fichte zaryzykował śmierć Schlesingera, żeby mnie usunąć ze stanowiska.

- Spodziewały się pan tego po Fichtem?

- Nie tylko tego! - Gropius wbił wzrok w podłogę. Zastanawiał się, czy zachować w tajemnicy swoje obserwacje na lotnisku, uświadomił sobie jednak, że Felicia i tak dowie się o tym prędzej czy później, dodał więc poważnym głosem: - Najwidoczniej jego pewność siebie rośnie także dzięki temu, że ma romans z moją żoną. Przepraszam, była żoną.

Felicia spojrzała na Gropiusa z niedowierzaniem.

- Skąd pan o tym wie?

- Skąd? - zaśmiał się Gropius z goryczą. - Na własne oczy widziałem, jak Fichte wsiadał do samolotu, zresztą własnego, żeby polecieć do Nizzy, oddalonej o pół godziny od Monte Carlo. Tamta dama w Monte Carlo, z którą pani rozmawiała telefonicznie i która mówiła niezrozumiałym francuskim, to była przypuszczalnie Veronique. Teraz rozumiem też, dlaczego nagle nie chciała już mieć na imię Weronika, tylko Veronique.

Felicia milczała przez dłuższą chwilę. Usilnie szukała jakiegoś ewentualnego powiązania między Fichtem a jej mężem, im dłużej jednak się zastanawiała, tym mniej prawdopodobny wydawał jej się taki związek i tym bardziej prawdopodobna stawała się teoria Gropiusa.

- Może Arno Schlesinger próbował jednak zdobyć nową wątrobę na czarnym rynku? - zapytał Gropius. - W każdym razie znalazłem w jego teczce numer Fichtego w Monte Carlo.

W geście bezradności Felicia rozłożyła ręce.

- Arno bardzo rzadko mówił na temat swojego stanu. Nawet aluzyjnie nie dał do zrozumienia, jak bardzo z nim źle. O przewidywanej transplantacji wątroby dowiedziałam się dopiero kilka dni przed operacją.

- Ale po co te sekrety?

- Taką już miał naturę. Arno nie należał do ludzi, którzy przyznają, że z nimi coś jest nie tak. Nie lubił, gdy mu się zaglądało w karty, i bardzo chętnie otaczał się tajemnicami. Dziś sądzę, że było to swego rodzaju sprawowanie władzy. Diabelną przyjemność sprawiało mu, gdy wiedział więcej niż inni. Przypuszczalnie dlatego został archeologiem, chciał odkrywać rzeczy, o których przed nim nikt nie wiedział.

Gropius pokiwał głową, po czym zapytał niby mimochodem:

- Czy Arno Schlesinger wspominał kiedyś o aktach szczególnej ważności lub szczególnej wartości?

- Nie przypominam sobie - odparła Felicia niepewnie. - Owszem, nosił czasem jakieś skoroszyty, w których trzymał wyniki swoich badań, notatki, fotografie i opisy. Ale to nic niezwykłego dla poszukiwacza starożytności.- Ruchem głowy wskazała pokój obok.- Przecież widział pan jego szafy z dokumentacjami badań. Arno utrzymywał, że zastosował tam znany tylko sobie system porządkowania dokumentów. Ja to określałam raczej jako chaos. Ale dlaczego pan pyta?

- Dlaczego? - Gropius poczuł się przyłapany. Skrzywił się, jakby chciał się uchylić od odpowiedzi. W końcu powiedział: - W Turynie pytano mnie o jakieś ważne akta, które podobno znajdowały się w posiadaniu Schlesingera. Niestety, nie udało mi się ustalić, o co chodziło. Muszą zawierać jednak coś bardzo cennego.

Felicia przekrzywiła głowę i uniosła brwi.

- Cóż tak cennego miałyby do zaproponowania archeolog?

- Tak czy inaczej zaoferowano mi dziesięć milionów euro, jeśli dostarczę te akta.

- Dziesięć milionów? Kto zaoferował?

- De Luca i jego ludzie.

- Przecież mówił pan, że nie spotkał de Luki?

- De Luki nie spotkałem. Widziałem się za to z jego wysłanniczką. Była to Francesca Colella, chytra kobieta!

- Ach! - odparła Felicia prowokacyjnie. Było to tylko „ach”, zabrzmiało jednak tak uszczypliwie, niemal pogardliwie, że Gropius wychwyił w nim nieufność. Nie po raz pierwszy naszyły go wątpliwości, czy w ogóle kłamać.

Kiedy ciągle to rozważał, Felicia bez słowa poszła do gabinetu Schlesingera i wróciła z jakimś listem.

- Przyszedł w tych dniach pocztą. Początkowo nie przywiązywałam do niego żadnej wagi, ale teraz zaczynam się nad tym zastanawiać. - Wyjęła list z koperty i podała Gropiusowi.

Na papierze firmowym Banku Austrii, z centralą w Wiedniu, wydrukowano wezwanie do wniesienia zaległej opłaty rocznej za skrytkę bankową numer 1157. Jeśli nie nastąpi to w ciągu trzech miesięcy, skrytka zostanie otwarta, a jej zawartość będzie usunięta.

- Wiedziała pani o tej skrytce? - zainteresował się ostrożnie Gropius.

- Nie - odparła Felicia - nie miałam o niej pojęcia, tak samo jak o milionowym koncie w Zurychu.

- Retoryczne jest zatem pytanie o ewentualną zawartość, a także o to, dlaczego Schlesinger wynajął skrytkę bankową akurat w Wiedniu.

Felicia w milczeniu pokiwała głową, w końcu powiedziała:

- Kiedy pan mówił o tych aktach...

- Wydaje mi się - przerwał jej Gropius - że mamy to samo podejrzenie.

- A może mamy także ten sam plan? — Felicia spojrzała na Gropiusa wyzywająco. - To znaczy, moglibyśmy przecież razem pojechać do Wiednia, żeby zajrzeć do tej skrytki.

Gropius gwałtownie zareagował:

- Wybacz pani, Felicio, nie uważam, żeby to był dobry pomysł!

- A dlaczego nie?

- Cóż, sądzę, że oboje jesteśmy pod stałą obserwacją.

- Ma pan na myśli policję? Policja już dawno zakończyła obserwację.

- Nie, nie ich mam na myśli.

- W takim razie kogo? Gropius przełknął ślinę.

- Kiedy byłem w Berlinie, zauważyłem, że ktoś mnie śledzi. W Turynie miałem na ogonie całą zgraję podejrzanych typów. Sądzi pani, że w Wiedniu nas nie wykryją?

- Po prostu trzeba będzie podjąć pewne środki ostrożności!

- Tak, tak - zgodził się Gropius, nieobecny duchem. Pomysł Felicii zabrzmiał w jego uszach naiwnie, a zarazem przebiegle. Naiwnie, gdyż nie mieli do czynienia z drobnymi przestępcami, ale prawdziwymi gangsterami. Przebiegle, ponieważ musiał przyznać, że jak dotąd nie przedsięwziął żadnych środków, żeby wyrwać się spod obserwacji ludzi mafii czy wyprowadzić ich w pole. Im dłużej nad tym rozmyślał, tym wyraźniej sobie uświadamiał, że nie może w tej sytuacji zostawić Felicii samej.

- Właściwie... dlaczego nie? - odezwał się wreszcie ze znaczącym uśmiechem, który miał być zachętą do wspólnego planowania tej akcji. Jednocześnie Gropius nie miał pojęcia, jak powinien się zachować, gdyby tajemnicze akta rzeczywiście były ukryte w skrytce bankowej.

Kolejne dwie i pół godziny spędzili oboje, planując wyjazd tak, żeby nie było żadnych świadków ich wyprawy. Felicia ujawniła przy tym nadspodziewaną fantazję i psychologiczne wyrafinowanie.

Będą podróżować — argumentowała - rankiem, w tajemnicy, powinni więc wyruszyć dzień wcześniej wieczorem, sugerując ewentualnym śledzącym, że wspólnie biorą udział w jakiejś wieczornej imprezie. Opera wystawiała akurat *Czarodziejski flet* Mozarta. Przedstawienie rozpoczynało się o dziewiętnastej.

Następnego wieczoru około godziny osiemnastej Felicia Schlesinger i Gregor Gropius, jadąc samochodem terenowym profesora, minęli bramkę podziemnego garażu pod operą. Gropius zaparkował obok szarego volkswagena na hamburskich numerach. Oboje byli w strojach wieczorowych, tak żeby ich zamiar pójścia do opery nie budził wątpliwości. Zaledwie dziesięć minut później w podziemnym garażu zapanował tłok. Gropius i Felicia wykorzystali to zamieszanie, aby wrócić do samochodu, przenieść dwie małe walizki do starego volkswagena wynajętego w wypożyczalni Avis i wyjechać z garażu tą samą drogą, którą przyjechali pół godziny wcześniej. Po godzinie później znajdowali się już na autostradzie w kierunku Wiednia.

Gropius uwielbiał Wiedeń - place i uliczki, gdzie czas się zatrzymał sto lat temu, deptak Wienzeile, gdzie przepych spotykał się z dekadencją,

elegancję Kärntnerstrasse i tandetę przedmieść. Oczywiście, kochał także wiedeńskie kawiarnie, w których do kawy podawano szklaneczkę - albo nawet dwie czy trzy szklaneczki - wody mineralnej oraz najnowszą gazetę i w których nikt nie ma nic przeciwko temu, żeby nad filiżanką wspa- niałego espresso spędzić całe popołudnie.

Z budki telefonicznej Felicia zarezerwowała dwa jednoosobowe pokoje w hotelu „Interconti”. Tuż przed północą dotarli do hotelu położonego między parkiem miejskim a lodowiskiem i śmiertelnie zmęczeni długą podróżą poszli spać.

Podczas wspólnego śniadania następnego ranka Gropius złapał się na tym, że każdego gościa w restauracji - a nie było ich wielu, gdyż o tej porze roku, na początku grudnia, hotel nie był nawet w połowie pełny - mierzy wzrokiem i poddaje wnikliwemu badaniu. Inni goście byli jednak zajęci głównie sobą lub lekturą porannej gazety, dlatego Gropius uspokojony zaczął rozmyślać o czekającym ich dniu.

Okolo godziny dziesiątej weszli do wystawnego budynku banku przy Opernplatz. Stanowiska obsługi wyglądały tak profesjonalnie i solidnie, że nawet majątny właściciel konta musiał mieć poczucie, że przychodzi do prawdziwego skarbcza. Zanim Felicia podeszła do jednego ze stanowisk, Gropius przypomniał z poważną miną:

- Pozwolę sobie raz jeszcze przypomnieć, że cokolwiek będą zawierały te akta, wkładamy je z powrotem do skrytki. I żadnych dyskusji na głos! Wszystkie te pomieszczenia są monitorowane przez kamery i mikrofony.

- Tak. Zgodnie z ustaleniami - odparła Felicia równie poważnie.

Kiedy Felicia pokazywała swój dowód tożsamości, akt zgonu Arna Schlesingera i postanowienie o nabyciu spadku, Gropius z bezpiecznej odległości, na pozór obojętnie, obserwował tę scenę. Załatwienie formalności trwało piętnaście minut, po czym Felicia gestem przywołała Gropiusa i powiedziała, wskazując na czarnowłosą pracownicę banku w okularach w czerwonych oprawkach:

- Ta młoda dama odprowadzi nas do skrytek.

Po marmurowych schodach, które wydziały silną woń środka do dezynfekcji i wyglądały tak, jakby prowadziły na salę operacyjną w szpitalu, zeszli do piwnic banku i stanęli przed zakratowanym wejściem. Liczne kamery systemu monitorowania miały wywołać wrażenie, że każdy krok i każdy ruch jest obserwowany i odnotowywany.

Gropius był zdenerwowany i w tym stanie podekscytowania nie był nawet w stanie dostrzec emocji Felicii. Łamał sobie głowę, próbując sobie wyobrazić, jaką niezwykle cenną tajemnicę mogą zawierać te akta i jaką rolę może tutaj odgrywać Wiedeń jako miejsce ich ukrycia. Rozmyślania te nie doprowadziły go jednak do żadnych logicznych wniosków. Minąwszy kratę, pracownica banku skierowała się w lewo, gdzie na końcu wąskiego korytarza wylaniał się jasno oświetlony skarbiec z setkami skrytek. Gropius czuł rosnący niepokój.

Skrytka 1157 znajdowała się z tyłu, na wysokości ramion. Otworzywszy ją, czarnowłosa pracownica banku dyskretnie opuściła pomieszczenie. Gropius śledził w napięciu, jak Felicia wyjmuje aluminiową kasetę i stawia ją na blacie stołu. Nie bez powodu kasetka miała takie wymiary, żeby zmieścić akta dużego formatu.

Felicia wyglądała na spokojną, w każdym razie na mniej zdenerwowaną od Gropiusa, kiedy otwierała pokrywę na zawiasach przymocowanych do tylnej ścianki i zaglądała do kasety. W środku leżało coś osobliwego, co było zawinięte w watomane płótno. Kiedy Felicia odsłoniła skrawek płótna, ich oczom ukazała się jakby podkowa wielkości dłoni, wykonana z kości słoniowej, żółtawo brązowa, miejscami zwietrzała.

- Co to jest? — zapytała Felicia bezradnie, nie spodziewając się odpowiedzi.

- Prawdopodobnie jakieś odkrycie archeologiczne. Archeolodzy są w stanie pisać wielkie traktaty naukowe o takich przedmiotach.

- Ale dlaczego przechowywał to coś w skarbcu? I dlaczego właśnie tutaj?

- To, co nam się wydaje przedmiotem bez znaczenia, dla archeologa takiego jak Schlesinger może mieć dużą wartość. Podkowa! - pokręcił głową. - Podkowa - powtórzył Gropius rozczarowany i spojrzął w bok. Gdzieś z oddali dobiegł go szyderczy śmiech, jakby Schlesinger robił im psikusa i potajemnie obserwował ich reakcje. Gropius czuł, jak krew uderza mu do głowy. - To wszystko? - mruknął ze złością pod nosem. - Czy to naprawdę wszystko?

- Na to wygląda - odparła Felicia, przeszukując płótno, w które była zawinięta podkowa. - Obiecywał pan sobie więcej po zawartości tej skrytki, prawda, profesorze? A może jednak potrafi pan coś z tego wywnioskować?

Gropius uniósł brwi.

- Nie - odparł. - Mimo najlepszych chęci, nie. Chodźmy!

Felicia pośpiesznie zamknęła kasetę i wsunęła ją z powrotem do skrytki.

Żeby uciec przed grudniową mgłą spowijającą malowniczy Opernplatz pośepną szarością, przez którą tu i ówdzie przebłyskiwały świąteczne dekoracje, wyszukali „Cafe Sacher”, do której wchodziło się przez drzwi ukryte na lewo od wejścia do hotelu. Niebawem wytworny recepcjonista czuwający za szklanymi drzwiami, żeby do słynnego lokalu wchodziła tylko klientela stosownej rangi, w drodze do stolika pod oknem prawil im komplementy. Kelner przyjął zamówienie, dwa razy melange, przy czym chodziło o mocną kawę z mleczną pianką, podaną zgodnie ze starą wiedeńską tradycją.

Felicia sprawiała wrażenie przygnębionej. W każdym razie minęło kilka minut, aż z jej twarzy zniknęła kamienna maska i w jej miejsce pojawił się zamyślony uśmiech, którego Gropius nie był w stanie w tych okolicznościach zinterpretować. Zanim jednak nadarzyła się okazja, żeby zadać pytanie o tę nagłą zmianę nastroju, Felicia, kręcąc głową, oznajmiła:

- To dość absurdalne, że przeprowadziliśmy akcję w stylu Jamesa Bonda, żeby zgubić ewentualny pościg tajemniczych przestępców, i co znajdujemy? Starą, zwietrzałą podkowę z kości słoniowej!

Gropius w zadumie mieszał łyżeczką kawę. Następnie odpowiedział, nie patrząc na Felicię:

- Prawdopodobnie jest cenniejsza, niż na to wygląda. Ale kto to może ocenić? Jeśli zaś chodzi o Wiedeń, to Schlesinger zapewne myślał tak samo jak my: chciał zatrzeć ślady.

Zamyślony Gropius patrzył przed siebie. Przy sąsiednim stoliku za dbany starszy pan walczył z poranną gazetą i zajmowało mu samo czytanie, więcej zaś hałaśliwe przewracanie stron, a następnie ich wygładzanie. Jednocześnie komentował nagłówki, aprobując je lub nie zgadzając się ze sformułowanymi w nich tezami, głośno sycząc lub mrucząc. Siedział plecami do okien, z czego można było wnosić, że bardzo dobrze zna rozciągający się z nich widok. Gorliwemu czytelnikowi kelner bez wezwania przyniósł już trzecią kawę, przy czym nie zaniedbał dodać usłużnego: „Proszę uprzejmie, panie profesorze”. Na takie tytułowanie zasługuje się w wiedeńskich kawiarniach już choćby ze względu na noszenie okularów.

Po szybkim przejrzeniu gazet „profesor” odłożył je na krzesło. Wtedy wzrok Gropiusa padł na jeden z nagłówków w „Kronezeitung”. Początkowo nie zwrócił na niego uwagi, jednak gdy tylko dotarło do niego znaczenie wiadomości, jakby jakaś iskra przeskoczyła mu w mózgu.

- Pan pozwoli! — zawołał Gropius i nie czekając na reakcję starszego pana, porwał gazetę i zaczął czytać:

„Tajemnicze mafijne morderstwo w Turynie. W północnej części Turynu, gdzie łączą się rzeki Stura i Pad, w piątek wyciągnięto z wody samochód ze zwłokami mężczyzny. Był to biochemik Luciano de Luca. Samochód wyłamał barierki przy nadbrzeżnej drodze i wpadł do ujścia rzeki. Policja pierwotnie zakładała, że profesor de Luca, który prowadził w Turynie laboratorium genetyczne, doznał za kierownicą zawału serca. Zgodnie jednak z opublikowanym wczoraj protokołem z sekcji zwłok, de Luca został zabity zastrzykiem ze środka owadobójczego o nazwie chlorfenwinfos. Sfingowany wypadek nosi cechy typowe dla działania włoskiej mafii. Badanie kryminalistyczne wraku pojazdu powinno wyjaśnić, jak doszło do tego zdarzenia”.

Błady jak ściana Gropius bez słowa wręczył Felicii gazetę.

- Mój Boże! - powiedziała cicho po przeczytaniu doniesienia. - Czy to nie jest ten de Luca, z którym Arno miał się spotkać w Berlinie?

- Ten sam de Luca, którego nie spotkałem w Turynie! Mało tego: de Luca został uśmiercony takim samym zastrzykiem jak Schlesinger. Z chlorfenwinfosem!

- Co to ma znaczyć? - Felicia długo i przenikliwie patrzyła na Gropiusa. — Co to ma znaczyć? — powtórzyła cicho.

- Nie wiem - niemal szeptem odparł Gropius. - Wiem tylko, że nie jestem bardzo daleki od stanu, który określa się jako oblęd. Jeszcze kilka minut temu byłem pewien, że to de Luca pociąga za sznurki, a teraz on sam stał się ofiarą. Felicio, nie pojmuję tego wszystkiego. Dotychczas sądziłem, że mogę zaufać własnemu rozumowi i regułom logiki, ale jak widać, to był błąd. Kim są ci ludzie i jaki mają cel?

Felicia chwyciła Gregora za rękę, ten jednak był myślami tak daleko, że nawet nie zauważył uspokajającego gestu.

- Trochę rozrywki dobrze nam zrobi - zauważyła nieśmiało Felicia. - W programie Wiedeńskiej Opery Państwowej jest *Nabucco*. Lubi pan Verdiego?

Gropius wciąż patrzył na gazetę leżącą przed nim na stole.

- Czy lubię Verdiego? - zirytował się. - Tak, oczywiście.
- Dobrze, w takim razie postaram się o bilety. Zobaczymy się w hotelu.

Później Gropius jedynie jak przez mgłę pamiętał tamten wieczór w Wiedeńskiej Operze Państwowej. I miał ku temu zrozumiałą powód. Podczas gdy jego oczy i uszy obojętnie śledziły wydarzenia rozgrywające się na scenie - chodziło o niewolę Izraelitów w Babilonie i rywalizację dwóch kobiet o króla Ismaela - Gropius wciąż na nowo analizował w myślach przebieg ostatnich tygodni. Jak na przyspieszonym filmie porządkował zdarzenia w nadziei, że coś z tego wywnioskuje. Rozczarował się jednak. Ani Nabucco, król Babilonu, ani jego córki Fenena i Abigail, nie zdołali odciągnąć go od myślenia o Lucianie de Luce i Francesce Colelli.

- Ta wizyta w operze wcale nie była takim dobrym pomysłem - mruknęła Felicia, kiedy po powrocie do hotelu „Interconti” siedzieli przy drinku w barze.

- Nie, nie! - przerwał Gropius - Muszę przeprosić za swoje rozkojarzenie, ale naprawdę nie było mi łatwo skupić się na operze. Zamordowanie de Luki bardzo mnie poruszyło.

Po raz pierwszy tego wieczoru Gropius dokładnie przyjrzał się Felicii. Miała na sobie prostą czarną suknię z jedwabnym kołnierzem i wąskim, ostrym dekoltem w kształcie litery „V”, wchodzącym głęboko między jej bujne piersi. Powodowany jednocześnie strachem i ciekawością, odgonił natrętną myśl, że Felicia jest kobietą, i to niezwykle atrakcyjną kobietą. Przez kilka minut panowało niezręczne milczenie.

Żenujący incydent z Francescą w Turynie (najchętniej zapadłby się wtedy pod ziemię) i niespodziewana odmowa Rity pogłębiły jego brak pewności siebie w stosunku do kobiet. Dlatego wieczór w Wiedniu zapewne zakończyłby się w sposób niegodny wspomnienia, gdyby nie Felicia, która zupełnie nieoczekiwanie przejęła inicjatywę.

Tuż po północy, kiedy Gropius leżał już w łóżku, nie mogąc zasnąć, rozległo się pukanie do drzwi łączących jego pokój i pokój Felicii. Gdy nie zareagował, pukanie stało się bardziej natarczywe. Gropius wyskoczył z łóżka, narzucił szlafrok i odsunął zasuwkę przy drzwiach. Następnie je otworzył. Przed nim stała Felicia w cienkiej białej bawełnianej koszulce, która sięgała jej akurat do łona. Nie miała na sobie nic więcej.

- Boję się - powiedziała cicho i wślizgnęła się do pokoju Gropiusa.
- Czego? - zapytał Gropius zbyt zdumiony, żeby od razu zrozumieć, że Felicia tylko szukała pretekstu.

- Ktoś jest za moimi drzwiami. Wyraźnie słyszałam!

Gropius odważnie wszedł do jej pokoju, jednym szarpnięciem otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. Nic.

- Pewnie się pani przesłyszała - powiedział Gropius, wróciwszy do swojego pokoju. Dopiero teraz, kiedy zastał Felicię w swoim łóżku, pojął jej grę.

Musiała zauważyć uśmiech w kąciку jego ust, chociaż bardzo się starał zbagatelizować całą sytuację. Kiedy zachęcająco uniosła kóldrę, żeby się przy niej położył, powiedziała:

- Nie uważa mnie pan za choć trochę pociągającą, profesorze Gropius?

„Ależ uważam, uważam” - chciał powiedzieć, oboje jednak czuli się niepewnie w tej wyraźnie dwuznacznej sytuacji, wołał więc bez słowa wślizgnąć się do Felicii pod kóldrę.

Z głową podpartą na łokciu Felicia z zainteresowaniem patrzyła na Gregora. Ten przyjął tę samą pozycję, a kiedy pod kóldrą dotknął jej piersi, które fascynowały go już od ich pierwszego spotkania, odwzajemnił zapraszające spojrzenie.

Felicia delektowała się jego delikatnymi, czułymi pieściami, a jej ciało całe drżało od przyjemnych dreszczy, które przebiegały od ramion aż po palce u stóp. Nagle Gropius poczuł, jak jej dłoń przesuwają się po jego brzuchu w dół, a potem - tu był gotów krzyknąć - odważnie obejmuje jego męskość. Gregor poczuł się zarazem błogo i jak w niewoli.

- A już myślałam, że jesteś gejem! - uśmiechnęła się Felicia.

- Bo jestem - odparował Gropius. - A ty może jesteś dziewczyną?

- Ja? Jak na to wpadłeś? - zawołała Felicia wesoło, ściągnęła koszulkę i usiadła okrakiem na Gregorze, który udawał, że jest zupełnie zaskoczony i że nigdy by się tego spodziewał.

Ciało Gregora zaczęło drżeć, kiedy jego członek zanurzył się w wilgotnych wargach sromowych Felicii. Widział, jak zamknęła oczy z pożądania. Ręce splótła za głową i poruszała delikatnie ciałem na boki. Gropius chciwie chłonił widok jej wielkich, poruszających się rytmicznie piersi z ciemnymi sutkami.

- Podoba ci się? - szepnęła Felicia i nagle znieruchomiała. - Powiedz, że ci się podoba!

- Tak, podoba mi się - odparł szybko Gregor.

Był gotowy udzielić każdej odpowiedzi, byle tylko kontynuowała swój namiętny taniec na jego ciele.

Jakby zgadując jego myśli, Felicia podjęła znów frywolną grę, poruszając się w łagodnym rytmie. Była bardzo cicha. Jedyne jej oddechy zdradzały, jakie pożądanie ją trawi. Gregor w ekstazie zamknął oczy. Nagle zostały zapomniane i odpłynęły gdzieś w dal wydarzenia ostatnich tygodni, gwałtowny koniec jego kariery i ciągły strach. A przecież właśnie te okoliczności zbliżyły ich do siebie.

Namiętność, jaką obdarzył Felicię, trwała może pół godziny, a może tylko pięć minut - w każdym razie była tak wielka i tak przemożna, że Gropius nie myślał o niczym innym, a już na pewno nie o czasie. Kiedy wreszcie doszedł i poczuł, że eksploduje gdzieś w głębi swojego jestestwa, wydał z siebie krzyk, jakby trafiła go strzała, wyprężył się i opadł jak nieżywy.

Felicia drżała z podniecenia na całym ciele. Oparta na Gregorze, nachyliła się nad jego twarzą, wodziła językiem po jego wargach i delikatnie poruszała miednicą do przodu i w tył, aż z jej ust wyrwał się stłumiony jęk i szczęśliwa opadła na niego.

Kiedy Gropius się obudził, potrzebował kilku sekund, żeby pojąć, że to wszystko nie było snem. Obok niego leżała na plecach Felicia, z kółką między nogami, nagim biustem i rozczochranymi włosami. Uniósł głowę i w bladym świetle poranka, które wpadało przez szerokie okno, studiował jej pięknie ukształtowane ciało. Wcześniej nie miał okazji, żeby dokładniej mu się przyjrzeć, czuł je tylko i oddawał się temu uczuciu. Teraz jednak pochłaniał jej widok jak podglądacz, przekonany, że nikt go nie widzi i że przedmiot jego ciekawości nie może się przed tymi spojrzeniami obronić.

Felicia była piękną kobietą. Płochą młodość miała już za sobą, była teraz w kwiecie wieku. Uda miała zaokrąglone, biodra były wyraźne, a piersi pełne słodkich obietnic. Jej skóra błyszczała jak najwspanialszy jedwab, zapraszając do czułych pieszczot.

- Zawsze się podkręcasz, podglądając bezbronne, nagie kobiety? - odezwała się nagle Felicia, nie otwierając oczu.

Gropius poczuł się przyłapany na gorącym uczynku i dłuższą chwilę milczał, zanim znalazł godną tego pytania odpowiedź.

- Tylko wtedy, gdy są tak podniecające jak ty!

Wtedy Felicia otworzyła oczy, a Gregor pocałował ją w usta. Oboje długo na siebie patrzyli.

- Chciałbym - powiedział Gropius - żebyśmy się spotkali w innych okolicznościach.

ROZDZIAŁ 8

Kobiety różnie reagują na pierwszą miłosną noc z mężczyzną. Jeśli chodzi o Felicię Schlesinger, to potraktowała to jako sposobność, żeby rozstać się ze wszystkim, co pozostało po Schlesingerze. Arno wciąż był obecny w domu, który dzieliła z nim przez cztery lata, przynajmniej w tych okresach, kiedy akurat nie przebywał za granicą. Nie mogła otworzyć żadnej szafy, żeby nie natknąć się na jego ubrania i bieliznę. Przedmioty osobiste, zdjęcia, drobne podarunki z podróży i książki specjalistyczne leżały wszędzie i nie pozwalały zapomnieć o zmarłym mężu. W myślach czuła się obserwowana przez te wszystkie drobne rzeczy, a uczucie to wzmagало jej niepokój. Minęło Boże Narodzenie i sylwester. Felicia spędziła święta z Gropiusem. Teraz chciała spalić za sobą wszystkie mosty z przeszłości, przynajmniej te, które utrudniały nowy początek.

Zadanie nie było jednak łatwe. Felicia nie miała pewności, czy opłakiwać los Schlesingera, czy raczej dać upust swojej złości na jego sekretne życie. Wtedy przyszedł jej z pomocą list. Odkryła go, upychając ubrania męża do sześciu dużych kartonów, i to właśnie w tym białym garniturze, który Arno miał na sobie podczas ich ślubu w Las Vegas. Na kopercie był izraelski znaczek i pieczętka, której nie umiała odcyfrować. Nadawcą była Sheba Yadin. Żadnego miasta, żadnej ulicy.

Sheba Yadin? Felicia nigdy nie słyszała tego nazwiska.

Przez chwilę się wahała, czy wyjąć list z koperty, czy go zniszczyć, nie czytając. Jego treść mogłaby się okazać dla niej nieprzyjemna. Nie bez powodu Arno włożył list do kieszeni tego właśnie garnituru. Później jednak ciekawość wzięła górę. Felicia pragnęła jasności, chciała wiedzieć, co się kryje za tymi wszystkimi zagadkami, na które się natknęła po śmierci Schlesingera. Tego bowiem, że Arno prowadził jeszcze jedno, tajemnicze życie, Felicia była już pewna.

Pospiesznie wyjęła zawartość koperty. List był napisany w języku niemieckim, zielonym atramentem, wyraźnie kobiecym pismem. Na końcu listu znajdował się czerwony odcisk ust.

Tel' Awiw-Jafa, 3 marca. Mój ukochany nad życie kreciku! Siedem dni właśnie mija, siedem dni, kiedy nie czuję Cię w sobie, i nie wiem, jak długo to wytrzymam. Nie ma takiej minuty, że bym nie myślała o Tobie i chwilach wspólnie spędzonych w Jeruzolimie. Dlaczego każesz mi tak cierpieć? Czy nie masz takiej samej potrzeby kochania mnie? Czy może tymczasem zmieniłeś plany? Czy Twoja żona jest może lepsza ode mnie? Powiedz, jeśli tak jest. Dla Ciebie zrobię wszystko. Z tymi milionami możemy rozpocząć nowe życie, gdzieś w Europie albo w Ameryce. Możesz być pewien, że umiem milczeć jak grób. Gdybyś jednak nie dotrzymał obietnicy i wrócił do żony, będę zmuszona rozważyć swoje zachowanie. Ty wiesz, ile warta jest ta wiedza. Ale o tym w ogóle nie chcę myśleć. Kocham Cię i chcę Cię mieć. Ciebie, Ciebie! Love, Szalom. Sheba

Zdania zapisane zielonym atramentem zaczęły drżeć Felicii przed oczami.

- Mój ukochany nad życie kreciku! - syknęła pod nosem, a po chwili dodała z wyraźną nienawiścią w głosie: - Przebrzydła, mała izraelska dziwka!

W złości zmięła list w kulkę, po krótkiej chwili jednak rozprostowała go i wygładziła jak cenny dokument. Potem przeczytała list raz jeszcze.

„Ty durna suko - łajęła sama siebie, gdy skończyła czytać. - Czemu ufałaś Schlesingerowi. Żaden mężczyzna, który połowę życia spędza poza domem, nie zasługuje na takie zaufanie!”. Zabolęło ją to, czego się właśnie dowiedziała, nie dlatego jednak, że był to pisemny dowód zdrady Arna, tylko dlatego, że okazała się tak łatwowierna i naiwna. I o ile myślał, że Arno

zakończył życie z powodu Gropiusa, jeszcze przed chwilą była problemem, o tyle ten list zniszczył wszelkie skrupuły. Przeciwnie, Felicia uważała teraz Gregora za mściciela.

W jej mroczne myśli wdarł się nagle dzwonek telefonu. Młodzieńczym głosem odezwał się doktor Rauthmann z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Humboldta w Berlinie. Najpierw uprzejmie przeprosił, że przeszkadza, następnie nieporadnie złożył kondolencje z powodu śmierci Schlesingera, którego on i jego koledzy bardzo cenili.

- A jaki jest rzeczywisty powód pańskiego telefonu? - przerwała Felicia jego udawane współczucie.

Doktor Rauthmann milczał przez dłuższą chwilę, zanim udzielił odpowiedzi.

- Nie muszę mówić, że mąż pani zaliczał się do najwybitniejszych naukowców w swojej dziedzinie. Uchodził za samotnika, jakich w nauce dziś raczej rzadko się spotyka. Samotnicy jednak, ludzie, którzy zmierzają do celu, nie oglądając się na konwencje, to prawdziwi bohaterowie nauki. Mąż pani, jak pani zapewne wiadomo, miał też kilku wrogów, którzy nie mogli przeboleć uzyskiwanych przez niego dotacji na badania. Pozwalały mu one zajmować się projektami, które w państwowych instytucjach zawsze odkłada się na później. Dlatego wszyscy mu zazdrościliśmy. O ile bowiem większość z nas swoje prace prowadzi za biurkiem, o tyle pani mąż działał jako archeolog w terenie. Znał Bliski i Środkowy Wschód jak własną kieszeń i odwiedzał miejsca, o których większość z nas tylko słyszała. Godne pozazdroszczenia, doprawdy, godne pozazdroszczenia! Mógł sobie wybierać zlecenia i instytucje współpracujące. Ale po co ja to mówię, pani to wszystko sama doskonale wie!

Te hymny pochwalne na temat Schlesingera zdumiały Felicię, kiedy bowiem Arno w ogóle mówił o pracy, słyszała coś wręcz przeciwnego. Niejednokrotnie negatywnie wypowiadał się o ludziach odpowiedzialnych za naukę w państwowych urzędach i instytucjach, nawet kpił sobie z ich jednostronnego myślenia i ograniczonych możliwości.

- I czym mogę panu służyć, doktorze Rauthmann? - zapytała Felicia z naciskiem.

Rauthmann odchrząknął zakłopotany i odpowiedział dyplomatycznie:

- Jak pani wie, pani mąż ostatnio pracował przy projekcie badawczym uniwersytetu w Jerozolimie. Dotychczas nie ma na ten temat żadnych

publikacji. Bylibyśmy, to znaczy nasz instytut, bardzo zainteresowani materiałami z badań. Z pewnością mąż wiele ich pozostawił. Co zamierza pani z nimi zrobić?

- Jeszcze o tym nie myślałam - odparła Felicia.

- Rozumiem. Proszę wybaczyć moją natarczywość. Chcielibyśmy tylko uprzedzić inne instytuty, które również zwrócą się do pani. Jestem o tym przekonany. Czy byłoby zatem możliwe rzucenie okiem na spuściznę naukową pani męża?

Nieznamomy rozmówca wzbudził jej nieufność, a zarazem ciekawość. Wydawało się, że ten doktor Rauthmann wie więcej na temat pracy Schlesingera, niż sądziła.

- Tak, oczywiście - zgodziła się Felicia. — Proszę zaproponować jakiś termin.

- Może jutro o czternastej?

- Jutro? - zdziwiła się Felicia.

- Tak się składa, że mam jutro do załatwienia sprawy w Monachium. Byłaby to sprzyjająca okoliczność. Nie chcę też pani zabierać dużo czasu, chodzi jedynie o ogólne przejrzanie dokumentacji. Wyobrażam sobie, że pani mąż pozostawił sporo notatek i innych materiałów. A zatem do jutra. I bardzo dziękuję za przychyłność.

Ledwie odłożyła słuchawkę, a już naszły ją wątpliwości, czy może ufać doktorowi Rauthmannowi. Zadzwoiła do informacji po numer Instytutu Archeologii w Berlinie. Wybrała podany numer i poprosiła z doktorem Rauthmannem. Kiedy się odezwał, odłożyła słuchawkę. Wtedy zadzwoniła do Gropiusa.

- Jak ci leci? Coś nowego? - zapytał Gropius, usłyszawszy głos Felicii.

- Mnóstwo nowego! - odparła Felicia. - Schlesinger był świnią.

- Na litość boską, co się stało? - Gropius usłyszał przez telefon, że Felicia z trudem stara się powstrzymać łzy.

- Miał romans z jakąś izraelską wywłoką!

- Skąd wiesz?

- Pakowałam jego ubrania do kartonów i akurat w garniturze, który miał na naszym ślubie w Las Vegas, znalazłam list miłosny od niejkiej Sheby Yadin. „Mój ukochany nad życie kreciku!” - tak się rozpoczynał. Żaloszne!

- Przykro mi - powiedział Gropius.
- Nie ma potrzeby! - odparła Felicia. - Jeśli w ogóle był jeszcze jakiś powód, żeby opłakiwać Arna, to właśnie zniknął. Bezcelnie mnie zdradzał, a ja, durna suka, ufałam temu człowiekowi. Jak mogłam być tak naiwna!
- Jak cię pocieszyć? - zapytał Gropius z czułością.
- Przyjdź do mnie i zostań na noc. Byłoby mi miło, gdybyś mógł być tutaj także jutro. Pewien naukowiec z Berlina zapowiedział swoją wizytę. Jest zainteresowany spuścizną naukową Arna. Nazywa się doktor Rauthmann. Zasięgnęłam informacji: rzeczywiście jest pracownik uniwersytetu o takim nazwisku. Mimo to czuję się trochę niepewnie, choć on bardzo dużo wie na temat pracy Arna.
- Przyjdę - powiedział Gropius.

Kiedy następnego ranka Gropius obudził się w łóżku Felicii, potrzebował kilku sekund na przypomnienie sobie, gdzie jest. Później jednak radośnie się uśmiechnął. Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz budził się w łóżku kobiety. Z kuchni dochodziło ciche syczenie ekspresu do kawy i niósł się przyjemny aromat gorących tostów. Gregor poczuł się dobrze, co nie zdarzało mu się już od dawna. Los kazał mu spotkać Felicię w okropnych okolicznościach. Ale teraz nagle wyszło na to, że oboje mogą z tej sytuacji wydobyć coś pozytywnego.

Widok z tarasu na przeciwległy brzeg jeziora Tegern był fantastyczny. Poranne słońce stała jeszcze nisko i oświetlało górskie granie przez drzewa огоłocone z liści. Było zimno, ale w tym roku nie spadł śnieg, co nie przeszkadzało ani Gregorowi, ani Felicii. Żadne z nich nie miało zacięcia do sportów zimowych.

W sypialni pojawiła się Felicia z tacą tak wielką, że z trudem ją trzymała. Miała na sobie białą bluzkę i była w świetnym humorze.

- Dzień dobry, dyrekcja hotelu pozwala sobie podać śniadanie razem z pokojówką!

Gropius musiał się roześmiać. Dopiero teraz zauważył, że Felicia nie ma na sobie nic więcej.

- Będę musiał zapamiętać adres tego hotelu - odparł Gropius żartobliwie, przyglądając się, jak Felicia stawia tacę na stoliku przy łóżku. Wesoło wyciągnął rękę, lecz Felicia zaprotestowała:

- Personelowi tego hotelu surowo zakazuje się prywatnych kontaktów z gośćmi.

Gropius i Felicia zjedli śniadanie w łóżku. Gropius co prawda nie znośił jadania czegokolwiek w łóżku ze względu na okruszki, ale z Felicią wszystko wyglądało inaczej. Miał wrażenie, jakby prowadził nowe życie. W takich chwilach starał się zapomnieć o przeszłości, ale udawało mu się to zaledwie na kilka minut. Potem powracały dręczące go pytania, które tłukły mu się po głowie od tygodni i na które nie było odpowiedzi. Wtedy patrzył przed siebie bez wyrazu i próbował uporządkować myśli.

- O czym myślisz? - zapytała Felicia, która od dłuższego czasu obserwowwała go w milczeniu.

Gregor niezauważalnie się wzdrygnął. Poczł się przyłapany na gorącym uczynku. Oto siedział z cudowną półnągą kobietą w łóżku, delektował się obfitym śniadaniem i bajecznym widokiem na jezioro Tegern, ale myślami był bardzo daleko - w Turynie.

- Wciąż nie daje mi spokoju śmierć de Luki - odpowiedział Gregor, nie patrząc na Felicję. - Mógłbym przysiąc, że należał do mafii, w każdym razie wszystko na to wskazywało, a teraz sam marnie skończył. Co tam się dzieje? Nie rozumiem!

- Może są jakieś konflikty między rodzinami mafijnymi, kłótnie albo zwyczajne różnice zdań. Wiadomo przecież, że ci ludzie nie wahają się zbyt długo.

- Możliwe, ale w takich wypadkach człowiek zwykle znika bez śladu i bez hałasu. Później już się o nim po prostu nie słyszy. Śmierć de Luki była spektakularna. Nieprzypadkowo wszystkie gazety pisały o tym morderstwie. Jestem przekonany, że śmierć de Luki miała stanowić znak.

- Dla kogo?

Gropius spojrzł Felicii w oczy.

- Być może dla mnie. Ostatecznie nie byłoby to pierwsze ostrzeżenie. Trwożliwie, jakby chciała go ochronić, Felicia wzięła prawą dłoń Gregora w obie ręce.

- Właściwie jak długo jeszcze będziesz to ciągnąć? Czasem mam wrażenie, że masz obsesję, chcesz zniszczyć samego siebie. Czemu się nie poddasz i nie przekaziesz dalszego dochodzenia policji?

- Policji? - zaśmiał się z goryczą Gropius. - Przecież sama widzisz, do czego do tej pory doszła policja. Dla nich wciąż jestem jednym z głównych

podejrzanych. Już dawno siedziałbym za kratkami, gdyby tylko mieli choćby najmniejszy dowód. Odnoszę wrażenie, że w policji gra się na czas. Liczy się na komisarza nazwiskiem Przypadek, który rozwiązuje połowę spraw. Póki co jednak moja kariera legła w gruzach i jak inni lekarze, którzy pamiętają lepsze czasy, mogą chodzić jako akwizytor farmaceutyczny i wiejskim lekarzom wciskać ciemnotę na temat zalet nowego środka oczyszczającego firmy Bayer czy Schering.

- Jeśli najpierw wyłowią z rzeki twoje zwłoki, jak de Luki, to nawet tego nie będziesz mógł robić - zaoponowała Felicia. - Proszę, bądź rozsądny!

- Ależ Felicio! Ci ludzie mogli już dziesięć razy mnie zabić i tego nie zrobili. Dlaczego? Bo mnie potrzebują. Z jakiegoś powodu jestem dla nich ważniejszy żywy niż martwy!

- Brzmi to bardzo zachęcająco!

Gropius wzruszył ramionami i spojrzał przez okno na jezioro.

- Mogli już dziesięć razy mnie zabić - powtórzył pogrążony w myślach.

Zgodnie z zapowiedzią doktor Rauthmann przybył punktualnie o czternastej. Jego ubranie było równie nieskazitelne jak wypowiedane przezeń formułki grzecznościowe: szary garnitur, biała koszula i - cóż za arogancja - czerwono-czarny prążkowany krawat. Ciemne kędzierzawe włosy i krzaczaste wąsy sprawiały, że wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. Felicia oceniła go na czterdzieści pięć lat.

Z lekkim ukłonem wręczył jej swoją wizytówkę, Felicia zaś przedstawiła Gropiusa jako przyjaciela domu, który pomaga jej ogarnąć sprawy, jakie spadły na nią w związku ze śmiercią męża.

Rauthmann powtórzył swoje przeprosiny, które już raz wyraził telefonicznie, że tak szybko po odejściu Arna Schlesingera przychodzi z prośbą.

- Proszę jednak zrozumieć - oświadczył z poważną miną - że materiał naukowy, jaki zgromadził pani mąż, jest zbyt ważny, żeby zostawić go innym. Nasz instytut jest zresztą gotów w wypadku darowizny czy przekazania wystawić stosowne potwierdzenie.

Gregor i Felicia spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

- Zaraz, zaraz! - sprzeciwił się Gropius.- Przecież pan jeszcze nawet nie wie, co zostawił Arno Schlesinger!

- Proszę pana - Rauthmann rozłożył ręce - wiemy, czym się zajmował. A jego sporadyczne publikacje były niezwykle interesujące!

- Czym więc Schlesinger zajmował się ostatnio? - chciał wiedzieć Gropius.

Rauthmann zrobił się powściągliwy. Z uśmiechem, którego ani Gropius, ani Felicia nie umieli zinterpretować, odparł:

- Cóż, poświęcił się starożytności Bliskiego Wschodu, ale nazwisko wyrobił sobie jako archeolog biblijny. Czyż nie tak, pani Schlesinger?

Felicia przytomnie przytaknęła. To, że Arno zajmował się głównie archeologią biblijną, było dla niej czymś nowym, w każdym razie Schlesinger nigdy o tym nie mówił.

- Trzeba panu wiedzieć - ciągnął Rauthmann, zwracając się do Gropiusa - że Palestyna i miejsca wydarzeń opisanych w Nowym Testamencie były do końca dziewiętnastego wieku zupełnie niezbadane archeologicznie. Obecnie sytuacja zmieniła się diametralnie. Dziś Izrael i Palestyna zaliczają się do krajów najlepiej poznanych archeologicznie. W znacznym stopniu przyczynił się do tego właśnie Arno Schlesinger. Zapłacił za to jednak wysoką cenę.

- Wysoką cenę? - Gropius spojrzał na Rauthmanna. - Co pan rozumie przez to, że zapłacił wysoką cenę?

Rauthmann zwrócił się do Felicii, szukając pomocy, jakby miał jakieś opory, żeby odpowiedzieć na pytanie Gropiusa.

- Cóż - zaczął z wahaniem. - Ta sprawa z wypadkiem. Najpierw się mówiło, że Schlesinger wjechał samochodem na minę... Ale z pewnością pani Schlesinger lepiej to panu wytłumaczy.

- Raczej nie! - zaprotestowała Felicia. - Trzeba panu wiedzieć, że mąż nigdy nie opowiadał o przebiegu tamtego wypadku. Mówił, że nie chce mnie dodatkowo niepokoić. Nie był to więc wypadek?

Rauthmann nerwowo poprawił krawat, po czym odpowiedział cicho:

- To był zamach bombowy. Tak twierdzi Pierre Contenau, mój francuski kolega po fachu, który prowadzi wykopaliska w Beer Szewie. Był w pobliżu, kiedy to się stało.

- Zamach bombowy? - skrzywił się Gropius. - Przecież w tamtym zakątku świata codziennie wybuchają bomby. Niekoniecznie musiało to więc mieć coś wspólnego z próbą zabicia Schlesingera!

- Proszę mi wierzyć, jest tak, jak mówię. Tam gdzie Schlesinger prowadził wykopaliska, jeszcze nigdy nie wybuchła żadna bomba - powiedział Rauthmann z naciskiem.

Gropius się zastanowił.

- To by więc znaczyło, że zamach przygotowano z myślą o Arnie Schlesingerze!

- Lub o jego pracach.

- Albo przeciwko jednym i drugim!

Gropius przez chwilę milczał. To wszystko nie miało żadnego sensu! Któż, u diabła, mógł być serio zainteresowany tym, żeby wysadzić w powietrze jakiegoś niemieckiego archeologa przy wykopaliskach? Chyba że...

- Czy mogę panu zadać poważne pytanie? - zaczął Gropius nieporadnie. - Czy w waszej dziedzinie istnieje coś takiego, jak zawiść zawodowa? Wiem, o czym mówię. Jestem lekarzem i sądzę, że nie ma drugiej takiej profesji, w której tak panoszyłyby się zawiść.

- Oczywiście, że istnieje! Działalność naukowa to ciężki kawałek chleba, wszystkie stanowiska są zajęte, naiwnością byłoby się tego wypierać.

Gropius pokiwał głową i odwrócił wzrok, następnie zadał Rauthmannowi kolejne pytanie:

- Czy Arno Schlesinger był lubiany w kręgach archeologów?

Rauthmann spojrział ukradkiem na Felicię, ona zaś odwzajemniła spojrzenie i oświadczyła:

- Proszę się nie krępować, doktorze Rauthmann, nie musi mnie pan oszczędzać!

Rauthmann przelknął ślinę.

- Prawdę mówiąc, w naszych kręgach Arna Schlesingera nienawidzono równie mocno jak go szanowano. Szanowano ze względu na jego wiedzę i wielką inteligencję. Nienawidzono, ponieważ, przepraszam za dosłowność, wykladał mnóstwo pieniędzy, żeby otrzymywać pozwolenia na wykopaliska. Pozwolenia, na które inni archeolodzy na próżno czekają przez połowę życia.

- Uważa pan zatem za możliwe, że...

- Nie! - wpadł mu w słowo Rauthmann. - Przy całej tej rywalizacji żadnego badacza nie uważam za zdolnego do popełnienia morderstwa, żadnego! - Zwracając się do Felicii, powiedział: - Jeśli mogę przypomnieć powód mojej wizyty...

- Oczywiście - Felicia wstała i poprosiła doktora Rauthmanna, żeby poszedł za nią. Gropius dołączył chwilę później, żeby gość nie miał poczucia, że jest pod stałą obserwacją.

Rauthmannowi zaświeciły się oczy, kiedy zobaczył skoroszyty, które całymi setkami piętrzyły się na regałach w gabinecie. Przeważnie były oznakowane żółtymi karteczkami z hasłem opisującym zawartość. Oprócz wskazań geograficznych, jak Salamina, Tyr czy Tell El-Farah, można było odczytać odwołania do określonych epok, jak kultura mykeńska III A, kultura Villanova czy kultura Badari.

- Część dokumentacji jest pomieszana - odezwała się Felicia, zauważwszy zdziwione spojrzenie Rauthmanna. - Policja na pewien czas zatrzymała niektóre materiały, ale szybko je oddano. Prawdopodobnie terminologia specjalistyczna niewiele im powiedziała.

Co pewien czas Rauthmann wyciągał któryś ze skoroszytów, kartkował dokumenty, kiwał z uznaniem głową, po czym odkładał na miejsce. Gropiusa uderzyło to, że informację Felicii o konfiskacie dokumentów przez policję Rauthmann przyjął do wiadomości bez żadnych dodatkowych pytań. Nic nie mogło zmącić jego spokoju, interesował się zaś pozornie przypadkowo to tym, to tamtym. Używał przy tym okularów do czytania, które powiększały mu oczy tak, że przypominał sowę.

- Napije się pan z nami kawy? - zapytała Felicia i nie czekając na odpowiedź, wyszła z gabinetu.

- To tragiczne, że Schlesinger musiał tak skończyć - zauważył Rauthmann, kiedy zostali sami.

Gropius zastanawiał się, czy doktor Rauthmann wiedział, w jaki sposób on, Gropius, był powiązany ze Schlesingerem. Pozostawił jednak uwagę archeologa bez komentarza. Zamiast tego zapytał mimochodem:

- Jeśli wolno spytać, czy pan szuka czegoś konkretnego?

- Oczywiście - odparł Rauthmann, nadal się rozglądając. - Chodzi o dzieło życia wybitnego badacza, dzieło, którym nasz instytut jest zainteresowany. - A po krótkim zastanowieniu dodał: - Czy nie mógłby pan szepnąć słówka w naszej obronie? Gdyby pani Schlesinger już teraz się zdeklarowała, że chce naukową spuściznę męża przekazać jako darowiznę, oznaczałoby to dla niej niemalą ulgę podatkową!

- Rozumiem! - powiedział Gropius, tak naprawdę nie rozumiejąc, o co chodzi Rauthmannowi. - Zobaczę, co się da zrobić. Ale jeśli pan pozwoli, to chciałbym jeszcze zapytać o tego francuskiego archeologa...

- Contenau. Pierre Contenau!

- Tak, tego Contenau. Czy pana zdaniem jest możliwe, że zna jakieś bliższe szczegóły rzekomego zamachu na Schlesingera?

- Sądzę, że tak - odpowiedział Rauthmann bez wahania. - Miałem jednak wrażenie, że nie jest chętny, żeby coś ujawnić. Contenau rzucał tylko jakieś aluzje, które szczerze mówiąc, nie ciekawiły mnie. Dziwny człowiek ten Contenau, jak wszyscy archeolodzy.

- A gdzie mieszka?

- O ile wiem, przez połowę roku w Jerozolimie, lato zaś spędza regularnie z żoną i córką w Paryżu. Tylko pozazdrościć.

- A pan? Proszę wybaczyć ciekawość.

- Ja jestem poślubiony nauce, jeśli to miał pan na myśli. Nauka absorbuje mnie całkowicie. Niestety, naszemu instytutowi brakuje środków na prowadzenie wykopalisk za granicą, tym sposobem moje badania ograniczają się do terenu o wymiarach metr na dwa metry, czyli do mojego biurka! — zaśmiał się trochę smętnie.

Przyszła Felicia z kawą i Rauthmann zakończył pracę. Zwracając się do Felicii, powiedział:

- Pani mąż pozostawił cenne wyniki badań. Jeśli pani pozwoli, w ciągu najbliższych dni nasz instytut złoży pani pisemną propozycję, jak i na jakich warunkach spuścizna ta mogłaby być przekazana w formie darowizny. Taka procedura miałaby dla pani tę zaletę, że nazwisko Arna Schlesingera zostanie należycie docenione, a ponadto pani będzie mogła przez całe lata korzystać z ulgi podatkowej. Nie musi pani podejmować decyzji natychmiast.

- Jak go odebrałeś? - zapytała Gregora Felicia po wyjściu doktora Rauthmanna.

- Trudno powiedzieć - odparł Gropius. - Na początku wydał mi się trochę podejrzany, jakby nie do końca wiedział, czego właściwie chce.

- A teraz?

Gropius wzruszył ramionami.

- W rozmowie wydawał się zupełnie wiarygodny. Rauthmann ma rację, w tych skoroszytach tkwi dzieło życia twojego męża i widać, że Schlesinger rzeczywiście był bardzo uznanym naukowcem.

- Był świnią!

- Jedno nie wyklucza drugiego. Również Schliemann miał podły charakter, ale był genialnym archeologiem. Napoleon jako człowiek był świnią, mimo to okazał się wielkim wodzem. Albo Klaus Kinski – czyż nie był wstrętny, a został wspaniałym aktorem?

Z założonymi rękami Felicia patrzyła przez okno. Cicho zapytała:

- Jaki powód miał Arno, żeby przemilczeć, że to był celowy zamach bombowy, a nie żaden wypadek?

Gropius podszedł do niej i położył jej dłoń na ramieniu.

- Gdybyśmy to wiedzieli, zrobilibyśmy duży krok naprzód.

Tuż przed godziną dwudziestą drugą Gropius wrócił znaną jeziora Tegern do Monachium. Jakieś nieokreślone uczucie powstrzymało go przed spędzeniem kolejnej nocy z Felicią. Już z daleka dostrzegł samochód na światłach postojowych, zaparkowany przy wjeździe do jego garażu, i przez chwilę wahał się, czy nie zawrócić i nie odjechać. W kierowcy samochodu rozpoznał jednak Dirka Lewezowa, który od kilku dni nie dawał znaku życia.

Kiedy Lewezow zobaczył Gropiusa, wysiadł z samochodu.

- Cały dzień próbuję pana złapać, profesorze! Sprawa jest pilna!

- Proszę do środka - powiedział Gropius. Zdążył już na tyle poznać prywatnego detektywa, że wiedział o jego skłonności do dramatyzowania. Prawdopodobnie chodziło mu również o pieniądze. - Cóż jest takiego pilnego?

- Potrzebuję pieniędzy! - oświadczył detektyw kategorycznie.

- Tak, tak, potrzebuje pan pieniędzy - powiedział Gropius drwiąco. - A już myślałem, że dokonał pan jakichś istotnych obserwacji, które będą mi pomocne.

Lewezow uśmiechnął się wyniośle i usiadł na kanapie. Następnie oznajmił, podkreślając wagę swoich słów zamaszystą gestykulacją:

- Pański kolega, doktor Fichte, zaplanował na pojutrze lot do Pragi. Wiem to od mojego przyjaciela Gellera. Piper Seneca II Fichtego wystartuje około dziesiątej rano.

- Ciekawe! — Gropius zrobił zamyśloną minę.
- Mam propozycje polecę jutro do Pragi, żeby mu deptać po piętach od chwili, kiedy się tam zjawi.
- Niezła myśl, Lewezow, a nawet genialna. Ile panu trzeba?
- Pięć tysięcy? - odpowiedział detektyw ostrożnym pytaniem. - Ostatecznie nie wiem, co mnie czeka w Czechach, a hotele w Pradze nie są zbyt tanie!

Gropius wypisał czek i wręczył Lewezowowi.

- Chcę wiedzieć o każdym kroku Fichtego w Pradze. Każdy szczegół może mieć znaczenie. Ufam panu. Proszę mnie informować na bieżąco. Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, kiedy mój szanowny kolega będzie wracał!

- Może się pan spokojnie zdać na mnie, profesorze. Sprawę mi przyjemność obserwowanie, jak pętla będzie się coraz silniej zaciskać na szyi Fichtego.

Następnego ranka Lewezow poleciał przez Wiedeń do Pragi. Port lotniczy Ruzyně, położony czternaście kilometrów na zachód od Pragi, przy szosie na Kladno, to okropna budowla, jak większość lotnisk z czasów komunizmu. Jednocześnie jednak jest funkcjonalnie zaprojektowany i nie sposób się w nim zgubić, jak na lotnisku we Frankfurcie czy w paryskim porcie lotniczym imienia Charles'a de Gaulle'a. Szybko więc Lewezowowi udało się ustalić położenie bramki używanej przez pilotów i pasażerów prywatnych samolotów. W PRAGOCAR wynajął samochód, nierzucającą się w oczy beżową skodę. Przez Brevnov Lewezow pojechał do śródmieścia i dalej na południe, w kierunku Pałacu Kultury w Wyszehradzie, skąd widać już hotel „Corinthia Towers”. Jest to zespół hotelowy złożony z dwóch sąsiadujących, oszklonych wież, z pięciuset pokojami i bezpośrednim połączeniem z metrem, czyli miejsce pod każdym względem idealne dla prywatnego detektywa.

Lewezow był już wcześniej w Pradze, ale miasta nie znał, spędził więc popołudnie w słynnych lokalach w śródmieściu. Na jego liście znalazła się „Kajetanka” przy placu Hradczańskim, „Slavia”, skąd rozpościera się widok na Teatr Narodowy, Hradczany i most Karola, a także „Alfa” przy placu Waclawa. W pięćsetletniej piwiarni „U Fleku” przy ulicy Křemencovej, gdzie w zadmionej sali panuje niepowtarzalna atmosfera, Lewezow

zjadł posiłek i wypił kufel ciemnego piwa, następnie wycofał się do swojego pokoju w hotelu, najpierw zaleciwszy portierowi, żeby obudził go punktualnie o siódmej rano.

Jak się okazało, dobrze zrobił, zlecając budzenie, gdyż mocne czeskie piwo skutecznie go odurzyło. W każdym razie dopiero za drugim razem recepcjonistka zdołała dobudzić zaspanego detektywa.

Okolo wpół do jedenastej Lewezow taksówką dotarł do portu lotniczego Ruzyně. Ruch był niewielki, co detektywowi bardzo odpowiadało. Raz jeszcze obejrzał port lotniczy, przeszedł wszystkimi drogami, które mógłby wybrać po odprawie przybysz z Niemiec, a także upewnił się, że nie ma żadnych wind ani drzwi, które mogłyby mu przeszkodzić w bezpośredniej obserwacji.

O godzinie dziesiątej pięćdziesiąt na lotnisku pojawił się mężczyzna w czarnym płaszczu z drogiego materiału, wysoki, o mrocznym spojrzeniu. Wydawało się, że obserwuje to samo wyjście co Lewezow, gdy niby bez celu spacerował, demonstrując znudzenie. Lewezow nie znał tego człowieka, nie wiedział więc, czyjego obecność jest przypadkowa, czy powiązana z wykonywanym przez detektywa zleceniem. Wycofał się na bezpieczną odległość, wyciągnął spod płaszcza aparat z teleobiektywem i zrobił nieznanemu kilka zdjęć.

Właśnie miał schować aparat, gdy z bramki, którą od dłuższego czasu obserwował, wyszedł doktor Fichte w towarzystwie nieznanego mężczyzny i podszedł prosto do człowieka w ciemnym płaszczu. Lewezow przytomnie nacisnął spust migawki w aparacie. Potem schował aparat z powrotem pod płaszcz.

Żywo rozmawiając, trzech mężczyzn udali się do wyjścia, skąd skierowali się na pobliski parking. Lewezow złapał taksówkę i wręczając kierowcy banknot o wartości dwudziestu euro, dał mu do zrozumienia, że chciałby śledzić tych trzech mężczyzn. Po chwili Fichte i jego dwaj towarzysze wsiedli do ciemnego mercedesa.

- Niech pan jedzie za tym samochodem! - polecił Lewezow kierowcy taksówki.

Taksówkarzowi o pomarszczonej twarzy i nieuczesanych długich włosach pościg sprawił widoczną radość. Zachwycony otrzymanym zadaniem, zmienił ciągle pas ruchu, kilka razy przejechał na czerwonym świetle i, siedząc na ogonie czarnego mercedesa, dotarł na plac Waclawa, gdzie

samochód zatrzymał się pod hotelem „Europa”, okazałym gmachem z zbyt kowną secesyjną fasadą.

Z bezpieczniej odległości Lewezow obserwował, jak portier wnosi do środka bagaże przybyłych gości. Następnie wszedł do holu i usiadł na jednym ze skórzanych foteli, skąd miał widok na recepcję. Fichte i jego towarzysz wypełnili formularz meldunkowy, ale trzeci mężczyzna tego nie uczynił. Albo mieszkał już w tym hotelu, albo jego zadaniem było tylko przywiezienie tu tamtych dwóch.

Lewezow czuł się bezpiecznie, wiedział bowiem, że Fichte go nie zna, nigdy nie widział też tamtych dwóch mężczyzn. Dlatego wstał i zaczął z założonymi rękami przechadzać się tam i z powrotem po holu, jakby czekał na jakiegoś hotelowego gościa. W rzeczywistości zaś starał się uchwycić jakieś strzępy rozmowy.

Zapewne niezbyt umiejętnie udawał, dość, że nagle recepcjonista zapytał go po niemiecku:

- Czy mogę czymś służyć szanownemu panu?

Lewezow przeraził się, poczuł się złapany, po chwili jednak opanował się i odparł spokojnie:

- Nie, dziękuję, czekam na kogoś.

W tej samej chwili trzej mężczyźni pożegnali się i udali do swoich pokoi. Robili wrażenie zdenerwowanych. Lewezow usłyszał tylko, że umawiają się na piętnastą, żeby razem pojechać do Pode... Pełnej nazwy nie dosłyszał. Potem zniknęli w windzie.

„Jak najlepiej postąpić w takiej sytuacji?”. Lewezow pomyślał przez chwilę. W końcu podszedł do recepcjonisty, z którym wcześniej wymienił dwa zdania. Wprawdzie wykonywał zawód detektywa dopiero od kilku lat, ale doskonale wiedział, jak najlepiej wyciąga się informacje: nigdy nie za pomocą bezpośredniego pytania, ale zawsze w formie odpowiednio przygotowanego stwierdzenia. Dlatego powiedział do recepcjonisty:

- Właśnie przyjechał tutaj doktor Fichte z Monachium. A kim właściwie są ci dwaj mężczyźni w jego towarzystwie?

- Tak, szanowny panie! - odparł recepcjonista, rzuciwszy okiem na monitor komputera. - Czy mam pana połączyć z jego pokojem?

- Nie, dziękuję! - powiedział Lewezow. - Interesują mnie jedynie nazwiska tych dwóch mężczyzn, których przed chwilą z nimi widziałem.

- Nie jestem upoważniony, żeby nazwiska naszych gości...

- Wiem - przerwał Lewezow sumiennemu recepcjoniście, wyjął z kieszeni banknot i dyskretnie przesunął go po kontuarze.

Pięćdziesiąt euro to dużo pieniędzy dla praskiego recepcjonisty, w każdym razie wystarczająco wiele, żeby zapomnieć o przepisach i dyskrecji.

- Proszę sobie na chwilkę usiąść - szepnął i wskazał głową na fotele w tylnej części holu.

Lewezow wykonał polecenie. Chwilę później pracownik hotelu zjawił się z karteczką i bez słowa mu ją wręczył.

- Jeszcze jedno! - Lewezow przytrzymał mężczyznę za rękaw.- Czy zna pan miejscowość o nazwie zaczynającej się na Pode... czy jakoś tak podobnie.

- Chodzi panu o Poděbrady!

- Właśnie, Poděbrady.

- Każde dziecko zna Poděbrady nad Łabą, jedno z naszych najsłynniejszych uzdrowisk. Miejscowość leży czterdzieści kilometrów na wschód. Szanowny pan koniecznie powinien tam pojechać!

Lewezow uprzejmie skinął głową i recepcjonista wrócił za kontuar. Wtedy Lewezow rzucił okiem na karteczkę. Były tam niezgrabnie napisane trzy nazwiska: doktor Fichte, doktor Aleksiej Prasskov, Thomas Bertram. I pod spodem:

Jeżeli to Pana interesuje, to niemal każdego wieczoru znajdzie mnie Pan od dziewiętnastej »U Zlatého Tygra«, czyli »Pod Złotym Tygrysem«, ulica Husova 17”.

Lewezow przejechał metrem trzy stacje do przystanku Wyzehrad przy swoim hotelu, wsiadł do wynajętego wcześniej samochodu i ulicą Lagerovą pojechał z powrotem na plac Waclawa, gdzie udało mu się zaparkować zaledwie kilka metrów od hotelu „Europa”. Wychylony przez kierownicę, obserwował wejście do hotelu, pod którym wciąż parkował czarny mercedes.

Tak jak się umówili, trzech mężczyźni tuż po piętnastej wyszli z hotelu: Fichte, którego Lewezow znał już z obserwacji w Monachium, Prasskov, pasujący do opisu przedstawionego przez Gropiusa, i Bertram, którego nazwisko było na liście osób oczekujących na transplantację. Prasskov prowadził samochód szeroką drogą ekspresową Wilsonova w kierunku północnym i zaraz za dworcem autobusowym Florenc skręcił w ulicę Sokolovską, długą ulicę wylotową w kierunku wschodnim. Prasskov nie po

raz pierwszy pokonywał tę drogę, Lewezowowi nie było więc łatwo za nim jechać.

Po niecałej półgodzinie jazdy autostradą, kiedy Lewezow bezskutecznie próbował się dodzwonić z komórki do Gropiusa, jadący przed nim mercedes wybrał zjazd na Poděbrady w kierunku centrum.

W porze zimowej ten wspaniały kurort, wraz ze swoimi starymi romantycznymi domami i opustoszałym parkiem zdrojowym, robił wrażenie zasnętego. Jedynie w kawiarenkach, które jak sznur pereł otaczały teren uzdrowiska, panował ruch. Zachowując bezpieczną odległość, Lewezow śledził czarnego mercedesa.

Samochód prowadzony przez Prasskova zatrzymał się przed reprezentacyjnym budynkiem, nieopodal parku zdrojowego, dokąd prowadziła willowa ulica. Cicho bucząc, otworzyła się ciężka żelazna brama, po czym samochód wjechał do środka.

Lewezow wyłączył silnik w skodzie, wziął aparat i piechotą podszedł pięćdziesiąt metrów do willi, na której teren wcześniej wjechał mercedes. Z przeciwległej strony ulicy dostrzegł tabliczkę z napisem: „Klinika zdrojowa - dr Prasskov”.

- Patrzcie go! - mruknął Lewezow pod nosem i spojrzał przez obiektyw aparatu. Budynek z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku sprawiał wrażenie zadbanego. Po obu stronach wejścia, otoczonego czterema potężnymi kolumnami z architrawem, wznosiły się skrzydła budynku z trzyczęściowymi oknami, z których tylko w jednym paliło się światło. Ogólnie klinika zdrojowa wyglądała na wymarłą, a przynajmniej nie na taką, w której przebywają jacyś pacjenci.

Ponieważ zapadał już zmierzch, Lewezow po rozpoznaniu terenu i wykonaniu licznych zdjęć postanowił wracać do Pragi.

Na autostradzie do Pragi Lewezow zastanawiał się nad treścią karteczki, którą wręczył mu recepcjonista. Zarejestrował w pamięci nazwiska trzech mężczyzn - z tym nie miał żadnych trudności. Pewne zdenerwowanie, wręcz niepokój wzbudzał w nim jednak dopisek, który recepcjonista umieścił pod nazwiskami:

Jeśli to Pana interesuje, to niemal każdego wieczoru znajdzie mnie Pan...”

Po powrocie do Pragi Lewezow udał się do zakładu fotograficznego, żeby wywołać zdjęcia. Po niecałej godzinie, podczas której chodził bez celu

po rynku Malé náměsti, z gotowymi zdjęciami wrócił do hotelu. W recepcji poprosił o kopertę, włożył do niej fotografie oraz karteczkę z nazwiskami otrzymaną w hotelu „Europa”, napisał na kopercie adres Gropiusa i poprosił portiera, żeby za suty napiwek wysłał ten list następnego dnia rano, możliwie jak najwcześniej.

Był to ostatni znak życia od Dirka Lewezowa.

ROZDZIAŁ 9

Po trzech dniach oczekiwania na wiadomość od Lewezowa Gregor Gropius się zaniepokoił. Kiedy dzwonił do niego, wybierając numer telefonu komórkowego, słyszał tylko kobiecy głos automatycznej sekretarki, który z usypiającą monotonią informował, że abonent jest chwilowo niedostępny. Robił sobie wyrzuty, że powierzył Lewezowowi tę niebezpieczną sprawę, rozważał nawet zawiadomienie policji, uprzytomnił sobie jednak własną sytuację i poniechał tego zamiaru. Wynajęty przez niego prywatny detektyw znikną z dnia na dzień - z tego powodu stałby się jeszcze bardziej podejrzany, nie przyczyniłoby się to przecież do uwolnienia go od podejrzeń.

Czwartego dnia przyszedł list z Pragi. Gropius odczytał adres nadawcy: Hotel „Corinthia Towers”, Kongresova 1, Praha 4. W kopercie było około dwudziestu fotografii i karteczka z wypisanymi nazwiskami: doktor Fichte, doktor Aleksiej Prasskov, Thomas Bertram, a pod spodem:

Jeżeli to Pana interesuje, to niemal każdego wieczoru znajdzie mnie Pan od dziewiętnastej »U Zlatého Tygra«, czyli »Pod Złotym Tygrysem«, ulica Husova 17”.

Gropius dokładnie przyjrzał się zdjęciom: Prasskov w sali przylotów, Prasskov wita się z Fichtem na lotnisku, Prasskov, Fichte i jakiś nieznajomy w trudnym do zidentyfikowania miejscu. Kim był ten trzeci mężczyzna? Kto to jest Thomas Bertram?

Fotografie ukazywały mężczyznę z lekką nadwagą, o pełnej twarzy. Wianuszek ciemnych włosów otaczał łysy czubek jego głowy. W porównaniu z Fichtem i Prasskovem sprawiał wrażenie niepewnego, niemal zartrożonego. Bertram - to nazwisko wydało się Gropiusowi znajome. Gdzie je już słyszał? Nie, nie słyszał, widział je! Było na jakiejś liście. Przypomniał sobie wydruk listy pacjentów czekających na transplantację. Lista, którą Rita (swoją drogą ciekawe jak się jej wiedzie) zdobyła dla niego. Poszukał gorączkowo kartki na biurku. Pod numerem 56 widniało imię i nazwisko pacjenta: Thomas Bertram.

Gropius kilkakrotnie powtórzył w myślach to nazwisko. „Ależ oczywiście - koncern Bertram Hochtief, potentat budowlany, filie w całych Niemczech!”. Thomas Bertram doskonale pasował do wzoru majątnego pacjenta, który za zdrowy narząd do przeszczepu jest gotów zapłacić każdą cenę.

Kolejny raz Gropius spróbował się dodzwonić do Lewezowa - znów bez skutku. Postanowił natychmiast pojechać do Pragi.

Lot samolotem czeskich linii lotniczych z Monachium do Pragi trwał godzinę i pięć minut. W Pradze Gropius odnalazł hotel „Corinthia Towers”, skąd Lewezow wysłał mu zdjęcia. Kiedy zapytał w recepcji o Lewezowa, spotkała go przykra niespodzianka. Recepcjonistka, surowa i wysoka piękność, jakby spodziewając się Gropiusa, zaprowadziła go do skromnie urządzonego gabinetu dyrektora i poprosiła o chwilę cierpliwości, po czym zniknęła.

Po kilku minutach przyszedł energiczny, gładko ogolony młody człowiek w ciemnym trzyczęściowym garniturze i przedstawił się jako Hollar - dyrektor hotelu. Mówił po niemiecku z czeskim akcentem, co mogło kojarzyć się ze Szwejkiem.

- Mogę zapytać, czy jest pan spokrewniony z panem Lewezowem? - zapytał uprzejmie, ale stanowczo.

- Nie - odpowiedział Gropius. — Dlaczego pan pyta?

- Był pan może umówiony z panem Lewezowem?

- Także nie. Lewezow nie wie, że tu jestem. On dla mnie pracuje. Nie widzę jednak powodu, żebym miał panu się tłumaczyć ze swoich prywatnych spraw. Może mi pan wreszcie powie, co ma oznaczać to przesłuchanie?

Hollar, który splótł ręce za plecami, podszedł do Gropiusa i jakby chciał mu wyjawiać tajemnicę, powiedział cicho:

- Pan Lewezow zniknął trzy dni temu bez śladu. Jego bagaż został w pokoju, a wynajęty samochód stoi w garażu. Nie wygląda na to, żeby był naciągaczem, który nie chce zapłacić rachunku za hotel.

- Czy zawiadomił pan policję?

- Jeszcze nie, panie Gropius. Pan chyba rozumie, nie wpłynie to dobrze na wizerunek hotelu, nie powinna kręcić się tutaj policja.

- Rozumiem - zgodził się profesor. - Oto moja karta kredytowa. Proszę mnie obciążyć rachunkiem Lewezowa.

- Ale dlaczego, skoro nie jesteście spokrewnieni? - Hollarowi nie spodobało się to rozwiązanie.

Gropius wziął głęboki oddech, po czym powiedział:

- Niech pan posłucha, Lewezow to prywatny detektyw i znalazł się w Pradze na moje zlecenie. Nie jest przecież niczym niezwykłym, że detektyw wyjaśniający sprawę związaną z przestępstwem znika nagle na dwa lub trzy dni.

- Teraz rozumiem! - zawołał Hollar z ulgą. - Nie muszę więc zawiadamiać policji.

- Nie! — stanowczo rzekł Gropius.

Pełen złych przeczuć jeszcze tego samego wieczoru udał się na Stare Miasto, żeby zajrzeć do gospody „Pod Żółtym Tygrysem”, lokalu wymienionego na tajemniczej kartce, którą Lewezow dołączył do zdjęć. Sytuacji nie ułatwiało mu to, że nie znał ani nazwiska, ani wyglądu autora tej notatki - może była to nawet jakaś prowokacja?

Pojechał taksówką w pobliże starego ratusza ze słynnym astronomicznym zegarem. Ostatni odcinek drogi Gropius pokonał piechotą, kierując się szczegółowymi wskazówkami uzyskanymi wcześniej od taksówkarza. O tej porze, prawie nocą, ulice praskiego Starego Miasta przypominały jedyne w swoim rodzaju kulisy teatralne - tu i ówdzie było słychać kroki i urywki rozmów prowadzonych w ciasnych uliczkach, a odległe odgłosy ulicznego ruchu brzmiały obco. Gropius, który skręcił w ulicę Husova, nie zdziwiłby się, gdyby wyszedł mu naprzeciw Golem albo doktor Caligari z niemego filmu *Gabinet doktora Caligari*.

W gospodzie „U Zlatého Tygra” podawano najlepszego pilznera w mieście - co do tego mieszkańcy Pragi i turyści byli zgodni. Z tego powodu w

lokalu często brakowało wolnych miejsc. Tego wieczoru Gropius miał szczęście. W wielkiej sali naprzeciw wejścia znalazł wolny stolik, idealny do obserwacji wchodzących i wychodzących gości. Złożył u kelnera zamówienie: *kachna se zelim a knedlikem* - kaczka z kapustą i knedlikami - oraz duży kufel piwa.

Wkrótce do gospody weszła elegancko ubrana dama w obszernym płaszczu narzuconym na kostiumik i w kozaczkach na wysokim obcasie. Rozejrzała się, szukając wolnego miejsca, i ruszyła w stronę Gropiusa. Po angielsku zapytała, czy może się dosiąść, a kiedy profesor gestem ją zaprosił, mówiła dalej już niemiecku:

- Jak się panu podoba Praga? - I nie czekając na odpowiedź: - Jest pan tutaj sam? W interesach?

- To trzy pytania naraz - uśmiechnął się Gropius i pomógł jej zdjąć płaszcz. - Moja odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi: owszem, chociaż, jak sądzę na podstawie przewodnika, który dostałem w hotelu „Corinthia Towers”, niewiele jeszcze widziałem. Na drugie pytanie odpowiem, że tak, a na trzecie, że nie. Co jeszcze chce pani wiedzieć?

Trochę zakłopotana, w każdym razie tak to miało wyglądać, piękna prażanka zakryła usta dłonią, po czym powiedziała:

- Proszę mi wybaczyć, ale już taka jestem ciekawska, szczególnie jeżeli chodzi o facetów.

Gropius uniósł brwi.

- Skąd tak dobrze zna pani niemiecki?

- Cóż, mój angielski jest lepszy niż niemiecki. Jestem nauczycielką. -

Po chwili dodała: - Byłam.

Gregor spojrzał jej prosto w oczy. Ta młoda kobieta była zdecydowanie za ładna jak na nauczycielkę. Miała niezbyt skromny makijaż, zadbane i ufarbowane włosy upięła wysoko, pewnie chciała sprawiać wrażenie wyższej, żakiet wyraźnie podkreślał też jej zgrabną figurę. Energicznym gestem, co podkreśliły jej długie, czerwone paznokcie, przywołała kelnera i złożyła zamówienie, nawet nie zajrzawszy do menu.

- Często tu pani bywa? - zagadnął Gropius. Kokieteryjnie wzruszyła ramionami i odparła:

- Tak, czasami.

- Dlaczego powiedziała pani, że była nauczycielką? Kobieta wyjęła z torebki paczkę papierosów i zapaliła jednego.

- Nie przeszkadza panu, że zapalę?

Chociaż Gropius nie znosił dymu papierosowego, a kelner przyniósł właśnie zamówione dania, pokręcił przecząco głową. W innej sytuacji zaproponowałby jej z oburzeniem, że może sobie dymić gdzie indziej, kobieta ta jednak go zainteresowała.

- Zrezygnowałam z zawodu - wróciła do zadanego pytania. Sposób, w jaki trzymała papierosa między końcami palców wskazującego i środkowego, równocześnie dotykając lekko kciukiem kącika ust, zdradzał lekkie zdenerwowanie. - Nie będę za równowartość trzystu euro stała przed przemądrzałymi dzieciakami, które i tak nie chcą się niczego nauczyć. Wolę znaleźć sobie kilka razy w tygodniu jakiegoś hojnego faceta. Świetna zabawa i poznaje się ludzi. - Jej śmiech zabrzmiał raczej gorzko. - Przy okazji: nazywam się Milena Plečnikova.

- Gregor Gropius - przedstawił się zbaraniały Gropius. Jej bezceremonialność rażąco kłóciła się z eleganckim wyglądem.

- To na wypadek, gdyby się pan nudził w Pradze - wyjęła z torebki czarną wizytówkę i podała Gropiusowi. - Od stu euro w górę - dodała chłodno tonem profesjonalistki.

„Właściwie mogłem się sam zorientować - pomyślał Gropius. - Tak atrakcyjna kobieta nie przysiadłaby się do stolika tak po prostu, żeby nawiązać rozmowę. Naprawdę szkoda. Chociaż...”.

- O czym pan myśli? - Milena przywołała go do rzeczywistości. - Zastanawia się pan, ile kosztuje cała noc ze mną, prawda?

- Nie, nie — zapewnił Gropius zmieszany. Nagle dodał: - Czy nie sprawiłoby pani kłopotu, gdybym poprosił, żeby mnie pani pocałowała? Teraz, natychmiast!

Milena z ironicznym uśmiechem spełniła prośbę. Nachyliła się nad stolikiem i musnęła ustami wargi Gregora.

- Wystarczy? - spytała po tej pokazowej wymianie czułości. - Czy zdałam test?

Gropius ujął jej twarz w obie dłonie i zerknął w bok. - Właściwie to chciałbym prosić o jeszcze jeden pocałunek... Rozbawiona zachciankami zwariowanego Niemca, Milena energicznie spełniła jego prośbę, aż Gregor musiał jej przerwać:

- Dziękuję, to wystarczy!

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Muszę coś pani wyjaśnić - zaczął Gropius zmieszany. - Właśnie oddała mi pani wielką przysługę. Do gospody weszli dwaj mężczyźni, którzy nie powinni mnie rozpoznać. Wydawało mi się, że to jedyny sposób, żeby mnie nie odkryto.

- Czyżby? - Milena zrobiła minę pełną niedowierzania. - Jeszcze nie słyszałam równie oryginalnego wytłumaczenia. Gratuluję!

- Nie, to nie to. Gdyby się pani dyskretnie obejrzała, to tamci mężczyźni za panią...

Milena ostrożnie spojrzała przez lewe ramię.

- Chodzi panu o doktora Prasskova i tego drugiego faceta?

- Pani zna Prasskova?

- Jasne - odparła Milena i obie dłonie położyła na biurku. - Made by Prasskov — zaśmiała się beztrzesko. - Uważa się go za jednego z najlepszych chirurgów plastycznych w Czechach, także jednego z najbogatszych. Mówią, że dorobił się na ciemnych interesach. Przypisuje mu się kontakty z mafią handlującą organami do przeszczepów. Jego układy na najwyższych szczeblach wymiaru sprawiedliwości są jednak tak dobre, że nigdy nie doszło do oskarżenia. Prasskov prowadzi kilka klinik w pobliżu Pragi. Oficjalnie działają one pod szyldem Kliniki Zdrojowej albo Instytutu Chirurgii Estetycznej. Co się tam naprawdę dzieje, pozostaje tajemnicą.

- A ten człowiek obok Prasskova? - Gropius dyskretnie skinął głową w stronę drugiego gościa.

- Nigdy go nie widziałam - oświadczyła Milena obojętnie.

Gdy kelner stawiał przed nią *švestkové knedliky* - czyli po prostu kneidle ze śliwkami - Gropius wyciągnął z kieszeni karteczkę, którą przysłał mu Lewezow, i przytrzymał Milenie przed nosem.

- Czy pani to napisała? - zapytał, kiedy kelner się oddalił.

- Ja? - oburzyła się Milena, a Gropius uciszył ją, kładąc palec na ustach. Żeby ją uspokoić, dodał:

- Tylko pytam. Tę notatkę przysłał mi prywatny detektyw, nazywa się Lewezow i działa tutaj na moje zlecenie. Nie bardzo wiem, co mam z tym zrobić.

- Pan jest może z policji? - głos Mileny nagle zabrzmiał lodowato i groźnie.

- Ależ skąd! - zapewnił Gropius i rozejrzał się, czy ich rozmowa nie zwróciła niczyjej uwagi. Na szczęście w zadymionym lokalu panował

ożywiony gwar i raczej nikt się ich rozmową nie zainteresował. - Zatrudniłem detektywa, bo żona mnie zdradza.

- Ach, rozumiem! - Ta odpowiedź chyba uspokoiła Milenę. - Rywal nazywa się Prasskov? Bardzo możliwe! Prasskov podobno dużo czasu spędza w Niemczech. Skoro żona pana zdradza, to czemu pan po prostu też jej nie zdradzi? Dzisiaj jest świetna okazja! - Poprawiła swoje okazałe piersi pod żakietem. - Co do ceny, na pewno się dogadamy.

Spojrzała na niego obiecująco, ale Gropius uprzejmie pokręcił głową:

- Może później. W tej chwili nie mam na to czasu. Mój prywatny detektyw zniknął kilka dni temu bez śladu. Gdyby była pani na moim miejscu, gdzie szukałaby pani Lewezowa? Ach, powinienem coś wyjaśnić. Lewezow jest... Cóż, jest homoseksualistą.

- Ach, tak! - głos Mileny znów zrobił się zimny i obojętny. - A pan? Może pan także jest ożenionym gejem, dla którego inna płeć to tylko strata czasu?

Z godnością doświadczonej kobiety lekkich obyczajów Milena wyjęła z torebki banknot, rzuciła go na stolik nonszalanckim gestem, chwyciła płaszcz i zanim Gropius zdołał zaprotestować, pożegnała go słowami:

- W takim razie życzę sukcesów, panie pedalski papierowy tygrysie!

Gropius nie zdołał nawet podnieść się z krzesła, tak był zaskoczony tym, co powiedziała ta farbowana blondyna. Musiał zresztą uważać, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Po wyjściu Mileny skupił się na obserwowaniu Prasskova i Fichtego. Sprawiali wrażenie pogrążonych w ożywionej rozmowie. Gregor, na pozór znudzony, patrzył przed siebie. Kiedy odniósł wrażenie, że zbierają się do wyjścia z lokalu „Pod Żółtym Tygrysem”, również uregulował rachunek, po czym śledził ich dalej.

Prasskov i Fichte ruszyli piechotą mrocznymi uliczkami Starego Miasta. Nie było śladu zimy, z powodu której często o tej porze roku zamiera życie. Uliczkami snuły się wątle zapachy unoszące się z mijanych przez nich knajpek, z niektórych lokali dochodziły odgłosy strzępy muzyki. Zachowując bezpieczną odległość, Gropius podążał za oboma mężczyznami.

Mniej więcej po piętnastu minutach dotarli na plac Wacława, by kilkaset metrów dalej wejść do hotelu „Europa”. Przez szklane drzwi profesor obserwował, jak Prasskov i Fichte rozmawiają z recepcjonistą. W końcu weszli do windy i zamknęły się za nimi drzwi.

Nie spuszczać oka z wejścia do hotelu, Gropius przechadzał się tam i z powrotem po przeciwległej stronie ulicy. Nie minęło nawet pół godziny, a już porządnie zmarzł, postanowił więc wrócić taksówką do swojego hotelu.

Nazajutrz obudziło Gropiusa głośnie pukanie do drzwi, aż zerwał się z łóżka. Leżący na nocnym stoliku zegarek wskazywał ósmą.

- Panie Gropius, proszę otworzyć! - usłyszał głos dyrektora hotelu.

Pośpiesznie narzucił ubranie, przyczesał ręką włosy, po czym otworzył drzwi. Za nimi stał Hollar w towarzystwie dwóch mężczyzn, których zaniedbany strój wyraźnie kontrastował z eleganckim garniturem dyrektora hotelu.

- Panowie są z policji kryminalnej - powiedział Hollar, dyskretnie wskazując ręką.

- Tak? - spytał Gropius zdziwiony.

Hollar podsunął Gropiusowi pod twarz gazetę.

- Czy zna pan tego człowieka?

„Mój Boże, tak!”. Była to napuchnięta twarz Lewezowa.

Hollar wskazał na tekst zdjęciem.

- Nieznanego topielca wyłowiono z Wełtawy! - przetłumaczył, nie co się jękać.

- Tak, oczywiście, to Lewezow! - potwierdził Gropius, po czym zwrócił się do policjantów: - Przybyłem tutaj, do Pragi, żeby skontaktować się z Lewezowem! Co się stało?

Jeden z policjantów, w tandetnej kurtce z czarnej skóry, wypchanych na kolanach sztruksowych spodniach i butach na grubej podeszwie, podał swoje nazwisko: - Mucha.

- Czy pan Gropius? - zadał pytanie staranną niemczyzną.

- Profesor Gregor Gropius! - poprawił go Gropius.

- Dobrze, profesorze Gropius. Czy patrząc na to zdjęcie, może pan potwierdzić, że jest to pan Dirk Lewezow?

- Ależ bez wątplenia. Jestem całkowicie pewien!

- Co pana łączy, a raczej łączyło, z panem Lewezowem, profesorze?

- Co to znaczy „łączyło”? Lewezow to prywatny detektyw i był w Pradze na moje zlecenie.

- Dlatego postanowił pan uregulować rachunek Lewezowa za hotel? Czyż nie jest to, cóż, że tak powiem, nieco dziwne?

- Może i tak to wygląda, gdybym jednak dokładniej opisał okoliczności, z pewnością panowie zrozumieliby moje zachowanie.

Mucha bez przekonania pokiwał głową, jakby nie było już co wyjaśniać, bo i tak Gropius jest podejrzany, po czym oświadczył:

- Chciałbym prosić, żeby pan poszedł z nami. Musi pan zidentyfikować zwłoki. Poza tym dobrze będzie, jeśli zabierze pan ze sobą niezbędne rzeczy. Tylko na wypadek, gdyby sprawa się przeciągnęła!

„Chcą cię aresztować - przemknęło Gropiusowi przez głowę. - Chcą cię zrobić w morderstwo! Chcą cię wykończyć”. Wpadł w panikę, przez moment zapragnął uciec korytarzem na schody, pokonać pędem jedenaście pięter i z holu wybiec na ulicę. Zaraz jednak uzmysłowił sobie, że ściągnąłby tylko na siebie jeszcze większe podejrzenia, zgarnął więc najpotrzebniejsze rzeczy do podręcznej torby.

Podczas jazdy wiekową skodą po sepnymi, zamglonymi ulicami do Instytutu Medycyny Sądowej nie padło ani jedno słowo. Mucha siedział obok Gropiusa na tylnym siedzeniu. Kierowca jechał wolno, nie spieszył się wcale, co profesora doprowadzało niemal do rozpaczy. Był poirytowany, nerwowy, chciał to wszystko mieć już za sobą, samochód włókł się jednak ostentacyjnie od skrzyżowania do skrzyżowania, zatrzymując się na wszystkich światłach.

Wreszcie samochód przystanął pod potężnym starym gmachem, budzącym w przechodniach respekt. Gropius tylko z filmów znał sceny identyfikacji zwłok - zazwyczaj robią to krewni w jakiejś ostro oświetlonej suterenie. Nagle prawie uwierzył, że to film. Poczucie rzeczywistości powróciło dopiero wtedy, gdy ponury, łysy i pozbawiony rzęs, mniej więcej pięćdziesięcioletni patolog ściągnął pomięte prześcieradło ze zwłok leżących na jednym z trzech stołów sekcyjnych pośrodku wykafelkowanej sali. Ukazało się ciało Lewezowa.

- Tak, to jest Dirk Lewezow - oświadczył Gropius bez oznak zdenerwowania.

- Proszę ze mną! — Mucha chwycił Gregora pod ramię i wyprowadził z pomieszczenia.

Z Instytutu Medycyny Sądowej zabrano Gropiusa do komendy policji, budynku o setkach drzwi, kilometrowych korytarzach pachnących dziewnym wiekiem. W ponurym pomieszczeniu na trzecim piętrze

Mucha zaproponował profesorowi krzesło, a sam usiadł za biurkiem, które było już pewnie świadkiem wielu przesłuchań. Oparł głowę na dłoni i z miną zdradzającą, że przychodzi do pracy jedynie powodowany poczuciem obowiązku, odsunął na bok kilka skoroszytów i bez słowa zagłębił się w lekturze jakiegoś dokumentu. Krzywił się przy tym z obrzydzeniem jakby nie chciał mieć z tą sprawą nic wspólnego. W końcu podniósł wzrok i powiedział:

- Głupia sprawa, wie pan?

Gropius skinął głową i zadał pytanie:

- Czy może ma pan chociaż jakieś podejrzenia, jak to się mogło stać? Czy Lewezow był pijany? Miał alkohol we krwi?

Mucha wstał, zdjął skórzaną kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Usiadł i niewiele myśląc, podał Gropiusowi protokół z sekcji.

- Śmierć nastąpiła wskutek jednego, jedyne uderzenia wymierzonego w kark, przypuszczalnie jakimś specjalnym narzędziem, które prze-rwało rdzeń kręgowy. Nie było krwi, nic. Następnie wrzucono trupa do Wełtawy. Żadnych poszlak na temat miejsca czy przebiegu zdarzenia. Czysta, profesjonalna robota.

Gropiusa przeszedł dreszcz, gdy usłyszał obojętny ton komisarza. W pewnym sensie on sam czuł się winny śmierci Lewezowa. Ostatecznie to on wysłał go do Pragi. „Dlaczego ten Mucha nie interesuje się zadaniem, które zleciłem Lewezowowi?” - przemknęło mu przez myśl. Gropiusa nie zdziwiłoby nawet, gdyby Mucha właśnie jego oskarżył o morderstwo, policjant jednak tego nie zrobił. Zamiast tego zadał pytanie:

- Właściwie to w jakiej dziedzinie jest pan profesorem, panie Gropius?

- Jestem lekarzem w monachijskiej klinice - odparł Gropius.

Mucha spojrzął przez okno, jakby przesłuchiwany nie powiedział nic nowego. Bardziej z uprzejmości stwierdził:

- No, no, jest pan lekarzem! Od jak dawna przebywa pan w Pradze, profesorze?

- Od wczorajszego południa. Oto mój bilet lotniczy! - Gropius wy-dobył bilet z wewnętrznej kieszeni marynarki i podetknął komisarzowi pod nos.

- Jak długo zamierza pan pozostać?

- Mam zarezerwowany bilet na lot powrotny na jutro. Gdyby jednak okoliczności tego wymagały, to oczywiście jestem gotów zostać dłużej.

Mucha ze zrozumieniem pokiwał głową i milczał. Po dłuższej chwili powiedział:

- Sądzę, że nie będzie to konieczne, profesorze. Przeciwnie, niech pan postara się wrócić do domu. Dziękuję panu.

- Czy to znaczy...

- Może pan iść, panie Gropius. Proszę wybaczyć: profesorze Gropius!

Gregor był zupełnie skołowany. Liczył się już z najgorszym, z oskarżeniami, a nic takiego go nie spotkało! Szybko wstał, wziął torbę, którą postawił przy biurku, mruknął krótkie pożegnanie i pośpiesznym krokiem wyszedł z budynku.

Idąc do hotelu „Corinthia Towers”, przeżywał prawdziwą udrękę. Myśli kotłowały mu się w głowie. Jest w Pradze od dwudziestu czterech godzin, a znów się wydaje, że wszystko się przeciw niemu sprzysięgło! Próbował sobie wmawiać, że takie myślenie jest śmieszne, po prostu stał się kłębkim nerwów. Być może Lewezow zginął w jakimś okropnym wypadku. Natychmiast jednak naszły go wątpliwości. „Dlaczego Mucha nawet nie wspomniał o zleceniu Lewezowa? - zadawał sobie pytanie Gropius. - Dlaczego specjalnie starał się sprawiać wrażenie obojętnego, skoro prowadzi śledztwo mające wyjaśnić śmierć Lewezowa? Czyż nie wyrażał się o postępowaniu mordercy niemal z uznaniem?”

Po powrocie do hotelu Gropius odnalazł w kieszeni marynarki czarną wizytówkę, którą Milena wetknęła mu poprzedniego dnia. Chociaż nie potraktował jej zbyt uprzejmie, była jedyną osobą, która być może mogła mu pomóc. Znała Prasskova i wiedziała o jego ciemnych interesach. Nie spodziewał się, że prostytutka dobrze zareaguje, mimo to zadzwonił do niej.

- Mówi pedalski papierowy tygrys! - przedstawił się do słuchawki.

Na drugim końcu linii rozległ się wesoły śmiech.

- Musi mi pan wybaczyć, nie byłam wczoraj w szczególnie dobrym nastroju. Interesy idą marnie. Konkurencja jest duża z powodu tanich dzieł z Rosji. Kiedy już raz spotka się gościa z klasą i nic z tego nie wychodzi, to się człowiek denerwuje.

- Przeprosiny przyjęte! - powiedział Gropius. - Chciałbym się z panią znów zobaczyć.

- Och! Jesteś może z tych nieśmiałych, co to nad wszystkim muszą się dwa razy zastanowić? Zresztą nieważne. To kiedy?

- Natychmiast!
- Hej! Nie mam nic przeciwko temu. Jak myślisz, jak długo będziemy dziś razem?

- Całe popołudnie.
- W porządku! Pięćset. Popołudnie i cała noc, papierowy tygrysie!
- Zgoda. Ma pani samochód?

Najpierw zapadła cisza, po czym Milena odparła:

- A, rozumiem, chcesz to robić w wozie! Ma to pewien urok.
- Spotkajmy się zatem za pół godziny w holu hotelu „Corinthia Towers.

- Będę punktualnie! - zapowiedziała, zabawnie wymawiając niemieckie samogłoski. Gropius nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

Milena przyszła do hotelu „Corinthia Towers” ubrana w szeroki, zwiewny płaszcz ze sztucznego futerka, a jej rozpuszczone włosy przytrzymywała opaska. Nic, ale to nic w jej wyglądzie nie zdradzało czym się tak naprawdę zajmuje. Gropiusowi było to bardzo na rękę.

Z wielkim trudem udało mu się przekonać Milenę, że nie zamierza uprawiać z nią seksu. Na początku mina jej zrzędała i Gropius już obawiał się wybuchu złości podobnego do wczorajszego, kiedy jednak wyjął z kieszeni pięć zielonych banknotów po sto euro każdy, złożyła je na pół i dyskretnie schowała do kieszeni płaszcza. Na jej ślicznej twarzy pojawił się uśmiech i powiedziała z ulgą:

- Jeśli o mnie chodzi, papierowy tygrysie, skoro samo patrzeć na mnie jest dla ciebie warte pięć stów, wcale mi to nie przeszkadza.

- O tym nie ma mowy - odparł ze śmiechem Gropius. - Chwileczkę - dodał, przyglądając się jej efektownemu biustowi. - Chodzi mi o Prasskova. Mówiła pani, że miała już z nim do czynienia i zna jego kliniki.

- Wiem co najmniej o dwóch, jedna jest na północ, w miejscowości Mladá Boleslav, druga w Poděbradach na wschód od Pragi. Na pewno nie jest pan gliną?

- Nie, nie jestem gliną! - zapewnił Gropius. - Interesuje mnie tylko działalność doktora Prasskova.

Milena długo patrzyła na Gregora.

- Aha, teraz już rozumiem, pan wcale nie kazał śledzić żony - odezwała się po dłuższym milczeniu. - Potrzebuje pan nowego... Jak to się mówi?

- Narządu?
- Tak, serca, wątroby, nerki, czegoś, co jest we wnętrzu człowieka. Nie wiedziałam! W każdym razie to jest bardzo kosztowne! Jak ja mogę panu pomóc?
- Chciałbym się bliżej przyjrzeć klinikom doktora Prasskova.
- Jeżeli to wszystko...
- Na razie tak.
- Rzeczywiście żadnego seksu?
- Na razie żadnego.
- Dobrze, to dokąd najpierw jedziemy?
- Gdzie jest ładniej?
- Oczywiście w Poděbradach. To uzdrowisko. W Mlada Boleslav jest tylko fabryka Skody, stare domy i smród.
- To jedziemy do Poděbradów.

Mała sportowa toyota nie była zbyt wygodna, ale niezwykle szybka, a Milena gnała nią po autostradzie z wyraźną przyjemnością.

- Czy to aby bezpieczne? - odezwał się Gropius ostrożnie, kiedy wskazówka prędkościomierza zatańczyła w okolicy stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. - Chodzi mi o ograniczenie prędkości.

- Co tam - machnęła ręką Milena. - W tym kraju każdego można przekupić. Za kilka dolarów czy euro każdy policjant przymknie oko, a nawet oba.

Gregor milczał. Zastanawiał się nad śmiercią Lewezowa. Wszystkie dotychczasowe wydarzenia związane z mafią udało mu się co prawda ułożyć w pewną całość, czy Lewezow nie był jednak zbyt mało znaczącą postacią, żeby go tak szybko i bezlitośnie usuwać z drogi? Profesor oczywiście nie wiedział, co detektyw odkrył w ciągu tych ostatnich dni. „Być może Lewezow tak deptał mafii po piętach, że sam na siebie wydał wyrok” - pomyślał.

Gropiusa ogarnął niepokój, nagle uświadomił sobie, że sam podąża równie niebezpieczną drogą.

- Ile miesięcy życia ci zostało? - odezwała się Milena, przerywając milczenie, które towarzyszyło im już pewnie od dwudziestu kilometrów. Pytanie trafiło Gropiusa jak obuchem w łeb.

- Przepraszam, o co pytałaś? - wybełkotał.

Milena zacisnęła usta, po czym powiedziała:

- Przepraszam. Takich pytań nie wolno zadawać.

Gropius milczał.

- Pytam dlatego, że narząd jest tym droższy, im pilniej potrzebny - podjęła temat Milena.

- Skąd wiesz? - Ta informacja go zaskoczyła.

- Dobrze więc - Milena zwolniła nieco i oświadczyła: - Wydajesz się sympatyczny, papierowy tygrysie. Powiem ci prawdę. Musisz jednak przysiąc, że nikomu nie powiesz, że wiesz to ode mnie. Znam Prasskova dość dobrze i wiem, co się dzieje w jego klinikach.

Zainteresowany dalszym rozwojem sytuacji Gropius spojrział z ukosa na Milenę:

- Ode mnie nikt się niczego nie dowie. Przysięgam.

Milena nieruchomo wpatrywała się w autostradę przed sobą, po czym zaczęła opowiadać, najpierw zacinając się, w końcu coraz szybciej:

- Byłam kochanką Prasskova. Nie, żebym go kochała, w ogóle nie był w moim typie. Pragnął nietypowego seksu i hojnie płacił. Po pół roku zaczął kaprysić. To mu nie pasowało, tamto mu nie pasowało... Usta miałam, jego zdaniem, za wąskie, piersi zbyt obwisłe, pupę za grubą. Powiedział: „Zrobię z ciebie piękność”. Rezultaty widać. Śmieszne w całej sytuacji jest tylko to, że kiedy już byłam gotowa, kiedy usta miałam pełne, piersi bujne i zgrabną pupę, Prasskov przestał mnie pragnąć. Z dnia na dzień. Rozumiesz, że go nienawidzę?

- Tak, potrafię to zrozumieć. Ale co wiesz o Prasskowie?

Milena zrobiła głęboki wdech, jakby przed odpowiedzią musiała wziąć rozbieg:

- Prasskov to dobry chirurg plastyczny. Ale to tylko jedna strona medalu. Jest również szefem mafii handlującej narządami, prowadzi kilka klinik z najnowocześniejszym wyposażeniem i opłaca całe zespoły chirurgów specjalizujących się w przeszczepach, przeważnie Niemców.

- Jak zdobywa narządy? - Gropius niespokojnie wiercił się na swoim siedzeniu.

- Z Pragi jest niedaleko do Polski i Rosji. Codziennie giną tam na drogach setki ludzi i nikt nie pyta, czy zmarły na pogrzebie ma jeszcze serce albo wątrobę.

- Krewni w ogóle więc nie wiedzą, że...

Milena bez słowa pokręciła przecząco głową.

- Lekarze pogotowia, lekarze w klinikach... Wszyscy są opłacani przez Prasskova. Wszyscy są w zмовie.

Kiedy Milena zajęchała z autostrady i ruszyła w kierunku centrum Po-dębradów, Gropius zapytał:

- Ile żąda Prasskov za transplantację jednego narządu?

- Różnie. Co najmniej sto tysięcy euro. Jeśli sprawa jest pilna, wtedy kosztuje to kilkakrotnie więcej. Podobno nawet manipuluje się przy samochodach, co powoduje wypadki, dzięki czemu pozyskuje on organy od nieświadomych dawców.

- Słyszałem już o tym.

- To prawda, taka sama jak to, że nazywam się Milena Plecnikova. Ale obiecałeś milczeć! - Z poważną miną położyła palec na ustach, a Gropius powiedział:

- Słowo honoru.

Niebo się zachmurzyło i nawet promyk słońca nie przebił mlecznej mgły, kiedy Milena skręciła w ulicę w pobliżu parku zdrojowego, gdzie znajdowała się Klinika Zdrojowa Prasskova. Milena wolała zaparkować w pewnej odległości od budynku.

- Nie chcę być widziana, w razie gdyby Prasskov był obecny - wyjaśniła.

Parkowe tereny otaczające willę były jasno oświetlone, podobnie jak sam budynek. Z naprzeciwka nadjeżdżała ciemna limuzyna i Milena wciągnęła Gropiusa za pień jednego z sękatych drzew rosnących przy ulicy. Przez chwilę stali objęci i Gropius uznał to za całkiem przyjemne przeżycie. Chciał jednak rzucić okiem na czarny samochód, więc wydobył się z jej objęć i pod osłoną drzewa obserwował wjazd do kliniki. Wóz zatrzymał się na krótko, po czym ciężka żelazna brama sama się otworzyła. Gropius dojrzał Prasskova i Fichtego siedzących z przodu. Mężczyznę siedzącego z tyłu znał już z gazet: był to potentat budowlany Thomas Bertram.

Nagle wszystkie niepowiązane szczegóły, które odkrył w ciągu minionych tygodni, połączyły się w jedną logiczną całość.

- Fichte, ta świnią! - syknął Gropius przez zęby. Kiedy brama zamknęła się za wjeżdżającym samochodem, Gropius i Milena wyszli z kryjówki za drzewem.

- Mogłem się domyślać! - złościł się Gropius. Wreszcie miał dowód: Fichte zrezygnował z pracy, ponieważ obawiał się, że jego działalność poza kliniką uniwersytecką prędzej czy później zostanie wykryta. Zabójcza inscenizacja śmierci Schlesingera była skonstruowana prosto, a jednak subtelnie pod względem psychologicznym. Fichte znał Gropiusa bardzo dobrze i wiedział, że niełatwo będzie mu zaakceptować śmierć pacjenta po transplantacji, że zrobi wszystko, żeby ustalić przyczynę. Zamach musiał być zatem ujawniony, sprawca zaś - nie. Nikt poza Fichtem nie mógł skazić organu do transplantacji śmiertelnościami zastrzykiem. Nikt też nie miał tak wielu możliwości, żeby zatrzeć po sobie wszystkie ślady albo w ogóle nie zostawiać żadnych śladów! Jak się okazało, plan działał. Przy najmniej do dzisiaj.

- Hej, papierowy tygrysie! - Milena wzięła Gropiusa pod rękę i pociągnęła w kierunku samochodu. - Wszystko w porządku? - spytała zaniepokojona, kiedy szli obok siebie. - Powoli zaczynasz mnie martwić.

- Bzdura! - odparował Gropius i próbował się uśmiechnąć. - Po prostu za wiele spraw chodzi mi po głowie. Musisz to zrozumieć.

- W porządku, papierowy tygrysie. Postaram się. Czy pojedziemy teraz do Mladá Boleslav, do kolejnej kliniki Prasskova?

Gropius przecząco pokręcił głową.

- Nie, chciałbym wrócić do hotelu. Dość już widziałem.

Zerknął za siebie na jasno oświetlony budynek i powiedział:

- Chodź!

ROZDZIAŁ 10

Kiedy następnego dnia Gregor Gropius wylądował na lotnisku w Monachium, czekano już na niego.

- Ach, profesorze! Pan znów w kraju? - złośliwie przywitał go Wolf Ingram, szef specjalnej komisji do sprawy zabójstwa Schlesingera. - Jak było w Pradze? Krótki urlop?

Gropius ze zdumieniem popatrzył na tego człowieka o krótko przystrzyżonych ciemnych włosach.

- Skąd pan wie?

- Mój Boże! - Ingram zrobił zmęczoną minę. - Przecież ma pan swój pomysłuńek, profesorze, i nie powinien pan uważać policji za głupszą niż jest w rzeczywistości.

- Przepraszam, panie Ingram, nie miałem takiego zamiaru. Mój wyjazd do Pragi miał tylko jeden cel, mianowicie postanowiłem zrobić coś, żeby się zrehabilitować jako lekarz, i sądzę, że nawet trochę mi się to udało.

- Interesujące - zauważył Ingram, tym razem już nie tyle złośliwie, ile z pewną wyższością. - Musi mi pan dokładniej to wyjaśnić. Zechce mi pan towarzyszyć na komendę?

- Czy to znaczy, że jestem aresztowany? - spytał Gropius oburzony.

- W żadnym razie - odparł obojętnie Ingram. - Jak pan powiedział, ma pan jakieś rozsądne wyjaśnienie swojego pobytu w Pradze.

Gropius przytaknął i razem podeszli do samochodu Ingrama, stojącego na zakazie postoju.

Było późne przedpołudnie, szybko i bez korków dotarli więc głównymi ulicami do celu.

- Naprawdę pan sądził, że w ramach naszego dochodzenia zupełnie przestaniemy się panem zajmować? - odezwał się Ingram, kiedy wreszcie usiedli w jego pokoju po obu stronach biurka.

Myśli Gropiusa niezmiennie krążyły wokół śmierci Lewezowa. Czy Ingram o niej wiedział? A jeśli wiedział, to czy znał bliżej okoliczności? I czy on, Gropius, w jakikolwiek sposób podlega karze, skoro nie zawiadomił policji i być może dlatego nastąpiło morderstwo? Postanowił podejść do sprawy ostrożnie.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale do wyjaśnienia śmierci Schlesingera wynająłem prywatnego detektywa, który bardzo poważnie zbliżył się do rozwiązania sprawy.

- Tylko, niestety, teraz sam nie żyje.

- Już pan wie?

- Jak już mówiłem, błędem jest uważać policję za głupią i leniwą. Pewnie, nasze młyny miały czasem trochę powoli, ale za to solidniej.

- Daleki jestem od tego, żeby krytykować wasze działania.

Ingram spojrzał nieufnie na Gropiusa, po chwili zaś zaczął bębnić palcami po biurku. Po czym zapytał:

- A zatem wysłał pan tego prywatnego detektywa do Pragi, żeby w pańskim imieniu się rozejrzał? Czy może mi pan wyjaśnić, dlaczego trzy dni później pan sam też tam poleciał?

- Nie miałem od niego żadnych wiadomości i martwiłem się. Czy tak trudno to pojąć?

Ingram w milczeniu kiwał głową.

- A kiedy dotarł pan do hotelu, najpierw uregulował pan rachunek, jakby pan wiedział, że ten prywatny detektyw już tego nie zrobi.

- Ależ to nonsens! - wybuchnął Gropius. - Lewezow był w podróży na moje zlecenie. Prędzej czy później i tak bym zapłacił rachunek za hotel. Zresztą wykonał kawał dobrej roboty - Gropius wyciągnął z torby fotografie i położył na biurku przed Ingramem. - Na wypadek, gdyby ci panowie byli panu nieznani: to jest lekarz naczelny z kliniki, doktor Fichte, na lotnisku po przylocie do Pragi. Człowiek, który mu towarzyszy, nazywa się

Thomas Bertram. A z lotniska odbiera ich doktor Aleksiej Prasskov. Celem tych trzech mężczyzn była prywatna klinika w jednej z miejscowości uzdrowskowych w pobliżu Pragi.

Ingram oglądał jedno zdjęcie za drugim i kiwał z uznaniem głową.

- Dobra robota. Naprawdę. I czego chce pan tymi zdjęciami dowieść, profesorze?

Gropius nie umiał ukryć zdenerwowania. Wyjął z torby złożony arkusz papieru i podsunął Ingramowi pod nos:

- To jest lista Eurotransplantu. Zawiera nazwiska pacjentów, którzy pilnie potrzebują nowego narządu. A teraz proszę zwrócić uwagę na pozycję numer pięćdziesiąt sześć!

Ingram przeczytał:

- Thomas Bertram.

- Ten sam Bertram, który z Fichtem poleciał do Pragi! - Gropius trzymał w powietrzu zdjęcie jak kartę atutową. - Przypadek? Nie! Na własne oczy widziałem, jak Fichte, Prasskov i Bertram wchodzili do prywatnej kliniki w miejscowości Poděbrady.

- Kiedy to było?

- Wczoraj!

- I jest pan najzupełniej pewien, że ten człowiek to Thomas Bertram?

- Co to znaczy „pewien”? Nie znam Bertrama osobiście, ale jego podobizny wypełniają od lat plotkarskie rubryki w gazetach. Dlaczego pan pyta, komisarzu?

- Bertram nie żyje. Zmarł wczoraj w pobliżu Pragi na atak serca.

- Skąd pan to może wiedzieć?

Po twarzy Ingrama przemknął uśmiech.

- Od Interpolu w Wiesbaden. To, co mi pan właśnie opowiedział i zilustrował zdjęciami, nie jest dla mnie niczym nowym, profesorze. Może to pana zdziwi, ale Prasskova i Fichtego od dłuższego czasu mamy pod obserwacją, również za granicą. Prasskov jest jednym z szefów mafii handlującej narządami, a lekarz naczelny z pańskiej kliniki, doktor Fichte, pracuje dla niego, pobierając za swoje usługi honorarium. Honoraria, jakie otrzymuje za przeprowadzone operacje, są ogromne. A może, pańskim zdaniem, nie zwróciliśmy uwagi na to, że Fichte ma apartament w Monte Carlo i własny samolot, a ponadto prowadzi kosztowne życie

playboya? Myślę, profesorze, że powinien pan zrewidować swoją opinię na temat policji.

Ingram gwałtownie wstał zza biurka i zaczął zamasyżować chodząc tam i z powrotem.

- Obrzydliwe w naszej robocie jest to - syknął, nie patrząc na Gropiusa - że większość uważa nas za ograniczonych i naiwnych, jeśli nie schwytamy mordercy w ciągu trzech dni od zbrodni. Teraz przekonał się pan na własnej skórze, ile się trzeba namęczyć i ile żmudnej pracy wymaga wyjaśnienie jednej sprawy. Przy tym w pańskiej sprawie jesteśmy tak samo dalecy od rozwiązania, jak byliśmy na początku.

- Słucham? - Gropius rzucił Ingramowi wściekle spojrzenie. - Co pan przez to rozumie, komisarzu? Dla mnie nie podlega kwestii, że to Fichte ma na sumieniu Schlesingera. Chciał mnie wyeliminować, żeby dostać moje stanowisko. Równocześnie przy minimalnym ryzyku prowadził swoje ciemne interesy. I jak widać, udało mu się to. Przeliczył się tylko co do jednego, sądził, że się poddam bez walki.

- To pańska hipoteza, profesorze. Nie ma pan żadnego dowodu na poparcie swojej teorii, która zresztą, za pozwoleniem, jest trochę naciągana. Gdyby pański lekarz naczelny rzeczywiście chciał pana wyeliminować raz na zawsze, byłoby znacznie prościej doprowadzić pacjenta do śmierci w taki sposób, żeby wyglądała naprawdę na błąd w sztuce. Po co więc ten cały kłopot ze skażonym narzędziem? Przecież to od razu wskazuje na jakieś przestępcze machinacje. A sam pan mówił, że Fichte chciał pracować bez przeszkód.

- Przyznaję. Ale jeśli pan nie dostarczy dowodu i nie posunie tego śledztwa do przodu, to będę zmuszony prowadzić dochodzenie na własną rękę, żeby w końcu wrócić do normalnego życia.

- Wolno to panu, profesorze, o ile będzie się pan poruszał w granicach prawa. Ale jeśli chce pan usłyszeć moje zdanie, niech pan lepiej nam zostawi tę sprawę. Miał pan chyba okazję się przekonać, że z tymi ludźmi nie ma żartów. Bez wątplenia doktor Fichte jest na mafijnej liście płac, brak nam jednak jakiegokolwiek dowodu, że jest odpowiedzialny także za śmierć Schlesingera.

Gropius się zamyślił.

- Powiedział pan, że Thomas Bertram zmarł na atak serca?

- Taka jest oficjalna przyczyna śmierci, przynajmniej według informacji naszych kolegów z Interpolu.

- Moim zdaniem coś poszło nie tak podczas transplantacji. Bertram zmarł w trakcie lub po operacji. Należy zrobić sekcję zwłok.
- Na to jest potrzebna zgoda rodziny!
- Oni się nie zgodzą, wiedzą przecież, że operacja była nielegalna.
- W takim razie musimy zawiadomić prokuratora! O ile znam prokuratora Rennera, z pewnością zarządzi sekcję. Nie przeoczy żadnej okazji, żeby się czymś wykazać.

Przez następne dni Gropiusa nie opuszczało poczucie bezradności. Wciąż rozmyślał nad wydarzeniami, jakich stał się mimowolnym uczestnikiem. Rzekomy atut, którym jak sądził, była dekonspiracja Fichtego, wprawdzie wprowadził trochę światła w mroki tej sprawy, nie przyniósł jednak rozwiązania. Wciąż było zbyt dużo niejasności.

Rozważając wątek doktora Fichtego, Gropius zupełnie przestał myśleć o tropach, które zaprowadziły go do Turynu, a także o własnym porwaniu i tajemniczej śmierci profesora de Luki.

Jeśli zaś chodzi o Felicię, to odkrycie miłosnego listu do Schlesingera miało taki skutek, że przepęlniała ją prawdziwa nienawiść do zmarłego męża. W mieszaninie urażonej godności i złości na własną głupotę, znieważała go przy każdej okazji, nazywała dziwką, a czasem jeszcze gorzej, twierdziła także, że już nie interesuje jej wyjaśnienie okoliczności śmierci Arna.

W tej sprawie Gropius nawet się z nią pokłócił, ponieważ odmówił zaprzestania poszukiwań. Złościło go, że Felicia wykazuje tak mało zrozumienia dla jego sytuacji. Ostatecznie swoje dobre imię mógł odzyskać jedynie przez pełne wyjaśnienie zbrodni. Do tego było jednak jeszcze daleko, co pokazał już następny dzień.

Następnego ranka pod drzwiami Gropiusa bez zapowiedzi i mocno zdenerwowany pojawił się reporter Daniel Breddin. Przywitał się krótko i od razu przeszedł do rzeczy.

- Co może pan powiedzieć na temat ostatnich wydarzeń? Chodzi o sprawę Schlesingera. - Popatrzył wyczekująco na Gropiusa.

Ten, jeszcze w szlafroku i nieogolony, najpierw burknął coś o natrętym najściu wcześniej rano, po chwili jednak górę wzięła ciekawość i świadomość, że byłoby rzeczą niemądrą psuć układy z dziennikarzem dużej gazety. Zaprosił Breddina do środka.

- Fichte! - zaczął Breddin wzburzony. - Fichte się wymknął. Odleciał własnym samolotem. Rozesłano za nim europejski list gończy. Prokurator Renner przygotował akt oskarżenia. Co pan na to, profesorze?

Gropius potrzebował kilku sekund, żeby ogarnąć te nowiny. W głowie mieszały mu się złość, rozpacz i pewność.

- Właściwie nie jestem zaskoczony - odpowiedział. - W końcu w pewnym stopniu sam się przyczyniłem do zdemaskowania Fichtego.

- Czy pan już wcześniej wiedział, że Fichte był zamieszany w machinacje mafii handlującej narządami?

- Rzeczywiście, pewne przecucie miałem już od dawna. Brakowało mi tylko dowodu.

- Czy doktor Fichte w ogóle był w stanie prowadzić operacje przeszczepów zgodnie ze sztuką lekarską?

- Bez wątpienia tak. Wielokrotnie mi asystował i kilka operacji przeprowadził samodzielnie. Fichte jest niezłym chirurgiem transplantacyjnym. Przypuszczam, że to także był powód, dla którego Prasskov i mafia zwrócili się właśnie do niego.

- A kiedy po raz pierwszy nabrał pan podejrzeń, że z Fichtem coś jest nie tak?

Gropius zmieszany popatrzył w podłogę.

- Niestety, o wiele za późno. Po prostu mu ufałem, w każdym razie aż do tajemniczej śmierci Schlesingera.

- Czy to oznacza, że nadal uważa pan doktora Fichtego za zabójcę Schlesingera?

- A pan może nie? - Gropius zrobił zdziwioną minę. - O czym my właściwie przez cały czas rozmawiamy?

Breddin z zakłopotaniem potarł nos.

- To są dwie zupełnie różne sprawy: zamordowanie Schlesingera i związki Fichtego z mafią handlującą narządami.

- Słucham? - Gropius był wyraźnie zdezorientowany. - Fichte miał oczywisty motyw zbrodni. Przy tym chodziło mu nie tyle o Schlesingera, ile o mnie. To ja byłem tym, który przeszkadzał mu w ciemnych interesach!

- Profesorze, brzmi to zupełnie przekonująco, ale najnowsze odkrycia w sprawie świadczą, niestety, o czymś innym.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi. Może mógłby pan wyrażać się jaśniej, panie Breddin!

- Prokurator Renner podał dzisiaj do publicznej wiadomości wyniki sekcji Thomasa Bertrama - odparł spokojnie Breddin. - Bertram zmarł po przeszczepie wątroby. A przyczyna śmierci była ta sama, co w wypadku Schlesingera. Narząd był skażony zastrzykiem ze środkiem owadobójczym o nazwie chlorfenwinfos.

Gropius aż podskoczył na fotelu. Zamurowało go. Cicho, niemal bezgłośnie wyjąkał:

- To by przecież znaczyło...

- Tak czy inaczej jest mało prawdopodobne i raczej absurdalne, żeby Fichte najpierw mordował pańskiego pacjenta, a później własnego, i w obu wypadkach działał w taki sam sposób i za pomocą tej samej trucizny. Co pan teraz powie, profesorze?

Gropius kręcił głową, jakby nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co właśnie usłyszał. Potem ukrył twarz w dłoniach. Znowu, tuż przed spodziewanym rozwiązaniem, sprawy przybrały nowy obrót i ponownie znalazł się w ślepych zaułku.

Kolejny e-mail z nieznanym skrótem „IND” uruchomił tryby Federalnej Służby Wywiadowczej w Pullach. Jak większość spraw, które z określonych przyczyn wzbudzają zainteresowanie służb specjalnych, poszukiwanie rozwiązania tajemniczego kodu „IND” utknęło w martwym punkcie. Tego ranka jednak Heinrich Meyer, szef Wydziału Drugiego, SIGINT, pojawił się na porannym zebraniu w towarzystwie Wolfa Ingrama. W dłoni trzymał wydruk z komputera, ze złością pomachał nim w powietrzu, po czym rzucił kartkę na stół konferencyjny stojący pośrodku pomieszczenia i zawołał:

- Miałem nadzieję, że sprawa w odpowiednim czasie sama się rozwiąże i pójdzie w zapomnienie. Teraz żarty zaczynają się od nowa. „Zadanie wykonane. IND”. Niech mi nikt nie mówi, że ta wiadomość nie ma tła kryminalnego. Peters, twoja kolej!

Ulf Peters, szef Wydziału Piątego, Wydziału do spraw Rozpoznania Operacyjnego, jak zwykle w czarnej skórzanej kurtce, skrzywił się, co robił zawsze, kiedy czuł się niezręcznie. Tego ranka czuł się szczególnie niezręcznie. Nie znosił, kiedy Meyer, choć dwadzieścia lat starszy, upominał go przy całym zespole. Przeważnie reagował na to wybuchem złości, dziś jednak dość spokojnie wyjaśnił:

- Nie muszę chyba dowodzić, że w tej sprawie problem jest szczególnie skomplikowany. Mamy tutaj do czynienia z równaniem z trzema niewiadomymi. Po pierwsze, jest ten przeklęty kod „IND”, co do którego nie ma żadnej wskazówki, chociaż przyznaję, że pachnie mi to organizacją terrorystyczną, poza tym istnieje jakiś nieznaną nadawca i nieznaną odbiorca. Doprawdy znam łatwiejsze zadania.

Meyer spojrział z niesmakiem.

- Czyli wynik negatywny?

- Negatywny - burknął Peters.- Przynajmniej dla Wydziału do spraw Rozpoznania Operacyjnego.

- W takim razie posłuchajmy, co ma do przekazania Wolf Ingram, szef specjalnej komisji do sprawy zabójstwa Schlesingera - Meyer uprzejmie skinął na Ingrama.

Ingram odchrząknął i zaczął:

- Panowie! Jak doskonale wiecie, pierwszy e-mail z zagadkowym podpisem „IND” wysłano z komórki na serwer kliniki, co nasuwało podejrzenie, że być może ma to jakiś związek z morderstwem ujawnionym tam w tym samym czasie. Drugi e-mail wysłano z serwera w klinice na nieznaną komórkę podłączoną do Internetu, prawdopodobnie na morzu. I to bezpośrednio po ataku bombowym na żonę Schlesingera, względnie na profesora Gropiusa. Znane są bliższe szczegóły. Nasze dochodzenie ujawniło, że lekarz naczelny w klinice, nazwiskiem Fichte, jest powiązany z międzynarodową mafią handlującą narządami, która w okolicy Pragi prowadzi kilka nielegalnych klinik. Po kolejnym morderstwie w mafijnym półświatku, zresztą morderstwie o tych samych znamionach co zabójstwo Schlesingera, Fichte wyjechał do Monte Carlo. Ten ostatni e-mail można więc chyba powiązać ze śmiercią Bertrama, jako meldunek o wykonaniu zadania. Wszystko to jednak nie składa się w logiczną całość. Przecież Fichte nie zabijałby własnego pacjenta! Stąd wnioskujemy...

- ...że Schlesinger i Bertram nie są ofiarami tego samego mordercy! - uniósł brwi Meyer.

Ingram kontynuował:

- A to z kolei oznacza, że mamy do czynienia z dwiema różnymi sprawami.

Meyer z uznaniem pokiwał głową. Zwrócił się do Ingrama z pytaniem:

- A ten prywatny detektyw? Jak mu było?

- Lewezow!
- Lewezow zginął przecież podczas śledzenia Fichtego. Jak pan powiąże z naszym śledztwem tę sprawę?

Ingram uśmiechnął się z wyższością.

- Oczywiście początkowo wychodziliśmy z założenia, że Lewezow został namierzony i zabity przez ludzi powiązanych z mafią handlującą narządami do przeszczepów. Było to logiczne. Ale jak panowie wiedzą, bywa, że przy naszych śledztwach logika przeszkadza. Mordercy rzadko działają logicznie, przeważnie mordują pod wpływem emocji. Tak było również w tej sprawie. Trzy dni po zbrodni praska policja schwytała portiera, geja, który miał przy sobie przedmioty należące do Lewezowa: aparat, karty kredytowe i dużą sumę pieniędzy. Przyznał się zresztą do zabójstwa. Było to zwykle morderstwo na tle rabunkowym, poza tym dotyczące środowiska gejowskiego.

- Dobra robota - mruknął pod nosem Peters. - Naprawdę dobra robota. — Równocześnie uświadomił sobie, że dla niego nie jest to dobry dzień. Oczywiście złościło go, że przyszedł szef policyjnej komisji specjalnej i cały jego wydział ma widowisko. Dlatego podjął próbę przedstawienia sytuacji w innych świetle:

- Jeśli chodzi o ostatni e-mail, komisarzu Ingram, to wyniki pańskiego śledztwa ani o krok nie posuwają nas do przodu.

- Bo też nie jest to zadanie Ingrama! - wtrącił Meyer. - Jeśli się orientuję, to sprawa Federalnej Służby Wywiadowczej, czyli nasze zadanie.

Mężczyźni przy stole konferencyjnym na tak wyraźną krytykę szefa wydziału zareagowali pomrukiem oburzenia. Peters odpowiedział:

- Przykro mi, ale nie potrafię znaleźć klucza do kodu. W każdym razie kryjąca się pod nim organizacja, o ile w ogóle chodzi o jakąś organizację, jeszcze się nie pojawiła w naszych bazach danych.

Teraz Meyer się wściekł.

- Na Boga! - wykrzyknął. - Gdyby ten skrót był powszechnie znany, nie trzeba byłoby uruchamiać tajnych służb. Wtedy wystarczyłby spacer do biblioteki publicznej, a zamiast doskonale wyszkolonej armii agentów, potrzebowalibyśmy jedynie kilku archiwistów na etatach, wypatrujących emerytury. A teraz panowie wybaczą, czeka mnie mnóstwo papierkowej pracy!

Meyer skinął na Ingrama i obaj wyszli z sali konferencyjnej.

Szef Wydziału Drugiego uwielbiał takie wyjścia. Naznaczony ponad dwudziestoma latami pracy w Federalnej Służbie Wywiadowczej, stał się cyniczny.

- Mądrała! - warknął za nim Peters.

„Mimo wszystko to cudowna kobieta”- pomyślał Gropius, kiedy następnego ranka wracał swoim samochodem terenowym znad jeziora Tegern do Monachium. Ciemnoniebieskie niebo górowało nad Alpami, a resztki śniegu w zacienionych kotlinkach twardo broniły się przed ciepłym tchnieniem nadchodzącej wiosny.

Noce z Felicią były niezwykle intensywne, lepsze niż wszystko, co kiedykolwiek przeżył z Veronique. Wcześniej zjedli królewski posiłek w lokalu położonym na południowym brzegu jeziora, gdzie niegdyś mieszkał piosenkarz i aktor Leo Slezak. Napili się czerwonego wina i na krótką chwilę zapomnieli o kłótniach. I oczywiście spali ze sobą. Co to znaczy „spali”? Felicia знаła najskrytsze pragnienia mężczyzny i jedno krótkie spojrzenie, jedno dotknięcie wystarczało, żeby spełniały się marzenia.

W jej obecności nigdy o tym nie pomyślał, ale teraz, w drodze do domu, przyszło mu do głowy, że ich romans nigdy by nie zaistniał, gdyby nie zabójstwo Schlesingera. Dziwne, ale świadomość ta wywołała w nim osłabłą euforię i Gropius nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, co by się stało, gdyby Schlesinger był porządnym człowiekiem, czy jak to nazwać, i nie prowadził podwójnego życia. W takich chwilach wszystko wydawało się profesorowi - realisście, który zawsze planował swoje życie i panował nad nim - jakby snem, zarówno koszmarem, jak i współczesną bajką.

Przed domem w dzielnicy Grunwald czekała szara furgonetka. Gropius w ciągu ostatnich tygodni przeżył zbyt dużo, żeby wierzyć w przypadek. Jeszcze z bezpiecznej odległości rozpoznał włoską rejestrację. Dodał gazu. Śmignął obok zaparkowanego samochodu, dwukrotnie skrzyknął w lewo i - sprawdzając w lusterku, czy nikt za nim nie jedzie - dotarł do głównej drogi prowadzącej do centrum Monachium.

Nie mylił się: przejechawszy kilkaset metrów, dostrzegł w lusterku włoską furgonetkę, która zbliżała się, jadąc jak szalona i mrugając światłami. Gropiusowi serce zaczęło walić jak młotem. Na jednym ze skrzyżowań

przejechał na czerwonym świetle, mimo to nie udało mu się zgubić prześladowcy. Przeciwnie, samochód był coraz bliżej.

„Co robić?”. Nagle zobaczył sznur samochodów, które stały przed nim w korku. W ostatniej chwili nacisnął na hamulec. Samochód jadący za nim już go dogonił. Gregor się poddał. Przez głowę przelatywały mu tysiące myśli. Spodziewał się, że z furgonetki, która go ścigała, wysiądą uzbrojeni ludzie i wywloką go z samochodu. Wyczerpany, oparł głowę na kierownicy i trwał w trwożliwym oczekiwaniu.

Z odrętwienia wyrwało go pukanie w szybę. Nie brzmiało tak, jakby za chwilę ktoś miał go wywlec z samochodu. Podniósł wzrok.

Przed sobą dostrzegł twarz Franceski. Ciemne włosy kryła pod wełnianą czapką, a jej oczy za szklami okularów błyskały wyrzutem. Gropius spojrzął za siebie sprawdzając, czy w jej samochodzie nie czekają uzbrojeni gangsterzy, ale furgonetka była pusta. Odetchnął z ulgą. Wciąż jeszcze nieufny, opuścił szybę.

- Co to ma znaczyć? - warknął na Francescę.

- Za pozwoleniem — odparła wyraźnie zmęczona. - Zmusza mnie pan do pościgu jak na filmie gangsterskim, a później pyta, co to ma znaczyć! Chcę porozmawiać, panie Gropius. Proszę!

- Nie wiem, o czym mamy jeszcze rozmawiać. Moje przeżycia w Turynie nie należały do najprzyjemniejszych. W każdym razie sam sobie mogę dać po uszach, że pani posłuchałem. Mogłem się spodziewać.

- Czego mógł się pan spodziewać?

- Że panią ktoś nasłał. A teraz proszę już iść! Nie chcę pani więcej widzieć!

Tymczasem korek się rozładował i samochody zaczęły powoli jechać. Z tyłu zabrzmiał dziki koncert klaksonów. Gropius uruchomił silnik i ruszył, ale Francesca nie pozwoliła się tak łatwo zbyć.

- O czym pan mówi? W jakim celu ktoś miałby mnie na pana nasyłać? — krzychała Francesca, biegnąc ucepiona drzwi samochodu Gropiusa. - Może mi pan wreszcie powie, o co chodzi?

- Ha! - odparł Gropius, nie zatrzymując się. - Kolejna sztuczka. Nie, drugi raz już nie dam się nabrać. A teraz niech pani się w końcu odcepi!

Gropius przyśpieszył, ale Francesca trzymała się drzwi jego samochodu. W każdej chwili mogła zostać potrącona. Zahamował.

- Na litość boską! Niech pan mnie wysłucha! - wysapała Francesca.
- Później może mnie pan odprawić.

Rzucił Włoszce podejrzliwe spojrzenie. Nie ufał jej. Zbyt głęboko od-
czuwał jeszcze strach, który wywołały przeżycia w Turynie. Do końca życia
nie pozbędzie się uczucia, jakie go ogarnęło, kiedy przywiązany do krzesła
zobaczył przed sobą plastikową butelkę chlorfenwinfosu i strzykawkę. Na
samą myśl przeszedł go dreszcz.

- Naprawdę! To bardzo ważne! - zapewniała Francesca. - Proszę!

Nie sposób było oderwać wzroku od jej ślicznych oczu. Gropius wes-
technął i przez chwilę milczał, ignorując klaksony kierowców, którym sa-
mochód Franceski nadal blokował drogę. W końcu uległ.

- Dobrze. Widzi pani tę pizzerię po drugiej stronie ulicy? Proszę iść
po samochód, będę tam na panią czekał.

Francesca pobiegła do swojej furgonetki, Gropius zaś zaparkował sa-
mochód pod lokalem.

Jak wszystkie pizzerie na świecie, również ta przypominała rankiem
dworcową poczekalnię. Większość krzeseł była umieszczona do góry no-
gami na stołach, żeby ubrana w ciemny strój sprzątaczką mogła szybciej
przetrzeć mopem podłogę. W lokalu unosił się zapach wody z mydłem i
świeżo zmielonej kawy.

Kelner, jeszcze nie do końca przebrany, z wyraźną niechęcią przerwał
śniadanie i burknął, że lokal właściwie jest zamknięty, ale skoro pojawił
się pierwszy gość, to może dostać kawę.

Gropius zamówił dwie kawy i w tej samej chwili do pizzerii weszła
Francesca. Bez słowa usiadła naprzeciw. Przez chwilę milczeli oboje,
Francesca ze spuszczonym wzrokiem, Gropius mieszając kawę. Wreszcie
Francesca zaczęła niepewnie:

- Tak szybko wyjechał pan z Turynu, że nie miałam okazji powie-
dzieć, jak mi przykro, że wszystko tak nieszczęśliwie się poskładało.

- Ach, przykro pani? Pojawiła się pani, że mi powiedzieć: „Przykro
mi”? Proszę posłuchać, cokolwiek się tymczasem wydarzyło, to pani mnie
wystawiła na pożarcie tym zbrodniarzom i tylko cudem jeszcze żyję.

Gropius mówił tak głośno, że kelner już się zainteresował ich rozmową,
dlatego Francesca zniżyła głos i odpowiedziała prawie szeptem:

- Gregor, co się stało? Jak może mnie pan wiązać z jakimiś zbrod-
niarzami? Akurat mnie!

Gropius ze złością chwycił Francescę za przeguby i pociągnął do siebie.

- Słuchaj, moja panno! - powiedział zdenerwowany i nawet nie zauważył, że zaczął jej mówić per ty. - To ty zdradziłaś mi adres de Luki. Co ja mówię, zdradziłaś? Ty zwabiłaś mnie do de Luki, a pod jego instytutem pobito mnie i zabrano do jakiegoś opuszczonego magazynu, tam zaś próbowano wysłać mnie na tamten świat za pomocą zabójczego zastrzyku. Może będziesz się upierać, że o tym wszystkim nie wiedziałaś? - Gropius nagle puścił jej przeguby i rozparł się z powrotem na krzesło.

- O tym... O tym naprawdę nie wiedziałam - wyjąkała Francesca. - Musisz mi uwierzyć!

Gregor uśmiechnął się ironicznie.

- Co to za argument! Była tylko jedna jedyna osoba, która wiedziała, że wybieram się do profesora de Luki, i tą osobą byłaś ty!

- De Luca został zabity w tajemniczy sposób.

- Wiem. Przecież napisano we wszystkich gazetach, że padł ofiarą mafijnego morderstwa.

- Ale jaż tym nie mam zupełnie nic wspólnego, wręcz przeciwnie. Sama stałam się ofiarą tych ludzi.

Słyszac to, Gropius czujnie nadstawił uszu. Zmierzył Francescę badawczym wzrokiem i zobaczył, że jej ciemne oczy błyszczą. Doskonale pamiętał jej piękne oczy, ale ten widok wywołał nie najlepsze wspomnienia. „Trzeba zapomnieć o tej kobiecie” - pomyślał.

Wtedy odezwała się Francesca.

- Constantino nie żyje. - Twój mąż? - Zamordowano go dzień po tym, jak wyłowiono z rzeki de Luce. - Francesca spojrzała za okno. Nie chciała, żeby Gropius patrzył jej prosto w oczy.

- Nie rozumiem - wyjąkał Gropius. - Twój mąż leżał w śpiączce, nie mógłby nawet skrzywdzić muchy.

Francesca wzruszyła ramionami.

- Chcesz usłyszeć całą historię? - zapytała i spojrzała na niego wielkimi oczami.

- Tak, oczywiście.

- Nie tylko ty byłeś pod stałą obserwacją, najwidoczniej ci sami ludzie również mnie mieli na oku. Dlaczego? Nie wiem. W każdym razie

doskonale wiedzieli, że tego dnia wyjechałam i że mojej matki przez godzinę nie będzie w domu. To im wystarczyło, żeby włamać się do mieszkania i wywrócić wszystko do góry nogami. Widocznie Constantino był przeszkodą. Udusili go poduszką.

Gropius zmieszany patrzył w podłogę.

- Przykro mi.

Francesca skinęła głową i powiedziała cicho:

- Kto wie, może dla Constantina to nawet wybawienie.

- Było to jednak morderstwo!

- Bez wątplenia.

- A policja?

- Jak zawsze u nas, we Włoszech. Gorączkowe śledztwo z ogromnym wysiłkiem, ale bez rezultatu.

- Żadnych śladów? Żadnej wskazówki co do sprawców?

- Nic. Zapewne sprawę umorzono jako zabójstwo rabunkowe.

- A co zrabowano?

- Nic! Chociaż włamywacze przeszukali wszystkie meble, wyrzucili zawartość szaf, powyciągali szuflady i poprzecinali obicia, nic ze sobą nie wzięli. Nawet kasetkę mojej matki, w której było pięćset euro, zostawili na miejscu.

- I nie wiesz, czego szukali?

Francesca pokręciła głową i milczała.

- A policja nie widzi związku między zamordowaniem Constantina i zabójstwem de Luki?

- A ty widzisz? - zapytała Francesca oskarżycielem tonem. I nagle wybuchła: - Do diabła, chcę wiedzieć, w co tu się właściwie gra! W co ja się wpakowałam? Gregor, co to za przerażająca gra?

Słowa Franceski brzmiały rozpaczliwie, a przez to wiarygodnie. Gropius uznał więc, że nadeszła pora, aby wyjaśnić swoją początkową niechęć do Włoszki.

- Byłem przekonany, że ci ludzie użyli ciebie jako przynęty. Widocznie się pomyliłem. Ale od dłuższego czasu moje życie składa się wyłącznie z błędów. Wybacz! Pewnie byłoby lepiej, gdybyśmy się nigdy nie spotkali.

- Tak... możliwe. - Wzrok Franceski był nieodgadniony.

- Wtedy twój mąż Constantino byłby wciąż wśród żywych.

Francesca się skrzywiła.

- To, co nazywasz życiem, było jedynie marną wegetacją, niczym więcej. Według opinii lekarzy, szansa, że Constantino odzyska przytomność, była właściwie żadna. A ja akurat nie należę do ludzi, którzy gonią szczęście. Pokazało to nasze spotkanie w Turynie.

- Jak to rozumiesz, Francesco?

Uśmiechnęła się niezdecydowanie.

- Myślisz, że nie byłam wtedy napalona na ciebie tak samo, jak ty na mnie? Cały wieczór myślałam, jak ci powiedzieć, że mam w domu na wpół martwego męża. Po prostu zabrakło mi odwagi, żeby powiedzieć to bez ogródek. Ale ty też nie dałeś mi żadnej szansy.

- Niby co miałem robić?

- To już przeszłość. Było, minęło. - Francesca oparła łokcie na stole i ukryła twarz w dłoniach. - Ale odbiegamy od tematu. Wygląda na to, że mamy przynajmniej jednego wspólnego wroga. I chciałabym wiedzieć, co można z tym zrobić.

Tymczasem kelner przyniósł już trzecią kawę z mlekiem i Gropius zaczął opowiadać całą historię od początku. Opowiedział o śmierci Schlesingera, o tajemniczej skrytce bankowej, o odkryciu, że jego lekarz naczelny współdziałał z mafią handlującą narządami, oraz o zagadkowych okolicznościach związanych z aktami o nieznannej treści, które dla pewnych osób warte są miliony euro.

- Ale jaką rolę w tym dramacie odgrywam ja? — zawołała Francesca w pustej, nieprzyjaznej pizzerii.

Gropius spojrzał na nią badawczo.

- Doprawdy nie wiem. Może ma to coś wspólnego z twoim związkiem z de Luca i ze mną.

Francesca głośno wciągnęła powietrze przez nos i oświadczyła tonem wyrzutu:

- Nie było żadnego związku z de Luca. Wykonałam zlecenie, nic więcej. Profesora widziałam dwa razy w życiu, pierwszy raz, kiedy odbierałam kasetę, i drugi, kiedy ją zwracałam. Tymczasem raz rozmawialiśmy przez telefon. Powiedziałam mu, że zamiast Schlesingera przyszedł ktoś inny. De Luca kazał mi wtedy wracać do Turynu. To wszystko.

- I nie miałaś pojęcia, co przewozisz w tej stalowej kasecie?

- Najmniejszego.

- A jeśli to były materiały radioaktywne?
- Nie strasz mnie! O tym nie pomyślałam.
- Jakim człowiekiem był profesor de Luca?

Francescą przez chwilę się zastanawiała, po czym odparła:

- Wyglądał tak, jak sobie wyobrażamy badacza, który jest na tropie ostatnich tajemnic w dziedzinie fizyki czy biologii. Niski, krępy, okrągła łysiejąca głowa z wianuszkami włosów, nienagannie ubrany, roztargniony i jakby nie z tego świata. Ogólnie robił sympatyczne, niemal ujmujące wrażenie.

- A nad czym pracował ten ujmujący profesor?

- Od czasu do czasu pisano o nim w gazetach. Zdaje się, że zasłynął jako badacz w dziedzinie genetyki. Dokładniej nie interesowałam się jego pracą.

Gropius się zadumał. To wszystko nie bardzo miało sens. Ale czy można się było w ogóle dopatrzeć jakiegoś sensu w serii wydarzeń z ostatnich tygodni? W jego głowie panował chaos. I to nie tylko w głowie - również jego uczucia powariowały. Spędził noc z Felicią i czuł, że go pociąga. Jednakże krótkie poranne spotkanie z Francescą w podmiejskiej pizzerii wystarczyło, żeby zachwiać jego uczuciami. Francescą działała na niego jak magnes, jak jakaś niewidzialna moc, która przyciąga z nieposkromioną siłą. W tej pokornej wersji była nawet bardziej seksowna niż wszystkie kobiety, jakie dotychczas spotkał. „Wybij sobie z głowy tę kobietę - pomyślał. - Przecież właściwie tylko chcesz iść z nią do łóżka, a twoje życie jest już wystarczająco skomplikowane. Poza tym - dorzucił w przyływie humoru - pewnie jest nudna jak flaki z olejem. Zatem dość tego!”

- Właściwie to dlaczego jesteś tutaj? Masz jakieś zlecenie od firmy? - zapytał.

- Nie - odparła krótko. W jej głowie zabrzmiała uraza. - Przyjechałam, żeby cię poinformować o moich prywatnych sprawach. Miałeś prawo wiedzieć, że Constantino nie żyje. Chodzi mi o to, że przecież to wszystko zmienia.

Gropius spojrział zirytowany. Rozumiał, co ona chce przez to powiedzieć, ale w obecnej sytuacji czuł, że to wszystko go przerasta.

- Sądzę, że powinnaś wrócić do domu - zasugerował ostrożnie, mając nadzieję, że jej nie dotknie.

Francescą miała rozczarowanie wypisane na twarzy.

- Skoro tak uważasz - powiedziała cicho.
- Zrozum mnie dobrze - dodał Gropius.

Francesca wpadła mu w słowo.

- Już cię rozumiałam! Dopiła kawę i wstała.
- Tak czy inaczej życzę ci wszystkiego dobrego. Szkoda. Trzymaj się.

Gropius dostrzegł, że miała łzy w oczach, kiedy pośpiesznie pocałowała go w policzek i wyszła z lokalu.

Pogrzeb potentata budowlanego Thomasa Bertrama stał się wydarzeniem medialnym. Wszystkie gazety donosiły o skandalu wokół transplantacji, Breddin zaś w swojej gazecie wyraził przypuszczenie, że sprawa Bertrama to zaledwie wierzchołek góry lodowej i że w trakcie nielegalnych przeszczepów zapewne znacznie więcej pacjentów pozbawiono życia.

Za życia Bertram publicznie płacił się w bogactwie, a że jak wiadomo, pieniądze mają magiczną siłę przyciągania, nie mógł narzekać na brak kontrahentów, tym bardziej że był równocześnie hojny. Zaproszenia na przyjęcia z okazji Święta Dziękczynienia, które wydawał w swojej posiadłości w Kitzbühel, były rarytasem, niemal jak bilety na galę wręczania Oscarów. Były też łakomym kąskiem dla dziennikarzy z brukowców.

Żona Bertrama, Kira, pochodziła z RPA i miała nienaganne maniere, przy czym nikt nie wiedział, w jakich okolicznościach się zesłi. Była od niego młodsza o dobre dwadzieścia lat i - nie sposób zaprzeczyć - znacznie atrakcyjniejsza od Bertrama. Poza tym wlewała w siebie mniej dżinu niż on, co zresztą nie było trudne, gdyż Bertram, mówiąc oględnie, lubił się napić.

Z tego i kilku innych powodów, o których przyzwoitość nie pozwala mówić przy ciele zmarłego (dość nadmienić, że - ku uciesze brukowców - Bertram prowadził tak zwane małżeństwo otwarte), związek pozostał bezdzietny. Stało się więc tak, że tego słonecznego, choć chłodnego poranka w porze przedwiośnia nad otwartym grobem wylewały łzy cztery piękne wdowy ukryte za woalkami, w czarnych kostiumach od słynnego dyktatora mody. Książd, który z dostarczonej kartki odczytywał zamówione słowa pociechy, był zupełnie bezradny, nie wiedział bowiem, której z czterech ewentualnych wdów ma patrzeć pocieszająco w zawoalowane oblicze.

Dziennikarze z kilku stacji telewizyjnych i gazet szamotali się, żeby mieć możliwie dobry widok. Ksiądz opowiadał o królestwie niebieskim, a brzmienie jego głosu nasuwało skojarzenia z przemówieniami Ericha Honckera. Na sękatych, bezlistnych drzewach, które od cmentarza na Perla-cher Forst przejęły sporo żaloby zwykle spowijającej cmentarze, siedziały wrony i w nieregularnych odstępach czasu przerywały krakaniem przemowę księdza.

Ze względów zawodowych Ingram chętnie chodził na pogrzeby. Nie po to jednak, żeby - jak w tandetnych filmach - spotkać nad grobem ofiary mordercę, ale po to, żeby jak zwykły mawiać, go wywęszyć. Tym razem Ingram tylko się łudził. Chociaż - o ile w ogóle było to możliwe z bezpiecznej odległości - przyjrzał się każdemu z obecnych na pogrzebie, nie zauważył żadnej twarzy, która mogłaby coś wniesić do sprawy.

Pół godziny później, po zwyczajowych modlitwach - które Bóg jeden wie dlaczego, wszystkie kończą się stwierdzeniem „na wieki wieków” - uczestnicy uroczystości, ksiądz i dziennikarze się rozpierzchli, ci ostatni niemal biegiem, reszta zmęczonym krokiem. Powróciła cisza. Zza wysokiego muru pobliskiego zakładu karnego od czasu do czasu dochodziły niezrozumiałe komendy.

Ingram z zaciekawieniem obejrzał bukiety i wieńce wokół mogiły, a także zapisane złotymi literami. Szarfy, na których zrzeczenia i współpracownicy, krewni i przyjaciele oraz rozmaite damy przekazywali zmarłemu ostatnie pozdrowienie. Chęć zanotować nazwiska Ingram wyjął z kieszeni notatnik, kiedy usłyszał za sobą głos:

- Co, zawsze na posterunku? Pracowity i solidny!

Ingram się odwrócił.

- Pana najmniej się tutaj spodziewałem, panie prokuratorze. Czy to ta śliczna pogoda wyciągnęła pana z ponurego biura?

Markus Renner popatrzył obojętnie, w czym pomogły mu, jako niezbyt zdolnemu aktorowi, błyskające szkła okularów.

- A pan? - odpowiedział pytaniem. - Co pana tu sprowadza?

Ingram wzruszył ramionami.

- U nas w Bawarii powiadają: „piękny pochówek”, kiedy na pogrzebie jest dużo ludzi. - Był to przytyk do pochodzenia Rennera z północy Niemiec, gdzie bawarskie powiedzenia często spotykają się z niezrozumieniem.

- I co? Czy pańską uwagę zwróciło coś, co mogłoby nam pomóc? - napierał Markus Renner.

- Szczerze mówiąc, nie, panie prokuratorze. Właśnie zabierałem się za spisywanie nazwisk z wieńców. Nigdy nie wiadomo...

W tej samej chwili Renner chwycił komisarza za rękaw i pociągnął na prawą stronę grobu, gdzie piętrzył się stos wieńców. Nachylił się i wygładził dłonią purpurową szarfę przymocowaną do wieńca z pomarańczowo-niebieskich strelcji, czyli rajskich ptaków. Złote litery układały się w napis:

„REQUIESTAT IN PACE - IND”.

- Co pan na to? - zapytał Rennera z arogancją, z powodu której był tak nielubiany. Tym samym tonem dodał jeszcze: - To miało być pańskim zadaniem. Żeby to odkryć!

„Wiem”- chciał odpowiedzieć Ingram, przecież dlatego miał zamiar zanotować napisy. Nie widział jednak powodu, żeby się tłumaczyć przed tym nadgorliwym, bezczelnym chłystkiem. Dlatego zignorował tę ostatnią uwagę i rzucił tylko:

- A to ci dopiero.

Renner nie popuścił.

- Czy pan wie, co znaczy ten napis? Chyba zna pan łacinę?

- Gdybym znał łacinę - odwarła Ingram - tobym się nie musiał szwendać po pogrzebach obcych ludzi, tylko bym sobie w jakimś ministerstwie grzał dupsko zmęczone od wycierania foteli.

- To znaczy - ciągnął Renner, nie reagując na to spostrzeżenie - „Niech spoczywa w pokoju”. To cyniczne, mój kochany Ingramie!

Ingram zmarszczył czoło.

- Po pierwsze, nie jestem dla pana kochanym Ingramem, panie prokuratorze, a po drugie, każde morderstwo jest cyniczne.

W tej kwestii Renner chyba przyznał mu rację, bo przytaknął. Kiedy Ingram starał się odczepić szarfę z „cynicznym” napisem, Renner stwierdził:

- Musi pan koniecznie się dowiedzieć, gdzie zamówiono wieniec z tą szarfą.

Ingram zabrał szarfę i wstał.

- Jak pan myśli, po co to odczepiałem? Ale wielkie dzięki za wskazówkę!

Obaj po prostu się nie znosili. Ponieważ należało się obawiać, że konflikt może wymknąć się spod kontroli, Renner wołał się krótko pożegnać.

- Miłego dnia.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka Ingrama.

- Tak? - Komisarz wysłuchał, co ma do zakomunikowania jego kolega Murau. - To nie może być prawda! - zakończył cicho i schował telefon do kieszeni. - Panie prokuratorze! - zawołał za Rennerem.

Ten udawał, że nie słyszy.

- Panie prokuratorze! - powtórzył Ingram tak głośno, że było go słychać na całym cmentarzu.

Renner się odwrócił, a Ingram dał znak, że ma coś ważnego do powiedzenia.

- Być może to pana zainteresuje - powiedział, dogoniwszy Rennera. - Właśnie otrzymałem informacje, że w Uniwersyteckim Centrum Transplantacyjnym w Kilonii zmarł pacjent po przeszczepie serca. Zgodnie z wynikami sekcji zwłok śmierć nastąpiła wskutek skażenia narządu chlorfenwinfossem.

ROZDZIAŁ li

Francesca Colella wróciła załamana do hotelu nieopodal dworca głównego. Hotel nazywał się „Richard Wagner”, ale kompozytor zapewne w grobie by się przewrócił, gdyby się dowiedział, jaki przybytek nosi jego imię - typowy hotel dla akwizytorów, w środku miasta, z małymi, tanimi pokojami i parkingiem w bezpośrednim sąsiedztwie. Spędziła tutaj dwa dni i czekała na Gropiusa, a teraz to...

Francesca była niezmiernie rozczarowana. Miała nadzieję, że wiadomość o tym, że nie jest już związana, wyzwoli u Gropiusa tę samą namiętność, jaką ujawnił w Turynie, zanim nastąpiła konfrontacja z gorzką rzeczywistością. Od tamtej pory stale o nim myślała, a jej sympatia do niego z każdym dniem rosła. Nie pamiętała dokładnie, kiedy ostatnio spała z mężczyzną, wiedziała tylko, że było to dawno, bardzo dawno temu, i że pragnie jak najszybciej przerwać tę ascezę narzuconą przez los. Gropius spodobał się jej od razu - atrakcyjny mężczyzna, którego otwartość odebrała jako niezwykle pociągającą. Z trudem trzymała swoje uczucia na wodzy. Teraz jednak, po ostatnich wydarzeniach, które wywołały w niej napięcie i doprowadziły do gorzkiego rozczarowania, nie potrafiła się już pohamować. Psychicznie wykończona - jej stan idealnie odpowiadał atmosferze pokoju w tym trzeciorzędnym hotelu - rzuciła się na łóżko i uderzając pięściami w poduszkę, rozplakała się gorzko.

Łzy mają w sobie coś oczyszczającego. Po trwającym kilkadziesiąt minut załamaniu Francesca wstała z łóżka, poszła do łazienki i spryskała twarz lodowatą wodą. Dobrze jej to zrobiło. Następnie włożyła okulary i stanęła przed lustrem w szafie, żeby się obejrzeć od stóp do czubka głowy.

„Czy naprawdę jesteś tak nieatrakcyjną kobietą, że mężczyźni przestali zwracać na ciebie uwagę?” - zapytała się w myślach. Czy może obojętność, jaką się otaczała od czasu wypadku Constantina, tak zmieniła jej wizerunek, że zaczęła być postrzegana jako nieprzystępna, zimna i wyrachowana kobieta? Na litość boską, czuła się zobowiązana wobec Constantina i wzięła na siebie ten ciężar, ale teraz, kiedy mąż już nie żył, pragnęła przede wszystkim zapomnieć. Miała prawo do nowego życia, do seksu, do miłości.

„Gropius - pomyślała, rozbierając się przed lustrem - Gropius byłby właśnie tym mężczyzną, któremu bym się z chęcią oddała”. Jego obojętne zachowanie głęboko ją uraziło. Badawczo spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jak na swój wiek, nieźle się trzymasz - stwierdziła. - W każdym razie nie musisz się obawiać młodszej konkurencji. Włosy mocne, piersi pełne, nie takie malutkie, jak u większości młodych kobiet, sześćdziesiąt centymetrów w talii. Do diabła, czego profesor jeszcze chce?”

Francesca weszła do wanny, a słuchając szumu wody i rozluźniając się w przyjemnie ciepłej kąpieli, podjęła decyzję. Chce się dowiedzieć, jak to jest, chce, jak to się mówi, poderwać faceta, choćby na jedną noc. Bez myślenia o tym, co będzie później. W ten sposób zemści się na Gropiusie. Tym razem to ona będzie dyktować warunki. Myśl ta podnieciła ją.

Musiała zasnąć w wannie, gdyż po powrocie do rzeczywistości z oparów rozpusznych rozmyślań zauważyła, że woda jest zimna, ona zaś zmarznięta. Ręcznikiem, na którym był wyszyty portret Wagnera, wytarła mocno całe ciało, aż skóra się zaróżowiła, wysuszyła włosy, zrobiła makijaż, nałożyła cień na powieki i szminkę - mocniej niż zwykle. Stojąc przed lustrem, włożyła czarne pończochy i czarną spódnicę oraz wydekoltowaną bluzkę. Z rozmysłem nie zakładając stanika, narzuciła na siebie tę samą welurową kurtkę, która, jak doskonale pamiętała, niemal odebrała Gropiusowi w Turynie rozum. Buty na wysokim obcasie idealnie pasowały do tego zestawu.

Wieczorem zapytała portiera, który - podobnie jak hotel — najlepsze lata miał już za sobą, gdzie o tej porze mogłaby pójść samotna kobieta.

Otrzymała informację - która zresztą okazała się prawdziwa - że w barze pobliskiego hotelu „Bayerische Hof” niczego nie będzie się musiała obawiać.

Jak zaplanowała, tak zrobiła. Tuż po godzinie dwudziestej pierwszej weszła do lokalu w przyziemiu, wyposażonego w małe czteroosobowe stoliki i parkiet do tańczenia. Muzyka była przyzwoita. Francesca usiadła na wysokim stołku przy barze, zamówiła martini, wstrząśnięte, ale niez mieszane, zupełnie jak na filmach z Jamesem Bondem, i niby znudzona, zaczęła się rozglądać za ewentualną ofiarą.

W lokalu nie było wielu gości. Jedynie samotna para tańczyła z zapałaniem, mocno przytulona, nie zwracając uwagi na muzykę. Większość stolików była wolna, barman był więc zadowolony, że ma przynajmniej jednego gościa, z którym może porozmawiać. Kiedy pół godziny później mieli już omówione wszystkie tematy barowe, jak pogoda, interesy, piłka nożna i samochody, i nikt nie chciał się przyłączyć do rozmowy, Francesca uregulowała rachunek i zaczęła zbierać się do wyjścia. Wtedy podszedł do niej mężczyzna w średnim wieku, który dotychczas siedział samotnie w kącie i rozmyślał. Był niewysoki, miał długie ciemne włosy i wyglądał blado, co podkreślał jeszcze czarny garnitur, który miał na sobie.

- Pani już wychodzi? - zagaił głębokim głosem po angielsku, ale z twardym akcentem, który zdradzał, że nie jest rodowitym Anglikiem.

- Niewiele się tutaj dzieje - odpowiedziała Francesca. - Może później jeszcze tu zajrzę.

Mężczyzna w ciemnym garniturze zademonstrował wyszukaną uprzejmość. Robiąc gest zaproszenia, powiedział:

- Gdybym się kiedykolwiek nauczył tańczyć, byłaby to dla mnie wymarzona okazja, bo z przyjemnością bym teraz panią poprosił do tańca. A tak mogę jedynie wyrazić swój żal. Mam na imię Ramon.

Francesca się roześmiała. Sposób jego wyrażania się był ceremonialny i sztywny.

- Czy pan jest Hiszpanem? - zapytała.
- Nie. Katalończykiem. To różnica! - odpowiedział Ramon.
- A pani?
- Włoszką.
- Mediolan?
- Skąd to panu przyszło do głowy?

- W Mediolanie spotyka się najpiękniejsze Włoszki. Łączą w sobie urok Południa i elegancję Północy. Tak jak pani, *señorita!* - Patrzył przy tym bez przerwy na jej biust.

- Pochodzę z Turynu — odparła ze śmiechem Francesca - gdzie nie występuje ani urok, ani elegancja. Niestety, nie mówię po hiszpańsku. Mało który Włoch włada pańskim językiem.

- Wiemy, również niewielu Hiszpanów zna język włoski.

Francesca i Ramon niezauważalnie przeszli w rozmowie na niemiecki.

- Czy wolno mi będzie zaprosić panią na kieliszek szampana? - zapytał uprzejmie Ramon. Nie był to co prawda mężczyzna, po którym kobieta spodziewałaby się zalotów, ale wydawał się przyjazny i grzeczny, Francesca nie widziała więc powodu, żeby mu odmówić.

- Jestem Francesca - powiedziała, kiedy wzniesli toast.

- Wiemy - oznajmił Ramon i sztucznie, porozumiewawczo mrugnął. Francesca nie umiała zinterpretować ani tej uwagi, ani tego mrugnięcia, wolała jednak na to nie zważać.

Stopniowo lokal wypełniał się ludźmi, ale im czujniej wypatrywała samotnego mężczyzny, któremu gotowa była się oddać, tym bardziej się rozczarowywała. Dostrzegała tylko pary albo samotne damy, które - jak ona - czekały na księcia z bajki.

Jedną z niezwykłych zalet Franceski było to, że potrafiła wypić mnóstwo alkoholu i się nie upić. Z kolei Ramon, pijąc w trakcie rozmowy kieliszek za kieliszkiem, zaczął ją zasypywać aluzyjnymi komplementami. Z zamglonymi oczami szeptał jej, że jest grzeszna jak Maria Magdalena i piękna jak *Madonna* Rafaela, i że dla niej popełniłby każdy grzech.

Francesca nie znosiła oklepanych komplementów, dlatego nabrała awersji do Ramona, który pożerał ją wzrokiem, choć nawet o centymetr się do niej nie przysunął. Rozgniewała się i w swojej złości na zakompleksionego, lubieżnego Hiszpana powiedziała:

- Mówi pan, Ramonie, jakby był pan księdzem!

Jak dziecko przyłapano na wyjadaniu słodyczy, opuścił wzrok i z głową zwróconą na bok powiedział bełkotliwie:

- Racja. Bo ja jestem księdzem.

- Pan jest...? - Francesca zdezorientowana rozejrzała się na boki. Następnie zmierzyła Ramona krytycznym spojrzeniem.

Błada cera, czarny garnitur i to namaszczenie w głosie - nie było wątpliwości. Jak mogła tego od razu nie zauważyć.

- Pokusa na każdym kroku. Czyha nawet na pomazańca - odpowiedział Ramon i złożył przy tym dłonie. Francesca już się bała, że głośno wzniesie ku niebiosom jakieś nieprzyzwoite modły, żeby Wszechmogący uwolnił go ze szponów grzesznej niewiasty. Stało się jednak inaczej.

- Moja panno - wymruczał, oddychając z trudem. — Co ty zamierzasz osiągnąć z tym Gropiusem? To nie jest towarzystwo dla ciebie. Powiedz, czego on od ciebie chce?

- Gropius? - Francesca była zupełnie zdezorientowana. - Powiedział pan: „Gropius”?

Ramon zakrył usta, jakby chciał zapobiec dalszym wyznaniom. Działanie alkoholu było jednak silniejsze.

- Pani już od dawna za nim goni - powiedział z wyraźnym trudem, starając się sprawiać wrażenie trzeźwego.

- Ale czego pan chce od Gropiusa? Co on panu zrobił?

- Dowiesz się, śliczna panienko. Gropius ma swoim posiadaniu coś, co do niego nie należy. Pani to wie. On igra z ogniem, ten profesor Gropius! Jeśli zaś chodzi o panią, panienko... Gdzie jest towar?

W ciągu kilku sekund przez głowę Franceski przeleciały tysiące myśli. Jaki towar? Czy on mówi o narkotykach? Najwidoczniej ten pijany, zakompleksiony facet siedzący naprzeciw niej, gapiący się spod ciężkich powiek na jej biust, wiedział o tajemniczych zdarzeniach, które przeżył i próbował zrozumieć Gropius. Może miał nawet coś wspólnego z zamordowaniem Constantina?”. Ze zgrozą i wstrętem Francesca patrzyła na pijanego mężczyznę, który siedział po drugiej stronie stolika i napawał się widokiem jej biustu.

„Trzeba zachować zimną krew” - powiedziała sobie w duchu, uśmiechając się do Ramona. Była to szansa, żeby zdobyć dla siebie Gropiusa. Musi z tego dziwnego księdza, jeśli rzeczywiście nim był, wyciągnąć jak najwięcej informacji. Stosując wszelkie możliwe sposoby, jakie ma do dyspozycji kobieta, musi się dowiedzieć, dla kogo Ramon pracuje i czego szuka. Okazja była sprzyjająca i było mało prawdopodobne, żeby się miała powtórzyć.

Kiedy Ramon wlał w siebie kolejny kieliszek szampana, Francesca nachyliła się nad nim tak, aby napalony ksiądz miał pełniejszy wgląd w jej dekolt. Przy tym zapytała całkiem zwyczajnie:

- Pan mieszka w tym hotelu?

- Czemu pani pyta? - zdziwił się Ramon, jakby nie rozumiał, do czego Francesca zmierza.

- Tak tylko. Przecież moglibyśmy wygodniej porozmawiać. Chodzi mi o to, proszę mnie źle nie zrozumieć, że strasznie tu nadymione, a i ta muzyka mogłaby być lepsza.

- Dwieście trzydzieści jeden - wybelkotał jej towarzysz. - Pokój dwieście trzydzieści jeden!

Prawą dłonią Ramon objął nóżkę swojego pustego kieliszka. Jego twarz, która tymczasem przybrała barwę ciemnoczerwoną, wydawała się napięta do ostatnich granic. Było widać, że coś się z nim dzieje, prawdopodobnie walczył właśnie z pokusą szatana. W końcu odezwał się teatralnie, z uduchowionym wyrazem twarzy:

- Moc bowiem w słabości się doskonalą!

Francesca spojrzała zdziwiona.

- Co proszę?

- Tak pisze apostoł Paweł w Drugim Liście do Koryntian!

- Mądry człowiek. Na co zatem czekamy?

Ramon rzucił na kontuar baru swoją kartę kredytową.

- Rachunek! - warknął na barmana.

Francesca ukradkiem spojrzała na nazwisko wyłoczone na karcie. Ramon Rodriguez.

Gropius kiedyś wymienił nazwisko Rodriguez. Była na właściwym tropie.

- Gdzie jest towar? - Ramon Rodriguez powtórzył pytanie, wchodząc chwiejnym krokiem na szerokie marmurowe schody prowadzące do holu.

- Później o tym porozmawiamy- powiedziała Francesca przytomnie i na początek zadowolona tym Ramona. Z trudem udawało jej się prowadzić pijanego mężczyznę. To, co się wydarzyło potem, rozegrało się tak szybko i niespodziewanie, że później przypominała sobie to wszystko jak przez mgłę.

Kiedy dotarli na górę schodów, z dwóch stron doskoczyło do nich dwóch ubranych w czarne stroje mężczyzn, którzy chwycili Rodrigueza pod ręce i przez obrotowe drzwi wywlekli go za zewnątrz. Wszystko odbyło się bezszelestnie, nie budząc sensacji, Ramon zaś nie był w stanie się bronić.

Dopiero po dłuższej chwili, podczas której Francesca stała jak skamieniała, uświadomiła sobie, co się stało, i zaczęła się bać. Ostrożnie rozglądając się na wszystkie strony, weszła w obrotowe drzwi, po czym podbiegła do jednej z taksówek, które czekały przed wejściem do hotelu.

Jazda spod „Bayerische Hof” do hotelu „Richard Wagner” trwała pięć minut - pięć przerażających minut, podczas których Francesca z tylnego siedzenia patrzyła w lusterko wsteczne sprawdzając, czy nikt za nimi nie jedzie. Dotarłszy na miejsce, wcisnęła taksówkarzowi banknot i poprosiła, żeby odprowadził ją do wejścia. Taksówkarz, przysadzisty mężczyzna, za mniejsze pieniądze wykonywał mniej przyjemne zadania, dlatego chętnie zgodził się spełnić prośbę ślicznej kobiety.

W odróżnieniu od eleganckiego hotelu, z którego właśnie wróciła, hol „Richarda Wagnera”, czy raczej przedsiónek przy wejściu, był pusty. Francesca musiała uderzyć dłonią w dzwonek w recepcji i dopiero wtedy z pomieszczenia za tablicą z kluczami wyłonił się brodaty recepcjonista i dał jej klucz.

Po wyjściu z windy na trzecim piętrze, idąc zimnym korytarzem, Francesca miała nieprzyjemne uczucie, które starała się stłumić. Podczas rozmowy z Ramonem Rodriguezem postawiła się w niebezpiecznej sytuacji. Nie miała wątpliwości, że jej spotkanie z lubieżnym księdzem było obserwowane i zakończone uciszeniem gadatliwego duchownego. Cała ta sytuacja wydała się jej niebezpieczna, Francesca uznała bowiem, że tajemniczy napastnicy zapewne sądzili, że Ramon po pijanemu za dużo jej powiedział.

Kiedy weszła do pokoju, od razu uderzył ją widok otwartych drzwi szafy. Ubrania leżały rozrzucone na podłodze. Spodziewała się tego. Nie rozglądając się już dokładnie, zamknęła drzwi i zbiegła po schodach na dół, gdzie za kontuarem recepcji siedział brodaty recepcjonista.

- Czy ktoś o mnie pytał? - zapytała niezbyt miłym tonem.

Recepcjonista potrzebował czasu, żeby sobie przypomnieć. Potem odpowiedział:

- Nie, szanowna pani. Ale był telefon. Ktoś pytał, czy jest pani u siebie, a kiedy zaprzeczyłem, zapytał o numer pani pokoju. To wszystko. Czy coś nie w porządku?

Nie odpowiedziałwszy, Francesca wybiegła z hotelu, przeszła przez ulicę i pobiegła na postój taksówek w pobliżu dworca kolejowego.

- Do dzielnicy Grünwald! - wydyszała.

Tuż po północy taksówka zatrzymała się pod willą Gropiusa. W domu panowała ciemność, w żadnym pomieszczeniu nie paliło się światło. „Co robić, jeśli Gropiusa nie ma w domu?”. Przejornie poprosiła taksówkarza, żeby zaczekał, aż ona wejdzie do środka.

Zadzwoiła, ale odpowiedziała jej cisza. Zadzwoiła jeszcze kilka razy, bez skutku. Upłynęło trochę czasu - nie była w stanie ocenić, czy pięć minut, czy może pół godziny. Zrozpaczona, nie zważając na to, że taksówkarz wciąż czeka, przysiadła na zimnych schodkach przed wejściem i ukryła twarz w dłoniach. Już traciła nadzieję, gdy nagle zapaliło się światło. Francesca uniosła głowę i w tej samej chwili usłyszała z wnętrza domu głos Gropiusa, rozłozszczonego, co nie było niczym dziwnym.

- Kto tam?

Dała znak taksówkarzowi, że może jechać, po czym powiedziała ochryple:

- To ja, Francesca.

Przez chwilę nie działo się nic, następnie usłyszała dźwięk klucza obracanego w zamku. Dźwięk ten był dla niej jak zbawienie. Zaraz potem drzwi się otworzyły i w szparze pojawiła się twarz Gropiusa.

- Czyś ty zwariowała? - burknął na Francescę. - Czy ty w ogóle wiesz, która jest godzina? Co ma znaczyć to przedstawienie? — Już chciał zamknąć drzwi, ale zauważył, że Francesca drży na całym ciele, raczył ją więc zaprosić: - No już, wchodź! - powiedział łaskawie. Tego samego wieczoru miał jeszcze pożałować swojej arogancji.

Wdzięczna Francesca weszła do środka.

- Wspominałeś kiedyś o pewnym Rodriguezie, który cię śledził w Berlinie po naszym pierwszym spotkaniu - zaczęła bez żadnych wstępów.

- Tak. I co z tego?

- On tu jest.

- Skąd wiesz? Przecież wcale go nie znasz!

- Piłam z nim szampana w pewnym barze. Mówił, że nazywa się Ramon, a na jego karcie kredytowej było wytłoczone nazwisko Ramon Rodriguez.

- Facet napalił się na ciebie?

- To spotkanie nie mogło być przypadkowe! W każdym razie Rodriguez znał moje imię i ostrzegł mnie, że ty podobno nie jesteś dla mnie odpowiednim towarzyszem.

Gropius wcześniej spał i jeszcze nie do końca się obudził. Z wysiłkiem starał się zrozumieć opowieść Franceski. Jednocześnie przyglądał się jej krytycznie. Była ubrana tak samo, jak wtedy w Turynie, i wyglądała niezwykle seksownie. Gdy jednak tylko pojawiło się to wspomnienie, natychmiast wymazał je z pamięci. Wyglądała porywająco.

- Opowiedz wszystko po kolei - powiedział Gropius z udawanym spokojem i posadził Francescę na fotelu w salonie. - Ten Rodriguez zagał do ciebie na ulicy i zaprosił na szampana...

- Nie, nie na ulicy - wpadła mu w słowo Francesca. - Chciałam miło spędzić wieczór i poszłam do baru przy hotelu „Bayerische Hof „. Tam nagle pojawił się przy mnie. Musiał mnie śledzić. Na szczęście miał słabą głowę i już po krótkim czasie zaczął gadać rzeczy, które na trzeźwo z pewnością by zatrzymał dla siebie. Na przykład zdradził swoje zajęcie...

- Nieciekawe.

- Jest księdzem.

- Co? - Gropius spojrział na Francescę z niedowierzaniem.

- Nie tylko wygląda jak ksiądz, ale nawet w pijanym widzie cytował List św. Pawła Apostoła do Koryntian.

- A czego ten Rodriguez chciał od ciebie? - Wzrok Gropiusa zatrzymał się przez chwilę na jej głębokim dekolcie. - Mogę się domyślać.

- Tak, tego też - Francesca uśmiechnęła się zażenowana. - Ale najwidoczniej uważał mnie za kuriera narkotykowego. Chciał towaru. A całe jego udawanie pozwalało wnioskować, że jest na głodzie.

- I jak zakończył się ten wieczór? — Gropius uśmiechnął się obleśnie.

Francesca dostrzegła jego lekceważenie, ale zignorowała to i odparła:

- Nagle na Rodrigueza rzuciło się dwóch mężczyzn i wyprowadziło go na zewnątrz. Kiedy wróciłam do hotelu, mój pokój był przewrócony do góry nogami. Gregor, boję się. Czy mogę zostać u ciebie na noc?

- Oczywiście - mruknął Gropius beznamiętnie, był bowiem zatopiony w rozważaniach. Oto pojawia się uzależniony od narkotyków ksiądz, który od dłuższego czasu go śledzi, i nie tylko jego, bo - jak się okazuje - obserwuje również Francescę. Ksiądz, który był zainteresowany tym, aby zarzucano badania w związku ze śmiercią Schlesingera? Niezbyt sensowne. Tymczasem Gropiusowi wydawało się niemal niemożliwe, żeby zabójstwa Schlesingera, de Luki, Bertrama, Constantina i jeszcze to ostatnie w Kilonii

- żeby wszystkie te morderstwa miały tego samego zleceniodawcę, każde zostało dokonane z innego motywu. A do tego wciąż nie dawały mu spokoju te przekłete akta, o których nie wiedział nic, zwłaszcza zaś co zawierają i gdzie Schlesinger je ukrył.

Gropius pokręcił głową.

Podszedł do Franceski, chwycił ją mocno za ramię i dobitnie powiedział:

- Czego jeszcze się dowiedziałas o tym Rodriguezie? Zastanów się, najmniejsze nawet spostrzeżenie może mieć ogromne znaczenie!

Włosce nie było łatwo odtworzyć w pamięci przebieg wydarzeń z ostatnich trzech godzin. Skutki wypicia kilku kieliszków szampana również jej dały się we znaki. Po krótkim namyśle stwierdziła:

- Miał osobliwy sposób wyrażania się, a o sobie mówił stale w liczbie mnogiej, jakby lękał się wymówić słowo „ja”.

- Rzeczywiście dziwne. Mów dalej!

- Kiedy wychodziliśmy, zdradził mi numer swojego pokoju. Dwieście trzydzieści jeden. Płacił złotą kartą kredytową VISA. A poza tym denerwował mnie tym swoim ciągłym dopytywaniem się o towar.

Gropius puścił ramię Franceski i usiadł obok niej.

- A ty? - zapytał. - Czy sugerowałaś coś Rodriguezewi?

- Co ty sobie wyobrażasz! - oburzyła się Francesca. - Nie twierdzę, że byłam całkiem trzeźwa, ale miałam pełną świadomość sytuacji, w której się znajdowałam. Nie, ode mnie Rodriguez nie dowiedział się ani słówka! Uwierz mi.

Ogarnięty niepokojem Gropius wstał i zaczął spacerować po pokoju. Zaraz przy wejściu do mieszkania była kuchnia. Wszedł tam, nie zapalając światła. Przez zakratowane okna ukradkiem spojrzął na zewnątrz. Znał wszystkie samochody zaparkowane przy ulicy, poza tym nic podejrzanego się nie działo. Spojrzął na zegarek. Było krótko po godzinie pierwszej. Niezdecydowanym krokiem wrócił do salonu.

Francesca zdążyła już ułożyć się wygodnie na tapczanie.

- Wybacz - szepnęła. - Jestem potwornie zmęczona.

- Już dobrze - powiedział Gregor i wyszedł. Kiedy wrócił, miał pod pachą koc i piżamę. Ale Francesca już spała.

- Hej, pobudka! - zawołał Gropius niezbyt natarczywie. - Przecież nie możesz spać w tych ciuchach! - Delikatnie zdjął jej okulary.

Tylko na chwilę Francesca otworzyła oczy, potem przewróciła się na drugi bok, mrużąc z niechęcią.

- Hej - powtórzył Gregor i skubnął ją w policzek. - Przyniosłem ci piżamę. Przebierz się! Już!

Z wielkim trudem i przymkniętymi oczami Francesca podniosła się i zaczęła się na siedząco rozbierać. Zanim się obejrzał, siedziała przed nim naga, z rozchyłonymi udami i głową przechyloną na bok, jakby spała. Miała doskonałe ciało, pełne piersi, szczupłą talię i jędrne uda - wszystko to stanowiło prawdziwe wyzwanie dla mężczyzny.

Gropius poczuł, że ma erekcję, i przez chwilę się zastanawiał, czy nie ulec chęci położenia się przy pięknej Włoszce. Po chwili jednak ogarnęły go wątpliwości. „Może jej zmęczenie było tylko odegrane, może wykorzystuje sytuację, żeby mnie uwieść?”

„Możliwe, że będziesz tego później żałował” - odezwał się głos wewnętrzny, drugi głos dodał jednak zaraz: „albo i nie”. W każdym razie Gropius wziął górę od piżamy, naciągnął rękawy na bezwładne ręce Franceski i zapiął guziki, następnie założył jej spodnie, przykrył ją i zgasił światło.

W głowie miał mętlik, kiedy szedł po schodach do swojej sypialni na piętrze.

Następnego ranka Gropius, leżąc jeszcze w łóżku, nie słyszał, że Francesca już jest na nogach. Całą noc przewracał się z boku na bok, a przed s oczami pojawiały mu się postaci dwóch kobiet. Jedną była Felicia, kobieta dojrzała i piękna, pewna siebie, a zarazem miła. Drugą była Francesca, pozornie chłodna, niemal nieprzystępna, ale w jego obecności miękka jak wosk. Każdy centymetr jej ciała działał na niego jak najsilniejszy afrodyzjak, nawet jej kształtne palce i wąski nos miały w sobie coś podniecającego. Z takimi myślami w końcu zasnął.

Francesca wzięła prysznic i się ubrała. Nawet bez makijażu była niezwykle atrakcyjną kobietą. Z trudem orientowała się w porządku panującym w kuchni Gregora, ale udało się jej w końcu uruchomić błyszczący chromem ekspres do kawy oraz toster.

Aromat śniadania unosił się po domu, kiedy dzwonek u drzwi zapowiedział nieoczekiwaną wizytę. Francesca otworzyła drzwi, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

- Tak, słucham? - powiedziała.

Dobrze ubrana kobieta stojąca na progu wydawała się zdziwiona, Wręcz zszokowana, kiedy zapytała:

- Kim pani jest, jeśli wolno spytać?

Dopiero teraz Francesca uzmysłowiła sobie, w jakiej sytuacji postawiła Gregora, i jej początkowa swoboda błyskawicznie ustąpiła miejsca widocznej nerwowości.

- Jestem Francesca Colella - przedstawiła się i dopięła górny guzik kurtki. - A pani?

- Felicia Schlesinger - odparła poruszona Felicia. - Gdybym wiedziała, że pani tu jest, oczywiście bym nie przychodziła. Gdzie jest Gregor?

- Zdaje się, że jeszcze śpi - powiedziała Francesca i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że ta uwaga jeszcze wszystko pogorszyła. - To znaczy... To nie tak, jak pani myśli. Gregor wszystko pani wyjaśni. Ale może wejdzie pani do środka?

- Nie, nie, nie trzeba. Może innym razem!

Felicia już zbierała się do odejścia, kiedy za Francesca pojawił się Gropius w szlafroku. Francesca rzuciła mu bezradne spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „przepraszam”.

- To ty, Felicio? - zapytał Gropius, bo nic lepszego mu nie przyszło do głowy. Błyskawicznie analizował w myślach, jakie skutki może mieć to nieoczekiwane spotkanie.

- Jak widzę, nie spodziewałaś się mnie dzisiaj! - drwiąco skonstatowała Felicia.

- Nie - odpowiedział Gropius i zakłopotany odchrząknął. - Ale, proszę, wejdź! Powstała nowa sytuacja.

Felicia z wahaniem przyjęła zaproszenie, ponieważ zaś sądziła, że przyłapała Gropiusa na gorącym uczynku, wchodząc, powiedziała:

- Nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień, Gregorze. - Słowa te zabrzmiały jednak tak, jakby miała na myśli coś wręcz przeciwnego.

Kiedy Gropius wprowadzał Felicię do domu, usłyszał, jak Francesca woła spod drzwi:

- Chyba lepiej już sobie pójde. Złapiesz mnie w hotelu!

Profesor chciał ją zatrzymać, ale kiedy podszedł do drzwi, Franceski już nie było.

- Jakaż to więc powstała nowa sytuacja? - zagadnęła zjadliwie Felicia.

Gropius opowiedział jej o Rodriguezie i dziwnym spotkaniu z Franceską. Stwierdził, że jest coraz bardziej przekonany, że za całym tym galimatiasem w związku ze śmiercią Schlesingera kryje się coś więcej, niż tylko nieludzkie działanie mafii handlującej narządami do przeszczepów. Że być może Schlesinger nie został zabity przy współudziale Fichtego. Że jego śmierć mogła mieć zupełnie inne tło.

- I jaka była? - zapytała Felicia, wysłuchawszy go spokojnie. Spotkanie Franceski zdawało się zajmować ją bardziej niż sprawa zamordowania męża. Od kiedy dowiedziała się o jego podwójnym życiu i romansie z młodą Izraelką, starała się wymazać go z pamięci.

- Nic nie było! - zapewnił Gropius. — Pokój Franceski w hotelu podczas jej nieobecności został przeszukany. Bała się.

- I w tym strachu przyszła do ciebie i zapytała, czy może się z tobą przespać!

- U mnie, Felicio. U mnie! To ogromna różnica.

- Też mi wytłumaczenie! - prychnęła Felicia, jakby chciała powiedzieć: „Kto w to uwierzy!”. W końcu powiedziała z wyraźną drwiną: - Gdybym się tutaj przypadkiem dziś nie zjawiała, nigdy bym się nie dowiedziała o tej historii. Tak, wy mężczyźni wszyscy jesteście tacy sami! - Wstała i już wychodząc, dodała: - Miałam nadzieję, że ty jesteś inny, ale się pomyliłam. Szkoda. Dziękuję, sama trafię do wyjścia.

Kiedy drzwi się zamknęły, Gropius poczuł się tak, jakby dostał w twarz. Skołowany pocierał policzek. Felicia była kobietą dumną, którą to cechę właściwie cenił u przedstawicielek płci pięknej, urażona duma to jednak niebezpieczny jad. Większość związków rozpada się właśnie z powodu urażonej dumy.

Przypomnił sobie piękne chwile, które razem spędzili. Teraz jednak targaly nim sprzeczne uczucia. Czy związek z Felicią był jedynie przelotnym romansem? Czy raczej dzisiejsze wydarzenia były sygnałem kryzysu, który kiedyś wkracza w każdą relację dwojga osób? Tak czy inaczej czuł się potraktowany przez Felicię niesprawiedliwie, a jeśli czegoś nie mógł znieść, to właśnie niesprawiedliwości. W przypiływie cynizmu uśmiechnął się do siebie, przypomniało mu się bowiem stare powiedzenie, że kto ma szczęście w kartach, ten nie ma szczęścia w miłości. „Jeśli chodzi o miłość, to miałem w życiu niewiele szczęścia, przyszła więc pora - pomyślał - żeby spróbować szczęścia w grze”.

W jego skołatanej głowie myśl o Rodriguezie mieszała się z tym, co opowiedziała mu o nim Francesca. Gropius nie wiedział, czy postępuje właściwie, mimo to postanowił zmusić lubieżnego księdza do mówienia.

Z bytności na polu golfowym znał dyrektora hotelu „Bayerische Hof”, którym był niejaki Bob Kusch. Co prawda się nie przyjaźnili, ale spotykali się od czasu do czasu i mówili sobie per ty, jak to jest przyjęte przy golfie.

Prośbę o ustalenie stałego adresu Rodrigueza, jaki podał przy rezerwacji, Bob zgodził się spełnić bardzo niechętnie, z zastrzeżeniem, że jeśli ktoś się o tym dowie, może go to kosztować utratę pracy. Gropius przysiągł na wszystkie świętości, że będzie milczał. Bob wprowadził dane do laptopa, który stał na biurku w jego biurze. Bez słowa odwrócił komputer w kierunku Gregora, który zanotował na kartce:

„Ramon Rodriguez, Carrer Caralt 17, Barcelona”.

Gropius uniósł brwi i spojrzał zdumiony.

- Pokój - dodał Kusch mimochodem - opłacono zresztą z firmowej karty kredytowej.

- Jak to? To tego Rodrigueza już tutaj nie ma?

Kusch obrócił laptop do siebie i spojrzawszy na monitor, odparł:

- Ramon Rodriguez dziś w nocy, o godzinie drugiej dziesięć, opuścił hotel. Jego rachunek uregulowano ważną kartą kredytową. Nic więcej mnie nie interesuje.

- Bob — zaczął Gropius zdenerwowany. — Nie sądzisz, że to dziwne, kiedy gość hotelowy wyjeżdża nagle w środku nocy?

Kusch przybrał minę pokerzysty.

- Wiesz, Gregor, duży hotel przyjmuje pod swój dach wielu dziwnych ludzi. Wydarzenie tego rodzaju zaliczyłbym do codziennych i niespecjalnie zaskakujących. Dziwne wydaje mi się raczej to, że ten cały Rodriguez upierał się przy rezerwacji pokoju numer dwieście trzydzieści jeden. Bo ten pokój nie zalicza się akurat do najlepszych w hotelu, a tak między nami, jest jednym z najgorszych, leży bowiem między помещением pokojówek i windą towarową, z widokiem na podwórze. Rzadko go wynajmujemy, zwykle kiedy hotel jest przepiękny.

Gregor analizował przez chwilę uzyskane informacje.

- Czy masz jakieś wyjaśnienie? — zapytał.

Bob Kusch wzruszył ramionami i się roześmiał.

- Istnieje wiele powodów, dla których gość nalega na wynajęcie konkretnego pokoju. Niektórzy są przesądni i upierają się przy określonym ciągu cyfr albo ich sumie. Inni kojarzą z danym pokojem jakieś szczególne przeżycie, które przywołuje wspomnienia, a jeszcze inni po prostu chcą za każdym razem nocować w tym samym hotelu i tym samym pokoju. Ale nie wiem, czy to cię interesuje, Gregor.

- Ależ tak - zapewnił Gropius. - Możesz sprawdzić w komputerze, czy ten Rodriguez z Barcelony już kiedyś tam nocował?

- Oczywiście, nie łatwiejszego! - Kusch, co budziło podziw Gropiusa, swobodnie poruszający się po zawilosciach programu komputerowego, za pomocą kilku kliknięć wywołał na monitorze listę wszystkich gości hotelu, którzy w ostatnim półroczu mieszkali w pokoju numer 231. - Ale to zostanie między nami! - powtórzył zastrzeżenie wyrażone na początku spotkania.

Gropius podniósł prawą dłoń.

- Słowo honoru, Bob, możesz mi zaufać! - przyrzekł i w napięciu śle dził dane przesuwające się na monitorze przed jego oczami.

- Stop! - Gropius nie wierzył własnym oczom. Na monitorze pojawiło się nazwisko Sheby Yadin. I następujące dane:

„Ulica Beit-Lechem, Tel Awiw-Jaffa, Izrael. Czas pobytu: 7 dni”.

- Co z tobą, Gregor? - Kusch zauważył, że profesor w jednej chwili pobladł. - Źle się czujesz? O co chodzi?

- Już w porządku - wyjąkał Gropius, ton jego głosu zdradzał jednak aż nazbyt wyraźnie, że nazwisko zauważone na liście gości zaskoczyło go.

- Znasz bliżej tę damę? - zagadnął ostrożnie Kusch.

- Nie, to znaczy tak. A właściwie nie. - Gropius wił się w zeznaniach jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku. Z jego punktu widzenia sprawa Rodrigueza i ludzi, którzy za nim stali, osiągnęła kolejny punkt kulminacyjny. Nie mogło być przypadkiem, że pojawiło się tutaj nazwisko kochanki Schlesingera.

Kusch wyjął z barku butelkę, nalał koniaku do pękatych kieliszków i podał jeden Gropiusowi.

- To nie moja sprawa - stwierdził, kiedy Gregor opróżnił kieliszek jednym haustem - ale nie wyglądasz dobrze. Może jednak mi powiesz, o co chodzi z tą damą? - wskazał palcem na monitor.

Gropius wyjął z kieszeni kartkę, na której przed chwilą zanotował adres Rodrigueza. Ze zmrużonymi oczyma dopisał adres Sheby Yadin.

- Proszę, nie miej mi tego za złe - powiedział, nie podnosząc wzroku - ale to zbyt długa opowieść. I prawdopodobnie uznałbyś, że zwariowałem.

- Jeszcze po jednym? - Kusch podniósł butelkę. Gropius przytaknął, po czym milcząco zapatrzył się w jakiś wyimaginowany punkt na przeciwległej ścianie. Kusch chętnie wypytywałby dalej, ale nie chciał uchodzić za ciekawskiego. Od czasu skandalu w klinice Gropius i tak już był wystarczająco zgnębiony i prawie w ogóle nie pokazywał się na polu golfowym.

Upłynęło kilka minut, aż Kusch zaczął nieświadomie bębnić palcami po biurku.

- Wybacz, Bob - odezwał się Gropius, który zrozumiał to jako wyraz zniecierpliwienia. - Wybacz, ale czy mógłbym sobie obejrzeć pokój numer dwieście trzydzieści jeden?

Kusch spojrzał na zegarek.

- Zdaje się, że jeszcze nie jest posprzątany.

- Nie szkodzi! - powiedział Gropius. - Nawet dobrze.

- W porządku. Chodźmy tam zatem, Gregorze.

Stan pokoju numer 231 rzeczywiście nie był najlepszy i kiedy przyszli, Gropius zauważył panujący tam straszny bałagan. Pokojówka, ciemnowłosa Portugalka, była właśnie zajęta ścieleniem łóżka. Carlo, elektryk, naprawiał coś przy telefonie.

Kusch rzucił elektrykowi pytające spojrzenie, na co ten oświadczył, że kierownik piętra zadzwonił do niego, że telefon jest uszkodzony.

- Wymienić! - warknął Bob Kusch oburzony.

Carlo pokręcił głową.

- Nie ma potrzeby, panie dyrektorze. Uszkodzenie jest już naprawione. Urwany drucik w słuchawce. Otóż, moim zdaniem...

- Nie pytam pana o zdanie! - przerwał mu dyrektor hotelu.

Gropius pociągnął Kuscha za rękaw marynarki, jakby chciał go powstrzymać, a zwracając się do elektryka, zapytał:

- Co chciał pan powiedzieć?

Carlo spojrzał nieufnie na Gropiusa, następnie przeniósł wzrok na Kuscha, jakby chciał się upewnić, czy mu wolno. Ponieważ nie było sprzeciwu, stwierdził:

— Moim zdaniem w tej słuchawce była zamontowana pluskwa. Wiem, jak się robi takie rzeczy. A przy demontażu podsłuchu gość uszkodził przewód. W każdym razie inaczej nie potrafię wyjaśnić takiego uszkodzenia. Teraz już wszystko w porządku, panie dyrektorze.

Bob Kusch starał się zbagatelizować całą sytuację i powiedział do Carla:

- Jest to jednak tylko przypuszczenie! Prosiłbym, żeby pan był ostrożniejszy z wyrażaniem takich podejrzeń. To luksusowy hotel, u nas takie rzeczy się nie zdarzają. Dziękuję, może pan odejść.

Hotelowy elektryk mruknął coś niezrozumiale pod nosem, co zabrzmiało jak „Akurat!”, wziął walizkę z narzędziami i wyszedł.

Targany wątpliwościami, Gregor oparł się o drzwi. Z wielkim trudem udało mu się skoncentrować. Jego mózg, jak komputer, choć nieskończenie wolniej, analizował wszystkie możliwości, jakie wynikały z nowo uzyskanych informacji. Najwidoczniej Schlesinger spotykał się z Shebą przez tydzień w Monachium. Oboje byli pod stałą obserwacją. Ich rozmowy musiały być dla pewnych ludzi tak ważne, że zamontowali podsłuch w pokoju hotelowym Sheby. Bez wątpienia Rodriguez należał do tej grupy. Gropius nie potrafił jednak wyjaśnić tego, że urządzenie podsłuchowe pozostawało w pokoju całymi miesiącami i akurat teraz zostało przez Rodrigueza usunięte.

— Nie traktuj tak serio tej historii z pluskwą - Kusch sprowadził Gropiusa do rzeczywistości. - Carlo to majsterkowicz i do rana do wieczora zajmuje się elektronicznymi zabawkami. Mówiąc w zaufaniu, jego podejrzanie o podsłuch to jeszcze nic. Od czasu kiedy dwa lata temu odbywało się tutaj spotkanie na szczycie poświęcone gospodarce światowej, i agenci CIA oraz innych służb wyrócili cały hotel do góry nogami, Carlo w każdym wazonie widzi zapalnik czasowy, a w każdym telefonie pluskwę. Dzięki Bogu jak dotąd wszystko okazywało się pomyłką. Mam nadzieję, że byłem ci pomocny, Gregorze!

Delikatnie, ale stanowczo, Kusch wypchnął Gropiusa z pokoju.

— O jeszcze jedno chciałem zapytać - powiedział Gropius, kiedy zjeżdżali windą. - System komputerowy hotelu zapamiętuje chyba wszystkie numery telefoniczne wybierane z telefonów wewnętrznych?

Odpowiedź Kuscha była pełna wahania, przeczuwał bowiem, że Gropius

będzie chciał poznać numery, na które w określonym czasie dzwoniło z telefonu zainstalowanego w tym pokoju. - Posłuchaj, Gregorze

- powiedział, kiedy szli do jego biura. - Stawiasz mnie w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Jeśli ktoś się o tym dowie...

- Wiem - odparł Gropius, kiedy Kusch zamknął za sobą drzwi biura. - Ale mógłbyś przecież odpowiednio ustawić komputer i na minutę wyjść z pokoju. Nie będziesz miał żadnego wpływu na to, co się wtedy wydarzy.

- Nieźle - wyraził swoje uznanie Kusch i wykonał kilka szybkich operacji na komputerze. - Twój sprytny pomysł nie znajdzie, niestety, zastosowania - oznajmił po chwili. - Rozmowy telefoniczne są rejestrowane tylko do dwóch miesięcy wstecz, a potem komputer usuwa je automatycznie. Spójrz, Gregorze!

Gropius rzucił okiem na monitor, gdzie wyświetlał się numer pokoju 231 oraz nazwisko Sheba Yadin. Poniżej migał napis: „Dane usunięto”.

- Mam jeszcze ostatnie pytanie - powiedział Gropius rozczarowany.

- Naprawdę ostatnie. Wspominałeś, że dziś w nocy Rodriguez nie regulował rachunku za hotel osobiście. W takim razie kto go zapłacił?

Spojrzawszy na monitor, Kusch odpowiedział:

- Zapłacono firmową kartą kredytową wystawioną na IND SA.

- IND? - zdziwił się Gropius. - Nigdy nie słyszałem.

ROZDZIAŁ 12

Lecąc samolotem do Tel Awiwu-Jaffy, Gropius miał przed oczami obraz Sheby Yadin. Co prawda nigdy jej nie widział, nie dysponował też żadną jej fotografią, ale zapadła mu w pamięć pewna ciemnooka Izraelka, spotkana kilka lat temu na kongresie w Tel Awiwie-Jaffie, na którym był razem z Veronique. Sheba, tego był pewien, była w tej intrydze postacią kluczową. Wiedziała, w jaki sposób Schlesinger zdobył dziesięć milionów euro. Ba! Zapewne wiedziała znacznie więcej. Musiał ją więc odnaleźć.

Wiosna, która na wschodnich brzegach Morza Śródziemnego gościła już od dawna, nie była dla niego przeszkodą w podróży. Wprost przeciwnie, Gropius liczył, że być może zdoła uwolnić się na kilka dni od frustracji, jaka się w nim nagromadziła, a także od strachu, który od miesięcy stale mu towarzyszył. Od czasu pechowego spotkania z Francescą Felicia postanowiła go ukarać lodowatym milczeniem, z kolei piękna Włoszka po incydencie w hotelu i spotkaniu z Felicią pospiesznie wyjechała.

Po czterogodzinnym locie pod atramentowym niebem samolot linii lotniczych EL AL wylądowała na lotnisku Ben-Gurion. Małomówny taksówkarz w ciągu dwudziestu minut zawiózł Gropiusa na ulicę Hajarkon, gdzie znajdowała się większość hoteli działających w mieście. Gropius miał zarezerwowany w hotelu „Dan Tel Aviv” pokój z zapierającym dech w piersiach widokiem na morze i wybrzeże, na którym już zbierali się pierwsi

plażowicze. Zapatrzony w dal, gdzie zacierała się granica między niebem a morzem, zaciągnął się głęboko ciepłym, wiosennym powietrzem.

Następnego ranka wybrał się na poszukiwanie Sheby Yadin. Ulica Beit-Lachem była położona w niezbyt eleganckiej dzielnicy. Uwagę zwracały wielkie dzwonki na ścianach poszczególnych domów i tabliczki z nazwiskami właścicieli, których Gropius - ze względu na barierę językową - w większości nawet nie potrafił odczytać. Brodaty młody chasyd w czarnej szacie i jarmulce znał angielski, a choć początkowo sprawiał wrażenie obojętnego i zamkniętego, zaofiarował się zaprowadzić Gregora pod wskazany adres.

Na trzecim piętrze czynszowej kamienicy chasyd zadzwonił do środkowych drzwi, po czym pożegnał się uprzejmym „Szalom”.

Drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku, od długich, ciemnych włosów związanych w kok. Nieufnie, od stóp do czubka głowy, zmierzyła przybysza wzrokiem. Dopiero kiedy Gropius wymienił swoje nazwisko i łamaną angielszczyzną wyjaśnił, że szuka Sheby Yadin, wyraz twarzy kobiety stał się bardziej przyjazny. Zapytała:

- Czy pan jest Niemcem? Wygląda pan tak niemiecko.

Ku swojemu zdumieniu Gropius przekonał się, że kobieta mówi po niemiecku.

- Tak - odpowiedział i od razu zapytał: - Pani mówi po niemiecku?

- Mój ojciec był Niemcem - odparła kobieta z goryczą w głosie. - Ale nie mówmy o tym. Czy jest pan przyjacielem Schlesingera?

Gropius się przeraził. Jak zareagować?”

- Czy pani wie, że Arno Schlesinger nie żyje?

- Wiem - powiedziała kobieta. - Ale może pan wejdzie?

- Pani jest...? - zapytał Gregor, siadając w skromnie umeblowanym pokoju z kamienną posadzką.

- .. .matką Sheby - odpowiedziała kobieta i pokiwała głową. - Czego pan chce od Sheby, panie...?

- Gropius! Nie wiem, czy jest pani wiadome, że pani córka i Schlesinger. .. Cóż, mieli romans.

- Zawsze byłam przeciwna temu związkowi! - zapewniła pani Yadin zirytowana. - Ale pannica nie będzie przecież słuchała matki. Od kiedy ojciec Sheby nie żyje, robi, co jej się podoba. Ale sprawa sama się przecież rozwiązała.

- Sheba mieszka tutaj z panią? - zasięgnął informacji Gropius.
- Rzadko przyjeżdża do domu. Od czasu kiedy się dowiedziała o śmierci Schlesingera, jest bardzo rozkojarzona. Początkowo nosiła się nawet z myślą, żeby porzucić swój zawód, bo dzień w dzień przypominał jej o tym Schlesingerze.

-- Pani córka jest archeologiem?

- Podobno nawet bardzo dobrym. W każdym razie była, dopóki nie spotkała Schlesingera. Od tamtej pory miała w głowie tylko tego mężczyznę. Gdyby mnie pan zapytał, panie Gropius, to nie jest mi jakoś szczególnie przykro, że Schlesinger nie żyje.

- Pani znała Schlesingera?

- Nie, nigdy go nie widziałam, chociaż rzekomo miał się żenić z Shebą.

- Schlesinger miał już żonę!

- Wiem o tym, ale podobno chciał się rozwieść. Tak twierdziła Sheba.

- A gdzie obecnie przebywa Sheba?

- Gdzieś na pustyni pod Beer Szewa, ponad sto kilometrów stąd na południe, w jakimś obrzydliwym miejscu na skraju pustyni Negew. Ale miasto ma wielką historię. Prowadzą tam wykopaliska razem z francuskim archeologiem. Contreau, zdaje się, że tak brzmi jego nazwisko.

- Może Contenau, Pierre Contenau?

- A tak, właśnie, tak się nazywa. Pan go zna?

- Słyszałem o nim. Podobno odkrył miasto Izraelitów mające trzy tysiące lat.

- Nie wiem, jaki z tego pożytek, ale Shebie sprawia przyjemność to babranie się w piasku. Nie narzekam, skoro jeszcze jej za to płacą. Czym właściwie się pan zajmuje, panie Gropius?

Starając się umniejszyć swoje znaczenie, odpowiedział:

- Dbam o zdrowie ludzi.

- Aha, jest pan lekarzem? Z prawdziwą praktyką?

- Tak - odparł Gropius zakłopotany.

- A dlaczego pyta pan o Shebę, doktorze Gropius? Chyba nie jest chora?

- Ależ skąd! - Gropius starał się uspokoić pełną temperamentu kobietę. - Jestem przyjacielem rodziny, a Schlesinger, umierając, pozostawił kilka nierozstrzygniętych spraw, które tylko pani córka może pomóc mi wyjaśnić. W żadnym razie nie powinno to pani niepokoić.

Pani Yadin popatrzyła sceptycznie. „Prawdopodobnie - pomyślał Gropius - marny z ciebie aktor, marny kłamca, albo - co byłoby jeszcze gorsze - jedno i drugie naraz”. Czuł się bardzo niezręcznie.

W milczeniu, które zapanowało na dłuższą chwilę, pani Yadin zadała nagle pytanie:

- I z tego powodu przyleciał pan z Niemiec do Izraela?

Gropius wzruszył ramionami.

Pani Yadin ciągnęła zaciękawiona:

- O co chodzi? Może ja mogę panu w czymś pomóc, doktorze Gropius?

- Nie, nie sądzę! - zapewnił Gregor. - Chodzi o kwestie archeologiczne, o których Schlesinger przypuszczalnie rozmawiał z Shebą.

- Myśli pan o wykopaliskach pod Jerozolimą?

- Tak, właśnie.

Wtedy szczere oblicze kobiety gwałtownie się zachmurzyło. Oświadczyła:

- Tak, w tym rzeczywiście nie mogę panu pomóc. Przykro mi. A teraz, pan wybacz... - Wstała, żeby odprowadzić gościa do wyjścia.

- Mówią, że to nie był wypadek, to, co spotkało Schlesingera, tylko zamach bombowy - rzucił Gropius, kiedy już szli do drzwi.

- Ludzie dużo gadają - orzekła pani Yadin. - Przecież pan wie, że my, Żydzi, jesteśmy wielkimi gawędziarzami. W każdym razie ja nic nie wiem.

Profesor wskazał na zdjęcie, które stało w srebrnej ramce na niewysokim kredensie.

- Czy to pani córka, Sheba?

- Tak - odparła pani Yadin, nie mówiąc nic więcej.

- Naprawdę bardzo ładna - stwierdził Gregor, i to wcale nie z czystej uprzejmości. Sheba była piękna. Miała długie czarne włosy i ciemne oczy, a wydatnym kościom policzkowym zawdzięczała egzotyczny urok, który był dodatkowo wzmocniony przez znamię na policzku.

Pogrążony w zadumie Gropius pożegnał się z panią Yadin.

Znalazszy się znów na ulicy, przespacerował się do najbliższego postoju taksówek przed jakimś hotelem, dwie przecznice dalej. Słońce przyjemnie świeciło mu w twarz i Gropius oddał się rozmyśleniom. Jego nieufność wobec matki Sheby była równie duża jak podejrzliwość, którą ona ujawniła w stosunku do niego. To oczywiste, że wiedziała znacznie więcej na temat związku Sheby i Schlesingera, nawet jeśli tego ostatniego nigdy

nie spotkała. I niewątpliwie istniał jakiś powód, dla którego tak nagle przerwała rozmowę, kiedy zaczął mówić o tajemniczym wypadku archeologa. W każdym razie Gropius uzyskał informację, gdzie może znaleźć Shebę, i postanowił jeszcze tego samego dnia pojechać do Beer Szewy.

W hotelu wynajął białego chryslera z klimatyzacją i ruszył na południe autostradą A1, łączącą Tel Awiw-Jaffę z Jerozolimą, następnie skręcił w A4 w kierunku Gazy i po przejechaniu około trzydziestu kilometrów dotarł do szosy numer 40, która od tego miejsca prowadziła przez stepowy krajobraz, ożywiony od czasu do czasu soczystą zielenią większego skupiska krzewów i drzew. Dwadzieścia kilometrów przed Beer Szewą krajobraz zmienił się w krasową pustynię Negew, gdzie dominowały odcienie ochry i brązu, a niewielkie urządzenia nawadniające zamieniały skrawki piasku w rajski ogród.

Była środa, dlatego ulice Beer Szewy wypełniały tłumy, tego dnia bowiem odbywał się tutaj, jak zawsze, targ Beduinów, hałaśliwe wydarzenie, które przyciągało ludzi z całego Izraela. Na Starym Mieście, które przed stu laty zaplanowali niemieccy inżynierowie, przez co wyglądało jak szachownica poprzecinana prostymi ulicami, Gropius znalazł pokój w hoteliku o nazwie „Hanegev”, nieopodal muzeum przy ulicy Jom Ha-Acmaut, ulokowanym w dawnym meczecie tureckim.

Portier był ukraińskim Żydem o imieniu Władimir i w charakterystycznym dla siebie dialekcie, będącym mieszaniną jidysz, rosyjskiego i angielskiego, każdemu nowemu gościowi hotelowemu oznajmiał, że w rodzinnym Sewastopolu był dyrektorem teatru. Od tego pracownika hotelu, szczącącego się akademickim wykształceniem, Gropius się dowiedział, że Pierre'a Contenau wraz z zespołem można znaleźć kilka kilometrów za północnym krańcem miasta, na wzgórzu Tel Beer Szewa. Ale będzie to możliwe dopiero jutro. Władimir spojrzął na zegarek i z uniesionym palcem wskazującym oświadczył, że ze względu na ogromny upał profesor w południe przerywa pracę.

Następnego ranka Gregor Gropius wstał wcześniej. Nie miał z tym większego problemu, gdyż hotel był pełen hałaśliwych gości, a mieszkańcy miasta zdawali się być na nogach już od świtu. Śniadanie - wymagające zapomnienia o europejskich przyzwyczajeniach — składało się głównie z kawałków ryby, twarogu i żółtego sera. Wyśmienicie smakował za to pszenny chleb.

Używając mnóstwa słów i zamasztych gestów, portier o teatralnej przeszłości opisał drogę do Tel Beer Szewy, położonej na wschód od szosy numer 60, biegnącej w kierunku Hebronu.

Kiedy Gropius dotarł na rozległe wzgórze, poprzecinane murami obronnymi i suchymi meandrami fos, i zaparkował samochód na polnej drodze pełnej pyłu, słońce było jeszcze nisko, a długie cienie błędziły po terenie wykopalisk. Tablica wskazywała na istnienie w pobliżu niewielkiego muzeum. Z drewnianej chaty, która pozornie bez powodu stała wśród tego krasowego krajobrazu, wyszedł z głośnym wołaniem mężczyzna w tradycyjnym stroju palestyńskim. Kiedy się zbliżył, Gropius ujrzał śniadą twarz syna pustyni, porośniętą srebrnobiałą szczecina. W lewej dłoni strażnik trzymał strzelbę ze staromodnym zamkiem, służącą raczej jako rekwiwit niż broń do strzelania.

Mówił jednak po angielsku i profesor zdołał mu wyjaśnić, że przyjechał z Niemiec i szuka Sheby Yadin. Prośbie o zaprowadzenie do niej strażnik stanowczo odmówił i nalegał, żeby Gropius zaczekał przy samochodzie, on zaś zobaczy, co będzie można zrobić. Groźnie przy tym mierzył do niego ze swojej strzelby.

Choć był dopiero wczesny ranek, powietrze nad ruinami murów, które udało się odsłonić podczas prac wykopaliskowych, zaczęło falować. Urządzenie zraszające wytwarzało sztuczny deszcz, napełniając otoczenie zapachem wilgotnego pyłu. Gropius patrzył niecierpliwie na wschód, tam, gdzie palestyński strażnik zniknął za wałem ziemnym.

Kiedy po kilkunastu minutach strażnik w końcu się pojawił, już z daleka zawołał, że pani Yadin od dawna nie pracuje przy wykopaliskach, a pan Contenau nie chce, żeby mu przeszkadzano. Kątem oka Gropius dostrzegł, że ktoś ukryty w drewnianej chacie obserwuje go przez lornetkę.

Gregor udawał, że nic nie zauważył, nie chciał się także zadowolić informacją uzyskaną od palestyńskiego strażnika, zlecił mu więc zadanie przekazania Contenau, że profesor Gropius z Monachium chciałby z nim porozmawiać. Palestyńczyk ponownie się oddalił, tym razem jednak poszedł w innym kierunku.

Po kilku minutach w miejscu, gdzie zniknął wartownik, pojawił się mężczyzna o europejskich rysach twarzy, którego lniane ubranie koloru khaki i korkowy kapelusz sugerowały, że jest to Pierre Contenau.

- Witamy na Tel Beer Szewa! - powiedział po francusku, na co Gropius odpowiedział w swoim języku:

- Dziękuję, monsieur. Muszę przyznać, że trzeba się wykazać naprawdę wielką siłą przekonywania, żeby pański strażnik zechciał zapowiedzieć panu przybycie kogoś z zewnątrz.

Contenau się zaśmiał.

- Tak, Jussuf czasem trochę przesadza. Proszę mi wybaczyć pytanie, muszę je jednak zadać. Czy jesteśmy kolegami po fachu?

- Nie - odparł Gropius. - Jestem lekarzem, ale przybywam z powodu jednego z pańskich kolegów!

- Schlesingera?

Nazwisko to wybrzmiało w drżącym od upału powietrzu jak jakiś złowieszczy czar. Gropius miał wrażenie, że Contenau już pożałował tego, że tak spontanicznie wspomniał zmarłego archeologa.

- Tak, Schlesingera - odpowiedział Gropius. - Pan go znał?

Contenau otarł czoło rękawem i na chwilę zamknął oczy.

- Co to znaczy „znał”? - odezwał się w końcu. - Obaj zajmowaliśmy się tą samą dziedziną nauki - archeologią biblijną. Byliśmy raczej rywalami niż przyjaciółmi. Nie wykluczało to jednak utrzymywania normalnych relacji towarzyskich. Chyba pan to rozumie.

- Ależ oczywiście! - zapewnił Gropius i mrugnął porozumiewawczo. Tymczasem zbliżył się do nich Jussuf i przysiadł na piasku w cieniu chryslera. Obojętnie patrzył w dal, ze strzelbą między skrzyżowanymi nogami. Gropius poważnym tonem ciągnął: - Mówią, że ten wypadek samochodowy Schlesingera to nie był tak naprawdę wypadek.

Contenau podszedł bliżej i zapytał:

- Tylko co?

- Napad, zamach, czyjeś celowe działanie!

- Kto tak mówi?

- Między innymi pan, monsieur. Tak w każdym razie twierdzi doktor Rauthmann z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Humboldta w Berlinie.

- Takich jak Rauthmann określa się w moim kraju dosadnym słowem *laveuse*, czyli, pan wybaczy, szmata.

Gropius przyjrzał się Contenau, mrużąc oczy. Po pierwsze, z powodu silnego słońca, po drugie, aby dać rozmówcy do zrozumienia, że niekoniecznie ufa jego słowom. Po chwili drążył dalej:

- Nic pan zatem nie wie o zamachu na Schlesingera?

Contenau z niesmakiem pokręcił głową.

- Czy po to pan przyjechał, monsieur Gropius, żeby się czegoś dowiedzieć o Schlesingerze? Schlesinger nie żyje. Niech pan zostawi go w spokoju.

- Właściwie skąd pan wie, że Schlesinger nie żyje? - Gropius spojrzał wyczekująco na Francuza.

Ten ponownie otarł czoło. Tym razem jednak nie z powodu upału, ale raczej ze zmieszania. Dość zniecierpliwiony odpowiedział:

- Od Sheby Yadin, zdaje się. Tych dwoje znało się od dawna.

- Jej matka mówiła mi, że spotkam tutaj Shebę. Twierdziła, że Sheba pracuje z panem.

- Ze mną? - Contenau wyglądał na oburzonego. - Niech pan posłucha, monsieur, pańskie wypytywanie powoli zaczyna działać mi na nerwy. Czuję się tutaj jak na przesłuchaniu. Co to właściwie ma znaczyć? Nie miałem nic wspólnego ani ze Schlesingerem, ani z Shebą Yadin. Zechce mi pan teraz wybaczyć! - Rzucił Palestyńczykowi kilka słów po arabsku, na co tamten wstał i pobiegł w kierunku chaty.

- Naprawdę powinien pan zostawić to w spokoju - dodał jeszcze Contenau, odwracając się na chwilę. - Proszę mi wierzyć, to się może dla pana źle skończyć...

W tej sprawie było coś wyraźnie podejrzanego. Mimo natłoku takich myśli, po powrocie do hotelu Gropius położył się do łóżka, żeby złapać kilka godzin snu. Obudził się z wyschniętym gardłem i przekonaniem, że Contenau musi mieć jakiś powód, żeby trzymać Shebę z dala od niego. Dręczony pragnieniem przyniósł z restauracji butelkę mdłej niegazowanej wody „Eden”, którą z oporem wypił.

Beer Szewa, miasto liczące sto tysięcy mieszkańców pochodzących z różnych krajów, na obcokrajowcu nie robi szczególnie zachęcającego wrażenia. Zabytkowe centrum na południu przypomina miejscami miasteczka poszukiwaczy złota, jakie można zobaczyć już tylko w westernach. Gropius był zresztą zbyt zajęty własnymi problemami, żeby uwzględniać w planie pobytu zwiedzanie miasta. Bardziej interesowało go to, w jaki sposób mógłby odnaleźć Shebę. Poddanie się nie wchodziło w grę.

Gropius znalazł sprzymierzeńca w osobie Władimira, byłego dyrektora teatru w Sewastopolu. Doprowadził starego portiera do leż, recytując mu kilka wersów monologu Fausta w języku Goethego:

*Z lodowych więzów rzekę i strumyki
Ożywczy, słodki rozkul wiosny wzrok.
Zieleń już stroi dolin stok,
A siwy zamróż wstecz ku szczytom dzikim
W odwrocie starczy swój skierował wzrok. **

Był to zresztą jedyny monolog, jaki został mu w pamięci z czasów szkoły.

Gropius poprosił Władimira o pomoc w odnalezieniu Sheby Yadin, młodej pani archeolog z Tel Awiwu-Jaffy, Władimir zaś był niemal pewien, że ją znajdzie, znał bowiem wielu ludzi w Beer Szewie. Już jednak następnego dnia nadzieja Gropiusa znacznie się zmniejszyła, gdy Władimir po rozległych poszukiwaniach ustalił, że archeolog o tym nazwisku nigdy nie pracowała przy wykopaliskach na Tel Beer Szewa.

Gregor kończył właśnie posiłek w restauracji na końcu ulicy, przy której znajdował się jego hotel, ogarnięty bezradnością i rosnącym z godziny na godzinę zubożeniem, kiedy podszedł do niego jakiś człowiek. Natychmiast go rozpoznał, chociaż tym razem był ubrany zupełnie inaczej, bo współcześnie. Był to Jussuf, wartownik z Tel Beer Szewa. Uprzejmie zapytał, czy może się dosiąść, a Gropius wskazał mu krzesło.

Niezwykle długo siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu. Tylko od czasu do czasu Jussuf spoglądał życzliwie na profesora, a kiedy ich spojrzenia się spotykały, Palestyńczyk kiwał głową. Powtórzyło się to kilkakrotnie, aż w końcu Jussuf odzyskał mowę i zauważył:

- Chłodny wieczór, nie sądzi pan?
- O tak, ale całkiem przyjemny - odpowiedział Gropius.

Ponownie nastąpiło długie milczenie, podczas którego strażnik wyciągał z kieszeni orzechy pistacjowe i pojedynczo kruszył je zębami.

Gropius nie wiedział, jak się zachować - czy to spotkanie jest wynikiem przypadku, czy też raczej Palestyńczyk ma dla niego jakąś informację. Problem rozwiązał się sam, kiedy Jussuf nagle zapytał:

- Czego pan chce od pani Yadin?
- Pan ją zna? - zapytał Gropius podekscytowany.
Palestyńczyk skrzywił się i nic nie odpowiedział.

- Muszę z nią porozmawiać - zaczął Gropius. - Sheba Yadin przyjaźniła się z Arnem Schlesingerem, niemieckim archeologiem, który, niestety, zmarł. Jestem przyjacielem rodziny i chciałbym się dowiedzieć kilku rzeczy, które może mi wyjaśnić jedynie pani Yadin.

- O tak, pan Schlesinger - westchnął Jussuf, kiwając głową.

Stopniowo Gropius zaczął odnosić wrażenie, że spotkanie to raczej nie jest przypadkowe, że staremu Palestyńczykowi chodzi o pieniądze - chce, żeby mu zapłacić za informacje. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął banknot w kolorze lila wartości pięćdziesięciu szekli i dyskretnie podał pod stolikiem.

Z dłońmi wspartymi na lasce Palestyńczyk łaskawie obejrzał pieniądz, skrzywił się z niesmakiem i jakby trafił na gorzkie ziarno, wypluł jedną pistację na ziemię. Jednocześnie odwrócił się od Gropiusa.

- Dobrze, ile pan chce? - profesor z trudem starał się ukryć zdenerwowanie.

Ze wzrokiem skierowanym na przeciwległą stronę ulicy i obojętnością patriarchy Palestyńczyk odparł:

- Dziesięć tysięcy.
- Dziesięć tysięcy szekli! - Gropius przeliczył w myślach tę kwotę, uzyskując równowartość trzech tysięcy euro. Suma obłędna dla kogoś takiego jak Jussuf. - A co otrzymam za te pieniądze? - zapytał.

Palestyńczyk nachylił się nad stolikiem i powiedział przez zęby: - Wszystko, co wiem na temat pana Schlesingera i pani Yadin. A wiedza ta jest warta znacznie więcej niż dziesięć tysięcy szekli. Niech mi pan wierzy.

Gropius roześmiał się sztucznie.

- Niech pan posłucha, Jussuf. Wiem, że ci dwoje mieli romans, mimo że Schlesinger był żonaty.

- Nie o tym mówię - przerwał mu Palestyńczyk. - Mam na myśli wykopaliska Schlesingera w Jerozolimie. Nie bez powodu pan Schlesinger wszystkim swoim pomocnikom i kopaczom płacił duże pieniądze, żeby trzymali gęby na kłódkę. Świetnie wiedział, ile jego odkrycie jest warte dla pewnych ludzi. Nie jest pan zresztą pierwszą osobą, która interesuje się

pracami Schlesingera. Jakiś Hiszpan zaferował Contenau znacznie większe pieniądze niż te, których ja chcę od pana, Ale Contenau wiedział tylko tyle, ile ja mu opowiedziałem, a to co najważniejsze, zatrzymałem dla siebie. Teraz również ja chcę kawałek tego tortu dla siebie! - Gniewnie stuknęła łaską w podłogę.

Gropius skinął głową. Nagle bowiem zrozumiał, dlaczego sprawa Schlesingera jest taka zagmatwana - krzyżują się w niej tropy dwóch zbrodni. Profesor był wciąż daleko od rozwiązania całej tej łamigłówki, ale właśnie poczuł, że może pójść nową drogą, która być może doprowadzi go w końcu do sukcesu.

W ułamku sekundy nieufność zniknęła z twarzy Gropiusa, ustępując miejsca uprzejmości.

- A więc dobrze - powiedział. - Połowa sumy od razu, a druga połowa później, jeśli pańskie informacje rzeczywiście będą zawierały coś nowego.

Jussuf chwilę się zastanawiał, po czym wyciągnął otwartą dłoń przez stół. Gropius zrozumiał i przybił.

- Zdobędę pieniądze jutro rano.

Palestyńczyk kiwnął głową.

- Ufam panu, panie Gropius.

- Jak pan mnie znalazł?

Jussuf zmrugał oczy, co utworzyło na jego twarzy setki zmarszczek, i powiedział: .

- Beer Szewa nie jest taka duża żeby nie można było znaleźć obcokrajowca. Są tutaj tylko cztery hotele. Początkowo sądziłem, że taki elegancki Europejczyk jak pan wysiadzie pod „Desert Inn”. Ale potem zobaczyłem pańskiego chryslera zaparkowanego przed „Hanegev”, a Władimir wiedział, gdzie pana znajdzie.

Palestyńczyk odmówił wyjawienia jakiegokolwiek z posiadanych informacji. Również nie powiedział nic o Shebie Yadin. Nalegał raczej na to, aby spotkali się następnego dnia w Jerozolimie, dokąd dotrą innymi drogami.

- W południe, czyli o dwunastej, na dworcu autobusowym, od frontu. I niech pan nie zapomni pieniędzy, panie Gropius! - Zanim Jussuf udał się w kierunku Starego Miasta, mruknął jeszcze: - Niech pan spokojnie siedzi. Nie byłoby dobrze, gdyby nas zobaczono razem. Pan rozumie?!

Gropius niczego już nie rozumiał. Bezradnie patrzył na swój pusty talerz, na którym w trakcie ich rozmowy przyniesiono smakowite „of sum-sum”, czyli smażone na oleju kawałki kurczaka w sezamie. Dyskretnie przyjrzał się ludziom siedzącym przy pozostałych stolikach. Czuł się obserwowany, choć nie było najmniejszego powodu do takiego podejrzenia. Pewne siebie zachowanie Palestyńczyka zbiło go z tropu. Strażnik z terenu wykopalisk nie był niewykształcony i podobnie jak w wypadku wszystkich mieszkańców Wschodu, niełatwo było stwierdzić, jakie naprawdę nastawienie ukrywa za maską uprzejmości. A jeśli Jussuf wciąga go w zasadzkę? I dlaczego akurat do Jerozolimy? Miasta, w którym od czasów biblijnych łatwo się ukryć?

Jeszcze tego samego dnia Gropius udał się do Jerozolimy, oddalonej niecałe dwie godziny jazdy samochodem na północ. Hotel „Król Dawid” przy ulicy o tej samej nazwie emanował lekko dekadentkim urokiem typowym dla budowli z początku dwudziestego wieku. Gropius wynajął pokój na piątym piętrze, z widokiem na park i starą Jerozolimę.

Źle spał, nie wiedział bowiem, co go czeka, wciąż jednak żywił nadzieję, że dowie się czegoś istotnego o Schlesingerze. Dlatego w banku hotelowym podjął sumę, która miała otworzyć usta Jussufowi. Ponieważ nie orientował się w charakterze ruchu drogowego w Jerozolimie, już na godzinę przed umówionym terminem spotkania złapał taksówkę i kazał się zawieźć na dworzec autobusowy. Chociaż taksówkarz, polski Żyd, nie pojechał najkrótszą drogą - Gropius miał wrażenie, że ten sam budynek widział co najmniej dwukrotnie - i tak dotarli pod dworzec pół godziny za wcześniej.

Wypatrując Jussufa wśród hałaśliwych handlarzy, chłopów i robotników z Jerozolimy Wschodniej oraz rodzin, które podróżowały gdzieś z całym dobytkiem, Gropius uświadomił sobie, jak lekkomyślnie się zachował. Ręką mocno przyciskał do siebie pieniądze schowane w dwóch kopertach w wewnętrznej kieszeni marynarki. Nie znał nawet nazwiska Jussufa. Zapewne dalej rozważały te niejasne zagadnienia, gdyby nagle nie zatrzymał się obok niego rozklekotany samochód. Na tylnym siedzeniu siedział Jussuf. Otworzył drzwi i zaprosił Gropiusa, żeby wsiadł.

Jussuf od razu przeszedł do rzeczy, pytając bez ogródek:

- Ma pan pieniądze, panie Gropius?

Wyciągnął następnie otwartą dłoń. Gropius z wahaniem podał jedną z dwóch kopert Palestyńczykowi, który w eleganckim ubraniu był nie do poznania. Jussuf dał znak kierowcy, na co ten ruszył.

Pojechali Jafo, ulicą Króla Jerzego V, na południe, później jednak Gropius stracił wszelką orientację.

- Dokąd jedziemy? - niepewnie zasięgnął informacji. Kierowca, również Palestyńczyk, dzielnie przedzierał się przez miejski ruch uliczny.

- Niech pan zaczeka! - odpowiedział Jussuf, przewracając oczami.

Przed nimi pojawiły się stare mury miasta. W miejscu gdzie mur zmienia kierunek i pod kątem prostym skręca na wschód, Jussuf dał kierowcy znak, żeby się zatrzymał.

- Proszę za mną, panie Gropius - powiedział i swoją laską wskazał na górę Syjon, na której wznosiła się wieża, kopuła świątyni i klasztor. Na górę prowadziła wąska ścieżka. Było południe i wiosenne słońce bezlitośnie prażyło z nieba.

Gropius zrezygnował z zadawania pytań upartemu Palestyńczykowi. „Niech się dzieje, co chce” - pomyślał. Długo nie musiał jednak czekać. Niebawem Jussuf opuścił ścieżkę i przedarł się przez zarośla do skalistej okolicy. Gropius szedł za nim.

Jussuf zatrzymał się przed kamiennym murem, stuknął laską w skaliste podłoże, jakby chciał oznaczyć teren, i oznajmił:

- W tym miejscu pan Schlesinger prowadził ostatnie wykopaliska. Byłem u niego nadzorcą. Znałem tutaj każdy kamień, nie był mi obcy żaden występ skalny, żadna formacja geologiczna. I tutaj się to wydarzyło.

- Ten wypadek ze Schlesingerem?

Jussuf zignorował pytanie Gropiusa i kontynuował:

- Schlesinger uzyskał od Izraelskiego Departamentu do spraw Starożytności pozwolenia na dwa projekty wykopaliskowe. Oficjalnie poszukiwał fundamentów domu, w którym mieszkała Maria, postać odgrywająca wielką rolę w religii katolickiej. Sądzę jednak, że kiedy rozpoczął prace, miał już w głowie coś zupełnie innego. Schlesinger musiał znaleźć jakąś wskazówkę, która doprowadziła go do kopania akurat w tym miejscu! - Jussuf laską narysował w powietrzu koło. Gropius dostrzegł kolisty wał ziemny, który miał średnicę około dziesięciu metrów.

- Moi ludzie - ciągnął Jussuf - kopali cztery dni, kiedy na głębokości dwóch i pół metra natrafili na skrzynię z wapienia, z grubsza ociosaną,

długości niecałego metra, zamkniętą kamienną pokrywą. Pan Schlesinger polecił mi za pomocą łomu podważyć tę pokrywę. Zawartość była dość rozczarowująca, przynajmniej dla mnie: ludzkie kości. Cóż, po ich złożeniu zdołali odtworzyć szkielet tego człowieka, ale szczególnie ciekawe to nie było. Ale dla pana Schlesingera - wręcz przeciwnie. Wyglądał na bardzo podekscytowanego i polecił natychmiast z powrotem zamknąć kamienną skrzynię. Ponadto musiałem zwolnić z dnia na dzień swoich ludzi. Wszyscy dostaliśmy sowitą odprawę. Mieliśmy jednak zachować wszystko w sekrecie. Następnego dnia sprawy przybrały dramatyczny obrót.

Gropius, nerwowo stukając czubkiem buta w skaliste podłoże, powiedział cicho:

- Niech pan opowiada dalej!

- Nie zauważyłem wtedy, że na przedniej ścianie kamiennej skrzyni był wykuty napis. Ale nawet gdybym zwrócił na niego uwagę, nic by to nie dało, gdyż nie potrafiłem go przeczytać. Również pan Schlesinger nie był pewien, czy dobrze interpretuje znaczenie znaleziska. Zasięgnął porady eksperta od pisma, który stwierdził, że chodzi o tekst napisany po aramejsku.

- I? Jak brzmiał napis?

Jussuf podszedł bardzo blisko Gropiusa i cicho powiedział:

- Jezua, syn Józefa, brat Jakuba.

Kiedy to mówił, oczy mu błyszczały.

Gropius długo patrzył na Palestyńczyka. Niełatwo było mu ogarnąć znaczenie treści tego napisu. Dopiero stopniowo, kiedy z mgły spowijającej tę historię wyłoniło się wydarzenie, które niweczyło wszystkie dotychczasowe przekonania, uświadomił sobie wagę znaleziska i przełomowy charakter inskrypcji.

- Jeśli dobrze pana rozumiem - odezwał się Gropius - Schlesinger wierzył, że odnalazł kości Jezusa z Nazaretu.

- On w to nie wierzył - wtrącił Jussuf. - On był o tym przekonany. Pan Schlesinger robił wszystko, żeby dowieść swojej teorii. Musi pan zrozumieć, że miał wszystkich przeciwko sobie: archeologów, teologów, biblistów. Archeolodzy uznali kamienną skrzynię za nieudolne fałszerstwo, teolodzy twierdzili, że szczątków Jezusa z Nazaretu w ogóle nie sposób znaleźć na tej ziemi, ponieważ Jezus wstąpił do nieba, bibliści z kolei powiadali, że w tamtych czasach imię Jezua czy Jezus wcale nie było rzadkie,

mogło więc chodzić o kości jakiegoś innego człowieka zmarłego przed dwoma tysiącami lat.

Słowa Jussufa wzbudziły podziw Gropiusa. Jak na człowieka o jego pozycji, był niezwykle wykształcony i potrafił się posługiwać wyszukany językiem. Gropius zwątpił, czy rzeczywiście jest to prosty syn pustyni, za jakiego chciał uchodzić.

- A jak na to zareagował Schlesinger? - zapytał Gropius.

- Jeśli chodzi o imię Jezus, to pan Schlesinger twierdził, że przecież tylko niewielu miało ojca imieniem Józef, a z nich prawdopodobnie tylko jeden miał brata o imieniu Jakub. Oba te imiona są wymienione w Nowym Testamencie w powiązaniu z Jezusem. Zarzutowi, że jest to fałszerstwo, pan Schlesinger przeciwstawił wyniki badań naukowych, które zlecił w Europie. Największe zastrzeżenia miały oczywiście Kościoły chrześcijańskie, ale również islamscy duchowni, gdyż w obu wyznaniach Jezus wraz ze swoim człowieczym ciałem wstąpił do nieba. Przykra sprawa, skoro nagle pojawiły się jego kości! - Jussuf uśmiechnął się nie bez złośliwości i mrugnął porozumiewawczo. - Następnego dnia - dodał - pan Schlesinger kazał z powrotem zakopać kamienną skrzynię, a miejsce przywrócić do poprzedniego stanu.

Gropius nie wiedział, czy kark poci mu się pod wpływem południowego upału, czy też w związku z opowieścią Palestyńczyka. Czym było odkrycie Schlesingera? Czy była to mrzonka, niepoważna teoria, czy raczej należy poważnie potraktować opowiadanie Jussufa? Jussuf mógł wiele opowiadać. Być może był on wybitnie utalentowanym gawędziarzem, przede wszystkim spodziewając się pieniędzy, które Gropius mu obiecał. Z drugiej strony historia Jussufa dobrze pasowała do tego, co już wiedział na temat Schlesingera.

Po chwili zastanowienia stwierdził w formie pytania:

- Pewnie przez tę swoją teorię Schlesinger narobił sobie kilku wrogów?

- Kilku? - rozbawił się Palestyńczyk. - Pan Schlesinger miał wyłącznie wrogów. Tych zaś, którzy niczego złego mu nie przypisywali, sam ogłosił wrogami. Po swoim odkryciu był skutecznie izolowany i ignorowany. W kręgach archeologów krążyły nawet pogłoski, że zwariował. Czasopisma naukowe i gazety, które zawiadomił o swoim odkryciu, nie wydrukowały nawet jednej linijki tekstu. To go uraziło. Przy mnie powiedział kiedyś:

„Wszystkim im odpłacę!”. Nie miałem pojęcia, co pan Schlesinger miał na myśli, ale kiedy to mówił, wydawało mi się, jakby nagle był kimś innym. Kiedy pewnego poniedziałkowego poranka dokonałem tutaj niespodziewanego odkrycia, jego szczery, miły charakter zmienił się nagle w swoje przeciwieństwo. Dla pana, panie Gropius, pewnie każdy kamień wygląda tak samo jak inny, lecz dla mnie każdy kamień ma twarz, i natychmiast zauważyłem obce twarze w tym miejscu. Zawiadomiłem pana Schlesingera o swoich podejrzeniach i zwołałem ludzi. Trwało to niecałe pół dnia i ponownie odkopaliśmy kamienną skrzynię. Kiedy odsunąłem pokrywę, moje podejrzenia się potwierdziły. Kości zniknęły.

- Czy Schlesinger miał jakieś podejrzenia?

Jussuf wzruszył ramionami, po czym powiedział:

- Jak już mówiłem, wydarzenie to zmieniło jego charakter. Pan Schlesinger prawie nic nie mówił, a kiedy już się odezwał, jego słowa były złe i nienawistne.

- Ale to przecież nie wszystko! - wtrącił Gropius. - Jak doszło do eksplozji?

Palestyńczyk na krótko zamknął oczy, jakby sobie przypominał określoną scenę.

- Stało się to tak niespodziewanie i gwałtownie - wyjaśnił - że na chwilę straciłem przytomność i bezpośrednio po tym zdarzeniu niczego nie pamiętałem. Dopiero powoli, w ciągu wielu tygodni, wracała mi pamięć.

- Niech pan mówi! - ponaglił go Gropius, nerwy miał już bowiem w strzępach. - Co się wtedy naprawdę wydarzyło? - zapytał dobitnie.

Z wahaniem, niemal trwożliwie, Jussuf opisał wydarzenia tamtego dnia.

- Czekałem na pana Schlesingera pod murami miasta, gdzie zwykle parkował swojego jeepa. Chciał tamtego ranka sfotografować inskrypcję na kamiennej skrzyni. Wcześniej rano jest najlepsze światło. Słońce było jeszcze nisko i wyżłobienia rzucały wyraźne cienie, można więc było wyraźnie uchwycić inskrypcję. Zanim jednak pan Schlesinger ustawił aparat w wykopie, upłynął najlepszy moment i słońce tymczasem zmieniło położenie na niesprzyjające. Pan Schlesinger kazał mi więc przynieść z samochodu błyszczącą folię odbijającą światło słoneczne. Nie potrafiłem jednak znaleźć tej folii, choć wyjąłem z jeepa połowę ładunku. Tymczasem pan Schlesinger zaczął się niecierpliwić. Wspiął się właśnie po zboczu wykopu i właśnie był na górze, kiedy potężna eksplozja wstrząsnęła górą Syjon.

Chociaż stałem oddalony o blisko sto metrów, myślałem, że huk rozerwie mi płuca. Przede mną wzbija się potężna chmura pyłu. Nie wiedziałem, co się stało. Jak we śnie pobiegłem w tamtym kierunku, wołając „Panie Schlesinger!”, ale nic nie widziałem przez ten pył. Kiedy wreszcie pył opadł, znalazłem go na wpół przysypanego piaskiem i odłamkami skał. Nie było widać zranień. Drżały mu ręce i nogi. Dopiero kiedy usunąłem kamienie i piasek, zobaczyłem ranę w okolicy brzucha. Jednocześnie usłyszałem syrenę karetki pogotowia. Zabrano go do szpitala św. Jana. Tam był operowany. Jakiś odłamek pokiereszował panu Schlesingerowi wątrobę.

Gropius dokładnie obejrzał wał ziemny, na którym doszło do zamachu. Nic, ale to nic nie wskazywało, że w tym miejscu wybuchła bomba, i gdyby profesor na własne oczy nie widział ran Schlesingera, nie uwierzyłby w opowieść Jussufa.

- Niech pan mi powie, Jussuf- zaczął Gropius zamyślony - dlaczego ani pan, ani Schlesinger nie zauważyliście, że pod kamienną skrzynią jest ukryta bomba?

Palestyńczyk zrobił nieprzyjemną minę.

- Pani mi nie wierzy, panie Gropius? - Po czym gwałtownie wyjął z kieszeni kopertę z pieniędzmi, które otrzymał w samochodzie, rzucił mu pod nogi i zaczął zbierać się do odejścia.

Gropius złapał go za rękaw i musiał użyć całej swojej umiejętności przekonywania, żeby Palestyńczyk się uspokoił i przyjął jego przeprosiny.

- Dlaczego miałbym pana okłamywać? - powiedział, wciąż obrażony.
- Co miałbym z tego, żeby panu opowiadać jakieś historyjki? Albo mi pan uwierzy, albo niech pan zapomni, że się spotkaliśmy, panie Gropius.

Skarcony w ten sposób profesor wołał już nie zadawać żadnych pytań. Dopiero po długim milczeniu Jussuf odpowiedział na wcześniejsze pytanie Gregora.

- Bomba była wkopana w ziemię. Prawdopodobnie ukryto ją pod tą kamienną skrzynią, bo choć ważyła około stu kilogramów, rozerwało ją na tysiące kawałków!

- A co wyzwoliło wybuch? Jak pan sądzi? Co ustaliła policja?

Jussuf wetknął kopertę z pieniędzmi, którą przed chwilą rzucił Gropiusowi pod nogi, z powrotem do kieszeni na piersi, i powiedział:

- Wie pan, panie Gropius. W tym mieście człowiek uczy się żyć pośród bomb. Są niemal czymś codziennym. Bomba, która nie spowodowała

ofiar śmiertelnych i nawet nie poczyniła szkód materialnych, nie budzi niczyjzego zainteresowania. Nie pamiętam, żeby chociaż jedna gazeta donosiła o tym wydarzeniu.

Jussuf dłubał łaską w kamienistym podłożu, jakby szukał jakichś pozostałości.

- Nic - odezwał się po chwili. - Zupełnie nic nie pozostało po znalezisku, poza...

- Poza? - Gropius spojrział na Jussufa wyczekująco.

Palestyńczyk wyjął z wewnętrznej kieszeni kilka zdjęć. Nie były najlepszej jakości, ale wyraźnie można było rozpoznać kamienną skrzynię z inskrypcją wykutą na podłużnej ścianie. Na innej fotografii uchwycono kości, wśród których była czaszka, kość udowa i kilka kręgów.

- Miałem jakieś przeczucie - powiedział Jussuf i rękawem wytarł odciski palców na fotografiach. - Pan Schlesinger nie wiedział, że zrobiłem te zdjęcia. Może je pan sobie wziąć, jeśli pan chce, panie Gropius.

- Jak to? Schlesinger nigdy nie widział tych fotografii?

- Nigdy. Kiedy wypisano go po operacji ze szpitala św. Jana, wszystko potoczyło się bardzo szybko. Jedyne, czego chciał, to wyjechać stąd, wrócić do Niemiec. Pani Yadin o wszystko zadbała. Poleciała z nim do Niemiec. Nie miałem nawet czasu, żeby się pożegnać z panem Schlesingerem.

Profesor stał jak sparaliżowany. Wpatrywał się w zdjęcia, czując, jak w głowie kotłują mu się różne myśli. Bez wątpienia opowieść Jussufa nie była wymysłem. Pasowała jak elementy mozaiki do wszystkiego, czego Gropius już się dowiedział na temat Schlesingera.

Gregor nie wiedział, ile czasu oddawał się rozmyślaniom, w końcu jednak Palestyńczyk sprowadził go do teraźniejszości.

- Wiem, że to wszystko brzmi dość fantastycznie, ale taka jest prawda i tak to przeżyłem. Kierowca czeka. Jeśli pan chce, odwiezę pana do hotelu.

W samochodzie Gropius przekazał Jussufowi drugą połowę umówionej kwoty, ten zaś wręczył mu siedem fotografii.

- Kto dotychczas widział te zdjęcia? - zapytał Gropius, kiedy kierowca zmierzał w kierunku ulicy Króla Dawida.

- Nikt - zapewnił Jussuf. - Nie widziałem powodu, żeby je komukolwiek pokazywać, zapewne zresztą i tak nikt by mi nie uwierzył.

Brzmiało to przekonująco.

- A pan? - zagadnął Gregor ostrożnie. - Chodzi mi o to, czy sądzi pan, że w kamiennej skrzyni rzeczywiście były szczątki Jezusa z Nazaretu? Przecież miejsce znaleziska znajduje się spory kawałek drogi od Bazyliki Grobu Świętego.

Po pomarszczonej twarzy Jussufa przemknął chytry uśmieszek.

- Pan Schlesinger długo ze mną o tym rozmawiał. Muszę przyznać, że początkowo byłem dość sceptyczny. Tak lekko powiedział: „To są kości Jezusa z Nazaretu”. Ale kiedy rozważyć konsekwencje, to trzeba uznać, że twierdzenie to ma olbrzymie znaczenie dla chrześcijan, Żydów i muzułmanów, dla wszystkich równie duże.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie!

- Pan Schlesinger zwykł mawiać, że to, jakoby Jezus był pochowany w miejscu, gdzie obecnie stoi Bazylika Grobu Świętego, jest znacznie mniej prawdopodobne niż to, że jego grób leży gdzie indziej. Pierwszą Bazylikę Bożego Grobu wzniesiono bowiem dopiero trzysta lat po jego śmierci, po upływie kolejnych trzystu lat zbudowano drugi kościół, a tyśiąc lat później trzeci. Któż będzie twierdził, że zna prawdziwe miejsce! Pod koniec dziewiętnastego wieku pojawiły się pierwsze wątpliwości. Angielski generał Gordon stwierdził, nie bez racji, że grobów nigdy nie budowano w obrębie murów miasta. A przecież Bazylika Grobu Świętego leży wewnątrz starych murów. Położony nieco na zewnątrz skalny grób, który odkrył generał, chrześcijanie anglikańscy do dziś uważają za miejsce pochówku Jezusa. Ponieważ jednak nie ma na to dowodu, pan Schlesinger szukał dalej i znalazł w końcu tę kamienną skrzynię z inskrypcją. Pan Schlesinger uważał za autentyczne zarówno skrzynię, jak i kości, aby zaś odpowiedzieć na pańskie pytanie, panie Gropius - ja też tak uważam.

Jussuf kazał kierowcy zatrzymać się przed podjazdem hotelu „Król Dawid”.

- Nie byłoby dobrze, gdyby widziano nas razem - mrugnął porozumiewawczo.

- Przecież mnie tutaj nikt nie zna! - zawołał Gropius oburzony.

- Och, proszę tak nie mówić, panie Gropius. Ten kraj jest dość mały, nawet jeśli od czasu do czasu zadziwia cały świat. Obcemu nie jest tutaj łatwo pozostawać niezauważonym.

Gropius nie wiedział, co myśleć o słowach Jussufa, zanim jednak wysiadł, zadał jeszcze pytanie:

- Gdzie znajdę Shebę Yadin?

Stary Palestyńczyk się skrzywił. W końcu, żeby już pozbyć się Gropiusa, odparł:

- Pan Contenau surowo zabronił mi ujawniać jakiegokolwiek informację na temat pani Yadin, obojętnie, kto będzie o nią pytał. Pan rozumie, panie Gropius.

- Contenau? - Gropius podniósł głos. - Ten Contenau zachowuje się tak, jakby był opiekunem prawnym Sheby!

- Nie opiekunem prawnym!

- Tylko kim? - spojrzął Jussufowi w oczy. - Aha, teraz rozumiem. Contenau zajął miejsce Schlesingera. Mam rację?

Jussuf przytaknął, niemal zawstydzony.

- Żyją razem?

- Tak, panie Gropius.

- A jaki jest powód tej zabawy w chowanego?

Jussuf zmienił się na twarzy.

- Już i tak za dużo panu zdradziłem, panie Gropius!

- Proszę, niech pan wreszcie powie coś konkretnego! - zawołał Gropius zniecierpliwiony.

- Cóż, po tym, jak pan Schlesinger wyjechał z Izraela, różni ludzie starali się nawiązać kontakt z panią Yadin. Najwidoczniej chcieli wydobyć od niej określone informacje o pracach pana Schlesingera. Kiedy rozeszła się wieść o śmierci pana Schlesingera, pani Yadin była ciągle śledzona i zaczęła się bać. Pan Contenau zlecił mi wówczas, żebym chronił panią Yadin przed niepożądanymi osobami. Niezbyt chwalebne zajęcie dla archeologa, który odkrył szczątki Jezusa z Nazaretu. Nie sądzi pan, panie Gropius?

- Gdzie jest Sheba? - powtórzył Gregor swoje pytanie.

- Jest tutaj, w Jerozolimie, razem z panem Contenau. Pan Contenau ma mieszkanie w dzielnicy Mea Szearim. O ile wiem, to pani Yadin leci jutro do Europy.

- Wie pan, dokąd?

- Zdaje się, że do Włoch. Tak, do Turynu!

Gropius otworzył drzwi samochodu.

- Dziękuję, Jussuf! - powiedział. - Bardzo mi pan pomógł!

I szybkim krokiem poszedł w kierunku hotelu.

Jeszcze tego samego popołudnia Gregor Gropius zarezerwował lot z Tel Awiwu-Jaffy do Rzymu i dalej do Turynu. Francesca była zaszokowana, kiedy zadzwonił z hotelu w Jerozolimie i zapytał, czy byłaby skłonna go odebrać z lotniska Caselle nazajutrz o czternastej.

- Powstała zupełnie nowa sytuacja - wyjaśnił krótko.

Gropius nie należał raczej do rannych ptaszków i zwykle potrzebował czasu, żeby po przebudzeniu dojść do siebie, tego ranka jednak wstał już o godzinie szóstej, spakował rzeczy, kazał sobie przynieść do pokoju lekkie śniadanie, po czym wynajętym chryslerem pojechał na lotnisko Ben-Gurion. Na miejsce dotarł znacznie przed czasem, oddał samochód i przeszedł odprawę pasażerów. Teraz czekał w napięciu na przybycie Sheby.

Jego przewaga polegała na tym, że Sheba go nie знаła, on zaś przynajmniej widział jej fotografię w domu jej matki w Tel Awiwie-Jaffie. Turyn, cel podróży Sheby, spowodował w umyśle Gropiusa najrozmaitsze spekulacje. Musiał się dowiedzieć, czego pani archeolog szuka w Turynie.

Ukryty w kącie hali odlotów, Gropius pił kawę z plastikowego kubka, nie spuszczając oka ze stanowiska, nad którym podświetlana tablica zapowiadała na godzinę dziesiątą trzydzieści rejs samolotu linii EL AL z Tel Awiwu-Jaffy do Rzymu. Poranek był słoneczny i obiecywał przyjemny lot nad Morzem Śródziemnym. To go uspokoiło.

„Czyżby Jussuf celowo wprowadził mnie w błąd?”- pomyślał Gropius, kiedy dwie minuty przed wpuszczaniem pasażerów na pokład samolotu Sheby jeszcze nie było na lotnisku. Nerwowo chodził w tę i z powrotem, gdy oto, dosłownie w ostatniej minucie, pojawił się Pierre Contenau.

Gropius musiał wyteńczyć wzrok, ponieważ młoda kobieta w towarzystwie Contenau wyglądała zupełnie inaczej niż Sheba, którą znał ze zdjęcia. Miała krótkie blond włosy zalotnie uczesane na pazia i była ubrana w eleganckie wdzianko. Z tej odległości Gropius nie bardzo mógł jednak stwierdzić, czy jest to Sheba. „O co w tym wszystkim chodzi?” - przebiegło mu przez myśl.

Melodyjny kobiecy głos przekazał pierwszą zapowiedź lotu samolotu linii EL AL do Rzymu. Contenau pożegnał się z młodą kobietą czułym uściskiem, Gropius zaś dostrzegł jeszcze, że wręczył jej brązową kopertę, którą schowała pod wdzianko. Kobieta udała się następnie do bramki kontroli bezpieczeństwa, a Contenau pośpiesznie skierował się ku wyjściu.

Gropius rozważał, jak się zachować. Czy Jussuf chciał go wprowadzić w błąd? Intuicyjnie wyjął z kieszeni swój bilet lotniczy i podszedł do stanowiska, gdzie niedawno sam przechodził odprawę.

- Przepraszam - zagadnął ciemnooką stewardesę. - Czy mógłbym dostać miejsce obok pani Yadin? Jesteśmy starymi przyjaciółmi i spotkałiśmy się tutaj przypadkiem.

Stewardesa z uprzejmym uśmiechem wzięła bilet Gropiusa i sprawdziła coś w komputerze. W końcu oznajmiła:

- Przykro mi, panie Gropius. Samolot jest pełny, ale może uda się panu już w środku zamienić z kimś miejscami. Pani Yadin siedzi tylko dwa rzędy przed panem.

Gregor podziękował. Wiedział już, że Sheba jest w samolocie. Nie wiedział jednak, jak powinien zareagować, gdyby obok Sheby było wolne miejsce.

ROZDZIAŁ 13

Tymczasem specjalna komisja monachijskiej policji kryminalnej pod kierownictwem Wolfa Ingrama nie próżnowała. Przez Interpol prokurator Markus Renner wydał międzynarodowy nakaz aresztowania doktora Fichtego, który jeszcze kilka dni temu przebywał w Monte Carlo. Kiedy policja Monako przybyła do jego apartamentu, okazało się, że doktor Fichte zdążył zniknąć. Jego samolot, dwusilnikowy Piper Seneca II, był na lotnisku w Nizy pod stałą obserwacją.

Śledztwo prowadzone przez Federalną Służbę Wywiadowczą wciąż koncentrowało się na rozszyfrowaniu skrótu „IND”, a więc na zadaniu, które nabrało szczególnego znaczenia po rozpracowaniu szajki stojącej za skandalem związanym z transplantacjami. Wszyscy bowiem zgadzali się co do tego, że Fichte był tylko jednym z trybików w ogromnej maszynie wykorzystującej cierpienie majątnych ludzi i że prawdopodobnie sprawa ma charakter rozwojowy, co powodowało, że agenci pocili się ze strachu w związku z ogromem czekającej ich jeszcze pracy.

Zarówno dla Ulfa Petersa z Federalnej Służby Wywiadowczej, jak i dla Wolfa Ingrama z komisji specjalnej do sprawy zabójstwa Schlesingera, było oczywiste, że mają do czynienia z groźną organizacją, która działa gdzieś z ukrycia, może nawet spoza Europy.

Szarfa z zagadkowym skrótem „IND”, zabrana przez Ingrama z wieńca złożonego na grobie Thomasa Bertrama, operowanego wcześniej przez

Fichtego, przez trzy dni zaprzętała uwagę agentów wywiadu, doprowadzając ich w końcu do niewielkiej kwiaciarni, w której zlecono wykonanie wieńca z ostatnim pożegnaniem. Właścicielka, prosta i poczciwa kobieta, przypomniała sobie krępego, ciemnowłosego mężczyznę w czarnym ubraniu, który za zamówienie zapłacił gotówką i jeszcze zostawił suty napiwek. Informacja ta nie posunęła jednak śledczych ani krok do przodu.

Również analiza operacyjna sporządzona przez profilerę z Okręgowego Urzędu Kryminalnego nie wykazała żadnych powiązań z podobnymi zbrodniami z przeszłości. Negatywny wynik przyniosło też przeszukiwanie bazy VICLAS, w której są zgromadzone dane tysięcy przestępców i seryjnych morderców. Wniosek, jaki mógł przedstawić profiler, nie brzmiał zbyt zachęcająco:

„Biorąc pod uwagę obecny stan śledztwa, należy przyjąć, że mamy do czynienia z nowym typem przestępstwa i kręgiem sprawców, który dotąd jeszcze się nie pojawiał”.

To, że doktor Fichte i doktor Prasskov zostaną ujęci, było - zdaniem agentów - jedynie kwestią czasu. Wolf Ingram nie miał jednak złudzeń co do tego, że za kilkoma odkrytymi śmiertelnymi wypadkami stoi grupa bezwzględnych zbrodniarzy, którzy mają na celu coś zupełnie innego, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Nie miał na to dowodu, ale jego policyjny instynkt i wieloletnie doświadczenie w pracy w Departamencie Trzynastym - Departamencie do spraw Przestępczości Zorganizowanej - podpowiadały mu, że motywu działania tych ludzi być może trzeba szukać zupełnie gdzie indziej. Ale gdzie?

Skoro do rozwiązania sprawy nie przyczyniło się ani utworzenie ośmioosobowej komisji specjalnej, ani wymiana informacji z Okręgowym Urzędem Kryminalnym, ani wsparcie Federalnej Służby Wywiadowczej, Wolf Ingram liczył już tylko na najpotężniejszego sprzymierzeńca wszystkich agentów na świecie - na przypadek. Nie jest tajemnicą, i z pewnością nie dyskredytuje to pracy policji, że najbardziej perfidne i wyrafinowane zbrodnie, sprawy pozornie nie do rozwiązania, znajdują - często po latach - wyjaśnienie właśnie dzięki przypadkowi.

Nie było jednak przypadkiem ujęcie, jeszcze tego samego wieczoru, doktora Fichtego na lotnisku imienia Charles'a de Gaulle'a w Paryżu. Fichte zarezerwował dla siebie i Veronique Gropius nocny lot do Miami, licząc, że ukryje się w Stanach Zjednoczonych i uniknie sprawy karnej. Następnego ranka Fichte i jego kochanka stanęli przed sędzią paryskiego sądu.

Tego samego dnia ukazał się „Bild” z nagłówkiem:

KOLEJNE MORDERSTWO PO TRANSPLANTACJI W KLINICE
CZTERDZIESTODWULETANIA MIESZKANKA BERLINA UMIERA KILKA
GODZIN PO UDANEJ OPERACJI PRZESZCZEPIENIA PŁUCA.

Podczas lotu z Tel Awiwu-Jaffy do Rzymu Gropius nie spuszczał oka z Sheby Yadin. Był pewien, że Sheba naprowadzi go na jakiś nowy trop. Mimo licznych wątpliwości, jakie targały nim na wspomnienie opowieści Jussufa, historia ta mocno mu ciążyła. Już samo przypuszczenie, że odkrycie Schlesingera mogłoby odpowiadać rzeczywistości, było niepokojące. Zauważył, że drżą mu dłonie, kiedy z wewnętrznej kieszeni marynarki dyskretnie wyjmował zdjęcia, żeby ponownie dokładnie je obejrzeć. Cemu nie zażądał od Jussufa negatywu? Jakość fotografii nie była przecież najlepsza. Myśl ta przysłała mu jednak do głowy tuż przed lądowaniem w Rzymie.

Przez godzinę, jaka pozostała do startu samolotu z Rzymu do Turynu, Gropius śledził Shebę z bezpiecznej odległości. Starał się, żeby nie czuła się obserwowana, nie wiedział przecież, czy jednak go nie widziała, kiedy odwiedzał wzgórze Tel Beer Szewa.

W Turynie przed budynkiem lotniska przy swojej szarej furgonetce czekała Francesca.

- Nie sądziłam, że tak szybko znów się zobaczymy! - zawołała i rzuciła się Gregorowi na szyję.

- Szczerze mówiąc, ja też się tego nie spodziewałem — odparł Gropius, korzystając jednocześnie z okazji, żeby obserwować Shebę ponad ramieniem Franceski. Telefonicznie wyjaśnił jej wcześniej, w czym rzecz: że Sheba była kochanką Schlesingera, że zna tajemnicę, która uczyniła ze Schlesingera bogacza, i że teraz prawdopodobnie zmierza do tego, żeby swoją wiedzę zamienić na pieniądze.

To, że chodzi o sensacyjne odkrycie Schlesingera w Jerozolimie, Gropius na razie przemilczał, wiedział jednak, że będzie musiał jak najszybciej wtajemniczyć Franceskę w ten sekret.

- Spróbuj dyskretnie się odwrócić - powiedział Gropius, uwalniając się z mocnych objęć Franceski. - Tamta kobieta w ciemnym ubraniu i z krótkimi blond włosami to właśnie Sheba Yadin. Nie możemy jej spuścić z oka.

Francesca zmierzyła Shebę dumnym spojrzeniem, charakterystycznym dla kobiet, które każdą przedstawicielkę płci pięknej traktują jak potencjalną rywalkę. Następnie wzięła Gropiusa pod rękę i pociągnęła w kierunku samochodu. W lusterku wstecznym obserwowała, jak Sheba Yadin wsiada do taksówki. Uruchomiła silnik i ruszyła za nią.

Jak było do przewidzenia, taksówka pojechała autostradą na południe. Na Via Cigna zrobił się korek i kilka razy niemal stracili taksówkę z oczu, jednak dzięki doświadczeniu i pewnej wrodzonej dozie bezczelności Francesca potrafiła za każdym razem dogonić obserwowany samochód.

Przy dworcu taksówka skręciła w Via Cernaia i zatrzymała się przed hotelem „Diplomatic”, liczącym pięć pięter gmachu z arkadami przy wejściu. Francesca zaparkowała po drugiej stronie ulicy. Razem obserwowali, jak Sheba Yadin wchodzi do hotelu.

- Dobrze, zaczekaj tutaj na mnie - zarządziła Francesca i zanim Gregor zdążył coś powiedzieć, wysiadła z samochodu i zniknęła w hotelu.

Kiedy po dwudziestu minutach wróciła, Gropius spojrzał na nią z lekkim wyrzutem. Francesca bez słowa usiadła za kierownicą i podała Gregorowi kartkę z notesu. Zdziwiony, przeczytał znajdującą się tam notatkę. Na kartce było napisane:

Yadin - hotel „Diplomatic” - pokój numer 303 - rezerwacja na trzy dni – godzina 16.30 spotkanie z panią Selvini z instytutu de Luki.

- Skąd to wszystko wiesz? - zapytał Gropius, nie wierząc własnym oczom.

Francesca tylko mrugnęła porozumiewawczo. To swobodne zachowanie wydało się Gropiusowi komiczne, ale jednocześnie zbawienne, oboje się więc roześmiali.

- Skąd to wszystko wiesz? - powtórzył Gropius.

Francesca wzruszyła ramionami.

- Zapominasz, że mój zawód wymaga od czasu do czasu poruszania się na granicy prawa. Kiedy dowiedziałam się, w którym pokoju zamieszkała Sheba, podsłuchałam pod drzwiami rozmowę przez telefon.

- Właśnie tego się spodziewałem - powiedział Gropius do siebie.

- Co proszę? - zdziwiła się Francesca.

Gropius się uśmiechnął.

- To znaczy, spodziewałem się, że Sheba skontaktuje się z instytutem de Luki. Musimy się dowiedzieć, czego ona tam szuka!

- Hm... — Francesca trzymała kierownicę i patrzyła przed siebie na ulicę. - Sprawa jest chyba trochę ryzykowna - stwierdziła. - Ale przy odrobinie szczęścia może się nam udać.

Podobnie jak podczas swojego pierwszego pobytu w Turynie, Gropius nocował w hotelu „Le Meridien Lingotto”. Zatrzymanie się w tym samym hotelu, w którym zamieszkała Sheba, uznał za zbyt ryzykowne. Około godziny szesnastej udał się taksówką na Corso Belgio do kawiarni „Amoretta”, położonej nieopodal mostu nad Padem, tak jak mu to poradziła Francesca.

Kilka minut później, w niewielkiej odległości, bo na przeciwległym brzegu rzeki, Francesca Colella skręciła swoją furgonetką w Via Chieri i zatrzymała się przed dwupiętrową willą, nad której wejściem wciąż lśniła tabliczka z napisem „Institute Prof. Luciano de Luca”.

Francesca wysiadła i spacerowała przed wejściem. Ubrana była w staromodny kostiumik, który ją postarzał o kilka lat i zmieniła okulary bez oprawek na takie z ciemną rogową oprawką, które przydawały jej niejakiej surowości i powagi. Nie czekała długo na przyjazd taksówki z Shebą Yadin.

- Pani Yadin? - Francesca podeszła do niej z uśmiechem. Mówiła po angielsku.

- Tak - odparła Sheba niepewnie.

- Moje nazwisko Selvini! - Francesca wyciągnęła rękę. - Zapomniałam pani powiedzieć przez telefon, żebyśmy raczej nie rozmawiały w instytucie. Tutaj obok jest kawiarenka. Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał. Nie ma pani nic przeciwko temu?

Sheba Yadin zawahała się i Francesca już się zastanawiała, czy nie zrobiła jakiegoś fałszywego ruchu albo czy prawdziwa pani Selvini nie ma zupełnie innego głosu. „Czemu Sheba robi takie ceregiele?”

Wreszcie, po dłuższej chwili, która Francesce zdawała się wiecznością, Sheba odpowiedziała:

- Dobrze, skoro pani tak uważa, pani Selvini.

Jadąc samochodem w dół Corso Chieri, Francesca spojrzała z boku na Shebę i pomyślała: „Niezwykłe ładna dziewczyna!”. Sheba patrzyła prosto

przed siebie na ulicę, nie był to jednak skutek zakłopotania, zresztą zupełnie zrozumiałego w tej sytuacji, ale dowód na to, że jej umysł pracuje teraz na najwyższych obrotach.

Po kilku minutach jazdy w milczeniu Francesca i Sheba dotarły do lokalu przy Corso Belgio, który o tej porze przeważnie okupowała młodzież. Gropius już wcześniej zajął tam miejsce w kącie - siedział twarzą do ściany, pogrążony w lekturze „Corriere della Sera”. Francesca umiejętnie podprowadziła Shebę Yadin do sąsiedniego stolika i zamówiła dwie kawy z mlekiem.

- Pije pani latte? - zapytała dla porządku.

Sheba przytaknęła.

Ponieważ wciąż nie rozpoczęła się rozmowa, Francesca zagaiła ostrożnie:

- Pani znała Arna Schlesingera?

Ledwie padło to pytanie, a już Francescę naszły wątpliwości, czy w ten sposób się nie zdradziła. Sheba odpowiedziała:

- Tak, chyba można tak powiedzieć. Mieliśmy się pobrać.

Włoszka odegrała zdumienie.

- Tym bardziej jego śmierć musiała panią wstrząsnąć.

- Wolałabym o tym nie rozmawiać!

- Rozumiem - Francesca się zamyśliła. - Czy wie pani o tym, że profesor de Luca także nie zmarł śmiercią naturalną?

- Tak, słyszałam. Ale czy nie mówiła mi już pani o tym przez telefon?

„Tylko spokojnie” - pomyślała Francesca. I szybko odpowiedziała:

- Możliwe, teraz sobie przypominam. Widzi pani, wszyscy jesteśmy tacy rozkojarzeni, od kiedy Luciano de Luca odszedł. - Po krótkim zastanowieniu i uświadomieniu sobie, że takie sformułowanie mogłoby dotyczyć każdego, dodała: - Bywał czasem tyranem, ale mimo to kochaliśmy go wszyscy jak ojca. Był wielkim naukowcem. Ale czym mogę pani służyć, pani Yadin?

Jakby chciała się ogrzać, Sheba objęła dłońmi smukłą szklankę z kawą. Następnie nachyliła się nad stolikiem i powiedziała cicho:

- Chodzi o próbkę, której analizę Arno Schlesinger zlecił profesorowi de Luce. Zakładam, że wie pani o tym. Wyniki badania DNA w pewnych okolicznościach mogą mieć ogromne znaczenie. Schlesinger zapłacił już

zaliczkę w wysokości dwudziestu tysięcy euro. Wskutek okoliczności, których nie muszą chyba opisywać, nie doszło do przekazania materiału. Krótko mówiąc, jestem upoważniona i mam przy sobie pozostałe dwa-
dziesiąt tysięcy euro, aby odebrać przedmiot poddany analizie.

Słowa Sheby zdenerwowały Francescę. Nerwowo spojrzała w kierunku Gropiusa, który siedział plecami do niej przy sąsiednim stoliku. Dostrzegła, że gazeta w jego rękach drży jak źdźbło trawy na wiosennym wietrze, z czego wywnioskowała, że Gregor zrozumiał każde słowo. Jednocześnie uzmysłowiła sobie, że podeszła do tego spotkania zbyt naiwnie. Jak, na litość boską, powinna teraz zareagować? Jak wyciągnąć od Sheby szczegóły dotyczące próbki, żeby samej się nie zdradzić?”

Głos Sheby zabrzmiał nagle inaczej. Chłodno, niemal profesjonalnie oświadczyła:

- Wiem, że nie nosi pani tej próbki przy sobie, ale być może mogły byśmy uzgodnić jakiś termin przekazania.

Niewiele brakowało, żeby Francesca wybuchnęła głośnym śmiechem, przypomniała sobie bowiem swoje pierwsze spotkanie z Gropiusem w Berlinie, gdy profesor starał się dowiedzieć czegoś o zawartości stalowej kasety, którą transportowała w walizeczce. Zarówno jednak wtedy, jak i teraz nie miała pojęcia, o co chodzi.

- Tak, oczywiście - odparła Francesca. - Proponuję jutro w tym samym miejscu o tej samej godzinie, o ile to pani odpowiada!

- Zgoda. Otrzyma pani wtedy ode mnie dwadzieścia tysięcy euro w gotówce.

Atmosfera profesjonalizmu, w jakiej przebiegła rozmowa, przeraziła Francescę. Z każdym wypowiedzianym zdaniem rosła bowiem jej obawa, czy i jak zdoła się wyplątać z tej sytuacji. Na domiar wszystkiego Sheba zapytała:

- A tak przy okazji, znała pani Arna Schlesingera?

Słyszając to, Francesca poczuła, jak krew uderza jej do głowy. „Czyżby Sheba nabrała podejrzeń? Czy to pytanie było pułapką? Jeśli odpowie przecząco, a Sheba wie, że Schlesinger spotkał Selvini, to się zdradzi. Jeśli jednak odpowie twierdząco, musi się liczyć z tym, że Sheba zacznie ją wypytywać o Schlesingera”. W akcie rozpaczy Francesca postawiła wszystko na jedną kartę i odpowiedziała:

- Niestety, nie. Profesor de Luca i Arno Schlesinger zawsze osobiście załatwiali sprawy między sobą. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek go spotkała, choć przecież był u nas w instytucie raz czy dwa razy.

- To był cudowny człowiek - rozmarzyła się Sheba, patrząc w sufit, jakby chciała powstrzymać łzy. - Był moim nauczycielem i zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia.

- Przepraszam, że pytam, ale czy pan Schlesinger nie był już żonaty? Przypominam sobie, że de Luca kiedyś coś o tym napomknął.

- Żył w separacji. Jego żona nie miała zrozumienia dla niego i jego pracy. W ciągu ostatniego roku życia spędził więcej czasu ze mną niż z żoną. Nie, kochał tylko mnie! Mnie!

- Pani jest archeologiem, pani Yadin?

- Archeologiem biblijnym.

- To interesująca dziedzina. A czego spodziewa się pani po analizie tamtej próbki, jeśli wolno spytać?

Wydawało się, że Sheba czuje się zapędzona w kozi róg. Żeby zyskać na czasie, upiła łyk kawy i nie patrząc na rozmówczynię, odparła:

- To skomplikowana historia, która jeszcze wymaga dokładniejszych prac badawczych. Długo by opowiadać. A nie chcę pani zanudzić.

- Ależ nie nudzi mnie pani. Zawsze mnie interesowało, jak różne dziedziny wiedzy wzajemnie się uzupełniają.

Sheba uprzejmie spojrzała na zegarek, jakby nagle bardzo się dokądś spieszyła.

- A zatem do jutra, o tej samej porze! - Wstała i wyszła z kawiarni. Gropius opuścił gazetę i się odwrócił.

- Dobra robota, Francesco - orzekł, mrugając porozumiewawczo. - Mam pewien plan. Znasz już sposób mówienia Sheby Yadin. Zadzwoń do pani Selvini w instytucie de Luki, przedstaw się jako Sheba Yadin i powiedz, że niestety się spóźniłaś i czy mogłabyś zajrzeć do nich jutro około jedenastej. Nie zapomnij dodać, że przyniesiesz zaległe dwadzieścia tysięcy euro.

Francesca powtórzyła to, co ma powiedzieć, wyjęła z kieszeni telefon komórkowy i wyszła na zewnątrz. Po powrocie oznajmiła:

- Wszystko w porządku. Jutro o jedenastej nastąpi przekazanie próbki. Pod warunkiem, że masz gotówkę.

- To już zostaw mnie - powiedział Gropius i niemal nieśmiało zapytał: - Czy ma pani jakieś plany na dziś wieczór?

Po sutym obiedzie w hotelowej restauracji, podczas którego świadomie gawędzili o sprawach nieistotnych, Gregor nagle spoważniał. Francesca oczywiście zauważyła, że Gropiusowi coś leży na sercu, wołała jednak milczeć. Trochę poznała już Gregora i wiedziała, że otworzy się przed nią wtedy, kiedy uzna to za stosowne. Dziwiło ją tylko jedno - że wciąż jej nie zreferował swojej podróży do Izraela. Wtedy Gropius powiedział:

- Chodź, pójdziemy do mojego pokoju. W lodówce stoi butelka Brunello di Montalcino. Muszę z tobą porozmawiać.

Jej pierwsza myśl dotyczyła bielizny, którą założyła, zwłaszcza zaś tego, czy będzie odpowiednia na tę sytuację. Francesca miała na sobie czarne koronki La Perla, których zakup znacznie przekraczał jej możliwości finansowe. Po wypadku i śmierci męża odnotowała w tym zakresie zaległości, które jak najprędzej należało nadrobić!

Kiedy weszli do pokoju, Francesca objęła Gregora za szyję i zapytała:

- Czy pani Schlesinger już ci wybaczyła naszą wspólną noc?

Gregor wydawał się zirytowany.

- Wiesz doskonale, że nie było nic do wybaczenia!

- Właśnie o to mi chodzi! Wybaczyła czy nie?

Gregor pokręcił głową.

- Od tamtej pory nie rozmawialiśmy.

- Och, przykro mi!

Gropius odniósł wrażenie, że stroi sobie z niego żarty. A przy tym wcale nie było mu do śmiechu. Chciał, ba! - musiał jej opowiedzieć o tym wszystkim, czego dowiedział się od Jussufa. Delikatnie, ale stanowczo uwolnił się z jej objęć i poprosił, żeby usiadła.

Francesca wydawała się zdziwiona. Ze zdumieniem patrzyła, jak Gregor odkorkowuje wino i napełnia dwa kieliszki na wysokich nóżkach.

Bez słowa i z poważną miną wyjął z kieszeni marynarki kilka fotografii i podał je Francesce.

- To jest odkrycie Schlesingera. Znalezisko, które uczyniło go bogaczem, i na które pewni ludzie jeszcze dziś ostrzą sobie zęby. I prawdopodobnie jest z tym związana śmierć Schlesingera, wypadek de Luki, a nawet śmierć twojego męża.

Francesca przyglądała się kolejnym zdjęciom. To, co usłyszała właśnie od Gropiusa, tak ją zaskoczyło, że nie znajdowała słów. W porządku,

kamienna skrzynia z kośćmi i nieczytelny, wykuty w kamieniu napis. Ale co łączy to znalezisko ze śmiercią jej męża?

Gropius zauważył zdziwienie Franceski.

- To nie jest to jakieś tam znalezisko, to nie jest jakiś tam szkielet. To są szczątki Jezusa z Nazaretu!

- Doprawdy? - Francesca zaśmiała się zakłopotana, najpierw niezdecydowanie, później głośniejsze, aż w końcu niemal skręcała się ze śmiechu jak rozbawione dziecko.

Gregor, który poczuł, że nie potraktowano go poważnie, chwycił Franceskę za ramiona i potrząsnął nią, żeby oprzytomniała.

- Przepraszam cię, Gregor - zawołała, wciąż rozbawiona. - Przecież Pan Jezus podobno powstał z martwych i wstąpił do nieba. A może się myłę? Jak w takim razie Schlesinger mógł znaleźć jego kości?

- W tym właśnie rzecz. Gdyby Schlesinger miał dowód na poparcie swojego twierdzenia, wtedy dostojnicy w Watykanie musieliby wyprzedzić swoje rodowe srebra i pójść na zasilek. Przedsiębiorstwo pod nazwą Kościół załamałoby się jak kurs akcji Telekomu.

- Mój Boże! - powoli, bardzo wolno Francesca zaczęła rozumieć powagę sytuacji, a jednocześnie niepokój Gregora. Z twarzą w dłoniach rozmyślała.

- Czyli Schlesinger musiał mieć jakiś dowód na poparcie swojej tezy! - wykrzyknęła nagle. - W przeciwnym razie by go nie zabito.

- Racja - zgodził się Gropius. - I musiało być więcej osób wtajemniczonych: de Luca, Sheba Yadin i Jussuf, Palestyńczyk, który sprzedał mi te zdjęcia.

- Pytanie brzmi: dlaczego Schlesinger i de Luca musieli umrzeć, podczas gdy inni wciąż żyją. Felicia Schlesinger na przykład. Albo ty.

Gregor zmarszczył czoło.

- Być może wszyscy znamy tylko połowę prawdy. Albo nieświadomie nosimy w sobie jakąś wiedzę, która dla zleceniodawcy tych zabójstw może być jeszcze użyteczna.

- Dotyczy to przede wszystkim Sheby Yadin.

- Przede wszystkim Sheby Yadin. Możliwe, że próbka badana w instytucie de Luki, za którą zresztą Schlesinger był gotów zapłacić czterdzieści tysięcy euro, stanowi właśnie dowód, za pomocą którego Schlesinger był w stanie wykazać tożsamość Jezusa z Nazaretu. Choć trudno mi to sobie wyobrazić.

Francesca patrzyła przed siebie w zadumie, Gropius zaś myślał o ich pierwszym spotkaniu w Berlinie. Już wtedy zafascynował go jej chłód, ta surowość w wyrazie jej twarzy. Teraz wyglądała tak samo, kiedy powiedziała:

- Gregorze, czy zastanawiałeś się już nad tym, dlaczego Arno Schlesinger zatrzymał się akurat w Turynie?

Gropius dłuższą chwilę przyglądał się Francesce.

- Ze względu na de Lukę, jak przypuszczam. Jego instytut jest znany na świecie i ma dobrą markę!

Francesca pokręciła głową.

- W Europie jest wiele instytutów, które specjalizują się w tego rodzaju analizach. To nie mógł być główny powód. Jeśli zaś chodzi o de Lukę...

- Naprawdę nie wiem, do czego zmierzasz! - przerwał jej Gropius.

- Zaraz ci powiem. W Turynie przechowuje się jedyny przedmiot, który, o ile się w to wierzy, pozostaje w bezpośrednim związku z Jezusem...

- Całun Turyński! - Gropius otwartą dłonią uderzył się w czoło. - Ale to przecież brednie!

- Na ten temat od stu lat spierają się z całą powagą wybitni naukowcy. Jedni chcą wierzyć, że dwa tysiące lat temu w ten całun owinięto ciało jakiegoś człowieka, inni twierdzą, że chodzi tutaj o wyrafinowane fałszerstwo, a dowiedzenie autentyczności całunu jest niemożliwe. Nawet Kościół, który przecież z konieczności jest zainteresowany autentycznością, nie upiera się już, że Jezus był pochowany w tym właśnie całunie. Są bowiem z tym pewne problemy!

- Mówisz jak specjalista w tej dziedzinie. Skąd pochodzi twoja wiedza?

Francesca się zaśmiała.

- Każde dziecko w Turynie, zanim jeszcze nauczy się pisać i czytać, dowiaduje się o dwóch rzeczach - o fabryce Fiata i Całunie Turyńskim. Między nami mówiąc, wiele więcej nie trzeba wiedzieć.

Brunello smakowało wybornie i Gropius obracał kieliszek w dłoni.

- Jednego nie rozumiem - powiedział, obserwując w zadumie refleksy w czerwonym winie. - Skoro nawet Kościół nie uważa tego całunu za autentyczny, to dlaczego Schlesinger miałby płacić czterdzieści tysięcy euro za próbkę tego płótna? Biorąc pod uwagę wszystko, czego się dowiedziałem o Schlesingerze jedno mogę stwierdzić z całą pewnością: nie był

głupcem. Uchodził za najwybitniejszą postać w archeologii biblijnej. Należy zatem wnioskować, że na temat związku między tym podejrzanym płótnem a Jezusem z Nazaretu był poinformowany lepiej niż ktokolwiek inny. Tym bardziej zagadkowe wydaje mi się jego postępowanie.

- Zgadza się. Jako specjalista w swojej dziedzinie doskonale wiedział, ile jest warta próbka pochodząca z instytutu de Luki. Nie mogło więc chodzić o fragment Całunu Turyńskiego. Profesor musiał zaferować Schlesingerowi sprzedaż czegoś innego, co miało dla niego ogromne znaczenie.

Swoboda i chłodna rozważa, z jaką Francesca podchodziła do sprawy, zaimponowała Gropiusowi. Sam był podekscytowany, wręcz wzburzony doniosłością i rozmiarami wydarzenia, w jakie się uwikłał. Pytanie, za co Schlesinger zaproponował profesorowi tak duże pieniądze, doprowadzało Gropiusa niemal do rozpacz. Nie był w stanie zebrać myśli i jednym haustem opróżnił swój kieliszek.

Już dawno Francesca zauważyła jego niepewność, jego zwątpienie, czy wybrał właściwą drogę postępowania, oraz bezradność co do dalszych działań. I chociaż miała nadzieję na coś więcej, uświadomiła sobie, że przede wszystkim musi zaniechać jakichkolwiek prób zbliżenia. Nie zrezygnowała z Gregora. Przeciwnie - niezaspokojona namiętność jeszcze wzmocniła jej zamiary. Francesca w pewien sposób nawet delektowała się tym szczególnym urokiem, który miała ta sytuacja.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - zapytała jedynie po to, żeby przerwać długie milczenie. Nie oczekiwała konkretnej odpowiedzi.

Tym bardziej była więc zdumiona, kiedy Gregor stanowczym tonem oznajmił:

- Jutro rano załatwię pieniądze. Reszta to już twoje zadanie. Pójdiesz z pieniędzmi do instytutu de Luki, przedstawisz się jako Sheba Yadin i doprowadzisz do tego, że ci wydadzą tę tajemniczą próbkę.

- Mówisz poważnie? - stanowczość Gregora zaskoczyła Francescę. Poczucie jednak, że Gropius jej potrzebuje, nie pozwalało jej się wahać ani chwili. - Dobrze - zgodziła się. Po czym wstała i wychodząc, rzuciła: - W takim razie do jutra, do dziesiątej.

Okolo godziny dziesiątej następnego ranka Francesca Colella zjawiała się w holu hotelu „Le Meridien Lingotto”. Gropius już czekał. Poznał Francescę dopiero po chwili, gdyż na potrzeby czekającego ją zadania

doskonale się ucharakteryzowała: włosy brunetki ukryła pod długą czarną peruką, jaskrawym makijażem ujęła sobie kilka lat, a efekt ten pogłębiła jeszcze, zakładając spódnicę od kostiumu sięgającą nieco powyżej kolan. Zamiast okularów bez oprawek, które zwykle nosiła, żeby emanować nieprzystępnością, miała szkła kontaktowe.

- Gratuluję! - powiedział Gregor zdumiony. - Wspaniale wyglądasz. Naprawdę można by cię wziąć za mieszkankę Izraela.

Francesca wskazała na swoje oczy.

- Ale dłużej niż pięć godzin z tym nie wytrzymam.

Gropius uspokajająco kiwnął głową.

- Nie ma obawy. Za dwie godziny będzie po sprawie.

Francesca niepewnie pogładziła długie, gładkie, sztuczne włosy.

- I myślisz, że Selvini nie przejrzy tej maskarady? W końcu byłam już raz w tym instytucie.

Gropius wydobyl z kieszeni szarą kopertę z czterdziestoma banknotami po pięćset euro i odparł:

- Na pewno nie przejrzy. Pieniądze powodują krótkowzroczność. Poza tym wyglądasz tak świetnie, że sam miałbym kłopot, żeby odróżnić cię od Sheby.

W spokojnym kącie holu raz jeszcze powtórzyli cały plan. Gropius w nocy mało spał i robił notatki. Od czasu kiedy zaczął się zajmować wyjaśnianiem sprawy, rozwinął w sobie myślenie ostrożnie, niemal pedantyczne, które uwzględnia każdy drobiazg. Wcześniej było mu to zupełnie obce.

Plan przewidywał, że Francesca, w celu uniknięcia podejrzeń i przypadkowego rozpoznania, nie będzie używać własnego samochodu, lecz podjedzie do instytutu de Luki taksówką. Żeby zgubić ewentualny ogon, miała w drodze powrotnej nie jechać do hotelu, gdzie będzie czekał Gropius, tylko na dworzec kolejowy. Tam łatwo jest zniknąć i opuścić budynek bocznym wyjściem. Tym sposobem niezauważona miała wrócić do hotelu, gdzie cenny przedmiot jak najszybciej powinien zniknąć w hotelowym sejfie.

Punktualnie o jedenastej Francesca dotarła do instytutu de Luki. Dwupiętrowa willa ukryta za cyprysami i żywopłotem sprawiała, jak zawsze, wrażenie opuszczonej. Francesca zatrzymała się na chwilę, żeby się skoncentrować. Raz jeszcze przeanalizowała cały plan działania, który omówili wcześniej z Gropiusem. Potem nacisnęła guzik dzwonka.

Pani Selvini, szczupła kobieta o krótkich rudych włosach i mocno pomalowanych szminką ustach, była osobą w trudnym do oszacowania wieku. Równie dobrze mogła mieć czterdzieści, co sześćdziesiąt lat, w każdym razie wysokie ramiona, między którymi całkowicie zniknęła szyja, nadawały jej wiedźmowaty wygląd. Do tego dochodził chrapliwy, niepewny głos, co wśród Włoszek z północy nie jest rzadkością. W przeciwieństwie do Francesca angielski pani Selvini nie był najlepszy, co jednak akurat teraz było na rękę tej pierwszej.

Przywitanie było zwyczajne - chłodne i profesjonalne. Francesca odniosła wrażenie, że mierząca ją wzrokiem spod zmrużonych powiek kobieta czeka tylko na przekazanie pieniędzy. Dlatego Francesca zaczęła:

- Mam sumę przy umówioną sobie. Może by mi pani pokazała obiekt?

Pani Selvini uniosła poczerwione brwi, które wyraźnie kontrastowały z jej jasną cerą, i odpowiedziała:

- Chyba się pani nie spodziewała, że próbkę przechowuję tutaj, pani Yadin. Czy mogłabym najpierw zobaczyć pieniądze?

Francesce serce biło jak młotem. Poczuli się zbity z tropu, gdyż zakładala, że przekazanie nastąpi tutaj, w instytucie. Omówiła z Gropiusem wszystkie możliwości, ale na to nie była przygotowana. W końcu odrzekła:

- Pani mi nie ufa? Dobrze, w takim razie pozwoli pani, że ja również będę trochę nieufna. Gdzie jest obiekt?

Pani Selvini wymruczała kilka przekleństw po włosku, które Francesca świetnie zrozumiała, wśród nich słowo *puttana*, czyli dziwka, zabrzmiało najuprzejmiej. Wreszcie nieco miłszym tonem powiedziała:

- Proszę ze mną, pani Yadin. Mój wuj Giuseppe prowadzi antykwarjat w pobliżu Akademii Nauk. Tam znajduje się to, czego pani szuka.

Przed domem, w cieniu pinii, stał zaparkowany niemal zabytkowy peugeot 504, którego najlepsze lata dawno już minęły, ale ten ciemnozielony, rozsypujący się samochód w pewien sposób pasował do pani Selvini. Jazda wzdłuż Padu i na drugą stronę rzeki nie trwała długo i przebiegła w milczeniu, jeśli nie liczyć uwag na temat ciepłej wiosennej pogody. Francesca nie czuła się zrećnie w tej sytuacji i dokładnie obserwowała drogę, którą jechały. Pani Selvini zatrzymała samochód przed sklepikiem z zakratowaną wystawą, na której piętrzyły się tandetne wyroby z różnych

epok, jak stary koń na biegunach czy marna gipsowa Madonna naturalnej wielkości.

Wuj Giuseppe, niewielki mężczyzna o gęstych siwych włosach, miał chyba dziewięćdziesiąt lat, ale był nienagannie ubrany i spoglądał przez grube szkła okularów. Nie słyszał już dobrze, dlatego pani Selvini musiała głośno wyjaśnić, że chce coś zabrać z sejfu. Rzeczywiście, pośród licznych zużytych mebli i brzydkich bibelotów Francesca zauważyła brązowy sejf z dziewiętnastego wieku z malowanymi zdobieniami. Z kieszeni żakietu pani Selvini wyjęła wielki klucz, otworzyła sejf i wydobyła stamtąd sporą kopertę z napisem: Sig. Schlesinger, Monaco di Bariera.

Kiedy Francesca dostrzegła wahanie w zachowaniu pani Selvini, odwróciła się i wyjęła spod bielizny pieniądze, które ukryła tam dla bezpieczeństwa.

- Czy mogłabym zobaczyć zawartość? - zapytała.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała pani Selvini tonem, który zdradzał pewne rozdrażnienie. Koperta zawierała dwa wydruki komputerowe z krótkim tekstem, na pierwszy rzut oka wyraźnie specjalistycznym, oraz kodem paskowym. Ponadto dwa obiekty umieszczone w foliowych torebkach formatu pocztówkowego i opatrzone pieczęcią Institute Luciano de Luca. Jeden z tych obiektów przypominał kroplę wosku, jakby ze świecy, drugi zaś był po prostu wyblakłym skrawkiem płótna w kształcie kwadratu, mniej więcej dwa na dwa centymetry.

Francesce trudno było zrozumieć znaczenie zawartości koperty. Nie mieściło jej się w głowie, że takie przedmioty miałyby być powodem zabijania ludzi i że być może biedny Constantino musiał umrzeć tylko dlatego, że ktoś przypuszczał, że ta koperta znajduje się u niej w mieszkaniu.

Kiedy Francesca wręczyła pani Selvini pieniądze i przyjęła w zamian kopertę, poczuła mdłości, jak wtedy gdy się dowiedziała, że niczego nie podejrzewając, przewoziła do Londynu błękitnego mauritiusa. Nie mogąc wytrzymać rosnącego napięcia, szybko opuściła antykwariat i jakby chodziło o jej życie, pobiegła wzdłuż Via Nizza do postoju taksówek, gdzie wsiadła do jednego z czekających samochodów.

Kiedy dotarła do hotelu, rzuciła się w ramiona Gropiusowi, który dyskretnie czekał w holu. Nagle wybuchło całe napięcie, które w sobie nagromadziła, i wielkie lzy popłynęły jej po twarzy.

- Wszystko w porządku! - szlochała. - Mam to, czego szukałeś.

Gropius wyjął jej kopertę z dłoni i bez słowa zniknął w męskiej toalecie. Kiedy wrócił, dał Francesce znak, że wykonała dobrą robotę, i udał się do hotelowego sejfów położonego zaraz za recepcją.

- Co chcesz teraz zrobić? - zapytała Francesca, kiedy już pozbył się cennej koperty i przysiadł się do niej w holu. Wciąż była przebrana i Gropius z trudem powstrzymywał śmiech. Pytanie Franceski odbijało się jednak echem w jego głowie: „Co chcesz teraz zrobić?”. Sam się sobie dziwił, że jest taki spokojny. Zamiast triumfu czuł osobliwe przygnębienie, jakby gryzło go sumienie. Jednocześnie w żaden sposób siebie nie obwiniał - on tylko uprzedził tych, którzy byli w służbie zła.

- Nie wiem - odpowiedział zgodnie z prawdą, żeby nie ranić Franceski milczeniem. - Potrzeba mi kilku dni.

Liczne splątane myśli, które jak deszcz meteorytów przelatowały mu przez głowę, rodziły coraz więcej pytań. Gropiusowi nie dawało spokoju przede wszystkim to, dlaczego Schlesinger, dla którego wynik badania DNA od początku był oczywisty, przywiązywał do niego tak wielką wagę. W końcu miał w rękach dość materiału, żeby wyciągnąć od pewnych ludzi dziesięć milionów euro. Po co więc dalsze badania? Czy Schlesinger tylko blefował, czy też miał jednak przecucie, że pojawi się dowód tożsamości Jezusa z Nazaretu? Być może Schlesinger i de Luca współdziałali, a wszystko było wyrafinowanym spiskiem? Może Schlesinger podłożył do kamiennej skrzyni inne kości, de Luca zaś sfalszował wyniki badań DNA?

Francesca, jakby umiała czytać w myślach, odezwała się nagle:

- Męczy cię wizja, że być może dałeś się nabrać dwóm chytrym oszustom o nazwiskach Schlesinger i de Luca. Zgadza się?

- Zgadza się - odparł Gropius. - Jak na to wpadłaś?

- Taka była również moja pierwsza myśl!

- A co przemawia przeciwko niej? - Gropius spojrzał wyczekująco.

- Schlesinger i de Luca byli uznanymi naukowcami, każdy w swojej dziedzinie. Dlaczego mieliby ryzykować fałszerstwo naukowe, które w wypadku jego wykrycia oznaczałoby koniec ich kariery? Nie, sądzę, że każdy z nich miał jeden dowód fizycznej śmierci Jezusa z Nazaretu. Oba dowody tworzyły logiczną całość i dlatego obaj musieli umrzeć.

Gropius słuchał wyводу Franceski z zainteresowaniem, choć nie bezkrytycznie. Zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział poważnym głosem:

- W ostatecznym rachunku wychodzi więc na to, że ja jestem następną.

Mniej więcej w tym samym czasie Sheba Yadin wyszła z hotelu „Diplomatic” i udała się do kawiarni przy Corso Belgio, żeby zgodnie z umową spotkać się z panią Selvini. Kobieta jednak nie przyszła. Gdy minęło pół godziny, a nadal nikt się nie zjawiał, Sheba pomyślała, że coś jest jednak nie w porządku. Pani Selvini, z którą spotkała się poprzedniego dnia, wydawała się podejrzana. Sheba zwróciła uwagę, że kobieta była dość nerwowa, w każdym razie bardziej nerwowa niż ona sama, ale przypisywała to dużej sumie pieniędzy, o którą chodziło przy tym spotkaniu.

Sheba odszukała więc instytut profesora de Luki. Był jeszcze dzień, ale w jednym z pomieszczeń na pierwszym piętrze świeciło się jaskrawe światło. Furtka przy wjeździe była otwarta. Ponieważ po kilkakrotnym naciśnięciu dzwonka domofonu nikt się nie odezwał, Sheba przeszła przez trawnik i podeszła do zamkniętych drzwi wejściowych. Zadzwoiła kilka razy, następnie głośno zapukała. Tknięta złym przecuciem, Sheba obezšla willę. Wszędzie panowała cisza, nie licząc świergotu ptaków siedzących na wysokich piniach rosnących w pobliżu. Sheba liczyła, że zdoła zajrzeć do wnętrza budynku przez trójskrzydłowe okna na parterze, ale szyby były wykonane z mlecznego szkła i nic nie było widać.

Na tylnej ścianie domu Sheba znalazła drugie wejście, które kiedyś służyło personelowi. Drzwi były otwarte. Sheba chciała zawrócić. Czula się bardzo niezręcznie. Mimo to zbliżyła się do wejścia, z którego powiało chłodnym powietrzem.

- Jest tam kto? - zawołała po angielsku.

Żadnej odpowiedzi.

Mroczny korytarz był wyłożony biało-fioletową glazurą i emanował ponurym urokiem przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Na ścianach wisały ryciny Piranesiego z widokami starożytnych miast. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Korytarz prowadził do dwuskrzydłowych drewnianych drzwi z szybkami ze szlifowanego szkła, przez które można było dostrzec zniekształcony widok salonu ze starymi meblami.

Sheba zapukała i popchnęła drzwi.

- Jest tam kto? - głośno powtórzyła pytanie. Stojący zegar, wysoki na trzy metry i zaopatrzony w ogromne mosiężne wahadło, tykał swój

bezlitosny takt. Drewniane schody po prawej stronie, z poręczą przy pompatycznych, skręconych kolumnach, prowadziły na piętro. Wydeptane deski skrzybiały, kiedy Sheba wspinała się na górę. Był to ostatni dźwięk, jaki Sheba Yadin świadomie odebrała.

Kiedy bowiem dotarła na górny podest schodów i skierowała się w lewo, gdzie zza drzwi świeciła neonówka, poczuła nagle szybki, gwałtowny cios w kark, jakby prąd pod wysokim napięciem sparaliżował jej członki. Bez przytomności osunęła się na ziemię. Wydawało się jej, że jest niesiona, lekka jak piórko, ku jasnemu światłu, gdzie ułożono ją na zimnej powierzchni. Na prawej ręce poczuła ukłucie, słabe, niemal przyjemne pieczenie, potem była już tylko żółtobiała nieprzenikniona ściana. Sheba nie do końca świadomie dostrzegała, jak uchodzi z niej życie. Mogła poruszać już tylko palcami. Ostatkiem sił namalowała palcem znaki na zimnej powierzchni, na której leżała. Chłodny prąd porwał ją w dal, po czym zapanaowała lodowata cisza.

Około godziny siedemnastej do siedziby instytutu wróciła pani Selvini. Od śmierci de Luki, która nią silnie wstrząsnęła, gdyż profesor był nie tylko jej szefem, ale także kochankiem, była jedyną mieszkanką willi. Mieszkała na poddaszu w dwóch małych mansardach z widokiem na park. Dziesięć lat wcześniej de Luca ściągnął ją do Turynu z laboratorium genetyki w Bolonii. Ochoczo przyjęła jego propozycję, ponieważ de Luca miał już wyrobione nazwisko w świecie naukowym, poza tym interesował się nią też prywatnie, co początkowo było tylko przypuszczeniem, jednak jak się później okazało, trafnym. Wspólnie prowadzili instytut, uznaną pracownię w dziedzinie biotechnologii i analityki. W każdym razie było tak do czasu, kiedy dwa lata temu profesor zaczął przeżywać stany lękowe i zajmować się badaniami, które wprawdzie odbywały się na granicy prawa, ale przynosiły duże pieniądze. Od tamtej pory instytut na prawym brzegu Padu uchodził za instytucję tylko dla wtajemniczonych.

Pani Selvini przerażała się, zobaczywszy, że wejścia do instytutu pilnują dwaj umundurowani policjanci.

- Może mi ktoś wyjaśni, co się tu dzieje? - zapytała szorstko.

Jeden z policjantów zagroził jej drogę i nie odpowiadając na pytanie, rzucił:

— Kim pani jest?

- Nazywam się Selvini. Mieszkam tutaj, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Co się stało?

Policjant odmówił odpowiedzi, wydając za to polecenie:

- Proszę za mną!

Ze zdumieniem zauważyła, że policjant prowadzi ją do tylnego wejścia, którego właściwie nigdy się nie używało, a kiedy zobaczyła otwarte drzwi, początkowo pomyślała o włamaniach, które w tej okolicy nie były rzadkością.

Policjant przyprowadził ją do komisarza o pomarszczonej twarzy i siwawych włosach, który stał pośrodku salonu i mówił do dyktafonu.

- Na początek chciałabym się dowiedzieć, jak pan tutaj wszedł? - zapytała Selvini z naciskiem.

- Drzwi były otwarte - odparł komisarz i schował dyktafon do kieszeni. - Czy może się pani wylegitymować? Nazywam się Artoli.

- Moje nazwisko Selvini - odpowiedziała, szperając z oburzeniem w torebce. Podczas tej operacji na chwilę pojawił się na wierzchu zwitek banknotów. Spojrzawszy przelotnie na dowód osobisty, który nagle chyba przestał go interesować, komisarz odezwał się z odcieniem ironii:

- Zawsze nosi pani przy sobie tyle pieniędzy?

- To chyba już moja sprawa, komisarzu! - odparła Selvini ze złością.

- Ależ oczywiście, o ile nie chodzi akurat o pieniądze zarobione nielegalnie i nieopodatkowane. Z pewnością może mi jednak pani wyjaśnić pochodzenie tych pieniędzy.

Zapędzona w kozi róg, Selvini przeszła do ataku.

- Albo mi pan natychmiast powie, o co tutaj chodzi, albo proszę opuścić ten dom, a ja złożę skargę u pańskich przełożonych.

Artoli, uosobienie spokoju, uśmiechnął się przebiegle, wyciągnął rękę i powiedział:

- Czy przekazałaby mi pani z łaski swojej torebkę z pieniędzmi?

Jak się zachować? Podejrzeństwo było oczywiste: Sheba Yadin, której od początku nie ufała, zastawiła na nią pułapkę. Widziała, że zupełnie nie nadaje się do tych podejrzanych interesów, które prowadził de Luca.

- Czy jestem do tego zobowiązana? - odpowiedziała pytaniem na pytanie komisarza.

- W tych okolicznościach tak, droga pani.

- W jakich okolicznościach, komisarzu?

Artoli wciąż się uśmiechał.

- Zapewne pani nie wie, w jaki sposób kobiece zwłoki znalazły się w pani laboratorium.

- Jakie zwłoki?

- Niejakiej Sheby Yadin.

- Sheby Yadin? To przecież niemożliwe!

- Pani zna tę kobietę?

- Tak. To znaczy nie. Od niej pochodzą pieniądze w mojej torebce.

Ledwie wypowiedziała te słowa, zorientowała się, że popełniła błąd, nie potrafiąc trzymać języka za zębami. Zdezorientowana wcisnęła komisarzowi do ręki swoją torebkę i wbiegła na schody.

W drzwiach laboratorium krzyknęła. Na stole laboratoryjnym, rozciągnięta między probówkami, naczyniami, rurkami i elektronicznym sprzętem pomiarowym, leżała młoda kobieta o krótkich blond włosach, gustownie ubrana w beżowy kostium. Na jednej nodze miała ciemny but na wysokim obcasie, drugi but leżał na podłodze. Lewa ręka była wyprostowana wzdłuż ciała, prawa, zgięta, zwisała ze skrajy stołu. Oczy były nieomknięte, można więc było dostrzec połyskujące gałki oczne.

- Naprawdę nie żyje? - spytała pani Selvini niepewnie. Komisarz, który przyszedł za nią, przytaknął.

- Ale jak się tu znalazła? Kto to w ogóle jest?

- Właściwie to panią chciałem o to zapytać - odparł komisarz i podszedł bliżej. - Nazywa się Sheba Yadin. Powinna ją pani znać. Przecież właśnie pani mówiła...

- Bzdura! - wpadła mu w słowo Selvini i przetarła oczy. - To nie jest Sheba Yadin. Zupełnie niedawno rozmawiałam z Shebą Yadin, która przekazała mi pieniądze!

- Zna pani Shebę Yadin od dawna?

- Nie. Była mi znana jedynie z nazwiska. To żona albo przyjaciółka archeologa, który zlecił nam pewne analizy. Otrzymałam pieniądze za analizę, którą przeprowadzono w naszym instytucie. Nikt nie mógł wiedzieć o tym zleceniu i nikt inny nie zapłaciłby mi za tę analizę takich pieniędzy. Dla każdego innego była bezwartościowa.

- Obstaże zatem pani przy tym, że to nie jest Sheba Yadin?

- Przysięgam na świętego Lorenza i wszystkich świętych!

Wtedy komisarz pokazał jej paszport. Zdjęcie paszportowe przedstawiało młodą kobietę o długich czarnych włosach. Mimo że ofiara leżąca na stole laboratoryjnym miała krótkie blond włosy, bez trudu można było stwierdzić, że chodzi o jedną i tę samą kobietę. Nazwisko, na które wystawiono paszport w alfabecie hebrajskim i łacińskim, brzmiało Sheba Yadin.

- Mój Boże! - wybełkotała pani Selvini i bezradnie spojrzała na komisarza. Była zupełnie zdezorientowana. - Mój Boże! - powtórzyła. - Nic z tego nie rozumiem.

- Pani Selvini, musi mi pani wyjaśnić, dlaczego na pani stole laboratoryjnym leży martwa kobieta i dlaczego ma ze sobą w torebce taką samą kwotę, jak pani. Dwadzieścia tysięcy euro.

- Ona ma...?

- Dwadzieścia tysięcy euro w torebce! Jeśli pozwoli mi pani na pewną uwagę, pani Selvini, to pomijając już te pieniądze, sprawa jest w najwyższym stopniu niezwykła i z pewnością nie jest dziełem przypadku. Nasuwa się podejrzenie, że uбиła pani z Shebą Yadin jakiś interes i kwota miała być uczciwie podzielona. Przy tym być może doszło do awantury, w której pani Yadin poniosła śmierć. Tak było?

Pani Selvini wykrzyknęła:

- Nie, nie, nie! Nie mam nic wspólnego z tym zabójstwem. Przecież nawet nie znam tej kobiety!

- Czyż nie mówiła pani, że pieniądze, które ma w torebce, otrzymała pani od Sheby Yadin? To w końcu jak było? Niech pani wreszcie powie prawdę!

- Prawdę, prawdę! Powiedziałam prawdę. Spotkałam się z Shebą Yadin w kawiarni przy Corso Belgio, przekazałam jej wyniki dwóch badań DNA i otrzymałam za nie dwadzieścia tysięcy euro.

- Świadczenie?

- Pani Yadin!

- Ale ona leży przed panią i nie żyje! - Głos komisarza zrobił się złowieszco głośny.

- W takim razie Sheba Yadin miała sobowtóra...

- ...który tak po prostu wręczył pani dwadzieścia tysięcy euro, bez pokwitowania, bez niczego.

- Tak. Tak było... - Z twarzy pani Selvini biła czysta rozpacz. W oczach miała łzy. Ale nie z bólu, tylko z wściekłości, ze złości, że została wciągnięta w sytuację właściwie bez wyjścia.

Technik zajmujący się zabezpieczaniem śladów, pracujący w białym kombinezonie i białych gumowych rękawiczkach, odsunął oboje na bok. Pędzelkiem i rozpylaczem nanosił na określone miejsca w laboratorium grafitowy pył, żeby następnie za pomocą przezroczystej lepkiej folii zdjąć odciski palców. Co pewien czas wydawał z siebie pomruki zadowolenia, z czego można było wywnioskować, że jego praca przebiega pomyślnie.

- Komisarzu! - technik w białym kombinezonie podniósł z podłogi coś białego, plastikową ampulkę z napisem „Chlorfenwinfos”.

- Co to jest? - zainteresował się komisarz, nie dotykając ampulki.

- Śmiertelnie trujący środek owadobójczy! O ile wiem, było już kilka zabójstw dokonanych za pomocą tej trucizny.

Komisarz zwrócił się do pani Selvini.

- Czy ta ampulka pochodzi z pani laboratorium?

- Jesteśmy laboratorium biotechnicznym, a nie jakimś szatańskim warsztatem! - odparła z niesmakiem. - Powoli zaczynam odnosić wrażenie, że chce mnie pan wrobić w morderstwo!

- Absolutnie niczego takiego nie chcę! Ale niech mi będzie wolno zwrócić pani uwagę, że na podstawie pierwszych wyników dochodzenia trudno nie powiązać pani z tym zabójstwem. W każdym razie to, co na razie usłyszałem, przemawia przeciwko pani: zwłoki w domu, denatka, której nazwisko pani zna, ale której tożsamość pani neguje, poważna suma pieniędzy w torebce - taka sama, jak u denatki. I pani raczej twierdzić, że nie ma z tym nic wspólnego?

Na to pani Selvini zaczęła krzyczeć, że komisarz jest komunistą albo człowiekiem mafii, i że od tej chwili nie powie już ani słowa więcej, żąda także rozmowy z adwokatem.

Przez kilka chwil w milczeniu przyglądała się pracy technika, po czym jakby zapominając o swojej wcześniejszej groźbie, zapytała komisarza:

- A właściwie to skąd pan wiedział, że tę kobietę zamordowano i że jej zwłoki można znaleźć właśnie tutaj?

- Anonimowy telefon na komendę policji. Mężczyzna mówiący z obcym akcentem zawiadomił, że w instytucie profesora de Luki leży martwa kobieta. Takie telefony nie są rzadkością i początkowo wzięliśmy to za

marny dowcip. Dlatego najpierw wysłaliśmy patrol. Policjanci odkryli, że drzwi są otwarte, przeszukali dolną kondygnację, po czym tutaj, na górze, odkryli zwłoki.

Do tej pory lekarz sądowy nie zwracał na siebie uwagi i spokojnie zajmował się badaniem zwłok. Był to niezgrabny mężczyzna, dość młody, o ciemnych włosach zaczesanych do przodu, które nadawały mu wygląd rzymskiego cezara. Teraz wziął swoją walizeczkę, którą postawił przy wejściu do laboratorium, i zaczął się dyskretnie zbierać do wyjścia.

- Chwileczkę, doktorze - powstrzymał go komisarz. - Czas zgonu?
- Dwie do trzech godzin temu.
- Przyczyna zgonu?

- Trudno orzec. Jutro do siedemnastej otrzyma pan mój raport. Choć zgięcie prawej ręki wskazuje na zastrzyk. Czy była to jednak przyczyna zgonu tej kobiety, będę mógł stwierdzić z całą pewnością dopiero jutro.

Tymczasem zapadł zmrok i technik zabezpieczający ślady zawiadomił komisarza, że ciało można już zabrać i przewieźć do zakładu medycyny sądowej. Dwaj mężczyźni, jeden niski i silny, drugi wysoki i chudy, podszli z plastikową trumną przypominającą wannę i z obojętnymi minami zaczęli przenosić zwłoki.

W miejscu gdzie na stole laboratoryjnym leżała martwa kobieta, technik w białym kombinezonie zaczął zdejmować kolejne ślady. Wśród nich były dwa włosy, które za pomocą pesety umieścił w przezroczystej plastikowej torebce. Gdy się upewnił, że nie ma już żadnych pozostałości organicznych, zaczął szukać odcisków palców i cały stół posypał grafitowym pyłem. Dokonał przy tym osobliwego odkrycia.

Pośród różnych odcisków i zadrapań, wyraźnie starszych i niezwiązanych z zabójstwem, pod rozprowadzonym pyłem grafitowym ujawnił się wyraźnie widoczny napis: trzy wielkie litery, krzywe i chwiejne, jakby zostały napisane na stole laboratoryjnym palcem, na ślepo.

- Komisarzu, proszę spojrzeć! Co to może znaczyć? Komisarz podszedł i przeczytał:

- IND.

Wzruszył ramionami i pokręcił głową.

ROZDZIAŁ 14

Mimo przekonania, że jest na właściwym tropie i zakończy z sukcesem sprawę Schlesingera, Gropius spędził niespokojną noc w hotelu „Meridien”. Tuż przed ósmą obudził go natarczywy dzwonek telefonu. Gregor pomyślał, że to Francesca. Tylko ona wiedziała, że tutaj mieszka. Zaspany chwycił za słuchawkę.

- Zamordowano Shebę Yadin! - krzyknęła Francesca. Jej głos był donośny i bardzo zdenerwowany.

- Co ty mówisz? - Gregor wstał i przycisnął słuchawkę do ucha. - Shebę?

- Zamordowano! Jej zwłoki znaleziono w instytucie profesora de Lu-ki. Ogarnia mnie cholernie dziwne uczucie, gdy sobie pomyślę, że jeszcze wczoraj chodziłam po mieście jako Sheba Yadin. Halo, jesteś tam jeszcze?

Gregor patrzył przed siebie w ciemność pokoju. Zasłony wciąż były zaciągnięte. W powietrzu unosił się - jak we wszystkich pokojach hotelowych na całym świecie - zapach klimatyzacji, odkurzania i środków czystości w łazience. I podobnie jak na wszystkich korytarzach hotelowych świata, także tu panował już ruch jak na dworcu, było słycać skrzypiące kółka walizek, służbę hotelową, głośne nawoływania do pośpiechu, paplanie pokojówek. „Nie, to nie sen. To rzeczywistość!”

- Jestem - odparł niepewnie. - Przepraszam. Musiałem to najpierw przemyśleć. Wiadomo już, kto za tym stoi?

- Zatrzymano panią Selvini. Ale ona wszystkiemu zaprzecza. Ma dzisiaj stanąć przed sędzią wydającym nakaz aresztowania.

- Uważasz ją za zdolną do morderstwa? Co prawda krótko, ale z nią rozmawiałeś.

Francesca westchnęła głęboko.

- Cóż ci mam powiedzieć, Gregor. Pani Selvini to wiedźma. Wiedźmy są złe, ale nikogo nie mordują, zwłaszcza w tak profesjonalny sposób.

- Co to znaczy „w tak profesjonalny sposób”?

- Gazety piszą, że Sheba zginęła po otrzymaniu zastrzyku z chlorfenwinfosu.

- Chlorfenwinfos? O mój Boże!

- Najwidoczniej Sheba musiała umrzeć, bo za dużo wiedziała. Zdumiewające, że ja wciąż żyję.

- Sądzę, że ta stara zmija Selvini działa w tej samej organizacji. Znała wartość próbki i prawdopodobnie sprzedała nam podróbkę. Pewnie ta próbka w hotelowym sejfie to tylko strzęp płótna bez wartości.

- Naprawdę tak myślisz?

- Wygląda na to, że wszystkie nasze działania były podjęte na próżno - westchnął zrezygnowany. - Mamy do czynienia z organizacją, której zasięg i możliwości znacznie przekraczają moje wyobrażenie. Ty, ja, wszyscy, którzy choćby w najmniejszy sposób naruszają ich interesy, są zapewne pod stałą obserwacją. Bawi ich to, że taki nieporadny profesor, dla którego najważniejsza jest moralność, podejmuje żalosne próby, żeby ich zmylić. Powoli zaczynam zadawać sobie pytania: „Po co to wszystko? Po co?”.

Francesca poczuła, że Gregor potrzebuje wsparcia. Dlatego odpowiedziała wbrew własnemu przekonaniu:

- Nie wolno ci się teraz poddawać. Jesteś już tak blisko rozwiązania sprawy, swojej sprawy! Chodzi o ciebie i twoje życie. Jeśli chcesz, przecież ci pomogę, najlepiej jak potrafię. Kocham cię!

Niespodziewane wyznanie miłości zaskoczyło Gropiusa. W tej chwili myślał o wszystkim, tylko nie o ponownym angażowaniu się w jakikolwiek związek. Należy jednak pamiętać, że był w stanie zrezygnowania i słabości, wyczulony na objawy sympatii.

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej - powiedział Gropius i nie było w jego słowach obojętności. - Proszę, wybacz mi.

- Przepraszam, nie chciałam tego mówić. Tak mi się wyrwało! - Najwyraźniej ten nagły wybuch uczuć zaskoczył samą Francescę. Po chwili dodała: - W gazecie napisano, że Sheba Yadin, umierając, napisała coś na stole, na którym leżała. Prawdopodobnie ma to wskazywać mordercę. Są to trzy litery: „IND”. Co to może oznaczać?

- „IND”? - skrót ten wydał się Gropiusowi znajomy. „IND”? Czy firmowa karta kredytowa, którą Rodriguez uregulował rachunek za hotel, nie była wystawiona właśnie na firmę IND? Ależ oczywiście! Teraz przypomniał sobie dokładnie. Rodriguez!

- Masz rację, moja droga - oświadczył Gregor. - Nigdy nie należy rezygnować. Być może jestem bliżej rozwiązania tej sprawy, niż sądziłem. Jeżeli zaś chodzi o to, co powiedziałaś... Chciałbym jeszcze do tego wrócić.

Stojąc pod prysznicem, Gropius zraszał twarz na zmianę gorącą i zimną wodą, jakby chciał przyspieszyć strumień myśli przepływających przez jego umysł. Jednocześnie nie mógł przestać rozpamiętywać wyznania Franceski, choć wciąż nie potrafił zapomnieć o Felicii Schlesinger.

Mokry, owinięty tylko ręcznikiem, odsłonił okna w pokoju. Poranna mgła zapowiadała słoneczny dzień. Podeszedł do telefonu i wybrał numer Felicii.

Odezwała się szorstko i raczej tylko z uprzejmości zapytała:

- Gdzie jesteś?

- W Turynie. Wracam z Izraela i przywożę ważne nowiny.

- Tak? - W jej głosie nie było nawet odrobiny zainteresowania. - Jeśli mają związek z przeszłością Schlesingera, to raczej mnie to nie obchodzi. Już ci to mówiłam!

Gropius czuł, że wyrósł między nimi jakiś niewidzialny mur. Chłód, z jakim Felicia traktowała go od dłuższego czasu, sprawił, że zaczął wątpić, czy w ogóle kiedykolwiek byli sobie bliscy. Oczywiście - przespali się ze sobą — i Gregor wspominał to z dużą przyjemnością, seks i miłość to jednak dwie różne rzeczy, a w przeciwieństwie do seksu, miłość często staje się nieosiągalnym marzeniem. Być może zbyt dokładnie zaplanowali swoje uczucia, akurat miłość dobrze pasowała do sytuacji... Może byłoby lepiej, gdyby pozwolili, żeby prowadził ich los, a nie działali zgodnie z poczynionymi wspólnie planami.

- Stało się coś okropnego - Gregor postanowił kontynuować. - She-ba Yadin została zamordowana. Tutaj, w Turynie.

Przez chwilę po drugiej stronie słuchawki panowała cisza, po czym Felicia spytała:

- Nie spodziewasz się chyba, że się rozplączę?
- Oczywiście, że nie. Chciałem tylko, żebyś wiedziała.
- Zamordowana? - wydawało się, że do Felicii dopiero teraz dotarło znaczenie tych słów. - Czy ujęto już mordercę?

- Nie. Jeszcze bardziej przerażające jest to, że Sheba Yadin zginęła od tej samej trucizny co twój mąż, wskutek zastrzyku z chlorfenwinfosu.

- Co na to mówi policja?

- Na razie nic. Na razie policja w ogóle nie wie o związkach między śmiercią Sheby i pacjentami po transplantacji.

- Powinieneś im to uświadomić.

- Tak. Pewnie masz rację. Chciałem cię jeszcze zapytać, czy przypominasz sobie, żeby Arno Schlesinger kiedykolwiek użył skrótu „IND”?

- „IND”? Co to niby znaczy?

- Sam chciałem wiedzieć. Sheba Yadin napisała na stole te trzy litery. Przypuszczalnie chciała w ten sposób wskazać mordercę.

- Tak, jasne! „IND”! Podczas kremacji Schlesingera przyniesiono wieniec z szarfą. Było na niej napisane: REQUIESTAT IN PACE. IND. Niech spoczywa w pokoju. Zadawałam sobie wtedy dwa pytania. Kto wiedział o kremacji i co oznacza ten tajemniczy skrót?

- Nigdy o tym nie wspomniałaś!

- Po co? Czy mogłam przewidzieć, że cała ta historia będzie miała jakieś znaczenie? Chciałam po prostu wymazać z pamięci tajemnicze okoliczności śmierci Schlesingera, zależało mi na tym, żeby całkowicie zapomnieć o Arnio. Czemu znowu zaczynasz od początku?

- Wybacz, ale wydaje mi się, że Shebę Yadin i Arno Schlesingera zamordowała ta sama organizacja!

- Nic dziwnego, prawdopodobnie Arno wypaplał tej dziwce w sekracie, że zarobił dziesięć milionów. Ostatecznie większość czasu spędzał właśnie z nią.

Duma Felicii została głęboko urażona. Było to słyhać w każdym jej słowie. Nienawidziła Schlesingera, który przez cztery lata małżeństwa bezczelnie ją zdradzał. Gropius pomyślał nawet, że w obecnym stanie ducha

nienawidzi wszystkich ludzi. Był to stan grożący zupełnym zagubieniem.

- Rozumiem twoją gorycz - powiedział Gropius. - Musisz jednak spróbować to przeboleć. Schlesinger nie żyje, ty żyjesz. Bądź co bądź zostawił ci sumę, która umożliwi beztrudne życie.

Jakby puszczając słowa Gregora mimo uszu, Felicia zapytała bez ogródek:

- Ta Włoszka, ta Francesca jest z tobą?

- Nie - zapewnił Gropius. - Możesz mi wierzyć!

Nagle dotarło do niego, że znalazł się absurdalnej sytuacji i musi się bronić, dlatego dodał dosyć nieuprzejmie:

- A jeśli nawet jest, to nie muszę cię prosić o pozwolenie. Dobrze rozumiem?

- Tak, dobrze rozumiesz - odparła Felicia.

Rozmowa się urwała.

Informacja o zamordowaniu Sheby Yadin pojawiła się w nagłówkach wielu gazet w różnych krajach. Gorące spekulacje wywołał przede wszystkim zagadkowy skrót „IND”, napisany przez Shebę w agonii, ostatkiem sił, na stole w laboratorium. Pracownicy Federalnej Służby Wywiadowczej, którzy mimo użycia kosztownych i nowoczesnych metod deszyfrowania nie zdołali go rozwinąć, uznali sprawę za nowe wyzwanie.

Wolf Ingram, szef od miesięcy działającej po omacku komisji specjalnej, nie mogąc się wykazać żadnym konkretnym wynikiem, wykorzystał okazję i przystąpił do ofensywy. W wywiadzie udzielonym włoskiej gazecie „Stampa Sera” ujawnił możliwe powiązania między zamordowaniem izraelskiej pani archeolog a pacjentami z Niemiec poddawanymi transplantacji. Była to pożywka dla brukowców w całej Europie.

Panią Selvini wypuszczono dzień po zatrzymaniu. Adwokat był w stanie zapewnić jej na czas morderstwa żelazne alibi, potwierdzone przez dwóch wiarygodnych świadków, i wpłacił kaucję w wysokości dwudziestu tysięcy euro.

Z kolei do Gropiusa, do hotelu, zadzwonił komisarz Artoli. Nie znał co prawda języka niemieckiego, ale doskonale mówił po angielsku i nalegał, żeby do czasu jego przybycia Gropius nie opuszczał pokoju. Miał złożyć

zeznanie w sprawie morderstwa Sheby Yadin. Gropius nie miał dobrych przeczuć. Skąd Artoli znał jego nazwisko, i skąd wiedział, że zatrzymał się w hotelu „Le Meridien Lingotto”?

Wbrew tym obawom Artoli zrobił na Gropiusie nawet dobre wrażenie. Mówił w bardzo uprzejmy sposób, a przesłuchanie, które odbyło się w cichym kącie hotelowego holu, rozpoczął słowami:

- Bardzo mi przykro, że pobyt w Turynie przerywam szanownemu panu nieprzyjemną sprawą.

Gropius machnął lekceważąco ręką:

- Proszę bez ceregieli, panie komisarzu. Wiem, w czym rzecz. Czego chce się pan ode mnie dowiedzieć?

- Cóż — Artoli robił wrażenie, jakby miał mnóstwo czasu i jakby cała sytuacja go nie dotyczyła. W każdym razie emanujący z niego spokój wydawał się niemal prowokacyjny: - Profesorze - zaczął z uśmiechem. - Podjął pan w banku American-Express w Turynie dwadzieścia tysięcy euro. Czy mógłbym się dowiedzieć, co pan zrobił z tymi pieniędzmi?

Pytanie uderzyło w Gropiusa zupełnie niespodziewanie i całkiem zbiło go z tropu. Niechętnie odpowiedział:

- Dwadzieścia tysięcy? Skąd pan wie?

Artoli wzruszył ramionami. Kiedy Gropius wahał się, co powiedzieć, wyjaśnił:

- Pracownica banku przypomniała sobie tę transakcję, kiedy przeczytała w gazecie, że zarówno ofiara, jak i pani Selvini miały przy sobie właśnie taką sumę.

Gropius poczuł się zapędzony w kozi róg. „Jak się zachować?”. Przecież absolutnie nie mógł powiedzieć prawdy! Była tak absurdalna, że tylko ściągnąłby na siebie jeszcze większe podejrzenia. Nie, wolał milczeć. Nikt go nie zmusi, żeby się tłumaczył z dysponowania własnymi pieniędzmi.

- Dwadzieścia tysięcy euro to duże pieniądze, przynajmniej dla skromnego komisarza. Nawet jednak profesor nie idzie na spacer z taką sumą w kieszeni czy na zakupy do sklepu. Gdzie są zatem te pieniądze, profesorze?

- Nie mam obowiązku się panu tłumaczyć! - rozżościł się Gropius. - Pieniądze te zostały uczciwie zarobione i opodatkowane w Niemczech, nikt też nie może mi zabronić wydawać ich we Włoszech.

- W tym zakresie ma pan całkowitą rację, profesorze. Oświadczenie w tej sprawie mogłoby jednak pana oczyścić z podejrzeń w sprawie o morderstwo.

- Co to znaczy „mogłoby oczyścić”? Chce pan przez to powiedzieć, że podejrzewa mnie o zamordowanie Sheby Yadin?

- Znał pan ofiarę?

- Nie.

- Jest pan pewien?

- Tak.

- Ciekawe. Cóż za przedziwny zbieg okoliczności... Siedzieli państwo w tym samym samolocie z Tel Awiwu-Jaffy do Rzymu, po czym udał się pan samolotem z Rzymu do Turynu. I kto znów był na pokładzie? Sheba Yadin. Dwa dni później Sheba Yadin nie żyje. Życie pisze doprawdy przedziwne historie. Nie sądzi pan?

Gropius spojrział z irytacją

- Skąd pan to wszystko wie?

Komisarz uśmiechnął się chytrze i odparł:

- Włoscy policjanci marnie co prawda zarabiają, ale z tego powodu nie są głępsi od innych.

Wyjął z kieszeni złożony arkusz papieru i rozwinął przed Gropiusem.

- Faks z Okręgowego Urzędu Kryminalnego w Monachium! Piszą tutaj, że musiał się pan udać na przymusowy urlop, ponieważ w pana klinice podczas transplantacji wątroby zmarł pacjent, a śmierć spowodował zastrzyk z chlorfenwinfosu. Sheba Yadin również zmarła z powodu zastrzyku z chlorfenwinfosu. To jakiś obłąd, prawda?

Gropius poczuł głośne uderzenia tętna w skroniach. Już myślał, że ma to od dawna za sobą, a tu cała nieprzyjemna rozgrywka zaczyna się od nowa. W rozpaczy potarł dłonią oczy.

- Tak, przyznaję, że brzmi to wariacko, a nawet bardziej niż wariacko. Mimo to nie mam z tym morderstwem absolutnie nic wspólnego. Przeciwnie.

- Przeciwnie? Profesorze, jak mam to rozumieć?

- To ja śledziłem Shebę Yadin, żeby wyjaśnić zabójstwo w mojej klinice!

- Uważał pan Shebę Yadin za morderczynię?

- Nie, ale sądziłem, że naprowadzi mnie na właściwy trop! Sheba Yadin miała kontakty z mafią albo jakąś tajną organizacją.

Chłodne, niedowierzające spojrzenie komisarza zdenerwowało Gregora Gropiusa ostatecznie. Artoli aż nadto wyraźnie dawał do zrozumienia, że mu nie wierzy. W ułamku sekundy profesor stracił panowanie nad sobą. Zerwał się, przeskoczył oparcie fotela i pobiegł w kierunku wyjścia z hotelu, gdzie jednak dwaj policjanci zastąpili mu drogę i przytrzymali, aż nadszedł Artoli.

Podszedłszy do Gropiusa, Artoli pokręcił głową i powiedział z właściwym sobie spokojem:

- Ale, ale, profesorze, dlaczego chce pan uciekać, skoro uważa pan, że jest niewinny? Nie, to nie był dobry pomysł. Na razie jest pan zatrzymany i podejrzany o morderstwo. Może pan wynająć adwokata i od tej chwili odmówić wszelkich zeznań.

Słowa komisarza docierały do Gropiusa jakby z oddali. Kiedy Artoli kazał mu pójść w eskorcie dwóch policjantów do hotelowego pokoju i spakować najpotrzebniejsze rzeczy, Gropius wykonał polecenie jak w transie. Później nie pamiętał, jakim sposobem dotarł do pokoju i jak pokonał drogę powrotną do holu. Jego jedynym wspomnieniem był Pierre Contenau, który nagle stanął przed nim, kiedy w towarzystwie dwóch policjantów wychodził z windy. W pierwszej chwili miał wątpliwości, czy to rzeczywiście Contenau, kiedy jednak dostrzegł jego okrutny uśmiešek, wszelkie wątpliwości się rozwiały.

Sekretarz stanu kardynał Paolo Calvi splótł ręce za plecami i przez wysokie okno spoglądał na plac św. Piotra. Stał w odpowiedniej odległości, żeby nie można go było zobaczyć z placu. Kardynał palił gauloises, jednego za drugim. Trzymał papierosa w lewym kąciku ust i po prostu nie czuł się dobrze. Nałogowi zawdzięczał uporczywy wrzód żołądka, a ślady spowodowanego tym cierpienia wyraźnie było widać na jego twarzy. Głębokie zmarszczki wokół oczu i ust powodowały, że sześćdziesięcioletni dostojnik wyglądał na osiemdziesiąt lat. Ostre promienie słońca przenikały do zadymionego pomieszczenia, sali o ścianach obitych czerwonym sukniem i umeblowanej jak muzeum, położonej bezpośrednio pod prywatnym apartamentem papieża.

Paolo Calvi uchodził za naprawdę wpływową postać w watykańskich murach, jeśli w ogóle można jeszcze mówić o wpływach w kontekście państwa kościelnego. Jako sekretarz stanu stworzył grupę popleczników,

której bali się nawet jego przyjaciele. Nadawał kierunek polityce Watykanu, jego podwładni szeptali zaś po kątach, że cierpi na manię władzy. To przypadłość właściwa wielu duchownym, którzy samodzielnie wspinali się po drabinie hierarchii kościelnej, zaczynając od najniższych sfer — przeważnie pochodzących ze wsi.

Do zadymionej sali wkroczył monsignore Antonio Crucitti i dopóki sekretarz stanu był odwrócony plecami, machał dłonią, starając się rozwiać gryzący dym przed twarzą.

- *Laudetur, eminenza!* - zawołał monsignore, żeby zasygnalizować swoją obecność. Dla pewności powtórzył: - *Laudetur, eminenza!*

W dosłownym tłumaczeniu znaczyło to: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, wasza dostojność!”, chociaż nie pamiętał już o tym prawie żaden zakonnik posługujący się w Watykanie tą powitalną formułą.

Calvi, wciąż z *gauloise'em* w ustach, odwrócił się, zakasłał, aż wydało się, że papieros spadnie na podłogę, po czym, powoli zbliżając się Crucittiego, zaczął bez wstępów:

- Kazałem pana wezwać, monsignore...

Jak kościelna wieża wysoki Crucitti górował nad krępyim kardynałem, który patrząc na niego, musiał wyciągać szyję. Podobnie jednak jak w domu Bożym, gdzie wieża odgrywa skromną rolę, a najważniejsze wydarzenia dzieją się w dużo niższej nawie, tak i tutaj niski, krępy kardynał Calvi był górą.

- Wiem - wpadł mu w słowo Crucitti i wskazał głową biurko, gdzie leżały rozłożone najważniejsze gazety. - Głupia historia. Ten człowiek mógłby się nam jeszcze bardzo przydać.

- Jak to „mógłby”? Ten człowiek jeszcze będzie dla nas bardzo użyteczny! - zawołał głośno Calvi, przy tym jego prawie łysa czaszka pociemniała.

- Ale go aresztowano! - Crucitti cofnął się o krok. - „Messagero” pisze przecież, że *professore* z Niemiec jest podejrzany o morderstwo!

- Czy udowodniono cokolwiek? Czy można tego... Jak mu tam?

- Gropius!

- Czy można tego Gropiusa oskarżyć o morderstwo?

Monsignore Crucitti, tak zwana świeża krew - przypisywano mu mroczną przeszłość, chociaż nikt nie mógł o niej powiedzieć nic konkretnego - był odpowiedzialny za kwestie bezpieczeństwa, szpiegostwo i zwalczanie terroryzmu. Odparł teraz:

- Pojęcia nie mam. W każdym razie historia jest bardzo tajemnicza.
- Znowu jakaś tajemnicza historia! Monsignore, to pańskie zadanie, żeby zapobiegać takim zdarzeniom. Dlaczego nie ostrzegł pan profesora de Luki? Mógł dziś żyć i być dla nas użyteczny. Nie możemy mafii czynić odpowiedzialną za wszystko!

- Eminencjo, przecież pan wie, że de Luca sam jest winien swojej śmierci. Chciwość doprowadziła go do upadku. Jakbyśmy nie dość mu płacili za milczenie. „Nikt nie może dwom panom służyć. Bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego - miłował; albo z jednym będzie trzymał, a drugim wzgardzi. Nie możecie służyć Bogu i mamonie!”- tak powiada Mateusz Ewangelista.

- Otóż to, tak mówi Ewangelista!

- Właśnie, eminencjo. W każdym razie de Luca mógłby jeszcze żyć, gdyby mamona nie doprowadziła go tego, że zgrzeszył przed Bogiem i Kościołem.

Sekretarz stanu kardynał Calvi nerwowo ssał swojego gauloise'a, wydmuchując dym kątem ust. Mruczał przy tym:

- Mówi pan jak wiejski proboszcz z Abruzji.

Crucitti poczerwieniał z gniewu - cnoty na wskroś niechrześcijańskiej, pamiętając o tym, że wszystkich sił starał się jednak stłumić emocje.

- Niech pan lepiej dopilnuje, żeby ten Gropius się nie wygadał. To się absolutnie nie może zdarzyć. Czy pan mnie zrozumiał, monsignore? — głos Calwiego się załamał.

- *Professore* siedzi w areszcie śledczym, eminencjo! Co mam zrobić?

- Co ma pan zrobić?! - krzyknął sekretarz stanu w najwyższym zdenerwowaniu. Papieros wypadł mu z ust i zostawił ślady popiołu na sutannie. — Ma pan tego Gropiusa wyciągnąć z więzienia! Pod żadnym pozorem nie może być przesłuchiwany. Niech pan zatrudni najlepszego adwokata w kraju. Niech pan weźmie *dottore* Pasqualego Feliciego. Nie tylko jest najlepszy, ale także ma doskonałe kontakty z wymiarem sprawiedliwości. Niech pan wyjaśni adwokatowi, że jest dla nas rzeczą najwyższej wagi, żeby profesor Gropius wyszedł na wolność. Ale niech pan bardzo uważa, żeby nie powiedzieć mu całej prawdy. Mogę na panu polegać, monsignore?

Crucitti złożył dłonie jak do modlitwy i opuścił głowę, jakby stał przed ołtarzem. Kardynał był bardzo czuły na ten gest, który tłumaczono jako

usłudze: „Eminencjo, uczynię, co w mojej mocy. Oraz w mocy Najwyższego!” Koniuszkami palców podniósł z dywanu niedopałek papierosa.

Sekretarz stanu się skrzywił, a bruzdy na jego twarzy stały się jeszcze bardziej widoczne. Zapalił kolejnego papierosa.

- Rozumiemy się więc - stwierdził i zakaszał przy tym nie dlatego, że musiał, ale z wieloletniego przyzwyczajenia. — Niech pan wymyśli jakąś historyjkę. Niech pan powie, że profesor z Niemiec zasłużył się w związku z troską o zdrowie Jego Świątobliwości. Niemieccy lekarze cieszą się wspaniałą reputacją. Tylko niech pan nie czyni nawet najmniejszej sugestii, dlaczego mamy interes w tym, żeby wypuszczono Gropiusa. Jeszcze jedno. Od adwokata Feliciego wymagamy absolutnej dyskrecji.

- Absolutnej dyskrecji - powtórzył monsignore Crucitti. - Tak, oczywiście.

- Poza tym - kardynał Calvi wskazał palcem na sufit - dobrze byłoby, żeby nic się nie przedostało tam, na górę. Zna pan gadatliwość Jego Świątobliwości, szczególnie przy zagranicznych dyplomatach...

- Rozumiem, eminencjo. Będziemy działać możliwie dyskretnie. *Laudetur, eminenza, laudetur.*

Okolo godziny dziesiątej następnego ranka - mogła to być także godzina jedenasta, bo za kratkami traci się wszelkie poczucie czasu - przyszedł strażnik i zaprowadził Gropiusa do pozbawionego okien pokoju przesłuchań, do którego światło dzienne wpadało przez rząd kwadratowych szybek wmurowanych w strop. Podłoga była wyłożona szarymi płytkami, ściany pomalowane i gołe. Pośrodku pomieszczenia stół ze stalowych rurek, przy nim dwa krzesła z tego samego materiału. Ledwie Gropius usiadł na krześle, otworzyły się drzwi z okrągłym szklanym okienkiem, położone dokładnie naprzeciw wejścia, którym go wprowadzono. Pojawił się w nich wytwornie ubrany mężczyzna, w dwurzędowym garniturze o barwie antracytu, z włosami zaczesanymi do tyłu, trzymający czarną aktówkę z błyszczącymi mosiężnymi zamkami.

Gropius ze zdumieniem chłonał każdy szczegół tego spotkania, gdyż nie miał pojęcia, o co właściwie chodzi.

- Jestem *dottore* Pasquale Felici, adwokat, a moje zadanie polega na wyciągnięciu pana stąd! - oznajmił płynnie po niemiecku elegancki Włoch i wyciągnął do Gropiusa rękę. Jego twarz sprawiała wrażenie nieruchomej,

niemal jak maska, co dodatkowo podkreślały czarne prostokątne okulary w rogowych oprawkach.

- Gropius! - przedstawił się profesor. - Gregor Gropius. Mogę spytać, na czyje polecenie pan mnie reprezentuje?

- Oczywiście, że pan może - odparł adwokat tonem profesjonalisty, otwierając aktówkę i wyjmując notatnik. - Proszę się jednak nie spodziewać, że odpowiem. Przecież chce pan stąd wyjść, prawda?

- Tak, oczywiście. Interesuje mnie tylko... Czy to Francesca pana przysłała?

- Hm... - skrzywił się prawnik. - O szesnastej sąd będzie rozpatrywał wniosek o przedłużenie tymczasowego aresztowania. O godzinie szesnastej trzydzieści będzie pan wolny, ale tylko jeśli pozwoli pan, że teraz to ja będę zadawać pytania. Może mi pan zaufać.

„Właściwie, czemu nie - pomyślał Gropius. - Człowiek, który cię wyciąga z więzienia, nie może być taki zły. Czemu miałbym się przed tym bronić?”

- Zacznijmy od początku - usłyszał słowa Feliciego. - Czy zamordował pan Shebę Yadin?

- Na litość boską, nie! - zawołał Gropius zdenerwowany do granic możliwości.

Adwokat pozostał niewzruszony.

- Gdzie pan był w chwili popełnienia zbrodni, czyli przedwczoraj między godziną piętnastą a siedemnastą? Czy są na to jacyś świadkowie?

- Ja i pani Francesca Colella byliśmy w kawiarni przy Corso Belgio. Następnie poszliśmy pieszo w kierunku śródmieścia.

- Dobrze, bardzo dobrze. Kim jest Francesca Colella i gdzie mieszka?

- Sądziłem, że przyszedł pan na jej zlecenie!

- Z całym szacunkiem dla pańskiej zdolności dedukcji, niech pan raczej odpowiada na moje pytania. Czas nas goni.

„Zatem nie Francesca!”. Skołowany Gropius podał adwokatowi jej dane i adres. Felici zanotował te informacje, po czym zapytał:

- Co pana łączyło z Shebą Yadin?

Gropius liczył się z tym pytaniem, mimo to musiał się starać opanować, żeby nie stracić wewnętrznej równowagi. Jego umysł pracował gorączkowo i w ciągu ułamków sekund skonstruował strategię pełną luk i niedopracowaną, ale co było robić - musiał mówić.

- Sprawa wygląda następująco - zaczął Gropius rozwlekle, żeby trochę zyskać na czasie. - Jestem chirurgiem, transplantologiem, i podczas mojej ostatniej operacji nastąpił pewien, nazwijmy to, incydent. Znany archeolog, Arno Schlesinger, po rutynowym zabiegu zmarł, sekcja zaś wykazała, że przeszczepiony narząd był skażony zastrzykiem z pestycydami. Zagadkowa historia, policja i ja początkowo przypuszczaliśmy, że stoi za tym mafia handlująca narządami. W trakcie poszukiwań, które sam rozpocząłem, okazało się jednak, że Schlesinger odkrył jakąś archeologiczną sensację, która dla pewnych ludzi ma wielkie znaczenie. Schlesinger miał kochankę, Shebę Yadin, i wydaje się, że kochanka wiedziała o tej archeologicznej tajemnicy. Żeby wyjaśnić sprawę przeszczepu, pojechałem za Shebę Yadin do Turynu, gdzie w instytucie profesora de Lukii zamierzała odebrać zleconą analizę DNA. Miało to kosztować dwadzieścia tysięcy euro.

Z oczami teatralnie skierowanymi w sufit Pasquale Felici słuchał przemowy Gropiusa. Teraz wtrącił nieco ironiczne pytanie:

- Skąd pan to wszystko wie tak dokładnie, *professore*?
- Od czterech miesięcy nie zajmuję się niczym innym poza tą sprawą!
- Rozumiem. Dwadzieścia tysięcy euro to chyba jednak trochę zbyt wygórowana cena za badanie genetyczne?
- Oczywiście, ale jak już mówiłem, chodziło o jakąś archeologiczną sensację.

Avvocato uśmiechnął się domyślnie i powiedział:

- Zapewne Schlesinger sądził, że znalazł szczątki Jezusa z Nazaretu.

Zaskoczony Gropius spojrział adwokatowi prosto w oczy. Felici wydawał się całkowicie spokojny, a jego nieszczerzy uśmiech był jak przyklejony. Nie sposób było wyciągnąć żadnych wniosków. Czyżby Felici coś tak niewyobrażalnego mógł mówić ot, tak sobie? Czy też może wie więcej? Być może nawet wszystko?

- Czemu nie mówi pan dalej? — zapytał adwokat po kilku uciążliwych chwilach milczenia.

Gropius był zbity z tropu. „Jak mam zareagować?”. Wtedy odpowiedział pytaniem na pytanie:

- Gdyby tak było? Gdyby Schlesinger naprawdę odkrył szczątki Jezusa z Nazaretu?

Felici pokiwał głową i się zamyślił. W końcu odparł:

- Nie byłby pierwszym, który popełnił ten błąd. Widzi pan, na kamiennym sarkofagu można wykuć wiele różnych imion, a między nami mówiąc, pierwsi chrześcijanie w swojej bezradności trochę tę prawdę naginali. Całkiem możliwe, że w pierwszym czy drugim wieku naszej ery ktoś po prostu zrobił kamienną trumnę, umieszczając na niej imię Jezusa i przedstawiając jako rzeczywisty grób Odkupiciela. Któż to może wiedzieć? Kto wie, może kilka wieków później włożono tam czyjeś kości? W tym wypadku wszystko można łatwo wyjaśnić.

Słowa Feliciego zabrzmiały dziwnie, jak wyuczona na pamięć lekcja, jakby się do tej dyskusji przygotował. Stopniowo Gropius zaczął odnosić wrażenie, że najważniejszym zadaniem adwokata nie jest właściwie wydobycie go z aresztu śledczego, ale powstrzymanie od dalszych poszukiwań. To go rozzłościło i oświadczył:

- Przeoczył pan tylko jedno, *dottore*. Nauki przyrodnicze są dziś tak zaawansowane, że bez kłopotu można jednoznacznie zidentyfikować kości Jezusa z Nazaretu, oczywiście pod warunkiem że były do dyspozycji jakiś punkt odniesienia, czyli coś, co bez wątplenia można przypisać Jezusowi. Ułamek grama jakiejś materii lub tkanki wystarczyłyby, żeby wszystko było jasne!

- Wiem, o czym pan myśli, profesorze Gropius. O Całunie Turyńskim.

- Podobno na całunie znajdują się ślady krwi, i jeśli DNA z kości oraz z tych śladów krwi by się pokrywało, dostarczyłoby to dowodu, że Jezus z Nazaretu co prawda umarł, ale bynajmniej nie wstąpił do nieba, jak utrzymuje Kościół. Sądzę, że Sheba Yadin wiedziała o tym i dlatego musiała umrzeć. Tak samo jak Schlesinger.

Dziwna rzecz, ale adwokat nie zareagował na słowa Gropiusa. Profesor spodziewał się, że Pasquale Felici straci rezon, tak samo jak on, kiedy Palestyńczyk w Jerozolimie wytłumaczył mu znaczenie tego odkrycia. Adwokat pozostawał jednak powściągliwy.

- Pan przecież od niedawna zajmuje się problematyką Całunu Turyńskiego? - zaczął Felici, mówiąc z charakterystycznym dla niego tonem wyższości.

- To prawda. Dopiero od kiedy usiłuję wyjaśnić tajemnicę śmierci Schlesingera, religia nabrała dla mnie pewnego znaczenia. Ale i teraz moje stanowisko jest takie, jak Freuda, który powiedział kiedyś, że religie

jako przedmiot zainteresowania naukowego są niezwykle ważne, uczuciowo nie jest jednak w nie zaangażowany. Dlaczego pan pyta, *dottore Felici*?

- Cóż, nie chciałbym pana urazić, ale chyba pan wie, że Całun Turyński to średniowieczny falsyfikat. Nawet Watykan to przyznał. Datowanie metodą węgla radioaktywnego przeprowadzone w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku w laboratorium British Museum, i potwierdzone przez trzy niezależne instytuty w Arizonie, Oksfordzie i Zurychu, wykazało ponad wszelką wątpliwość, że całun został utkany między tysiąc dwieście sześćdziesiątym a tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym rokiem. Zakładając więc nawet, że Schlesinger znalazł kości Jezusa z Nazaretu, dowiedzenie tego jest niemożliwe.

Słowa adwokata uderzyły Gropiusa jak obuchem. Felici mówił rozsądnie i bez zająknięcia, jakby przedstawiał zupełnie oczywiste informacje. W każdym razie Gropius nie widział powodu, żeby w to wątpić. Mimo to zadał pytanie:

- Jest pan prawnikiem, a nie archeologiem zajmującym się kwestiami biblijnymi, skąd pan to wszystko wie?

- To ma związek z moim zawodem!

- Jak mam to rozumieć?

- Mniej więcej rok przed wspomnianymi badaniami naukowymi całunu włamano się do katedry w Turynie. Złodzieje nie ukradli niczego o wartości materialnej. Kiedy dokładniej obejrzano całun, na prawej krawędzi u dołu odkryto lukę. Nożyczkami wycięto półkole wielkości dłoni. Sprawców kradzieży ujęto po kilku dniach. Ich łup zniknął. Brali w tym udział dwaj bandyci, Enrico Polacca i Guido Focarino, płatni zabójcy poszukiwani od dwóch lat. Sprawa nabrała rozgłosu, ja zaś podjąłem się obrony obu tych mężczyzn. Ale nawet ja nie mogłem zapobiec skazaniu ich na dożywocie. Prokurator był w stanie udowodnić dwa morderstwa. W tej sytuacji sprawa odciętego kawałka sfalszowanego całunu właściwie nie miała znaczenia.

- A czy mafiosi zdradzili panu, na czyje zlecenie dokonali włamania?

- Mafiosi nie sypią tak głupio, *professore*, to żelazna zasada. Jestem przekonany, że był to lukratywny interes. Ich rodziny żyją świetnie zaopatrzone w Vincoli, małej miejscowości niedaleko stąd w kierunku Alessandrii. Ale to nie powinno już pana interesować. Zobaczmy się przed szesnastą u sędziego. Mam tylko nadzieję, że pani Colella może potwierdzić pana zeznania!

Jak zapowiedział *dottore Felici*, o godzinie szesnastej trzydzieści Gropius opuścił turyński areszt śledczy w towarzystwie Franceski, której zeznanie sprawiło, że go zwolniono. Adwokat demonstracyjnie szybko się pożegnał, a na ponowne pytanie Gropiusa, kto go zatrudnił, tylko machnął ręką.

Chociaż areszt trwał tylko jeden dzień i jedną noc, Gregor Gropius delectował się odzyskaną wolnością. Od południa wiał ciepły wiosenny wiatr. Trzymając się za rękę, Gropius i Francesca szli ulicą, na której po zimowej przerwie pojawiły się niezliczone skutery.

- O czym teraz myślisz? - Francesca spojrzała na Gregora przez szkła połyskujących okularów bez oprawek. - Jesteś myślami gdzieś daleko!

Gregor poczuł jej badawczy wzrok, ale nie chciał patrzeć na Francescę. Kiedy tak milcząc szli obok siebie, znów przypomniał sobie jej słowa. Wciąż był jej winien jakąś odpowiedź. „Kocham cię” - było to powiedziane tak naturalnie, z przekonaniem, ale nie wiążąco. Miał kłopot z tymi słowami. Życie sprawiło, że stał się nieufny. Co właściwie wiedział o Francesce? Że jest ładna? Że jej nieprzystępność go pociąga? Że chce się z nim możliwie szybko przespać? Wszystko to świetnie wiedział. Nie znalazł jednak odpowiedzi na pytanie: kim jest ta kobieta?

- Przy okazji... - zaczęła. - Dziękuję, że wynajęłaś dla mnie tego adwokata.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zdziwiła się Francesca.

- Możesz spokojnie się przyznać, w końcu to żaden wstyd. Oczywiście pokryję wszelkie koszty.

Francesca zastąpiła Gropiusowi drogę.

- Pasquale Felici to jeden z najdroższych adwokatów w Rzymie. Bronił byłych premierów, kardynałów i gwiazd porno. Jego honorarium prawdopodobnie przekroczyłoby kilkakrotnie moje możliwości. Sądziłam, że to ty zatrudniłeś Feliciego.

- Ależ nie - Gropius odsunął Francescę na bok i ruszyli dalej. - Kto w takim razie zapłacił za Feliciego? Jak powszechnie wiadomo, adwokaci nie pracują charytatywnie, a wzięci adwokaci tym bardziej.

- Komuś, zdaje się, bardzo zależało, żebyś się znalazł na wolności - zauważyła Francesca i wzięła Gregora pod rękę. - Któż by to mógł być? Jaki miałby motyw?

Gropius pokręcił głową.

- To musi mieć coś wspólnego ze śmiercią Schlesingera. Chociaż...

- Chociaż?

- Cóż, jak dotąd komuś wyraźnie zależało, żebym zrezygnował ze swoich poszukiwań. Gropius w areszcie śledczym jest unieruchomiony i nie może prowadzić swojego prywatnego śledztwa. Dlaczego mimo to znany adwokat Felici miałby mnie z tego aresztu wyciągać? Dziwne, nie sądzisz?

- Więcej niż dziwne! Nie pytałeś, kto mu to zlecił?

- Oczywiście że pytałem. Chciałem się dowiedzieć, czy to ty go przysłałaś, ale nie chciałaś odpowiedzieć. Dzieje się tutaj coś podejrzanego.

W kawiarence nieopodal Palazzo Reale wypili cappuccino. Słońce rzucało długie cienie na asfalt. Francesce było już zimno.

W hotelu „Meridien” Gregor Gropius wprowadził się do tego samego pokoju, który opuścił dzień wcześniej. Francesca okazała zrozumienie dla jego prośby, że chce pobyć sam. W ogóle wykazywała wiele zrozumienia dla jego zachowania. Od samego początku odbierała to jako miły gest. W przeciwieństwie do Felicii jeszcze nie robiła mu żadnych wyrzutów, chociaż z pewnością znalazłoby się kilka powodów. Bez wątpienia Francesca była kobietą niepospolitą!

ROZDZIAŁ 15

Zocca - niewielka wioska - była położona samotnie w jednej z dolin między Asti a Alessandria. Dotarli tam po godzinie jazdy samochodem Franceski. Droga, jak im się wydawało, ciągnęła się w nieskończoność, musieli bowiem jechać zwykłą szosą - nie było tam autostrady.

Jak wiele miejscowości w tej okolicy, Zocca była zamieszкана głównie przez starszków oraz kobiety, których mężowie pracowali w Mediolanie, Turynie czy Alessandrii i wracali do wioski tylko na weekendy. Orzący traktorem swoje kamieniste pole stary chłop, którego zapytali o dalszą drogę, opowiadał, że kiedyś Zocca miała trzy hotele i tyleż trattorii, dwa sklepy i nawet kino na świeżym powietrzu. Dzisiaj jest tylko jeden hotel i jedna trattoria, na zakupy mieszkańcy jeżdżą do supermarketu w Alessandrii, a ostatni film wyświetlano w kinie ponad dwa lata temu - był to *Titanic*, ale tylko w okrojonej wersji. Zapytany, czy zna rodziny Mattei albo Valetta, rozmowny chłop zrobił się nagle małomówny, wykręcał się, że pochodzi z innej wioski, po czym uruchomił silnik traktora i ruszył z powrotem do pracy.

Za pagórkami na końcu doliny, gdzie nikt by się już nie spodziewał ludzkich osad, ukazała się nagle Zocca - położona niezbyt malowniczo, przytłoczona ciągiem słupów linii wysokiego napięcia. Samochód, w dodatku obcy, wzbudził sensację. Kiedy Francesca parkowała furgonetkę na placu, w kilku domach podniosły się opuszczone okiennice, żeby po chwili,

jakby same z siebie, ponownie się zamknąć. Na wybrukowanym placu przez trattorię, której istnienie zdradzał drewniany sztyl nad wejściem, stało kilka plastikowych krzeseł i dwa okrągłe stoły. Gropius i Francesca postanowili napić się piwa. Nie trwało długo, kiedy uprzejma właścicielka, ubrana na czarno kobieta o ciemnych włosach związanych z tyłu, wyszła z budynku i przyjęła zamówienie.

Wydawało się, że gospodyni ma mnóstwo czasu, bo kiedy po dziesięciu minutach przyniosła piwo, zagadnęła uprzejmie, co sprowadza miłych podróżnych do wioski Zocca.

- Szukamy rodziny Mattei - powiedziała Francesca. - Może pani ich zna?

Kobiecie najwyraźniej się to nie spodobało, bo jej uprzejma mina stała się nagle mroczna i nieprzejednana. Zapytała, czego chcą od Mattei.

Tymczasem przy stoliku obok usiadł młody człowiek, który wydawał się zainteresowany rozmową, ale właścicielka trattorii nie zwracała na niego uwagi.

Przybysze chcieli uzyskać informacje na temat niejakiego Giorgia Mattei, którego wiele lat temu sąd w Turynie skazał za morderstwo. Sprawa morderstwa ich nie interesuje, chcą się czegoś dowiedzieć o włamaniu do katedry w Turynie.

Właścicielka trattorii przedstawiła się jako żona Giorgia Mattei, ale od niej, jak oświadczyła, słowa się nie dowiedzą.

- Trzy euro - rzuciła, wskazując palcem piwa, po czym ciężkim krokiem wróciła do trattorii. Młody człowiek przy sąsiednim stoliku uśmiechnął się ironicznie.

Wypiwszy piwo, Gropius położył na stoliku trzy euro i ruszyli do samochodu Franceski.

- Właściwie to było do przewidzenia - mruknął pod nosem Gropius. - Naiwnością było sądzić, że żona Mattei wskaże nam ludzi, którzy jej mężowi zlecili włamanie do katedry.

- Warto było przynajmniej spróbować - odparła Francesca, po czym zwróciła się do dziewczyny, która właśnie przyjechała na rowerze. Zapytała o rodzinę Valetta.

Dziewczyna odesłała ich do trzypiętrowego budynku stojącego tuż za placem, z kuźnią i warsztatem samochodowym na parterze. Kiedy zbliżyli się do wskazanego domu, przed którym piętrzyły się rdzewiejące maszyny

rolnicze i stare części samochodowe, wyszedł im naprzeciw mężczyzna w umazanym smarem kombinezonie.

Francesca zapytała o Brunona Valettę, tłumacząc, że jest jego dawną przyjaciółką i nie widziała się z nim od piętnastu lat.

- Podobno tutaj mieszka?
- Bruno?

Mechanik zrobił zdziwioną minę i zmierzył obcych nieufnym wzrokiem.

- Bruno, a tak. Dziesięć lat temu powędrował w świat - powiedział mechanik. - Do Anglii albo do Szwecji. Przejąłem jego warsztat, ale od tamtej pory nie dawał znaku życia.

Chociaż Gropius nie rozumiał każdego słowa, od razu się zorientował, że i tutaj natknęli się na mur milczenia, zapewne więc nie dowiedzą się niczego na temat kradzieży skrawka płótna całunu.

- Chodź! - powiedział zrezygnowany i pociągnął Franceskę. A że Zocca nie była akurat miejscem, w którym chciałoby się spędzić urlop, postanowili wrócić do Turynu.

Pod wycieraczką samochodu Franceski była kartka.

- Co to? - spytał Gropius zaciekawiony.

Francesca odczytała:

- Jeśli interesuje was Mattei i Valetta - czekam na moście nad Tanaro.

Gropius się rozejrzał. Na placu nie było żywej duszy.

- Co o tym sądzisz? - odezwał się Gregor.

- Tanaro - myślała głośno Francesca - to może być tylko ta rzeka w dolinie. Przypominam sobie most, tak! Widocznie w tej przeklętej przez Boga osadzie są jeszcze ludzie, którzy mają coś do powiedzenia. Chodź, wsiadaj!

Podczas jazdy wąską, wyboistą drogą w dół doliny Gropius wyraził wątpliwość, czy w ogóle powinni iść na to spotkanie. Doświadczenie ostatnich tygodni nauczyło go podejrzliwości, poza tym w głębi duszy nie wierzył już w powodzenie misji. Ponieważ jednak most był po drodze, zgodził się bez wahania.

Zbliżywszy się do mostu, Francesca rozpoznała młodego człowieka, który w trattorii siedział przy sąsiednim stoliku. Swoją skuter oparł o mur i czekał, sam także oparty łokciami o poręcz mostu.

Francesca wysiadła. Gropius został w samochodzie.

- Czego chcecie od Giorgia Mattei? - Młody człowiek przeszedł od razu do rzeczy. Mógł mieć dwadzieścia lat, nosił dzinsy i tanią skórzaną kurtkę, ale nie sprawiał wrażenia zaniedbanego. - Podśledzałem waszą rozmowę. Może mogę wam pomóc.

Francesca lekko się rozejrzała, następnie dała Gregorowi znak, żeby wysiadł.

- Kim pan jest i co pan wie o Giorgiu Mattei? - zapytała młodzieńca. Tymczasem nadszedł Gropius.

- Jestem Giorgio Mattei - odparł młodzieniec. - Syn człowieka, który was interesuje. Uważam, że będzie lepiej, jeśli nikt ze wsi nie zauważy, że z wami rozmawiam. Widzicie, rodziny Mattei i Valetta są w Zocca jakby na wygnaniu. Moja matka nawet wróciła do panińskiego nazwiska, żeby przeszłość poszła w zapomnienie.

- A pan?

- Cóż, nie powiem, żebym był szczególnie dumny z nazwiska Mattei, ale też nie muszę się go wypierać. Nikt nie może mnie czynić odpowiedzialnym za zbrodnię ojca. Czemu właściwie interesuje was mój ojciec? Odsiaduje dożywocie i wygląda na to, że nie wyjdzie wcześniej. Wiem, o czym mówię, studiuję prawo.

Francesca i Gropius spojrzeli na siebie zdziwieni. Sytuacja nie była pozbawiona elementu komicznego.

- Pewnie się pan domyśla, o co chodzi - odezwała się Francesca. - W każdym razie nie o morderstwo, za które pana ojciec odsiaduje dożywocie.

Giorgio wysunął dolną wargę i kiwnął głową.

- Chcecie wiedzieć, kto mojemu ojcu zlecił wycięcie kawałka całunu.

- Dlatego tutaj jesteśmy. Interesuje nas to jednak w związku z zupełnie inną sprawą! Wie pan coś więcej o kradzieży?

- Hm... - Młody człowiek wyglądał na zawstydzonego. - A gdybym wiedział coś więcej? - zapytał retorycznie. - Rozumiecie, takie studia są kosztowne, a widzieliście przecież, że trattoria mojej matki nie przynosi żadnego dochodu. Właściwie sam muszę zarabiać na swoje studia.

- Chce kasy! - mruknęła Francesca do Gropiusa.

Profesor zmierzył młodzieńca wzrokiem, po czym powiedział:

- Zapytaj go, czy rzeczywiście zna nazwisko osoby, która dała zlecenie jego ojcu.

Francesca spełniła prośbę Gregora, na co młody człowiek przytaknął.

- Ojciec powiedział to nazwisko matce, a matka zdradziła mnie. Stwierdziła, że gdyby jej się coś stało, to może będę miał możliwość wymienić tę wiedzę na pieniądze.

- Zapobiegliwa matka! - zauważyła Francesca w przypływie ironii. - To ile?

- Dziesięć tysięcy!

Gropius zrozumiał żądanie młodego Mattei i chwycił Francescę za rękę.

- Chodź, taka kwota nie wchodzi w ogóle w grę.

Francesca przeprosiła młodzieńca i ruszyła w kierunku samochodu. Wtedy Giorgio zawołał za nią zdenerwowany:

- Proszę pani! Jeśli pani chce, zadowolę się i pięcioma tysiącami! Gropius pokręcił głową.

- Chodź, jedziemy! - powtórzył.

- Jeżeli o mnie chodzi, to mogą być cztery tysiące. Albo nawet trzy tysiące, ale to już moja ostatnia oferta! - zawołał Giorgio płaczliwie, kiedy Francesca uruchomiła silnik i ruszyła.

Giorgio szybko wskoczył na skuter i jechał wąską szosą obok furgonetki. Dał Francescę znak, żeby opuściła szybę. Francesca spełniła prośbę, a Mattei zawołał:

- Proszę pani, jestem otwarty na negocjacje! Ile pani proponuje?

- Tysiąc - powiedział Gropius w kierunku Franceski. - Zaproponuj mu tysiąc i ani centa więcej. Zatrzymaj się!

Francesca nacisnęła hamulec.

- Tysiąc - oznajmiła, kiedy oba pojazdy się zatrzymały.

- W porządku - odpowiedział Giorgio ze śmiechem, jakby sam nie wierzył w swoje początkowe żądanie. - Ale nie zdradzicie nikomu, skąd macie tę informację!

- Nie zdradzimy - powiedziała Francesca. - Choćby we własnym interesie!

Kiedy Gropius wyjmował z portfela pięć banknotów po dwieście euro, Giorgio postawił skuter na nóżce i podszedł do samochodu Franceski.

- Mój ojciec - zaczął - utrzymywał nas wszystkich dzięki drobnym machlojkom. Za kilka tysięcy lirów zrobiłby prawie wszystko. Zocca nie miała wtedy łączności telefonicznej. Pewnego dnia pojawił się u nas pewien

człowiek i zaproponował mojemu ojcu pięć milionów lirów za przysługę, jak to określił. Pięć milionów, brzmi jak majątek, ale naprawdę było to tylko dwa i pół tysiąca euro. Tak czy inaczej to spore pieniądze dla kogoś z takiej miejsciny jak Zocca. Wiecie, za co. Rozumie się, że ojciec nie odmówił.

- A nazwisko tego człowieka? - zapytała Francesca zniecierpliwiona.
- Schlesinger. Niemiec Antonio Schlesinger.
- Arno Schlesinger?
- Właśnie. Arno Schlesinger!

Francesca i Gropius spojrzeli na siebie znacząco.

- Nie jesteście zresztą pierwszymi osobami, które rozpytują o mojego ojca - ciągnął Giorgio. - Zaraz po procesie, o którym wtedy pisano we wszystkich gazetach, ponieważ ojciec już po włamaniu do katedry zabił dla pieniędzy pewną kobietę, pojawili się tu jacyś ludzie i chcieli wiedzieć, czy Giorgio Mattei nie zachował dla siebie skrawka całunu. Proponowali duże pieniądze. Przewróciliśmy wtedy cały dom do góry nogami, ale niestety bez rezultatu.

- Sprawa pozostaje między nami! - powiedziała Francesca i wręczyła młodemu człowiekowi uzgodnioną kwotę. - I życzę dużo sukcesów na studiach!

Droga powrotna do Turynu przebiegła w milczeniu. Gropius zatopił się w myślach. Zestawiwszy wszystko, czego się do tej pory dowiedział o Arnie Schlesingerze, doszedł do wniosku, że Schlesinger był badaczem nie tylko genialnym, ale również dwuznacznym, który - opętany ideą - zrobiłby wszystko dla osiągnięcia celu. Najwidoczniej też osiągnął swój cel. Wskazywała na to suma na jego koncie. Ale nie tylko. Również to, że musiał marnie skończyć, przemawiało za tym, że za dużo wiedział.

Istniała tylko jedna odpowiedź na pytanie o to, kto był gotów zapłacić dziesięć milionów euro za milczenie, żeby nie dowiedziono fałszywości tezy o zmartwychwstaniu Jezusa z Nazaretu. Watykan. Kościół rzymskokatolicki dysponuje wystarczającymi zasobami finansowymi, żeby uciszyć kogoś działającego w pojedynkę, jak Schlesinger. Kościół w niczym nie ma przecież takiego doświadczenia jak właśnie w milczeniu. W porównaniu z sensacyjną wiedzą, jaką krył w sobie odkrycie Schlesingera, dziesięć milionów było po prostu drobnostką, było jak napiwek.

Jeśli zaś chodzi o Gregora Gropiusa, to już od dawna miał on zamiar nie tylko zrehabilitować się jako lekarz i dowieść, że padł ofiarą kryminalnych

machinacji, za które nie mógł być odpowiedzialny. Gropius pragnął również - musiał! - ujawnić ludzi, którzy z ukrycia pociągali za sznurki. Była to regularna obsesja, przymus wewnętrzny, którego nie potrafił już stłumić, jak uzależnienie seksualnego zbrodniarza od kobiet na wysokich obcasach.

Wiosenne popołudniowe słońce nadawało łagodnemu, pagórkowatemu krajobrazowi złoty odcień. Byli już w połowie drogi powrotnej, kiedy Gropiusa dopadła potrzeba fizjologiczna.

- Możesz się na chwilę zatrzymać? - poprosił Francescę. - Piwo działa na mnie fatalnie. Wybacz!

Francesca się roześmiała.

- Wy, mężczyźni, macie naprawdę łatwo. Choćby z tego powodu chciałabym czasem być mężczyzną.

- Nie, proszę, nie! - wpadł jej w słowo Gregor. - Dla mnie byłaby to zbyt duża strata.

Przy odgałęzieniu polnej drogi Francesca zatrzymała samochód, wyłączyła silnik, Gropius zaś zniknął za nieśmiało zieleniącymi się krzewami. W pobliżu było słycać świergot ptaków, a z oddali dochodził dziwny, powtarzający się wysoki dźwięk, jakby ptasie wołanie o pomoc.

Kiedy Gregor wrócił, wydawał się jakby odmieniony, sprawiał bowiem wrażenie skoncentrowanego i spiętego. Wsłuchiwał się w ten odludny krajobraz.

- Byłaś już kiedyś w tej okolicy? - zapytał niespodziewanie.

- Nigdy w życiu! Czemu pytasz?

- Tak tylko - machnął ręką Gropius.

Francesca pokręciła głową. Zachowanie Gregora zaniepokoiło ją. Bezradnie patrzyła, jak oddala się polną drogą, zatrzymuje się, rozgląda na wszystkie strony i znów idzie kawałek przed siebie, z głową skierowaną w niebo, jak przybysz z innej planety.

Kiedy już odszedł dwieście metrów i nie reagował na jej wołanie, Francesca zamknęła samochód i pobiegła za Gropiusem wyboistym traktem.

- Gregor! - zawołała, zbliżywszy się. - Gregor, powiesz mi wreszcie, co się dzieje?

Gropius się odwrócił. Z wyrazu jego twarzy mogła wyczytać, że myślami jest bardzo daleko. Ten widok niemal ją przeraził.

- Gdzieś tutaj mnie przetrzymywano - powiedział pod nosem.
- Wtedy, kiedy mnie porwano sprzed instytutu de Luki. Byłem śmiertelnie przerażony, po raz pierwszy w życiu. Jestem absolutnie pewien, że to było gdzieś w pobliżu!

Nie wiedząc, jak się zachować w tej sytuacji, Francesca podeszła do Gropiusa i położyła mu ręce na ramiona.

- Skąd to wiesz, Gregor? Mówiłeś przecież, że ci ludzie pobili cię do nieprzytomności i założyli worek na głowę!

- Tak zrobili. Ale na chwilę odzyskałem świadomość i wtedy usłyszałem ten dźwięk. Zresztą później też, w pomieszczeniu gdzie byłem przywiązany do krzesła. Słyszysz to? - Głos Gregora był pełen podekscytowania. Żeby nadać wagę swojemu pytaniu, chwycił Francescę za przeguby i ścisnął z całej siły.

Francesca już chciała krzyknąć z bólu, ale się powstrzymała, zauważyła bowiem, jak bardzo ta sytuacja wstrząsnęła profesorem.

Gropius znów nasłuchiwał płaczącego tonu z głową odchyloną do tyłu.

- Chodź! - powiedział nagle i ruszył szybkim krokiem, ciągnąc za sobą Francescę. Pobiegli kawałek wzdłuż drogi, później przez świeżo zoraną pole, następnie wdrapali się na skarpe, wciąż idąc za tym płaczącym dźwiękiem, który dobiegał z coraz mniejsze odległości. W końcu, zmęczeni i zadyszani, stanęli przez wałem ziemnym.

- Tam! - powiedziała Francesca zdziwiona i wskazała na ogromny kamieniołom, głęboki na sto metrów i o średnicy pięćdziesięciu metrów, na którego dnie operował buldożer. W jego łyżce wielkości ciężarówki znikaly skały, które wydrapywał ze ściany, a kiedy wycofywał, żeby w innym miejscu wysypać ładunek o masie kilku ton, ostrzegawczo wydawał z siebie wyjący dźwięk: uu-ii, uu-ii, uu-ii, uu-ii.

Gropius chwycił Francescę za rękę.

- Ten odgłos zachowam w pamięci na całe życie — powiedział stłumionym głosem. Z trudem przekrzykiwał hałas buldożera.

Ze skraju kamieniołomu rozciągał się widok na wiele kilometrów. Skalista okolica wydawała się niezamieszкана i pusta, z wyjątkiem starego domostwa na wzgórzu, które - otoczone zieleniącymi się zaroślami - było niemal niewidoczne.

- Wydaje mi się, że wiem, co zamierzasz - odezwała się Francesca.

Gropius kiwnął głową, stale patrząc w tym samym kierunku.

- To nie jest całkiem bezpieczne. Lepiej wróć do samochodu!

- Naprawdę myślisz, że cię zostawię samego? - zawołała Francesca oburzona. - Ale musimy się pośpieszyć. Za godzinę będzie ciemno.

Odwaga Franceski nie zaskoczyła Gropiusa i niewątpliwie miał nadzieję tak zareaguje. Ba! - liczył na to. Gropius nigdy by się do tego nie przyznał, ale się bał. Już samo wspomnienie uwięzienia w tym samotnym budynku przyprawiało go o dreszcze. Francesca nie powinna zobaczyć, jak mu drżą ręce, dlatego schował je do kieszeni.

- Boisz się? - zapytał, żeby samemu dodać sobie odwagi.

- Czy się boję? Jasne! Strach daje impuls do wielkich dokonań. Na co więc jeszcze czekamy?!

Zejscie było uciążliwe, gdyż z miejsca, w którym się znajdowali, żadna droga, nawet wąska ścieżka, nie prowadziła do starego domostwa. Po dwudziestu minutach marszu dotarli do celu. W ogóle nie rozmawiali o tym, co właściwie zamierzają zrobić i co powiedzą mieszkańcom gospodarstwa. Gropius czuł tylko, że na wzgórze gna go niewyjaśniony przymus wewnętrzny, który dręczył go od kilku ostatnich miesięcy.

Gospodarstwo składało się z kilku budynków i kryło się za dziko rosnącymi krzewami. Chociaż wiosna dopiero się budziła i nie było jeszcze kwiatów, Gropius poczuł nagle przenikliwy zapach janowca, który również wtedy wydzieliał tak silną woń.

Domostwo na wzgórzu było otoczone dwumetrowej wysokości murem z polnych kamieni. Poszukując bramy, obeszlili mur dokoła i natrafili na drogę, która między słupami linii elektrycznej prowadziła do wejścia na posesję. Kończyła się u stóp dwuskrzydłowych drewnianych wrót z wyciętym małym otworem, w którym znajdował się łańcuch z żelazną rączką. Gregor mocno pociągnął za rączkę i z pewnej odległości dobiegł dźwięk stłumionego dzwonięcia.

Przez otwór w skrzydle wrót, wykonanych z nieheblowanych, spróchniałych desek, Gregor zajrzał na podwórze, na którym stała zaparkowana czarna limuzyna starego typu. W tle szczeknął pies. Poza tym żadnych oznak życia.

Gropius zadzwonił po raz drugi, gwałtowniej niż przy pierwszej próbie, ale i tym razem nie było żadnej reakcji. W końcu inicjatywę przejęła Francesca - wspięła się na mur i zanim Gropius się obejrzał, zniknęła po drugiej

stronie. Tam odsunęła rygiel, otworzyła wrota i wpuściła Gropiusa do środka.

Nikt nie wyszedł z domu, jedynie pies, czarnobrunatny pitbull, obnażył kły i rzucił się w ich kierunku, ciągnąc za sobą długi łańcuch.

- Nie bój się! - zawołała Francesca. - Umieć postępować z psami! - Odważnie, z ręką wyciągniętą do przodu, wyszła szalejącemu psu na przeciw, mówiąc coś spokojnym głosem, aż pitbull ze skowytaniem wycofał się do budy.

- Gdzie się nauczyłaś takich sztuczek? - zapytał Gregor z uznaniem.

- Wychowałam się wśród psów - odparła Francesca. - Nie ma się czego bać!

Po trzech stronach podwórza wznosiły się zabudowania - w środku znajdował się w miarę dobrze utrzymany dom mieszkalny, ale budynki po jego bokach wyglądały na zrujnowane. Wejście do budowli po prawej było otwarte.

Ruchem głowy Gropius nakazał Francesce, żeby szła za nim. Przy wejściu uderzył ich w nozdrza stęchły zapach niszczących murów. Ich kroki poniosły się echem w pustej budowli. Prawie nic nie było widać. Przez na wpół otwarte drzwi wpadała wąska smuga światła, profesor usłyszał ciche kliknięcie i się obejrzał. Francesca trzymała w dłoni pistolet.

- Czyś ty zwariowała?! - syknął.

Francesca położyła palec na ustach. Potem szepnęła:

- Nigdy nie wiadomo!

Wtedy Gropiusa ogarnęło dziwne uczucie. Kobieta z odbezpieczonym pistoletem za jego plecami - to było szalenie niepokojące.

- Jest tu kto?! - zawołała Francesca w tę niesamowitą ciszę. A kiedy nie nadeszła odpowiedź, Gregor popchnął drzwi.

Przed nimi ukazało się kwadratowe pomieszczenie z dwoma ślepyimi okienkami. Pośrodku stało masywne krzesło. Z sufitu zwisała goła żarówka. Ze ścian odłaziła niebieskozielona farba olejna. Widok ten poraził Gregora jak prąd elektryczny.

- Miałem rację - wyjąkał bez tchu. - To jest pomieszczenie, w którym mnie trzymano.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie pewien. Wszystko dokładnie rozpoznaję.

- Mój Boże! - Francesca trzymała pistolet oburącz przed sobą.
- Wiesz chyba, że znajdujemy się w cholernie niebezpiecznej sytuacji!

Gropiusowi zrobiło się niedobrze. Czuł się, jakby żołądek chciał mu wyskoczyć na zewnątrz. Francesca zauważyła jego bladłość i wyprowadziła go z pomieszczenia na podwórze. Pitbull znów zaczął ujadać.

- Gdyby ktoś tutaj był, już dawno by nas zauważono - orzekł Gropius i rozejrzał się na wszystkie strony. - Chciałbym wiedzieć, w co się tu gra. A teraz schowaj tę broń!

- Jak sobie życzysz, Gregor - zgodziła się Francesca. Wydawało się, że jest trochę urażona, ale schowała pistolet pod blezer. Potem oboje skierowali się do budynku mieszkalnego pośrodku.

Trzy kamienne schodki prowadziły na ganek z dwiema kolumnami podtrzymującymi niewielką loggię. Na prawo i na lewo od wejścia były po trzy zakratowane okna. Po stanie drewnianych okiennic było widać, że nie używano ich od lat. Nad niewysokim parterem znajdowało się jeszcze piętro, a dach o łagodnym spadzie nie różnił się niczym od dachów pozostałych budynków.

Wejście było zamknięte. Istniała tylko jedna możliwość dostania się do domu: musieli wspiąć się do loggii na pierwszym piętrze, co było bardzo ryzykowne. Gdyby ich przy tym zaskoczono, pozbawiona okien tylna ściana budynku odgradziłaby ich od murów.

Gropius nigdy by siebie nie podejrzewał o tyle przestępczej energii, żeby ryzykować włamanie, ale narósł w nim ogromny gniew. Chciał wiedzieć więcej o ludziach, którzy go brutalnie pobili i grozili mu śmiercią. I dlatego nie wahał się ani chwili.

Przed budowlą znajdującą po lewej stronie domu - stodołą z wielką bramą - stała pusta beczka po winie. Gropius przetoczył ją pod jedno z okien budynku mieszkalnego, postawił w pionie, wszedł na nią i skoczył w górę. Rękami wczepił się w kratę i zajrzał do środka. Następnie obejrzał się i powiedział do Franceski, która z podziwem śledziła odwagę i zdecydowanie Gregora:

- Wchodź na górę, musisz to zobaczyć! - Wyciągnął do niej rękę.

Francesca spełniła jego prośbę. Była ciekawa, co kryje wewnątrz tej ponurej budowli. Różnych rzeczy się spodziewała w tym niesamowitym domu, ale to co zobaczyła, wprawiło ją w zdumienie. Jej oczom ukazała się solidnie urządzona sala tortur - gabinet wypełniony różnymi przyrządami

wyglądającymi na przystosowane do zadawania bólu: pejcami, biczami z haczykami, kolczastymi pasami na brzuch i nogi. Było tam nawet drewniane koło tortur z rolkami na obu końcach.

- Jeśli mnie oczy nie mylą - powiedziała Francesca, nie patrząc na Gropiusa - to torturuje się tutaj ludzi. Cóż to za banda wariatów, Gregor? Sądziłam, że czasy inkwizycji już minęły.

- Też tak myślałem. Ale jak widzisz, zawsze może się trafić jakaś niespodzianka.

- Ale czemu właśnie tutaj?

- Sam chciałbym wiedzieć - odparł Gropius i skierował wzrok w górę, ku loggii nad wejściem.

Francesca zauważyła jego spojrzenie i powiedziała:

- Nie chcesz chyba...

- A jednak. Muszę się dowiedzieć, co się tutaj wyrabia.

Gregor zeskoczył z beczki na ziemię i wyciągnął rękę do Franceski.

Brama stodoły była tylko przymknięta. Kiedy ją otworzyli, poczuli drażniący nozdrza zapach zgniłego siana. Z tyłu dostrzegli stary, połamany wóz drabiniasty, jakich kiedyś używali chłopci do zwózki zboża lub przy sianokosach. Na wozie leżała drewniana drabina, która - ze względu na stan - nie budziła szczególnego zaufania, zapewniała jednak możliwość dostania się na loggię.

Wspólnie wynieśli drabinę na zewnątrz. Kiedy Francesca starała się uciszyć psa, Gropius usuwał pajęczyny i resztki siana. Drabina ledwie sięgała loggii, ale Gregor, który pierwszy odważył się wspiąć na górę, podciągnął się uczepony balustrady. Francesca zrobiła to samo.

Jak było do przewidzenia, wejście do loggii było zamknięte od wewnątrz. Przez szyby dostrzegli przedpokój, od którego w obie strony odchodziły korytarze. Gropius rzucił Francesce szybkie spojrzenie, odwrócił się plecami do drzwi, zgął rękę i krótkim, ale silnym uderzeniem łokcia roztrzaskał szybę w drzwiach.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - zapytała Francesca z uznaniem.

Gropius uśmiechnął się szeroko.

- W szkole dla gangsterów! - Sam był zaskoczony własnym opanowaniem. Ostrożnie sięgnął przez sterzące odłamki szkła i otworzył drzwi od wewnątrz.

- Bądź ostrożna!

Francesca ponownie odbezpieczyła pistolet, po czym odważyła się wejść do wnętrza domu. Chwilę trwało, zanim ich oczy przywykły do półmroku. Z ciemnego korytarza, który majaczył po lewej, odchodziło sześćioro drzwi, po troje z każdej strony. Wygląd i wyposażenie każdej izby nie różniły się od pozostałych: stół, krzesło, łóżko, wszystko z surowego drewna, łóżko bez materaca czy poduszki, posłane tylko wełnianym kocem.

- Komfort nie jest tu chyba w cenie - zauważyła Francesca szeptem.
- Dziwne, nie sądzisz?

Gregor bezradnie wzruszył ramionami. Sam nie wiedział, co myśleć o tym żebraczym wyposażeniu. Wszystko to nosiło jakiś ascetyczny charakter. „Mnisi w średniowieczu pewnie tak żyli - pomyślał Gropius.

- Mnisi albo wyznawcy jakiejś perwersyjnej religii, która uważała umartwienie i fizyczny ból za cel ludzkiego żywota”.

Kiedy przechodzili na drugą stronę budynku, Gropius mruknął:

- Przecież muszą istnieć ludzie, którzy to lubią.
- Co? O czym mówisz, Gregor?
- Ascezę i umartwianie ciała!
- Myślisz, że narzędzia tortur, które widzieliśmy na parterze, wcale nie służą zadawaniu bólu innym, tylko sobie? Sądzisz, że nasi przyjaciele sami się tutaj biczą?

- Tego nie wiem. Sposób nie jest jednak nowy i wciąż jest szeroko rozpowszechniony. Już w Starym Testamencie Izraelici ubierali na gołą skórę pokutną włosienicę utkaną z szorstkiego koziego włosia. Z kolei Kościół katolicki w średniowieczu doprowadził tę metodę umartwiania się do perfekcji. Istniały zakony pokutników, których członkowie nosili spodnie z wszymi kolcami albo tak samo wykonane podwiązki.

Francesca zachichotała.

- Żarty sobie stroisz, Gregor!
- W żadnym wypadku! Ból to fundament religii chrześcijańskiej. Pomyśl tylko o czyścicu, w którym ludzie świadomi swojej winy wypala ją część swoich grzechów. Bóg, o ile istnieje, nie mógłby wymyślić czegoś tak perwersyjnego.

Po drugiej stronie schodów była jadalnia, która swoim nędznym wyposażeniem - stołem i ośmioma krzesłami - przypominała dworcową poczekalnię sprzed stu lat. Dalej była kuchnia z żelaznym piecem oraz kilka pomieszczeń gospodarczych z konserwami i zapasami, jakie wystarczyłyby,

żeby przetrwać następny potop. Jedno z pomieszczeń służyło celom medycznym, w każdym razie takie sprawiało początkowo wrażenie. Kiedy jednak Gropius dokładniej obejrzał wyposażenie, dokonał zatrważającego odkrycia: rzekome urządzenia medyczne okazały się przyrządami do torturowania i mordowania. Przenośny elektrokardiograf, podobny do tych stosowanych w karetkach pogotowia, był wyposażony w transformator wysokiego napięcia. Za pomocą podłączonych elektrod można było człowieka w ciągu kilku sekund wyprawić na tamten świat. Zestawy fabrycznie zapakowanych instrumentów do przeprowadzania operacji i strzykawek pokryłyby miesięczne zapotrzebowanie średniej kliniki, a zapas narkotyków, środków nasennych i niebezpiecznych trucizn wystarczyłby, żeby usnąć niewielkie miasteczko i unicestwić tam wszelkie życie.

Chlorfenwinfos! Gropius zauważył etykietę tego środka owadobójczego, którego kilkadziesiąt buteleczek po sto centymetrów sześciennych znajdowało się na jednej z półek. I nagle wszystkie wspomnienia powróciły: śmierć Schlesingera, nielegalne działania Fichtego związane z transplantacjami, śmiertelne ofiary w niemieckich klinikach, śmierć de Luki i Sheby oraz - co równie ważne - porwanie jego samego, gdy grożono mu tym samym pestycydem. Bez wątpienia spisek. Jaki jednak związek istniał między śmiertelnym wstrzykiwaniem chlorfenwinfosu a poszukiwaniem dowodów na to, że Jezus z Nazaretu nie wstąpił do nieba?

Wszystkie wyobrażalne powiązania wydawały się w najwyższym stopniu sprzeczne, nieracjonalne i naciągane. A przecież musiała być jakaś niewidzialna dłoń pociągająca za wszystkie sznurki, musiał być ktoś działający z ukrycia, kto dosłownie szedł po trupach. Gdzie był klucz? W takich chwilach jak ta Gropius żałował, że w ogóle podjął próbę wyjaśnienia sprawy Schlesingera, zamiast zostawić ją policji. Jednocześnie jednak jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że rozwiązanie jest blisko - bliżej, niż było dotąd.

Czyżby w tym opuszczonym gospodarstwie, które najwyraźniej zapewniało schronienie kilku perwersyjnym duchownym, mieściło się centrum dowodzenia? Gropius pokręcił głową. Nie do pomyślenia! Ale być może był tu jakiś ślad, znajdowała się jakaś wskazówka, która mogłaby mu pomóc. W tym miejscu przypomniał mu się Rodriguez, który podczas ich pierwszego spotkania w Berlinie powiedział: „Pańska szansa na wyjaśnienie tła tej sprawy jest równa zeru”.

- Z kim rozmawiasz, Gregor?

Gropius się wzdrygnął.

- Ja? - Był tak zatopiony we własnych myślach, że zaczął mówić do siebie. - Przepraszam, po raz kolejny staram się uporządkować ten chaos.

- Z powodzeniem?

Gropius nie odpowiedział. Był zbyt mocno zdezorientowany.

W półmroku zeszli po schodach na parter, gdzie odkryli niemal puste pomieszczenie biurowe: prosty regał przy ścianie, przy nim stół kuchenny służący jako biurko, pod przeciwległą ścianą jeszcze jeden stół. W pomieszczeniu znajdowała się przestarzała mechaniczna maszyna do pisania, komputer i telefon z automatyczną sekretarką - wszystkie urządzenia miały co najmniej dwadzieścia lat.

Tym, co odróżniało to biuro od wszystkich innych, był brak dokumentów. W regale pod ścianą nie było żadnego skoroszytu czy teczki, jedynie na stole leżała ryza śnieżnobiałego papieru, cierpliwie czekając, aż zostanie użyta. Wyglądało na to, że mieszkańcy postarali się o usunięcie wszelkich śladów.

- Rozumiesz coś z tego? - zapytał Gropius, nie licząc na odpowiedź. Tymczasem Francesca zaczęła manipulować przy komputerze.

- Zdaje się - stwierdziła, pisząc coś na klawiaturze - że to urządzenie działa jeszcze na parę. - Nieufnie przyjrzała się przewodowi, który łączył komputer z gniazdkiem telefonicznym.

Gropius z uznaniem pokiwał głową.

- Bądź co bądź właściciele tego klasztoru pokutników dysponują dostępem do Internetu!

Francesca wykonała kilka operacji na komputerze. W przeciwieństwie do Gregora była doskonale zaznajomiona z tym narzędziem szatana. Stwierdziła:

- Jeśli używali tego urządzenia, to na pewno pozostawili jakieś ślady.

Zafascynowany Gropius obserwował, jak Francesca obsługuje komputer. On sam był zawsze w tym szczęśliwym położeniu, że mógł to zajęcie przekazać innym. Umiejętność napisania e-maila i wysłania go pod żądany adres Gropius porównywał z teorią względności Einsteina, w której również chodzi o prostą rzecz, oczywiście pod warunkiem że opanuje się sporą wiedzę z fizyki i nauk pokrewnych.

- To znaczy, że istnieje możliwość wyświetlenia na monitorze elektronicznej korespondencji tych ludzi? - ostrożnie zagadnął Gregor. - Sądząc po porządku w tym pomieszczeniu, równie gruntownie usunięto ślady w komputerze.

Francesca, nie przerywając pracy i nie odrywając wzroku od monitora, odpowiedziała:

- Profesorze, niech się pan lepiej skoncentruje na pracy chirurga. Jak widać, brak panu podstawowej wiedzy na temat komputerów. A tak serio - jest tylko jeden problem... Ale ten będzie można rozwiązać, jeśli dasz mi trochę czasu.

- Co to za problem?

Francesca była zbyt wciągnięta w zagłębianie się w system, żeby zareagować na pytanie Gregora. Nagle znieruchomiała i powtórzyła:

- Jest tylko jeden problem. Potrzebne mi hasło, żeby się zalogować i wydobyć e-maile. Co najmniej trzy litery, maksymalnie dziesięć.

- Trzy litery? - Gropius długo się zastanawiał. - Wpisz „IND”.

- „IND”? - Francesca wpisała podane litery bardziej dla żartu albo po to, żeby mu zrobić przyjemność, niż z przekonania, że Gropius ma rację. Po chwili cicho krzyknęła. Spojrzała na Gregora i znów spojrzała w monitor.

- Co z tobą?

Francesca patrzyła z niedowierzaniem.

- Skąd znałeś hasło tych ludzi?! - Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Jej pierwsza myśl była taka, że Gropius prowadzi podwójną grę, że współdziała z tą grupą przestępczą. Jej dłoń instynktownie powędrowała do wewnętrznej kieszeni blezera, gdzie był ukryty pistolet.

Gropius dostrzegł jej niepewność i zapytał równie niepewnie:

- Chcesz przez to powiedzieć, że hasło jest właściwe?

- Tak, to właśnie chcę powiedzieć - odpowiedziała Francesca podniesionym głosem. - W każdym razie komputer daje swobodny dostęp do wszystkich e-maili wysłanych i otrzymanych w ciągu ostatnich dziesięciu dni.

- Kiedy powiedziałaś, że konieczne jest hasło liczące od trzech do dziesięciu liter, przypomniałem sobie zagadkowy skrót, który kilkakrotnie już spotykałem w trakcie moich poszukiwań. W Monachium ludzie ci zapłacili rachunek hotelowy firmową kartą kredytową wystawioną na firmę o nazwie IND.

Wyjaśnienie Gregora wydało się Francesce mocno naciągane, w każdym razie nie wystarczyło, żeby całkowicie rozwiązać jej nieufność. Istniały tylko dwie możliwości: albo Gropius powiedział prawdę, albo przez pomyłkę sam się zdradził. W takim razie był wspaniałym aktorem, a jednocześnie głupcem. Prawdę mówiąc, nie posądzałyby go zarazem o jedno i drugie.

Nie miała nerwów, żeby rozważać teraz tę kwestię, kliknęła więc na opcję „Ostatnio otrzymana wiadomość”. Po sekundzie pojawiło się okienko z włoskim tekstem. Gropius zmarszczył czoło.

- Co to znaczy?
- Wiadomość jest sprzed czterech dni! Francesca wskazała palcem na linijki tekstu:

Błogosławieństwo Najwyższego a Barcino. Następnym celem naszej akcji - Mediolan. Sposób działania: jak zwykle. Oczekujemy pełnego sprawozdania. Lepiej bowiem, gdy zginie jeden z członków, niż żeby całe twoje ciało miało iść do piekła.
IND.

Francesca i Gropius długo patrzyli na siebie bez słowa. W końcu Francesca zapytała:

- Co to znaczy? To wszystko brzmi tak świątobliwie.
- Świątobliwie? - Gropius skrzywił się zakłopotany. - Raczej szatańsko! Jeśli się nie mylę, jest to kolejne zlecenie zabójstwa. Zapewne kogoś po transplantacji.

Kiedy Gropius notował tekst w swoim notatniku, na podwórzu zaczął ujadać pitbull. Francesca podeszła do okna. Zapadał zmierzch. Pies szarpał się na łańcuchu jak wściekły. Kiedy spojrzała na drogę, która ginęła w półmroku doliny, zauważyła dwa reflektory samochodu, które drżąc, zbliżały się do zabudowań.

- Ktoś nadjeżdża! Musimy zniknąć! - zawołała półgłosem. Następnie wyłączyła komputer i oboje pobiegli na piętro, opuszczając budynek tą samą drogą, którą przyszli.

W ucieczce pomógł im zapadający zmrok. Z bezpiecznej odległości obserwowali, jak czterech mężczyzn wysiada z samochodu i znika w budynku. Następnie szybkim krokiem przeszli przez pola do miejsca, gdzie Francesca zostawiła samochód. Niewiele rozmawiali, a jeśli w ogóle, to o błahych sprawach.

Wyczerpani i brudni, bo kilka razy przewrócili się po drodze, po godzinie marszu przez mrok dotarli do samochodu. Gdy jechali już do Turynu, Gropius sięgnął po swój notatnik. W słabym świetle samochodowej żaróweczki raz jeszcze przeczytał tekst e-maila. Potem ponownie zaczął się przypatrywać oświetlonym plamom na drodze, które tańczyły niepewnie, jak świetliki w czerwcową noc. Z radia płynęła muzyka disco, przerywana reklamami. Każde z nich było zatopione w myślach. Francesce nie mieściło się w głowie, że Gropius tak łatwo odgadł hasło, które pozwoliło im się zalogować do komputera. Z kolei Gregor szukał powiązań między morderstwami a materiałem genetycznym Jezusa z Nazaretu.

W oddali zaczęły błyszczeć już światła Turynu, kiedy Francesca nagle się odezwała.

- O ile się nie myłę, to zdanie na temat ciała, które miałyby iść do piekła, pochodzi z Ewangelii według Świętego Mateusza.

Gropius oderwał wzrok od drogi i spojrzał na Francescę.

- Skąd wiesz?

Francesca się roześmiała.

- Po prostu my, Włosi, jesteśmy zaznajomieni z Biblią. Nic dziwnego, skoro udzielamy schronienia przedstawicielowi Najwyższego. A takie charakterystyczne zdania jak to po prostu się zapamiętuje. Ale jeśli chcesz, mogę zadzwonić do Don Roberta. On zna cztery Ewangelie na pamięć.

- Bardziej ciekawiloby mnie to, skąd naprawdę pochodzi błogosławieństwo Najwyższego, czyli innymi słowy, nadawca e-maila. Barcino, to brzmi jak włoskie miasto.

Francesca pokręciła głową.

- Nigdy nie słyszałam!

Gropius chciał coś powiedzieć, ale Francesca powstrzymała go, podnosząc rękę. Następnie przekręciła pokrętło głośności radia. Podawano właśnie wieczorny serwis informacyjny.

Gregor nie zrozumiał wiadomości, którą odczytał spiker, zauważył jednak, że Francesca zbladła. Wiadomości jeszcze się nie skończyły, gdy wyłączyła radio.

- W klinice w Mediolanie - zaczęła nerwowo - zamordowano pacjenta po przeszczepie. Prawdopodobnie zastrzykiem trucizny. Policja podejrzewa, że sprawcą jest ktoś z personelu kliniki, i powołała specjalną komisję.

Dotarli do jasno oświetlonej szosy prowadzącej do miasta. Smukłe latarnie przy ulicy w regularnych odstępach czasu jaskrawo oświetlały wnętrze samochodu. Gropius wciąż trzymał w rekach otwarty notatnik. Kiedy opuścił głowę, światło padło na słowa napisane jego ręką:

„Następny cel naszej akcji - Mediolan”.

Zrobiło mu się duszno.

ROZDZIAŁ 16

Gropius w marnym humorze wszedł następnego ranka do restauracji hotelu „Le Meridien”. Spał równie źle jak we wszystkie poprzednie noce. Wieczorem, kiedy Francesca wysadziła go pod hotelem, rozstali się w pośpiechu. Mieli się zdzwonić koło południa.

Pogrążony w myślach, usiadł przy wolnym stoliku, zamówił herbatę z mlekiem i przyniósł sobie z bufetu dwa rogaliki i marmoladę, jak to miał w zwyczaju. Z ponurą miną gryzł rogalik i obojętnym wzrokiem obserwował nielicznych tego ranka gości hotelowych na śniadaniu, kiedy do jego stolika podszedł elegancki mężczyzna w czarnym ubraniu i uprzejmie się przywitał. Mówił po niemiecku z włoskim akcentem i miał blisko dwa metry wzrostu.

- Crucitti - przedstawił się z lekkim ukłonem. - Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli się przysiądę?

Chociaż Gropius wolał, żeby go zostawiono w spokoju, nie chciał być niegrzeczny i pokazując krzesło obok siebie, odpowiedział:

- Proszę, niech pan siada. Nazywam się Gropius.

- Wiem - uśmiechnął się chytrze Crucitti. - Wiem.

Gropius, zaskoczony i zdumiony, spojrzał na Crucittiego i zapytał, czy dobrze usłyszał, że jest mu znany. Ten jednak kontynuował:

- Pan mnie nie zna, profesorze, ale tym lepiej. Najważniejsze, że my pana znamy!

- Jak mam to rozumieć? Jacy „my”?

Crucitti przewrócił oczami.

- Kuria Rzymska - odpowiedział w końcu.

W jego głosie zabrzmiał wyrzut, jakby nieznamość jego nazwiska była czymś nagannym.

- Musi mi pan wyjaśnić to dokładniej - odezwał się Gropius z ciekawioną. - Być może zaskoczy pana, jeśli powiem, że odszedłem od Kościoła, kiedy podatki kościelne pozwoliły na utrzymywanie własnego biskupa.

- To nie ma nic do rzeczy - Crucitti uśmiechnął się kwaśno. - Mam nadzieję, że był pan zadowolony z pracy mecenasa Feliciego, profesorze!

Gropius poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Sytuacja nie mogła być bardziej groteskowa: oto on podąża tropem, który coraz wyraźniej prowadzi do Kurii i Watykanu, grożąc wywołaniem wielkiego skandalu, a reprezentujący Kościół dostojnicy przysyłają mu adwokata, który wyciąga go z aresztu śledczego. Pokręcił głową i zapytał z niedowierzaniem:

- Chce pan przez to powiedzieć, że Kuria Rzymska doprowadziła do uwolnienia mnie od absurdalnych zarzutów włoskiej policji?

Crucitti znów uśmiechnął się świętoszkowato i odpowiedział z namaszczaniem:

- Kościół zawsze stoi po stronie niewinnych. My wiemy, że nie jest pan mordercą Sheby Yadin.

- Jest pan pewien?

- Proszę zwracać się do mnie: monsignore! Ale żeby odpowiedzieć na pańskie pytanie... Tak, całkowicie pewien.

- W takim razie pozwolę sobie zadać jedno pytanie, monsignore. Czego pan chce ode mnie?

Crucitti zamówił kawę i odparł:

- Słyszał pan o morderstwie w klinice w Mediolanie?

- Oczywiście. I chociaż bardzo mi przykro z powodu śmierci pacjenta, sprawa właściwie mnie nie dotyczy. Czy raczej - widzę w niej kolejny dowód mojej niewinności. Mamy tutaj do czynienia z organizacją przestępczą działającą z pobudek, których nie znam. Jest zatem czymś z gruntu nietrafnym obciążanie lekarzy odpowiedzialnością za te morderstwa. I to jest powód, dla którego od miesiący nie zajmuję się niczym innym, jak tylko próbą zrehabilitowania swojego nazwiska!

- To zupełnie zrozumiałe, profesorze. Czy jednak w tych poszukiwaniach nie posunął się pan aby za daleko? Grozi panu, że sam pan się znajdzie na celowniku tej organizacji.

- To, monsignore, jest moja sprawa i moje ryzyko. Ale jak pan widzi, wciąż żyję i jestem pewien, że jeszcze przez jakiś czas tak pozostanie.

- Cokolwiek miałyby się stać, upoważniono mnie do przekazania panu następującej informacji: w interesie Watykanu leży, żeby pan swoją wiedzę nie dzielił się z policją, lecz z Kurią Rzymską. Jest to również powód, dla którego postaraliśmy się pański pobyt w więzieniu uczynić możliwie krótkim.

- Zbytek łaski - ciągnął swoją myśl Gropius, naśladując ironicznie wyszukany styl Crucittiego. - Doprawdy zbytek łaski. Ale może pan być pewien, że również bez waszego łaskawego wsparcia i tak by mnie niebawem wypuszczono. Jeśli dobrze rozumiem, spodziewa się pan teraz z mojej strony czegoś w zamian.

Crucitti teatralnie wrzucił ramionami. Jak większość duchownych, monsignore był marnym aktorem.

- Czegoś w zamian? - udawał oburzonego. - Już apostoł powiedział, że kto poda kubek wody jednemu z tych najmniejszych, ten nie utraci swojej nagrody.

- A znaczy to?

- Znaczy to, że nie żądamy od pana niczego w zamian, profesorze, ponieważ jesteśmy pewni, że zrewanżuje się nam pan z własnej inicjatywy.

Bezczelność, z jaką postępował monsignore, na chwilę odebrała Gropiusowi mowę. Jednocześnie jednak nie uszło jego uwagi, że Crucitti niepewnie się rozgląda, jakby go śledzono albo jakby było dla niego czymś kłopotliwym, że ktoś mógłby zobaczyć ich razem. W końcu jednym haustem opróżnił filiżankę kawy i oznajmił:

- Co by pan powiedział na krótki spacer? W marszu łatwiej się rozmawia. Poza tym, jak powszechnie wiadomo, ściany mają uszy.

Gropius już chciał powiedzieć: „Nie widzę żadnego powodu, a przede wszystkim nie mam najmniejszej ochoty przechadzać się z panem!”, górę wzięła jednak ciekawość. Poza tym uświadomił sobie, że w końcu nie codziennie nadarza się sposobność porozmawiania sobie z przedstawicielem Kurii Rzymskiej. Nie miał także żadnych planów na przedpołudnie, dlatego odpowiedział:

- Dlaczego nie, monsignore? Chodźmy!

Via Nizza - hotel „Meridien” znajduje się pod numerem 262 - nie należy do najwytworniej szych ulic w Turynie. Gropius i Crucitti skierowali się do centrum. Z rękami splecionymi z tyłu przeszli kawałek obok siebie w milczeniu. Uwagi na temat pogody i tym podobne banały Gregor uważał za niestosowne. Nagle, jakby zebrawszy myśli, odezwał się monsignore:

- Nie udawajmy, profesorze. Obaj wiemy, o co chodzi. Byłoby czymś dziecinny, gdybyśmy teraz owijali sprawę w bawełnę.

Gropius nie wiedział, co Crucitti miał na myśli. Jak miał zareagować? Postanowił więc zgodzić się z tym, co mówi monsignore.

- Brzmi rozsądnie - rzucił ogólnikowo.

- Nie będę tał - podjął Crucitti - że Watykan jest gotów zapłacić duże pieniądze, aby wejść w posiadanie akt Golgoty Schlesingera. A jak pan wie, nie jesteśmy jedynymi zainteresowanymi. Oczywiście wpływa to na cenę. Nie muszę tego panu wyjaśniać.

Gropiusowi przez głowę przemknęły tysiące myśli. Teorie, które opracowywał w ciągu ostatnich miesięcy, rozsypały się jak domki z kart. Mimo to starał się zachować spokój.

- Sądzi pan zatem, monsignore, że jestem w posiadaniu akt Schlesingera? - podjął temat rozpoczęty przez Crucittiego.

Crucitti zareagował zde gustowany.

- Nie spodziewałem się, że pan mi zdradzi swoją kryjówkę. I zapewne wie pan od dawna, że od dłuższego czasu pana obserwujemy, co nie jest przedsięwzięciem łatwym, gdyż nasi wysłannicy wciąż natykają się na ludzi strony przeciwnej, którzy również nie spuszcza ją pana z oka. Muszę panu pogratulować, profesorze. Pański sposób działania jest niezwykle zręczny. CIA miałoby szczęście, mogąc mieć pana jako agenta. - Monsignore ubawił się własnym, rzekomo udanym, żartem.

Gropius zadawał sobie teraz pytanie: „Czy monsignore blefuje?”. Żeby go sprowokować, odezwał się z odcieniem drwiny:

- Monsignore, nie pojmuję, dlaczego robi się tyle hałasu o ten całun. Przecież dla nikogo nie jest już tajemnicą, że chodzi tutaj o średniowieczne fałszerstwo. Próbką płótna z tego obiektu niczego nie dowodzi. Po co więc tyle nerwów?

Na to Crucitti zatrzymał się i spojrzał z ukosa na Gropiusa.

- Profesorze, jest pan inteligentnym człowiekiem. To poniżej pańskiego poziomu, żeby tutaj grać głupiego. Tak, jakby pan nie wiedział, że w ogóle nie mówimy o tym całunie, który jest przechowywany w turyńskiej katedrze.

- Ach! - odparł Gropius zjadliwie i ruszył do przodu.

Monsignore nie wiedział, czy niewiedzę profesora ma traktować poważnie, czy była ona tylko udawana. W końcu powiedział:

- Wiem, że nie jest pan archeologiem, jak Schlesinger, ale przecież zajmuje się pan tym zagadnieniem od dłuższego czasu. A o ile wiemy, dysponuje pan nie tylko dowodem Schlesingera, lecz również jego unikatową wiedzą na ten temat. Co więc ma znaczyć ten teatr!

- Schlebia mi to, monsignore, proszę jednak uwzględnić, że miałem tylko kilka miesięcy, żeby poznać problem, którego badaniu Schlesinger poświęcił pół życia. Oczywiście wiem, w czym rzecz, gdy jednak chodzi o szczegóły...

Crucitti wziął głęboki wdech i ciężko wypuścił powietrze przez nos.

- Wtedy, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku, kiedy włamano się do katedry turyńskiej i ukradziono skrawek całunu Pana naszego, w kurii panował stan chaosu. Dziś można już spokojnie to powiedzieć: poprzednik sekretarza stanu kardynała Paola Calviego nie do rósł do swojego urzędu. Nie dostrzegł zagrożenia, jakie wiązało się z tą na pozór niewinną kradzieżą strzępu płótna. Również wtedy, kiedy kilka miesięcy później do Watykanu zgłosił się Schlesinger i utrzymywał, że może dostarczyć naukowego dowodu, że nasz Pan Jezus bynajmniej nie wstąpił do nieba, nie potraktowano go poważnie i odmówiono spełnienia jego żądań. To prawda, Schlesinger był szantażystą, ale cóż znaczy dziesięć milionów w obliczu możliwych następstw! Jak można się było spodziewać, szybko znalazł się ktoś zainteresowany, kto był gotów za tajemnicę Schlesingera wyłożyć na stół dziesięć milionów euro. Tajemniczy nieznanym, przynajmniej na początku, ale tak czy inaczej dostatecznie sprytny, żeby w zamian za milczenie wyciągać z Kurii rocznie żadaną przez Schlesingera kwotę dziesięciu milionów euro. Kiedy Jego Świątobliwość się o tym dowiedział, z początku znalazł ucieczkę w siedmiodniowych nieprzerwanych modłach, w trakcie których doznał oświecenia, żeby wymienić sekretarza stanu na Paolo Calviego, który z kolei wybrał mnie na swojego sekretarza. Przy całej skromności, to ja byłem tym, który wpadł

na pomysł, żeby całun, bez wątplenia autentyczny, w który był owinięty nasz Pan, wymienić na średniowieczny falsyfikat i w następnym roku zlecić naukowe badania tego falsyfikatu jako oryginału. Dzięki powszechnie znanym wynikom badań z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku miałem nadzieję raz na zawsze ukrócić praktyki wszelkiej maści szantażystów. Pomyliłem się jednak.

Gropius milczał, nie był bowiem w stanie nic odpowiedzieć. Sama myśl, że sekretarz sekretarza stanu wtajemnicza go w tę mroczną tajemnicę, wydała mu się tak absurdalna, że zaczął wątpić w to, iż dzieje się to w rzeczywistości. Wprawdzie opowieść Crucittiego logicznie pasowała do ustaleń, które sam już poczynił, pozostawało jednak mnóstwo pytań. Przede wszystkim jedno - dlaczego Crucitti mu to wszystko opowiada.

Również monsignore nagle zamilkł. Idąc, patrzył przed siebie i poruszał szczęką, jakby rozgryzał słowa, które już miał na języku. Gropius odniósł wrażenie, że nawet dostrzegł na jego nosie kropelkę potu, tak bardzo Crucitti był poruszony własną opowieścią. W końcu powiedział:

- O wszystkim, co tutaj mówię, już pan przecież wiedział!

- Nie o wszystkim. Nie jestem tak dobrze poinformowany, jak pan sądzi. W każdym razie, teraz widzę sprawy nieco jaśniej. Mimo to wiele pytań pozostaje otwartych. Na przykład to: kto ma na sumieniu Schlesingera, de Luce i Shebę Yadin? - Gropius rzucił Crucittiemu badawcze spojrzenie.

Ten się zmieszał, ale już w następnej chwili wziął się w garść i odpowiedział pewnym siebie tonem:

- Oby Bóg wybaczył panu złe myśli. Podejrzewanie Kurii Rzymskiej o zlecenie serii morderstw to przecież absurd, profesorze!

- Tak pan uważa? W każdym razie te trzy osoby miały udział w ujawnieniu tajemnicy śmierci Jezusa z Nazaretu. Inaczej rzecz ujmując, teraz jest o trzech wtajemniczonych mniej.

- Profesorze! - Crucitti udął oburzonego. - Gdyby tak było, gdyby Watykan rzeczywiście był zainteresowany usunięciem wszystkich wtajemniczonych, wtedy pan, proszę mi wybaczyć, że powiem to tak otwarcie, byłby na samej górze listy, ja zaś nie otrzymałbym zlecenia, żeby poważnie z panem pertraktować.

- Błąd, monsignore! Dopóki akta Golgoty są w moim posiadaniu, włos mi z głowy nie spadnie. Tego jestem pewien. Z pewnością bowiem

obawia się pan, że zamordowanie mnie uruchomiłoby ciąg zdarzeń, na końcu którego jest ujawnienie potężnego skandalu.

- Profesorze, o tym nie wolno panu nawet myśleć! To byłaby katastrofa dla jednej trzeciej ludzkości!

- W rzeczy samej. Chociaż wizja poruszenia fundamentem wiary jest dość ponętna.

Crucitti objawiał wyraźne oznaki nerwowości.

- Nie może pan tego uczynić! - zawołał wyprowadzony z równowagi.

- Chce pan pozbawić wszelkiej nadziei dwa miliardy ludzi? Proszę zauważyć, że przecież wszyscy żyjemy jedynie nadzieją. Nadzieją szczęścia, nadzieją miłości, nadzieją bogactwa, władzy i wpływów, nadzieją życia wiecznego.

Gropius bez słowa pokiwał głową.

- Ale skoro nie Kuria stoi za tymi morderstwami, to kto? - mówiąc to, Gropius zauważył, że w niewielkiej odległości jedzie za nimi czarna limuzyna. Zaniepokoił się. Wtedy w Berlinie, gdzie wszystko się zaczęło, także jechał za nim ciemny samochód. Teraz poczuł na karku zimny pot, a strach pełził po nim w górę i jak żelazna klamra objął mu pierś.

- Niech pan zapyta stronę przeciwną - usłyszał odpowiedź Crucittiego, który robił teraz wrażenie pewnego siebie i spokojnego.

Skołowany Gropius zapytał:

- A któż jest tą stroną przeciwną?

Monsignore milczał. Po kilku chwilach oznajmił:

- I tak już za dużo powiedziałem. Proszę przemyśleć naszą propozycję. Cokolwiek zaoferuje panu strona przeciwna, my zaproponujemy więcej. Oto moja wizytówka. Może pan dzwonić o każdej porze. *Laudetur Jesus Christus!*

Gropius przyjrzał się wizytówce, którą miał w dłoni.

Tę krótką chwilę Crucitti wykorzystał, żeby wsiąść do czarnej limuzyny czekającej przy krawężniku. Samochód, mercedes najnowszej generacji, błyskawicznie odjechał w kierunku śródmieścia.

Gdy Gropius wrócił do hotelu, zauważył czekającą na niego Francescę. Obiema rękami chwyciła czule jego prawą dłoń.

- Gregor! Dzięki Bogu! Próbowałam się do ciebie dodzwonić. Kiedy się nie zgłaszałeś, zaczęłam się martwić. Wpadłam w panikę i przyjechałam tutaj tak szybko, jak na to pozwalały korki.

Francesca odwróciła głowę, ale Gregor zauważył wyraźnie, że miała wilgotne oczy. Jeszcze do niedawna by jej nie podejrzewał o taką reakcję. Francesca traktowała go zawsze z dystansem i pewnością siebie, od czasu do czasu nawet z wyniosłością, on zaś uważał ją za kobietę chłodną, która - gdy pomyśleć o ich pierwszym spotkaniu - dorosła do każdej sytuacji. Od dłuższego jednak czasu odnosił wrażenie, że Francesca przy nim stała się inna.

- Gdybym mógł odzyskać władzę w prawej ręce - odezwał się z uśmiechem.

Francesca, która wciąż go obejmowała, teraz zwolniła uścisk i powiedziała:

- Po wszystkim, co wczoraj przeżyliśmy, musisz to zrozumieć. Na prawdę się bałam, że coś ci się mogło stać.

Właśnie teraz, po tym zaskakującym spotkaniu z przedstawicielem Watykanu, Gropius był wykończony i bardzo podatny na czułości Franceski. Nie był jednak mężczyzną, który przyznałby się do tego przed kobietą. Dlatego powiedział pozornie spokojnie, jakby jeszcze kilka minut temu nie pocił się ze strachu:

- Coś ty! Miałem tylko niespodziewanego gościa przy śniadaniu i zrobiliśmy sobie poranny spacer.

Francesca przenikliwie spojrzała na Gregora. Przypuszczała, że osoba ta mogła mieć związek z wczorajszymi wydarzeniami, Gropius zaś odgadł jej myśli, pokręcił bowiem głową.

- Nic nie wymyślisz — powiedział. - Przedstawiciel Kurii Rzymskiej! — Podał następnie Francesce wizytówkę Crucittiego.

Monsignore Antonio Crucitti - tak było napisane elegancką antykwą, pod nazwiskiem zaś znajdowały się trzy numery telefoniczne. - I czego chciał monsignore?

- Akt Golgoty.

- Zapewne zaraz mi opowiesz, o co chodzi z tymi aktami!

Gropius położył palec na ustach.

- Szczerze mówiąc, sam dobrze nie wiem. Prawdopodobnie akta zawierają dowody, które wskazują, że Jezus został pogrzebany w Jerozolimie i nie było żadnego Wniebowstąpienia, jak twierdzi Kościół. W każdym razie dotąd sądziłem, że Schlesinger już sprzedał te dokumenty. W przeciwnym razie skąd by się wzięło dziesięć milionów na jego tajnym koncie? Jedno jest jednak pewne: Schlesinger nie sprzedał swojej wiedzy Kurii

Rzymskiej. Crucitti zachowywał się tak, jakby dokumenty znajdowały się w moim posiadaniu, i zaproponował mi więcej niż strona przeciwna. Kogokolwiek miał tutaj na myśli.

- Brzmi, jakby Watykan miał jakiegoś potężnego konkurenta!

- Nie tylko tak to brzmi. Watykan, co otwarcie przyznał monsignore, jest szantażowany przez jakąś organizację. Ale kto za tym stoi, o tym nie chciał puścić pary z gęby. Przypuszczalnie ludzie z otoczenia Rodrigueza. Nie wiem. W ogóle już nie wiem, co myśleć...

Francesca wzięła Gregora za rękę i pociągnęła go ku tylnej części holu. Z dała od zgielku przyjezdnych i wyjeżdżających, przewodników i bagażowych, którzy zamienili hol w jarmark, Francesca powiedziała:

- Przypominasz sobie tekst e-maila, jaki odkryliśmy w komputerze w opuszczonym gospodarstwie?

- Oczywiście! - Gropius wyciągnął notatnik z kieszeni marynarki.

- Przeczytałem go wielokrotnie i nie wątpię, że chodzi tutaj o zlecenie morderstwa w klinice w Mediolanie.

- Nie pójdziesz z tym na policję?

- Na razie nie. Komisarz Artoli nie uwierzyłby, w jakich okolicznościach odkryliśmy tamto domostwo. A jeśli mam być szczerzy, nie miałbym mu tego za złe. Może później.

Francesca skinęła głową. Wpatrywała się w tekst e-maila w terminarzu Gropiusa.

- Poza tym rozmawiałam z Don Robertem. To mądry człowiek i od razu wiedział, że chodzi o cytat z Biblii, z Ewangelii według św. Mateusza. Jeśli zaś chodzi o błogosławieństwo Najwyższego z Barcino, to dotyczy to Barcelony. Barcino to łacińska nazwa Barcelony.

Gropius stał jak sparaliżowany.

- Jasne! Że też od razu na to nie wpadłem! - wykrzyknął. Wyobrażał sobie, że jest teraz bliżej celu niż kiedykolwiek wcześniej. Nie, teraz podanie się nie wchodziło w grę. Ostatecznie miał adres Rodrigueza.

- Widzę po tobie - powiedziała Francesca z szelmowskim uśmiechem

- że wybierasz się do Barcelony. Zabierzesz mnie z sobą?

Gregor wziął Francescę w ramiona i długo na nią patrzył, po czym odezwał się cicho:

- Wiesz, jak groźni są to ludzie, a nie chciałbym cię bez potrzeby narażać na niebezpieczeństwo. Jeszcze dziś polecę do Monachium, spakuję

czyste ubrania i złapię jutro pierwszy samolot do Barcelony. Jeśli w ciągu dwóch dni się nie odezwę, zawiadam policję.

- A koperta w hotelowym sejfie?

- Wezmę ze sobą. Prawdopodobnie jej zawartość jest bezwartościowa, bo pani Selvini wcisnęła nam jakąś podróbkę, ale przecież nigdy nie wiadomo. W tych okolicznościach koperta nabiera jeszcze większego znaczenia.

Żywiłowo, jakby obawiała się go utracić, Francesca przytuliła się do Gregora. Przez kilka chwil oboje czuli własne ciepło. Choć Gropius nie dał nic po sobie poznać, już od dawna wiedział, że możliwie szybko wróci do tej kobiety.

- Mogę cię chociaż odwieźć na lotnisko? - zapytała Francesca.

Gropius skinął głową.

ROZDZIAŁ 17

Barcelona. Niektórzy powiadają, że jest to jedno z najpiękniejszych miast na świecie. Gropius wolałby jednak poznawać je w bardziej sprzyjających okolicznościach. Wiele podróżował, ale Barcelony nigdy nie widział. „Właściwie szkoda” - pomyślał w trakcie półgodzinnej jazdy z lotniska El Prat na Plaža de Catalunya w centrum, ale natychmiast jego głowę zajęły wspomnienia dotyczące tego wstrętnego duchownego, Ramona Rodrigueza. Musiał go odnaleźć, co więcej - musiał się dowiedzieć, dla kogo pracuje i kim są jego poplecznicy. Tego bowiem, że Rodriguez nie działał sam, że stoi za nim organizacja idąca dosłownie po trupach, Gropius był już pewien.

Jedyną informacją, jaką dysponował, był zapisany na karteczce adres Carrer Caralt 17, niezbyt wiele, żeby wpaść na trop spisku, jaki uknuła tajemnicza organizacja działająca na skalę europejską. Przez ostatnie cztery miesiące Gropius rozwinął w sobie jednak zdolność odkrywania śladów działalności przestępczej, która wcześniej była mu całkowicie obca. Już od dawna był świadom tego, że sam jednak nie odgrywa, jak początkowo zakładał, głównej roli w tym nikczemnym dramacie. Nie - będąc na celowniku dwóch potężnych sił, wplątał się w historię, która nie ma z nim prawie nic wspólnego, choć paradoksalnie znaczy w jego życiu bardzo dużo.

Gropius złożył pisemny wniosek do dyrekcji kliniki, żądając przywrócenia do pracy od pierwszego marca, „pod warunkiem ostatecznego wyjaśnienia sprawy”- jak to określił. Tym sposobem nie godził się na to, żeby wrócić na stanowisko dopiero wtedy, kiedy znikną wszystkie wątpliwości dotyczące jego odpowiedzialności za śmierć Schlesingera i zostanie w pełni zrehabilitowany.

Lekarz naczelny kliniki, doktor Fichte, po aresztowaniu w Paryżu został wraz z Veronique przekazany władzom niemieckim i złożył szczegółowe zeznania. Zdecydowanie jednak zaprzeczył, jakoby miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią Schlesingera i pozostałymi morderstwami. Gropius nie miał więc wątpliwości, że będzie musiał kontynuować swoje poszukiwania, żeby wykazać swoją niewinność w tej sprawie.

Gropius zatrzymał się w hotelu „Dues de Bergara”, malowniczej budowli z secesyjnym holem, zlokalizowanej w niewielkiej odległości od Plaža de Catalunya. Uprzejma kobieta w recepcji miała typowo hiszpańską urodę, nie mogła więc nazywać się inaczej niż Carmen, choć gdyby zapytać ją o narodowość, opowiedziałaby z dumą, że jest Katalonką. Carmen poleciła mu *habitación exterior*, pokój z widokiem, co Gropius uznał za niezły wybór. Teraz siedział w wygodnym wyścielonym fotelu i zastanawiał się, w jaki sposób powinien zająć się sprawą Ramona Rodrigueza.

Oczywiście bał się. Aż za dobrze wiedział, do czego jest zdolny Rodriguez i jak bezwzględni są jego mocodawcy, wiedział też, że ludzie ci pojawiają się zawsze wtedy, kiedy najmniej można się ich spodziewać. Żywił jednak nadzieję, że tutaj, w jaskini lwa, nikt się go nie spodziewa. Dla pewności nie wybrał bezpośredniego lotu do Barcelony, ale najpierw polecił do Genewy, gdzie kupił bilet do Barcelony, jakby dopiero w Genewie zdecydował się na podróż do Hiszpanii.

Jeden z problemów - o ile w ogóle do rozwiązania - polegał na tym, że Gropius nie znał słowa po hiszpańsku ani też, co w Barcelonie było jeszcze ważniejsze, po katalońsku. Za poradą uprzejmej recepcjonistki udał się więc do informacji turystycznej przy Plaža de Catalunya, gdzie obiecano mu przewodniczkę mówiącą po niemiecku.

Po niecałej godzinie w pokoju Gropiusa, który uciął sobie drzemkę, zadzwonił telefon. Kiedy odebrał, w słuchawce usłyszał młody głos mówiący doskonale po niemiecku:

- *Bon dia!* Nazywam się Maria-Elena Rivas, jestem pańską przewodniczką po Barcelonie i czekam w holu. Pozna mnie pan po czerwonym ubraniu!

Rzeczywiście, Marię-Elenę trudno było przeoczyć. Po pierwsze dlatego, że miała na sobie rzucający się w oczy czerwony kostium, po drugie dlatego, że była nieprzyzwoicie ładna. Miała ciemne włosy związane w koński ogon, sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i około dwudziestu czterech lat, przynajmniej tak się wydawało Gropiusowi. Na pytanie, skąd tak dobrze zna niemiecki, odpowiedziała, że studiuje germanistykę, ale jeszcze nigdy nie była w Niemczech.

Gropius długo się zastanawiał, jak wyjaśnić przewodniczce swoje zamiary, żeby się nie zdradzić. Skoro jednak Maria-Elena nie zadawała żadnych pytań, zostawił rzeczy własnemu biegowi.

- Cóż, nie jest to eleganckie miejsce - oznajmiła Maria-Elena, kiedy Gropius podał jej adres Rodrigueza. Po czym dodała przepraszająco: - O ile wolno mi robić takie uwagi.

Gropius uśmiechnął się delikatnie.

- Człowiek, którego szukam, nie jest moim przyjacielem! Jest wprost przeciwnie, rozumie pani?

Dziewczyna wydeła usta i rzuciła krótkie:

- Och!

Ulica Carrer Caralt leżała na zachodnich przedmieściach miasta i Maria-Elena zaproponowała, żeby najpierw pojechać metrem, a następnie szybką kolejką, co jest wygodniejszym rozwiązaniem niż stojąca w korkach taksówka. Gropius się zgodził i przy Plaça de Catalunya wsiedli do metra linii 1, pojechali do Plaça de Sants i tam przesiedli się na szybką kolejkę miejską linii 5 w kierunku Cornellá. Wysiedli gdzieś w części wschodniej, gdzie domy wyglądały na stare i zrujnowane.

Po dziesięciominutowym marszu ulicami, przy których stały jeden za drugim kontenery na gruz i wraki aut, dotarli do ulicy Carrer Caralt. Domy miały co najmniej sto lat, w każdym razie sprawiały takie wrażenie. Przy niektórych stały rusztowania budowlane, inne wyglądały na niezamieszkałe i czekające na rozbiórkę.

Kilku śniadych wyrostków w koszulkach z logiem FC Barcelona grało na ulicy w piłkę, a hałas, jaki przy tym robili, odbijał się echem od ścian czteropiętrowych budynków.

- *Pot ajudarme, sisplau?*- zawołała Maria-Elena do chłopców. - *Możecie mi pomóc?*

Chłopcy otoczyli obcych kręgiem i z pogardą im się przypatrywali. Gropius nie czuł się najlepiej. W myślach obliczał gotówkę, jaką ma w kieszeni, i przyszło mu do głowy, że nie ma numeru telefonu, żeby zablokować kartę kredytową. Wtedy stało się coś dziwnego.

Ledwie przewodniczka wymieniła numer poszukiwanego domu, siedemnaście, chłopcy odwrócili się plecami. Tylko jeden, najmłodszy, wskazał na wąski budynek bez okien, ze zwężoną fasadą.

Gropius i Maria-Elena spojrzeli na siebie zdziwieni. Na ulicy zrobiło się cicho. Nastoletni piłkarze jakby się zapadli pod ziemię. Podszedłszy bliżej, nad wejściem do spalonego budynku Gropius dojrzał tabliczkę z numerem siedemnaście. Niewątpliwie budynek spłonął lata temu i w odretwieniu czekał na rozbiórkę.

- *A może pański wróg miał jeszcze innych wrogów?* - zapytała Maria-Elena, która pierwsza otrząsnęła się z zaskoczenia.

- *Ma pani na myśli podpalenie?*

Dziewczyna przekrzywiła głowę.

- *Reakcja tych chłopców była dość dziwna. Nie sądzi pan?*

Na Gropiusie ulica robiła złowieszcze wrażenie, nie wiedział jednak, czemu tak się tutaj czuje. Kiedy się rozejrzył, wydało mu się, że za mętnymi szybami i szarymi zasłonami zniknęły ciekawskie twarze. Jedyne jakaś czarno odziana kobieta z domu naprzeciwko dała upust swojej ciekawości i z otwartego okna śledziła każdy ich krok.

- *Kogo tak szukacie?!* - zawołała silnym głosem po opustoszałej ulicy.

- *Czy może zna pani niejakiego Ramona Rodrigueza?* - zapytała Maria-Elena. - *Miał mieszkać przy Carrer Caralt siedemnaście.*

Kobieta zapewniła, że nigdy tego nazwiska nie słyszała, przy czym mieszka tu już trzydzieści lat. Dom został spalony i było to celowe podpalenie. Mieszkańcy się wyprowadzili. Następnie zatrasnęła okno tak silnie, że Gregor sądził, że polecą szyby.

- *Przykro mi, że nam się nie udało* - powiedziała Maria-Elena, kiedy znów siedzieli w kolejce miejskiej. - *Ale odnaleźć w Barcelonie Ramona Rodrigueza jest równie trudno jak Petera Mullera w Monachium. Nie jest to szczególnie rzadkie nazwisko, sam pan rozumie!*

Naiwnością było sądzić, że Rodriguez podał w hotelu w Monachium swój prawdziwy adres. Gropius zmęczony wrócił do hotelu. Był zły sam na siebie, że dał się tak łatwo wyprowadzić w pole. Żeby trochę się uspokoić, zadzwonił do Franceski. Musiał koniecznie usłyszeć jej głos.

Początkowo zamierzał jej powiedzieć, jak bardzo mu jej brakuje i jak bardzo się do niej przyzwyczyił, w końcu jednak ograniczył się do szczegółowego opisu nieudanych poszukiwań domu Rodrigueza.

Francesca cierpliwie wysłuchiwała opowieści. Kiedy skończył, powiedziała:

- Powinieneś poszukać Rodrigueza w porcie.
- Niezły pomysł - zauważył Gropius raczej rozbawiony.
- Nie, poważnie! - powiedziała Francesca. - Muszę ci coś wyjaśnić.
- Słucham! - odparł Gropius.
- Gdy w samotnym domostwie pod Asti przepisywałeś zagadkowy e-mail z Barcelony, a następnie szybko stamtąd wyszliśmy, wzięłam coś ze sobą. Kasetę z automatycznej sekretarki. Zapomniałam ci powiedzieć.
- I przesłuchiwałeś tę kasetę?
- Tak. Początkowo nie potrafiłam sobie z tym poradzić. Było słychać tylko zdenerwowanego mężczyznę mówiącego po hiszpańsku. Im częściej puszczałam kasetę, tym bardziej podejrzewałam, że może tutaj chodzić o głos Rodrigueza. Don Roberto, któremu odtworzyłam tę kasetę, stwierdził, że to nie jest hiszpański, ale kataloński. Tłumaczenie dosłowne brzmiało tak „Gerardo, oni mnie zabiją! Proszę, zabierz mnie stąd. *In nom...*” — ostatnie słowa są niezrozumiałe. Potem słychać inny głos i rozmowa nagle się urywa. Brzmi to jak wołanie o pomoc, w tle zaś słychać syreny okrętowe i krzyki mew.

Gropius milczał. Milczał długo, miał bowiem kłopot z uporządkowaniem tego, co właśnie usłyszał. Dla niego wiadomość z automatycznej sekretarki była jak równanie z trzema niewiadomymi. Nieznana była osoba dzwoniąca, nieznany abonent, który odebrał telefon, nie było także wiadomo, o co właściwie chodziło.

- I jesteś pewna, że rozpoznałaś głos Rodrigueza? - zapytał wreszcie Gregor.

- Co to znaczy „pewna”? Jak już mówiłam, rozpoznałam go dopiero po kilkakrotnym przesłuchaniu kasety.

- A skąd wiesz, że telefonowano z Barcelony?
- Przyznaję, to tylko przypuszczenie. Rodriguez mówi po katalońsku, tak twierdzi Don Roberto, czyli w języku, którym posługuje się tylko sześć milionów ludzi, między innymi w Andorze i na Balearach, ale przede wszystkim w Barcelonie. Ponieważ e-mail ze zleceniem wysłano z Barcelony, zakładam nie bez podstaw, że telefonowano także z tego miasta.

- Mądra dziewczyna, gratulacje!
- Och, dziękuję panu! Zawsze do usług, gdybym znów mogła być panu jakoś pomocna.

Dopiero teraz Gropius uświadomił sobie, że Francesca tutaj, w Barcelonie, mogłaby być dla niego wielkim wsparciem. Poza tym nie widział jej od trzech dni i odczuwał pierwsze objawy paraliżującej tęsknoty. Dlaczego bronił się przed przyznaniem, że z początkowego zauroczenia już dawno wyrosło głębokie uczucie?

- Szkoda, że cię nie zabrałem ze sobą do Barcelony - powiedział nagle do telefonu.

- Czy to znaczy, że ci mnie brakuje?
- A gdybym odpowiedział przecząco?
- To przy najbliższej sposobności bym cię udusiła. Ale jeśli chcesz, wsiądę jutro w najbliższy samolot i przylecę do Barcelony.

- Zrobiłabyś to? A w ogóle masz czas?
- Co tam! Trzeba wiedzieć, co jest ważne. Kocham cię! - I odłożyła słuchawkę.

Później, kiedy Gropius w pokoju hotelowym zastanawiał się nad dalszym sposobem postępowania, pomyślał, jak nikczemnie się zachował wobec Franceski. „Szkoda, że cię nie zabrałem ze sobą”- powiedział, a Francesca odparła na to: „Kocham cię!”. A on? „Cholera, dlaczego nie byłem w stanie się przełamać? Dlaczego z takim trudem przychodziło mi swobodne wyrażanie własnych uczuć?”.

Następnego ranka Gropius właśnie skończył kąpiel i w szlafroku stał przy oknie, żeby nacieszyć się słonecznym widokiem miasta, kiedy zadzwonił telefon. Była to Francesca.

- Dzień dobry, tu radosne biuro zleceń. Pan zamawiał budzenie?

Nie mógł powstrzymać śmiechu. Był jeszcze zbyt zaspany, żeby celnie odpowiedzieć, zapytał więc tylko:

- Gdzie jesteś?
- Na lotnisku El Prat w Barcelonie.
- Jak to?
- Wstałam o piątej. Było tylko takie bezpośrednie połączenie. I jestem.

- A ja jeszcze się dobrze nie obudziłem.

Francesca się roześmiała.

- Wiesz, co powiedział Napoleon? Cztery godziny snu dla mężczyzny, pięć godzin snu dla kobiety i sześć godzin snu dla idioty.

- Jest jakiś następny poziom w tej klasyfikacji, wyższy od idioty?

- Wolałabym się nad tym szerzej nie rozwodzić. Zwłaszcza w taki piękny dzień jak dziś.

- Przyjadę po ciebie! - zawołał Gropius pełen energii.

- Nie ma potrzeby. Mój bagaż jest już zapakowany do taksówki. Jak się nazywa twój hotel?

- „Dues de Bergara” przy ulicy Bergara, w pobliżu Plaža de Catalunya.

- Będę za pół godziny! Całuję.

Zanim Gregor zdążył coś powiedzieć, Francesca zakończyła rozmowę. Stanowczość i pewność siebie, z jaką realizowała swoje plany, wciąż od nowa zaskakiwała Gropiusa. Rzeczywiście nie minęło więcej niż trzydzieści minut, a taksówka z Francesca zajeżdżała pod hotel.

Wpadli sobie w objęcia, jakby się nie widzieli co najmniej kilka miesięcy.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - powiedział Gropius, kiedy boy hotelowy zajmował się bagażem — zmieniłem rezerwację mojego pokoju na apartament państwa Gropius.

Francesca spojrzała zdumiona.

- To brzmi jak oświadczyń!

- Żałuję, jeszcze nie jestem wolny!

- Wiadomo! - zaśmiała się Francesca. - Najlepsi faceci to albo żonaci, albo geje.

- Trzeba poczekać! — powiedział Gregor. - Poczekać.

Kiedy dotarli do pokoju, Francesca zajęła się rozpakowywaniem swojej ogromnej walizki, gdyż jak większość kobiet na dwudniową podróż zabrała ze sobą połowę dobytku. Dopiero teraz Gropius znalazł czas, żeby dokładnie się przyjrzeć Francesce. Miała na sobie dwurzędowy beżowy

kostium, który świetnie podkreślał jej figurę, i buty na wysokim obcasie, nie dlatego jednak wyglądała inaczej.

- Gdzie twoje okulary? - zapytał Gropius zdziwiony.

Francesca wskazała na brązową torebkę.

- Noszę szkła kontaktowe. Są takie czynności, przy których okulary zwyczajnie przeszkadzają.

- Na przykład?

Francesca z głośnym trzaskiem zamknęła walizkę. Podeszła do Gregora i powiedziała:

- Przy kochaniu się na przykład.

Gropius z fotela spojrział na nią. Francesca umiała doprowadzić go do szału kilkoma słowami, jednym gestem.

To była właśnie taka chwila.

Bez słowa wyciągnął do niej rękę. Francesca umiejętnie poprowadziła jego dłoń między swoje nogi i zamruczała. Wewnętrzzną stroną ud ścisnęła jego dłoń tak mocno, że aż zabolalo, ale Gregor delektował się tym bólem i nie zamierzał się wycofać. Pożądliwie obserwował, jak Francesca rozpina guziki, aż przed jego oczami pojawiły się jej piersi, jak dwie dojrzałe brzośkwinie.

Sam sobie wydawał się onieśmielonym sztubakiem, kiedy tak poddawał się kunsztowi uwodzenia tej podniecającej kobiety, sam też siebie nie poznawał. Jak sparaliżowany śledził każdy jej ruch, kiedy już rozebrana zaczęła rozpinać pasek jego spodni. Gdy jej dłoń wślizgnęła się do spodni i mocno chwyciła członek, Gropius wydał stłumiony okrzyk.

- Pragnę cię, pragnę cię, pragnę cię! - szeptał podniecony do granic.

Podczas gdy Francesca pieściła jego członek, Gregor zamknął oczy, żeby w pełni wszystko odczuć. „Co za kobieta!” - to była jego jedyna myśl. Kiedy poczuł, jak Francesca na nim siada i jak on głęboko w nią wchodzi, zniknęły wszystkie wyraźne myśli.

Zostali w tej pozycji przez chwilę, która trwała po prostu w nieskończoność. Było nieopisanie pięknie. Gropius nie ośmielił się wykonać nawet najmniejszego ruchu, żeby utrzymać ten stan najwyższej lubieżności. Nie wiedział, jak długo mogło to trwać ten stan zawieszenia, gdy nagle, niespodziewanie, Francesca dwoma, trzema gwałtownymi ruchami doprowadziła do raptownego końca. Prąd przebiegł po jego ciele - tak silny, że na chwilę aż pociemniało mu w oczach. Kiedy doszedł do siebie, leżeli oboje w czułym objęciu.

*

Po wspólnym śniadaniu Gropius i Francesca postanowili pojechać do portu. Gregor nie sądził że, żeby z tej wyprawy wyniknie coś konkretnego, ale tego przedpołudnia poszedłby z nią nawet na koniec świata. Szansa odnalezienia Ramona Rodrigueza była nadal jego zdaniem jedna na milion.

Przy kolumnie Kolumba wysiedli z taksówki i poszli dalej piechotą. Spacerowali po molo de la Fusta, obserwując zakotwiczone żaglowce i jachty na błyszczącej wodzie. Francesca wyjęła z torebki dyktafon i raz po raz odtwarzała z taśmy głos Rodrigueza.

Gropius pokręcił głową.

- Ta rozmowa telefoniczna mogła być prowadzona wszędzie i nigdzie. Równie dobrze w porcie handlowym, jak i tutaj, na przystani jachtów.

Jakby miała nadzieję odkryć jakąś ukrytą wskazówkę, Francesca przycisnęła dyktafon do ucha i raz jeszcze przesłuchała nagrania.

Przy molo, gdzie cumowały statki rejsowe i duże jachty, jeden z okrętów szczególnie rzucał się w oczy. Gropius nie miał pojęcia na temat żeglugi, ale ten statek był potężny i wyglądał na starszy od pozostałych znajdujących się w porcie. Poza tym sprawiał niepokojące wrażenie opuszczonego - bez pasażerów i załogi. Tylko dwóch uzbrojonych strażników pilnowało trapu.

Śnieżnobiały statek miał z pewnością pięćdziesiąt lat i był drewniany, ale bardzo dobrze utrzymany. Podszedłszy bliżej, zobaczyli samochód dostawczy z napisem: „Verduras - Hernán Jimenez”, z którego wyładowywano na pokład skrzynki z owocami i warzywami.

Już mieli zawrócić i pójść w przeciwnym kierunku, kiedy Gropius się zatrzymał. Na dziobie statku lśniła osobiwa nazwa:

IN NOMINE DOMINI.

- Po łacinie! - mruknął do siebie Gregor i spojrzał nieobecny wzrokiem na Francescę. - A oznacza „w imię Pańskie”.

- Niezwykle - orzekła Francesca. - Nawet w ultrakatolickich Włoszech statki nazywają się „Leonardo da Vinci”, „Michelangelo” albo „Andrea Doria”, a jeśli już musi być jakiś akcent religijny, to także „Santa Lucia” czy „Santa Maria”. Naprawdę bardzo niezwykle.

Gropius znów skierował wzrok na statek i powiedział:

- Spójrz na pierwsze litery tych trzech słów!
- IND - mruknęła Francesca pod nosem.
- IND - powtórzył Gregor z niedowierzaniem. Właśnie miał zrezygnować, zaprzestać tych przeklętych poszukiwań czegoś tajemniczego, nieznanego, nierozwiązywalnego, gdy oto nagle pojawiła się pierwsza wskazówka, ślad prowadzący do ludzi stojących za całą tą historią.

„IND - w imię Pańskie”. Kiedy przeprowadził w myślach przegląd wydarzeń z ostatnich miesięcy, zabrzmiało to jak jakaś ponura groźba. Kim jednak byli ci ludzie, którzy „w imię Pańskie” byli zdolni do takich czynów? Co więcej, wielokrotnie wprowadzili je w życie?

- Chodź! - Gregor wziął Francescę za rękę i oboje poszli w kierunku opuszczonego trapu. Zanim jednak do niego dotarli, podeszli do nich dwaj strażnicy w czarnych uniformach. Jeden miał w kaburze rewolwer, gumową pałkę i dobrze widoczny paralizator, który za pomocą dziesięciu tysięcy woltów pozbawia napastnika wszelkiej zdolności do walki.

- Piękny statek! — Gropius próbował nawiązać rozmowę ze strażnikami, ale jeden z nich tylko podniósł rękę i zawołał po angielsku:

- Wynocha!

- Już dobrze! - odpowiedział Gropius i odszedł, ciągnąc Francescę ze sobą. - Z nimi lepiej nie zadzierać.

Tymczasem rozładowano samochód dostawczy, który, głośno zawodząc silnikiem, odjeżdżał z molo.

- Chwileczkę! - powiedział Gropius, wyjął notatnik z kieszeni i za pisał nazwę firmy:

Verduras - Hernán Jimenez.

Francesca spojrzała na Gregora, zastanawiając się, w jakim celu to robi.

- Sądzę - orzekł Gropius - że pan Jimenez może nam opowiedzieć coś więcej o tym tajemniczym statku.

- Co chcesz zrobić?

- Znaleźć Jimeneza.

- Ale nawet nie znasz jego adresu!

- Od czego są książki telefoniczne! Poza tym może nam pomóc Maria-Elena.

- Maria-Elena?

- Przewodniczka, która już wczoraj towarzyszyła mi podczas poszukiwań Rodrigueza.

Maria-Elena Rivas znalazła handlarza warzyw w dzielnicy Ribera, położonej niedaleko portu części miasta z niezliczonymi sklepikami, zamkniętej dla ruchu samochodowego. Żeby niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi, Gropius uznał, że będzie lepiej, jeśli Francesca zostanie w hotelu, a on poszuka Jimeneza tylko z Marią-Eleną jako tłumaczką.

Hernán Jimenez był niewysokim, uprzejmym mężczyzną o ciemnych, przerzedzonych włosach. Kiedy usłyszał, że Gropius pyta o właściciela „In Nomine Domini”, twarz mu spoważniała, spojrzał obojętnie i zapytał:

- Pan jest z policji?

- Nie, skąd to panu przyszło do głowy? - odparł Gropius. - Szukam mojego dobrego znajomego nazwiskiem Rodriguez. Przypuszczam, że przebywa właśnie na tym statku.

- Czemu pan tam nie pójdzie i nie zapyta?

- Tamci ludzie nie są szczególnie skłonni do udzielania informacji.

Na to Jimenez się zaśmiał i powiedział:

- To się pan wiele nie pomylił, panie Gropius. Oni wszyscy są trochę dziwaczni, ubierają się na biało i są wegetarianami, co mnie akurat bardzo cieszy. Pan mnie rozumie. Co mi się już mniej podoba, to fakt, że wszyscy są trochę zбочeni, rozumie pan. Rzadko można kóregoś z nich zobaczyć. Ale raz pod pokładem natknąłem się na przerażającą postać, mężczyznę wielkości szafy, który miał odsłoniętą twarz. Kiedy mnie zobaczył, odwrócił się i zniknął w jednej z licznych kabin.

- Ilu ludzi jest na pokładzie „In Nomine Domini”?

- Trudno powiedzieć. Sądząc po moich dostawach, stu do stu pięćdziesięciu.

- A dlaczego pan pytał, czy jestem z policji, señor Jimenez?

- Dlaczego? - Handlarz wzruszył ramionami. - Coś z tymi ludźmi jest nie tak. Nie tolerują kobiet, nie znoszą, gdy zadaje się im pytania, nie mają imion. Tylko pieniądze, o tak - pieniędzy mają pod dostatkiem. Za każdą dostawę płacą gotówką. A po dwóch lub trzech dniach postoju w porcie statek znika znów na pół miesiąca.

- Ale przecież zastanawiał się pan, komu sprzedaje swoje warzywa?

- A tam! - zirytował się Jimenez. - Tu, w sklepie, także nie pytam o zajęcie czy wyznanie, kiedy sprzedaję komuś kilogram pomidorów. Ale myślę, że chodzi tutaj o jakąś sektę. A teraz pan wybacz, muszę wieczorem dostarczyć na pokład jeszcze jedną dostawę. Jutro rano statek ma odpłynąć.

Statek i jego pasażerowie przyciągali Gropiusa z jakąś magiczną siłą. Głos wewnętrzny mówił mu, żeby przyjrzeć się dokładniej „In Nomine Domini”. Ale jak?

Szli już ulicą Sombrières, żeby przy Via Laietana wsiąść do taksówki, kiedy Gropius nagle wpadł na pewien pomysł i wyjaśnił tłumaczce, że muszą jeszcze wrócić do Jimeneza.

Handlarz warzyw nawet się nie zdziwił, kiedy Gropius i Maria-Elena znów się pojawili, i spokojnie wysłuchał prośby Gregora.

- No, no - powiedział. - Chce mi pan pomóc przy rozładunku, niezła myśl. Boję się tylko, że strażnicy nabiorą podejrzeń, kiedy zjawi się pan tam w tym swoim eleganckim ubraniu.

- Oczywiście dostosuję ubiór do charakteru zadania - zapewnił Gropius. - Kiedy ruszamy?

- Niech pan przyjdzie tutaj o siedemnastej - zarządził Jimenez, którego cała sprawa nawet bawiła. - Ale będzie lepiej, jeśli zjawi się pan sam.

Nie było łatwo przekonać Francescę, żeby została w hotelu. Po wszystkim, co już przeżyła z Rodriguezem, niepokoiła się i nie chciała Gregora puścić samego. Wreszcie zrozumiała, że raczej nie udałoby się im dostać na statek we dwójkę, a ryzyko zdemaskowania byłoby znacznie większe.

Hernán Jimenez niemal nie rozpoznał Gropiusa, gdy ten tuż przez siedemnastą zjawił się w magazynie ubrany w niebieskie spodnie robocze i wyświechtaną kurtkę, wszystko kupione na pchlim targu Els Encants Nous przy Plaza de les Glories. Do zniszczonego ubrania nie pasowały tylko drogie, porządne buty.

Godzinę później samochód dostawczy z napisem „Verduras - Hernán Jimenez” wjechał na molo i powoli zbliżył się do zacumowanego na końcu „In Nomine Domini”. Inaczej niż przed południem, kiedy na statku nie było widać żywej duszy, teraz na pokładzie panował spory ruch, gdyż poza Jimenezem jeszcze czterech innych dostawców przywiozło swoje towary.

Gropius ocenił długość statku na pięćdziesiąt metrów. Poza górnym pokładem były dwa pokłady dolne, z małymi okrągłymi bulajami, z których połowa była oszklona nieprzeźroczystymi szybami albo zamalowana białą farbą. Gregorowi rzuciły się w oczy przede wszystkim liczne anteny,

w tym satelitarna nad mostkiem kapitańskim, które wyraźnie kontrastowały z niemal zabytkowym wyglądem okrętu.

Trap był pilnie strzeżony i kiedy Gropius chciał wnieść na pokład pierwszą skrzynkę ogórków, został dokładnie zrewidowany. Przejrzano także zawartość skrzynki. Również Jimenez, choć znany strażnikom, mógł przejść dopiero po rewizji osobistej.

Luk towarowy we wnętrzu statku był ciasny, za nim zaś wylaniała się mroczna platforma, z której na prawo i lewo prowadziły dwa korytarze: na dziób i na rufę.

— Tajemnicze — stwierdził Jimenez, pchając przed sobą wózek z trzema skrzynkami warzyw ustawionymi jedna na drugiej. Gropius szedł za nim, niosąc skrzynkę na lewym ramieniu, w sposób, jaki podpatrzył u innych robotników portowych. Duszne powietrze, odór ropy do silników diesla i hałas prądnic tworzyły atmosferę jak ze złego snu.

Chłodnie i magazyny zapasów znajdowały się na dziobie statku i było w nich dość miejsca na żywność, której wystarczyłoby dla setki pasażerów i załogi na przeżycie kilku miesięcy. Kilkanaście razy Gropius i Jimenez pokonali drogę od luku towarowego do tej wielkiej spiżarni. Gregor zapamiętał każde mijane drzwi, a otwierając kilkoro z nich, uzyskał ogólny wgląd w rozkład pomieszczeń.

Również pod pokładem był uzbrojony strażnik w czarnym uniformie, który swoje zadanie traktował jednak mniej poważnie niż wartownicy przy trapie. Widząc to, Gropius ułożył sobie plan, który wprowadził w życie, zanim jeszcze ostatni ładunek dotarł do celu.

Niezauważalnie dla Jimeneza zniknął w pralni położonej w końcu korytarza. Leżały tam stosy białych ręczników, obrusów, pościeli i ubrań. Szary wór na brudną bieliznę był wypełniony tylko w połowie i Gregor wykorzystał okazję, żeby się w nim ukryć.

Później nie był w stanie powiedzieć jak długo siedział schowany w tym worze. Zdawało mu się nawet, że słyszy wołanie Jimeneza. Ośmielił się opuścić to dobrowolne więzienie dopiero wtedy, kiedy na statku rozległo się głośne dudnienie i zagłuszyło pomruk prądnic.

Przez jeden z trzech iluminatorów, pomalowanych od zewnątrz farbą olejną, zdołał niewyraźnie dostrzec, że światła portowego molo są w ruchu. „Przecież to niemożliwe”- pomyślał zaniepokojony. Jimenez zapewnił, że statek odpływa dopiero jutro. Gropius bezskutecznie próbował

otworzyć okno. Bulaje były jednak zanitowane. Siedział w pułapce!

Głosy w korytarzu zrobiły się donośniejsze. „Co robić?”. Żeby od razu nie być rozpoznany jako pasażer na gapę, Gropius pozbył się ubrania i włożył na siebie białe spodnie oraz kurtkę przypominającą fartuch - takich ubrań było w pralni najwięcej. Później uchylił drzwi i wyjrzał na korytarz.

Gregor nie zastanawiał się nad tym, jak powinien zareagować, gdyby kogoś spotkał. Wiedział tylko jedno: chce opuścić pokład tego przekłętego statku!

Niemal bez tchu, czujnie rozglądając się na wszystkie strony, dotarł do drewnianych schodków prowadzących na pokład. Na szczęście pokład dziobowy tonął w półmroku. Pod osłoną kajuty Gropius starał się zorientować w sytuacji. Statek oddalił się już od nabrzeża o pięćset metrów i wziął kurs na południe. W innych okolicznościach profesor zachwyciłby się widokiem oświetlonych statków i świecących latarni przy nabrzeżnej promenadzie, teraz jednak nie miał ochoty podziwiać wieczornej panoramy miasta. Wahał się, czy zaryzykować skok do wody i próbować dopłynąć do brzegu, ale kiedy wychylił się przez reling i przyjrzał wzburzonym falom, natychmiast porzucił tę myśl.

Jak odurzony, niezdolny do podjęcia decyzji, Gropius chwiejnie przemieszczał się wzdłuż relingu w kierunku pokładu rufowego. Na śródokręciu, tuż za mostkiem kapitańskim, świeciły jasnym światłem okna jednej z kajut. Na czworakach przeczołgał się pod balustradą i niezauważony dotarł do pokładu rufowego, gdzie przysiadł na zwoju liny grubości ręki. Zrozpaczony ukrył twarz w dłoniach.

„Dawałeś już sobie radę w innych sytuacjach bez wyjścia”- próbował się pocieszyć, ale skończyło się na próbie. W rzeczywistości okropnie się bał, tak samo jak wtedy w samotnym domostwie w okolicach Asti. Łatwo mógł sobie wyobrazić, jak potraktują go ci ludzie, a pozbycie się ciała nigdzie nie jest tak proste, jak na otwartym morzu.

Gropius nie miał pojęcia, dokąd płynie „In Nomine Domini”, i właściwie było mu to obojętne. Wtedy usłyszał krzyk dobiegający z wnętrza kajuty. Pod osłoną szalupy ratunkowej podkradł się pod okno kajuty i zajął do środka.

To co zobaczył, było niesamowite i jednocześnie groźne. Na czymś w rodzaju tronu z wysokim oparciem siedział potwornie oszpecony mężczyzna

w białym stroju. Twarz miał zniekształconą przez blizny i oparzenia. Jego szata przypominała sutannę i była zapięta na guziczki od szyi aż do stóp. W niewielkiej odległości na drewnianym stołku klęczał pólnagi nieszczęśnik, którego tułów był naznaczony szramami i krwawymi ranami. Człowiek ten miał ręce skute kajdankami. Mężczyzna w czarnym ubraniu okładał biedaka pejcem o krótkim trzonku, do którego były przymocowane żelazne gwiazdki. Działo się to bez widocznej agresji, jakby wszyscy uczestnicy tego ponurego przedstawienia zgadzali się na taki jego przebieg.

Po kilku minutach tortura się skończyła - człowiek w białej szacie wstał i prawą ręką uczynił znak krzyża, wtedy ubrany na czarno oprawca wyprowadził swoją ofiarę z kajuty. Jednocześnie nieszczęśnik ten, niski, krępy mężczyzna, pokazał oblicze, a chociaż kosmyki długich ciemnych włosów spadały mu na twarz, Gropius rozpoznał go natychmiast. Był to Ramon Rodriguez.

Gropius poczuł się zdezorientowany. Rodriguez! Dotychczas uważał tego mężczyznę za niebezpiecznego, teraz jednak zrobiło mu się go żal.

Światła na horyzoncie już dawno zniknęły, a „In Nomine Domini” wciąż płynął z połową mocy. Gropius rozważał, jak przetrwa noc. Najbezpieczniejsze wydały mu się przednie szalupy ratunkowe - łącznie było ich dziesięć - zaczął więc przy pierwszej łodzi rozsnurowywać brezent. Ryzyko, że ktoś go odkryje w szalupie, było niewielkie, w każdym razie mniejsze, niż gdyby nocował gdziekolwiek pod pokładem. Jutro się rozejrzę - pomyślał Gropius. - Za dnia”.

Twarde deski szalupy nie pozwalały mu zasnąć. Do tego dochodziła niepewność, co członkowie tej tajemniczej sekty zrobią z pasażerem na gapię, kiedy go znajdą. „A gdyby się jeszcze zorientowali, kto się do nich zakradł, wtedy - pomyślał Gropius - jego życie nie byłoby warte funta kłaków”.

„Moje ubranie!”. Kiedy niespokojnie próbował się zdrzemnąć, przypomniał sobie o ubraniu roboczym, które zostawił w pralni. Gdyby je znalaziono, wówczas na pewno wszczęto by alarm i rozpoczęto poszukiwanie intruza. Trzeba je zabrać.

Kajuta, w której odbyło się ponure przedstawienie, teraz była pogrążona w mroku. Gropius przekradł się na rufę tą samą drogą, jaką wcześniej przyszedł. W pralni znalazł porzucone ubranie robocze - tam, gdzie

je zostawił. Szybko zwinął je w kłębek i ruszył z powrotem, kiedy zza drzwi jednej z kajut dobiegł go odgłos przypominający płacz. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi uchylił te drzwi i zajrzał do środka. Poraziło go jasne światło.

W odróżnieniu od oszczędnie oświetlonego korytarza, cela, która się przed nim pojawiła, była dosłownie zalana światłem. Na podłodze siedział skamlący Ramon Rodriguez, oparty plecami o zakrwawioną ścianę kabiny. Prawą nogę miał zakutą w kajdany. Żelazny łańcuch pozwalał mu na swobodę ruchu w promieniu niecałych dwóch metrów. Gropius zamknął za sobą drzwi.

Rodriguez rzucił Gropiusowi apatyczne spojrzenie, po czym znów zapatrzył się przed siebie. Z plastikowego wiadra stojącego w kącie unosił się odrażający smród. Na talerzu na podłodze leżał stary chleb.

- Pana najmniej się tutaj spodziewałem - jęknął nagle Rodriguez, nie pod nosząc wzroku. Głos miał bardzo osłabiony. - Jak pan się dostał na statek?

Gropius zignorował pytanie.

- Co się tu właściwie dzieje? Dlaczego panu to robią?

- Oni mnie zabiją - wyjąkał mężczyzna. - Jutro, pojutrze, o ile wcześniej sam nie zdechnę!

Po torsie Rodrigueza spływała lepka mieszanina potu i krwi. Przetarł oczy ręką. Potem ciągnął:

- Nie czyniłem tego z własnej woli, musi pan wiedzieć. Ale kiedy się zorientowałem, co tu się wyrabia, było już za późno.

- Czego nie czynił pan z własnej woli? - ostrożnie zagadnął Gropius.

- Nie śledziłem pana dzień i noc. Takie było polecenie od wyższych władz, rozumie pan. Kto wstąpi do tego zakonu, ten nie ma już powrotu do normalnego życia. Dostajesz polecenie, a jeśli nie trzymasz się reguł, to znaczy, że przegrałeś swoje życie.

- O jakim zakonie pan mówi?

- O zakonie In Nomine Domini. IND. Nie wiedział pan?

- Nie, nie wiedziałem.

- To jak pan tutaj trafił, profesorze Gropius? - Rodriguez znużony podniósł głowę.

- Tak, to ja. Ale żeby odpowiedzieć na pańskie pytanie, trzeba by wiele czasu. Niech pan lepiej opowie, jak się pan znalazł w tej przerażającej sytuacji. Być może będę mógł panu pomóc.

- Pan mnie? Dlaczego miałby pan to robić? Po wszystkim, co się stało? Ale ostrzegałem pana wtedy w Berlinie, pamięta pan? Dlaczego pan nie zrezygnował?

- Wtedy by mnie tu nie było!

- Jestem pewien, że tak byłoby lepiej dla pana. A tak w ogóle to dlaczego pan jest jeszcze na wolności?

- Bo oficjalnie mnie tu nie ma. Jestem, że tak powiem, pasażerem na gapę.

- Chce pan przez to powiedzieć, że niezauważony dostał się pan na statek?

Gropius przytaknął.

- Nigdy się pan nie poddaje - stwierdził Rodriguez z uznaniem.

- Nie wtedy, kiedy chodzi o mój honor. Ale, mówiąc szczerze, również ja nie jestem tutaj z własnej woli. Zakradłem się na pokład „In Nomine Domini”, żeby się więcej dowiedzieć o ludziach kierujących tym zakonem, i nagle zauważyłem, że statek odpływa. Teraz zaś, prawdę powiedziawszy, boję się jak diabli. Dokąd właściwie płyniemy?

- Dokąd? Dokąd!? To obojętne. Statek nigdzie nie zawija do portu i tak błądzi po zachodnim Morzu Śródziemnym, jak „Latający Holender”. Świetny pomysł, żeby uciec od wszelkich poszukiwań, wszelkich przepisów prawnych i wszelkich władz podatkowych. Nie sądzi pan?

Rodriguez kiwnął na Gropiusa palcem, żeby ten podszedł, i wyszeptał:

- Dwoje drzwi dalej znajduje się skarbiec, tak stary jak ten statek. Znajduje się w nim pięćdziesiąt milionów euro. Zakon nie ma bowiem konta bankowego. Oficjalnie w ogóle nie ma tego zakonu, rozumie pan?

W innej sytuacji Gropius miałby wątpliwości, czy Rodriguez się nie przechwala, kiedy jednak przyjrzał się temu umęczonemu człowiekowi, zachowującemu się tak, jakby już zamknął swoje życie, uznał jego opowieść za prawdziwą.

- A skąd pochodzą tak ogromne pieniądze?

- Właśnie. Na świecie istnieje tylko jedna instytucja, która może niepostrzeżenie obracać takimi pieniędzmi, i jest to Watykan.

- Ale przecież Watykan nie finansuje tego zakonu z miłości bliźniego!

- Z miłości bliźniego? Proszę mnie nie rozśmieszać! Nie, czyni to, bo tak mu podpowiada instynkt samozachowawczy! Sekretarz stanu kardynał

Calvi sądził do niedawna, że zakon In Nomine Domini dysponuje aktami Golgoty i może dostarczyć dowodu, że do Pana naszego Jezusa Chrystusa należą szczątki, które jeszcze do niedawna spoczywały w kamiennej skrzyni pod murami Jerozolimy.

- A gdzie naprawdę znajdują się te akta Golgoty?

- Akurat pan o to pyta? - Rodriguez przyjrzał mu się nieufnie. - Mazara twierdzi, że to pan po śmierci Schlesingera zdobył akta, żeby po raz drugi zainkasować pieniądze.

- Dlaczego właśnie ja?

- Jest pan jedyną osobą, która była powiązana ze wszystkimi wtajemniczonymi.

- Ale ja nie mam tych akt. Być może Schlesinger zabrał je ze sobą na tamten świat.

- Bóg to wie, ale i On miałby prawo wątpić. Schlesinger to był szczywany lis. Sprzedał „Jego Świątobliwości” Giuseppe Mazarze niepełne dowody swojego odkrycia, pewnie z zamiarem pozostania przy życiu. Po ujawnieniu wszystkich dowodów, tak pewnie przypuszczał, zostałby po prostu zabity.

Gropius spojrzał zdezorientowany.

- Kim u diabła jest Giuseppe Mazara?

- Poprzednikiem sekretarza stanu Paola Calviego. Calvi i Mazara byli członkami Kurii Rzymskiej i stali się zaciętymi wrogami. Calvi zazdrościł Mazarze stanowiska. Było to powszechnie wiadome. Uważał, że sam byłby lepszym sekretarzem stanu, i nieraz mówił, że Mazara to niedojda i tylko przynosi Kościołowi szkodę. Pewnego dnia, podczas jazdy z Castel Gandolfo do Rzymu, służbowa limuzyna Mazary wpadła w poślizg, uderzyła w drzewo i stanęła w płomieniach. Mazara o włos uniknął śmierci, ale został okropnie poparzony. Musiał zrezygnować ze stanowiska. Ostatecznie zniknął z Watykanu i ponownie pojawił się rok później, szantażując swojego następcę, Paola Calviego. Od tamtej pory Mazara ma Calviego właściwie w rękę. Rozumie pan teraz, dlaczego Mazara poruszył niebo i ziemię, żeby wpadły mu w ręce akta Schlesingera?

- Oczywiście. Ale ten Mazara...

- Święta racja, to wariat! — Rodriguez nie pozwolił Gropiusowi dokończyć. - Z pewnością kiedyś był bardzo mądry, ale od tamtego wypadku ujawnia wyraźne oznaki obłędu. Jako założyciel zakonu chce, żeby zwracano

się do niego „Wasza Świątobliwość”. Dawniej Mazara było ponoć człowiekiem o otwartym umyśle i liberalnych poglądach, z czasem jego charakter zamienił się we własne przeciwieństwo. Jego Świątobliwość” stał się ultrakonserwatywny, zacofany, sadystyczny. Twierdzi, że przyjmuje grzesznych księży i sprowadza ich z powrotem na słuszną drogę. W rzeczywistości wykorzystuje ich do zaspokojenia swoich niskich instynktów i każe im „w imię Pańskie” torturować i mordować.

- Grzeszni księży? Musi mi pan to wyjaśnić.

Rodriguez wzruszył ramionami.

- Ludzie tacy jak ja. Byłem proboszczem w wiosce niedaleko Granolers, aż na mojej drodze stanęła pewna nauczycielka, boże stworzenie pełne wdzięku, pełne uczucia i miłości w dużych piersiach, rozumie pan. Nie chciałem się z nią rozstawać, dlatego objęto mnie bezlitosną procedurą, która zakończyła się zakazem pełnienia posługi. Z czego ma żyć ksiądz usunięty z funkcji?

- Rozumiem. A później popadł pan w niełaskę u Jego Świątobliwości”.

- Tak było. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Francescę Colellę, przypomniałem sobie o mojej wielkiej miłości. Tamta opuściła mnie już dawno temu, a pani Colella była jej dokładnym odbiciem. Nieporadnie próbowałem się do niej zalecać, na próżno jednak. Upiłem się i dopiero współbracia musieli mnie przywołać do porządku. Mazara nie uznaje żadnych odszczepieńców. Uważa, że życie to kara.

- Kara za co?

- Za grzeszność człowieka. Człowiek, powiada Mazara, nie jest na świecie dla przyjemności, lecz żeby wypełniać wolę Boga. Radość życia nie jest zgodna z wolą Bożą. Sztuczne przedłużanie życia ludzkiego jest zbrodnią. Każdemu jest pisane, kiedy ma nadejść jego ostatnia godzina. Dlatego Mazara odrzuca transfuzje krwi, przeszczepy narządów i inne sposoby przedłużania życia. Wszystko to, powiada Mazara, jest lekceważeniem woli Boga.

- Ma więc pan też na sumieniu Constantina, męża Franceski?

- Nie ja osobiście, lecz zakon In Nomine Domini.

- A Sheba Yadin?

- Chciała szantażować zakon wykorzystując wiedzę, którą powierzył jej Schlesinger. Nie inaczej było z de Luçą.

Gropius milczał w niewypowiedzianym gniewie. Po chwili zapytał:

- A Arno Schlesinger? Kto jego uśmiercił?
- Tak, Schlesinger! Tylko o włos uniknął śmierci w zamachu w Jerozolimie. Może zresztą wcale nie miał wtedy zginąć. Watykanowi chodziło przede wszystkim o to, żeby zniszczyć śmiertelne szczątki Pana naszego Jezusa Chrystusa.

- Watykanowi? Chce pan przez to powiedzieć, że to nie pańska organizacja, tylko Watykan przeprowadził zamach w Jerozolimie?

- Otóż to. Nie można całego zła tego świata przypisywać zakonowi In Nomine Domini. Istnieje dość złych ludzi. Tak czy inaczej sekretarz stanu kardynał Paolo Calvi, względnie jego sekretarz Crucitti, zlecił bojownikom palestyńskim załatwienie „problemu” za pomocą wybuchowego plastiku. Plan dość głupi, jak się miało okazać.

- Bo Schlesinger przeżył?

- Nie tylko dlatego. Skąd niby Calvi wiedział, czy Schlesinger nie ukrył gdzieś zebranych dowodów, żeby później je opublikować? Bo oczywiście Schlesinger już wcześniej kilka kości odłożył na bok i przechowywał je w nieznanym miejscu.

- Schlesingera na sumieniu mają więc ostatecznie Calvi i Crucitti?

Rodriguez gwałtownie pokręcił głową.

- Dlaczego miałbym kłamać? Zakon In Nomine Domini ma już członków w całej Europie. Są to byli księża katoliccy, którzy walczą o przeżycie. Są ślepo posłuszni Mazarze, choć nigdy go nie widzieli, choć nie wiedzą, gdzie on w ogóle przebywa. Żeby dowieść swojej gotowości do pokuty, robią nawet rzeczy, których nikt im nie zlecał.

Mówiąc to, Rodriguez jęknął, Gropius zaś dostrzegł, że skatowany kapłan słabnie.

- A teraz niech mnie pan zostawi w spokoju. Powiedziałem już wszystko.

Rodriguez bez życia, z oczami tępo skierowanymi przed siebie, zapatrzył się w przestrzeń.

Ktoś przeszedł korytarzem, najpierw w jedną, później w drugą stronę. Gropius poczuł, że musi odetchnąć świeżym powietrzem, i ostrożnie otworzył drzwi kajuty. Ze zwiniętym ubraniem roboczym pod pachą dotarł do schodków prowadzących na górny pokład.

Było już po północy. Gregor głęboko zaciągnął się chłodną morską bryzą. Opowieść Rodrigueza wstrząsnęła nim, spychając na dalszy plan

sytuację bez wyjścia, w której się znalazł. Na czworakach dotarł do szalupy ratunkowej i wślizgnął się pod brezent.

Mimo że morze było spokojne, Gropius nie mógł zasnąć. Za dużo myśli przelatywało mu przez głowę. Na koniec przeważała jedna: „Jak zareagowałyby ten obłąkany Mazara, gdybym się ujawnił?”. Przekonanie Mazary, że to Gropius ma w swoim posiadaniu akta Golgoty, chroni go przed najgorszym. Teraz jednak, skoro Mazara i jego zakonnicy zostali zdekonspirowani, a on odważył się wejść do jaskini lwa, musiał się liczyć z tym, że „Jego Świątobliwość” zareaguje nieprzewidzianie. Gropius łamał sobie głowę, szukając jakiegoś rozwiązania, ale niczego nie mógł wymyślić.

Trwożliwie wsłuchiwał się w monotonię obcych odgłosów, gdy nagle usłyszał na pokładzie szybkie kroki. Ostrożnie uniósł brezent. W ciemności dostrzegł trzech mężczyzn w kombinezonach, którzy wykonywali jakieś trudne do określenia działania w różnych miejscach statku. Czwarci, wysoki i chudy, stał na wachcie na dziobie, z pistoletem maszynowym gotowym do strzału.

Początkowo Gropius nie znalazł żadnego wyjaśnienia dla zachowania się tych mężczyzn, którzy zajmowali się swoimi zadaniami z taką rutyną, jakby robili to już setki razy. Stłumiony, ledwie słyszalny pomruk kazał Gregorowi skierować uwagę na ciemne morze, skąd dochodził ten niezidentyfikowany odgłos. Przez chwilę wydawało mu się, że rozpoznaje zarys eleganckiej motorówki płynącej obok „In Nomine Domini” w odległości dwustu metrów. „Co to ma znaczyć?”

Im dłużej trwało to wszystko, tym bardziej niespokojny robił się mężczyzna z pistoletem maszynowym. W końcu, kołyszając nerwowo bronią, zaczął chodzić tam i z powrotem przed nadbudówką z kajutami. W odległości kilku kroków od kryjówki Gropiusa zatrzymał się i stłumionym szeptem wydał jednemu ze swoich ludzi niezrozumiałe polecenie. Następnie gwałtownie się odwrócił. Gropius widział, jak lufa pistoletu celuje prosto w niego. Właściwie człowiek ten mógł go w ogóle nie zauważyć, ale Gropius w panicznym strachu wyszedł z podniesionymi rękami z kryjówki. Usłyszał szcęk odbezpieczanej broni. Z zamkniętymi oczami czekał na strzał w pierś. Stał nieruchomo, jak skamieniały, niezdolny, żeby cokolwiek poczuć. „To koniec” - pomyślał.

„Dlaczego wciąż nie naciska spustu?”- zastanawiał się Gropius. Czekał, jak mu się wydawało, całą wieczność, chciał, żeby wreszcie było już po wszystkim. „Dlaczego nie strzela?”- tłukło mu się po głowie.

W końcu Gropius niepewnie otworzył oczy i spojrzął na znajomą twarz.

- Prasskov, to ty?

Przez długą chwilę dawni znajomi stali naprzeciw siebie. Prasskov był zaskoczony nie mniej niż Gropius, który pierwszy odzyskał mowę.

- Co tu się właściwie dzieje? - zapytał słabiutkim szeptem. Miał na dzieję, że Prasskov nie zauważy jego drżenia na całym ciele. — Sądziłem, że jesteś chirurgiem plastycznym, a nie gangsterem - dołał oliwy do ognia.

Tymczasem również Prasskov otrząsnął się z tego na pozór nierealnego spotkania. Odezwał się cicho:

- Jak widzisz, jedno drugiego nie wyklucza. Ale co ty masz wspólnego z tymi braciszkami?

- Nic, zupełnie nic - odparł Gropius. - Chciałem tylko poznać zakon, który ma tak wielu ludzi na sumieniu.

Prasskov uśmiechnął się złośliwie.

- W takim razie możemy to zrobić wspólnie! Jesteśmy tutaj po to, aby działaniom tych ludzi raz na zawsze położyć kres. Braciszkwowie szkodzą interesom.

- Co to znaczy?

Z pistoletem maszynowym gotowym do strzału Prasskov odwrócił się i dokładnie rozejrzał po pokładzie. W końcu spokojnym głosem odpowiedział:

- Liczba transplantacji dramatycznie spadła. Ludzie boją się skażonych narządów. Wielu potencjalnych biorców narządów twierdzi, że woli umrzeć śmiercią naturalną niż z powodu skażonego obcego organu. To zaś oznacza obniżone zapotrzebowanie na narządy. Z kolei mniejsze za potrzebowanie powoduje, że na wolnym rynku spadają ceny. Rachunek jest prosty. I dlatego za kilka minut ten statek, zniszczony sześcioma ładunkami wybuchowymi, pograży się w morzu.

- Ładunkami wybuchowymi? Twoi ludzie umieścili tutaj materiał wybuchowy?

- Zgadłeś, kolego. Po tych zakonnikach nikt nie uroni nawet jednej łzy. A moi chłopcy to zawodowcy, szkoleni jeszcze w KGB.

Gropius uważnie popatrzył na Prasskova. Mimo ciemności dostrzegł coś szatańskiego w jego wyrazie twarzy i przysłała mu do głowy pewna myśl.

- Prasskov, czy mogło być tak, że paczka z materiałem wybuchowym dla Felicji Schlesinger, paczka, która o mało mnie nie zabiła, była od ciebie?

Przez chwilę Prasskov wyglądał niepewnie, po czym odpowiedział drwiąco:

- Co ty sobie wyobrażasz, Gropius? Czegoś takiego nigdy bym nie zrobił. Chociaż zasłużyłeś sobie. W końcu zepsułeś mi interes.

Gropius podniósł obie pięści i jak szalony rzucił się na Prasskova.

- Ty nędzna świni! - wrzasnął, wyprowadzony z równowagi.

Prasskov ze zblazowaną miną odsunął się na bok i nakazał dwóm swoim ludziom, żeby uspokoiли szalejącego Gregora. Ci wykręcili mu ręce za plecami.

- Posłuchaj, gwiazdorze boksu! - powiedział Prasskov z uniesionym palcem wskazującym. - Zanim napadniesz na niewinnych ludzi, powinieś sobie przypomnieć, że kiedyś razem graliśmy w golfa.

Cichym gwizdnięciem zebrał ludzi, z których jeden dał sygnał latarką. Motorówka podpłynęła, a Prasskov i jego towarzysze opuścili się na linie przywiązanej do relingu. Zanim Gropius zdążył zareagować, szybka łódź odpłynęła.

Profesor był bliski omdlenia. Zamknął oczy. „Już po wszystkim - pomyślał. - W każdej chwili to nastąpi, ten ogromny huk”. Po chwili jednak przestał myśleć, nic już nie czuł, znalazł się w stanie zawieszenia.

Tym sposobem nie usłyszał także odgłosu silnika motorówki, która ponownie podpłynęła od zachodu. Dopiero kiedy ktoś krzyknął jego nazwisko, otrząsnął się z szoku i otworzył oczy.

- Gropius!

Spojrzał w dół przez reling.

Prasskov stał na rufie motorówki i gwałtownie wymachiwał rękami.

- Człowieku, skacz! To twoja ostatnia szansa.

Na rufie „In Nomine Domini” zapaliły się światła. Hałas obudził załogę.

Gropius długo się nie zastanawiał, przekroczył reling i skoczył do motorówki. Poczuł ból w prawej nodze, ale kiedy usłyszał huczące silniki, zabrzmiało to jak wybawienie.

Motorówka ostro pruć dziobem fale, wprawnie kierowana przez Prasskova. Gropius chwycił kurczowo tylną ławkę. Hałas silnika uniemożliwił rozmowę.

Nagle mężczyzna stojący obok Prasskova się odwrócił. W dłoniach trzymał niewielkie urządzenie z anteną. Wydawał się zupełnie spokojny. Prasskov krzyknął coś do niego, ten zaś wykonał szybki ruch.

W tej samej chwili potężna eksplozja rozjaśniła morze aż po horyzont. Przerażony Gropius patrzył na drżącą w oddali kulę ognia. Płomienie strzelały w niebo.

Prasskov wydał z siebie okrzyk zwycięzcy, któremu udał się wspaniały wyczyn, i zwiększył prędkość, z jaką płynęła motorówka. Płomienie za nimi zmieniły barwę - jasna żółć przeszła w głęboką czerwień, jak w bryle rozżarzonego żelaza. Po kilku minutach - motorówka zdążyła się już oddalić o dwie, trzy mile morskie - blask płomieni został połknięty przez ciemność.

Kiedy motorówka pędziła ku nieznanemu celowi, na wschodzie zrobiła się poranna szarówka. Gregorowi huczało w skroniach od twardych uderzeń fal. Prasskov kierował łodzią, lekko pochylony. Na monitorze radaru pobłyskiwał jasnozielony obraz.

Po godzinie wyłoniło się przed nimi wybrzeże, początkowo rozmyty pasek, następnie linia o wyraźnych konturach. Barcelona.

Kiedy zbliżyli się do przystani jachtów na odległość połowy mili morskiej, Prasskov zwolnił i przekazał ster jednemu ze swoich ludzi. Następnie usiadł obok Gropiusa na tylnej ławce. Gregor nie odezwał się słowem. Nie wiedział, co Prasskov zamierza, i nie zareagował, kiedy ten chwycił go za kołnierz i wrzasnął:

- To za tamtą nędzną świnię!

Gropius poczuł uderzenie pięścią w szczękę i na chwilę stracił przytomność, kiedy jednak tyłem wpadł do lodowatej wody, szybko odzyskał świadomość.

Silniki zahuczały i motorówka popłynęła w kierunku brzegu.

Gropius nie był marnym pływakiem, ale fale i lodowata woda obezwładniły go. Spontanicznie chciał się pozbyć ubrania, uświadomił sobie jednak, że nago nie robi najlepszego wrażenia, kiedy wyjdzie zwody. Płynął więc do brzegu w ubraniu.

Mniej więcej w połowie drogi od wschodu podpłynął kuter rybacki i zabrał go na pokład. Szyper, stary Katalończyk, który znał tylko kilka

słów po angielsku, podał mu swoją komórkę. Gropius zadzwonił do Franceski.

- Gdzie jesteś? - zapytała Francesca histerycznie. — Całą noc nie zmrużyłam oka i już chciałam iść na policję.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł. - Wystarczy, że z suchym ubraniem przyjedziesz po mnie do portu jachtowego. Jakiś rybak właśnie mnie wyłowił z morza.

- Zaraz przyjadę. Gregor, wszystko w porządku?

Gropius roześmiał się głośno. Śmiał się tak, że rybak spojrzał na niego z troską.

- Tak, wszystko w porządku - odpowiedział.

ROZDZIAŁ 18

Do Monachium wrócili z Barcelony dopiero ostatnim samolotem późną nocą i wyczerpani poszli natychmiast spać. Teraz, a dochodziło już południe, siedzieli przy śniadaniu. Gropius przeglądał pocztę, która nadeszła podczas jego nieobecności.

- Mnie by to nie spotkało nawet po trzech tygodniach urlopu - zauważyła Francesca, patrząc na niego. - Tylko ważni ludzie dostają tyle poczty. Myślę...

- Co myślisz?

- Cóż, musi być miło dostawać tyle listów, informacji od ważnych ludzi, zaproszeń na różne imprezy.

- Rachunki i reklamy! - przerwał jej Gregor. - Większość nadaje się do śmieci.

Oboje się roześmiali.

Ostatnie dni bardzo ich do siebie zbliżyły.

„Moje serce to cholernie gnuśny mięsień” - pomyślał Gropius. Wiedział przecież już od dawna, że Francesca jest kobietą odpowiednią dla niego.

Po przerażających przeżyciach w Barcelonie chcieli na kilka dni pojechać w góry, żeby się odprężyć. Planowali zatrzymać się w jakimś dobrym hotelu, zanim profesor podejmie ostateczną decyzję co do przyszłości. Francesca zapowiedziała, że w najbliższym czasie nie spuści go z oka, a on wyczytał w tych słowach wszystko, tylko nie groźbę.

Porządkując pocztę, Gropius nagle znieruchomiał. Francesca dostrzegła napięcie na jego twarzy i zagadnęła ostrożnie:

- Coś poważnego?

Gregor zawahał się, po czym podał Francesce kartkę, którą właśnie wyjął z koperty. Francesca przeczytała półgłosem:

- Doktor Anatol Rauthmann i Felicia Schlesinger z okazji swoich zaręczyn zapraszają na przyjęcie, dziesiątego marca, w hotelu „Cztery Pory Roku”.

- Trochę to niespodziewane - mruknął Gregor.

Francesca oddała mu kartkę i długo na niego patrzyła.

- Kochałeś ją, prawda? Ona ciebie też.

- Kochałem? - Gropius pokręcił głową. - Czasem nieoczekiwanie losy dwojga ludzi się skrzyżują i w pewnych okolicznościach można uważać, że jest się dla siebie stworzonym. Później ze zdziwieniem się stwierdza, że człowiek zakochał się w sytuacji, a nie w osobie.

- To była właśnie taka sytuacja?

- Tak sądzę.

- Jak to w takim razie jest z nami?

Francesca spojrzała Gregorowi głęboko w oczy. Gropius wziął ją za rękę i pocałował.

- Kocham cię - powiedział cicho.

Na przyjęcie w hotelu „Cztery Pory Roku” Felicia zaprosiła pięćdziesięciu gości, głównie przyjaciół i znajomych ze środowiska marszandów i osób handlujących dziełami sztuki, a także kilku nieznanym Gropiusowi kolekcjonerów. Francesca kupiła z tej okazji u Lanvina przy Maximilianstrasse kremową, plisowaną sukienkę koktajlową z chińskiej krepy i wyglądała tak wspaniale, że prawie przyćmiła głównych bohaterów wieczoru.

Spotkanie obu kobiet przebiegło w atmosferze - zrozumiałej w tej sytuacji — rezerwy. Gregor za to ze szczerą serdecznością życzył Felicii szczęścia. Przez chwilę stali w milczeniu naprzeciw siebie, po czym on zauważył:

- Losy ludzi toczą się jednak przedziwnymi drogami.

Na co Felicia delikatnie pocałowała Gregora w policzek.

Anatol Rauthmann przytaknął jego słowom:

- Gdyby wtedy, podczas naszego pierwszego spotkania w domu Felicii, przepowiedział mi pan, że spotkamy się ponownie z okazji moich zaręczyn, pewnie uznałbym pana za obłąkanego, profesorze!

Rzucił przy tym Felicii spojrzenie pełne miłości.

Gropius się uśmiechnął. Rzeczywiście, pamiętał Rauthmanna jako zręczliwego naukowca, który twierdził, że został poślubiony nauce. Teraz stał naprzeciw niego mężczyzna pełen werwy, już bez wąsów, które tak go postarzały, ubrany w elegancki biały smoking.

- Cieszę się z pana szczęścia - powiedział Gropius. - Felicia to cudowna kobieta.

- Też tak uważam - oświadczył Rauthmann. - Oczywiście chciałby pan wiedzieć, jak to się stało, że się do siebie z Felicią zbliżyliśmy. Spędziłem u niej kilka dni, żeby przejrzeć naukową spuściznę Arna Schlesingera. Przez pierwsze trzy dni byłem bardzo skupiony na pracy, nagle jednak poczułem, że nie jestem w stanie kontynuować badań. Kiedy wyznałem Felicii moje uczucia, oznajmiła, że czuje to samo. Dostyc zwariowana historia.

Gdy Francescę otaczało pół tuzina mężczyzn, Gregor wziął Felicię na stronę i opowiedział jej, co się wydarzyło w ciągu ostatnich tygodni. Jak się jednak wydawało, sam był bardziej zaangażowany emocjonalnie w opisywane wydarzenia niż Felicia. Gropius odniósł nawet wrażenie, że ona nie bardzo mu wierzy.

- Słuchaj - powiedziała, gdy Gregor skończył. - Dla mnie sprawa Schlesingera jest już od dawna zamknięta. Ten człowiek bezczelnie mnie zdradzał, morderstwo było zaś tylko logicznym następstwem całej tej jego skrytości.

- Nigdy nie zdołasz mu wybaczyć?

- Nie. Nie człowiekowi, który mnie zdradzał przez całe cztery lata. Co z tymi pieniędzmi, z tymi dziesięcioma milionami? - zapytała wprost.

- Należą do ciebie. Ludzie, którzy mogliby zażądać ich zwrotu, spoczywają na dnie morza gdzieś między Barceloną a Majorką. Albo zostali pożarci przez rekiny.

Felicia wzniosła szampanem toast:

- Za rekiny!

- Za was - powiedział Gropius. Po czym zapytał: - Czy podczas przeglądania materiałów Schlesingera Rauthmann znalazł jakieś wskazówki dotyczące jego ciemnych interesów?

- O ile wiem, nie. Za to policja dokonała w tych dniach sensacyjnego odkrycia: znalazła samochód Schlesingera, starego citroena DS 21. Był dla niego całym światem. Arno zostawił samochód na parkingu w pobliżu kliniki. Bóg jeden wie, dlaczego. Zażądano ode mnie tysiąca trzystu euro zaległej opłaty parkingowej. Nie zostało mi nic innego, jak zapłacić.

Gregor jednym haustem opróżnił swój kieliszek.

- Gdzie teraz znajduje się ten samochód?

Felicia zaśmiała się drwiąco:

- W prasie na złomowisku skurczył się do rozmiarów metr na metr. Nie mogłam już patrzeć na tego grata.

Gropiusowi przyszedł nagle do głowy pewien pomysł.

- Kiedy to było? - zapytał cicho, ale stanowczo. - To znaczy, kiedy zabrano citroena?

- Nie wiem, przedwczoraj, może trzy dni temu. Wóz zabrano z parkingu prosto do złomowania. Wszystko razem kosztowało jeszcze pięćset euro. Przysięgam, Gregor, były to ostatnie pieniądze, jakie wydałam na Schlesingera!

- Dokąd zabrano samochód? - w głosie Gropiusa brzmiało zdenerwowanie.

- Dokąd? Dokąd! - Felicia zareagowała zniecierpliwieniem. - Gdzieś na wschód miasta. Adebar czy coś takiego. Dlaczego pytasz? Samochód jest całkowicie bezwartościowy, taki sam trup jak Schlesinger.

- Czy była to firma Adebar-Altmetall?

- Tak, tak się nazywała. Nie miej mi tego za złe, ale w takim dniu jak dzisiaj, są przyjemniejsze tematy do rozmowy niż złomowanie aut. Gropius przeprosił ją i udał się na poszukiwanie Franceski.

Następnego ranka Gropius już o świcie zerwał się z łóżka. Z obawy, że nie ma racji i tylko się skompromituje, nie powiedział Francesce o swoich planach. Oczywiście zauważyła ten wewnętrzny niepokój, który go nagle ogarnął poprzedniego wieczoru, ale nie chciała wypytywać.

Jechał teraz szosą Wasserburger w kierunku wschodnim. Miał nadzieję, że na złomowisku jeszcze nie zdążyli się zająć citroenem Schlesingera. Być może zresztą jechał tam na próżno. Prześladowała go tylko jedna myśl, równie absurdalna jak większość tego, co przeżył w ciągu ostatnich miesięcy.

O godzinie siódmej, w lekkim deszczu, który właśnie się rozpadał, Gropius wjechał na teren złomowiska, mijając żelazną bramę z firmowym szyldem Adebar-Altmetall. Za nią, po obu stronach nieutwardzonej drogi, piętrzyły się wraki różnych pojazdów. Deszcz pogłębiał ponury efekt. Na końcu drogi była widoczna ogromna prasa do zgniatania złomu, przed nią zaś hałasował podnośnik na czterech pajęczych nogach, z wysięgnikiem jak ośmiornica. Był tak wielki, że z łatwością chwycił samochód, podnosił w powietrze i jednym zamachem, jakby z niesmakiem, wrzucał wrak do prasy.

Gropius zatrzymał się i wysiadł. Plac był pusty. Jak okiem sięgnąć, nie było nikogo widać, tylko wysoko w górze, w kabynie ogromnego podnośnika, kiedy akurat wycieraczka przetarła szybę, można było dostrzec twarz operatora.

Oslaniając oczy dłonią, Gropius szukał należącego do Schlesingera citroena DS 21, który jak sądził, będzie łatwy do odnalezienia spośród setki innych starych samochodów. Kiedy przyglądał się czekającym w kolejce na mało chwalebny koniec wrakom, spojrzął w niebo, gdzie akurat wysoko ponad jego głową kołysał się nad prasą samochód.

To był ten citroen!

Gropius krzyknął z nadzieją, że operator podnośnika go usłyszy. On jednak twardo robił swoje. Gropius zaczął wymachiwać rękami i podskakiwać, pokazując ręką w kierunku auta na wysięgniku. Na próżno. W panice Gregor chwycił leżący na ziemi odłamek metalu i rzucił nim w kabinę operatora. Nawet jego samego przeraził huk, jaki tym wywołał. Szyba kabiny się roztrzaskała i spadła na ziemię jak deszcz tysięcy lodowych odłamków. Przestraszony operator wychylił się z kabiny. Nie rozumiał, co się stało. Na wysięgniku dalej kołysał się citroen. Gropius zaczął wołać do zdumionego mężczyzny.

Operator zszedł po wąskiej żelaznej drabince, przeklinając. Gropiusowi nie było łatwo wytłumaczyć temu robotnikowi, że w samochodzie, który wisi na wysięgniku, są prawdopodobnie ważne dokumenty. Dopiero kiedy zapewnił, że pokryje wyrządzone szkody, operator zgodził się postawić citroena z powrotem na ziemi.

Chwytny podnośnik przebił się przez okna samochodu i rozplątał obicia siedzeń. „Gdzie ma tego szukać?” Schówek był pusty, niczego nie było także pod przednimi siedzeniami. Tak samo pod tylnymi. Pokrywa bagażnika

była zakleszczona. Udało się go otworzyć dopiero z użyciem łomu. Koła zapasowego nie było, a zamiast wykładziny w bagażniku leżały rozrzucone brudne strony jakiejś starej gazety. Rozczarowany Gropius już miał zrezygnować, kiedy odsunął na bok gazetę.

- Niemożliwe! - wyjąkał z niedowierzaniem do siebie. - Nie może być!

Przed nim leżał szary skoroszyt, pobrudzony i niepozorny. Krótkie spojrzenie wystarczyło i Gropius już wiedział - znalazł to, czego tak długo szukał.

Deszcz padał coraz mocniej. Gregor wręczył operatorowi wysięgnika swoją wizytówkę, żeby firma zajmująca się złomowaniem mogła się z nim skontaktować w sprawie stłuczonej szyby. Wsiadł do swojego samochodu.

Krople deszczu jak pociski uderzały w dach auta. Ich dźwięk nie pozwalał jasno myśleć. Gropius zauważył, że trzęsą mu się ręce, kiedy przetrzucał kartki skoroszytu. Od razu zwrócił uwagę na dwie analizy DNA z identycznym kodem paskowym i różnymi datami podpisane przez profesora Luciana de Luce. Poniżej umieszczono zafoliowany kawałek pożółkłego płótna, wielkości dłoni, w kształcie półkola. W kolejnym zafoliowanym opakowaniu znajdował się odłamek kości niewiele dłuższy od zapalki, z naklejką:

„Kość kulszowa - Jesus Nazarenus * 0,33”.

Kość kulszowa? Oczami wyobraźni zobaczył scenę sprzed niemal pięciu miesięcy. Otwierali wtedy z Felicią sekretną skrytkę, którą Schlesinger wynajmował w wiedeńskim banku. Jej zawartość - rzekomo podkowa z kości słoniowej - rozczarowała ich, ponieważ nadal nie mogli ruszyć z miejsca ze swoim śledztwem. Gropius zrozumiał teraz, że ta rzekoma podkowa była odłamkiem kości kulszowej Jezusa z Nazaretu. Schlesinger musiał ją zabrać, jeszcze zanim wysadzono w powietrze grobowiec w Jeruzolimie, Rodriguez też coś takiego sugerował. Kości te i pozostałości krwi na autentycznym Całunie Turyńskim wystarczały, żeby za pomocą analizy DNA dowieść ponad wszelką wątpliwość, że Jezus z Nazaretu był człowiekiem jak każdy inny.

Gropius zamknął skoroszyt. Serce biło mu jak młotem. Włączył silnik i wycieraczki. Wraki aut zaczęły przed nim falować, a ich zarysy rozplynęły się w faliste linie. Czy sprawił to deszcz płynący po przedniej szybie, czy

też jego zmysły zwariowały? Tego Gregor nie wiedział. Wrzucił bieg i ruszył.

Bardzo powoli zbliżał się do bramy wjazdowej, omijając ostrożnie kałuże i leżące na drodze odłamki złomu. To co zdarzyło się później, Gropius odczuł tak, jakby grał rolę w filmie. Gdy był już przy bramie, z naprzeciwka nadjechała limuzyna z zaciemnionymi szybami. Przejazd był ciasny i wąski, dlatego Gregor zjechał na prawo i stanął, żeby przepuścić czarnego mercedesa. Kiedy oba samochody się zrównały, limuzyna się zatrzymała. Szyba tylnego okna została opuszczona. Ciemne chmury na deszczowym niebie nie pozwoliły Gropiusowi dojrzeć pasażerów. Po wszystkim, co już przeżył, spodziewał się, że z okna wysunie się lufa pistoletu maszynowego. Zastygł jak sparaliżowany.

Zamiast jednak śmiercionośnej broni w oknie mercedesa ukazała się czarna aktówka. Czyjaś dłoń otworzyła zamki i podniosła wieko. Zdezorientowany Gropius patrzył na dwa rządki plików banknotów barwy lila, każdy banknot po pięćset euro.

Nie wiedział, jak długo tak siedział bez ruchu. Ktoś niewidzialny zamknął aktówkę z pieniędzmi i podał mu ją przez okno. Gropius opuścił szybę i wziął walizeczkę. Jak zahipnotyzowany przekazał tamtemu skoroszyt.

Dopiero jadąc szosą Wasserburger w kierunku miasta, uświadomił sobie całą wagę dokonanej transakcji. Nie żałował. Poszedł za głosem wewnętrznym.

Wróciwszy do domu, postawił walizeczkę z pieniędzmi na szafce i opowiedział Francesce o wydarzeniach na złomowisku.

- Ile ci zapłacono za te akta? - zapytała Francesca po długim namyśle.
- Nie wiem - odparł Gregor zgodnie z prawdą. Z wymuszonym uśmiechem dodał: - Przecież możesz przeliczyć!

Francesca przyniosła aktówkę i postawiła na biurku Gropiusa.

- Nigdy w życiu nie widziałam tylu pieniędzy- oświadczyła zdumiona i zaczęła liczyć pieniądze w jednym z plików.

- Ja też - powiedział Gropius.

Francesca wyjąkała:

- Mój Boże, jest dziesięć milionów.

Gregor przytaknął:

- Dość, żeby rozpocząć nowe życie.

*

Jeszcze tego samego dnia Gropius zadzwonił do Felicii.

- Przypominasz sobie naszą podróż do Wiednia? - zaczął Gregor bez wstępów.

- O tak - odparła Felicia. - To bardzo przyjemne wspomnienie. Ale tak serio, to w jakiej sprawie dzwonicz?

- W sprawie zawartości skrytki w banku!

- Co z tą skrytką?

- To nie była podkowa z kości słoniowej!

- Tylko?

- Fragment kości Jezusa z Nazaretu.

- Ach - powiedziała Felicia. Po prostu tylko „ach”, po czym nastąpiła bardzo długa przerwa. Gropius, świadom znaczenia przekazanej informacji, nie spodziewał się niczego.

Wreszcie zapytał niepewnie:

- Ale jeszcze chyba nie opróżniłaś skrytki?

- Właściwie miałam taki zamiar - odpowiedziała Felicia - ale nie miałam czasu. Co byś powiedział, gdybyś ty przejął tę skrytkę razem z zawartością? Na pewno lepiej wiesz, co z tym począć.

- Felicio, czy ty w ogóle wiesz, co mówisz?

- Oczywiście.

- Muszę cię jeszcze o czymś powiadomić. Znalazły się akta Golgoty Schlesingera. Leżały w bagażniku jego citroena.

Felicia najpierw się zaśmiała, ale zaraz spoważniała i odparła:

- Słuchaj, Gregor, nie chcę już mieć z tą sprawą nic wspólnego. Weź akta, kości i wszystko spal, albo jeszcze lepiej zamień wszystko na pieniądze. Ale mnie daj już z tym spokój. I jeszcze jedno: Anatol Rauthmann nie może się o tym dowiedzieć. Rozumiemy się?

- Tak - odpowiedział Gregor Gropius krótko.

Gregor i Francesca zastanawiali się, co powinni zrobić z dziesięcioma milionami euro. W domu nie można było zostawić tych pieniędzy, byłoby to zbyt ryzykowne. Ostatecznie postanowili zapakować pliki banknotów do pudełka i wynająć w Hypovereinsbank skrytkę, do której oboje będą mieli dostęp. Załatwiwszy tę sprawę, zjedli kolację w eleganckiej restauracji

w śródmieściu. Gregor sprawiał jednak wrażenie przygnębionego.

- Nie rozumiem cię - zagadnęła Francesca. - Przecież możesz być zadowolony z zakończenia sprawy!

- Tak sądzisz?

- Wiesz teraz, kto tak naprawdę był sprawcą tych zbrodni. Przecież tego właśnie chciałeś. A mafii handlującej narządami nawet ty nie pokonasz. Jeśli Prasskov zniknie z pola widzenia, na jego miejsce wejdzie ktoś inny

- Właściwie masz rację - odparł Gregor. - Tylko do dziś nie wiem, kto zamordował Schlesingera. Znani są tylko zleceniodawcy.

Francesca spojrzała z ukosa.

- Gregor, czyś ty zwariował, jeszcze sobie napytasz biedy! Daj już wreszcie spokój!

Po raz pierwszy Francesca zbuntowała się przeciw niemu i Gropius zaczął się zastanawiać, czy sprawa jest warta tego, żeby ryzykować dla jej rozwiązania miłość tej kobiety. Już niemal zdecydował, że zostanie przy tym, co osiągnął, a pełne wyjaśnienie zbrodni pozostawi policji, kiedy wczesnie rano, po nieprzespanej nocy, obudził go telefon.

Wolf Ingram, szef specjalnej komisji do sprawy zabójstwa Schlesingera, poinformował, że śledztwo, jak się wyraził, przybrało sensacyjny obrót. O dziewiątej trzydzięci oczekuje go przy głównym wejściu do kliniki.

Kiedy Gropius o umówionej porze zjawił się w klinice, czekali już tam na niego Ingram i dwaj policjanci - ubrani po cywilnemu, ale uzbrojeni. W kilku słowach Ingram przekazał Gropiusowi informację, że w zachodniej części Morza Śródziemnego zatonął w wyniku wybuchu statek z dwustoma osobami na pokładzie. Prawdopodobnie załoga statku, członkowie podejrzanej sekty, sami wysadzili się w powietrze. Nazwa statku brzmiała „In Nomine Domini”, w skrócie „IND”.

Gropius z trudem starał się zachować spokój.

- I ściągnął mnie pan tutaj, żeby mnie o tym poinformować?

- Oczywiście, że nie - zdenerwował się Ingram. - Pan najlepiej zna układ pomieszczeń i personel kliniki. Musi pan nam pomóc w odnalezieniu człowieka, który jest odpowiedzialny za śmierć Schlesingera.

- Ale nie sądzi pan chyba, że morderca wciąż przebywa w klinice!

- Tak właśnie sądzimy. Nasz profiler wykonał kawał dobrej roboty. Doszedł do wniosku, że morderca z pewnością jest członkiem jakiejś sekty,

mordującym nie z nienawiści czy chciwości, lecz z powodu wypaczonych przekonań. Morduje *in nomine Domini*, w imię Pańskie, tak jak nazywał się statek, który zatonął w Morzu Śródziemnym, centrala zakonu.

- Ojciec Markus! - mruknął cicho Gropius. - Proboszcz szpitala.

Ingram pokiwał głową.

- Pan go zna! Co to za człowiek?

- Co znaczy znam? Robi swoje, jak każdy. Kapucyn, mnich o dość niejasnej przeszłości. Nigdy się tym nie interesowałem. Na niego, jako ewentualnego sprawcę, mógłby wskazywać fakt, że w związku ze swoim zajęciem ma dostęp do wszystkich oddziałów. - Gropius dobrze pamiętał, jak po śmierci Schlesingera przeproszył duchownego z oddziału intensywnej opieki medycznej.

- Gdzie znajdziemy ojca Markusa?

- Ma pokój w suterenie.

- To na co czekamy? - Ingram dał znak, żeby Gropius i policjanci poszli za nim.

Na drzwiach kończących długi, mroczny korytarz wisiała tabliczka z napisem „P. Markus”. Drzwi były zamknięte.

Gropius zawołał księdza po nazwisku, nawet jednak mocne pukanie nie wywołało żadnej reakcji. Z całym impetem swoich stu kilogramów Ingram rzucił się na drzwi. Drewno pękło, drzwi puściły. W środku panowała ciemność.

Z bronią gotową do strzału, ostrożnie stąpając nogą za nogą, Ingram wszedł do pokoju i włączył światło. Zabłyśła zimna, jaskrawa neonówka pod sufitem.

Pośrodku pomieszczenia wielkości trzy na cztery metry, z łóżkiem, starą szafą i biurkiem jako jedynym umeblowaniem, stał zniszczony fotel. Siedział w nim, jakby śpiąc, ojciec Markus. Lewy rękaw miał podwinięty. Na ręce i twarzy były widoczne duże ciemne plamy. Prawa dłoń obejmowała strzykawkę.

Ingram rzucił Gropiusowi takie spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „To pańska robota!”.

Profesor z wahaniem podszedł do ojca Markusa i zbadał puls. Później dotknął jeszcze dwoma palcami tętnicy szyjnej i pokręcił głową.

- Zszedł! - orzekł cicho. - Mogło to nastąpić już wczoraj.

Na biurku stała plastikowa butelka z etykietą Chlorfenwinfos.

- Środek owadobójczy, który wstrzyknięto w wątrobę Schlesingera. Ingram skinął głową i otworzył drzwi starej szafy ubraniowej.

- Nie do wiary - mruknął. Spodziewał się tam zastać stare ubrania, może jakieś umoralniające książki, w zniszczonym meblu był jednak zainstalowany sprzęt komputerowy najnowszej generacji.

- Na policji musimy dawać sobie radę z bardziej staromodnym sprzętem - warknął Ingram i włączył komputer. Urządzenie uruchomiło się w kilka sekund. Po chwili pojawiło się okno dialogowe z informacją o e-mailu w skrzynce pocztowej.

Ingram kliknął na Otwórz. Komputer zażądał: Podaj hasło.

- „IND” - powiedział Gropius. - Od pierwszych liter In Nomine Domini.

Ingram spojrzął zniechęcony, ale wpisał rzekome hasło. Chwilę później na monitorze pojawił się tekst:

Narząd Arna Schlesingera został przeze mnie skażony zastrzykiem chlorfenwinfosu. Przyznaję się do winy, jak również do pozbawienia w ten sam sposób życia Thomasa Bertrama, którego doradcą duchowym byłem w Pradze. Nie czyniłem tego z chęci mordowania, lecz ze szczerego przekonania, że człowiekowi nie wolno ingerować w wolę Boga i sztucznie przedłużać życia. Czyniłem to *in nomine Domini*.

- Skąd właściwie znał pan hasło dostępu, profesorze? - zapytał Ingram, nie odrywając wzroku od monitora. Gropius zrobił poważną minę.

- Uwierzyłby mi pan, gdybym stwierdził, że za sprawą Opatrzności?

ZNAK ŻYCIA

Kilka dni później rozwiązano specjalną komisję do sprawy zabójstwa Schlesingera. Prokurator umorzył dochodzenie przeciwko Gregorowi Gropiusowi. Doktora Fichtego oskarżono o przynależność do organizacji przestępczej. Veronique Gropius zaskakująco łatwo zgodziła się na rozwód, nie wysuwając już żadnych żądań. Felicia Schlesinger i doktor Rauthmann do dziś nie zdołali się pobrać. Rauthmann nadal mieszka i pracuje w Berlinie, Felicia zaś otworzyła biuro w Nowym Jorku, gdzie z dużym powodzeniem uprawia swój zawód jako sprzedawca i pośrednik w obrocie dzieł sztuki.

Jak dotąd oskarżono siedemnastu księży z całej Europy, którzy przyznali się do przynależności do zakonu In Nomine Domini. Wciąż jest przedmiotem dochodzenia, ilu z nich ze względu na przekonania stało się mordercami. Mimo wielkich wysiłków Interpol do dziś nie zdołał ująć doktora Prasskova. Podejrzewa się, że Prasskov ukrył się w Rosji i tam go zamordowano.

A Gregor Gropius i Francesca Colella?

Chociaż Gropiusa oczyszczono z wszelkich podejrzeń, nie wrócił już do zawodu. Do dziś nie uporał się bowiem z najstraszniejszymi miesiącami życia - i to także jest przyczyna, dla której w Tivoli opowiedział mi swoją historię. Musiał ją opowiedzieć. Nie umiem określić, czy czternaście godzin wspólnie spędzonych w hotelu „San Pietro” jakoś mu pomogło. Mam

nadzieję, że tak. W każdym razie kiedy skończył, wydawało się, że sprawiło mu to ulgę. Jak mi wyznał, przywiózł z Monachium swoje notatki, żeby samemu przelać na papier własne przeżycia, później jednak postanowił przekazać to mnie.

Gropius rzadko przebywa w Monachium. Większość roku spędza z Francescą w swoim majątku z setką drzewek oliwnych nieopodal Velletri. Do mnie profesor już dawno się nie odzywał. Ostatnim znakiem życia od niego była paczka przysłana pocztą. Zawartość: fragment zwietrzałej kości w kształcie podkowy. Koperta, którą pazerna pani Selvini sprzedała za dwadzieścia tysięcy euro, zawierała falsyfikat, co Gropiusa specjalnie nie zaskoczyło. To zaś, co znajdowało się w kasecie, którą Francescą Colella przywiozła do Berlina na zlecenie profesora de Luki, pozostaje tajemnicą, którą naukowiec zabrał z sobą do grobu.

Jeśli chodzi o losy akt Golgoty, to w tej sprawie Gropius milczy. Wie, dlaczego. Prawdopodobnie spoczywają razem z autentycznym Całunem Turyńskim w Archiwum Watykańskim. Jak wiele innych, one również rzekomo nigdy nie istniały.